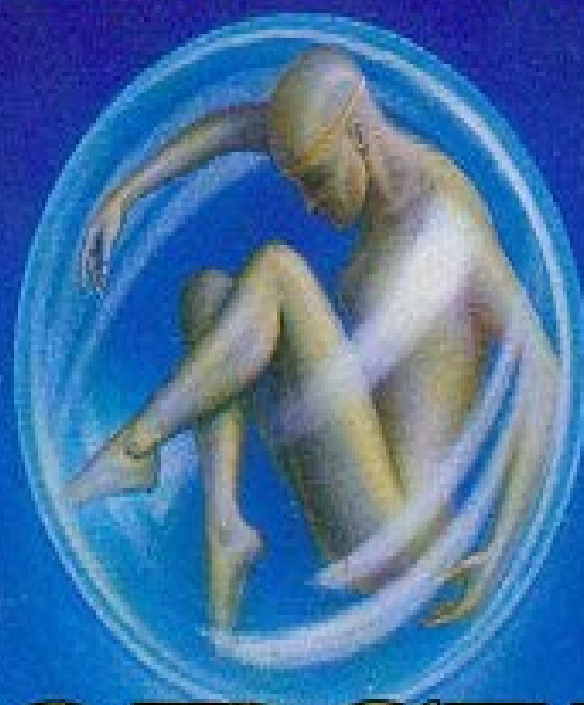


KULTOWA KSIĄŻKA, KTÓRA PRZELAMAŁA  
GETTO SCIENCE FICTION

**ROBERT A.  
HEINLEIN**



**OBCY  
W OBCYM  
KRAJU**

**Robert A. Heinlein**  
**Obcy w obcym kraju**

Tytuł oryginału: *Stranger in a Strange Land*  
przełożył Arkadiusz Nakoniecznik

# CZEŚĆ PIERWSZA

## Jego niejasne pochodzenie

### Rozdział I

Był sobie raz Marsjanin nazwiskiem Valentine Michael Smith.

Ci, którzy ustalali skład pierwszej załogowej wyprawy na Marsa, byli gorącymi zwolennikami teorii, że największym niebezpieczeństwem dla człowieka jest on sam. W tamtych czasach - dokładnie osiem lat po założeniu pierwszej stacji na Lunie - podróż między planetami mogła się odbyć wyłącznie w stanie nieważkości, z powodu braku stałego przyspieszenia 258 dni z Terry na Marsa, tyle samo z powrotem, plus 455 dni na Marsie - tak długo bowiem trzeba było czekać, aż obie planety ponownie zbliżą się do siebie na dogodną odległość.

Warunkiem podróży "Envoya" była możliwość uzupełnienia po drodze paliwa, natomiast powrót zależał od tego, czy statek nie rozbije się podczas lądowania na Marsie, a załozde uda się znaleźć wodę niezbędną do chłodzenia reaktorów, oraz że nie zdarzy się żadna z tysiąca nieprzewidzianych rzeczy, które mogą się zdarzyć w każdej chwili.

Byłoby wysoce wskazane, żeby ośmiorgu ludziom, stłoczonym w ograniczonej przestrzeni przez niemal trzy lata, udało się ułożyć współzycie ze sobą na nieco lepszych zasadach, niż to się zwykle dzieje. Propozycja wysłania całkowicie męskiej załogi została odrzucona; pomysł uznano za niezdrowy i bynajmniej nie dający żadnych gwarancji sukcesu. Władze doszły do wniosku, że optymalnym składem będzie 4 razy 2, oczywiście pod warunkiem, że uda się znaleźć cztery pary specjalistów w dziedzinach, niezbędnych podczas realizacji tego rodzaju przedsięwzięcia.

Uniwersytet w Edynburgu, do którego w pierwszej kolejności zwrócono się o pomoc, zlecił to zadanie Instytutowi Badań Społecznych. Po odrzuceniu ochotników nie nadających się ze względu na wiek, stan zdrowia, poziom inteligencji, wykształcenie lub cechy charakteru, pozostało około dziewięciu tysięcy kandydatów prezentujących wszystkie poszukiwane specjalności: astrogator, lekarz, kucharz, mechanik, dowódca statku, semantyk, inżynier chemik,

inżynier elektronik, fizyk, geolog, biochemik, biolog, fizyk atomowy, fotograf, inżynier hydroponik, inżynier raketowy. Wśród setek kombinacji kandydatów posiadających wymagane umiejętności trafiły się nawet trzy składające się wyłącznie z małżeństw, ale we wszystkich trzech przypadkach psychologowie, dokładnie badający możliwości bezkonfliktowego współżycia każdego ewentualnego składu, aż łapali się za głowy z przerażenia. Uniwersytet zaproponował Instytutowi obniżenie wymagań; Instytut zaproponował Uniwersytetowi zwrot symbolicznej zapłaty, jaką otrzymał za podjęcie się tego zadania.

Pracujące na pełnych obrotach maszyny wyszukiwały i dopasowywały dane, zmieniające się bezustannie z racji nieprzewidzianych zgonów, zgłoszeń nowych ochotników albo wycofania się starych. Kapitan Michael Brant, w wieku niewiele ponad trzydziestu lat weteran linii księżycowej, znalazł w Instytucie kogoś, kto przejrzał listę samotnych ochotniczek, które (w parze z kapitanem, rzecz jasna), mogły być brane pod uwagę przy doborze załogi. Po przetestowaniu ewentualnych kombinacji na komputerowym symulatorze Brant udał się do Australii, gdzie oświadczył się doktor Winifred Coburn, starej panie, od której był młodszy o lat osiem.

Zamigotały światełka, drukarki wypluły wstęgi taśm; załoga została skompletowana.

Kapitan Michael Brant, dowódca-pilot, astrogator, inżynier raketowy, w wolnych chwilach kucharz i fotograf.

Dr Winifred Coburn Brant, lat 41, semantyk, pielęgniarz, oficer zaopatrzeniowy, historyk.

Francis X. Seeney, lat 28, pierwszy oficer, drugi pilot, astrogator, astrofizyk, fotograf.

Dr Olga Kovalic Seeney, lat 29, kucharz, biochemik, specjalista od hydroponii.

Dr Ward Smith, lat 45, lekarz, biolog.

Dr Mary Jane Lyle Smith, lat 26, inżynier atomowy, technik elektronik.

Sergiej Rimsky, lat 35, inżynier elektronik, inżynier chemik, mechanik, specjalista od niskich temperatur.

Eleanora Alvarez Rimsky, lat 32, geolog, selenolog, specjalista od hydroponii.

Członkowie załogi posiadali wszystkie konieczne umiejętności, część z nich zresztą zdobyli zaledwie kilka

tygodni przed startem. Co ważniejsze, wszystkie badania wykazywały, że najprawdopodobniej będą mogli ze sobą wytrzymać.

"Envoy" wystartował. Przez pierwszych kilka tygodni nadchodzące z niego meldunki mogły być wychwycone nawet przez amatorskie radiostacje; potem, kiedy sygnały osłabły, wzmacniano je za pomocą aparatury zainstalowanej na satelitach telekomunikacyjnych. Załoga zdawała się być w świetnej formie psychicznej i fizycznej. Najgroźniejszą chorobą, z jaką musiał walczyć doktor Smith, był pojedynczy przypadek grzybicy; wszyscy bardzo szybko przyzwyczaili się do stanu nieważkości i po tygodniu już nikt nie potrzebował leków przeciwko nudnościom. Jeżeli nawet kapitan Brant miał jakieś problemy z utrzymaniem dyscypliny na pokładzie, to nic o tym nie wspomniał w żadnym ze swoich meldunków.

"Envoy" wszedł na orbitę parkingową nieco poniżej orbity Fobosa i spędził na niej dwa tygodnie dokonując badań fotograficznych. Potem kapitan Brant nadał depezę następującej treści: "Lądujemy jutro o 12.00 czasu standardowego na południe od Lacus Soli."

Więcej meldunków nie otrzymano.

## Rozdział II

Minęło ćwierć ziemskiego stulecia, nim ludzie ponownie zdecydowali się odwiedzić Marsa. Sześć lat po zamilknięciu "Envoya" próbnik "Zombie", sfinansowany przez La Societe Astronautique Internationale, przebył przestrzeń międzyplanetarną, wszedł na orbitę wokół Marsa, po czym, nie doczekawszy się na żaden sygnał z jego powierzchni, wrócił na Ziemię. Na zdjęciach, jakie wykonał, widać było krajobrazy zupełnie nieatrakcyjne z ludzkiego punktu widzenia. Badania atmosfery potwierdziły zaś hipotezę, że jest ona niezdatna do oddychania.

Ale na zdjęciach z "Zombie" widać było również wyraźnie, że "kanały" są istotnie kanałami, a niektóre z utrwalonych na kliszy szczegółów zostały zinterpretowane jako ruiny miast. Z pewnością na Marsa poleciałaby kolejna ekspedycja, gdyby nie wybuch III wojny światowej.

Wojna oraz spowodowane nią opóźnienie sprawiły jednak, że wyprawa, kiedy wreszcie wyruszyła, była znacznie silniejsza i lepiej przygotowana niż zaginiony "Envoy". Statek Federacji "Champion" z męską, osiemnastoosobową załogą i dwudziestoma trzema kolonistami na pokładzie, dzięki napędowi Lyle'a, pokonał drogę z Ziemi na Marsa w dziewiętnaście dni. Na miejsce

lądownia wybrano teren na południe od Lacus Soli, jako że kapitan van Tromp zamierzał odnaleźć zaginionego "Envoya". Meldunki z "Championa" napływały codziennie; trzy z nich były szczególnie interesujące. Pierwszy brzmiał, jak następuje:

"Odnaleziono 'Envoya'. Nikt nie ocalał."

Drugi:

"Mars jest zamieszkały."

I wreszcie trzeci:

"Poprawka do meldunku 23-105; odnaleziono jednego rozbitka z 'Envoya'."

### Rozdział III

Kapitan Willem van Tromp był bardzo dobrym człowiekiem i zbliżając się do Ziemi wysłał następującą depezę:

"Mój pasażer nie może być narażony na jakiegokolwiek publiczne kontakty. Przygotować niskoprzeciążeniowy wahadłowiec, nosze, ambulans i zapewnić ochronę."

Polecił także pokładowemu lekarzowi, żeby ten upewnił się, czy Valentine Michael Smith został umieszczony w luksusowej izolatce w Bethesda Medical Center, położony na wodnym materacu i odcięty od wszelkich kontaktów ze światem zewnętrznym, a sam udał się na nadzwyczajne posiedzenie Najwyższej Rady Federacji.

W chwili gdy Smith był właśnie przenoszony do łóżka, minister nauki mówił z rozdrażnieniem:

- Zgadzam się, kapitanie, że sprawowana przez pana funkcja dowódcy wyprawy daje prawo zażądania opieki medycznej dla osoby, która chwilowo znajduje się pod pańskimi rozkazami, ale nie rozumiem, dlaczego usiłuje pan teraz przeszkadzać mi w wykonywaniu moich obowiązków. Przecież ten Smith to istna skarbnica naukowych informacji!

- Ja również tak uważam, panie ministrze.

- W takim razie, dlaczego... - minister nauki

przerwał i zwrócił się do ministra pokoju i bezpieczeństwa.

- David, wydasz odpowiednie instrukcje swoim ludziom?

Przecież nie możemy bez końca serwować uspokajających bajeczek profesorowi Tiergartenowi i doktorowi Okajimie, nie wspominając już o innych.

Minister pokoju spojrział na kapitana van Trompa, który potrząsnął głową.

- Ale dlaczego? - domagał się wyjaśnień minister nauki. -

Przecież sam pan powiedział, że on nie jest chory?...

- Pozwól odpowiedzieć kapitanowi, Pierre - odezwał się minister pokoju. - Kapitanie?

- Smith rzeczywiście nie jest chory, proszę pana - zaczął van Tromp - ale nie czuje się najlepiej. Nigdy do tej pory nie miał do czynienia z ziemskim ciężeniem. Waży teraz dwa i pół raza więcej niż dotychczas i jego mięśnie nie bardzo mogą sobie z tym poradzić. Nie jest przyzwyczajony do ziemskiego ciśnienia atmosferycznego. Nie jest przyzwyczajony praktycznie do n i c z e g o i spowodowany tym stres jest naprawdę znaczny. Do licha, panowie! Ja sam jestem wykończony, a przecież urodziłem się na tej planecie.

Minister nauki wydał pogardliwie wargi.

- Drogi kapitanie, jeżeli obawia się pan o skutki wywołane nadmiernym ciężeniem, to pragnę pana uspokoić, że się tym już zajęliśmy. Mnie również zdarzyło się kilka razy opuścić naszą miłą planetę. Ten człowiek musi po prostu...

Kapitan van Tromp zdecydował, że nadszedł czas, by dać wreszcie upust rozsadzającej go złości. Później będzie mógł się wytłumaczyć jak najbardziej autentycznym zmęczeniem. Czuł się tak, jakby właśnie wylądował na Jowiszu.

- Otóż to! - przerwał gwałtownie ministrowi. - "Ten człowiek"! C z ł o w i e k ! Czy wy nie widzicie, że on wcale nim nie jest?

- Hę?...

- Smith n i e j e s t człowiekiem!

- Czy mógłby pan to jakoś wyjaśnić, kapitanie?

- Jest inteligentną istotą, której bezpośrednimi przodkami byli ludzie, ale teraz stał się bardziej Marsjaninem niż człowiekiem. Byliśmy pierwszymi ludźmi, jakich ujrzał. Myśli jak Marsjanin, czuje jak Marsjanin... Został wychowany przez rasę nie mającą z nami absolutnie nic wspólnego. Oni nawet nie mają płci! Biorąc pod uwagę pochodzenie jest człowiekiem, ale przez wzgląd na środowisko, w którym wyrósł, należy go uznać za Marsjanina. Jeżeli chcecie wpędzić go w szaleństwo i zniszczyć tę "skarbnicę wiedzy", to proszę bardzo, ściągajcie swoich jajogłowych profesorów. Może i dobrze, że nie zdąży przyzwycząić się do tej zwariowanej planety. To w sumie nie mój interes - ja swoje zrobiłem!

Zapadła cisza, którą przerwał dopiero sekretarz generalny Douglas.

- I zrobił pan to wyśmienie, kapitanie. Jeżeli ten człowiek, czy też Marsjanin, potrzebuje kilku dni odpoczynku,

to nie widzę powodu, dla którego nauka nie mogłaby trochę poczekać. Spokojnie, Pete. Kapitan van Tromp jest po prostu zmęczony.

- Jest coś, co nie może czekać - odezwał się minister informacji publicznej.

- Tak, Jock?

- Jeżeli w możliwie najkrótszym czasie nie pokażemy Człowieka z Marsa w stereowizji, grożą nam zamieszki uliczne, panie sekretarzu.

- Hmm... Chyba przesadzasz, Jock. I tak zapychamy Marssem całe wiadomości. Na przykład jutro będę dekorował odznaczeniami kapitana i załogę, potem kapitan van Tromp opowie o przebiegu wyprawy... Jak pan odpocznie, ma się rozumieć.

Minister pokręcił głową.

- Co? Nie da rady, Jock?

- Ludzie czekali na prawdziwego, żywego Marsjanina. Ponieważ ekspedycja go nie przywiozła, potrzebujemy w zamian Smitha. I to szybko.

- Żywego Marsjanina? - sekretarz generalny Douglas zwrócił się ponownie do kapitana van Trompa. - Macie jakieś filmy z Marsjanami?

- Całą masę.

- Problem rozwiązany, Jock. Jak zabraknie ci materiału na żywo, dawaj filmy. A teraz, kapitanie, wracając do sprawy eksterytorialności: powiada pan, że Marsjanie nie mieli nic przeciwko temu?

Van Tromp na moment przygryzł wargi.

- Proszę pana, rozmawiając z Marsjaninem odnosi się wrażenie, jakby rozmawiało się z echem. Nie ma sporu, ale nie ma też rezultatów.

- Może powinien pan zatrudnić tego, jak mu tam... semantyka? Przyszedł tu z panem?

- Niestety nie. Doktor Mahmoud nie czuje się zbyt dobrze. Lekkie... eee... załamanie nerwowe.

Kapitan van Tromp uznał, że określenie to dobrze oddaje stan, w jakim znajduje się osobnik zalany w trupa.

- Kosmos daje się we znaki, co, kapitanie?

- Tak, zapewne...

Cholerne szczury lądowe!

- No cóż, niech go pan tu ściągnie, jak tylko poczuje się lepiej. Przypuszczam, że ów młodzieniec z Marsa sporo nam wyjaśni.

- Być może - zgodził się van Tromp z powątpiewaniem w



głosie.

\*

Ów "młodzieniec z Marsa" starał się tymczasem utrzymać przy życiu. Jego ciało, w niemożliwy sposób zgniecione i osłabione przez dziwaczny kształt przestrzeni w tym niesamowitym miejscu, doznało wreszcie ulgi w miękkim wnętrzu gniazda, do którego je wsadzono. Teraz wreszcie mógł skoncentrować się na utrzymaniu rytmu oddechu i bicia serca.

Niemal od razu poczuł, że grozi mu samoskonsumowanie. Jego płuca pracowały równie energicznie jak w domu, serce zaś galopowało w szalonym tempie, tłocząc w tętnice masy krwi - wszystko po to, by sprostać ciśnieniu napierającej zewsząd przestrzeni, w dodatku wypełnionej zabójczo bogatą i niebezpiecznie gorącą atmosferą. Musiał natychmiast przedsięwziąć odpowiednie środki zaradcze.

Kiedy częstotliwość uderzeń serca spadła do dwudziestu na minutę a oddech stał się niemal niewyczuwalny, odczekał dłuższą chwilę, aby upewnić się, że nie dojdzie do mimowolnego odcieleśnienia, kiedy na przykład skoncentruje się na jakichś innych sprawach. Uznawszy, że nie grozi mu taka ewentualność, pozostawił na straży część drugiego poziomu świadomości, wycofując całą resztę. Musiał koniecznie przyjrzeć się dokładnie konfiguracjom ostatnich wydarzeń, aby móc je do siebie dopasować, a następnie cieszyć się nimi i pielęgnować je. Gdyby tego nie uczynił, mogłyby go pożreć.

Od czego powinien zacząć? Czy od chwili, kiedy opuścił dom, łącząc się z tymi, którzy teraz byli jego współtowarzyszami w gnieździe? A może od momentu przybycia do tej ściśniętej przestrzeni? Znowu wstrząsającym bólem wybuchły mu w mózgu światła i hałasy związane z tamtą chwilą. Nie, nie był jeszcze w stanie ogarnąć tej konfiguracji. Z powrotem, z powrotem! Przed czas, kiedy pojawili się obcy, wśród których był teraz jako jeden z nich. Nie, to za mało. Jeszcze dalej, przed powolne dochodzenie do siebie, które nastąpiło po tym, jak po raz pierwszy zrozumiał, że nie jest taki sam jak jego bracia z gniazda... Z powrotem, z powrotem do samego gniazda...

Smith nie myślał ziemskimi symbolami. Angielskiego, który zdążył już sobie przyswoić w podstawowym zakresie, używał mniej więcej równie swobodnie jak Hindus usiłujący dogadać się z Turkiem. Ten nowy język był dla niego czymś takim jak dla nas książka kodowa z nudnymi i niedoskonałymi wyjaśnieniami. Jego

myśli, będące pochodnymi rozwijającej się od pół miliona lat, całkowicie obcej kultury, sięgały tak daleko poza to, co nazywa się ludzkim doświadczeniem, że były po prostu nieprzetłumaczalne.

W sąsiednim pokoju doktor Thaddeus grał w karty z Tomem Meechumem, osobistym pielęgniarzem Smitha. Thaddeus starał się cały czas nie spuszczać oka ze znajdujących się na konsolcie wskaźników i mierników. Kiedy częstotliwość pulsowania kontrolnej lampki elektrokardiografu spadła z dziewięćdziesięciu dwóch do dwudziestu impulsów na minutę, zerwał się z miejsca i wpadł do pokoju Smitha. Meechum deptał mu po piętach.

Sprawiający wrażenie martwego pacjent leżał na uginającej się lekko powierzchni pneumatycznego materaca.

- Wezwij doktora Nelsona! - rzucił Thaddeus.

- Już się robi. A może spróbowalibyśmy elektrowstrząsu? - podsunął Meechum.

- Wezwij doktora Nelsona!

Pielęgniarz wybiegł na korytarz. Internista przyjrzał się uważnie pacjentowi, nie dotykając go jednak nawet palcem. Po chwili w izolatce zjawił się starszy lekarz, poruszający się ze starannie wyreżyserowaną niezręcznością człowieka od dawna przebywającego w kosmosie i nie przyzwyczajonego do ziemskiej grawitacji.

- Co się stało?

- Jakies dwie minuty temu raptownie spadła temperatura ciała, częstotliwość uderzeń serca i puls.

- Co pan zrobił?

- Nic. Zgodnie z pańskim poleceniem...

- To dobrze.

Nelson obejrzał uważnie Smitha, po czym popatrzył na wskaźniki umieszczone nad łóżkiem, dokładnie takie same, jak w pokoju obok.

- Proszę dać mi znać, gdyby się coś zmieniło - powiedział i odwrócił się w stronę drzwi.

Thaddeus sprawiał wrażenie lekko zdezorientowanego.

- Ależ... - wykrztusił.

Nelson stanął.

- Tak, doktorze? Jaka jest pańska diagnoza?

- Eee... Nie chciałbym wypowiadać się na temat pańskiego pacjenta...

- Pytałem o pańską diagnozę.

- Oczywiście. To szok - zawahał się. - Może trochę nietypowy, ale jednak szok, z którego pacjent może już nie

wyść.

Nelson skinął głową.

- Brzmi rozsądnie, ale to nie jest zwyczajny przypadek. Już kilka razy widziałem go w takim stanie. Proszę spojrzeć.

Nelson uniósł ramię pacjenta i cofnął rękę; ramię zostało w powietrzu.

- Katalepsja? - zapytał Thaddeus.

- Może pan to nazywać, jak się panu podoba. Proszę tylko uważać, żeby nie niepokojono chorego i dać mi znać, gdyby zaszły jakieś zmiany.

Ułożył ramię Smitha w poprzedniej pozycji i wyszedł z pokoju.

Thaddeus popatrzył na pacjenta, potrząsnął głową i wraz z Meechumem wrócił do sąsiedniego pomieszczenia. Pielęgniarka wzięła karty do ręki.

- Dobiera pan?

- Nie.

- Wie pan co, doktorze? Według mnie do rana będzie po wszystkim. Wyjdzie z tego, ale nogami do przodu.

- Nikt cię nie pyta o zdanie. Idź na papierosa do strażników. Chcę chwilę pomyśleć.

Meechum wzruszył ramionami i wyszedł na korytarz. Komandosi pilnujący drzwi izolatki wyprężyli się, po czym, poznawszy kto idzie, stanęli znowu na "spocznij".

- Co to było za zamieszanie? - zapytał wyższy z nich.

- Pacjent urodził pięcioraczki i kłóciliśmy się, jak je ponazywać. Daj który fajki i ognia.

Drugi komandos wydobyl z kieszeni paczkę papierosów.

- Będziesz robił za mamkę?

- Zależy, ile będę miał pokarmu - odparł Meechum i wetknął papierosa do ust. - Słowo daję, panowie, ja naprawdę nic o nim nie wiem.

- A co z tym rozkazem, żeby pod żadnym pozorem nie wpuszczać do niego kobiet? To jakiś maniak seksualny, czy co?

- Wiem tylko tyle, że przywieźli go z "Championa" i że ma mieć absolutny spokój.

- Aha, z "Championa"! - mruknął pierwszy żołnierz. - To by się nawet zgadzało.

- Niby z czym?

- No, właśnie z tym. Od miesiący żadnej nie miał, nie dotykał, ba, nawet nie widział. I jest chory, no nie? Boją się, że gdyby jakąś dostał, to by mu zaszkodziło. - Zamrugnął nerwowo powiekami. - Mnie na pewno by zaszkodziło.

Smith zdawał sobie sprawę, że przez krótki czas w pokoju oprócz niego byli także lekarze, ale zgrokował, że ich zamiary nie są wrogie; nie było potrzeby uruchamiania całego potencjału świadomości.

Rano, gdy zwykle pielęgniarki budzą pacjentów dotknięciem umoczonego w zimnej wodzie skrawka materiału, Smith powrócił. Przyśpieszył bicie serca, wzmógł tempo oddychania i pogodnie rozejrzał się dookoła. Obejrzał dokładnie cały pokój, odnotowując z podziwem każdy szczegół. Ten pokój był dla niego czymś

zupełnie nowym; nie tylko nie przypominał niczego, co Smith znał z Marsa, ale był również całkowicie odmienny od wąskich, metalowych pomieszczeń "Championa". Przeżywszy po raz wtóry wszystkie wydarzenia, jakie związały jego gniazdo z tym miejscem, Smith był gotów je zaakceptować, uznać, a nawet, w pewnym stopniu, pokochać.

W pewnej chwili poczuł obecność innej, żywej istoty. Z sufitu opuszczał się na nitce czarny długonogi pająk. Smith przyglądał mu się z zachwytem, zastanawiając się, czy jest to może jeden z jego braci w gnieździe.

Do izolatki wszedł doktor Archer Frame - internista, który objął dyżur po Thaddeusie.

- Dzień dobry - powiedział. - Jak się czujesz?

Smith zajął się dokładną analizą wypowiedzi. W jej pierwszej części rozpoznał stwierdzenie mające czysto formalne znaczenie, nie wymagające żadnej reakcji, natomiast pytanie znalazł zarejestrowane w swojej pamięci wraz z kilkoma wersjami tłumaczenia; gdy padało z ust doktora Nelsona, znaczyło jedno, jeżeli słyszał je od kapitana van Trompa - drugie.

Poczuł się skonsternowany, jak zresztą często, kiedy próbował się porozumieć z tymi stworzeniami. Zmusił jednak swe ciało do zachowania spokoju i zaryzykował odpowiedź:

- Czuję... dobrze.

- To dobrze! - odparło jak echo stworzenie. - Zaraz przyjdzie doktor Nelson. Chyba już dojrzałeś do śniadania?

Smith zrozumiał wszystko, co do niego powiedziano, ale mimo to trudno mu było w to uwierzyć. Zdawał sobie sprawę, że jego ciało mogło stanowić dla kogoś po prostu jedno danie w jakimś urozmaiconym posiłku, ale skąd miał wiedzieć, czy już dojrzał, czy jeszcze nie? Poza tym nie oczekiwał, iż spotka go taki zaszczyt. Nie miał pojęcia, że świat, do którego trafił, boryka się z tak poważnymi problemami żywnościowymi, iż istniała konieczność redukcji liczby żyjących osobników.

Poczuł spokojny żal, bo przecież czekało na niego jeszcze tyle wydarzeń, które mógłby przeżyć, lecz nie miał najmniejszego zamiaru przeciwstawiać się losowi.

Wejście doktora Nelsona oszczędziło mu kłopotu tłumaczenia swoich uczuć na język tych stworzeń. Lekarz pokładowy zbadał Smitha, zerknął na wskaźniki, po czym zapytał:

- Co z ruchami jelit?

Smith zrozumiał pytanie, bo padało ono z ust lekarza już nie po raz pierwszy.

- Bez zmian - odparł Frame.

- Zajmiemy się tym, ale najpierw musi coś zjeść. Dajcie tu tę tacę.

Nelson podał mu trzy pierwsze kęsy, a potem wcisnął mu łyżkę w rękę i kazał jeść samodzielnie. Była to dość męcząca czynność, ale napełniła go uczuciem radosnego tryumfu, gdyż oto po raz pierwszy od chwili przybycia do tego zadziwiającego miejsca robił coś zupełnie sam. Opróżnił talerz, po czym zapytał, żeby móc odpowiednio uczcić tego, komu zawdzięczał posiłek:

- Kto to jest?

- Nie kto, tylko co - poprawił go Nelson. – Syntetyczna galaretka odżywcza. Teraz wiesz dokładnie tyle samo, co przedtem. Skończyłeś? W porządku; wyskakuj z tego łóżka.

- Proszę? - dźwięku tego używało się wtedy, kiedy występowały jakieś zakłócenia w przekazie informacji.

- Powiedziałem, żebyś wstał. No, już. Pochodź trochę. Jasne, jesteś jeszcze słaby jak szczeniak, ale ciągle taki będziesz, jeśli nie zaczniesz się ruszać.

Nelson otworzył zawór w materacu, wypuszczając z niego wodę. Smith próbował opanować ogarniający go strach, bo wiedział, że Nelson nie chce go skrzywdzić. Po chwili leżał już na sflaczałej warstwie wodoszczelnego materiału.

- Doktorze Frame, proszę wziąć go z drugiej strony - polecił Nelson.

Z pomocą obu mężczyzn Smith przetoczył się przez krawędź łóżka.

- Dobra. A teraz wstawaj. Nie bój się, w razie czego zdążymy cię złapać.

Z wysiłkiem stanął na nogach - wysmukły młody mężczyzna o niedorozwiniętych mięśniach i nadmiernie rozbudowanej klatce piersiowej. Na "Championie" przystrzyżono mu włosy i zgolono zarost. Najbardziej zwracała uwagę jego twarz o łagodnych dziecięcych rysach, obdarzona oczami, których spojrzenie

zdawało się należeć do sędziwego starca.

Stał przez chwilę, drżąc lekko na całym ciele, po czym ostrożnie zrobił pierwszy krok. Po dwóch dalszych twarz rozpromieniła mu się radosnym, dziecięcym uśmiechem.

- Dobrze! - pochwalił go Nelson.

Spróbował zrobić jeszcze jeden krok, ale drżenie mięśni nasiliło się i osunął się tak szybko, że Frame i Nelson ledwo zdążyli go złapać.

- Do licha! - zaklął doktor Nelson. - Znowu ten jego trans. Połóżmy go do łóżka... Albo nie, najpierw trzeba napełnić materac.

Frame przerwał dopływ wody w chwili, kiedy elastyczna powłoka wypełniła się mniej więcej w trzech czwartych. Przenieśli Smitha na łóżko, nie bez trudu, bo skulił się w pozycji embrionalnej.

- Proszę podłożyć mu pod kark poduszkę i zawołać mnie, kiedy pan uzna, że jestem potrzebny - nakazał Frame'owi Nelson. - Po południu znowu spróbujemy go trochę rozruszać. Za trzy miesiące będzie skakał po drzewach jak małpa. W gruncie rzeczy nic mu nie dolega.

- Tak jest - odpowiedział niezupelnie przekonany Frame.

- Aha, jeszcze jedno: niech go pan nauczy korzystać z łazienki. Tylko proszę wziąć pielęgniarkę; nie chcę, żeby się przewrócił.

- Dobrze. Eee... Jak by mi pan radził... To znaczy, w jaki sposób...

- Co? A, o to panu chodzi. Niech mu pan po prostu pokaże. Jeszcze niewiele rozumie z tego, co się do niego mówi, ale jest diabelnie bystry.

Smith zjadł obiad bez niczyjej pomocy. Posługacz, który przyszedł po tacę, nachylił się nagle nad łóżkiem.

- Słuchaj, mam dla ciebie interesującą propozycję! - wyszeptał.

- Proszę?

- Propozycję. Możesz łatwo zarobić kupę pieniędzy.

- Pieniądzy? Co to jest?

- Daj sobie spokój z filozofowaniem; każdy potrzebuje pieniędzy. Będę się streszczał, bo nie mogę tu długo zostać. Nawet nie wiesz, ile trzeba było kombinować, żeby mnie tu wkręcić. Jestem z "Peerless Features". Płacimy za twoją historię sześćdziesiąt tysięcy, a ciebie o nic głowa nie boli. Mamy najlepszych "cichych" pisarzy, jacy w ogóle są. Ty tylko odpowiadasz na pytania, a oni składają wszystko do kupy. - Wyciągnął z zanadrza jakiś papier. - Tylko to podpisz.

Smith wziął formularz do ręki i zapatrzył się na niego, trzymając go do góry nogami. Mężczyzna zmełł w ustach jakieś przekleństwo.

- Do licha! Nie czytasz po angielsku?

Smith zrozumiał na tyle, żeby odpowiedzieć:

- Nie.

- W takim razie... Dobra! Ja ci to przeczytam, ty odcisniesz mi pod tym swój kciuk, a ja poświadczę jego autentyczność. Słuchaj: "Ja niżej podpisany Valentine Michael Smith, znany także jako Człowiek z Marsa, przekazuję "Peerless Features" całkowite i wyłączne prawa do mojej opowieści zatytułowanej 'Byłem więźniem na Marsie', w zamian za..."

- Salowy!

W drzwiach stanął doktor Frame. Papier zniknął równie szybko, jak się pojawił.

- Już idę, proszę pana. Właśnie zabierałem tacę.

- Co tam czytałeś?

- Nic.

- I tak cię widziałem. Tego pacjenta pod żadnym pozorem nie wolno niepokoić.

Wyszli razem z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Smith przez ponad godzinę nie wykonał najmniejszego ruchu, ale choć starał się ze wszystkich sił, nie mógł za nic zgrokować, o co w tym wszystkim chodziło.

## Rozdział IV

Gillian Boardman była znakomitą pielęgniarką, a jej hobby stanowili mężczyźni. Tego dnia sprawowała funkcję przełożonej piętra, na którym leżał Smith. Kiedy dotarły do niej plotki, że chory z izolatki K-12 nigdy w życiu nie widział kobiety, nie uwierzyła im, niemniej jednak postanowiła rzucić okiem na tajemniczego pacjenta.

Wiedziała o zakazie odwiedzania go przez kobiety i chociaż nie uważała się za osobę odwiedzającą, to jednak zrezygnowała z zamiaru dostania się do separatki przez starannie strzeżone drzwi. Komandosi mieli nieprzyjemny zwyczaj ścisłego wykonywania rozkazów. Zamiast tego weszła do sąsiedniej dyżurki.

Doktor Thaddeus uniósł głowę znad wskaźników.

- O, Buziaczek we własnej osobie! Cześć, kochanie. Co cię

tutaj sprowadza?

- Właśnie robię obchód. Jak tam twój pacjent?

- Niech cię o to główka nie boli, kruszyno. Nic do niego nie masz, sprawdź w rozpisce.

- Już sprawdziłam. Chciałabym go zobaczyć.

- Odpowiem krótko: nie.

- Och, Tad, nie bądź takim służbistą...

Thaddeus zainteresował się nagle swoimi paznokciami.

- Gdybym wpuścił cię do jego pokoju, zesłaliby mnie na Antarktydę. Doktor Nelson urządzi awanturę nawet wtedy, jeśli nakryje cię w dyżurce.

Wstała z miejsca.

- Może tu przyjść?

- Tylko wtedy, jak go wezwę. Odsypia swoje przeciążeniowe zmęczenie.

- Więc czemu jesteś taki przepisowy?

- Już wystarczy, siostró.

- W porządku, doktorze. Śmierdziel! - parsknęła z furją.

- Jill!

- I do tego kabotyn!

Westchnął ciężko.

- Czy sobota wieczorem jest jeszcze aktualna?

Wzruszyła ramionami.

- Chyba tak. W dzisiejszych czasach dziewczyna nie może być zbyt wybredna.

Wróciła do swego gabinetu i wzięła uniwersalny klucz.

Kiedy już raz coś sobie postanowiła, niełatwo było ją od tego odwieść. Pokój K-12 łączył się bezpośrednio z małym pomieszczeniem służącym jako poczekalnia dla odwiedzających, kiedy izolatkę zajmowała jakaś ważna osobistość. Teraz było ono puste. Weszła tam, nie wzbudzając najmniejszego zainteresowania strażników, nieświadomych, że wystrychnięto ich na dudka.

Przy drzwiach prowadzących do pokoju tajemniczego pacjenta zawahała się na mgnienie oka, odczuwając podniecenie podobne do tego, gdy wykradała się nocą ze szkolnego internatu. Po chwili nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Chory leżał w łóżku. Spojrzał w jej stronę, kiedy zamykała za sobą drzwi. W pierwszym momencie odniosła wrażenie, że niewiele jest już w stanie mu pomóc. Jego pozbawiona wyrazu twarz zdawała się świadczyć o apatii, charakterystycznej dla nieuleczalnie chorych. Dopiero później dostrzegła płonące ciekawością oczy. Czyżby miał porażone mięśnie twarzy?



- Jak się dzisiaj miewamy? Lepiej? - zapytała z profesjonalną swobodą.

Smith przeanalizował oba pytania. Pierwsze z nich odnosiło się co najmniej do dwóch osób, co było dla niego całkowicie niezrozumiałe. Może w ten sposób wyrażało się chęć wzajemnego podziwiania i zbliżenia? Drugie pytanie słyszał już wiele razy od Nelsona.

- Tak - odpowiedział.

- To dobrze.

Oprócz dziwnej nieruchomości twarzy nie dostrzegła w nim niczego niezwykłego; jeżeli istotnie nigdy do tej pory nie widział kobiety, to potrafił to doskonale ukryć.

- Mogę w czymś pomóc? - Zauważyła, że na stoliku nie ma szklanki. - Może przynieść ci wody?

Smith zorientował się od razu, że ta istota jest inna od pozostałych. Porównał to, co widział, z tym, co pokazywał mu na fotografiach doktor Nelson, usiłujący podczas podróży wyjaśnić mu zadziwiający układ, w jakim żyli ci ludzie. Więc to właśnie jest "kobieta"...

Był poruszony, a jednocześnie jakby trochę zawiedziony. Opanował jednak emocje, żeby móc bez przeszkód grokować to, co się wokół niego działo. Udało mu się tak dobrze, że doktor Thaddeus nie dostrzegł żadnej zmiany na wskaźnikach.

Kiedy jednak przetłumaczył sobie ostatnie pytanie, doświadczył takiego przypływu emocji, że niewiele brakowało, a pozwoliłby swemu sercu przyspieszyć znacznie rytm uderzeń. Pohamował się, zbeształ w duchu za brak dyscypliny, po czym skontrolował dokładność tłumaczenia.

Wszystko się zgadzało. Ta kobieca istota ofiarowała mu wodę. Chciała się zbliżyć.

Odpowiedział z wielkim wysiłkiem, starając się dobrać odpowiednie znaczenia i próbując ze wszystkich sił zachować należną, uroczystą powagę:

- Dziękuję ci za wodę. Obyś zawsze pił do woli.

Na twarzy siostry Boardman odbiło się lekkie zdziwienie.

- Och, jak miło!

Znalazła szklankę, napełniła ją wodą i podała mu.

- Ty pij - powiedział.

Boi się, żeby go nie otrują, zapytała się w duchu, ale zrobiła, o co prosił, gdyż uczynił to bardzo poważnym tonem. Napił się zaraz po niej, po czym opadł na łóżko, jakby dokonał czegoś niezwykle ważnego.

Jill pomyślała, że z przygody, na jaką po cichu liczyła,

będą chyba nici.

- Jeżeli nic więcej nie potrzebujesz, to ja już pójde. Mam masę rzeczy do roboty.

Ruszyła do drzwi, ale zatrzymał ją jego głos:

- Nie!

Przystanęła.

- Tak?

- Nie odchodź!

- Ale... Dobrze, ale zaraz i tak będę musiała. - Zbliżyła się ponownie do łóżka. - Potrzebujesz jeszcze czegoś?

Zmierzył ją uważnym spojrzeniem.

- Czy ty jesteś... kobieta?

Jill Boardman nie spodziewała się tego pytania. W pierwszym odruchu chciała zbyć je jakimś żartem, lecz nie pozwoliła jej na to poważna twarz i utkwione w niej oczy Smitha. Zaczęło do niej docierać, że to, co wydawało się jej niemożliwe, jest jednak faktem: ten człowiek naprawdę nigdy w życiu nie widział kobiety.

- Tak, jestem kobietą - powiedziała wolno i wyraźnie.

Smith nadal wpatrywał się w nią nieruchomym spojrzeniem. Jill poczuła się trochę nieswojo. Przebywanie pod ostrzałem męskich spojrzeń uważała za coś zupełnie naturalnego, ale teraz czuła się jakby ktoś badał ją za pomocą mikroskopu. Zadrzała.

- I jak? Chyba wyglądam na kobietę?

- Nie wiem - odparł powoli Smith. - Jak wygląda kobieta?

Dlaczego jesteś kobietą?

- Do licha! - Od chwili, kiedy skończyła dwanaście lat, żadna rozmowa z mężczyzną nie wymykała jej się z rąk tak bardzo jak ta. - Chyba nie chcesz, żebym zdjęła ubranie i pokazała ci?

Smith potrzebował trochę czasu, żeby przeanalizować wszystkie symbole i dobrać znaczenia. Pierwszej wypowiedzi w ogóle nie mógł zgrokować; może to jeden z tych nic nie znaczących, formalnych dźwięków... Chociaż powiedziała to z taką siłą, że mogła to być nawet ostatnia wypowiedź, poprzedzająca czasowe lub nawet ostateczne wycofanie się świadomości. Być może tak bardzo naruszył przyjęty sposób porozumiewania się z kobiecą istotą, że była gotowa natychmiast się odcieleśnić.

Nie chciał, żeby ta kobieta umierała, chociaż być może było to jej prawo lub nawet obowiązek. Raptowne przejście od rytuału dzielenia się wodą do sytuacji, w której nowo pozyskany

wodny brat miał zamiar wycofać się lub nawet odcieleśnić, wywołałoby u niego panikę, gdyby świadomie nie blokował dostępu tego rodzaju emocjom. Postanowił jednak, że jeśli ona umrze, on uczyni natychmiast to samo; po tym, jak podzielili się wodą, nie mógł wygrokować nic innego.

Druga część wypowiedzi zawierała symbole, z którymi zdążył się już zetknąć. Grokował jej znaczenie i wydawało mu się, że jednak istnieje sposób zażegnania kryzysu. Może jeśli ta kobieta zdejmie ubranie, to żadne z nich nie będzie musiało się odcieleśniać?

- Proszę - powiedział z radosnym uśmiechem.

Jill otworzyła bezwiednie usta, zamknęła je, po czym znowu otworzyła.

- A niech to! - wykrztusiła wreszcie.

Smith bez trudu zgrokował jej stan emocjonalny i domyślił się, że wybrał złą odpowiedź. W związku z tym zaczął bezzwłocznie przygotowywać się do odcieleśnienia, rozkoszując się po raz ostatni wspomnieniami tego, co robił i widział, ze szczególnym uwzględnieniem tej kobiecej istoty. Jednak po chwili dotarło do niego, że kobieta pochyla się nad nim i zdał sobie sprawę, że ona wcale nie zamierza umrzeć.

Jill spojrzała mu prosto w oczy.

- Popraw mnie, jeśli się mylę - powiedziała - ale jeśli dobrze zrozumiałam, to chcesz, żebym się rozebrała?

Zdanie o tak skomplikowanej konstrukcji wymagało starannego tłumaczenia, ale Smith dał sobie radę.

- Tak - odparł mając nadzieję, że nie wywoła tym kolejnego kryzysu.

- Tak właśnie mi się wydawało. Bracie, ty wcale nie jesteś chory.

Najpierw zajął się słowem "brat" - najwyraźniej kobieta przypominała mu, że byli połączeni przymierzem wody. Wezwał w duchu na pomoc swych innych braci w gnieździe, żeby móc sprostać temu, czego ów nowy brat może od niego chcieć.

- Nie jestem chory - zgodził się.

- Ale niech mnie kule biją, jeśli wiem, co ci jest. Nie rozbiorę się. Zresztą, muszę już iść. - Ruszyła w stronę bocznych drzwi, ale zatrzymała się jeszcze i spojrzała na niego z zagadkowym uśmiechem. - Kiedyś, przy jakiejś okazji, możesz mnie o to jeszcze raz ładnie poprosić. Sama jestem ciekawa, co by z tego wynikło.

Wyszła z pokoju, a Smith odprężył się i chwilowo przestał zwracać uwagę na otaczającą go rzeczywistość. Odczuwał wielkie

zadowolenie z tego, że potrafił znaleźć takie wyjście z sytuacji, które nie wymagało śmierci ich obojga, lecz zdawał sobie jednocześnie sprawę, iż ma jeszcze wiele do zgromadzenia. Ostatnie słowa kobiety zawierały kilka symboli zupełnie dla niego nowych oraz kilka już znanych, ale zmienionych na tyle, że nie był całkowicie pewien, czy dobrze je zrozumiał. Cieszył się jednak, że mógł się porozumieć ze swoim wodnym bratem, choć to porozumienie było zabarwione czymś niepokojącym, a zarazem nad wyraz przyjemnym. Myśląc o swoim nowym bracie odczuwał w całym ciele niezwykle mrowienie. Uczucie to przypominało mu doznania, jakich doświadczył będąc po raz pierwszy obecnym podczas ceremonii odcieleśnienia. Poczul się bardzo szczęśliwy, nie bardzo wiedząc, dlaczego.

Żałował, że nie ma przy nim jego brata doktora Mahmouda. Wiele jeszcze musiał zgromadzić, a nie bardzo miał z czego.

\*

Przez resztę dyżuru Jill czuła się tak, jakby nagle znalazła się w gęstej mgle. Przed oczami miała ciągle twarz Człowieka z Marsa, w uszach zaś brzmiały jej jeszcze te zwariowane rzeczy, które mówił. Nie, wcale nie zwariowane - pracowała przez jakiś czas na oddziale psychiatrycznym i mogła z całą pewnością stwierdzić, że jego słowa nie nosiły znamion szaleństwa. Bardziej adekwatne było chyba słowo "niewinność"... Chociaż nie, to też nie było to. Wyraz jego twarzy był rzeczywiście niewinny, ale oczu już nie. Jaka istota mogła mieć taką twarz?

Swego czasu Jill pracowała w szpitalu prowadzonym przez siostry zakonne i teraz wyobraziła sobie twarz Smitha w zakonnym czepku. Nie, to nie miało najmniejszego sensu; w jego twarzy nie było nic kobiecego.

Przebierała się właśnie w zwyczajne ubranie, kiedy do pokoju wetknęła głowę jej koleżanka.

- Telefon do ciebie, Jill.

Włączyła tylko fonię, nie przerywając ubierania.

- Czy to Słowiczek? - zapytał donośny baryton.

- Zgadza się. To ty, Ben?

- Nieugięty bojownik o wolność prasy we własnej osobie.

Maleńka, czy jesteś zajęta?

- Zależy, co masz na myśli.

- Mam na myśli postawienie ci befsztyka, upojenie cię płynem o wysokiej zawartości alkoholu i zadanie ci jednego

pytania.

- Odpowiedź brzmi: nie.
- Och, nie o tym pytaniu myślałem.
- Czyżbyś znał inne? Pochwal się.
- Później. Chcę, żebyś najpierw trochę zmięła.
- Prawdziwy befszytk czy syntetyczny?
- Najprawdziwszy. Jak wbijesz w niego widelec, to zaryczy.
- Masz chyba otwarty kredyt, Ben.
- Twoja uwaga jest nieelegancka i dotyczy mało istotnej

kwestii. Więc jak?

- Namówiłeś mnie.
- Dach Centrum, za dziesięć minut.

Zdjęła ubranie, które już założyła i wyciągnęła z szafy strój przygotowany na tego typu awaryjne sytuacje. Był bardzo skromny i półprzezroczysty do tego stopnia, że odtwarzał z drobiazgową dokładnością to, co by było widać, gdyby nic na sobie nie miała. Popatrzyła z zadowoleniem na odbicie w lustrze i wsiadła do pośpiesznej windy.

Wysiadła na dachu i rozejrzała się w poszukiwaniu Bena Caxtona, kiedy ktoś dotknął delikatnie jej ramienia. Był to jeden z porządkowych.

- Czeka na panią taksówka, panno Boardman. Ten talbot kombi.

- Dziękuję, Jack.

Wsiadła do czekającej z otwartymi drzwiami maszyny i wzięła głęboki oddech, żeby złośliwie pochwalić pomysłowość Bena, kiedy zobaczyła, że jest w kabinie zupełnie sama. Taksówka wystartowała, zatoczyła szeroki łuk i zgodnie z zaprogramowanym kierunkiem lotu skierowała się na drugą stronę Potomaku, gdzie wylądowała na chwilę na jednym z parkingów; kiedy wsiadł Ben, wystartowała ponownie.

- Aleś zważniał! - zawołała Jill. - Od kiedy zatrudniasz roboty, które przywożą ci upatrzone kobiety?

Ben poklepał ją po kolanie.

- Mam swoje powody, maleńka - powiedział łagodnie. - Nikt nie może mnie z tobą zobaczyć.

- Coś takiego!

- Ani ciebie ze mną, jeżeli już o to chodzi. Nie złość się, to było konieczne.

- Hmm... Które z nas jest trędowate?

- Obydwoje, Jill. Jestem dziennikarzem...

- A ja zaczęłam już podejrzewać, że kimś zupełnie innym.

- ...ty zaś pielęgniarką ze szpitala, w którym

trzymają Człowieka z Marsa.

- Czy właśnie dlatego nie jestem godna, abyś przedstawił mnie swojej matce?

- Naprawdę nic nie rozumiesz, Jill? W okolicy jest teraz około tysiąca reporterów, agentów, radiowców, filmowców. Każdy z nich starał się przeprowadzić wywiad z Człowiekiem z Marsa, ale żadnemu się to nie udało. Uważasz, że byłoby dobrze, gdyby widziano nas wychodzących razem ze szpitala?

- Nie rozumiem, jakie by to mogło mieć znaczenie. Przecież ja nie jestem Człowiekiem z Marsa.

Przyjrzał się jej badawczo.

- Rzeczywiście, nie jesteś. Ale pomożesz mi się z nim spotkać. Właśnie dlatego nie zjawiłem się po ciebie osobiście.

- Że co, proszę? Ben, chyba za długo przebywałeś na słońcu bez nakrycia głowy. Przecież jego pilnują komandosi!

- Wiem o tym. Trzeba to dokładnie omówić.

- Nie mam pojęcia, co tu jest do omawiania!

- Później. Najpierw coś zjemy.

- To brzmi znacznie rozsądniej. Czy twój kredyt wystarczy na New Mayflower? Bo chyba rzeczywiście masz nieograniczony kredyt, prawda?

Caxton zmarszczył brwi.

- Jill, nie zaryzykowałbym pokazania się w restauracji znajdującej się bliżej niż w Louisville, a ten grat nie doleci tam wcześniej niż za dwie godziny. Co byś powiedziała na obiad u mnie?

- ...zapytał pająk muchę. Ben, jestem zbyt zmęczona na zapasy.

- O czym ty mówisz? Słowo rycerza, nie tknę cię nawet, żebym tak miał paść trupem!

- No, nie wiem... Jeżeli będę przy tobie bezpieczna, to znaczy, że coś jest bardzo nie w porządku. A, niech tam. Jak słowo, to słowo.

Caxton nacisnął odpowiednie guziki. Taksówka, zatrzymana uprzednio w powietrzu komendą "czekaj", skierowała się do hotelu, w którym mieszkał Ben.

- Ile czasu potrzebujesz na wchłonięcie odpowiedniej ilości procentów, kocia łapko? - zapytał, wystukując numer telefonu. - Nie wiem, na kiedy mam zamówić befsztyki.

Jill zastanowiła się przez chwilę.

- Czy mam rozumieć, że twoja pułapka na myszy ma prywatną kuchnię?

- Coś w tym rodzaju. Wydaje mi się, że chyba da się tam zrobić porządny befsztyk.

- Ja go zamówię. Daj mi słuchawkę.

Wydała polecenia, przerywając tylko raz, żeby upewnić się, czy Ben lubi cykorię. Wyszli z taksówki na dachu hotelu i zeszli do zajmowanego przez Bena apartamentu; był utrzymany w staromodnym stylu, a jedyną oznakę luksusu stanowił rosnący na podłodze salonu trawnik. Jill zdjęła buty i weszła bosą do pokoju, czując jak miękkie zielone blaszki uginają się pod jej stopami.

- O rety, ale fajnie! - westchnęła. - Od chwili, kiedy zaczęłam pracować jako pielęgniarka, ciągle bolą mnie stopy.

- Siadaj, proszę.

- Nie ma mowy. Pragnę, żeby moje stopy zapamiętały to chociaż do jutra.

- Rób, co chcesz.

Ben poszedł do kuchni przyrządzić drinki.

Wkrótce Jill także się tam znalazła, czując się niemal jak u siebie w domu. Befsztuki, jak również podpieczone wstępnie ziemniaki, wjechały na górę specjalną windą. Jill przyprawiła sałatkę, wstawiła ją do lodówki, po czym ustawiła w piecyku program smażenia befsztyków, ale nie uruchomiła go.

- Ben, czy to urządzenie nie ma zdalnego sterowania?

Obejrzał rezultat jej poczynań i pstryknął wyłącznikiem.

- Powiedz mi, co byś zrobiła, gdybyś musiała ugotować coś nad ogniskiem?

- Dałabym sobie znakomicie radę, bo kiedyś byłam harcerką. A ty, mądralo?

Przeszli z powrotem do salonu, gdzie Jill usiadła w kucki na trawniku, i zajęli się martini. Naprzeciwko fotela Bena stał udający akwarium odbiornik stereowizji. Ben włączył go; po kilku sekundach znikły początkowe zakłócenia, ustępując miejsca twarzy znanego komentatora, Augusta Greavesa.

- ... można z całą pewnością stwierdzić - mówił Greaves - że Człowiek z Marsa jest utrzymywany w stanie oszołomienia narkotycznego po to, by uniemożliwić mu ujawnienie tych faktów. Rząd znalazłby się w niezwykle...

Caxton wyłączył odbiornik.

- Gus, stary byku - powiedział uprzejmie - wiesz na ten temat dokładnie tyle samo co ja. - Zmarszczył brwi. - Chociaż może masz rację, że rząd szprycuje go narkotykami.

- Wcale nie - odezwała się Jill.

- Hę? Jak to, maleńka?

- Nikt nie podaje mu żadnych środków psychotropowych. - I tak powiedziała już więcej, niż zamierzała. - Cały czas jest przy nim lekarz, ale nic mu nie podają.

- Jesteś tego pewna? Przecież ty się nim nie opiekujesz?

- Nie. Mało tego, wydano nawet polecenie, żeby nie dopuszczać do niego żadnych kobiet. Pilnują go komandosi. Caxton skinął głową.

- Słyszałem o tym. A więc nie możesz z całą pewnością stwierdzić, czy znajduje się pod działaniem jakichś środków, czy nie.

Jill zagryzła wargi. Jeżeli chce, żeby jej uwierzył, musi mu wszystko powiedzieć.

- Obiecasz, że mnie nie wsypiesz?

- Niby jak?

- Wszystko jedno. No, tak w ogóle.

- Hmm... To rzeczywiście dosyć ogólne pojęcie, ale niech tam. Nie wsypię cię.

- To dobrze. Dolej mi jeszcze.

Kiedy zawartość szklanki została uzupełniona, Jill zaczęła mówić dalej:

- Wiem, że niczym nie szprycują Człowieka z Marsa, bo z nim rozmawiałam.

Ben gwizdnął przeciągle.

- Domyślałem się tego. Dziś rano powiedziałem sobie: zobacz się z Jill, to twoja atutowa karta. Kochanie, masz następnego drinka. Masz sześć drinków. Masz całą butelkę.

- Ejże, nie tak szybko!

- Jak sobie życzysz. A może chcesz, bym rozmasował twoje biedne małe stópki? Szanowna pani, za chwilę zostanie z panią przeprowadzony wywiad. Jak...

- Ben, nie! Przecież obiecałeś. Jedno słowo o mnie i wylatuję z pracy.

- Hmm... A co byś powiedziała o tym: "Jak dowiadujemy się z dobrze poinformowanych źródeł..."

- Daj spokój!

- Dziewczyno, jeżeli umrę z ciekawości, będziesz musiała sama zjeść dwa befsztyki!

- Dobrze, opowiem ci. Ale nie wolno ci tego wykorzystać.

Ben wysłuchał relacji o tym, jak dziewczynie udało się oszukać strażników, nie przerywając jej ani słowem.

- Mogłabyś to zrobić jeszcze raz? - zapytał, kiedy skończyła.

- Przypuszczam, że tak, ale nie zrobię tego. To zbyt ryzykowne.



- A nie udałoby ci się jakoś mnie tam przemycić? Na przykład gdybym przebrał się, bo ja wiem... za elektryka? Wiesz - kombinezon, czapeczka i torba z narzędziami. Podrzuciłabyś mi klucz, a ja wtedy...

- Nie!

- Ale dlaczego? Dziecinko, bądźże rozsądna! To najbardziej pasjonująca historia od czasu, kiedy Kolumb namówił Izabelę, żeby zastawiła swoje klejnoty. Jedyne, czego się boję, to, że mógłbym spotkać prawdziwego elektryka i...

- Ja natomiast boję się o siebie - przerwała mu Jill. - Dla ciebie to tylko dziennikarska sensacja, a dla mnie to moje życie. Zabiorą mi czepek i wygnają z miasta, jak kiedyś robili z ladacznicami.

- Hmm... Może to i prawda.

- Na pewno prawda.

- Pani, za chwilę zostaniesz przekupiona.

- Ile mi dasz? Zapewnienie mi w miarę przyjemnego życia w Rio będzie cię sporo kosztować.

- Chyba nie sądzisz, że przebiję Associated Press czy Reutersa. Co powiesz na stówę?

- Za kogo ty mnie masz?

- To wiemy obydwójce, teraz dyskutujemy już tylko o cenie. Sto pięćdziesiąt?

- Bądź tak miły i znajdź mi numer Associated Press.

- Kapitał 10-9000. Jill, czy wyjdiesz za mnie za mąż? To najwięcej, ile mogę ci zaoferować.

- Co powiedziałaś? - zapytała ze zdumieniem.

- Czy wyjdiesz za mnie za mąż? Kiedy wygnają cię z miasta jak ladacznicę, będę czekał zaraz za rogatekami i zaopiekuję się tobą, uwalniając cię od nędzy i poniżenia. Wrócimy tutaj, będziesz mogła ochłodzić stopy na mojej, to znaczy, na n a s z e j trawie, i zapomnieć o swej hańbie. Ale najpierw musisz mnie przemycić do jego izolatki.

- Ben, przez chwilę odniosłam wrażenie, że mówisz serio. Czy powtórzysz to, jeśli wezwę Świadka?

Z piersi Caxtona wyrwało się ciężkie westchnienie.

- Możesz wzywać.

Wstała i pocałowała go delikatnie.

- Nie bój się, nie złapię cię za słowo. Ale na przyszłość pamiętaj: rozmawiając ze starą panną nigdy nie żartuj na temat małżeństwa.

- Wcale nie żartowałem.

- Czyżby? Dobra, wytrzymaj sobie szminkę z twarzy, to

opowiem ci wszystko, co wiem, a potem zastanowimy się nad tym, jak mógłbyś to wykorzystać, nie ściągając nieszczęścia na moją głowę. Musisz przyznać, że to uczciwe postawienie sprawy, prawda?

- Chyba tak.

Zrelacjonowała mu ze szczegółami całą historię.

- Jestem pewna, że nie był pod działaniem żadnych środków psychotropowych i nie mam najmniejszych wątpliwości, że był przy zdrowych zmysłach, chociaż jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby ktoś mówił takie dziwne rzeczy i zadawał takie cholerne pytania.

- Byłoby jeszcze dziwniej, gdyby tego nie robił.

- Jak to?

- Jill, niewiele wiemy o Marsie, ale jedno nie ulega najmniejszej wątpliwości: Marsjanie to nie ludzie. Wyobraź sobie, że nagle znaleźliśmy się gdzieś głęboko w dżungli, na przykład wśród plemienia, które nigdy nie widziało butów. Czy potrafiłabyś od razu przyswoić sobie wszystkie niuanse zupełnie obcej kultury? To bardzo odległa analogia, bo prawda jest dziwniejsza o całe czterdzieści milionów mil.

Dziewczyna skinęła głową.

- Sama się tego domyśliłam. Dlatego nie przywiązywałam większej wagi do jego słów. Nie jestem głupia.

- Nie, jesteś nawet dość bystra. Jak na kobietę, rzecz jasna.

- Czy umyć ci głowę zawartością mojego kieliszka?

- Przepraszam. Kobiety są znacznie bardziej inteligentne od mężczyzn, wystarczy się tylko rozejrzeć. Pozwolisz, że ci naleję?

Zgodziła się na zawarcie pokoju.

- Ben, nie rozumiem, dlaczego nie dopuszczają do niego kobiet. Wcale nie jest maniakiem seksualnym.

- Najwidoczniej nie chcą mu aplikować jednocześnie zbyt wielu wstrząsów.

- Wcale nie sprawiał wrażenia wstrząśniętego. Był po prostu... zainteresowany. Nawet nie czułam, że patrzy na mnie mężczyzna.

- Gdybyś zrobiła to, o co poprosił, chyba byś poczuła.

- Nie sądzę. Z pewnością powiedzieli mu o tym, że dzielimy się na kobiety i mężczyzn, i chciał po prostu zobaczyć, na czym polega różnica.

- Vive la difference! - wykrzyknął z entuzjazmem Caxton.

- Nie bądź wulgarny.

- Nie jestem wulgarny, tylko wdzięczny za to, że urodziłem się człowiekiem, a nie Marsjaninem.

- Mógłbyś wreszcie spoważnieć.

- Nigdy w życiu nie byłem poważniejszy.

- W takim razie bądź cicho. Na pewno nie miałabym z nim żadnych kłopotów. Nie widziałeś jego twarzy.

- Co z jego twarzą?

Jill zawahała się przez chwilę.

- Widziałeś kiedyś anioła?

- Tylko ciebie, cherubinku. Poza tym nie.

- Ja też nie, ale... On właśnie tak wyglądał. Miał zupełnie spokojną, nieziemsko niewinną twarz i mądre stare oczy.

Jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

- "Nieziemski" to bardzo dobre słowo - powiedział powoli Ben. - Chciałbym go zobaczyć.

- Ben, dlaczego oni trzymają go w zamknięciu? Przecież nie skrzywdziłby nawet muchy.

Caxton splatał i rozplatał palce.

- Zapewne chcą go chronić. Całe życie spędził w niskiej grawitacji Marsa, więc pewnie jest słaby jak szczeniak.

- Ale to przecież nic groźnego. Stwardnienie rozsiane jest znacznie bardziej niebezpieczne, a przecież jakoś dajemy sobie z nim radę.

- Starają się nie dopuścić do tego, żeby się czymkolwiek zaraził. Tak jak doświadczalne zwierzęta w laboratoriach Notre Dame<sup>1</sup> - jest maksymalnie chroniony.

- Jasne, brak przeciwciał. Ale z tego, co wiem, doktor Nelson - lekarz pokładowy "Championa" - zatroszczył się o to jeszcze w czasie lotu. Ciągłe robił mu transfuzje, tak że w końcu wymienił mu ponad połowę krwi.

- Mogę to wykorzystać, Jill? To niezły przebój.

- Tylko nie powołuj się na mnie. Dostał też szczepionki na wszystko z wyjątkiem lumbago. Ale przecież uzbrojeni strażnicy nie uchronią go przed infekcją...

- Hmm... Jill, dowiedziałem się paru rzeczy, o których ty chyba nie masz pojęcia. Nie mogę ich wykorzystać, bo muszę chronić moich informatorów, ale tobie powiem - tylko nikomu ani słowa!

- W porządku.

- To długa historia. Uzupelnic ci poziom płynu w szklance?

- Nie, chyba lepiej zająć się befsztykiem. Gdzie jest przycisk?

- Tutaj.

- To go naciśnij.

- Ja? Zaofiarowałaś się, że przyrządzisz obiad.

- Ben, umrę z głodu tu, gdzie leżę, ale nie będę wstawać specjalnie po to, żeby nacisnąć guzik, który jest sześć cali od czubka twojego palca.

- Jak chcesz. - Nacisnął przycisk. - Ale nie zapomnij, kto zrobił obiad. A teraz, wracając do Valentine'a Michaela Smitha: istnieją poważne wątpliwości, czy w ogóle ma prawo do tego nazwiska.

- Nie rozumiem...

- Kochanie, twój pupil jest pierwszym w historii międzyplanetarnym bękartem.

- Co ty chrzaniasz?

- Proszę cię, wyrażaj się, jak na damę przystało. Pamiętasz jeszcze cokolwiek o "Envoyu"? Były tam cztery pary. Dwie z nich to kapitan Brant z małżonką i doktor Smith z małżonką. Otóż twój przyjaciel o twarzyczce anioła jest synem pani Smith, ale jego ojcem jest kapitan Brant.

- Skąd o tym wiadomo? A poza tym, kogo to może obchodzić? To obrzydliwe, grzebać się w skandalach sprzed tylu lat. Oni już nie żyją i trzeba ich zostawić w spokoju!

- Jeżeli chodzi o to, skąd o tym wiadomo, to stąd, że chyba jeszcze nigdy w historii nie było ośmiorga ludzi tak dokładnie przebadanych i opisanych. Grupa krwi, czynnik Rh, kolor włosów i oczu, cały bagaż genetyczny - zresztą, wiesz na ten temat więcej ode mnie. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jego matką była Mary Jane Lyle Smith, ojcem zaś Michael Brant. Daje mu to niezłe pochodzenie: ojciec miał IQ 163, matka 170, a w swoich dziedzinach obydwójce byli specjalistami najwyższej klasy. A jeśli pytasz, kogo to obchodzi - ciągnął Ben - zaręczam ci, że całą masę ludzi, a będzie obchodzić jeszcze więcej, kiedy sprawa się rozniesie. Słyszałaś kiedyś o napędzie Lyle?

- Oczywiście. Właśnie taki napęd ma "Champion".

- I każdy inny statek kosmiczny. Kto go wynalazł?

- Nie wiem... Zaraz! Więc to o n a...

- Brawo, cygaro dla pani! Doktor Jane Lyle Smith. Udało się jej to jeszcze przed startem "Envoya", ale szczegóły musieli dopracować inni, więc przed wyruszeniem wyprawy uzyskała odpowiednie patenty i założyła korporację - bynajmniej nie charytatywną - zbierającą wszelkie należne dywidendy. Po pewnym czasie przejął ją rząd, ale teraz należy ona do twego znajomka.

To miliony, a może setki milionów dolarów. Nawet nie będę próbował zgadywać.

Pojawił się obiad. Caxton opuścił spod sufitu dwa stoliki, jeden do swego fotela, a drugi kilka centymetrów nad trawnik, żeby Jill mogła jeść nie zmieniając pozycji.

- Miękkie? - zapytał.

- Wszpaaale - odpowiedziała z pełnymi ustami.

- Dziękuję. Pamiętaj, że to moje dzieło.

- Ben, czy w takim razie Smith nie jest... eee...

nielegalny? - zapytała, przełknąwszy potężny kęs. - Czy on może dziedziczyć?

- Nie jest nielegalny. Doktor Mary Jane pracowała w Berkeley, a kalifornijskie prawo w ogóle nie zna takiego pojęcia jak "bękarstwo". To samo z kapitanem Brantem - Nowa Zelandia to jednak cywilizowany kraj. Z kolei w ojczystym stanie doktora Smitha, męża Mary Jane, dziecko jest uznawane za potomka swych prawnych rodziców niezależnie od tego, z jakiego jest łoża. Jill, w świetle prawa ten człowiek ma troje rodziców!

- Co takiego? Przecież to niemożliwe! Ben, nie jestem prawnikiem, ale...

- Rzeczywiście, nie jesteście. Prawnicy nie przejmują się takimi głupstwami. Smith jest "legalny" na bardzo wiele sposobów, zależnie od tego, według jakiego prawa będziemy chcieli to oceniać, chociaż w rzeczywistości cały czas pozostaje bękartem. W dodatku nie tylko jego matka była bogata - ojcom też nieźle się wiodło. Brant zebrał tę swoją podejrzaną fortunę jako pilot w Lunar Enterprises. Wiesz, na czym to polegało: po prostu ogłosili wypłatę podwójnych dywidend. Brant ryzykował, inwestował i jakoś zawsze wychodził na swoje. Z kolei Ward Smith odziedziczył pieniądze po rodzinie. Teraz Smith dziedziczy po nich obu.

- A niech cię!

- To jeszcze nie wszystko, kochanie. Smith dziedziczy też po całej załodze.

- Jak to?

- Cała ósemka podpisała specjalną klauzulę kontraktu, ustanawiając się nawzajem swoimi spadkobiercami. Podeszli do tego z głową, wzorując się na dokumentach z szesnastego i siedemnastego wieku, których przez tyle lat w żaden sposób nie dało się podważyć. Mieli siłę przebicia, tym bardziej że stawka była niemała. W grę wchodziła nawet znaczna część aktywów Lunar Enterprises, więc niewykluczone, że Smith okaże

się teraz głównym udziałowcem.

Jill pomyślała o tej przypominającej dziecko istocie, która z tak wzruszającym namaszczeniem przyjęła od niej szklanekę wody i poczuła wielkie współczucie.

- Dałbym wiele za to, żeby zerknąć do dziennika pokładowego "Envoya" - mówił dalej Caxton. - Odzyskali go, wiem o tym na pewno, ale wątpię, czy kiedykolwiek opublikują.

- Dlaczego?

- Bo to paskudna historia. Tyle w każdym razie powiedział mi mój informator, zanim wytrzeźwiał. Doktor Ward Smith, który przyjmował poród, zastosował cesarskie cięcie i jego żona zmarła na stole operacyjnym. Sądząc po tym, co zrobił później, wiedział o wszystkim - mianowicie tym samym skalpelem podciął gardło kapitanowi Brantowi, a potem samemu sobie. Przepraszam, kochanie.

Jill otrząsnęła się jak po lodowatym prysznicu.

- Jestem pielęgniarką. Takie rzeczy nie robią na mnie wrażenia.

- Jesteś też kłamczuchą i właśnie za to cię kocham. Służyłem trzy lata w policji, Jill, ale nigdy nie zdołałem się przyzwyczaić do "takich rzeczy".

- Co się stało z resztą załogi?

- Jeżeli nie wydobędziemy tego dziennika na światło dzienne, nigdy się nie dowiemy, a mój wścibski dziennikarski nos mówi mi, że byłoby jednak warto. Za zasłoną tajemnicy rodzą się wielkie tyranie.

- Ben, chyba byłoby najlepiej, gdybyśmy uwolnili go od tych wszystkich spadków. On jest taki... nieziemski.

- Doskonale określenie. Tym bardziej że wcale nie potrzebuje pieniędzy. Wyobrażasz sobie, żeby Człowiek z Marsa chodził głodny i nagi? Każdy rząd, tysiące różnych uniwersytetów i organizacji byłoby zachwyconych, mogąc gościć go tak długo, jak tylko by zechciał.

- Najlepiej, żeby się tego wszystkiego zrzekł i już.

- To nie takie proste, Jill. Pamiętasz tę słynną sprawę General Atomics przeciwko Larkinowi?

- "Precedens Larkina"? Tak, uczyłam się o tym w szkole, jak wszyscy. Co to ma wspólnego ze Smithem?

- Pomyśl. Rosjanie wysyłają pierwszy statek na Księżyc - rozbija się. Stany Zjednoczone i Kanada wysyłają drugi - wraca szczęśliwie, ale nikt nie zostaje na Księżycu. Potem do kolonizacji szykują się z jednej strony Stany i państwa Commonwealthu, a z drugiej Rosjanie, ale wszystkich wyprzedza

General Atomics wysyłając z jakiejś pożyczonej od Ekwadoru wysepki własną ekspedycję. Kiedy na Księżycu zjawiają się Amerykanie, a zaraz za nimi Rosjanie, ludzie z General Atomics już tam są i śmieją im się w nos. Korporacja, niby szwajcarska, ale kontrolowana przez Amerykanów, zgłasza roszczenia do całego Księżyca. Federacja nie mogła położyć na nim łapy, bo wyobrażasz sobie, jak by zaprotestowali Rosjanie. W takiej sytuacji Sąd Najwyższy wydał postanowienie, że Księżyc może stać się własnością wyłącznie osób fizycznych, które na nim są, czyli w tym przypadku Larkina i jego kumpli. Uznano ich za odrębny naród i przyjęto w poczet Federacji; sporo ludzi nieźle się na tym obłowiło, zaś General Atomics i jej siostrzana korporacja Lunar Enterprises uzyskały smakowite koncesje. Z takiego obrotu sprawy nie wszyscy byli zadowoleni, tym bardziej że Sądu Najwyższego bynajmniej nie uznawano powszechnie za niewzruszony autorytet, niemniej jednak takie rozstrzygnięcie stanowiło możliwy do przełknięcia kompromis. Zaraz potem pojawiły się przepisy dotyczące przyszłej kolonizacji planet - wszystkie, rzecz jasna, oparte na precedensie Larkina, bo tylko on zapewniał w miarę bezkrwawe rozstrzygnięcie ewentualnych sporów. Spełniły swoje zadanie, bo przecież III wojna światowa wybuchła bynajmniej nie z powodu nieporozumień w kosmosie. Precedens Larkina obowiązuje do dziś i odnosi się także do Smitha.

Jill potrząsnęła głową.

- Nie widzę związku.

- Skup się, dziewczyno. Według prawa Smith stanowi odrębny naród, a jednocześnie jest jedynym właścicielem planety Mars.

## Rozdział V

Oczy Jill rozmiarami przypominały spodeczki.

- O jedno martini za dużo, Ben. Mogłabym przysiąc, że przed chwilą powiedziałeś, że mój pacjent jest właścicielem Marsa.

- Bo jest. Mieszkał tam wystarczająco długo. Smith to cały Mars: jego król, prezydent, społeczeństwo, co tylko chcesz. Gdyby "Champion" nie zostawił tam kolonistów, jego prawa mogłyby zostać podważone, ale Mars jest cały czas zamieszkały przez ludzi, chociaż nie ma już na nim Smitha. Zresztą nie będzie musiał się z nimi niczym dzielić, bo dopóki nie zechce

nadać im pełnego obywatelstwa, będą po prostu najzwyczajszymi imigrantami.

- Fantastyczne!

- Ale zgodne z prawem. Kochanie, czy teraz już wiesz, dlaczego ludzie interesują się Smithem? I dlaczego rząd trzyma go w ukryciu? To, co z nim robią, jest po prostu nielegalne. Smith jest również obywatelem Federacji i Stanów Zjednoczonych; na obszarze Federacji nawet przestępcy nie wolno przetrzymywać bez zapewnienia mu możliwości kontaktów ze światem zewnętrznym. Nie wspominając już o tym, że zawsze i wszędzie uwięzienie monarchy przybywającego z wizytą i uniemożliwienie mu widzenia się z ludźmi, czy choćby z prasą, czyli ze mną, było i jest uznawane za akt wysoce nieprzyjazny, żeby użyć najłagodniejszego z nasuwających się określeń. Naprawdę mnie tam nie przemycisz?

- Co? Ale mnie nastraszyłeś. Czy ty wiesz, co mi zrobią, jak mnie nakryją?

- Hmm... W każdym razie, nic brutalnego. Opierając się na oświadczeniu podpisanym przez co najmniej trzech lekarzy prawdopodobnie zamknęliby cię w wyściełanej celi i we wszystkie lata przestępne pozwoliliby ci wysyłać i otrzymywać listy. Znacznie bardziej jestem ciekaw, jakie mają plany wobec niego.

- A czego się spodziewasz?

- No, na przykład mógłby umrzeć. Chociażby na chorobę przeciążeniową.

- Mogliby go zamordować?!

- Ciii! Tylko bez brzydkich słów. Nie, nie sądzę, żeby to zrobili. Przede wszystkim dlatego, że jest dla nich prawdziwą kopalnią informacji. Po drugie, stanowi pomost łączący nas z jedyną pozaziemską cywilizacją, jaką udało nam się spotkać. Znasz klasykę? Czytałeś "Wojnę światów" Wellsa?

- Dawno temu, w szkole.

- Załóżmy, że Marsjanie okażą się dla nas niezbyt mili. To całkiem możliwe, a my nie mamy zielonego pojęcia, jakie są ich możliwości. Smith mógłby odegrać rolę mediatora, dzięki któremu nie doszłoby do Pierwszej Wojny Międzyplanetarnej. Oczywiście taka ewentualność jest bardzo mało prawdopodobna, ale mimo to rząd nie chce jej lekceważyć. Odkrycie życia na Marsie jest czymś, czego politycznych konsekwencji w gruncie rzeczy nie udało nam się pojąć do dzisiaj.

- Więc myślisz, że jest bezpieczny?

- Przynajmniej na razie. Sekretarz generalny musi podjąć odpowiednią decyzję. Sama wiesz, że jego administracja ledwo



się trzyma.

- Nie interesuję się polityką.

- A powinnaś. Jest niemal tak ważna, jak bicie twojego serca.

- Tym też się nie interesuję.

- Nie przerywaj mi, kiedy przemawiam. Sklecona naprędce większość, której liderem jest Douglas, może rozpaść się w ciągu jednego dnia. Na przykład Pakistan i tak jest cały czas jedną nogą poza koalicją. Zostanie przegłosowany wniosek o votum nieufności i pan sekretarz generalny Douglas znowu stanie się zwykłym prawnikiem. Człowiek z Marsa może wynieść go na piedestał, ale może też go zniszczyć. Przemycisz mnie?

- Prędzej wstąpię do klasztoru. Zostało ci jeszcze trochę kawy?

- Zaraz zobaczę.

Wstali oboje.

- Och, moje biedne stare kości! - westchnęła Jill przeciągając się. - Przeszła mi ochota na tę kawę.

Jutro mam ciężki dzień. Podrzucić mnie do domu, dobrze?

Albo raczej odeślij, tak będzie bezpieczniej.

- Dobrze, chociaż wieczór jeszcze młody. - Ben wyszedł do sypialni, skąd po chwili wrócił trzymając w ręku przedmiot wielkości małej zapalniczki. - Więc nie przeschmuglujesz mnie do szpitala?

- Ben, naprawdę bardzo bym chciała, ale...

- W porządku. To mogłoby być naprawdę niebezpieczne zresztą nie tylko dla twojej kariery. - Pokazał jej trzymany w dłoni przedmiot. - Założysz mu podsłuch w pokoju?

- Proszę? Co to jest?

- Największe dobrodziejstwo dla szpiegów od czasu wynalezienia Mickey Finna<sup>2</sup>. Miniaturowy magnetofon napędzany sprężyną, więc nie do wykrycia dla aparatury lokalizującej urządzenia elektryczne. Wszystko upchnięte w plastikowej kostce. Można go nawet wyrzucić z jadącego samochodu. Wykazuje aktywność nie większą niż tarcza zegarka, a jest znacznie dokładniej ekranowany. Działa przez dwadzieścia cztery godziny, po czym po prostu wyjmujesz starą taśmę, a zakładasz nową.

- Czy również wybucha? - zapytała nieufnie.

- Mogłabyś go nawet zapiec w cieście.

- Ben, przez ciebie boję się teraz w ogóle tam pójść.

- Ale przecież możesz wejść do pokoju obok, prawda?

- Chyba tak.

- Ta zabaweczka ma nadzwyczajną czułość. Przyklej ją do

ściany, najlepiej zwyczajnym plastrem, a nagra wszystko, co będzie się działo w sąsiednim pomieszczeniu.

- Na pewno zwrócą na mnie uwagę, jeżeli będę ciągle włączyć i wyłączyć z tego pokoju, ale... Ben, ta izolatka ma jedną ścianę wspólną z salką, do której wchodzi się z innego korytarza. Może być?

- Oczywiście. Zrobisz to?

- Hmm... Daj mi go. Jeszcze się zastanowię.

Caxton dokładnie wytarł magnetofon chusteczką.

- Załóż rękawiczki.

- Dlaczego?

- Za posiadanie takiego czegoś dostaje się darmowe skierowanie do sanatorium za kratkami. Dotykaj tego tylko w rękawiczkach i nie daj się złapać.

- Myślisz o samych miłych rzeczach!

- Rezygnujesz?

- Nie - odparła Jill z ciężkim westchnieniem.

- Dzielna dziewczyna!

Mignęła lampka i Ben spojrzał w górę.

- To pewnie twoja taksówka. Wezwałem ją, kiedy poszedłem po to urządzone.

- Och. Poszukaj moich butów, dobrze? I lepiej nie wychodź ze mną na dach. Im rzadziej będziemy się razem pokazywać, tym lepiej.

- Jak chcesz.

Kiedy wyprostował się, założywszy jej pantofle, wzięła jego głowę w obie ręce i pocałowała go.

- Mój kochany Ben! Nic dobrego z tego nie wyjdzie, a poza tym do tej pory nie miałam pojęcia, że jesteś kryminalistą, ale muszę przyznać, że jesteś również znakomitym kucharzem. Oczywiście pod warunkiem, że to ja ustalę, co i jak ma być przyrządzone. Możliwe, że nawet bym za ciebie wyszła, gdyby udało mi się zmusić cię do ponownych oświadczeń.

- Moja propozycja jest cały czas aktualna.

- Czy gangsterzy żenią się ze swoimi ciziami, czy jak tam one się nazywają? - zapytała i czym prędzej uciekła.

Jill nie miała żadnych kłopotów z założeniem podsłuchu. Pacjentka z pokoju, o którym wspomniała, była unieruchomiona w łóżku, więc dziewczyna często zostawała u niej trochę dłużej, żeby umilić jej czas szpitalnymi plotkami. Przykleiła magnetofon do ściany nad zawieszoną wysoko półką, klepiąc bez chwili przerwy o tym, jak to sprzątaczkę nigdy, ale to nigdy nie ścierają kurzu z półek.

Wymiana taśmy następnego dnia również nie nastąpiła żadnych problemów, bo pacjentka po prostu spała. Co prawda, obudziła się właśnie wtedy, kiedy Jill balansowała w dziwnej pozycji na krześle, ale wystarczyło parę pieprznych dowcipów, żeby zapomniała o tym wydarzeniu.

Jill wysłała taśmę pocztą, ponieważ mimo wszystko wydawało się to pewniejsze od jakichś pomysłów w stylu filmów płaszcza i szpady. Natomiast druga wymiana taśmy w magnetofonie o mało nie zakończyła się wpadką. Jill poczekała, aż pacjentka zaśnie, a następnie weszła do pokoju i wdrapała się na krzesło, ale właśnie w tej chwili chora obudziła się.

- Och, panna Boardman!

Jill zamarła w bezruchu.

- Jak się pani miewa, pani Fitschie? Dobrze się spało?

- Nie najgorzej - odpowiedziała kobieta poirytowanym głosem. - Swędzą mnie plecy.

- Zaraz panią podrapię.

- To nic nie da. Czego pani ciągle szuka na mojej półce? Coś nie w porządku?

Jill usiłowała połknąć z powrotem żołądek, który podszedł jej do gardła.

- Myszy - wykrztusiła wreszcie.

- Myszy? O nie, w takim razie muszę dostać inny pokój!

Jill odkleiła magnetofon, schowała go do kieszeni i zeskoczyła na podłogę.

- Po prostu sprawdzałam, czy nie ma tam mysich bobków. Nie ma.

- Jest pani pewna?

- Całkowicie. A teraz podrapujemy panią po plecach. O, tak, proszę się odwrócić...

Wobec takiego rozwoju sytuacji Jill zdecydowała się jednak wykorzystać ów łączący się z izolatką pokój. Jednak kiedy zjawiała się tam z uniwersalnym kluczem, zobaczyła, że drzwi są otwarte, a w środku siedzi dwóch komandosów. Podwojono strażę.

- Szuka siostra kogoś? - zapytał jeden z żołnierzy.

- Nie. Tylko nie siadajcie na łóżku, chłopcy - rzuciła sucho. - Weźcie sobie krzesła, jeśli wam potrzeba.

Żołnierze wstali niechętnie, a ona wyszła, starając się nie okazać zdenerwowania.

Wychodząc z pracy wciąż miała magnetofon w kieszeni; postanowiła zwrócić go Caxtonowi. Odetchnęła swobodniej dopiero, gdy znalazła się w taksówce i podała automatycznemu

pilotowi kurs do hotelu, w którym mieszkał Ben. Połączyła się z nim jeszcze w czasie lotu.

- Tu Caxton.
- Mówi Jill. Ben, muszę się z tobą zobaczyć.
- To chyba nie jest zbyt rozsądne - powiedział powoli.
- Ale ja m u s z ę ! Jestem już w drodze.
- Dobrze więc, skoro nie da się tego uniknąć.
- Jaki entuzjazm!
- Kochanie, to nie dlatego, żebym...
- Na razie!

Wyłączyła się, ochłonęła, po czym postanowiła nie obrażać się na niego. Obydwoje wplątali się w coś, co ich znacznie przerastało. Szczególnie ona - zawsze uważała, że od polityki trzeba się trzymać z daleka.

Kiedy znalazła się w jego ramionach, od razu poczuła się lepiej. Ben był taki kochany; może rzeczywiście powinna wyjść za niego? Otwierała już usta, żeby mu to powiedzieć, ale położył na nich dłoń.

- Nic nie mów - szepnął. - Może być podsłuch.

Skinęła głową, wyjęła z kieszeni magnetofon i podała mu go. Uniósł wysoko brwi, ale o nic nie zapytał, tylko wręczył jej popołudniowe wydanie "Post".

- Czytałeś już to? - zapytał zupełnie naturalnym głosem. - Przejrzyj sobie, a ja tymczasem wezmę prysznic.

- Dzięki.

Podając jej gazetę wskazał jeden z artykułów, a potem wyszedł z pokoju, zabierając ze sobą magnetofon. Artykuł był jego pióra.

## GNIAZDO WRON

Wszyscy wiemy, na czym polega podobieństwo między szpitalem i więzieniem: z obu tych instytucji jest się bardzo trudno wydostać. Jednak pod pewnymi względami więzień jest odcięty od zewnętrznego świata w znacznie mniejszym stopniu niż pacjent - może przecież w każdej chwili wezwać adwokata lub Świadka, powołać się na Habeas Corpus<sup>3</sup>, czy też zażądać, żeby zarzuty wysuwane przeciwko niemu zostały przedstawione w sądzie.

Natomiast w szpitalu wystarczy wywieszka z napisem "ZAKAZ ODWIEDZIN", żeby pacjent został odgradzony od ludzi w sposób znacznie bardziej drastyczny niż doświadczył tego nawet Człowiek w Żelaznej Masce.

Krewni, rzecz jasna, mają do niego dostęp, ale przecież Człowiek z Marsa, o którym tu mowa, nie ma żadnych krewnych. Załoga "Envoya" nie posiadała zbyt licznych rodzin. Jeżeli nawet Człowiek w Żelaznej Masce, to jest, przepraszam, Człowiek z Marsa, ma kogoś blisko z nim spokrewnionego, dla kogo jego los nie byłby obojętny, to doprawdy nie wiem, jak tej osobie udało się ująć uwadze poszukujących ją kilku tysięcy reporterów.

Kto więc zabiera głos w imieniu Człowieka z Marsa? Kto postawił przy nim uzbrojonych strażników? Na jakąż to straszliwą chorobę zapadł, że nie wolno go odwiedzić i zamienić z nim choćby słowa? Pytam o to p a n a, panie sekretarzu generalny. Wyjaśnienia mówiące o "ogólnym osłabieniu" czy "chorobie przeciążeniowej" już nie wystarczają. Gdyby tak było naprawdę, to o pacjenta troszczyłaby się zwykła pielęgniarka, nie zaś uzbrojeni strażnicy.

Czyżby owa tajemnicza choroba była natury finansowej? A może, delikatnie mówiąc, politycznej?...

Dalszy ciąg był utrzymany w podobnym tonie. Ben podjudzał administrację, usiłując sprowokować ją do wyjścia na otwarte pole. Jill zdawała sobie sprawę, że Caxton podejmuje tym samym spore ryzyko, ale nie miała pojęcia o rzeczywistych rozmiarach niebezpieczeństwa, jakie mogło mu grozić, ani o formie, w jakiej mogło się objawić.

Przejrzała całą gazetę, wypełnioną niemal w całości artykułami o "Championie", zdjęciami sekretarza generalnego Douglasa przypinającego medale, wywiadami z kapitanem van Trompem i jego dzielną załogą, a także fotografiami przedstawiającymi Marsjan i ich miasta. O Smithie nie znalazła prawie nic, jeśli nie liczyć lakonicznej wzmianki, że czuje się lepiej i wraca do sił po męczącej podróży.

Zjawił się Ben i wręczył jej plik cieniutkiego papieru.

- Masz tu jeszcze jedną gazetę - powiedział i wyszedł.

"Gazeta" okazała się transkrypcją zawartości pierwszej taśmy. Poszczególne osoby były oznaczone jako "pierwszy głos", "drugi głos", itd., ale Ben tam, gdzie mógł, podpisywał nazwiska, a u góry pierwszej strony napisał: "Wszystkie głosy męskie."

Większość dialogów wskazywała po prostu na to, że Smith był karmiony, myty, masowany oraz że wykonywał niemęczące ćwiczenia fizyczne pod kontrolą głosów, z których jeden został zidentyfikowany jako "dr Nelson", drugi zaś występował po prostu jako "drugi lekarz".

Ale jeden fragment różnił się znacznie od pozostałych.

DR NELSON: - Jak się czujesz, chłopcze? Możesz mówić?

SMITH: - Tak.

DR NELSON: - Pewien człowiek chciałby z tobą porozmawiać.

SMITH (po przerwie): - Kto? (Dopisek Caxtona: Wszystkie wypowiedzi Smitha są poprzedzone pauzami.)

DR NELSON: - Ten człowiek jest naszym wielkim... (niemożliwe do stranskrybowania, gardłowe słowo - marsjańskie?). Jest naszym najstarszym Starym. Porozmawiasz z nim?

SMITH (po bardzo długim milczeniu): - Jestem wielki szczęśliwy. Stary będzie mówić, a ja będę słuchać i rosnać.

DR NELSON: - Nie, nie! On chce ci zadać kilka pytań.

SMITH: - Ja nie mogę uczyć Starego.

DR NELSON: - Stary tego chce. Czy pozwolisz mu zadać sobie kilka pytań?

SMITH: - Tak.

(Hałasy w tle.)

DR NELSON: - Proszę pana tędy. W razie potrzeby doktor Mahmoud będzie służył pomocą jako tłumacz.

Nowy głos (przekreślone i dopisane ręką Bena: sekretarz generalny Douglas!!!).

SEKRETARZ GENERALNY: - Chyba obejdzie się bez tego. Wspominał pan, że Smith zna angielski?

DR NELSON: - Tak i nie, ekscelencjo. Zna sporo słów, ale, jak mówi doktor Mahmoud, nie potrafi ich osadzić we właściwym kontekście kulturowym. Czasem prowadzi to do nieporozumień.

SEKRETARZ GENERALNY: - Och, jestem pewien, że damy sobie jakoś radę. Kiedy byłem młody, przejechałem autostopem całą Brazylię, nie znając ani słowa po portugalsku. Gdyby był pan uprzejmy przedstawić nas, a potem zostawić samych...

DR NELSON: - Wolałbym jednak zostać z moim pacjentem.

SEKRETARZ GENERALNY: - Doprawdy? Przykro mi, doktorze, ale

muszę ponowić moją prośbę.

DR NELSON: - A ja z równą przykrością muszę powtórzyć moją odmowę. Ze względu na etykę zawodową...

SEKRETARZ GENERALNY (przerywając mu): - Jako prawnik wiem to

i owo o odpowiedzialności lekarza, więc niech pan sobie oszczędzi tego bełkotu o "etyce zawodowej". Czy ten pacjent osobiście zwrócił się do pana z prośbą o pomoc?

DR NELSON: - Niezupełnie, ale...

SEKRETARZ GENERALNY: - Czy w ogóle miał możliwość wyboru lekarza? Wątpię. Według prawa znajduje się pod opieką państwa, a ja występuję tutaj de facto jako jego najbliższy krewny. Zresztą, jak się pan wkrótce przekona, nie tylko de facto, ale także de jure. Chcę zostać z nim sam.

DR NELSON (po dłuższym milczeniu, bardzo oschle): - Jeżeli stawia pan sprawę w taki sposób, to ja się wycofuję.

SEKRETARZ GENERALNY: - Niech pan tego nie bierze tak bardzo do siebie, doktorze. W żadnym wypadku nie kwestionuję zasadności i fachowości pańskiej opieki. Ale chyba nie odmówiłby pan matce możliwości porozmawiania sam na sam z jej synem, prawda? Boi się pan, że zrobię mu krzywdę?

DR NELSON: - Nie, ale...

SEKRETARZ GENERALNY: - No więc, o co panu chodzi? Skończmy z

tym wreszcie. Proszę nas przedstawić i wyjść. To zamieszanie może źle wpłynąć na pacjenta.

DR NELSON: - Oczywiście, zaraz to zrobię. Ale potem proszę znaleźć nowego lekarza dla pańskiego... eee... podopiecznego.

SEKRETARZ GENERALNY: - Przykro mi, doktorze, naprawdę mi przykro. Proszę się jeszcze zastanowić. Porozmawiamy o tym później. A teraz, jeśli pan łaskaw...

DR NELSON: - Proszę tutaj. Synu, to jest człowiek, który chce z tobą rozmawiać. Nasz wielki Stary.

SMITH: (Dźwięk nie do stranskrybowania.)

SEKRETARZ GENERALNY: - Co on powiedział?

DR NELSON: - To pełne szacunku powitanie. Według Mahmouda znaczy to "Jestem tylko jajkiem" albo coś w tym rodzaju. W każdym razie ma bardzo przyjazny wydźwięk. Synu, mów człowiek-mowa.

SMITH: - Tak.

DR NELSON: - Jeżeli wolno mi coś doradzić, to proszę używać możliwie prostych słów.

SEKRETARZ GENERALNY: - Och, z pewnością.

DR NELSON: - Do zobaczenia, ekscelecjo. Do widzenia, synu.

SEKRETARZ GENERALNY: - Dziękuję, doktorze. Do widzenia.

(Odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.)

SEKRETARZ GENERALNY: - Jak się czujesz?

SMITH: - Czuję dobrze.

SEKRETARZ GENERALNY: - To znakomicie. Jeśli czegoś potrzebujesz, po prostu powiedz. Chcemy, żeby ci było

dobrze. Aha, miałbym do ciebie małą prośbę. Umiesz pisać?

SMITH: - Pisać? Co to jest pisać?

SEKRETARZ GENERALNY: - Nieważne, wystarczy odcisk palca. Teraz coś ci przeczytam. Będzie tam masa prawniczego żargonu, ale mówiąc po prostu chodzi o to, że opuszczając Marsa zrzekłeś się, to znaczy zrezygnowałeś ze wszystkich swoich ewentualnych roszczeń do tej planety. Rozumiesz? Że przekazujesz ją pod opiekę rządu.

(Smith milczy.)

SEKRETARZ GENERALNY: - Dobra, spróbujmy od innej strony. Mars nie jest twoją własnością, prawda?

SMITH: - Nie rozumiem.

SEKRETARZ GENERALNY: - Hmm... Więc może tak: chcesz tutaj zostać, prawda?

SMITH: - Nie wiem. Przysłali mnie Starzy. (Długa, niemożliwa do stranskrybowania przemowa, coś jakby odgłosy walki żaby-giganta ze stadem kotów.)

SEKRETARZ GENERALNY: - Do licha, powinni go nauczyć trochę lepiej angielskiego. Synu, nie masz się czego obawiać.

Wystarczy, że odciśniesz kciuk o tu, na dole tej strony. Podaj mi prawą rękę. Ejże, nie wykręcaj jej tak! Uspokój się! Nic ci nie zrobię!... Doktorze! Doktorze Nelson!

DRUGI LEKARZ: - Tak?

SEKRETARZ GENERALNY: - Proszę wezwać doktora Nelsona!

DRUGI LEKARZ: - Doktora Nelsona? Ależ on już poszedł.

Powiedział, że pan go zwolnił.

SEKRETARZ GENERALNY: - Tak powiedział? Niech go szlag trafi! No, niech pan coś robi! Sztuczne oddychanie, zastrzyk, wszystko jedno co, tylko niech pan tak nie stoi! Nie widzi pan, że ten człowiek umiera?

DRUGI LEKARZ: - Nie sądzę, żebym mógł coś pomóc. Po prostu trzeba poczekać, aż sam z tego wyjdzie. W każdym razie tak właśnie postępował doktor Nelson.

SEKRETARZ GENERALNY: - Niech diabli porwą doktora Nelsona!

Ani głos sekretarza generalnego, ani doktora Nelsona już się więcej nie pojawiły. Z plotek, jakie do niej docierały, Jill dowiedziała się, że Smith istotnie zapadł w jeden ze swoich kataleptycznych transów.

"Lista dialogowa", jaką trzymała przed sobą, zawierała jeszcze dwie wypowiedzi. Jedna z nich brzmiała: "Nie musisz szeptać, on i tak nic nie słyszy." Druga zaś: "Zabierz tę tacę.



Nakarmimy go, jak dojdzie do siebie."

Jill właśnie kończyła czytać, kiedy do pokoju wszedł Ben. Niósł kolejny plik papierów, ale nie podał jej, tylko zapytał:

- Jesteś głodna?
- Chyba zaraz umrę.
- W takim razie chodźmy coś upolować.

W drodze na dach hotelu i podczas lotu taksówką nie zamienili ani słowa. Na Platformie Aleksandryjskiej przesiadli się do innego wozu; Ben wybrał jedyny o rejestracji z Baltimore. Gdy wznieśli się w powietrze, podał kurs na Hagerstown w stanie Maryland i dopiero wtedy wyraźnie się rozluźnił.

- Teraz możemy porozmawiać.

- Ben, po co ta tajemniczość?

- Przepraszam, kocia łapko. Nie mogę stwierdzić z całą pewnością, że zainstalowali u mnie podsłuch, ale skoro ja mogłem im to zrobić, to oni mi też. Tak samo nie dam głowy za to, że taksówka, którą wezwałem z mieszkania, miała zainstalowany dodatkowy mały mikrofonik, ale tak mogło być. Ludzie ze służb specjalnych potrafią być czasem bardzo wścibscy. Ale ten wóz... - Poklepał miękkie obicie siedzeń. - Nie mogą przecież "przygotować" tysięcy taksówek. Taka wybrana na chybił trafił jest najbezpieczniejsza.

Ciałem Jill wstrząsnął dreszcz.

- Ben, nie myślisz chyba, że mogliby... - zawiesiła głos.

- Dobrze sobie, oczywiście, że myślę! Przecież czytałaś mój artykuł. Od ukazania się tego wydania minęło już ponad dziewięć godzin. Nie sądzisz chyba, że władze pozwolą, żebym kopał je w brzuch, nie próbując mi się zrewanżować?

- Ale przecież ty zawsze występowałeś przeciwko nim.

- Owszem, lecz teraz to zupełnie co innego. Tym razem oskarżyłem ich o przetrzymywanie więźnia politycznego. Jill, rząd funkcjonuje tak samo, jak każdy żywy organizm i dlatego podstawowym instynktem, jakim kieruje się w działaniu, jest instynkt przetrwania. Jeśli uderzasz, on natychmiast odpowiada uderzeniem. A tym razem ja go n a p r a w d ę uderzyłem. - Po chwili milczenia dodał: - Tylko nie powinienem był mieszać do tego ciebie.

- Nie boję się. No, przynajmniej od chwili, kiedy oddałam ci to urządzone.

- Wszyscy wiedzą, że w taki czy inny sposób jesteś ze mną związana. Kiedy sytuacja stanie się nieciekawa, nie będzie

trzeba nic więcej.

Jill zamilkła. Trudno jej było uwierzyć, że ona, która nigdy nie doświadczyła niczego przykrzejszego niż kilka klapsów jako dziecko czy parę szorstkich słów jako dorosła kobieta, teraz mogła znajdować się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Będąc pielęgniarką stykała się nieraz z ofiarami czyjejś bezwzględności, ale uważała, że jej nic takiego nie ma prawa się przydarzyć.

Odezwała się dopiero wtedy, kiedy taksówka zaczęła schodzić do lądowania.

- Ben? A jeśli on umrze? Co wtedy?

Zmarszczył brwi.

- To dobre pytanie. Jeżeli nie ma więcej pytań, wszystkie dzieci mogą iść do domu.

- Nie wygłupiaj się.

- Hmm... Jill, nie spałem przez ostatnie kilka nocy, próbując sobie na nie odpowiedzieć. Oto najlepsze, co wymyśliłem: w chwili śmierci Smitha wygasają jego prawa do Marsa. Jednocześnie koloniści z "Championa" zgłaszają swoje roszczenia, na pewno uzgodnione z administracją jeszcze przed wyruszeniem wyprawy. Co prawda, "Champion" stanowi własność całej Federacji, ale wcale nie jest wykluczone, że wszystkie nici trzyma w ręku nie kto inny, tylko sekretarz generalny Douglas. Gdyby sytuacja rozwinęła się właśnie w taki sposób, byłby nie do ruszenia przez wiele lat, choć równie dobrze mogłoby to nie mieć żadnego znaczenia.

- Dlaczego?

- Sąd wcale nie musi oprzeć się na precedensie Larkina. Księżyc nie był zamieszkały, ale Mars był - przez Marsjan. W chwili obecnej pod względem prawnym Marsjanie są absolutnym zerem, ale Sąd Najwyższy mógłby zdecydować, że pojawienie się ludzi na planecie zamieszkałej wcześniej przez inną rasę z prawnego punktu widzenia nic nie zmienia. Prawo do Marsa mógłby sobie rościć wyłącznie Marsjanin.

- Ben, to i tak byłaby niesamowita sprawa. Jeden człowiek, posiadający na własność całą planetę... To fantastyczne!

- Nie używaj tego słowa w obecności prawników. Na studiach uczą ich tylko czepiania się drobiazgów, natomiast rzeczy naprawdę wielkie nie robią na nich żadnego wrażenia. Poza tym istnieje przecież precedens: w piętnastym wieku papież podzielił zachodnią półkulę między Hiszpanię i Portugalię, a nikt jakoś nie przejął się za bardzo tym, że przecież te ziemie należały wcześniej do Indian, mających

własne prawa, zwyczaje i sposób życia. Decyzja papieża weszła w życie. Popatrz na mapę i zwróć uwagę, gdzie do dzisiaj mówi się po hiszpańsku, a gdzie po portugalsku.

- Tak, ale... Ben, przecież nie żyjemy w piętnastym wieku!

- O tym zadecydują prawnicy. Jill, jeżeli Sąd Najwyższy postanowi, że w tej sprawie można powołać się na precedens Larkina, Smith będzie mógł rozdawać koncesje warte miliony, a nawet miliardy. Gdyby zrzekł się swoich praw na rzecz rządu, wtedy na wszystkim łapę położy Douglas.

- Po co komuś aż tak wielka władza?

- A dlaczego ćmę ciągnie do światła? Zresztą, niemal równie ważna jak finanse Smitha jest jego pozycja nominalnego władcy Marsa. Sąd Najwyższy może nie uznać jego prawa własności, ale nikt nie odbierze mu udziału w dochodach z napędu Lyle i Lunar Enterprises. A gdyby umarł? Od razu pojawiłyby się setki krewnych, ale Fundacja Naukowa zdążyła już się nauczyć, jak się takich "krewnych" odprawia z kwitkiem. Całkiem możliwe, że gdyby Smith umarł nie pozostawiając testamentu, to cała jego fortuna przeszłaby na własność państwa.

- Masz na myśli Federację?

- Kolejne pytanie, na które nie znam odpowiedzi. Co prawda, jego rodzice pochodzili z dwóch krajów należących do Federacji, on jednak urodził się poza nią... A to dla ludzi opiekujących się spadkiem po jego rodzicach nabrałoby z pewnością ogromnego znaczenia. Dla Smitha raczej nie - nie odróżniłby pełnomocnictwa od biletu do metra. Coś mi się zdaje, że wszystko zgarnie ten, kto pierwszy go dopadnie i znajdzie sposób, żeby wykorzystać sytuację. Wątpię, czy Lloyd zechciałby ubezpieczyć go od następstw nieszczęśliwego wypadku. Dla instytucji ubezpieczeniowej byłby to naprawdę marny interes.

- Biedny dzieciak!

## Rozdział VI

Restauracja w Hagerstown miała to, co nazywa się "atmosferą": część stołów była ustawiona na trawniku schodzącym łagodnie do jeziora, część zaś wśród gałęzi trzech ogromnych drzew. Jill chciała jeść na drzewie, ale Ben dał w łapę maitre d'hotel i ten specjalnie dla nich ustawił stolik tuż nad brzegiem jeziora. Ben zażądał dodatkowo, żeby przyniesiono im

odbiornik stereowizji.

Jill nie kryła rozczarowania.

- Po co płacić takie straszne pieniądze, jeżeli nawet nie możemy zjeść czegoś na drzewie, a w dodatku musimy się gapić w to cholerne pudło?

- Cierpliwości, moja mała. Przy tamtych stołach są zainstalowane mikrofony, żeby można było wezwać kelnera. Ten prawie na pewno nic takiego nie ma, bo kelner wziął go spośród kilku rezerwowych. Co zaś tyczy się stereowizji, to nie tylko, że nie jest po amerykańsku i można jeść nie gapiąc się w ekran, ale przy okazji można wykorzystać fakt, że hałas z pewnością zakłóci odbiór z mikrofonu kierunkowego. Oczywiście zakładając, że ludzie pana Douglasa zechcą się nami aż tak bardzo interesować.

- Naprawdę myślisz, że nas śledzą? - zapytała Jill. - Chyba nie nadaję się do roli przestępcy.

- To naprawdę nic strasznego. Kiedy zajmowałem się skandalem w General Synthetics, nigdy nie spałem w jednym miejscu więcej niż dwa razy pod rząd i odżywiałem się wyłącznie konserwami. Z czasem można to polubić. Przyspiesza przemianę materii.

- Na moją dobrą przemianę wpłynąłby zamożny pacjent w podeszłym wieku.

- Nie chcesz za mnie wyjść, Jill?

- Będę chciała, kiedy już wyślę na tamten świat mojego przyszłego męża. Może zresztą stanę się wtedy tak bogata, że będę cię mogła trzymać jako zwierzątko domowe?

- Zaczynaj już dzisiaj.

- Nic z tego. Dopiero wtedy, jak tamten wykorkuje.

Program rozrywkowy, atakujący w trakcie obiadu ich bębrenki nielitościwym strumieniem decybeli, został nagle przerwany. W odbiorniku pojawiła się głowa spikera, który uśmiechnął się szeroko i powiedział:

- SSS, Światowa Sieć Stereowizyjna i jej sponsor, Cukierki Maltuzjańskie<sup>4</sup>, Sp. z o. o., mają przyjemność oddać czas antenowy rządowi Federacji. Pamiętajcie, dziewczęta, każda z was ssie cukierki maltuzjańskie - wygodne, smaczne, niezawodne, dostępne bez recepty. Po co ryzykować, stosując przestarzałe, nieestetyczne, szkodliwe i niepewne sposoby? Po co ryzykować utratę jego miłości i szacunku? - Drapieżnie rozkoszny spiker spojrział gdzieś w bok, po czym pośpiesznie dokończył: - Oto mądra dziewczyna, która stosuje cukierki maltuzjańskie. Zaraz po niej przed kamerami wystąpi sam sekretarz generalny!

Pojawiła się trójwymiarowa młoda kobieta, tak zmysłowa, piersiasta i uwodzicielska, że każdy mężczyzna po prostu musiał nagle poczuć niedosyt, spoglądając na znajdującą się akurat u jego boku partnerkę. Dziewczyna przeciągnęła się i wyszeptała łóżkowym głosem:

- Ja n i g d y nie rozstaję się z cukierkami maltuzjańskimi!

Obraz rozplynał się, a w chwilę potem zabrzmiały dźwięki hymnu "Chwała wiecznemu pokojowi".

- A ty ssiesz te cukierki? - zapytał Ben.

- Nie twój interes! - parsknęła Jill, po czym dodała: - To oszukaństwo. A poza tym, skąd wiesz czy ja tego potrzebuję?

Caxton nic nie odpowiedział, bo odbiornik wypełnił się ojcowskimi rysami sekretarza generalnego Douglasa.

- Przyjaciele! - zaczął. - Współobywatele Federacji! Spotyka mnie dzisiaj niezwykły zaszczyt i wyróżnienie. Od chwili powrotu naszego wspaniałego "Championa"...

Douglas przez dłuższy czas gratulował mieszkańcom Ziemi zakończonej sukcesem próby nawiązania kontaktu z rasą żyjącą na innej planecie, dając zręcznie do zrozumienia, że sukces ten został osiągnięty przy osobistym współdziałaniu każdego z ludzi i że w gruncie rzeczy każdy z nich mógłby stać na czele ekspedycji, gdyby nie to, że akurat miał coś innego do roboty, oraz że on, sekretarz generalny, był jedynie posłusznym instrumentem realizującym ich wolę. Ogólna wymowa wypowiedzi była

taka, że przeciętny obywatel jest równy innym, będąc jednocześnie niemal od wszystkich lepszym, i że stary dobry Joe Douglas stanowi uosobienie takiego właśnie przeciętnego człowieka. Jego wymięty krawat i równiutko przylizane włosy miały to wrażenie potwierdzać.

Ben zastanawiał się, kto mógł mu to napisać. Najprawdopodobniej Jim Sanforth, który z całego sztabu Douglasa miał największe wyczucie w dobieraniu kojących przymiotników, mile łechcących uszy słuchaczy. Zanim zabrał się za politykę, pisywał teksty reklamówek i nie miał żadnych skrupułów. Tak, ten kawałek o "dłoniach kołyszących dziecko" z całą pewnością wyszedł spod jego pióra. Jim był jednym z tych mężczyzn, którzy potrafią uwieść każdą dziewczynę, mając jako przynętę choćby jeden cukierek.

- Wyłącz to! - zażądała Jill.

- Ciii, malutka. Muszę go wysłuchać.

- ...i tak oto, przyjaciele, mam zaszczyt przedstawić wam

naszego współobywatela Valentine'a Michaela Smitha, Człowieka z Marsa! Mike, wiemy, że jesteś zmęczony i ostatnio nie najlepiej się czułeś, ale czy mógłbyś powiedzieć parę słów do swoich przyjaciół?

Na ekranie pojawiło się półzbliżenie człowieka siedzącego w wózku inwalidzkim. Z jednej jego strony stał ojcowski Douglas, a z drugiej sztywno wyprostowana, niezwykle fotogeniczna pielęgniarka.

Jill ze zdumienia wciągnęła głośno powietrze.

- Cicho! - szepnął Ben.

Gładka, dziecinna twarz człowieka siedzącego w fotelu rozjaśniła się w nieśmiałym uśmiechu. Spojrzał prosto w kamerę i powiedział:

- Witajcie. Wybaczcie, że siedzę. Jestem jeszcze trochę osłabiony.

Mówił z wyraźną trudnością; pielęgniarka nachyliła się nad nim, żeby zbadać tętno.

Odpowiadając na pytania Douglasa Człowiek z Marsa prawił komplementy kapitanowi van Trompowi i jego załodze, dziękował za ratunek i podkreślał, że wszyscy na Marsie są szalenie podekscytowani spotkaniem z Ziemianami, i że on osobiście ma nadzieję przyczynić się do nawiązania przyjacielskich kontaktów między obiema planetami. Pielęgniarka chciała już przerwać rozmowę, ale Douglas zapytał łagodnie:

- Mike, czy możesz nam odpowiedzieć na jeszcze jedno pytanie?

- Oczywiście, panie Douglas. Jeżeli tylko będę potrafił.

- Co sądzisz o ziemskich dziewczętach?

- Ooo!

Na nagle zaróżowionej, dziecięcej twarzy pojawił się ekstatyczny uśmiech. Kamerzysta zrobił zbliżenie głowy i ramion sekretarza generalnego.

- Mike prosił mnie, bym wam przekazał - kontynuował ojcowskim tonem Douglas - że wróci do was, jak tylko będzie mógł. Sami rozumiecie, najpierw musi nabrać trochę sił. Być może, zobaczycie go już za tydzień, o ile lekarze uznają, że mu to nie zaszkodzi.

Pojawiła się kolejna reklamówka cukierków maltuzjańskich; wynikało z niej jednoznacznie, że dziewczyna, która ich nie zażywa, jest nie tylko niespełna rozumu, ale w pewnym sensie stanowi nawet zagrożenie dla otoczenia i na jej widok każdy mężczyzna przejdzie bezzwłocznie na drugą stronę ulicy. Ben zmienił kanał, po czym odwrócił się do Jill i powiedział

ponuro:

- No, wygląda na to, że mogę podrzeć jutrzejszy artykuł. Douglas ma go w swoich łapach.

- Ben!

- Słucham?

- To nie jest Człowiek z Marsa!

- Co takiego? Dziecino, jesteś pewna?

- Jest do niego podobny, ale to na pewno nie ten pacjent, którego widziałam w izolatce.

Ben zwrócił jej uwagę, że przecież Smitha widziało już dziesiątki ludzi - strażnicy, pielęgniarki, lekarze, kapitan i załoga "Championa". Być może, także i inni. Część z nich z całą pewnością oglądała program. Administracja od samego początku musiałaby się liczyć z tym, że niektórzy zauważą oszustwo. To nie miało sensu - ryzyko było zbyt duże.

W odpowiedzi Jill hardo wysunęła dolną wargę i upierała się, że to na pewno nie był człowiek, z którym rozmawiała w szpitalu.

- Dobrze, niech będzie po twojemu! - prychnęła wreszcie ze złością. - Mężczyźni!

- Ależ, Jill...

- Odwieź mnie do domu.

Ben wyszedł zamówić taksówkę. Nie wezwał jej z restauracji, tylko poszedł na znajdujące się nieopodal lądowisko. W drodze powrotnej Jill nie odezwała się ani słowem, natomiast Ben wyciągnął z teczki dialogi spisane z taśmy i przeczytał je uważnie jeszcze raz. Skończywszy zastanowił się przez chwilę, po czym powiedział:

- Jill?

- Tak, panie Caxton?

- Ja ci dam pana! Przepraszam cię. Nie miałem racji.

- W jaki sposób doszedłeś do tego wniosku?

Klepnął dłonią w leżący na kolanach plik papierów.

- Sądząc po tym, jak zachowywał się jeszcze wczoraj, to nie mógł być on. W tak stresowej sytuacji z całą pewnością zapadłby w trans.

- Cieszę się, że wreszcie zacząłeś zwracać uwagę na oczywiste rzeczy.

- Czy byłabyś uprzejma kopnąć mnie raz, ale dobrze, a potem zostawić w spokoju? Czy wiesz, co to oznacza?

- Że posłużyli się jakimś aktorem. Powiedziałam ci to już godzinę temu.

- Zgadza się. Zupełnie niezły aktor. Ale tu chodzi o

coś więcej. Według mnie istnieją dwie możliwości: albo Smith nie żyje i...

- Mój Boże, nie żyje!

Jill przypomniała sobie tajemniczą ceremonię dzielenia się wodą i nagle niemal poczuła obok siebie obecność dziwnej, niemożliwej do opisanego słowami, osobowości Smitha.

- Kto wie? Jeżeli mam rację, to dubler pozostanie przy życiu tylko tak długo, jak długo będą go potrzebować. Potem "umrze" i zostanie wywieziony z miasta z tak silnie uwarunkowanym zakazem mówienia o całej sprawie, że dostałby ataku astmy, gdyby próbował na ten temat pisnąć choćby słowo. Kto wie, może nawet zrobiliby mu lobotomię? Jeżeli Smith rzeczywiście jest martwy, to właściwie możemy od razu zająć się czymś innym, bo nigdy nie uda nam się dowieść prawdy. Dlatego lepiej załóżmy, że jednak żyje.

- Och, mam nadzieję!

- "Czym Hekuba dla ciebie lub ty dla Hekuby?" - zacytował niedokładnie Caxton. - Jeżeli żyje, to i tak może się jeszcze okazać, że w tej sprawie nie ma nic nieczystego. Przecież ważne osobistości bardzo często korzystają z usług dublerów. Może za dwa lub trzy tygodnie nasz przyjaciel Smith będzie już w na tyle dobrym stanie, że zdecydują się go pokazać publiczności, chociaż, szczerze mówiąc, diabelnie w to wątpię.

- Dlaczego?

- Rusz mózgowicę, kociaczkę. Douglasowi już raz nie udało się wyciągnąć od niego tego, co chciał. Ponieważ jednak ta sprawa nie może zostać nie załatwiona, Douglas schowa zapewne Smitha tak głęboko, że nikt go nie znajdzie. Nigdy nie będzie nam dane ujrzeć prawdziwego Człowieka z Marsa.

- Uważasz, że go zabije?

- Po co być aż tak brutalnym? Wystarczy, że umieści go w jakimś prywatnym domu opieki i nie pozwoli kontaktować się z nikim z zewnątrz.

- O, Boże! Ben, co robić?

Caxton skrzywił się.

- Na razie to oni ustalają reguły gry, ale mam zamiar zjawić się tam w towarzystwie Świadka i prawnika i zażądać widzenia ze Smithem. Może uda mi się wyciągnąć tę sprawę na światło dzienne.

- Będę z tobą!

- Jeszcze czego. Sama powiedziałaś, że to może zniszczyć twoją karierę.



- Przecież potrzebujesz mnie, żebym go zidentyfikowała.

- Kiedy już stanę z nim twarzą w twarz będę potrafił poznać, czy to tylko zręczny aktor, czy naprawdę ktoś, kto całe życie spędził wśród istot zupełnie innych niż ludzie. Gdyby jednak coś miało się nie udać, będziesz moim ukrytym atutem - wiesz, że próbują bawić się z nami w chowanego, a w dodatku masz dostęp do Bethesda Center. Kochanie, jeżeli słuch o mnie zaginie, możesz działać na własną rękę.

- Ben, oni chyba nie zrobią ci nic złego?

- Maluchu, tym razem walczę trzy kategorie wyżej, niż wynikałoby to z mojej wagi.

- To mi się wcale nie podoba. Co masz zamiar zrobić, kiedy już uda ci się do niego dotrzeć?

- Zapytam go, czy chce wyjść ze szpitala. Jeżeli powie, że tak, to od razu go zabiorę. W obecności Świadka nie odważą się nas zatrzymać.

- A co potem? Ciągle jeszcze potrzebuje opieki lekarskiej. Ben, on naprawdę nie potrafi się o siebie zatroszczyć. Caxton ponownie się skrzywił.

- Myślałem już o tym. Moglibyśmy na przykład umieścić go w moim mieszkaniu i...

- ...i ja bym się nim opiekowała. Zrobmy tak!

- Powoli, powoli. Douglas z całą pewnością coś by wykombinował, żeby Smitha z powrotem zamknąć w klatce. Nas zresztą też. - Zmarszczył brwi. - Ale znam kogoś, komu mogłoby to ująć na sucho.

- Kogo?

- Wiesz, kto to jest Jubal Harshaw?

- A kto nie wie?

- To właśnie jedna z jego zalet: wszyscy go znają. Dzięki temu nie można go sobie podporządkować. Jest jednocześnie lekarzem i prawnikiem, a to czyni go podwójnie uodpornionym. A co najważniejsze, jest tak wielkim indywidualistą, że gdyby tylko miał ochotę, stanąłby ze scyzorykiem w ręku przeciwko całej Federacji. To zwiększa jego wartość jeszcze ośmiokrotnie. Poznałem go podczas jakiegoś procesu o zniesławienie; jest przyjacielem, na którego zawsze można liczyć. Jeżeli uda mi się wyciągnąć Smitha z Bethesda Center, zabiorę go do Harshawa w Góry Pocono. Niech rządowe pieski usiłują go stamtąd wyszarpać!

## Rozdział VII

Jill przejęła dyżur dziesięć minut wcześniej niż wynikało z jej rozkładu zajęć. Obiecała Benowi, że nie będzie ingerować w jego próbę skontaktowania się ze Smithem, ale chciała być możliwie blisko. Niewykluczone, że będą mu potrzebne posiłki.

Żołnierze zniknęli z korytarza. Dzięki tackom z lekami i pacjentom czekającym na operacje, przez następne dwie godziny Jill nie miała na nic czasu; zdołała tylko w przelocie nacisnąć klamkę w drzwiach do pokoju K-12. Były zamknięte, podobnie jak te prowadzące do minipoczekalni. Korzystając z nieobecności strażników miała zamiar wśliznąć się właśnie przez to pomieszczenie, ale musiała na razie z tego zrezygnować, miała zbyt wiele do roboty. Niemniej jednak starała się przyglądać uważnie wszystkim osobom pojawiającym się na jej piętrze.

Ben się nie pokazał. Wzięta dyskretnie na spytki koleżanka także nie widziała, żeby ktoś wchodził do pokoju K-12. Jill trochę to zdziwiło; Ben nie ustalał dokładnie czasu, ale miał zamiar przypuścić szturm możliwie wcześnie rano.

Musiała sprawdzić, co się dzieje. Korzystając z chwili spokoju zapukała do drzwi pomieszczenia, w którym przebywał lekarz sprawujący opiekę nad Smithem, wsadziła do środka głowę i udała lekkie zdziwienie.

- Och! Dzień dobry, doktorze. Myślałam, że jest tu doktor Frame.

Lekarz siedzący przy konsolcie obejrzał ją od stóp do głów i twarz rozpromieniła mu się szerokim uśmiechem.

- Nie widziałem go dzisiaj, siostró. Jestem doktor Brush. Mogę w czymś pomóc?

Widząc typowo męską reakcję Jill nieco się odprężyła.

- Och, to nic takiego. Jak się miewa Człowiek z Marsa?

- Proszę?

Uśmiechnęła się.

- Tutaj to nie tajemnica, doktorze. Pański pacjent... -

Nie dokończyła, pokazując ruchem głowy w stronę sąsiedniego pokoju.

- Że co? - Lekarz sprawiał wrażenie mocno dezorientowanego. - To jego t u t a j trzymają?

- Jak to, czyżby go nie było?

- Nie, z dokładnością do sześciu miejsc po przecinku. To pani Rose Bankerson, pacjentka doktora Garnera. Przenieśliśmy

ją z samego rana.

- Naprawdę? A co się stało z Człowiekiem z Marsa?

- Nie mam pojęcia. Naprawdę straciłem okazję, żeby zobaczyć z bliska Valentine'a Smitha?

- Był tu jeszcze wczoraj.

- Chyba tylko ja mogłem mieć takiego pecha! Niech siostra zobaczy, co mi się dostało.

Włączył monitor, na którym pojawił się obraz z kamery zainstalowanej w sąsiednim pokoju. W łóżku leżała drobna, stara kobieta.

- Co jej jest?

- Hmm... Gdyby nie to, że ta pani ma dużo za dużo pieniędzy, nazywałoby się to po prostu demencją starczą. A tak leży tutaj, czekając końca i ostatecznej diagnozy.

Jill porozmawiała jeszcze chwilę z lekarzem, a potem pod pierwszym lepszym pretekstem wyszła z dyżurki. Sprawdziła w książce oddziału - to, co powiedział lekarz, zgadzało się: "V. M. Smith, K-12, przen." A pod spodem: "Do K-12 Rose S. Bankerson, dr Gardner, dieta bez żadn. dod."

Dlaczego przenosiny odbyły się w nocy? Zapewne żeby uniknąć niepotrzebnych świadków. Ale dokąd go zabrali? Normalnie zadzwoniłaby po prostu do izby przyjęć, ale po rozmowie z Benem i sfalszowanym wywiadzie w stereowizji zrobiła się trochę przewrażliwiona. Postanowiła poczekać i spróbować dowiedzieć się czegoś ze źródeł nieoficjalnych.

Przede wszystkim jednak poszła do automatu telefonicznego i spróbowała połączyć się z Benem. W redakcji powiedziano jej, że pan Caxton wyjechał z miasta. W pierwszej chwili zaniemówiła ze zdumienia, ale zdołała się jakoś wziąć w garść i poprosiła, żeby przekazano mu informację o jej telefonie.

W domu nie było go również, nagrała więc prośbę, żeby natychmiast się z nią skontaktował.

\*

Ben Caxton nie marnował czasu. Zatrudnił samego Jamesa Olivera Cavendisha. Wprawdzie wystarczyłby jakikolwiek Świadek, ale Cavendish cieszył się taką reputacją, że w sprawach, w których występował, sędzia był już właściwie niepotrzebny. Zaawansowany wiekiem dżentelmen zeznawał wielokrotnie przed Sądem Najwyższym, niektóre zaś z krążących o nim plotek mówiły, że łączna suma kwot zawartych w testamentach powierzonych jego pamięci sięgała wielu miliardów. Był uczniem wielkiego doktora Samuela Renshawa, natomiast trening hipnotyczny odebrał jako członek

Kryształowej Fundacji. Za jeden dzień pracy żądał więcej niż Ben zarabiał przez tydzień, lecz Caxton miał nadzieję, że wszystkie koszty pokryje gazeta. Do tego zadania nawet najlepszy Świadek nie był wystarczająco dobry.

Ben najpierw wstąpił po młodszego Frisby'ego z kancelarii adwokackiej "Biddle, Frisby, Frisby, Biddle & Reed", potem zaś po Cavendisha. Szczupła postać Świadka, spowita w białą szatę stanowiącą znak jego profesji, nasunęła Benowi skojarzenia ze Statuą Wolności. Wcześniej Caxton zapoznał ze swoimi zamiarami Frisby'ego (zdaniem adwokata podejrzenia opierały się na wyjątkowo kruchych podstawach), żeby w obecności Świadka, tak jak wymagały tego przepisy, nie mówić o tym, co ten miał dopiero zobaczyć i usłyszeć.

Taksówka wysadziła ich przy Bethesda Center. Udali się od razu do biura dyrekcji, gdzie Ben pokazał swoją legitymację i zapytał, czy mógłby widzieć się z dyrektorem.

Siedząca za biurkiem kobieta zapytała wyniośle, czy był umówiony, na co Ben musiał przyznać, że nie.

- W takim razie ma pan bardzo wątpliwe szanse, żeby porozmawiać z doktorem Broemerem. O jaką sprawę chodzi?

- Proszę mu powiedzieć - powiedział Ben na tyle głośno, żeby usłyszeli go wszyscy znajdujący się w pobliżu - że Caxton, ten od "Gniazda wron", przyszedł ze Świadkiem i prawnikiem, żeby przeprowadzić wywiad z Valentine'em Michaelem Smithem, Człowiekiem z Marsa.

Zaskoczył tym sekretarkę, która jednak szybko się opanowała i odparła lodowatym tonem:

- Przekażę mu to. Zechcą panowie usiąść.

- Dziękuję, poczekamy tutaj.

Frisby wyciągnął cygaro, Ben przechadzał się nerwowo, natomiast Cavendish czekał z cierpliwym spokojem kogoś, kto widział już wszystko co dobre i złe na tym świecie. Wreszcie Królowa Śniegu wróciła i oznajmiła:

- Przyjmie panów pan Berquist.

- Berquist? Gil Berquist?

- Pan Gilbert Berquist.

Caxton zastanowił się szybko; Gil Berquist był jednym z całego zastępu popychadeł Douglasa, oficjalnie nazywanych jego "asystentami".

- Nie interesuje mnie Berquist. Chcę rozmawiać z dyrektorem.

Ale Berquist był już przy nich, z wyciągniętą ręką i szerokim uśmiechem na twarzy.

- Benny Caxton! Jak się masz, brachu! Ciągłe pisujesz te łożawe historyjki? - Zerknął szybko na Świadka.

- Ciągłe. Co tu robisz, Gil?

- Jeżeli kiedykolwiek uda mi się opuścić służbę państwową, też zafunduję sobie stałą kolumnę w jakiejś gazecie. To musi być bosko przeteleksować rano kilkaset słów jakichś plotek, a potem robić przez resztę dnia, co dusza zapragnie. Zazdroszczę ci, Ben.

- Zapytałem, co tutaj robisz, Gil. Chcę się widzieć z dyrektorem, a potem z Człowiekiem z Marsa. Nie przyszedłem tu żebyś splawił mnie w wielkopański sposób.

- Ależ, Ben! Doktor Broemer był wprost rozchwytywany przez dziennikarzy, więc sekretarz generalny przysłał mnie, żebym zdjął z barków dyrektora część tego ciężaru.

- Dobra. Chcę się widzieć ze Smithem.

- Mój kochany, z nim chce się widzieć każdy reporter, korespondent, komentator, felietonista i redaktor, nie wspominając już o ich żeńskich odpowiednikach. Dwadzieścia minut temu była tutaj Polly Podglądaczka, żeby przeprowadzić z nim wywiad o zwyczajach seksualnych Marsjan.

Berquist z oburzeniem podniósł obie ręce.

- Chcę się widzieć ze Smithem. Pozwolisz mi, czy nie?

- Ben, chodź do jakiejś knajpki, gdzie spokojnie pogawędzimy nad szklaneczką czegoś mocniejszego. Powiem ci wszystko, co wiem.

- Nie chcę, żebyś mi cokolwiek mówił. Muszę porozmawiać ze Smithem. To mój adwokat, Mark Frisby.

Tak, jak było w zwyczaju, Ben nie przedstawił Świadka.

- My już się znamy - powiedział Berquist. - Jak tam ojciec, Mark? Ciągłe ma kłopoty z zatokami?

- Od czasu do czasu.

- To przez ten cholerny klimat. No, chodźże, Ben. I ty też, Mark.

Caxton nie miał zamiaru ustąpić.

- Chwileczkę! Chcę rozmawiać z Valentine'em Michael'em Smithem. Reprezentuję redakcję "Post", a pośrednio jej dwieście milionów czytelników. Czy mogę się z nim zobaczyć? Jeżeli nie, to powiedz mi to wyraźnie i uzasadnij odmowę.

Berquist westchnął ciężko.

- Mark, może powiesz temu wścibskiemu skrybie, że nie może ot, tak sobie, zwałać się na głowę choremu człowiekowi? Nawet tego wczorajszego wywiadu Smith udzielił wbrew wyraźnym zaleceniom lekarza. Chłopak ma święte prawo do tego, żeby w

ciszy i spokoju odzyskiwać siły.

- Krążą plotki, że wczorajszy wywiad był sfalszowany - wtrącił się Ben.

Uśmiech natychmiast zniknął z twarzy Berquista.

- Frisby, czy mógłbyś uświadomić swojego klienta, co to jest zniesławienie? - powiedział zimno.

- Spokojnie, Ben.

- Wiem, co to jest zniesławienie, Gil. Ale kogo ja zniesławiam? Człowieka z Marsa, czy kogoś innego? Jeżeli tak, to wymień jego nazwisko. - Podniósł głos. - Powtarzam jeszcze raz: słyszałem, że osobnik, który wczoraj wieczorem wystąpił w stereo, nie był Człowiekiem z Marsa. Chcę się z nim zobaczyć i osobiście go o to zapytać.

W zatłoczonym pomieszczeniu zrobiło się nagle bardzo cicho. Berquist spojrział wściekle na Świadka, ale zaraz się opanował i powiedział z uśmiechem:

- Ben, jest całkiem możliwe, że właśnie udało ci się uzyskać zgodę na wejście do jego pokoju. A potem na salę sądową. Zaczekaj chwilę.

Wrócił bardzo szybko.

- Załatwiłem ci to, chociaż wcale na to nie zasługujesz - powiedział zmęczonym głosem. - Chodź ze mną. Tylko ty. Przykro mi, Mark, ale nie możemy tam robić zbyt wielkiego ścisku. Smith jest po prostu chory.

- Nic z tego - odparł Ben.

- Jak to?

- Albo my trzej, albo żaden z nas.

- Ben, nie wygłupiaj się. Przecież robimy dla ciebie wyjątek. Wiesz co? Mark może iść z nami, ale poczeka na korytarzu, a on przecież nie jest ci do niczego potrzebny.

Mówiąc to wskazał na Cavendisha, który zdawał się niczego nie słyszeć.

- Może i nie, ale po południu znajdziesz w moim artykule informację o tym, że rząd nie zgodził się na obecność Świadka podczas mojej rozmowy z Człowiekiem z Marsa.

Berquist wzdrygnął się.

- Dobrze więc, chodźcie wszyscy. Mam nadzieję, Ben, że te wszystkie oszczerstwa jeszcze kiedyś wyjdą ci bokiem.

Ze względu na wiek Cavendisha jechali najpierw windą, a potem ruchomym chodnikiem wzdłuż laboratoriów i sal, mijając oddział za oddziałem. W pewnej chwili zatrzymał ich strażnik, który przekazał ich następnemu posterunkowi. Wreszcie znaleźli się w dyżurce wypełnionej po sufit aparaturą używaną do

ciągłego śledzenia funkcjonowania organizmu ciężko chorych pacjentów.

- To jest doktor Tanner - przedstawił im Berquist siedzącego w pokoju lekarza. - Doktorze, panowie Caxton i Frisby. - Cavendish, rzecz jasna, nie został przedstawiony.

Tanner sprawiał wrażenie lekko zaniepokojonego.

- Panowie, mam do was ogromną prośbę: nie mówcie ani nie róbcie niczego, co mogłoby zaniepokoić pacjenta. Ma wybitnie neurotyczną osobowość i łatwo zapada w stan patologicznego transu, o ile można to tak określić.

- Epilepsja? - zapytał Ben.

- Laik mógłby tak powiedzieć, ale to raczej coś w rodzaju katalepsji.

- Jest pan psychiatrą?

Tanner zerknął na Berquista.

- Tak.

- Gdzie pan robił specjalizację?

- Ben, może lepiej chodźmy zobaczyć chorego - wtrącił się Berquist. - Później wypytasz o wszystko doktora Tannera.

- Dobra.

Tanner obrzucił badawczym spojrzeniem wskaźniki, po czym pstryknął wyłącznikiem i spojrzał na ekran. Po chwili otworzył drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju i wszedł tam jako pierwszy, wymownym gestem nakazując im ciszę.

W pomieszczeniu panował półmrok.

- To dlatego, że jego wzrok nie jest przyzwyczajony do naszego poziomu jasności - wyjaśnił Tanner półgłosem. Podszedł do zajmującego środek pokoju łóżka. - Mike, przyprowadziłem ci kilku przyjaciół.

Caxton postąpił kilka kroków naprzód. Na wodnym materacu leżał młody mężczyzna, przykryty po pachy cienkim prześcieradłem. Przyglądał im się bez słowa. Jego gładka, okrągła twarz nie miała żadnego wyrazu.

O ile Ben mógł się zorientować, był to ten sam człowiek, którego poprzedniego wieczoru widział w stereowizji. Przez chwilę poczuł się dziwnie słabo na myśl, że mała Jill wkopała go w niezłą historię - odszkodowanie za zniesławienie może załatwić go do końca życia.

- Ty jesteś Valentine Michael Smith?

- Tak.

- Człowiek z Marsa?

- Tak.

- To ty byłeś wczoraj wieczorem w stereowizji?

Człowiek leżący w łóżku nic nie odpowiedział.

- Wątpię, czy on to rozumie - odezwał się doktor Tanner. - Mike, czy pamiętasz, gdzie byłeś wczoraj z panem Douglasem?

Przez spokojną do tej pory twarz przebiegł bolesny grymas.

- Jasne światła. Nieprzyjemnie.

- Tak, reflektory trochę cię raziły. Pan Douglas poprosił, żebyś przywitał się ze wszystkimi.

Pacjent uśmiechnął się lekko.

- Długo jechałem na wózku.

- Dobra, już chwytam - przerwał Caxton. - Mike, czy jesteś dobrze traktowany?

- Tak.

- Wcale nie musisz tu zostać. Możesz chodzić?

- Ależ, panie Caxton! - zaprotestował pośpiesznie Tanner, ale umilkł, kiedy Berquist położył mu dłoń na ramieniu.

- Mogę chodzić... trochę. Jestem zmęczony.

- Dopilnuję, żebyś dostał wózek. Mike, jeżeli nie masz ochoty tu zostać, mogę cię zabrać, dokądkolwiek zechcesz.

Tanner strząsnął ze swego ramienia dłoń Berquista i powiedział groźnie:

- Nie mogę pozwolić, żeby wpływał pan na decyzję mojego pacjenta!

- Przecież on jest wolnym człowiekiem, prawda? - zapytał Ben. - A może raczej więźniem?

- Oczywiście, że jest wolny - wtrącił się Berquist. - Niech pan jeszcze chwilę zaczeka, doktorze. Ten głupiec kręci stryczek na własną szyję.

- Dzięki, Gil. Słyszałeś go, Mike. Możesz iść, dokąd zechcesz.

Pacjent utkwiał przerażone spojrzenie w doktorze Tannerze.

- Nie! Nie, nie, nie!

- Już dobrze, dobrze...

- Panie Berquist, tego już naprawdę za wiele! - prychnął z rozdrażnieniem Tanner.

- W porządku, doktorze. Ben, wystarczy.

- Jeszcze tylko jedno pytanie.

Caxton myślał intensywnie, starając się wykorzystać sposobność do maksimum. Najwyraźniej Jill jednak się myliła, choć wczoraj wszystko wskazywało na to, że ma rację.

- Dobrze, ale już naprawdę ostatnie - zgodził się niechętnie Berquist.

- Dzięki. Mike, wczoraj wieczorem odpowiedziałeś na kilka pytań, które zadał ci pan Douglas. - Pacjent nie zareagował. -



Między innymi zapytał cię o to, jak ci się podobają ziemskie dziewczęta, prawda?

Twarz chorego rozpromieniła się radosnym uśmiechem.

- HUUUU!

- No, właśnie. Mike, czy mógłbyś mi powiedzieć, gdzie i kiedy widziałeś te dziewczęta?

Uśmiech zniknął równie szybko, jak się pojawił. Pacjent spojrzał na Tannera, a potem nagle wyprężył się, błysnął białkami oczu, po czym skulił się w pozycji embrionalnej z podkurczonymi kolanami, pochyloną głową i ramionami przyciśniętymi do klatki piersiowej.

- Precz stąd! - wybuchnął Tanner, chwytając chorego za rękę i próbując wyczuć puls.

- Doigrałeś się, Caxton! - wycodził z mściwą satysfakcją Berquist. - Wyjdiesz sam, czy mam wezwać strażnika?

- Wyjdę, wyjdę.

Wszyscy z wyjątkiem Tannera opuścili pokój. Berquist zamknął za sobą drzwi.

- A może ty mógłbyś mi to wyjaśnić, Gil? - nalegał Caxton.

- W jaki sposób mógł zobaczyć te dziewczyny, skoro cały czas trzymacie go w zamknięciu?

- Co? Nie bądź głupi. Widział całą masę dziewczyn - pielęgniarki, laborantki, różne inne... Przecież sam wiesz.

- Właśnie, że nie wiem. Zdaje się, że opiekowali się nim wyłącznie pielęgniarze i że nie dopuszczano do niego żadnych kobiet?

- Nie bądź śmieszny. - Berquist przez chwilę wyglądał na zdenerwowanego, ale szybko się opanował. - Przecież wczoraj sam widziałeś, że była z nim pielęgniarka.

- Rzeczywiście, widziałem - przyznał Caxton i zamilkł.

Frisby odezwał się dopiero wtedy, kiedy taksówka wzbiła się w powietrze.

- Wiesz, Ben, nie sądzę, żeby Douglas zdecydował się na oddanie sprawy do sądu, ale jeżeli masz jeszcze dostęp do źródła tych plotek, to chyba dobrze by było, gdybyśmy na wszelki wypadek postarali się o trochę lepsze dowody.

- Daj spokój, Mark. Na pewno nie wniesie oskarżenia. - Ben zagapił się ponuro w podłogę. - Skąd mamy wiedzieć, że to był naprawdę Człowiek z Marsa?

- O rety, Ben! Daj wreszcie spokój!

- Ale sam powiedz: skąd mamy wiedzieć? Widzieliśmy leżącego w szpitalnym łóżku człowieka, którego wiek mniej więcej się zgadzał. Na to, że to był naprawdę on, mamy

tylko słowo Berquista, a Berquist rozpoczynał swoją karierę polityczną redagując teksty rządowych dementi. Widzieliśmy też jakiegoś nieznanego faceta podającego się za psychiatrę, ale kiedy usiłowałem dowiedzieć się czegoś więcej na temat jego kwalifikacji, natychmiast mi przerwano. Panie Cavendish, czy spostrzegł pan tam coś, co przekonało pana bez reszty, że pokazano nam prawdziwego Człowieka z Marsa?

- Moja rola nie polega na wygłaszaniu opinii - odparł Cavendish. - Ja tylko patrzę i słucham.

- Przepraszam.

- Czy potrzebuje pan jeszcze moich usług jako Świadka?

- Już nie. Bardzo panu dziękuję.

- To ja dziękuję. Nadzwyczaj interesująca sprawa.

Starszy dżentelmen zdjął białą opończę, tym samym powracając do grona zwykłych śmiertelników. Surowe rysy jego twarzy nieco złagodniały.

- Gdybym mógł doprowadzić do konfrontacji z kimś z załogi "Championa"!.. - westchnął Ben.

- Zdziwiło mnie trochę, że nie sprawdził pan jednej rzeczy - powiedział Cavendish.

- Jakiej?

- Zgrubień na skórze.

- Zgrubień?

- Oczywiście. Przeszłość każdego człowieka można odczytać ze zgrubień na jego skórze. Opublikowałem kiedyś artykuł na ten temat w "Kwartalniku Świadka". Ponieważ ten młodzieniec z Marsa nigdy nie nosił butów i był poddany sile ciężenia trzykrotnie mniejszej niż na Ziemi, zgrubienia skóry na jego stopach powinny odpowiadać właśnie takim, a nie innym warunkom środowiska, w jakim przebywał.

- Do licha! Panie Cavendish, dlaczego wcześniej mi pan tego nie powiedział?

- Proszę pana! - Starzec wyprostował się dumnie. - Jestem Świadkiem, a nie uczestnikiem sporu.

- Przepraszam. - Caxton zmarszczył brwi. - Wracamy. Sprawdzę jego stopy albo rozwalę cały szpital!

- Ale będzie pan musiał poszukać innego Świadka. Nie zachowałem koniecznego dystansu wobec wydarzeń.

- O, kurczę. Rzeczywiście.

- Uspokój się, Ben - poradził mu Frisby. - I tak już zabrnąłeś wystarczająco daleko. Ja osobiście jestem przekonany, że to był Człowiek z Marsa.

Caxton odwiózł ich tam, gdzie sobie życzyli, a

następnie ustawił autopilota na lot okrężny, żeby mieć czas na przemyślenie wszystkiego, co widział i słyszał. Udało mu się dostać do szpitala w towarzystwie Świadka i prawnika. Podjęcie w ciągu zaledwie kilku godzin kolejnej próby byłoby mało rozsądne i z pewnością zakończyłoby się niepowodzeniem.

Ale przecież swojej liczącej się pozycji stałego komentatora "Post" nie zawdzięczał temu, że dawał się łatwo spławiać. Chciał się znowu tam dostać.

Ale jak? Wiedział, gdzie trzymano rzekomego "Człowieka z Marsa". Przebrać się za elektryka? To bez sensu. Nie dotarłby dalej niż do doktora Tannera.

Czy ten Tanner rzeczywiście był lekarzem? Ludzie spod znaku Eskulapa raczej niechętnie dawali się wpłatywać w różne szwindle sprzeczne z ich etyką zawodową. Na przykład Nelson, lekarz pokładowy z "Championa", umył od wszystkiego ręce tylko dlatego, że...

Zaraz, chwileczkę! Doktor Nelson mógł z łatwością stwierdzić, czy ów młodzieniec jest naprawdę Człowiekiem z Marsa, nie oglądając mu zgrubień na stopach ani na żadnej innej części ciała. Caxton natychmiast zajął się poszukiwaniem Nelsona, korzystając z pomocy redakcji, bo sam nie miał pojęcia, skąd powinien zacząć. Osbert Kilgallen, asystent Bena, również tego nie wiedział, ale dział informacji o Ważnych Osobach, oddający nieocenione usługi wszystkim dziennikarzom "Post", umiejscowił doktora w New Mayflower. Niebawem Ben mógł już z nim rozmawiać.

Doktor Nelson nie oglądał programu z udziałem Smitha. Owszem, słyszał, że taki program został nadany; nie, nie miał żadnych powodów, aby przypuszczać, że popełniono oszustwo. Czy doktor Nelson wiedział o próbie nakłonienia Smitha do zrzeczenia się wszelkich praw przysługujących mu opierając się na precedensie Larkina? Nie, nie wiedział, a nawet, gdyby rzeczywiście tak było, to niewiele go to obchodzi, bo mówienie o czyichkolwiek prawach do Marsa jest kompletnym absurdem. Mars należy wyłącznie do Marsjan. A więc? Ale przypuśćmy, doktorze, że ktoś jednak...

Nelson rozłączył się. Kiedy Caxton spróbował ponownie się połączyć, głos z taśmy powiedział:

- Użytkownik tego numeru chwilowo nie przyjmuje żadnych rozmów. W razie potrzeby proszę...

Caxton powiedział coś głupiego na temat pochodzenia doktora Nelsona, następnie zaś uczynił rzecz jeszcze głupszą: wystukał numer Pałacu i zażądał, żeby umożliwiono mu rozmowę z

sekretarzem generalnym Douglasem.

Przez lata pracy w charakterze łowcy sensacji Ben przekonał się, że o różnych sekretach i tajemnicach można się najlepiej dowiedzieć docierając tak wysoko, jak to tylko możliwe i starając się sprawiać swoją osobą tyle kłopotów, ile tylko się da. Zdawał sobie sprawę, że ciągnięcie tygrysa za ogon nie należy do najbezpieczniejszych zajęć - orientował się w psychopatologii władzy równie dobrze, jak Jill źle - ale pokładał znaczne zaufanie w swojej pozycji reprezentanta innej siły, z całą pewnością nie należącą do najmniej istotnych.

Zapomniał tylko o jednym: telefonując do Pałacu z taksówki nie miał żadnych świadków.

Rozmawiał po kolei z pół tuzinem przekazujących go sobie nawzajem urzędników, każdego następnego obrzucając stekiem coraz gorszych wyzwisk. Był tym tak pochłonięty, że nie zauważył, kiedy taksówka przestała zataczać szerokie, łagodne kręgi.

Kiedy wreszcie zrozumiał, co się stało, było już za późno; maszyna przestała reagować na polecenia. Ben miał gorzką świadomość tego, że dał się podejść jak żółtodziób. Sprawdzono, skąd telefonuje, zidentyfikowano taksówkę, wyłączono jej zrobotyzowanego kierowcę, wzięto ją na niewidzialny hol z fal radiowych policyjnego nadajnika i po cichu, bez żadnego zamieszania, ściągano go tam, gdzie nie miał najmniejszej ochoty się znaleźć.

Spróbował połączyć się ze swoim adwokatem.

Ciągle jeszcze próbował, kiedy taksówka wylądowała i sygnał jej nadajnika został pochłonięty przez wysokie, wznoszące się ze wszystkich stron ściany. Ben chciał wysiąść, lecz nie mógł otworzyć drzwi i wcale nie był zbyt zdziwiony, kiedy zaczął szybko tracić przytomność...

## Rozdział VIII

Jill usiłowała sobie wmówić, że Ben trafił na jakiś trop i po prostu zapomniał ją o tym powiadomić, ale sama w to nie wierzyła. Caxton zawdzięczał swoje sukcesy wręcz niesamowitej uwadze, jaką poświęcał stosunkom z ludźmi. Zawsze pamiętał o wszystkich urodzinach i prędzej czmychnąłby gdzieś nie splacając karcianego długu niż zapomniał o pozostawieniu jej choćby króciutkiej wiadomości, bez względu na to, jak bardzo

by się śpieszył.

Musiał zostawić jakąś informację! W przerwie obiadowej zadzwoniła do redakcji, do Osberta Kilgallena, ale ten z uporem powtarzał, że Ben nie pozostawił dla niej żadnej wiadomości i że on sam nie ma o nim żadnych informacji.

- Nie powiedział nawet, kiedy wróci?

- Nie. Zawsze czeka z oddaniem artykułu do ostatniej chwili, na wypadek, gdyby miało się pojawić coś ekstra.

- A skąd z panem rozmawiał? Mam nadzieję, że nie jestem zbyt wścibska?

- Ależ skąd, panno Boardman. Nie rozmawiał; przysłał teleks z Paoli Flat w Filadelfii.

Tyle musiało jej wystarczyć. Siedząc w jadalni dziobała bez apetytu obiad. Wcale nie chodziło o to, że coś mogłoby mu się stać... Ani o to, że miałyby być w nim zakochana...

- Hej, Boardman! Obudź się!

Jill oderwała wzrok od talerza i zobaczyła przyglądającą się jej Molly Wheelwright, dietetyczkę z sąsiedniego oddziału.

- Och, przepraszam.

- Pytałam, od kiedy wprowadziliście u siebie taki zwyczaj, żeby kłaść pacjentów z ubezpieczalni w luksusowych izolatkach?

- O niczym takim nie wiem.

- K-12 to chyba u was, nie?

- K-12? To nie z ubezpieczalni, tylko bogata staruszka z taką furą forsy, że płaci lekarzowi tylko za to, żeby przyglądał się jej, jak oddycha.

- Aha! W takim razie jakoś bardzo niedawno musiała zdobyć tę fortunę. Od siedemnastu miesięcy leżała na ogólnej sali na geriatrici.

- Widocznie to jakaś pomyłka.

- Na pewno nie moja. U mnie w kuchni nie ma żadnych pomyłek. Wierz mi, człowieka można poznać po diecie równie łatwo, jak po odciskach palców. Pa, muszę już lecieć.

Jill pomyślała, że mogłaby podjąć próbę odszukania Człowieka z Marsa sprawdzając dokładnie, gdzie zanoszono jaki rodzaj pożywienia, ale szybko zrezygnowała z tego pomysłu; sprawdzenie wszystkich kuchni zajęłoby jej masę czasu. Bethesda Center istniało już wtedy, kiedy jeszcze prowadzono wojny na oceanach, i nawet wówczas było olbrzymim organizmem. Potem przekazano je Departamentowi Zdrowia, Oświaty i Opieki Społecznej, jednocześnie znacznie rozbudowując. Teraz należało do rządu Federacji i osiągnęło wielkość małego miasta.

Mimo wszystko w tej historii z panią Bankerson było coś

dziwnego. Do szpitala przyjmowano wszystkich pacjentów - prywatnych, z opieki społecznej, rządowych - ale na oddział Jill zazwyczaj trafiały dość zamożne osoby, z senatorami włącznie. Staruszka w rodzaju pani Bankerson stanowiła dość niezwykle zjawisko.

Może po prostu zabrakło miejsca w innych oddziałach?

Po obiedzie miała zbyt wiele pracy, żeby zaprzętać sobie głowę tą sprawą. Kiedy już prawie udało jej się dodzwonić do odległego o prawie ćwierć mili magazynu, gdzie chciała zamówić potrzebne jej natychmiast łóżko samobieżne, przypomniała sobie, że przecież widziała coś takiego w minipoczekalni przylegającej do K-12. Zdaje się, że nawet zrugęła siedzących na nim żołnierzy. Widocznie przestawiono je tam, robiąc miejsce dla łóżka wyposażonego w wodny materac. Powinno jeszcze tam stać.

Minipoczekalnia była zamknięta. Nawet uniwersalny klucz Jill nie mógł sobie poradzić z zatrzaśniętym zamkiem. Zanotowała w pamięci, że musi zwrócić na to uwagę obsłudze technicznej i weszła do dyżurki, żeby tam dowiedzieć się, co się stało z potrzebnym jej łóżkiem.

Zastała tam tego samego lekarza, co poprzednio. Doktor Brush nie pracował na stałe w Bethesda Center. Jak sam powiedział, został tu sprowadzony przez doktora Garnera, żeby opiekować się jego pacjentką. Obejrzał się, słysząc skrzypnięcie otwieranych drzwi.

- Siostra Boardman! Właśnie siostry potrzebowałem.

- Więc dlaczego pan nie zadzwonił? Jak się czuje pacjentka?

- Dobrze - odpowiedział, zerknąwszy na monitor - ale za to ja nie bardzo.

- Jakież problemy?

- Och, to zabierze najwyżej pięć minut. Mogłaby mi siostra tyle poświęcić? I nic nikomu o tym nie mówić?

- Chyba tak. Muszę tylko zadzwonić do pokoju pielęgniarek i powiedzieć, gdzie jestem.

- Nie! - zaprotestował gwałtownie. - Proszę zamknąć za mną drzwi i nikomu nie otwierać. Jak wrócę, wystukam pierwsze trzy takty z "Wesołego fryzjera". Zrobi to siostra dla mnie?

- No, niech będzie - zgodziła się niechętnie Jill. - A co z chorą?

- Proszę tylko siedzieć i obserwować ją na ekranie. Najlepiej jej nie niepokoić.

- A gdzie mam pana szukać, gdyby coś się stało? W pokoju lekarzy?

- Eee... Będę w męskiej toalecie na końcu korytarza. A teraz już cicho, błagam. To b a r d z o pilne!

Jill zamknęła drzwi za lekarzem, po czym obrzuciła czujnym spojrzeniem umieszczoną w dyżurce aparaturę. Pacjentka spała; wskaźniki informowały o silnym pulsie i regularnym, spokojnym oddechu. W takim razie po co ta całodobowa opieka?

Postanowiła sprawdzić, czy uda się jej dostać do poczekalni przez drzwi łączące małe pomieszczenie z izolatką. Co prawda, w ten sposób naruszy zakaz doktora Brusha, ale z całą pewnością nie zaniepokoi pacjentki; kto, jak nie ona, miał wiedzieć, jak przechodzi się przez pokój nie budząc chorego? Poza tym już dawno zaobserwowała, że lekarze bardzo rzadko mają pretensje o coś, o czym nie wiedzą. Otworzyła cicho drzwi i weszła do środka.

Wystarczyło jej jedno spojrzenie, by upewnić się, że pani Bankerson jest pogrążona w głębokim starczym śnie. Jill bezszelestnie podeszła do drugich drzwi; były zamknięte, lecz tym razem jej klucz dał sobie z nimi radę.

W środku zobaczyła stojące przy ścianie samobieżne łóżko. Zobaczyła również, że pokój jest zajęty; w fotelu, trzymając w dłoniach książkę z obrazkami, siedział Człowiek z Marsa.

Smith podniósł na nią wzrok i obdarzył ją promiennym uśmiechem szczęśliwego dziecka.

Jill poczuła lekki zawrót głowy. Valentine Michael Smith t u t a j ? To niemożliwe. Przecież go przeniesiono. Sama widziała zapis w książce oddziału, czarno na białym.

Potem łamigłówna zaczęła się układać w jedną, bardzo niesympatyczną całość. Fałszywy "Człowiek z Marsa" w stereowizji... Obecność staruszki, mająca na celu ukrycie faktu, że w K-12 przebywa jeszcze jeden pacjent... Drzwi od korytarza, których nie można otworzyć uniwersalnym kluczem... Wreszcie makabryczna wizja sanitariuszy wytaczających z izolatki wózek, na którym pod nieskazitelnie białym prześcieradłem leży nie jedno ciało, lecz dwa. Równocześnie z ostatnią wizją pojawił się strach i świadomość niebezpieczeństwa, w jakim się znalazła, odkrywając ten pieczołowicie strzeżony sekret.

Smith z wysiłkiem wstał z fotela, wyciągnął obie ręce i powiedział:

- Wodny bracie!

- Cześć. Eee... Jak się masz?

- Mam dobrze. Jestem szczęśliwy. - Dodał coś w dziwnej, gardłowej mowie, ale zaraz przeszedł z powrotem na angielski,

starannie wymawiając każde słowo. - Jesteś tutaj, mój bracie. Nie było cię. Teraz jesteś. Piję cię głęboko.

Dziewczyną targały sprzeczne uczucia; z jednej strony, kiedy patrzyła na Smitha, topniało jej serce, z drugiej zaś chwycił ją za gradło strach, że ktoś może ją tutaj zastać.

- Widzisz? - zapytał z dumą Smith, niczego nie dostrzegając. - Chodzę! Jestem silniejszy!

Zrobił ostrożnie kilka kroków, po czym stanął - zadyszany, tryumfujący i roześmiany.

Z trudem zdobyła się na to, żeby również się uśmiechnąć.

- No, no, robimy postępy. Rzeczywiście, jesteś coraz silniejszy. Muszę już iść; tak tylko wpadłam, żeby cię zobaczyć.

Na twarzy Smitha momentalnie pojawiła się rozpacz.

- Nie odchodź!

- Muszę.

Pochylił ze smutkiem głowę.

- Skrzywdziłem cię. Nie wiedziałem - powiedział z tragiczną pewnością w głosie.

- Skrzywdziłeś mnie? Ależ nie, skądże znowu! Po prostu muszę iść i to szybko.

- Weź mnie, wodny bracie. - Było to bardziej stwierdzenie niż prośba.

- Co? Och, nie mogę! Naprawdę muszę już iść. Nie mów nikomu, że tutaj byłam, dobrze?

- Nie mówić, że mój wodny brat był tutaj?

- Tak. Nikomu. Przyjdę później. Bądź grzecznym chłopcem, czekaj i nic nikomu nie mów.

Smith przetrwał to, co usłyszał.

- Będę czekać. Nie będę mówić - oznajmił wreszcie z rozpogodzoną twarzą.

- Świetnie!

Jill nie miała pojęcia, w jaki sposób uda jej się dotrzymać obietnicy i wrócić do niego. "Zepsuty" zamek drzwi prowadzących na korytarz wcale nie był zepsuty - drzwi zamknięto dodatkowo na najzwyklejszy skobel. W szpitalu wszystkie drzwi do łazienek i pomieszczeń, w których przebywali chorzy, były wyposażone w zamki dające się łatwo otworzyć noszonymi przez personel uniwersalnymi kluczami, ale już zwykły skobel stanowił zaporę nie do pokonania.

Jill wyciągnęła zatyczkę.

- Czekaj tutaj. Przyjdę do ciebie.

- Będę czekać.



W chwili, kiedy wróciła do dyżurki, usłyszała lekkie "puk! puk! puk-puk! puk! puk-puk!" - sygnał, którym Brush miał dać znać o swoim powrocie. Otworzyła mu pośpiesznie drzwi.

Wpadł niczym bomba.

- Gdzie siostra była? - zapytał napastliwie. - Pukałem trzy razy!

Zerknął podejrzliwie na drzwi prowadzące do pokoju pacjentki.

- Chora przekręciła się na drugi bok - skłamała naprędce Jill. - Poprawiałam jej poduszkę.

- Do licha, przecież mówiłem, żeby siostra nigdzie się stąd nie ruszała!

Nagle Jill uświadomiła sobie, że lekarz jest po prostu przerażony. Nie zwlekając przeszła do kontrataku.

- Nie jestem odpowiedzialna za pańską pacjentkę, doktorze - powiedziała lodowatym tonem - ale skoro pozostawił ją pan pod moją opieką, zrobiłam to, co uważałam za stosowne. Jeżeli ma pan na ten temat inne zdanie, to proszę zawiadomić ordynatora.

- Co? Nie, nie trzeba. Naprawdę nie ma potrzeby.

- Właśnie, że jest, panie doktorze. Pacjentka w tym wieku może łatwo się udusić na wodnym materacu. Niektóre pielęgniarki znoszą bez słowa humory lekarzy, ale ja do nich nie należę. Żądam, żeby poinformował pan ordynatora.

- Panno Boardman, proszę przyjąć moje przeprosiny. Niepotrzebnie się uniosłem.

- Niech i tak będzie - odparła wyniośle Jill. - Coś jeszcze?

- Nie, dziękuję siostrze. Dziękuję za pomoc. Tylko... Czy mogłaby siostra nikomu o tym nie wspominać?

- Dobrze.

Możesz być spokojny, że nie wspomnę! Ale co mam robić? Och, gdyby Ben był w mieście...

Wróciwszy do pokoju pielęgniarek usiadła za swoim biurkiem i udawała, że przegląda jakieś papiery. Dopiero po dłuższej chwili przypomniała sobie, że miała zadzwonić po samobieżne łóżko. Zrobiła to, a następnie wysłała młodszą pielęgniarkę z jakimś poleceniem i spróbowała się skupić.

Gdzie jest Ben? Gdyby mogła się z nim skontaktować, zwolniłaby się na dziesięć minut, porozmawiała z nim i przerzuciła ciężar podjęcia decyzji na jego krzepkie barki. Ale Ben, niech go gęś kopnie, włączył się nie wiadomo gdzie, pozostawiwszy wszystko na jej głowie.

Czy na pewno? Niepokój drażący jej podświadomość wy dostał się wreszcie na powierzchnię. Ben nigdzie by nie wyjechał, nie informując jej najpierw o tym, co osiągnął podczas próby skontaktowania się z Człowiekiem z Marsa. Jako współkonspirator miała prawo wiedzieć o wszystkim, a Ben zawsze grał fair.

Przypomniała sobie jego słowa: "Kochanie, jesteś moją atutową kartą. Jeżeli słuch o mnie zaginie, możesz działać na własną rękę."

Wtedy puściła je mimo uszu, ponieważ nie wierzyła, że coś mogłoby mu się przytrafić. Teraz musiała to przyjąć do wiadomości. Każdy człowiek prędzej lub później staje w obliczu sytuacji, kiedy musi postawić na szali "swoje życie, honor i szczęście", nie będąc pewnym, jak to się dla niego skończy. Dla Jill Boardman taki moment nadszedł właśnie tego popołudnia o godzinie 15.47.

\*

Kiedy Jill wyszła, Człowiek z Marsa usiadł ponownie na swoim miejscu, ale nie wziął już do ręki książki z obrazkami. Można by powiedzieć, że "czekał cierpliwie", gdyby nie to, że takie określenie nie miałyby nic wspólnego z marsjańskim podejściem do sprawy. Cieszył się po cichutku, bo przecież jego brat powiedział, że wróci. Był gotów czekać bez najmniejszego poruszenia nawet kilka lat.

Nie miał pewności, kiedy dzielił się wodą z tym bratem; nie tylko miejsce, w którym się znajdował, było dziwacznie zniekształcone w przestrzeni i czasie, wypełnione następstwami obrazów i dźwięków, których jeszcze nie grokował, ale nawet sam czas pojmowano tutaj w sposób zupełnie odmienny do tego, do jakiego przyzwyczyił się w swoim gnieździe. Różnica polegała nie na tym, że tam żyło się znacznie dłużej, ale na samym podejściu do problemu. Na przykład po marsjańsku nie można było powiedzieć "jest później niż myślisz", albo "co nagle, to po diable", chociaż z różnych powodów: pierwsze wyrażenie byłoby po prostu niezrozumiałe, drugie zaś stanowiło niewzruszoną podstawę marsjańskiego stylu i sposobu życia i wypowiedanie go byłoby równie pozbawione sensu, jak namawianie ryby do kąpieli. Jednak już "jak było na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków" przesiąknięte było tak typowo marsjańskim duchem, że dałoby się przetłumaczyć znacznie łatwiej niż na przykład "dwa plus dwa równa się cztery". Na Marsie tego ostatniego stwier-

dzenia wcale nie uważano za truizm.

Smith czekał.

Do pokoju wszedł Brush; Smith nie poruszył się i lekarz wkrótce sobie poszedł.

Gdy rozległ się odgłos klucza przekręcanego w zamku, Smith przypomniał sobie, że słyszał podobny dźwięk bezpośrednio przed ostatnią wizytą swego wodnego brata. Przyśpieszył nieco swój metabolizm, oczekując, że i tym razem następstwo wydarzeń będzie podobne. Zdumiał się, kiedy Jill wśliznęła się przez drzwi od strony korytarza, bo nie wiedział, że można wejść również tamtędy. Zgromadził to jednak szybko i oddał się bez reszty uczuciu radości, jakiego doświadcza się jedynie w obecności braci w gnieździe, braci wodnych i (w pewnych okolicznościach) również w obecności Starych.

Jego radość była cokolwiek przytłumiona przez fakt, że jego brat zdawał się jej nie podzielać; co więcej, wydawał się strapiiony bardziej niż było to możliwe, z wyjątkiem sytuacji, kiedy jest się gotowym do odcieleśnienia z powodu jakiegoś niezwykle niegodnego postępku lub po prostu braku koncentracji. Jednak Smith zdążył się już przekonać, że otaczające go istoty potrafiły doświadczać najstraszliwszych emocji, a mimo to żyć. Na przykład jego brat Mahmoud pięć razy dziennie przechodził autentyczną duchową agonię, lecz nie tylko nie umierał, ale wręcz sam prowokował jej nadejście, uważając ją za nieodłączny składnik życia. Z kolei kapitan van Tromp doświadczał niespodziewanych emocjonalnych napięć o takiej sile, że według Smitha po każdym z nich powinien natychmiast się odcieleścić; mimo to, o ile było mu wiadome, jego brat van Tromp nadal przebywał na tym świecie.

Tak więc Smith postanowił nie zwracać uwagi na stan emocjonalny Jill.

Dziewczyna wręczyła mu jakieś zawiniątko.

- Zakładaj to, prędko!

Smith przyjął z wdzięcznością podarunek i czekał, co będzie dalej.

- O, Boże! - jęknęła Jill. - Dobra, rozbieraj się. Pomogę ci.

Okazało się, że musi sama nie tylko rozebrać go, ale także ubrać. Miał na sobie szpitalny szlafrok, płaszcz kąpielowy i kaptur, bynajmniej nie dlatego, że tego chciał, tylko dlatego, że to na niego założono. Potrafił się już z tym wszystkim jako tako obchodzić, lecz Jill chodziło przede wszystkim o pośpiech.

Ponieważ była pielęgniarzką, on zaś nigdy nie słyszał o czymś takim jak wstyd - zresztą nawet nie potrafiłby zrozumieć, co to takiego - nie tracili czasu na zbędne konwenanse. Smith był zachwycony warstwą fałszywej skóry, jaką Jill założyła mu na nogi, ale nie miał czasu, żeby się tym dogłębnie wzruszyć, gdyż dziewczyna błyskawicznie przypięła mu pończochy do pasa. Strój pielęgniarki, w który go ubierała, należał do bardzo wysokiej kobiety; pożyczyła go pod pretekstem, że jej kuzynowi jest potrzebny na bal przebierańców. Zawiązała Smithowi dokoła szyi pelerynkę i stwierdziła, że ten element stroju maskuje właściwie wszystkie różnice płci. W każdym razie miała taką nadzieję. Kłopoty pojawiły się przy butach; były za małe, a dla Smitha nawet chodzenie boso w ziemskiej grawitacji stanowiło jeszcze spory problem.

Jednak wreszcie jakoś go ubrała. Zwieńczyła swe dzieło wsadzając mu na głowę czepek.

- Masz dosyć krótkie włosy, ale niektóre dziewczęta też takie noszą - powiedziała z lekką obawą w głosie. - Zresztą, nic na to nie poradzimy.

Smith nic nie odpowiedział, bo nie rozumiał, o co chodzi. Co prawda, skupił się przez chwilę na tym, żeby mieć dłuższe włosy, ale niemal natychmiast zdał sobie sprawę, że potrzeba mu na to sporo czasu.

- A teraz słuchaj uważnie - powiedziała Jill. - Nie odzywaj się ani słowem, bez względu na to, co się będzie działo. Rozumiesz?

- Nie mówić. Nie będę mówić.

- Po prostu idź ze mną, będę cię trzymać za rękę. I módl się, jeżeli znasz jakieś modlitwy!

- Módl?

- Nieważne. Chodź już, ale po cichutku.

Otworzyła drzwi, wyjrzała ostrożnie na zewnątrz, po czym wprowadziła go na korytarz.

Dla Smitha zmieniające się błyskawicznie konfiguracje wydarzeń były w najwyższym stopniu przygnębiające; atakowały go obrazy i doznania, których nie potrafił zgrokować. Szedł niemal na oślep, prawie całkowicie wyłączywszy zmysły, żeby jakoś obronić się przed ogarniającym go chaosem.

Dotarłszy do końca korytarza weszli na biegnący prostopadle do niego, ruchomy chodnik. Smith potknął się i byłby upadł, gdyby Jill nie zdołała go w porę podtrzymać. Jakaś sprzątaczką spojrzała na nich ze zdziwieniem; dziewczyna zaklęła w duchu. Na dach wjechali windą, bo Jill zdawała sobie

sprawę, że nie dałaby rady przebyć z nim tej drogi rurą spadową.

Właśnie wtedy pojawiło się niebezpieczeństwo, z którego Smith w ogóle nie zdawał sobie sprawy. Znalazł się pod urokiem nieba, którego nie widział od chwili opuszczenia Marsa. Niebo było jasne, kolorowe i wesołe - takie, jakie zazwyczaj bywa w pogodne dni nad Waszyngtonem. Jill rozglądała się w poszukiwaniu taksówki. Tak jak się spodziewała, dach był niemal pusty, gdyż część personelu kończąca pracę o tej godzinie co ona zdążyła już odlecieć do domów, natomiast nie zdążyła jeszcze przybyć popołudniowa fala odwiedzających. Taksówek jednak także nie było, a nie miała odwagi ryzykować podróży autobusem.

Chciała już wezwać wóz, kiedy jakaś taksówka zniżyła się do lądowania.

- Jack, czy ktoś ją zamawiał? - krzyknęła w stronę porządkowego.

- Tak, doktor Phipps.

- A niech to! Jack, mógłbyś mi jakąś zorganizować? To moja kuzynka Madge, pracuje w południowym skrzydle. Ma zapalenie krtani i nie może długo stać na tym wietrze.

Porządkowy podrapał się po głowie.

- Dla pani wszystko, panno Boardman. Niech pani wsiada do tej, a ja wezwę inną dla doktora Phippsa.

- Och, Jack, jesteś kochany! Madge, nic nie mów; podziękuję mu w twoim imieniu. Wiesz, Jack, ona prawie straciła głos. Muszę dać jej gorącego rumu.

- To powinno pomóc. Moja matka zawsze twierdziła, że najlepsze są stare, wypróbowane metody.

Jack wystukał z pamięci adres Jill na tablicy rozdzielczej pojazdu i pomógł im wsiąść. Jill starała się pokryć milczenie Smitha gorącymi podziękowaniami.

- Serdeczne dzięki, Jack. Jesteśmy ci ogromnie wdzięczne.

Kiedy taksówka wystartowała, dziewczyna odetchnęła z ulgą.

- W porządku, już możesz mówić.

- Co mówić?

- Proszę? No, cokolwiek chcesz.

Smith zastanowił się. Zakres otrzymanego pozwolenia wymagał godnego wykorzystania. Rozmyślał nad różnymi sposobami, odrzucając jeden po drugim, ponieważ nie dałby sobie rady z tłumaczeniem. Wreszcie zdecydował się na formułę, która nawet w tej dziwacznej, płaskiej mowie zachowywała część ciepła i serdeczności, jakie należało okazać wodnemu bratu:

- Oby nasze jajka dzieliły to samo gniazdo.

Jill zamarła w bezruchu.

- Co takiego? Co powiedziałeś?

Smithowi zrobiło się przykro, że nie usłyszał uprzejmej braterskiej odpowiedzi, ale odpowiedzialność za to niepowodzenie przypisał sobie. Uświadomił sobie ze smutkiem, że jego wypowiedzi najczęściej wprawiały te istoty w stan wyraźnego niepokoju, podczas gdy zgodnie z jego intencjami miały wytworzyć atmosferę jedności i zrozumienia. Spróbował jeszcze raz, starając się, na ile pozwalał mu skromny zasób słownictwa, oddać tę samą myśl w odmienny sposób:

- Moje gniazdo jest twoim gniazdem, a twoje gniazdo jest moim gniazdem.

Tym razem Jill uśmiechnęła się.

- O, jak miło! Mój drogi, nie jestem pewna, czy cię dobrze rozumiem, ale jest to najsympatyczniejsza propozycja, jaką otrzymałam od dłuższego czasu. Jednak na razie jesteśmy w nielichych kłopotach, więc poczekajmy z tym, dobrze?

Smith rozumiał dziewczynę niewiele lepiej niż ona jego, ale wyczuł pogodny nastrój jej wypowiedzi i domyślił się, że znowu poleciła mu czekać. Czekanie nie stanowiło dla niego żadnego problemu; usiadł wygodniej, zadowolony, że między nim a jego wodnym bratem wszystko jest w jak najlepszym porządku i zajął się podziwianiem widoków. Były to pierwsze ziemskie krajobrazy, jakie widział na oczy. Ileż tu było rzeczy, które należało zgrokować! Środki transportu używane na Marsie uniemożliwiały oglądanie tego, co znajdowało się między początkowym a końcowym punktem trasy. Wspomnienie to doprowadziło go do porównania metod stosowanych w tym zakresie przez ludzi i Marsjan i porównanie to bynajmniej nie wypadło na korzyść Starych, lecz jego myśli pośpiesznie uciekły od kiełkującej nieśmiało herezji.

Jill siedziała cicho, starając się skoncentrować wyłącznie na myśleniu. W pewnej chwili zdała sobie sprawę, że taksówka zbliża się już do budynku, w którym znajdowało się jej mieszkanie i uświadomiła sobie, że jest to ostatnie miejsce, do którego powinni się udać, jako że będzie pierwszym poddanym gruntownemu sprawdzeniu, gdy tylko władze ustalą, kto pomógł Smithowi podczas ucieczki. Chociaż nie miała najmniejszego pojęcia o metodach stosowanych przez policję, przypuszczała, że w pokoju Smitha musiała zostawić mnóstwo odcisków palców, a w dodatku widziało ich przecież sporo ludzi. Podobno istniała nawet możliwość (tak przynajmniej słyszała) odczytania pamięci pokładowego komputera taksówki i ustalenia, kto kiedy i dokąd

nią leciał.

Czym prędzej skasowała poprzednie polecenie. Taksówka uniosła się nieco w górę, opuszczając ruchliwy korytarz powietrzny, i zawisła, czekając na podanie nowego adresu. Dokąd mogła się udać? Gdzie mogła ukryć dorosłego mężczyznę, w pewnym sensie półidiotę, nie potrafiącego nawet samodzielnie się ubrać, a jednocześnie będącego już w tej chwili najbardziej poszukiwanym człowiekiem na całej planecie? Och, Ben, gdybyś tutaj był... Ben, gdzie jesteś?

Bez większego przekonania wystukała jego domowy numer. Serce podskoczyło jej radośnie, kiedy odezwał się męski głos, ale szczęście trwało krótko, gdyż okazało się, że to tylko zarządzający budynkiem.

- Och, przepraszam pana. Mówi Jill Boardman. Próbowałam połączyć się z apartamentem pana Caxtona.

- Tak też pani zrobiła. Zawsze, kiedy wyjeżdża na dłużej niż dwadzieścia cztery godziny, przełączam wszystkie rozmowy na moje biuro.

- Więc ciągle go nie ma?

- Ciągle. Mogę pani w czymś pomóc?

- Eee... Nie, chyba nie. Proszę pana, czy to nie dziwne, że Ben zniknął tak nagle? Nie obawia się pan o niego?

- Ani trochę. Zostawił wiadomość, że nie wie, kiedy będzie z powrotem.

- To chyba dość zastanawiające...

- Nie w zawodzie pana Caxtona, panno Boardman.

- Hmm... Według mnie w tej jego nagłej nieobecności jest jednak coś bardzo dziwnego. Chyba powinien pan o tym zameldować, zawiadomić wszystkie agencje informacyjne w kraju, nawet w świecie!

Chociaż telefon taksówki nie miał urządzenia wizyjnego, to Jill odczuła wyraźnie, że mężczyzna zeszywniał za swoim biurkiem.

- Przykro mi, panno Boardman, ale będę interpretował według własnego uznania wszystkie wiadomości i informacje, jakie otrzymuję. Poza tym chciałem pani powiedzieć, że podczas każdej nieobecności pana Caxtona mam całą masę wiadomości od jego "dobrych znajomych", usiłujących się z nim skontaktować za wszelką cenę.

Jakieś kociaki, starające się go przyszpilić! - pomyślała z wściekłością Jill. A ten dureń uważa mnie za jednego z nich! Wobec takiego rozwoju sytuacji nie było nawet mowy o tym, żeby prosić go o pomoc; przerwała połączenie.

Dokąd mogła się udać? Zaświtał jej pewien pomysł. Jeżeli Ben zniknął i jeśli maczały w tym palce władze, to ostatnim miejscem, w którym ktokolwiek spodziewałby się zastać Valentine'a Michaela Smitha, będzie właśnie mieszkanie Bena. Chyba że ktoś skojarzyłby ją z Caxtonem, ale to było mało prawdopodobne.

Mogliby tam coś przekąsić i wzięłyby trochę ubrań dla swego niedorozwiniętego dziecka. Wystukała adres Bena i taksówka włączyła się do ruchu, kierując się w nakazanym kierunku.

Przed wejściem do apartamentu Jill zbliżyła usta do domofonu i wyszeptała:

- Karthago delenda est!

Cisza i bezruch. Do licha! - zaklęła w myśli. Zmienił hasło. Poczula, że drżą jej kolana i starała się, żeby Smith nie dostrzegł wyrazu jej twarzy. Potem spróbowała jeszcze raz. Ta sama instalacja, która automatycznie uruchamiała drzwi, służyła też do zwykłego anonsowania gości.

- Ben, to ja, Jill!

Drzwi rozsunęły się przed nimi.

Zamknęły się natychmiast, jak tylko weszli do środka. Jill przez chwilę myślała, że to Ben wpuścił ich do mieszkania, ale zaraz uświadomiła sobie, że po prostu przypadkiem trafiła na nowe hasło, najprawdopodobniej pomyślane jako komplement i ukłon w jej stronę; chętnie zrezygnowałaby z komplementu, gdyby zaoszczędziło jej to paskudnego momentu paniki.

Smith stał bez ruchu na skraju zielonego trawnika. Miejsce było zbyt nowe, żeby je od razu zgrokować, niemniej jednak czuł się w nim bardzo dobrze. Nie działo się tu tak wiele ekscytujących rzeczy jak w tym małym, poruszającym się wycinku przestrzeni, który właśnie opuścili, ale to miejsce znacznie lepiej nadawało się do tego, żeby oddać się ogarnianiu własnego ja. Przyjrzał się z zainteresowaniem zajmującemu całą ścianę oknu, które wziął za żywy obraz, taki sam jak te, jakich wiele widział w domu, na Marsie. Jego pokój w Bethesda Center nie miał okien, samo zaś pojęcie "okna" było mu zupełnie obce.

Z uznaniem zauważył, że "obraz" z niezwykłą wiernością oddaje ruch i przestrzeń; bez wątpienia musiał go stworzyć jakiś wielki artysta. Do tej pory nie zaobserwował niczego, co mogłoby wskazywać na to, że ci ludzie mają jakąkolwiek sztukę. Obecne doznanie znacznie pomogło mu w ich grokowaniu. Był zadowolony.

Kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie. Odwrócił się w



tamtą stronę i ujrzał swego brata zdejmującego z nóg warstwę sztucznej skóry.

Jill westchnęła z zadowoleniem, grzebiąc palcami w świeżej trawie.

- Jejku, ależ mnie bolą nogi! - Podniosła wzrok i napotkała zdumiewająco niepokojące, dziecięce spojrzenie Smitha. - Spróbuj. Spodoba ci się.

Zamrugnął powiekami.

- Jak?

- No tak, zapomniałam. Chodź tu, pomogę ci. - Zdjęła mu buty i pończochy. - I co, fajnie?

Smith poruszył niepewnie palcami i zapytał bojaźliwie:

- Czy to żywe?

- Jasne, że żywe. Najprawdziwsza trawa. Ben sporo za nią wybulił. Sama instalacja oświetleniowa kosztuje więcej niż ja zarabiam przez miesiąc, więc korzystaj, póki możesz. Pochodź sobie trochę.

Smith niewiele z tego zrozumiał, ale dotarło do niego, że trawa jest żywą istotą i że on ma po niej deptać.

- Chodzić po żywym? - zapytał z niewysłowionym przerażeniem.

- A czemu by nie? Przecież to jej nie boli. Specjalnie po to została wyhodowana.

Smith z wysiłkiem uświadomił sobie, że przecież wodny brat nie namawiałby go do czegoś niewłaściwego. Zebrał w sobie całą odwagę i przeszedł przez trawnik, by przekonać się, że rzeczywiście bardzo mu się to podoba i że żywe istoty, po których stąpa, nie protestują. Jego brat miał rację: zostały stworzone właśnie po to, żeby po nich chodzić. Postanowił ogarnąć i zgrokować tę koncepcję, równie mu bliską jak dla człowieka kanibalizm. Akurat ten zwyczaj Smith uważał za coś jak najbardziej naturalnego i właściwego.

Jill ponownie westchnęła, tym razem ze smutkiem.

- No, musimy kończyć tę zabawę. Nie wiem, jak długo jeszcze będziemy tu bezpieczni.

- Bezpieczni?

- Nie możemy tutaj zostać. Będą sprawdzać komputery we wszystkich pojazdach, które dzisiaj opuściły Bethesda Center.

Zmarszczyła brwi. Jej mieszkanie odpada, apartament Caxtona odpada... Ben wspomniał kiedyś, że można by zabrać Smitha do Jubala Harshawa. Ale przecież ona zupełnie go nie zna, nie wie nawet, gdzie mieszka - zdaje się, że gdzieś w Górach Pocono. Cóż, będzie musiała się dowiedzieć. Wygląda na

to, że jest to jedyne wyjście z sytuacji.

- Dlaczego nie jesteś szczęśliwy, mój bracie?

Jill ocknęła się z zamyślenia i spojrzała na Smitha. No tak, to biedne dziecko nie ma o niczym pojęcia! Spróbowała spojrzeć na wszystko z jego punktu widzenia. Nie udało się jej, ale i tak zrozumiała, że on nie zdaje sobie sprawy z tego, że cały czas uciekają przed... Właśnie, przed kim? Przed policją? Dyrekcją szpitala? Nie była pewna, co właściwie zrobiła, ani jakie przepisy prawa złamała. Wiedziała tylko, że wystąpiła przeciwko Możliwym, przeciwko tym, którzy dzierżą władzę w swych rękach.

Jak miała wyjaśnić Człowiekowi z Marsa, co im grozi, skoro sama nie miała o tym zbyt jasnego pojęcia? Czy na Marsie istniało coś w rodzaju policji? Tłumaczyć mu to wszystko znaczyło dokładnie to samo, co rzucać grochem o ścianę.

Boże, czy na Marsie rośnie groch?

- Nieważne - powiedziała dziarskim głosem. - Rób tylko to, co ci powiem.

- Tak.

Była to zgoda bez zastrzeżeń i na zawsze. Jill zaświtała nagle nedorzeczna myśl, że gdyby mu kazała wyskoczyć przez okno, z pewnością by to zrobił. Była to prawda. Skoczyłby, rozkoszowałby się każdym ułamkiem sekundy dwudziestopiętrowego spadania i bez zdziwienia ani żalu przyjąłby czekające na niego odcieleśnienie. Zresztą, nawet nie zdawałby sobie sprawy, że taki skok musi się dla niego fatalnie zakończyć. Nie wiedział, co to znaczy bać się śmierci. Jeżeli jego wodny brat uznałby za wskazane, żeby się właśnie w taki sposób odcieleśnił, przyjąłby tę decyzję z radością i po prostu starałby się ją zgrozkować.

- Nie możemy tak tutaj stać. Muszę nas nakarmić, ubrać cię w jakieś normalne ciuchy, a zaraz potem trzeba będzie stąd zniknąć. Rozbieraj się - poleciła, a sama udała się na przegład szaf Bena.

Wybrała kurtkę, spodnie, koszulę, beret, bieliznę i buty, po czym wróciła do salonu, gdzie zastała Smitha zaplątanego w ubranie niczym kot w motek włóczki. Głowę miał owiniętą spódnicą, w której uwięzła mu również jedna ręka, a na dokładkę nie zdjął peleryny.

- O, rety! - jęknęła Jill i rzuciła się na pomoc.

Wreszcie jakoś go rozebrała. Ubranie wrzuciła do zsypu - odkupi je później, a teraz chodziło przede wszystkim o to, żeby nie zostawić w mieszkaniu Bena żadnych śladów. Tak na wszelki wypadek.

- O, mój miły, czeka cię porządna kąpiel, zanim założysz te czyste rzeczy Bena. Marnie się tobą opiekowali. Chodź tu.

Jako pielęgniarka nie była zbyt wrażliwa na różne fizjologiczne zapachy, ale (właśnie jako pielęgniarka) miała małego bzika na punkcie mydła i wody. Tym razem było to o tyle uzasadnione, że jej podopieczny zdawał się już od dłuższego czasu nie mieć kontaktu z żadną z tych rzeczy. Nie można było powiedzieć, żeby śmierdział, ale czuć go było jak... Jak zmęczonego konia w upalny letni dzień.

Smith przyglądał się z zachwytem, jak Jill napełnia wannę wodą. Widział wannę po raz pierwszy w życiu i nie miał pojęcia, do czego mogłaby służyć. W szpitalu myto go tylko w łóżku, a i to niezbyt często; kiedy zapadał w swój somnabuliczny trans, w ogóle go nie dotykano.

Jill sprawdziła łokciem temperaturę wody.

- W porządku, włącz.

Smith sprawiał wrażenie lekko dezorientowanego.

- Szybciej! - pogoniła go Jill. - Wchodź do wody.

Wszystkie użyte przez nią wyrazy znajdowały się już w jego skromnym słownictwie, toteż, drżąc ze wzruszenia, zrobił, co mu kazano. Jego brat życzył sobie, żeby zanurzył całe ciało w wodzie życia! Nigdy do tej pory nie spotkał go taki zaszczyt; z tego, co wiedział, taki zaszczyt nie spotkał jeszcze n i k o - g o. Zaczynał powoli pojmować, że istoty, wśród których się znalazł, mają dużo częściej do czynienia z życiodajnym płynem. Jeszcze nie bardzo to grokował, ale akceptował jako oczywisty fakt.

Wsadził do wody drżącą stopę, potem drugą... Wreszcie osunął się, zanurzając całkowicie pod powierzchnię.

- Ojej! - pisnęła Jill, wyciągając mu głowę na wierzch i czując się tak, jakby miała już w rękach trupa. Boże, przecież nie mógł się utopić w tak krótkim czasie! Mimo to niesamowicie się zdenerwowała.

- Smith, obudź się! - krzyknęła trzęsąc nim zawzięcie. - Ocknij się!

Smith usłyszał z daleka wołanie brata i wrócił. Jego oczy straciły szklisty poblask, serce przyspieszyło rytm uderzeń, płuca ponownie wciągnęły powietrze.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Jill.

- Dobrze się czuję. Jestem szczęśliwy... mój bracie.

- Przestraszyłeś mnie. Słuchaj, już nigdy tak się nie zanurzaj! Po prostu siedź, tak jak teraz.

- Tak, mój bracie.

Smith dodał coś jeszcze, co dla dziewczyny było tylko skrzypiącym charkotem, a następnie nabrał w złęczone dłonie trochę wody z takim nabożeństwem, jakby miał do czynienia z drogocennymi kamieniami, uniósł ją do ust, dotknął wargami i podał ją Jill.

- Hej, nie pij wody z wanny! Nie, ja też jej nie chcę.

- Nie chcesz?

Ból, z jakim to powiedział, był tak wielki, że Jill nie wiedziała, co ma począc. Po chwili wahania nachyliła głowę i dotknęła ustami powierzchni zaofiarowanej wody.

- Dziękuję.

- Obyś nigdy nie była spragniona.

- I ty też. No, starczy tego. Jeśli chcesz się napić, zaraz coś ci przyniosę, ale nie pij już więcej tej wody.

Smith siedział bez ruchu w wannie. Jill zorientowała się już, że w życiu nie widział tego rodzaju urządzenia i nie ma pojęcia, co należy robić. Z pewnością potrafi mu pomóc; problem tylko w tym, że tracą masę cennego czasu.

A, co tam! Smith na pewno sprawi jej mniej kłopotu niż pobudzeni pacjenci z oddziału psychiatrycznego. Zdjęła bluzkę, zamoczoną zupełnie podczas akcji ratowniczej w wannie i powiesiła ją na suszarce. Krótka halka, którą miała pod spodem, teoretycznie nie powinna nasiąknąć wodą, ale lepiej nie kusić licha; ściągnęła ją przez głowę, dzięki czemu została jedynie w figach i staniczku.

Smith przyglądał się jej z zainteresowaniem szeroko otwartymi oczami dziecka. Jill poczuła ze zdziwieniem, że na twarz występują jej rumieńce. Uważała się za osobę wyzwoloną z okowów purytańskiej skromności - przecież pierwszą prywatkę połączoną z pływaniem na golasa zaliczyła w wieku piętnastu lat! - ale to dziecinne spojrzenie nie dawało jej spokoju. Zamiast zrobić to, co było oczywiste, postanowiła zaryzykować i pozostać w bieliźnie.

- No, to do roboty! - powiedziała wesoło, starając się ukryć zmieszanie. Uklękła przy wannie, namydliła gąbkę i zaczęła go myć.

Smith wyciągnął rękę i dotknął jej prawej piersi. Jill cofnęła się gwałtownie.

- Ej, nic z tych rzeczy!

Wyglądał, jakby uderzyła go w twarz.

- Nie? - zapytał tragicznym tonem.

- Nie - powtórzyła, po czym dodała łagodniej: - Nic się nie stało. Po prostu nie przeszkadzaj mi, bo jestem zajęta.

Skróciła kąpiel do minimum, wyjmując wcześniej korek i splukując go prysznicem w pozycji stojącej. Potem włączyła nadmuch ciepłego powietrza, sama zaś zaczęła się ubierać. Sztuczny gorący wiatr przestraszył go do tego stopnia, że zaczął się cały trząść, więc powiedziała mu, żeby się nie bał i kazała mu złapać się przeznaczonej specjalnie do tego celu poręczy. Kiedy był już suchy, pomogła mu wyjść z wanny.

- Teraz pachniesz o niebo ładniej i założę się, że czujesz się dużo lepiej niż przedtem.

- Czuję się dobrze.

- To znakomicie. A teraz założysz coś na siebie.

Zaprowadziła go do sypialni Bena, gdzie znalazła czyste szorty, ale zanim zdążyła mu wyjaśnić, jak się je zakłada, z domofonu odezwał się męski głos:

- Otwierać!

Szorty wysunęły się jej z dłoni, a ona sama poczuła dziwną miękkość w nogach. Czy wiedzą, że ktoś tu jest? Z pewnością, inaczej przecież by się nie fatygowali. Pewnie sprawdzili tę cholerną taksówkę!

Ma im otworzyć? A może lepiej udawać, że nikogo nie ma?

Domofon znowu się odezwał, tym razem jeszcze ostrzej niż poprzednio.

- Zostań tutaj - szepnęła do Smitha i na palcach pobiegła do salonu.

- Kto tam? - zapytała, starając się, żeby zabrzmiało to możliwie naturalnie.

- Otwierać w imieniu prawa!

- W imieniu jakiego prawa? Niech pan nie będzie głupi. Proszę mi powiedzieć, kim pan jest, albo wezwę policję!

- M y jesteśmy z policji. Pani nazywa się Gillian Boardman?

- Ja? Jestem Phyllis O'Toole i czekam na pana Caxtona. Zaraz zadzwonię na policję i złożę meldunek o bezprawnym wtargnięciu.

- Panno Boardman, mamy nakaz aresztowania pani. Proszę nam otworzyć, bo inaczej sprawy bardzo się dla pani skomplikują.

- Nie jestem żadna panna Boardman i w tej chwili wzywam policję!

Głos nie odpowiedział. Jill czekała, przełykając nerwowo ślinę. W pewnej chwili poczuła na twarzy wyraźne ciepło; zamek w drzwiach rozjarzył się czerwienią, potem do białości, a następnie coś chrupnęło i drzwi stanęły otworem. Weszło przez nie dwóch mężczyzn. Jeden z nich uśmiechnął się i powiedział:

- Oto nasza ślicznotka! Johnson, zobacz, gdzie on jest.

- Tak jest, panie Berquist.

Jill usiłowała zagrozić mu drogę, ale mężczyzna po prostu przesunął ją na bok i skierował się prosto do sypialni.

- Gdzie macie nakaz? To napad! - wychrypiała przez ściśnięte gardło.

- Kochanie, nie stwarzaj sobie niepotrzebnych kłopotów - odparł Berquist uspokajającym tonem. - Radzę ci, zachowuj się grzecznie.

Spróbowała kopnąć go w goleń, ale zdążył się odsunąć.

- Oj nieładnie, nieładnie! - roześmiał się drwiąco. -

Johnson, masz go?

- Tak jest, panie Berquist. Goły jak święty turecki. Niech pan zgadnie, do czego się właśnie zabierali!

- Nieważne. Dawaj go tutaj.

Johnson wyszedł z sypialni prowadząc przed sobą Smitha. Wykręcał mu mocno jedną rękę.

- Nie chciał się ruszyć.

- Przekonamy go.

Jill dała nura obok Berquista i rzuciła się na Johnsona; mężczyzna uderzył ją na odlew w twarz.

- Spokojnie, fląderko.

Uderzył ją dużo słabiej niż wtedy, kiedy bił swoją żonę, zanim ta od niego odeszła, czy aresztantów, gdy ci nie chcieli zeznawać. Do tej chwili Smith nie zareagował żadnym słowem ani nawet grymasem twarzy; nie rozumiał, o co chodzi i starał się nic nie robić.

Kiedy jednak zobaczył, że jeden z obcych ludzi zadał ból jego wodnemu bratu, szybkim ruchem uwolnił ramię z uchwytu, odwrócił się, wyciągnął rękę w stronę Johnsona i...

Johnson zniknął.

O tym, że jeszcze przed chwilą tu był, świadczyła tylko zgnieciona trawa. Jill wpatrywała się w to miejsce czując, że właściwie równie dobrze mogłaby już zemdleć.

Berquist rozdziawił szeroko usta, zamknął je, po czym zapytał chrapliwie:

- Co z nim zrobiłaś?

- Ja? Nic.

- Nie wciskaj mi ciemnoty. Masz tu jakąś zapadnię, czy coś w tym rodzaju?

- A gdzie on właściwie zniknął?

Berquist oblizwał nerwowo wargi.

- Nie wiem. - Wyciągnął z kieszeni rewolwer. - Nie próbuj

na mnie swoich sztuczek. Zostaniesz tutaj, a on pójdzie ze mną.

Smith znowu czekał. Nie rozumiejąc o co chodzi, zrobił maksimum tego, co mógł. Widok broni jednak nie był mu obcy - mieli ją ci, którzy przywieźli go z Marsa - a wyraz twarzy Jill, spoglądającej z przerażeniem na wylot lufy wcale mu się nie podobał. Zgromadził, że jest to jeden z tych momentów w życiu, kiedy trzeba zrezygnować z kontemplacji i zachwycania się wszystkim, co jest dokoła, na rzecz szybkiego działania, bo w przeciwnym razie można już nigdy nie mieć okazji do kontemplowania czegokolwiek.

Udało mu się przyswoić wszystko, czego uczyli go Starzy. Zrobił krok w kierunku Berquista; rewolwer natychmiast skierował się w jego stronę, a on wtedy wyciągnął rękę do napastnika i...

Berquist zniknął.

Jill wrzasnęła przeraźliwie.

Przez cały czas twarz Smitha była zupełnie bez wyrazu, ale teraz pojawił się na niej bezbrzeżny smutek. Najwidoczniej zrobił coś niewłaściwego. Utkwiwszy w dziewczynie błagalne spojrzenie zaczął się trząść na całym ciele, a potem błysnął białkami oczu, osunął się łagodnie na podłogę, skulił w pozycji embrionalnej i zmarł w bezruchu.

W tej samej chwili Jill uspokoiła się. Miała przed sobą chorego, który jej potrzebował. Nie było czasu ani na emocje, ani na zastanawianie się, gdzie zniknęli obaj mężczyźni. Przyklękła przy Człowieku z Marsa i zabrała się do badania.

Nie mogła wyczuć ani pulsu, ani oddechu. Przycisnęła ucho do jego klatki piersiowej; myślała już, że ustała również akcja serca, ale po dłuższej chwili usłyszała powolne "bum-buum", a w kilka sekund później następne.

Stan Smitha przypominał jej głęboki trans, dużo głębszy nawet od tych, jakie widziała podczas pokazów hipnozy. Słyszała, że coś takiego potrafią osiągnąć indyjscy joginowie, ale nie bardzo wierzyła nie potwierdzonym plotkom.

W normalnych warunkach po prostu wezwałaby lekarza, ale tym razem warunki nie były normalne. Ostatnie wypadki utwierdziły ją tylko w postanowieniu, żeby za wszelką cenę nie dopuścić do tego, by Smith ponownie dostał się w łapy władz.

Po dziesięciu minutach usiłowań wiedziała już, że nie uda się jej go obudzić.

W sypialni Bena znalazła poobijany kufer - za duży na to, żeby służył za wygodny bagaż podręczny, a za mały, żeby być

pełnowartościową walizą. W środku znajdowała się przenośna maszyna do pisania wyposażona w dekodery mowy, a także przybory toaletowe i zmiana ubrania, czyli wszystko, czego może potrzebować reporter wyruszający z domu na nagłe wezwanie. Fakt, że wszystko to pozostało w mieszkaniu, wskazywał, że nagłe zniknięcie Bena było spowodowane czymś innym niż twierdził Kilgallen, ale teraz nie to było najważniejsze. Jill opróżniła kufer i zaciągnęła go do salonu.

Smith ważył więcej od niej, lecz Jill nieraz musiała radzić sobie z pacjentami nawet dwukrotnie przewyższającymi ją wagą, toteż zdołała wcisnąć go do kufra. Mięśnie Człowieka z Marsa stawiały silny opór wszelkim gwałtowniejszym próbom ich poruszenia, ale dłuższym delikatnym naciskom poddawały się równie łatwo jak plastelina. Kąty kufra wypchała ubraniami Bena. Chciała zrobić kilka dziur, żeby umożliwić dostęp powietrza, ale materiał, z którego wykonano kufer, okazał się zbyt twardy. Uznała, że przy prawie niewyczuwalnym oddychaniu i zwolnionym metabolizmie Smithowi nie powinno się nic stać.

Z najwyższym wysiłkiem zdołała oburącz unieść kufer, ale o niesieniu go nie miała nawet co marzyć. Na szczęście, był wyposażony w parę małych rolek, dzięki czemu mogła go ciągnąć za sobą. Na trawniku zostały dwie głębokie bruzdy.

Nie wjechała na dach; z taksówkami nie chciała w ogóle mieć do czynienia. Zjechała windą na sam dół, do wyjścia gospodarczego. Zastała tam tylko jakiegoś chłopaka sprawdzającego najświeższą dostawę żywności do kuchni. Odsunął się na bok, pozwalając jej wytaszczyć kufer na ulicę.

- Co tam wleczesz, malutka? Bieliznę do pralni?

- Nie, świeżego trupa! - parsknęła zasapana Jill.

Wzruszył ramionami.

- Głupie pytanie, głupia odpowiedź. Mam, na co zasłużyłem.

## CZEŚĆ DRUGA

### Jego nieprawdopodobne dziedzictwo

#### Rozdział IX



Tego dnia trzecią planetę Układu Słonecznego zamieszkiwało o dwieście trzydzieści tysięcy istot ludzkich więcej niż dnia poprzedniego; jednak w ogólnej liczbie pięciu miliardów ludzi przyrost ten pozostał zupełnie nie zauważony.

Stowarzyszone z Federacją Królestwo Południowej Afryki ponownie stanęło przed Sądem Najwyższym, oskarżone o dyskryminację białej mniejszości. Dyktatorzy mody zjechali się do Rio i ogłosili, że lamówki schodzą niżej oraz że należy zakrywać pępki. Obronne satelity Federacji czaiły się na swych orbitach, grożąc natychmiastowym zniszczeniem każdemu, kto ośmieliłby się zakłócić spokój planety.

Satelity reklamowe bezustannie zakłócały ten spokój swoim jazgotem, zachwalając po kolei zalety wszystkich artykułów, jakie w ogóle produkowano na Ziemi. Na brzegach Zatoki Hudsona osiadło pół miliona więcej samobieżnych domów niż o tej samej porze w zeszłym roku. Chiński Pas Ryżowy ogłoszono strefą głodu. Cyntia Duchess, znana powszechnie jako Najbogatsza Dziewczyna Świata, spłaciła swego szóstego męża.

Wielebny doktor Daniel Digby, nadbiskup Kościoła Powtórnego Objawienia (fosteryci), ogłosił, że wyznaczył anioła Azreela na przewodnika senatora Federacji Thomasa Boone'a i że najpóźniej wieczorem spodziewa się otrzymać z Nieba zatwierdzenie swojej decyzji; agencje podały to jako zwyczajną informację, rewanżując się w ten sposób fosterytom za niszczycielskie rajdy dokonywane w przeszłości na siedziby środków masowego przekazu. Panu Harrisonowi Campbellowi VI i jego małżonce, przebywającym na urlopie w Peru, zastępcza matka urodziła syna - spadkobiercę rodzinnej fortuny. Doktor Horace Quackenbush, profesor w Yale Divinity School, wezwał do odnowienia wiary i kultywowania wartości duchowych. Ponad połowa graczy drużyny futbolowej z West Point okazała się zamieszana w aferę totolotkową. Trzech chemików zajmujących się badaniami nad bronią bakteriologiczną zostało przymusowo hospitalizowanych w Toronto z powodu, jak to określono, "załamania nerwowego"; wszyscy trzej postanowili wystąpić ze skargą do Sądu Najwyższego. Sąd Najwyższy unieważnił wyrok Sądu Stanów Zjednoczonych w sprawie Reinsberg kontra stan Missouri.

Jego Ekscelencja Joseph E. Douglas, sekretarz generalny Światowej Federacji Wolnych Narodów, starał się zmusić do zjedzenia śniadania zastanawiając się, dlaczego przyrządzenie filiżanki naprawdę dobrej kawy jest niemal

fizyczną niemożliwością. W stojącym przed nim czytniku z optymalną dla Douglasa szybkością przesuwały się informacje, przygotowane specjalnie dla niego przez nocną zmianę sztabu. Czytnik działał tylko wtedy, gdy Douglas spoglądał w jego kierunku. Robił to właśnie w tej chwili, ale tylko po to, by uniknąć spojrzenia swego szefa siedzącego po drugiej stronie stołu. Pani Douglas nie czytała informacji; miała swoje sposoby, żeby zawsze o wszystkim wiedzieć.

- Joseph...

Spojrzał na nią i czytnik natychmiast się wyłączył.

- Tak, kochanie?

- Coś cię gryzie.

- Mnie? Skąd ci to przyszło do głowy, najdroższa?

- Joseph! Już od trzydziestu pięciu lat rozpieszczęm cię, ceruję ci skarpetki i robię wszystko, żebyś miał jak najmniej kłopotów, więc chyba wiem, kiedy cię coś gryzie, a kiedy nie?

Do licha, rzeczywiście zawsze wiedziała. Patrząc na nią zastanawiał się, jak do jasnej cholery udało się jej zmusić go do podpisania bezterminowego kontraktu małżeńskiego. W "starych dobrych czasach", kiedy jeszcze pracował jako zwyczajny prawnik, była jego sekretarką. Pierwszy kontrakt, jaki podpisali, opiewał na dziewięćdziesiąt dni, a chodziło im wyłącznie o to, żeby zaoszczędzić trochę grosza na rachunkach hotelowych. (Był wtedy w trakcie pierwszej w życiu kampanii wyborczej.) Obydwoje uznali wówczas zgodnie, że będzie to po prostu spore udogodnienie; jednak nawet wtedy nie śniło się jej, żeby cerować mu skarpetki!

Usiłował sobie przypomnieć, kiedy to się zmieniło. W oficjalnej biografii pani Douglas ("Cień wielkości, czyli historia pewnej kobiety"), można było wyczytać, że oświadczył się jej podczas obliczania głosów po pierwszych wyborach i że jego romantyczna natura nie chciała się zgodzić na nic innego, jak tylko na staroświeckie małżeństwo do grobowej deski.

Cóż, chyba nie było sensu zaprzeczać oficjalnej wersji.

- Joseph! Odpowiedz mi!

- Och, to nic takiego, moja droga. Po prostu miałem niespokojną noc.

- Wiem o tym. Zawsze wiem, kiedy budzą cię w nocy.

Uświadomił sobie, że przecież ich apartamenty dzieli co najmniej pięćdziesiąt metrów.

- A skąd o tym wiesz, kochanie?

- Skąd? Dzięki kobiecej intuicji. Co ci powiedział Bradley?

- Proszę cię, moja droga... Muszę to wszystko przeczytać jeszcze przed posiedzeniem Rady...

- Josephie Edgertonie Douglassie, nie próbuj mnie zbyć byle czym.

Westchnął ciężko.

- Straciliśmy z oczu tego przybłądę Smitha.

- Smitha? Człowieka z Marsa? Jak to "straciliśmy z oczu"? To śmieszne!

- Może i tak, ale prawdziwe. Zniknął wczoraj ze swojej izolatki.

- Niewiarygodne! W jaki sposób?

- Najprawdopodobniej przebrany za pielęgniarkę.

- Co?! Ale... Jakie kroki podjąłeś, żeby go złapać?

- No, szukamy go. Sami zaufani ludzie: Berquist...

- Ten dureń? Zamiast wprowadzić do akcji najlepszych oficerów Służb Specjalnych, ty posyłasz tego idiotę Berquista!

- Ależ, kochanie, nie rozumiesz złożoności sytuacji. Po prostu nie możemy nic takiego zrobić. Oficjalnie Smith wcale nie zaginął. Widzisz, mamy jeszcze... eee... drugiego. Tego, hm, "oficjalnego" Człowieka z Marsa.

- Aha... - zabębniła palcami po stole. - Ostrzegałam cię, że ten pomysł z podstawieniem sobowtóra jeszcze nam wyjdzie bokiem.

- Przecież to ty go zaproponowałaś!

- Wcale nie. I nie próbuj się ze mną sprzeczać. Hmm...

Wezwij tu Berquista.

- Nie ma go. Jest w akcji i do tej pory jeszcze się nie zameldował.

- Co takiego? No tak, pewnie jest już w pół drogi do Zanzibaru. Sprzedał nas. Nigdy mu nie ufałam. Mówiłam ci, kiedy go angażowałam...

- Kiedy ja go angażowałam?

- Nie przerywaj. Mówiłam ci, że każdy, kto bierze pieniądze z dwóch źródeł, nie będzie miał żadnych skrupułów, żeby brać je także z trzeciego. - Zmarszczyła brwi. - Joseph, w tym musi maczać palce Wschodnia Koalicja. Lada dzień możesz spodziewać się w Zgromadzeniu głosowania nad votum nieufności.

- Niby dlaczego? Przecież nikt o tym nie wie.

- Och, na niebiosy! Wkrótce będą wiedzieć wszyscy, Wschodnia Koalicja już się o to zatroszczy. Bądź przez chwilę cicho i pozwól mi pomyśleć.

Douglas posłusznie zamilkł. Spojrzał znowu na czytnik i dowiedział się, że Rada Miejska Los Angeles wystąpiła do

Federacji z petycją o udzielenie jej pomocy w walce ze smogiem, gdyż Ministerstwo Zdrowia nawaliło z dostarczeniem czegoś tam... Trzeba będzie coś zrobić w tej sprawie, bo inaczej Charlie może mieć sporo kłopotów z utrzymaniem się w fotelu burmistrza, zwłaszcza że ten kandydat fosterytów... Akcje Lunar Enterprises podskoczyły przy zamknięciu giełdy o dwa punkty...

- Joseph!

- Tak, kochanie?

- Nasz "Człowiek z Marsa" jest jedyny i prawdziwy. Ten, z którym wyskoczy Wschodnia Koalicja, to tylko nędzna imitacja. Tak to załatwimy.

- Ależ, moja kochana, nie damy rady.

- Co to znaczy, "nie damy rady"? Musimy.

- Kiedy to naprawdę niemożliwe. Naukowcy bez trudu zdemaskują fałszerstwo. Nawet nie wiesz, ile musiałem się nagimnastykować, żeby już wcześniej nie dobrali się do niego.

- Naukowcy!

- Ale w każdej chwili może im się to udać.

- Nic mnie to nie obchodzi. Dobre sobie, naukowcy!

Przesady wymieszane pół na pół z domysłami. Należałoby ich wszystkich pozamykać. Właściwie, to powinni być ścigani przez prawo. Tyle razy już ci powtarzałam, że jedyną prawdziwą dziedziną wiedzy jest astrologia.

- No, nie wiem, kochanie... Nigdy jej specjalnie nie potępiałem, ale...

- Ja myślę! Tyle razy ci pomagała!

- ...ale ci naukowcy też wcale nie są tacy głupi. Ot, nie dalej jak wczoraj jakiś profesor opowiadał mi o gwiazdzie ważącej sześć tysięcy razy więcej niż ołów. Czy może sześćdziesiąt tysięcy?.. Zaraz, niech sprawdzę...

- Bzdury! Skąd niby mieliby to wiedzieć? Zamilcz, Josephie. Nie przyznamy się do niczego. Ich Człowiek z Marsa to nędzna imitacja, nic więcej. Tymczasem trzeba zrobić wszystko, żeby nasze Służby Specjalne odzyskały go, zanim Wschodnia Koalicja ogłosi, że jest w jego posiadaniu. Jeżeli trzeba będzie podjąć nadzwyczajne kroki i ten cały Smith zostanie zastrzelony podczas aresztowania czy coś w tym rodzaju - trudno. I tak sprawiał nam tylko kłopot.

- Agnes! Czy ty wiesz, co sugerujesz?

- Niczego nie sugeruję. Tylu ludziom codziennie przydarzają się nieszczęścia. Tę sprawę trzeba rozwiązać, Joseph. Z maksymalną korzyścią dla maksymalnie dużej liczby osób, jak ty to zwykle mówisz.

- Nie chcę, żeby mu się coś stało.

- A kto mówi o tym, że ma mu się coś stać? Po prostu musisz podjąć zdecydowane działania, to twój obowiązek. Historia przyzna ci rację. Jak sądzisz, co jest ważniejsze: zapewnić spokój pięciu miliardom ludzi, czy litować się nad pojedynczym osobnikiem, który nawet nie jest obywatelem w pełnym znaczeniu tego słowa?

Douglas nic nie odpowiedział. Pani Douglas wstała z miejsca.

- Nie mogę tracić czasu na dyskusję z kimś, do kogo nie docierają logiczne argumenty. Idę do madame Vesant po nowy horoskop. Nie po to poświęciłam najlepsze lata życia, windując cię tam, gdzie teraz jesteś, by stracić to wszystko tylko dlatego, że nagle zmiękł ci kręgosłup. Masz jajko na brodzie.

Po czym wyszła.

Najpotężniejszy człowiek na Ziemi wypił jeszcze dwie filiżanki kawy i dopiero wtedy udał się na posiedzenie Rady. Biedna Agnes! Już nieraz odnosił wrażenie, że sprawia jej zawód. Z pewnością wraz z upływem czasu wcale nie było jej łatwiej. No cóż, przynajmniej zawsze była lojalna, od czubka głowy po koniuszki palców u nóg, a któż jest bez wad; nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że ma go dosyć równie serdecznie jak on jej.

Wyprostował przygarbione plecy. Jedno było pewne: nie pozwoli im zrobić krzywdy temu biednemu Smithowi! Co prawda, sprawiał masę kłopotów, to fakt, ale jednocześnie chwycił za serce swoją nieświadomością i bezradnością. Szkoda, że Agnes nie miała okazji zobaczyć, jak łatwo było go przerazić; z pewnością nie proponowałyby wtedy takich rzeczy. Smith obudziłby w niej macierzyńskie uczucia.

Ale czy Agnes miała w sobie jakiegokolwiek macierzyńskie uczucia? Trudno było w to uwierzyć, kiedy widziało się ją z ustami zaciśniętymi w wąziutką kreskę. Bzdury, przecież zostało naukowo udowodnione, że wszystkie kobiety są wyposażone w jakieś tam uczucia macierzyńskie, no nie?

Niech ją gęś kopnie! Tak czy owak nie pozwoli, żeby ustawiała go wedle swego widzimisię. Przypominała mu bezustannie, że to jej zawdzięcza swoją obecną pozycję, ale on miał na ten temat własne zdanie. Odpowiedzialność spoczywała wyłącznie na jego barkach. Wstał, wyprostował się i ruszył na posiedzenie Rady.

Przez cały dzień oczekiwał na to, że ktoś poruszy sprawę zaginięcia Smitha, lecz nic takiego nie nastąpiło. W związku z

tym nieodparcie nasuwał się wniosek, że, o dziwo, cała afera nie wydostała się jeszcze poza wąski krąg jego współpracowników. Sekretarz generalny miał tylko jedno pragnienie: zamknąć oczy i pozwolić, żeby ten cholerny galimatias jakoś sam się rozwiązał. Niestety, było to niemożliwe. Nie pozwalał na to zarówno bieg wydarzeń, jak i jego żona.

Agnes Douglas nie czekała, aż jej mąż podejmie jakieś kroki w sprawie Człowieka z Marsa. Ludzie z Pałacu słuchali zarówno jego, jak i jej - niewykluczone nawet, że jej bardziej. Wezwała do siebie zastępcę asystenta do spraw kontaktów publicznych, jak nazywano sekretarza prasowego, po czym zajęła się najpilniejszą sprawą: nowym horoskopem. Specjalna linia wizyjna łączyła jej apartament z gabinetem madame Vesant. Pulchna twarz wróżbitki pojawiła się na ekranie niemal natychmiast.

- To ty, Agnes? Co się stało? Właśnie rozmawiam z klientem.

- Mam nadzieję, że nas nie słyszy?

- Oczywiście, że nie.

- Więc pozbądź się go.

Na twarzy madame Aleksandry Vesant nie pojawił się nawet cień niezadowolenia.

- Zaczekaj chwileczkę.

Zniknęła z ekranu, na którym pojawił się napis PROSZĘ CZEKAĆ. Ktoś wszedł do apartamentu i stanął przy biurku pani Douglas; był to James Sanforth, sekretarz prasowy, po którego posłała.

- Miałeś jakieś wiadomości od Berquista? - zapytała.

- Ja się tym nie zajmuję, to działka McCary'ego.

Machnęła ze zniecierpliwieniem ręką.

- Nieważne. Musisz go ośmieszyć, zanim zdąży cokolwiek powiedzieć.

- Przypuszcza pani, że Berquist nas sprzedał?

- Nie bądź naiwny. Powinieneś był skontaktować się ze mną, zanim mu to zleciłeś.

- Nie zrobiłem tego, bo tą sprawą zajmował się McCary.

- Ale ty powinieneś wiedzieć wszystko, co się dzieje. - Na ekranie ponownie pojawiła się twarz madame Vesant. - Poczekaj na zewnątrz - rzuciła Sanforthowi pani Douglas, po czym zwróciła się do wizjofonu:

- Allie, moja kochana! Potrzebuję nowych horoskopów dla mnie i mojego męża, i to jak najprędzej.

- Dobrze. - Astrolog zawahała się przez moment. - Ale

mogłabym ci znacznie bardziej pomóc, moja droga, gdybym wiedziała, co takiego się stało.

Palce pani Douglas zabębniły na blacie biurka.

- Ale nie musisz?

- Oczywiście, że nie. Każdy, kto przejdzie odpowiednio intensywne szkolenie, a także posiada znajomość matematyki i gwiazd, może postawić horoskop nie dysponując żadnymi dodatkowymi informacjami oprócz godziny i miejsca urodzenia danej osoby. Sama mogłabyś się tego nauczyć, gdybyś nie była tak bardzo zajęta. Ale pamiętaj o jednym: gwiazdy ukierunkowują, lecz nie prowadzą. Jeżeli mam dokonać szczegółowej analizy, żeby służyć ci radą w krytycznej sytuacji, muszę wiedzieć, gdzie i czego mam szukać. Czy najbardziej będzie nas interesować Wenus? A może Mars? Czy też...

Pani Douglas podjęła błyskawicznie decyzję.

- Mars. Allie, będę potrzebowała jeszcze jednego horoskopu.

- Bardzo proszę. Czyjzego?

- Hmm... Mogę ci ufać?

Madame Vesant sprawiała wrażenie osoby lekko urażonej.

- Agnes, jeżeli mi nie wierzysz, to najlepiej w ogóle się do mnie nie zwracaj. Nie ja jedna posiadam tajniki starożytnej wiedzy. Inni mogą ci dodatkowo służyć całą naukową obudową, na przykład profesor Krausemeyer, choć podobno...

- Allie, przestań! Nawet by mi przez myśl nie przeszło zwrócić się do kogokolwiek innego. A teraz słuchaj: jesteś sama?

- Oczywiście, moja droga.

- Potrzebny mi horoskop Valentine'a Michaela Smitha.

- Valentine'a Mi... Człowieka z Marsa?

- Tak, tak! Allie, on został porwany! Musimy go odnaleźć.

Dwie godziny później madame Aleksandra Vesant odsunęła się od biurka i westchnęła głęboko. Poleciała sekretarce odwołać wszystkie seanse; rozłożone przed nią kartki papieru były pokryte diagramami i figurami, a honorowe miejsce na biurku zajmowała opasła księga, zniszczona od częstego używania. Różnica między Aleksandrą Vesant a niektórymi innymi astrologami polegała na tym, że ona podczas swych obliczeń opierała się niemal wyłącznie na popularnym wydaniu "dzieła" zatytułowanego "Arkana astrologii i klucz do Kamienia Salomonowego". Egzemplarz ten odziedziczyła po swym nieżyjącym mężu, profesorze Simonie Magusie, mentaliście, jarmarcznym hipnotyzerze i iluzjoniście, a przede wszystkim pilnym

studencie "Arkanów".

Ufała książce równie mocno, jak jemu. Nikt nie potrafił postawić horoskopu tak jak Simon, kiedy był trzeźwy. Prawie nie korzystał wtedy z książki. Zdawała sobie sprawę, że ona nigdy nie osiągnie takiego mistrzostwa. Czasem coś jej nie wychodziło w obliczeniach - Becky Vessey (tak się niegdyś nazywała) właściwie nigdy nie opanowała do końca tabliczki mnożenia, a w dodatku miała skłonność do mylenia siódemek z dziewiątkami.

Mimo wszystko stawiane przez nią horoskopy cieszyły się dużym wzięciem. Pani Douglas nie była jedyną jej klientką z wyższych sfer.

W pierwszej chwili, kiedy żona sekretarza generalnego zażądała od niej horoskopu dla Człowieka z Marsa, madame Vesant ogarnęła panika. Poczula się dokładnie tak samo jak wówczas, kiedy jakiś dureń zaproszony na scenę z widowni tak niefortunnie zawiązał jej opaskę na oczach, że naprawdę nic nie widziała, a tymczasem Profesor zabierał się właśnie do zadawania jej pytań dotyczących kształtu i koloru oglądanych przez wszystkich, tylko nie przez nią, przedmiotów. Wtedy jednak przekonała się, że posiada talent udzielania właściwych odpowiedzi; stłumiła obezwładniające uczucie strachu i postanowiła grać dalej.

Przed wszystkim zażyczyła sobie dokładnych informacji co do godziny, dnia i miejsca urodzenia Człowieka z Marsa, będąc niemal pewna, że ich nie uzyska.

Myliła się jednak; po niezbyt długim oczekiwaniu otrzymała wszystkie potrzebne dane. Przez ten czas zdążyła opanować do końca panikę. Zanotowała to, co było jej potrzebne i obiecała zadzwonić natychmiast, jak tylko horoskopy będą gotowe.

Po dwóch godzinach wyczerpujących obliczeń wiedziała wszystko o państwie Douglasach, natomiast w dalszym ciągu nic o Człowieku z Marsa. Powód był równie prosty, co niemożliwy do ominięcia: Smith nie urodził się na Ziemi.

Jej astrologiczna biblia nie zawierała żadnej wskazówki, co robić w takiej sytuacji. Nic zresztą dziwnego - autor książki zmarł na długo przed pierwszym lądowaniem na Księżycu. Próbowwała ratować się przyjmując założenie, że podstawowe zasady pozostają niezmienione, natomiast drobną korektę należy wprowadzić tylko w części równań dotyczących umiejscowienia w przestrzeni, ale wprowadziło ją to w taki gąszcz nieznanych zależności, że poczuła się kompletnie zagubiona. Nie była nawet pewna, czy układające się w znaki Zodiaku gwiazdozbiory



wyglądają z Marsa tak samo, jak z Ziemi. A co mogła począć bez znaków Zodiaku?

Równie dobrze mogłaby podjąć próbę wyciągnięcia z jakiejś liczby pierwiastka sześciennego. Nigdy nie opanowała tej umiejętności i między innymi właśnie z tego powodu musiała pożegnać się ze szkołą.

Wyciągnęła butelkę, którą trzymała na takie właśnie, trudne chwile. Nalała sobie do szklanki, potem napełniła ją powtórnie i zastanowiła się, co by w takiej sytuacji począł Simon. Mogła niemal usłyszeć jego spokojny głos: "Ufności, dziecino! Miej ufność, a wtedy ci prostaczkowie będą ufać tobie. Jesteś im to winna."

Poczuła się znacznie lepiej i od razu dziarsko zabrała się do spisywania horoskopów dla państwa Douglas. O ileż łatwiej było jej później sporządzić horoskop dla Smitha! Po raz kolejny potwierdziła się stara prawda: słowa zapisane na papierze same potwierdzają swoją wagę. Przecież wyglądają tak prawdziwie... Kończyła właśnie, kiedy zadzwoniła Agnes Douglas.

- I co, Allie? Masz już?

- Właśnie kończę. Chyba sama rozumiesz, że postawienie horoskopu dla tego Smitha nie było łatwą sprawą. Przez to, że urodził się na innej planecie, musiałam dokonywać poprawek w każdej fazie obliczeń. Słabszy wpływ Słońca, niemal żaden Diany, zupełnie inny, a nawet wręcz niepowtarzalny Jowisza... Sama widzisz. Musiałam przeprowadzić specjalne...

- Allie, to nieważne! Masz horoskopy?

- Oczywiście.

- Och, dzięki Bogu! Bałam się, że próbujesz mi powiedzieć, że nie dałaś sobie rady.

- Moja droga, nauka nigdy się nie zmienia, zmieniają się jedynie konfiguracje - odparła z odrobiną urażonej godności w głosie madame Vesant. - Skoro przepowiedziała czas i miejsce narodzin Chrystusa, czas i miejsce śmierci Cezara, jakże mogłaby nas teraz zawieść?... Prawda zawsze pozostanie Prawdą, niezmienną i niewzruszoną.

- Tak, oczywiście.

- Jesteś gotowa?

- Tylko włączyć nagrywanie. Już, w porządku.

- Znakomicie. Agnes, znajdujesz się obecnie w najbardziej krytycznym momencie swego życia. Nigdy do tej pory nie widziałam wokół ciebie równie silnych konfiguracji. Przede wszystkim musisz być opanowana, nie daj się ponieść emocjom i dokładnie rozważ każdy następny krok. Ogólnie rzecz biorąc

potencjały sprzyjają ci, pod warunkiem, że będziesz unikać wszelkich nieprzemyślanych działań. Nie zaprzataj swego umysłu zewnętrznymi objawami... - ciągnęła swoje rady. Becky Vessey zawsze udzielała dobrych rad i robiła to z przekonaniem, ponieważ wierzyła w każde swoje słowo. Nauczyła się od Simona, że nawet wtedy, gdy wszystko wskazuje na to, że gwiazdy są przeciwko, istnieją sposoby złagodzenia ciosu i wskazania klientowi tych aspektów sytuacji, które będzie mógł wykorzystać na swoją korzyść.

Twarz na ekranie, jeszcze niedawno spięta i niespokojna, wypogodziła się. Agnes Douglas potwierdzała każdą otrzymaną wskazówkę lekkim skinieniem głowy.

- Jak więc widzisz - zakończyła madame Vesant - biorąc pod uwagę wszystkie trzy horoskopy, zniknięcie Smitha jest wręcz koniecznością. Nie obawiaj się, on wkrótce powróci albo przynajmniej o nim usłyszysz. Najważniejsze, żeby nie czynić niczego w pośpiechu. Bądź opanowana.

- Rozumiem.

- Aha, jeszcze jedno: niezwykle korzystny jest wpływ Wenus, silniejszy nawet od oddziaływania Marsa. Wenus symbolizuje, rzecz jasna, ciebie, podczas gdy Mars to zarówno twój mąż, jak i Smith. Fakt ten obarcza się podwójnym ciężarem, któremu musisz sprostać: jest wręcz nieodzowne, abyś zdemontowała typowo kobiece cnoty chłodnego rozsądku i powściągliwości. Masz być podporą dla swego męża, pomocą w chwilach kryzysu i ukojeniem po nich. Masz być jak matka-ziemia, mądra chłodną mądrością krystalicznie czystych źródeł. Taki jest dar, który posiadasz i musisz go wykorzystać.

Z piersi pani Douglas wyrwało się głębokie westchnienie.

- Allie, jesteś po prostu cudowna! Nie wiem, jak mam ci dziękować.

- Podziękuj Mistrzowi, którego jestem tylko skromną naśladowniczką.

- Jemu nie mogę, więc dziękuję tobie. To nie będzie zwykła zapłata, Allie. Otrzymasz specjalny prezent.

- Ależ, Agnes! To dla mnie wielki przywilej, że mogę ci służyć.

- A moim przywilejem jest doceniać tych, którzy mi służą. Allie, ani słowa więcej!

Madame Vesant wysłuchiwała jeszcze kilku komplementów pod swoim adresem, po czym, odczuwając przyjemne, promieniujące niemal fizycznym ciepłem zadowolenie z tego, że udzieliła odpowiedzi, której słuszności była całkowicie pewna, wyłączyła

aparatu. Biedna Agnes! To naprawdę był przywilej móc prostować krętą ścieżkę, po której stąpała i zmniejszać nieco ciężar, który dźwigała na swych barkach. Dobrze było mieć świadomość, że się jej pomaga.

Było jej miło, że żona sekretarza generalnego traktuje ją jak kogoś równego sobie, choć myślała o tym w ten sposób tylko wtedy, kiedy ogarniała ją na jakiś czas fala snobizmu. Zdarzało się to, bo przed laty mała Becky Vessey była kimś tak mało ważnym, że nawet dzielnicowy nigdy nie mógł sobie przypomnieć jej imienia, chociaż doskonale pamiętał jej biust. Becky Vessey nie miała mu tego za złe, gdyż lubiła ludzi. Lubiła też Agnes Douglas.

Becky Vessey lubiła wszystkich.

Siedziała dłuższą chwilę przy biurku rozkoszując się jeszcze jedną szklaneczką trunku i przyjemnym uczuciem zadowolenia z dobrze wykonanej pracy, podczas gdy jej mózg pracował intensywnie, próbując dopasować poszczególne fragmenty łamigłówek. Wreszcie połączyła się ze swoim agentem giełdowym i poleciła mu czym prędzej sprzedać wszystkie akcje Lunar Enterprises.

- Allie, ta dieta chyba osłabiła twoje zdolności myślenia!

- parsknął z oburzeniem.

- Słuchaj, Ed: sprzedawaj nawet wtedy, jeśli spadną o dziesięć punktów. Jak podskoczą o trzy, kupuj i sprzedaj znowu, kiedy dojdą do dzisiejszego poziomu.

Odpowiedziała jej długa cisza. Wreszcie odzyskał głos:

- Allie, ty coś wiesz. Powiedz wujkowi Edowi.

- Wyczytałam to z gwiazd.

Ed zaproponował jej coś, co było wręcz astronomicznie niemożliwe.

- Dobra, nie chcesz powiedzieć, to nie. Hmm... Nigdy nie miałem dość rozsądku, żeby trzymać się z daleka od podejrzanych interesów. Masz coś przeciwko temu, żebym się przyłączył?

- Ależ skąd. Tylko uważaj, żeby nie wywołać paniki. To bardzo delikatna sytuacja, pod silnym wpływem Saturna zawieszono między Lwem i Panną.

- W porządku, Allie.

Pani Douglas zabrała się od razu do pracy, szczęśliwa, że Allie potwierdziła jej ocenę sytuacji. Wydała polecenia dotyczące wszczęcia kampanii mającej na celu zdyskredytowanie nie dającego ciągle znaku życia Berquista, a następnie wezwała do siebie komendanta Twitchella ze Służb Specjalnych - wyszedł ze skwaszoną miną i przez resztę dnia nie dał żyć swojemu

zastępcy. Kazała Sanforthowi nadać kolejne audycje z "Człowiekiem z Marsa", rozpowszechniając jednocześnie plotkę, że według "źródeł zbliżonych do rządu" Smith ma się wkrótce udać, albo już się udał, do sanatorium położonego wysoko w Andach, by móc oddychać powietrzem w miarę możliwości najbardziej zbliżonym do marsjańskiego. Potem zaczęła się zastanawiać, jak zmusić Pakistan do pozostania w koalicji.

Po pewnym czasie połączyła się z mężem i wymogła na nim poparcie dla żądań Pakistanu dotyczących odkrytych w Kaszmirze złóż toru. Nie było to trudne zadanie, gdyż sam nosił się z takim właśnie zamiarem, chociaż po kilku minutach rozmowy niemal uwierzył, że był przeciwnikiem tego rozwiązania. Załatwiwszy tę sprawę pani Douglas udała się na zebranie koła Cór Drugiej Rewolucji, żeby wygłosić odczyt zatytułowany "Macierzyństwo w Nowym Świecie".

## Rozdział X

Podczas gdy pani Douglas rozwodziła się szeroko na temat, o którym nie miała najmniejszego pojęcia, Jubal E. Harshaw, doktor medycyny, bakałarz prawa, doktor nauk ścisłych, bon vivant, epikurejczyk, sybaryta, nadzwyczaj popularny aktor i filozof ze szkoły neopesymizmu, siedział przy basenie znajdującym się na terenie jego posiadłości w Górach Pocono, drapał się po szpakowatej gęstwinie porastającej jego pierś i obserwował swoje trzy pluszczące się w wodzie sekretarki. Wszystkie były niezwykle piękne, wszystkie też były zadziwiająco dobrymi sekretarkami. Wyznawana przez Harshawa zasada osiągnięcia maksimum efektów przy minimalnych nakładach wymagała, żeby piękno i użyteczność były połączone w jedno.

Anne była blondynką, Miriam ruda, a Dorcas czarnowłosa; w tej też kolejności należałoby je wymienić, gdyby chodziło o uszeregowanie ich od rozkosznie pulchnej do cudownie smukłej. Różnica wieku między najstarszą a najmłodszą wynosiła piętnaście lat, ale nie sposób było stwierdzić, która jest która.

Harshaw ciężko pracował. Większa część jego osoby obserwowała, jak ładne dziewczyny robią ładne rzeczy z wodą i ze słońcem, natomiast maleńki, odgradzony od zewnętrznego świata fragmencik tworzył. Harshaw zawsze twierdził, że jego metoda pisania polega na tym, by połączyć bezpośrednio

gruczoły płciowe z ośrodkami przyjemnościowymi w mózgu, wyłączając starannie pozostałą jego część. Sądząc po jego obyczajach, stosował tę zasadę, kiedy tylko mógł.

Mikrofon ustawiony na stoliku był podłączony do maszyny do pisania wyposażonej w dekodery mowy, lecz aparatury tej Harshaw używał wyłącznie do sporządzania notatek. Pracował dyktując tekst sekretarce i obserwując jej reakcje. Właśnie teraz miał zamiar coś napisać.

- Pierwsza! - ryknął.

- Teraz kolej Anne - odpowiedziała Dorcas. - Ta fontanna to była ona.

- Zanurkuj i przyprowadź ją.

Brunetka zanurzyła się w wodzie; po chwili z basenu wyszła Anne, założyła płaszcz kąpielowy i bez słowa usiadła przy stoliku, nie czyniąc żadnych przygotowań. Miała pamięć absolutną.

Harshaw sięgnął po szklankę ze stertą kostek lodu pokrytych cienką warstwą brandy.

- Anne, mam coś zwalającego z nóg. O kotku, który w Wigilię wkłada się do kościoła, żeby się trochę ogrzać. Oprócz tego, że jest głodny, zmarznięty i bezdomny, ma zranioną łapkę. Uwaga, zaczynam. Śnieg sypał już od...

- Jaki pseudonim?

- Hmm... Chyba "Molly Wadsworth" brzmi wystarczająco sentymentalnie. Tytuł: "Żłóbek". Zaczynamy.

Dyktując tekst nie spuszczał dziewczyny z oka. Kiedy spod jej przymkniętych powiek zaczęły płynąć łzy, uśmiechnął się i też zamknął oczy. Gdy skończył, szlochali już oboje, skapani w oczyszczającym strumieniu kiczu.

- Trzydzieści - oznajmił. - Wytrzymaj nos, wyślij to do wydawcy i dopilnuj, żebym tego nie widział na oczy.

- Jubal, czy nigdy ci nie wstyd?

- Nie.

- Po którejś z tych historyjek kopnę cię w twoje opasłe brzuszysko.

- Wiem o tym. A teraz zabieraj stąd swój tyłeczek, póki mi coś nie przyjdzie do głowy.

- Tak jest, szefie.

Przechodząc koło niego pocałowała go w łysinę.

- Pierwsza! - ryknął ponownie Harshaw i tym razem Miriam ruszyła w jego stronę. W tej samej chwili ożył głośnik zainstalowany na ścianie budynku.

- Szefie!

Harshaw mruknął pod nosem jakieś słowo i Miriam cmoknęła z uznaniem.

- Tak, Larry? - dodał na głos.

- Przy bramie jest jakaś dama - poinformował go głośnik. -  
Ma ze sobą zwłoki.

Harshaw zastanowił się przez chwilę.

- Czy jest ładna?

- No... Tak.

- Więc na co czekasz? Wpuść ją. - Oparł się wygodniej. -  
Zaczynamy. Panorama miasta przechodzi w ujęcie wnętrza. Na krześle siedzi policjant bez czapki, rozpięty kołnierzyk, spocona twarz. Druga osoba siedzi tyłem, między gliniarzem a kamerą. Podnosi rękę, niemal poza granice kadru, i uderza policjanta w twarz. Donośny, mięsisty odgłos z dubbingu. -  
Harshaw podniósł wzrok i umilkł. Do domu zbliżał się samochód.

Prowadziła Jill, obok której siedział młody mężczyzna. Wskoczył, kiedy tylko koła przestały się obracać, zupełnie jakby chciał jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz.

- To ona, Jubal.

- Widzę. Witaj, dziewczeczko. Larry, gdzie te zwłoki?

- Na tylnym siedzeniu, szefie. Pod kocem.

- To wcale nie są zwłoki! - zaprotestowała Jill. - To jest... Ben powiedział, że pan... To znaczy... - Opuściła głowę i zaczęła cichutko pochlipywać.

- Uspokój się, kochanie - odezwał się łagodnie Harshaw. -  
Niewielu jest umarłych wartych naszych łez. Dorcas, Miriam -  
zajmijcie się nią. Przyrządźcie jej drinka i pomóżcie umyć twarz.

Uniół koc leżący na tylnym siedzeniu. Jill strząsnęła z ramienia dłoń Miriam i powiedziała chrapliwie:

- Musi mnie pan wysłuchać! On nie jest martwy. Przynajmniej mam nadzieję, że nie jest. On... O, Boże! - Ponownie wybuchnęła płaczem. - Jestem cała brudna. I boję się!

- Mimo wszystko wygląda na trupa - mruknął Harshaw. -  
Temperatura ciała równa temperaturze otoczenia, jak mi się zdaje. Niezbyt typowe stężenie. Od jak dawna nie żyje?

- On żyje! Możemy go jakoś wyciągnąć? Ledwo udało mi się go tam wepchnąć.

- Jasne. Pomóż mi, Larry. I przestań być taki zielony na twarzy. Jeśli nie wytrzymasz, to sam będziesz sprzątał.

Wytaszczyli z samochodu skulonego, sztywnego jak kawał drewna Smitha i położyli go na trawie. Dorcas podała doktorowi Harshawowi słuchawki.

Jubal wetknął sobie końcówki w uszy i zaczął osłuchiwać Smitha.

- Obawiam się, że się mylisz - powiedział łagodnie do Jill. - Nie możemy mu już nic pomóc. Kto to był?

Jill westchnęła ciężko.

- Człowiek z Marsa. A tak się starałam... - wyszeptała z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu.

- Nie wątpię... Co takiego? Człowiek z Marsa?

- Tak. Ben... Ben Caxton powiedział, żeby zwrócić się do pana.

- Ben Caxton, tak? No proszę, co za zau... Cii! - Harshaw uniósł dłoń w geście nakazującym wszystkim milczenie. - Serce! Niech mnie szlag trafi! Dorcas: piętro, trzecia szuflada w lodówce z zamkiem szyfrowym, hasło "słodkie marzenia". Przynieś całą szufladę i strzykawkę jedynekę.

- Już się robi.

- Żadnych środków pobudzających!

- Co? - Harshaw spojrzął na Jill.

- Przepraszam, doktorze. Jestem tylko pielęgniarką, ale... Ten przypadek jest zupełnie inny. Ja po prostu w i e m.

- Hmm... To teraz mój pacjent, siostrze. Ale już czterdzieści lat temu przekonałem się, że nie jestem Bogiem, zaś w jakieś dziesięć lat później, że nie jestem nawet Eskulapem. Czego by siostra spróbowała?

- Chcę go po prostu obudzić. Jeżeli da mu pan jakiś środek, on tylko wejdzie w to jeszcze głębiej.

- Cóż, niech siostra próbuje. Tylko proszę nie używać siekiery. Potem wrócimy do moich metod.

Jill uklękła, próbując rozprostować skulone kończyny Smitha. Kiedy jej się to udało, brwi Harshawa powędrowały wysoko w górę. Potem objęła dłońmi głowę Smitha.

- Proszę, obudź się - wyszeptała łagodnie. - To ja, twój wodny brat.

Pierś Smitha powoli wezbrała oddechem, po czym wyrwało mu się głębokie westchnienie i otworzył oczy. Ujrawszy Jill uśmiechnął się swoim promiennym, dziecięcym uśmiechem. Kiedy rozejrzał się dookoła, uśmiech zniknął.

- To przyjaciele. Nie bój się... i nie odchodź. Wszystko w porządku.

Leżał spokojnie, przyglądając się otoczeniu szeroko otwartymi oczami. Sprawiał wrażenie równie zadowolonego z życia, co drzemiący w troskliwych objęciach kot.

Dwadzieścia pięć minut później obaj pacjenci byli już w

łózkach. Zanim zadziałała pastylka, którą dał jej Harshaw, Jill zdażyła mu powiedzieć wystarczająco wiele, by zdawał sobie sprawę, że właśnie złapał tygrysa za ogon. Spojrzał na wypożyczony samochód, którym przyjechała Jill. "KORZYSTNE OFERTY", "Ekonomiczny sprzęt naziemny" i "Handluj z Holendrami!" - głośno rozmieszczone na nim napisy.

- Larry, czy płot jest pod napięciem?

- Nie.

- Więc włącz prąd. Potem wytrzymaj z tego wraka wszystkie odciski palców, a kiedy się ściemni, zaprowadź go aż do Lancaster i zostaw w rowie. Z powrotem wracaj przez Filadelfię.

- Jasne. Jubal, powiedz mi coś: czy to jest naprawdę Człowiek z Marsa?

- Lepiej, żeby nim nie był. Jeśli jednak jest i jeśli złapią cię, zanim pozbędziesz się tego grata i skojarzą z nim, nie wymigasz się od łamania kołem. Myślę, że to jednak on.

- Kapuję. Czy w drodze powrotnej mogę napaść na jakiś bank?

- Byłoby to znacznie mniej ryzykowne od tego, co masz zrobić.

- W porządku, szefie. - Larry zawahał się przez moment. - Miałbyś coś przeciwko temu, żebym został na noc w Filadelfii?

- Rób, na co masz ochotę. Ale co, na Boga, można robić w nocy w Filadelfii? Pierwsza!

Jill, wypoczęta i gotowa do działania, obudziła się akurat na obiad. Wciągnąwszy w płuca powietrze wydobywające się z otworu klimatyzatora stwierdziła, że doktor zastąpił środek nasenny stymulującym. Podczas jej snu ktoś rozebrał ją z brudnego, podartego ubrania i położył przy niej na łóżku czystą sukienkę i sandaalki. Sukienka pasowała na nią jak ulał; Jill domyśliła się, że musiała należeć do dziewczyny imieniem Miriam. Wykąpała się, zrobiła makijaż i uczesała; schodząc do salonu czuła się jak nowo narodzona.

Dorcas siedziała z podwiniętymi nogami w fotelu i szydełkowała. Nie przerywając pracy skinęła jej głową, jakby Jill była już częścią rodziny. Harshaw zawzięcie machał oszronionym mieszadłem do koktajli.

- Napijesz się? - zapytał.

- Chętnie, dziękuję.

Napełnił po brzegi duże szklanki i wręczył jej jedną.

- Co to jest? - zapytała.

- Przyrządzone według mojego własnego przepisu. Jedna trzecia wódki, jedna trzecia kwasu solnego, jedna trzecia



elektrolitu z akumulatora, dwie szczypty soli i odrobina mielonego karalucha.

- Lepsza byłaby po prostu whisky z wodą sodową - odezwała się Dorcas.

- Pilnuj swego nosa. Kwas solny wspomaga trawienie, a karaluch dostarcza witamin i protein. - Uniósł swoją szklankę i powiedział uroczyście:

- A więc za nas, szlachetnych! Cholernie mało nas zostało. Opróżnił szklankę do dna.

Jill pociągnęła mały łyżeczek, a potem drugi, nieco większy. Bez względu na składniki całość była właśnie tym, czego potrzebowała; czuła, jak niezwykła błogość rozpełza się z wolna po jej ciele. Wypiła połowę koktajlu i nie zaprotestowała, kiedy Harshaw uzupełniał zawartość naczynia.

- Byłaś u naszego pacjenta?

- Nie, proszę pana. Nie wiedziałam, gdzie go szukać.

- Zajrzałem do niego parę minut temu. Śpi jak dziecko.

Chyba zacznę go nazywać Łazarzem. Jak myślisz, będzie chciał zejść na dół na obiad?

- Nie mam pojęcia, doktorze - odparła Jill po chwili zastanowienia.

- No nic, zobaczymy, jak się obudzi. Może tu zejść albo dostać obiad do łóżka. Jesteś w Oazie Wolności, moja droga. Każdy robi to, na co ma ochotę, a jeśli jest to akurat coś, czego ja nie lubię, to po prostu wyrzucam go stąd i po kłopotcie. Właśnie, coś mi się przypomniało; nie lubię, kiedy mówi się do mnie "doktorze".

- ?...

- Och, nie to, żeby miał się od razu obrażać, ale od chwili, kiedy zaczęli przyznawać stopnie naukowe za prace porównujące zgięcia kolan w tańcach ludowych różnych narodów i za nowe metody łapania much, obraziłem się i przestałem używać tytułu. Nie pijam rozwodnionej whisky i nie afiszuję się rozwodnionymi tytułami. Mów do mnie Jubal.

- Och... Ale tytuł doktora medycyny chyba nie uległ aż takiemu rozwodnieniu?

- Najwyższy czas zacząć to nazywać jakoś inaczej, żeby nie mylić lekarzy z dozorcami placów zabaw dla dzieci. Powiedz mi, dziewczeczko, co cię łączy z naszym pacjentem?

- Proszę? Już pa... Już ci powiedziałam, Jubal.

- Powiedziałaś mi, co się stało, natomiast nie pisnęłaś ani słowa o tym, dlaczego. Słyszałem, jak do niego przemawiałaś. Kochasz go?

Jill przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie słowa.

- No, nie! Przecież to niedorzeczne!

- Niby czemu? Ty jesteś dziewczynką, a on chłopczykiem. To chyba dobry układ, prawda?

- Ale... Nie, Jubal, nie o to chodzi. Ja... On był więźniem, a ja myślałam, czy raczej Ben myślał, że grozi mu niebezpieczeństwo. Chcieliśmy, żeby traktowano go zgodnie z jego prawami.

- Hmm... Moja mała, już taki jestem, że nigdy nie wierzę w bezinteresowne zainteresowanie. Wyglądasz na normalną zdrową dziewczynę, więc przypuszczam, że chodzi tu albo o Bena, albo o tego biednego chłopaka z Marsa. Zastanów się nad motywami, jakie tobą kierują, a dopiero potem zajmij się wyborem drogi, którą chcesz iść. A tak przy okazji: co j a mam robić?

Zakres pytania sprawił, że niezwykle trudno było udzielić na nie odpowiedzi. Od chwili, gdy Jill przekroczyła swój Rubikon, myślała wyłącznie o ucieczce. Poza tym nie miała żadnych planów.

- Nie wiem - odpowiedziała zgodnie z prawdą.

- Tak właśnie myślałem. Opierając się na przypuszczeniu, że jednak będziesz chciała zachować prawo wykonywania zawodu, poleciłem wysłać z Montrealu depeszę do twojego szefa. Poprosiłaś o zwolnienie w związku z koniecznością sprawowania opieki nad chorym członkiem rodziny. W porządku?

Jill poczuła wielką ulgę. Do tej pory nie miała czasu zatroszczyć się o siebie, ale głęboko w duszy nosiła ciężki kamień wątpliwości co do skutków, jakie jej czyn może wyrzucić na dalszy przebieg jej kariery zawodowej.

- Och, Jubal, dziękuję! Dzisiaj mam jeszcze wolne - dodała - ale od jutra zaczęłyby się kłopoty.

- Dobra. Co masz zamiar robić?

- Jeszcze nie zdążyłam się zastanowić. Hm, chyba powinnam podjąć trochę pieniędzy z konta... - Przerwała, usiłując przypomnieć sobie, ile też mogło tego być. Na pewno niezbyt dużo.

- Jeżeli to zrobisz, wrócisz obwieszona gliniarzami jak choinka na Boże Narodzenie - wtrącił się Jubal. - Chyba lepiej, żebyś tu przeczekała, aż wszystko się trochę uspokoi?

- Nie chciałabym ci się narzucać.

- I tak już to robisz. Nie przejmuj się, dziecino; zawsze mam tu trochę takich przelotnych ptaków. Nikt nie może mi się narzucać wbrew mojej woli, więc nie masz się czym martwić. A teraz zajmijmy się naszym pacjentem. Według twoich słów

chodziło ci o to, żeby uszanowano jego prawa. Oczekujesz w tej sprawie mojej pomocy?

- No... Ben powiedział, że będziesz mógł nam pomóc...

- Nie upoważniałem Bena do podejmowania zobowiązań w moim imieniu. Jeżeli mam być szczery, to tak zwane "prawa" naszego gościa zupełnie mnie nie interesują. Jego roszczenia do Marsa są zwykłym prawniczym bełkotem i jako prawnik nie muszę zwracać na nie żadnej uwagi. Co do bogactw, jakich ma być właścicielem, to jego sytuacja powstała w wyniku działania namiętności innych ludzi i naszych przedziwnych plemiennych obyczajów; przecież sam nie zarobił ani centa z tych milionów. Będzie miał dużo szczęścia, jeśli pozbawią go tego ciężaru, ale ja nawet nie pofatyguję się, żeby przejrzeć gazetę w poszukiwaniu wiadomości o tym. Jeżeli Ben skierował cię do mnie w nadziei, że będę walczył o "prawa" dla Smitha, to obawiam się, że trafiłaś pod niewłaściwy adres.

Jill poczuła się tak, jakby nagle ziemia zaczęła się jej usuwać spod nóg.

- Och... Chyba zastanowię się, gdzie by go przenieść...

- Nie ma mowy! Chyba, że sama tego chcesz.

- Przecież powiedziałeś...

- Powiedziałem, że nie interesują mnie prawne fikcje, natomiast gość mieszkający pod moim dachem to zupełnie inna sprawa. Może tu zostać, jeżeli ma takie życzenie. Chciałem ci tylko uzmysłowić, że nie mam zamiaru babrać się w polityce tylko dlatego, że ty albo Ben macie jakieś romantyczne ciągoty. Moja droga, kiedyś wydawało mi się, że służę ludzkości... I ta myśl sprawiała mi sporo zadowolenia. A potem przekonałem się, że ludzkość wcale nie chce, by jej służyono - wręcz przeciwnie, odrzuca wszelkie takie usiłowania! Tak więc teraz robię wyłącznie to, co sprawia przyjemność Jubalowi Harshawowi. - Odwrócił się do Dorcas. - Chyba już pora na obiad, prawda? Czy ktoś się tym zajął?

- Miriam.

Dorcas odłożyła szydełko i wstała z miejsca.

- Ciągle nie wiem, na jakiej zasadzie te dziewczyny dzielą robotę między siebie.

- A skąd miałbyś wiedzieć, szefie? Przecież sam nigdy nic nie robisz. - Poklepała go po brzuchu. - Ale za to nigdy nie opuszczasz posiłków.

Zabrzmiał gong wzywający wszystkich na obiad. Jeżeli Miriam rzeczywiście była autorką posiłku, to z pewnością musiała korzystać z wszelkich najnowocześniejszych udogodnień;

chłodna i śliczna siedziała jakby nigdy nic przy stole. Oprócz sekretarek pojawił się także mężczyzna nieco starszy od Larry'ego, do którego wszyscy mówili Duke. On również traktował Jill tak, jakby mieszkała tu od niepamiętnych czasów. Miriam dyrygowała podającymi do stołu maszynami, ale nie androidami. Jedzenie było znakomite i, o ile Jill mogła się zorientować, w stu procentach naturalne.

Mimo to Harshaw był niezadowolony. Najpierw poskarżył się, że jego nóż jest tępy, a mięso twarde; potem zarzucił Miriam, że podaje odpadki. Nikt nie zwracał uwagi na jego narzekania, ale Jill robiło się coraz bardziej głupio. Wreszcie Anne odłożyła widelec.

- Zaczął wspominać kuchnię swojej matki - zauważyła.

- Chyba znowu wydaje mu się, że jest tutaj szefem - dodała Dorcas.

- Ile czasu minęło od ostatniego razu?

- Jakieś dziesięć dni.

- O, to stanowczo za długo.

Anne spojrzała porozumiewawczo na Dorcas i Miriam, po czym wszystkie trzy wstały od stołu. Duke spokojnie jadł dalej.

- Dziewczęta, tylko nie przy jedzeniu! - pośpiesznie zaprotestował Harshaw. - Poczekajcie, aż...

Maszyna niosąca akurat coś do stołu przezornie usunęła im się z drogi. Anne chwyciła go za nogi, dwie pozostałe za ręce, przeszkłone drzwi otworzyły się i dziewczyny wyszły przed dom ze swoim wydającym ochryple wrzaski ciężarem.

Po chwili rozległ się donośny plusk i wrzaski ucichły.

Kiedy wróciły, żadna nie wydawała się specjalnie poruszona.

- Jeszcze sałatki, kochanie? - zapytała Miriam siadając koło Jill.

Harshaw zjawił się w pizamie i szlafroku. Mechaniczny kelner zakrył tymczasem jego talerz, żeby nie wystygła porcja; teraz zdjął przykrywkę i Jubal zabrał się do jedzenia.

- Jak już mówiłem - podjął - kobieta nie potrafiąca gotować jest warta mniej, niż wynosi rynkowa cena skóry, którą nosi na grzbiecie. Jeżeli się nie poprawicie, wymienię wszystkie trzy na jednego psa i zaraz potem go zastrzelę. Co będzie na deser?

- Ciasto z truskawkami.

- No, to już lepiej. Macie wolne do środy.

Po obiedzie Jill przeszła do salonu, żeby obejrzeć wiadomości. Chciała sprawdzić, czy powiedzą coś o niej. Mimo

intensywnych poszukiwań nie udało się jej znaleźć nic, co by przypominało odbiornik. Po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że w ogóle nie widziała tutaj niczego w tym rodzaju, podobnie jak żadnej gazety, chociaż pełno było książek i czasopism.

Została sama. Nie bardzo wiedziała, która właściwie może być godzina. Swój zegarek zostawiła na piętrze, więc zaczęła się rozglądać za jakimś innym. Bezskutecznie. Na dobrą sprawę nie mogła sobie przypomnieć, czy w którymkolwiek z pomieszczeń widziała zegar albo kalendarz. Uznała, że właściwie może się położyć do łóżka. Cała ściana salonu zastawiona była mikrofilmami książek. Ucieszyła się, kiedy znalazła "Takie sobie bajeczki" Kiplinga i zabrała je na górę.

Łóżko w jej pokoju było nowoczesne jak przyszedł tydzień: z urządzeniem do masażu, ekspresem do kawy, czytnikiem, pogodynką i masą innych rzeczy. Brakowało tylko jednego: budzika. Jill doszła jednak do wniosku, że być może uda jej się nie zasnąć. Wpełzła do pościeli, wsadziła film do czytnika, położyła na wznak i zapatrzyła się w sufit, po którym zaczęły się przesuwać słowa i zdania. Wkrótce jej palce ześlizgnęły się z regulatora szybkości, światła zgasły i Jill zapadła w sen.

Jubalowi nie udało się to tak łatwo, gdyż był zbyt wściekły na samego siebie. Przed pięćdziesięciu laty przyrzekł sobie solennie nie interesować się więcej losem żadnych bezdomnych kotów, a tu tymczasem ta dwójka... Nawet trójka, jeśli liczyć Caxtona.

Fakt, że to przyrzeczenie złamał już więcej razy niż minęło lat od chwili, kiedy je złożył, nie miał większego znaczenia. Logika nie jest tym, czym należy ciągle zaprzętać sobie głowę. Nie chodziło również o to, że pod jego dachem zamieszkały dwie dodatkowe osoby; Jubal z całą pewnością nie był skąpcem. Wielokrotnie zdarzało mu się nie mieć nic, niejednokrotnie też był znacznie bogatszy niż obecnie - traktował to jako coś naturalnego i równie niemożliwego do uniknięcia jak zmiany pogody. Nigdy nie przeliczał reszty.

Zamieszanie, jakie musiało wyniknąć w chwili, kiedy urzędasy chwycą w swoje szpony te dzieci, nappełniało go głębokim niesmakiem, a jednocześnie zdawał sobie doskonale sprawę, że prędzej czy później musi to nastąpić. Ta mała Gillian z pewnością zostawiała za sobą ślady jak miotające się w panice ciele.

Jego sanktuarium zaroi się od ludzi zadających pytania, domagających się wyjaśnień, zapisujących każde słowo... A on będzie zmuszony podejmować decyzje i działania. Ponieważ był dogłębnie przekonany, że jakiegokolwiek działanie jest bez sensu, perspektywa ta budziła w nim dreszcz przerażenia.

Nie oczekiwał od ludzi rozsądnego zachowania; jego zdaniem większość i tak nadawała się wyłącznie do zakładów zamkniętych. Pragnął tylko, żeby pozostawili go w spokoju - wszyscy z wyjątkiem tych kilkorga, których wybrał na swoich towarzyszy. Był przekonany, że gdyby dano mu święty spokój, już dawno udałoby mu się osiągnąć nirwanę... Zanurzyłby się we własnym pępku i zniknął z tego świata, jak ci hinduscy dowcipnicy. Dlaczego świat nie może zostawić go w spokoju?

Około północy zgasił dwudziestego siódmego papierosa i uniósł się do pozycji siedzącej. W pokoju zapłonęły światła.

- Pierwsza! - zawołał do mikrofonu.

Weszła Dorcas, ubrana w figi i cienki szlafroczek.

- Słucham, szefie? - zapytała z rozdzierającym ziewnięciem.

- Dorcas, przez ostatnich dwadzieścia czy trzydzieści lat byłem bezwartościowym, bezużytecznym pasożytem.

Ziewnęła ponownie.

- Przecież wszyscy o tym wiedzą.

- Daruj sobie te złośliwości. W życiu każdego człowieka nadchodzi taka chwila, kiedy musi przestać myśleć rozsądnie... Musi wstać, unieść głowę... Zawołać pełnym głosem... Zadać cios tłamszącej go dłoni.

- Mmm...

- Przestań ziewać, ta chwila właśnie nadeszła!

- W takim razie chyba będzie lepiej, jeśli się ubiorę.

- Słusznie. Obudź też dziewczęta, będziemy mieli sporo do roboty. Wylej na Duke'a wiadro wody i powiedz mu, żeby odkurzył ogłupiacza i postawił go w gabinecie. Muszę obejrzeć wiadomości.

Dorcas była naprawdę zdumiona.

- Chcesz oglądać stereowizję?

- Przecież słyszałaś. Powiedz Duke'owi, że jeśli jej nie uruchomi, to może sobie wybrać na chybił-trafił jakiś kierunek i od razu wyruszyć. Klusem. A teraz zmykaj, czeka nas ciężka noc.

- W porządku - powiedziała Dorcas z powątpiewaniem w głosie. - Ale chyba najpierw powinnam zmierzyć ci temperaturę.

- Zamilcz, kobieto!

Duke uruchomił odbiornik na tyle szybko, że Harshaw zdążył jeszcze obejrzeć powtórkę drugiego wywiadu z fałszywym Człowiekiem z Marsa. Komentator napomknął między innymi coś o wyjeździe Smitha w Andy. Jubal potrafił dodać dwa do dwóch, więc aż do rana wydzwaniał do różnych ludzi. O świcie Dorcas przyniosła mu śniadanie składające się z sześciu jaj wbitych do szklanki brandy. Chłeptał je rozmyślając, że niewątpliwą zaletą długiego życia jest możliwość poznania niemal każdego, kto jest mniej lub bardziej ważny i kogo w razie potrzeby można uruchomić.

Harshaw przygotował bombę, ale nie miał zamiaru jej detonować aż do chwili, kiedy zostanie do tego zmuszony. Zdawał sobie sprawę, że rząd może w bardzo prosty sposób zneutralizować Smitha, ogłaszając, że ten nie odpowiada za swoje czyny. Zresztą nawet sam Jubal zdążył już dojść do wniosku, że według tradycyjnych standardów Smith był bardziej psychopatą niż normalnym człowiekiem, a dokładniej ofiarą zdublowanej psychozy sytuacyjnej o niespotykanej intensywności, wywołanej wychowaniem przez obcą cywilizację, a następnie przeszczepieniem na całkowicie nieznanym gruncie.

Oceny normalności lub nienormalności Smitha dokonywane z prawnego punktu widzenia nie interesowały Harshawa w najmniejszym stopniu. Dla niego ważne było jedynie, że ten człowiek dostosował się do warunków życia w kulturze zupełnie odmiennej od ludzkiej. Należało tylko pamiętać, że stało się to w czasie, kiedy był podatnym na wszelkie kształowanie dzieckiem. Czy teraz, jako dorosły osobnik o uformowanych zwyczajach i ukierunkowanym sposobie myślenia, będzie w stanie poddać się kolejnemu, o ileż trudniejszemu, modelowaniu? Doktor Harshaw miał zamiar to sprawdzić; po raz pierwszy od kilku dziesięcioleci poczuł wyraźny nawrót zainteresowania medycyną.

Dodatkowo niezmiernie korciła go perspektywa wystrychnięcia na dudka Tych Na Górze. Jak każdy Amerykanin, przejawiał pewne anarchistyczne skłonności, a możliwość rzucenia wyzwania rządowi władającemu niemal całą planetą była wizją, dzięki której krew znowu zaczęła żywiej krążyć mu w żyłach.

Wokół niewielkiej gwiazdy typu G, w pobliżu krawędzi galaktyki niezbyt okazałych rozmiarów, dzięki prawu mówiącemu o zależności siły przyciągania od kwadratu odległości, od milionów lat krążyły planety. Cztery z nich były wystarczająco duże, by zwrócić na siebie uwagę, natomiast reszta stanowiła zaledwie zbiorowisko kamyków, na przemian skrytych w powodzi słonecznego blasku lub zagubionych w ciemnych otchłaniach kosmosu. Wszystkie, jak to zazwyczaj się zdarza, były zainfekowane tym dziwnym zakłóconej entropii zwanym życiem; na trzeciej i czwartej temperatura powierzchni wahała się w okolicach punktu zamarzania związku chemicznego o cząsteczce składającej się z dwóch atomów wodoru i jednego atomu tlenu. Nic więc dziwnego, że rozwinęły się na nich formy życia podobne do siebie na tyle, by mogło między nimi dojść do kontaktu.

Nie można powiedzieć, żeby zetknięcie z Ziemiakami wstrząsnęło w jakiś niezwykły sposób zamieszkującą czwarty kamyk starożytną rasą Marsjan. Uczące się życia nimfy w dalszym ciągu skakały radośnie po całej powierzchni planety; ten okres przeżywało zaledwie dziesięć procent. Dorośli Marsjanie, różniący się ogromnie od nimf zarówno pod względem fizycznym, jak i umysłowym, mieszkali w czarodziejskich dostojnych miastach i byli równie spokojni, jak nimfy hałaśliwe, ale dużo bardziej zajęci bogatym wewnętrznym życiem umysłowym.

Dorośli ciężko pracowali, jednak inaczej niż my. Musieli doglądać planety, mówić roślinom, gdzie i kiedy mają kwitnąć, zbierać, hołubić i zapładniać te nimfy, którym udało się przeżyć, zachwycając się powstałymi w ten sposób jajami i otaczając je opieką, żeby mogły się prawidłowo rozwijać, a także musieli namawiać i przekonywać dojrzałe nimfy, by zrezygnowały z dziecięcych zabaw i przeobraziły się w dorosłych. Robili to wszystko, ale było to ich "życie" w takim samym stopniu, w jakim dla prezesa ogólnoziemskiej korporacji życiem jest dwukrotne w ciągu dnia wyprowadzanie psa na spacer, chociaż na przykład istota z Arctura III uznałaby tę czynność za bezwzględnie najważniejszą. Pod warunkiem, że podmiotem byłby pies, a przedmiotem człowiek.

Zarówno Marsjanie, jak i ludzie byli świadomymi swego istnienia, lecz ich rozwój poszedł w dwóch diametralnie różnych kierunkach. Całe działanie człowieka, wszystkie jego motywacje, nadzieje i obawy miały ścisły związek z jego zadziwiająco żalosnym i cudownym zarazem sposobem reprodukcji i były przez niego kontrolowane. Na Marsie istniał



podobny model, tyle tylko, że jakby odbity w lustrze. Występował tam identyczny, dwubiegunowy układ, tak bardzo rozpowszechniony w galaktyce, ale w formie tak odmiennej od ziemskiej, że o istnieniu "płci" mógł mówić wyłącznie biolog, natomiast psycholog i psychiatra stanowczo by temu zaprzeczyli. Wszystkie marsjańskie nimfy były osobnikami żeńskimi, wszyscy dorośli - męskimi.

Jednak wyłącznie pod względem funkcjonalnym, nie zaś psychologicznym. Opozycja męzczyzna-kobieta, determinująca w sposób podstawowy ludzkie życie, na Marsie po prostu nie byłaby możliwa. Nie istniało tam coś takiego jak "małżeństwo". Dorośli, przypominający przybyszom z Ziemi sunące dostojnie bojery, byli wysocy i pasywni fizycznie, natomiast nadzwyczaj aktywni psychicznie. Nimfy były tłustymi, futrzastymi kulami, pełnymi podskakującej, bezmyślnej energii. Między podstawami ludzkiej i marsjańskiej psychologii nie dało się postawić nawet znaku przybliżonej równości. Ziemską opozycję płci stanowiła dla działania człowieka zarówno siłę wiążącą, jak i napędową. Dzięki niej powstały nie tylko najpiękniejsze sonety, ale także doszło do rozszczepienia jądra atomu. Jeżeli ktoś uważa, że to przesada, niech poszpera w archiwach urzędów patentowych, bibliotekach i galeriach sztuki w poszukiwaniu wiekopomnych dzieł lub wynalazków autorstwa eunuchów.

Mieszkańcy Marsa, napędzani zupełnie innym paliwem niż Ziemianie, niemal nie zwrócili uwagi na przybycie "Envoya" i "Championa". Wydarzenia te były jeszcze zbyt świeże, żeby przywiązywać do nich jakąkolwiek wagę. Gdyby Marsjanie wydawali gazety, w zupełności wystarczyłyby im jeden numer na stulecie. Kontakt z inną rasą nie stanowił dla nich żadnej nowości - zdarzał się przedtem, z pewnością zdarzy się także w przyszłości. Dopiero kiedy nowa kultura zostanie zgrokowana (czyli za jakieś tysiąc ziemskich lat), będzie można podjąć pewne działania. O ile zaistnieje taka potrzeba, ma się rozumieć.

Punkt ciężkości, jeżeli chodzi o bieżące wydarzenia, spoczywał na Marsie zupełnie gdzie indziej. Jeden z odciętych Starych postanowił, nie przywiązując zresztą do tego większej wagi, wysłać wychowującego się w gnieździe człowieka, aby ten zgrokował co się da z trzeciej planety. Zaraz potem ów Stary zajął się ponownie znacznie istotniejszymi sprawami. Nieco wcześniej, mniej więcej za panowania ziemskiego cesarza Augusta, pewien marsjański artysta rozpoczął tworzenie dzieła sztuki; można je nazwać poematem, utworem muzycznym albo

traktatem filozoficznym, gdyż była to po prostu sekwencja doznań i emocji ułożona w tragicznym porządku, wyznaczonym przez logiczną konieczność. Ponieważ człowiek mógłby ją ocenić równie swobodnie, jak niewidomy od urodzenia zachód słońca opowiedziany mu ze wszystkimi szczegółami, nie ma najmniejszego znaczenia, do jakiej kategorii zaliczy się to dzieło. Najważniejsze jest to, że artysta niechętny odcieleśnił się, nie zdążywszy go ukończyć.

Zaskakujące odcieleśnienia zdarzały się na Marsie bardzo rzadko; tutejsze poczucie gustu i dobrego smaku wymagało, by życie stanowiło skończoną, zaokrągloną całość, zamkniętą śmiercią fizyczną w odpowiednim czasie i miejscu. Jednak artysta ów w swym zapamiętaniu zapomniał schronić się przed straszliwym mrozem marsjańskiej nocy. Kiedy spostrzeżono jego nieobecność i znaleziono ciało, nie nadawało się już niemal do zjedzenia. On sam w ogóle nie zauważył swojego odcieleśnienia i w dalszym ciągu pracował nad dziełem.

Marsjańska sztuka dzieli się na dwa rodzaje: pierwszy, tworzony przez żyjących dorosłych - pełen rozmachu, czasami wręcz awangardowy, najczęściej dość prymitywny, i drugi, uprawiany przez nieżyjących Starych - konserwatywny, nadzwyczaj skomplikowany, po którym oczekuje się znacznie bardziej zaawansowanej techniki. Każdy oceniano osobno, niezależnie od siebie.

Jakie więc kryteria należało zastosować wobec dzieła, o którym mowa? Artysta tworzył je i przed i po odcieleśnieniu. Ostateczny kształt nadawał już Stary, lecz artysta z właściwym wszystkim twórcom roztargnieniem nie zauważył, że jest już Starym i w dalszym ciągu tworzył tak, jakby był zwykłym dorosłym Marsjaninem. Czy w ten sposób powstał nowy rodzaj sztuki? Czy można było powtórzyć ten schemat, znienacka odcieleśniając pogrążonych w pracy artystów? Starzy już od stuleci dyskutowali nieśpiesznie o otwierających się, oszałamiających możliwościach, a wszyscy Marsjanie z ogromnym zainteresowaniem czekali na ich werdykt.

Problem był bardzo istotny, gdyż dzieło, które spowodowało całe to zamieszanie, miało charakter wybitnie religijny (w ziemskim rozumieniu tego słowa) i wywołało wielkie emocje. Opisywało ono spotkanie Marsjan z ludem zamieszkującym piątą planetę; co prawda, wydarzenie to miało miejsce w niezmiernie odległej przeszłości, ale dla Marsjan było ciągle żywe i ważne,

tak samo jak jedna z niezliczonych kaźni na krzyżu była, po dwóch tysiącach lat, ciągle żywa i ważna dla ludzi. Marsjanie zetknęli się z istotami z piątej planety, zgrokowali je i podjęli działanie, w wyniku czego w przestrzeni międzyplanetarnej pozostało tylko rumowisko asteroidów, a także szacunek i miłość, jaką Marsjanie otaczali pamięć o tych, których unicestwili. Owe dzieło stanowiło kolejną próbę zgrokowania tego wspaniałego przeżycia w całej jego złożoności i przedstawienia go jako jedną spójną całość. Jednak aby to osiągnąć, należało dysponować rozległą wiedzą.

Nie był to wcale błahy problem.

W tym czasie Valentine Michael Smith przebywał na trzeciej planecie i nie zajmował się tą sprawą; w gruncie rzeczy nawet nie miał najmniejszego pojęcia o jej istnieniu. Marsjanin, z którym łączyły go najmocniejsze więzi, jak również wodni bracia owego Marsjanina nie zaprzęтали jego uwagi tym, czego i tak nie byłby w stanie zrozumieć. Smith wiedział o zniszczeniu piątej planety tyle samo, co każdy uczeń szkoły podstawowej wie o Troi i Plymouth Rock<sup>5</sup>, ale nigdy nie miał styczności ze sztuką i nic by z niej nie zgrokował. Pobierał jedyną w swoim rodzaju edukację: była nieporównywalnie bardziej rozległa od tej, jaką otrzymywał każdy z jego braci w gnieździe, a jednocześnie bardzo mizerna w stosunku do tego, co wiedział każdy z dorosłych Marsjan, u którego przebywał, nie mówiąc już o Starych, którzy od czasu do czasu przejawiali przelotne zainteresowanie tym, czego i w jakim tempie mógł się nauczyć.

W chwili obecnej Smith był z siebie bardzo zadowolony. Zyskał nowego wodnego brata w osobie Jubala, poznał wielu nowych ludzi, doświadczał cudownych przeżyć w takiej ilości i z taką intensywnością, że nawet nie miał czasu ich na bieżąco grokować. Gromadził je jedno po drugim, by zająć się nimi w wolnej chwili.

Jego brat Jubal powiedział mu, że miałby znacznie mniej kłopotów ze zgrokowaniem tego dziwnego i zarazem cudownego miejsca, gdyby nauczył się czytać. Wziął się więc za naukę - Jill wskazywała mu kolejne słowa i odczytywała na głos. Wiązało się to z koniecznością zrezygnowania na jeden dzień z basenu, co stanowiło wielkie poświęcenie, gdyż pływanie (przynajmniej od chwili, kiedy wreszcie do niego dotarło, że naprawdę można to robić), stanowiło nie tylko przyjemność, ale wręcz doprowadzało go do stanu religijnej ekstazy. Gdyby nie Jill i Jubal,

najchętniej w ogóle nie wychodziłby z basenu.

Ponieważ nie pozwolono mu pływać w nocy, zajmował się wtedy czytaniem. Kartkował Encyklopedię Brytyjską, na deser zaś zdejmował z półek medyczne i prawnicze podręczniki Jubala. Pewnego razu Jubal zwrócił uwagę, że Smith przegląda właśnie jedną z tych książek i poprosił go o powtórzenie tego, czego się dowiedział. Smith odpowiadał uważnie, starannie, tak jak podczas sprawdzianów, jakie niekiedy urządzali mu Starzy. Jego brat zdawał się być lekko wstrząśnięty odpowiedziami, więc Smith uznał za stosowne pograć się w medytacji; był pewien, że mówi używając dokładnie tych samych słów, które znalazł w książce, chociaż jeszcze nie wszystkie z nich grokował.

Jednak zdecydowanie bardziej niż w bibliotece lubił przebywać w basenie, szczególnie wtedy, gdy byli tam Jill, Miriam, Larry i cała reszta. Nie od razu nauczył się pływać, ale odkrył, że potrafi coś, czego nie umie żadne z nich: opadł na dno i leżał tam bez ruchu, pielęgnując w sobie ogarniającą go rozkosz. Wyciągnięto go po kilku minutach z taką gwałtownością, że gdyby nie pewność, że to wyłącznie z troski o jego dobro, z pewnością nie omieszkałby chwilowo odejść.

Później, kiedy minęło zamieszanie, powtórzył występ przed swoim bratem Jubalem. Próbował również nauczyć Jill tej prostej umiejętności, ale dziewczyna nie wyraziła specjalnego entuzjazmu, więc nie nalegał. Właśnie wtedy zrozumiał po raz pierwszy, że istnieją rzeczy, które nie sprawiają mu żadnych trudności, natomiast są całkowicie niedostępne dla jego nowych przyjaciół. Rozmyślał nad tym odkryciem przez dłuższy czas, usiłując zgrokować jego znaczenie.

Smith był szczęśliwy, czego niestety nie dałoby się powiedzieć o Jubalu. Próżnował w dalszym ciągu, urozmaicając sobie co nudniejsze okresy gnuśności obserwacją tego jedyne w swoim rodzaju doświadczalnego zwierzątka. Nie narzucał Smithowi ani rozkładu dnia ani programu nauki, nie zmuszał go do poddawania się okresowym badaniom, tylko pozwalał mu robić to, na co ten akurat miał ochotę. Nadzór nad Smithem pełniła Gillian - według malkontenckiej opinii Harshawa nawet nieco zbyt gorliwie. Był zdecydowanym przeciwnikiem wychowywania mężczyzn przez kobiety.

W rzeczywistości dziewczyna ograniczała się niemal wyłącznie do wpajania swemu podopiecznemu zasad rządzących stosunkami międzyludzkimi. Smith jadał już przy stole, potrafił się ubrać (w każdym razie tak przypuszczał Jubal; zanotował sobie w pamięci, żeby zapytać Jill, czy Człowiek z Marsa

rzeczywiście robi to sam, czy korzysta jeszcze z jej pomocy), stosował się do panujących w domu zwyczajów, a ze wszelkimi nowymi dla niego formami zachowań oswajał się na zasadzie małego naśladowstwa. Kiedy pierwszy raz usiadł do stołu, próbował zjeść cały obiad łyżką i Jill musiała własnoręcznie pokroić mu mięso. Pod koniec posiłku jadł już tak jak inni, a przy następnym jego zachowanie było dokładną kopią zachowania Jill, nie wyłączając specjalnie podkreślanej gracji i elegancji ruchów.

Nawet odkrycie, że Smith nauczył się czytać z szybkością maszyny elektronicznej i ma pamięć absolutną, nie skusiło Jubalę, żeby zrobić z niego "obiekt badań" - z bateriami wskaźników, wynikami pomiarów i tabelami porównawczymi. Harshawa cechowała owa arogancka skromność człowieka, który wie tak dużo, że zdaje sobie doskonale sprawę z własnej ignorancji; nie widział żadnego sensu w mierzeniu i porównywaniu, skoro nie miał najmniejszego pojęcia, co ma mierzyć i co z czym porównywać.

Ale chociaż czerpał swego rodzaju przyjemność z obserwowania, jak zwierzątko zmienia się stopniowo w niemożliwą do odróżnienia od oryginału kopię ludzkiej istoty, to przyjemność ta nie mogła mu zapewnić szczęścia.

Podobnie jak sekretarz generalny Douglas, także Harshaw czekał, aż sprawa sama wyjdzie na światło dzienne.

Ponieważ mógł jedynie oczekiwać działania wymierzonego przeciwko niemu, złościł się, że nic się nie dzieje. Do licha, czyżby gliny były aż tak głupie, żeby nie móc wpaść na trop przerażonej dziewczyny taszczącej przez pół kraju ciało dorosłego mężczyzny? A może cały czas deptali jej po piętach, a teraz czekają, trzymając jej kryjówkę pod ciągłą obserwacją? Ta ostatnia myśl wprawiała go w trudną do opisanego wściekłość; podejrzenie, że rząd może go szpiegować w jego własnym domu, w jego zamku, budziło w nim taki sam odruch, jaki wywołałaby informacja, że ktoś otwiera i czyta jego listy.

Właściwie, to również wcale nie było wykluczone. Rząd, rzeczywiście! Pasożytnictwo wymieszane pół na pół z głupotą. On, Harshaw, zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że człowiek, jako istota społeczna był skazany na akceptowanie różnego rodzaju rządów, podobnie jak każdy jest skazany na obcowanie ze swoimi wnętrznościami. Jednak fakt, że zło istnieje i że nie można go uniknąć, nie jest wystarczającym powodem, by zacząć uważać je za dobro! Nie miałyby nic przeciwko

temu, żeby cały ten rząd gdzieś sobie poszedł i przepadł na wieki.

Było możliwe, a nawet wielce prawdopodobne, że władze doskonale wiedzą, gdzie obecnie znajduje się Człowiek z Marsa. Mogły jedynie uznać, że najlepiej będzie pozostawić sprawy ich własnemu biegowi.

Jeśli tak, to jak długo ma to trwać? I jak długo uda mu się utrzymać swoją "bombę" w gotowości bojowej?

I gdzie, do diabła, podział się ten idiota Ben Caxton?

Z tego psychicznego obgryzania paznokci wyrwała go Jill Boardman:

- Jubal...

- He? A, to ty, jasnooka. Przepraszam, zamyśliłem się. Siadaj. Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję. Jubal, ja się boję.

- To normalne, ale muszę przyznać, że ten skok na główkę był całkiem niezły. Spróbujesz jeszcze raz?

Jill przygryzła wargi; wyglądała nie jak dorosła kobieta, tylko jak dwunastoletnia dziewczynka.

- Proszę, wysłuchaj mnie! Ja się naprawdę bardzo boję.

Westchnął ciężko.

- W takim razie wytrzymaj się, bo wiatr nie jest zbyt ciepły.

- Nie jest mi zimno. Jubal, czy mogłabym zostawić tu Mike'a?

Jubal zamrugał ze zdziwieniem powiekami.

- Oczywiście. Dziewczęta zaopiekują się nim. Wyjeżdżasz?

- Tak - odparła Jill nie patrząc mu w oczy.

- Hmm... Możesz tu mieszkać, jak długo zechcesz, ale nikt nie będzie zatrzymywał cię siłą.

- Ale... Ale ja nie chcę wyjeżdżać!

- Więc zostań.

- Nie mogę!

- Jeszcze raz. Nie załapałem.

- Nie rozumiesz? Podoba mi się tutaj, a ty jesteś dla nas taki dobry... Ale nie mogę zostać. Ben nie wrócił. Muszę go odszukać.

Harshaw wyrzucił z siebie ciężkie, treściwe słowo, po czym dodał:

- A jak masz zamiar to robić?

Zmarszczyła brwi.

- Nie wiem. Ale nie mogę się tutaj wylegiwać, pływać w basenie i nic nie robić. Muszę odnaleźć Bena.

- Gillian, Ben to duży chłopiec. Nie jesteś ani jego matką ani żoną. Nie masz żadnych zobowiązań, które kazałyby ci go szukać, prawda?

- Tak - przyznała Jill, gładząc stopą zielone źdźbła trawy. - Nie mam żadnych zobowiązań. Tyle tylko, że wiem... że gdybym to ja zaginęła... Ben na pewno szukałby mnie tak długo, aż by mnie znalazł. Więc ja muszę znaleźć jego!

Jubal mruknął pod nosem bluźnierstwo skierowane przeciwko wszystkim bogom, jacy kiedykolwiek maczali palce w kształtowaniu losów ludzkości, po czym powiedział:

- W porządku, teraz może wprowadzimy do naszej rozmowy elementy logiki. Masz zamiar wynająć detektywów?

- Chyba tak należałoby zrobić - odparła Jill z nieszczęśliwą miną. - Szczerze mówiąc, nigdy w życiu nie wynajmowałam żadnego detektywa. Czy to dużo kosztuje?

- Raczej tak.

Przełknęła ślinę.

- Czy... Czy pozwoliliby mi płacić w miesięcznych ratach?

- Uznają wyłącznie gotówkę. Rozchmurz się, dzieciно; mówię o tym tylko po to, żeby rozprawić się z tym raz na zawsze i nigdy nie wracać do tego tematu. Wynajęłam już najlepszych w tym fachu, żeby sprawdzili, co się stało z Benem.

- Nic mi o tym nie powiedziałeś!

- Nie widziałem takiej potrzeby.

- Ale... Dowiedzieli się czegoś?

- Nie - przyznał. - Właśnie dlatego nic ci nie mówiłem, nie chciałem, żebyś się niepokoiła. - Skrzywił się z niesmakiem. - Początkowo uważałem podobnie jak Kilgallen, że Ben złapał jakiś trop i odezwie się dopiero wtedy, jak zbierze cały materiał, ale teraz nie jestem już tego taki pewien. Sprawdziliśmy i okazało się, że wiadomość, którą Ben wysłał do Kilgallena, nie była napisana ręcznie, tylko nadana teleksem.

- Dlaczego Ben nie przesłał jej też do mnie? - zapytała ze zdziwieniem Jill. - To do niego niepodobne. Zawsze myślał o innych.

Jubal stłumił bolesne jęknięcie.

- Rusz głową, Gillian. Fakt, że na pudełku widnieje napis PAPIEROSY, wcale nie oznacza, że one naprawdę są w środku. Dotarłaś tutaj w piątek; depesza została wysłana z Filadelfii, dokładnie z lądowiska Paoli Station, poprzedniego ranka o 10.34. Odebrano ją od razu, bo biuro Bena ma własny terminal łączności. A teraz odpowiedz mi na pytanie: dlaczego Ben

depeszował do biura w godzinach pracy zamiast połączyć się telefonicznie?

- No, nie wiem... Ja bym wolała zadzwonić, bo przecież...

- Nie jesteś Benem. Mogę ci podać przynajmniej tuzin powodów, które mogłyby go do tego skłonić. Dla uniknięcia pomyłek, po to, żeby mieć potwierdzenie w archiwach poczty, żeby wiadomość dotarła z opóźnieniem... Wierz mi, przyczyn może być bardzo dużo. Kilgallen nie dostrzegł w tym nic niezwykłego, a poza tym, skoro Ben ma w biurze terminal, to znaczy, że korzysta z niego przynajmniej od czasu do czasu. Tu chodzi o coś innego. Depesza umiejscawia nam Bena w przestrzeni i w czasie: czwartek, godzina 10.34, Filadelfia, lądowisko Paoli Station. Jill, to nieprawda. Ta depesza nie została wysłana stamtąd.

- Ale...

- Chwileczkę. Depeszę albo się dostarcza, albo przekazuje przez telefon. W pierwszym przypadku adresat otrzymuje kopię odręcznie napisanego tekstu wraz z podpisem, natomiast w drugim trzeba ją najpierw przepisać na maszynie, żeby była bardziej czytelna.

- To oczywiste.

- Czy w związku z tym nic ci się nie nasuwa?

- Hmm... Wiesz, Jubal, jestem tak zdenerwowana, że nie mogę myśleć.

- Tylko bez paniki. Ja także nie dopatrzyłem się niczego niezwykłego, ale mój człowiek to nie tylko zawodowiec, ale w dodatku strasznie wścibski typ. Wylądował w Paoli Station z fotokopią depeszy, zrobioną zresztą tuż pod nosem Kilgallena, i z dokumentami stwierdzającymi, że to właśnie on jest jej adresatem, Osbertem Kilgallenem. Następnie dzięki swej ojcowskiej aparycji i uczciwej twarzy wyciągnął od panienci obsługującej tamtejszy terminal informację, którą normalnie ujawniłaby wyłącznie przed sądem... Tak, to naprawdę bardzo smutne. Otóż panienka ta zazwyczaj nie jest w stanie zapamiętać choćby jednej z setek depesz, jakie przepływają przez nią od uszu do czubków palców stukających w klawiaturę i znikają, jeśli nie liczyć zminiaturyzowanych zapisów w archiwach poczty. Tak się jednak złożyło, że owo dziewczę jest jedną z wielbicielek Bena - codziennie czytuje jego artykuły, co jest dosyć odrażającym zajęciem. - Zamrugał raptownie, jakby nagle przyszedł mu do głowy jakiś pomysł. - Pierwsza!

Pojawiła się ociekająca wodą Anne.

- Przypomnij mi - zwrócił się do niej Jubal - żebym



napisał artykuł na temat odruchowego czytania wszelkich wiadomości. Tezę będzie stanowiło stwierdzenie, że większość zaburzeń emocjonalnych jest powodowana przez niezdrowe przyzwyczajenie nurzania się w kłopotach miliardów obcych ludzi.

Tytuł: "Królestwo plotek." Albo nie. Lepiej: "We władaniu plotek."

- Szefie, gorzkniejesz.

- Nie ja, tylko wszyscy dookoła. Dopilnuj, żebym napisał to w przyszłym tygodniu, a teraz znikaj. Jestem zajęty. - Odwrócił się z powrotem do Gillian. - Zwróciła uwagę na nazwisko Bena i mało nie zemdląła z wrażenia, że będzie mogła rozmawiać twarzą w twarz ze swoim idolem, ale spotkał ją srogi zawód: Ben zapłacił tylko za połączenie foniczne. Zapamiętała też, że należność za rozmowę uiszczono gotówką. W publicznej budce w Waszyngtonie.

- W Waszyngtonie? - powtórzyła Jill. - Po co Ben miałby...

- Właśnie! - przerwał jej z rozdrażnieniem Jubal. - Skoro jest w Waszyngtonie, to znacznie taniej, łatwiej i szybciej byłoby mu zadzwonić do biura niż wysłać depezę do Filadelfii, żeby stamtąd przekazano ją z powrotem do Waszyngtonu. To nie ma żadnego sensu. A jeżeli ma, to może chodzić tylko o jedno: mydlenie oczu. Ben jest do tego tak przyzwyczajony jak panna młoda do pocałunków. Przecież nie dlatego został najlepszym krętaczem w swoim fachu, że zawsze grał czystymi kartami.

- Ben nie jest żadnym krętaczem, tylko znakomitym dziennikarzem!

- Przykro mi, ale dla mnie to jedno i to samo. Mógł przypuszczać, że założono mu podsłuch w wizjofonie, ale raczej nie w terminalu łączności. Albo podejrzewał, że tam też i po prostu chciał przekonać tego kogoś, kto tak bardzo się nim interesował, że jest daleko i prędko nie wróci. - Jubal zmarszczył brwi. - Jeżeli nie mylę się, to szukając go nie tylko nie wyrządzimy mu przysługi, ale wręcz możemy narazić na śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Nie!

- Właśnie, że tak - odparł ciężkim tonem. - Ten chłopak zawsze łąził po najciemniejszym lodzie i dzięki temu zyskał sobie taką reputację. Jill, to najprawdopodobniej najbardziej niebezpieczna ze spraw, jakimi Ben kiedykolwiek się zajmował. Jeżeli zniknął dobrowolnie, to czy naprawdę chcesz robić wokół tego zamieszanie? Kilgallen go kryje - artykuły Bena pojawiają się bez przerwy.

- Napisał je na zapas?

- Albo to, albo pisze je Kilgallen. Tak czy inaczej, oficjalnie Ben Caxton nadal działa w swoim fachu. Być może, zaplanował wszystko właśnie w taki sposób, gdyż niebezpieczeństwo było zbyt wielkie, żeby mógł się z tobą bezpośrednio skontaktować. No i co ty na to?

Gillian ukryła twarz w dłoniach.

- Jubal, ja już naprawdę nie wiem, co robić!

- Przede wszystkim musisz się uspokoić - mruknął. - Na pewno nie spotka go nic gorszego niż śmierć, a ona i tak czeka każdego z nas, za dzień, tydzień, a może za rok. Porozmawiaj sobie z Mike'em. On obawia się "odcieśnienia" dużo mniej niż normalny mężczyzna jędzowatej żony. Mało tego. Gdybym poinformował go, że jutro zjemy go na obiad, dziękowałby mi za zaszczyt, jaki go spotyka.

- Wiem o tym - powiedziała cicho Jill - ale ja nie potrafię patrzeć na świat w taki sposób.

- Ani ja - przyznał ochoczo Harshaw - chociaż, jeśli mam być szczery, powoli zaczynam coś z tego chwycić. Człowiekowi w moim wieku może się to bardzo przydać. Zdolność rozkoszowania się tym, co nieuniknione... Hm, starałem się tak postępować przez całe życie, ale ten dzieciak, który ledwo co osiągnął wiek uprawniający go do udziału w wyborach i jest zbyt mało doświadczony, by wiedzieć, że do konia nie podchodzi się od tyłu, przekonał mnie, że pod tym względem ledwo co udało mi się osiągnąć poziom przedszkolaka. Jill, zapytałaś niedawno, czy Mike może tu zostać; otóż powiadam ci, moje dziecko, że chcę zatrzymać tego chłopaka przynajmniej dopóty, dopóki nie dowiem się wszystkiego, co on wie, a o czym ja nie mam żadnego pojęcia! Ta historia z "odcieśnieniem"... To nie freudowskie pragnienie śmierci, nic z tych rzeczy. Już prędzej coś w rodzaju stevensonowskiego "Z radością żyłem, z radością umieram, szczęśliwy schodzę do mogiły." Co prawda, podejrzewam, że Stevenson robił dobrą minę do złej gry i pozował na kogoś, kim do końca nie był, ale Mike'owi prawie udało się mnie przekonać.

- Sama nie wiem - wyszeptała Jill. - Tak bardzo boję się o Bena...

- I ja też. Skarbie, nie przypuszczam, żeby Ben celowo się ukrywał.

- Ale powiedziałeś...

- Przykro mi. Węszyliśmy nie tylko w biurze Bena i w Paoli

Station. W czwartek z samego rana Ben zjawił się w Bethesda Center w towarzystwie prawnika i Świadka. Świadkiem był James Oliver Cavendish, jeżeli coś ci mówi to nazwisko.

- Szczerze mówiąc, niewiele.

- Nieważne. Fakt, że Ben wynajął akurat Cavendisha, dowodzi, jak poważnie zajął się sprawą; z reguły nie strzela się do królików z ciężkich karabinów maszynowych. Zaprowadzono ich do "Człowieka z Marsa"...

- To niemożliwe! - przerwała mu Jill.

- Dziewczyno, kwestionujesz prawdziwość relacji Świadka, i to nie byle jakiego, tylko samego Cavendisha. W to, co on powie, można wierzyć jak w Ewangelię.

- Nic mnie to nie obchodzi, nawet gdyby był jednym z dwunastu apostołów! W czwartek rano nie widziałam go na moim oddziale!

- Nie słuchasz, co do ciebie mówię. Nie powiedziałem, że zaprowadzono ich do Mike'a, tylko do "Człowieka z Marsa". Tego fałszywego, z wywiadów w stereowizji.

- A, chyba że tak. Ben na pewno ich zdemaskował.

- Niestety, nie - odparł Jubal z niewesołą miną. - Nie udało się to nawet Cavendishowi, a w każdym razie nie chce nic na ten temat powiedzieć. Wiesz, jak to jest z tymi Świadkami.

- Nie bardzo. Nigdy żadnego nie spotkałam.

- Naprawdę? Anne!

Dziewczyna właśnie szykowała się do skoku z trampoliny. Kiedy spojrzała w ich stronę, Jubal zawołał:

- Widzisz ten dom na szczycie wzgórza? Jakiego jest koloru?

- Z tej strony jest biały - odpowiedziała po chwili Anne.

Jubal odwrócił się do Jill.

- Teraz rozumiesz? Anne nawet nie przyjdzie do głowy stwierdzić, że cały dom jest biały, skoro widzi tylko jego jedną ścianę. Za nic by tego nie zrobiła, chyba że poszłaby tam i sprawdziła, a nawet wtedy brałaby pod uwagę możliwość, że gdy wracała z powrotem, ktoś przemalował dom na inny kolor.

- A n n e jest Świadkiem?

- Jak najbardziej, z bezterminową licencją i prawem zeznawania przed Sądem Najwyższym. Zapytaj ją kiedyś, dlaczego zrezygnowała z praktyki, ale nie planuj nic więcej na ten dzień; ta dziewczucha powie ci samą prawdę i tylko prawdę, a to może potrwać. Wracając do pana Cavendisha: Ben wynajął go na całkowite świadczanie, z pełną relacją i bez utajniania czegokolwiek, więc kiedy zaczął mówić, trzeba było sporo

cierpliwości, żeby go wysłuchać. Najciekawsze jednak było to, czego n i e powiedział: co prawda, ani jedno jego słowo nie wskazuje na to, że osobnik, którego im pokazano, nie był Człowiekiem z Marsa, ale również ani jedno nie potwierdza ponad wszelką wątpliwość, że nim był. Gdybyś znała Cavendisha, dałoby ci to sporo do myślenia. Gdyby zobaczył Mike'a, opisałby go z taką dokładnością, że ani ty ani ja nie mielibyśmy najmniejszych wątpliwości, o kogo chodzi. Na przykład: Cavendish opisuje kształt uszu człowieka, z którym rozmawiali, i opis ten nie zgadza się z wyglądem uszu Mike'a. Quod erat demonstrandum. Podstawili im sobowtóra. Cavendish zdaje sobie z tego sprawę, tyle że jego etyka zawodowa zakazuje mu wygłaszania jakichkolwiek opinii.

- Przecież mówię, że nie było ich u mnie na oddziale.

- To daje nam znacznie więcej, niż ci się wydaje: wizyta w szpitalu miała miejsce na wiele godzin przed waszą ucieczką. Według Cavendisha do pokoju, w którym leżał "Człowiek z Marsa", weszli w czwartek o 9.14 rano. W tym czasie Mike był jeszcze w szpitalu, a mimo to zdecydowano się na ryzyko pokazania podstawionego aktora najbardziej cenionemu Świadcowi w kraju. Dlaczego?

- Mnie pytasz? Nie wiem. Ben chciał zapytać Mike'a, czy ten ma ochotę wyjść ze szpitala. Gdyby odpowiedź brzmiała "tak", pomógłby mu.

- I z pewnością to zrobił, tyle tylko, że w łóżku leżał aktor, nie Mike.

- Jak to? Ależ Jubal, przecież oni nie mogli wiedzieć, co Ben zamierza... A poza tym Mike i tak nie wyszedłby z nim na ulicę.

- Nieco później wyszedł z tobą.

- Owszem, ale ja jestem jego "wodnym bratem", tak samo jak ty. On posłucha każdego, z kim wypił szklankę wody. W obecności "wodnego brata" jest spokojny i uległy, natomiast przy obcych robi się uparty jak osioł. Ben do niczego by go nie namówił. - Przerwała, by po chwili dodać: - W każdym razie tak to wyglądało jeszcze tydzień temu. Bardzo szybko się zmienia.

- Rzeczywiście, może nawet za szybko. Nigdy nie widziałem, żeby u kogokolwiek tkanka mięśniowa przyrastała w takim tempie. Ale teraz to nieistotne, wracajmy do Bena. Według relacji Cavendisha Ben wysadził ich, to znaczy jego i prawnika nazwiskiem Frisby, o 9.31, a sam poleciał dalej taksówką. Godzinę później on lub ktoś, kto się za niego podawał, zadzwonił z budki do Filadelfii.

- Uważasz więc, że to nie był Ben?

- Właśnie. Cavendish podał numer taksówki, moi chłopcy zaś odnaleźli ją i chcieli odtworzyć jej trasę. Jeżeli Ben korzystał z karty kredytowej, to jej numer powinien pozostać w pamięci pokładowego komputera, ale nawet jeśli płacił gotówką, to komputer i tak powinien wiedzieć, jaka była trasa przelotu.

- I..?

Harshaw wzruszył ramionami.

- Zapis w pamięci komputera świadczy o tym, że taksówka była w naprawie i w czwartek w ogóle nikt jej nie używał. Więc albo Świadek pomylił numery, albo ktoś grzebał w pamięci komputera. Być może sąd uznałby, choć ja osobiście w to nie wierzę, że Świadek może nie zapamiętać numeru taksówki, szczególnie wtedy, jeśli nikt nie prosił, żeby zwrócił na niego uwagę, ale z pewnością nie w sytuacji, kiedy Świadkiem jest sam James Oliver Cavendish. On mówi tylko o tym, czego jest całkowicie pewien. W przeciwnym razie po prostu milczy.

- Harshaw skrzywił się z niesmakiem. - Jill, zmuszasz mnie, żebym wpychał nos tam, gdzie śmierdzi! Nawet przyjmując, że Ben osobiście wysłał tę depezę, nie mogę sobie wyobrazić, by zmienił zapis w pamięci komputera taksówki... Bo i po co? Wydaje mi się, że gdzieś poleciał, a ktoś, kto potrafi i może dostać się do komputera zadał sobie wiele trudu, by nikt nie mógł się dowiedzieć gdzie, a następnie wysłał depezę, żeby ukryć fakt zniknięcia Bena.

- Żadne mi "zniknął"! Został porwany!

- Spokojnie, Jill. "Porwanie" to bardzo brzydkie słowo.

- Ale jedyne, które tu pasuje. Jubal, jak możesz tak spokojnie siedzieć zamiast rozgłosić...

- Ben wcale nie musiał zostać porwany. Równie dobrze może być martwy.

Z Jill jakby nagle uszło powietrze.

- To prawda - przyznała głucho.

- Jednak dopóki nie zobaczymy jego kości, będziemy wierzyć, że żyje. Wiesz, co jest najbardziej niebezpieczne przy porwaniach? Wrzaski i krzyki, jakie się podnosi, w wyniku czego przestraszony porywacz niemal zawsze zabija ofiarę.

Jill wyglądała jak kupka nieszczęścia.

- Muszę przyznać, że wersja, według której Ben już nie żyje, jest dosyć prawdopodobna - ciągnął Harshaw nieco łagodniejszym tonem. - Zbyt długo go nie ma. Ustaliliśmy jednak, że uważamy go za żywego. Ty, Jill, masz zamiar go

szukać: jak się do tego zabierzesz? Bez drażnienia tajemniczego porywacza?

- "Tajemniczego"? Przecież wiemy, kto to jest!

- Czyżby?

- Oczywiście! To ci sami, którzy uwięzili Mike'a - rząd! Harshaw potrząsnął głową.

- To tylko przypuszczenie. Dzięki swoim artykułom Ben dorobił się wielu wrogów, niekoniecznie związanych z rządem. Chociaż... - zmarszczył brwi. - To na razie jedyna teoria, na której możemy się oprzeć. Tyle że trochę chwiejna i ogólnikowa. "Rząd" to w tej chwili kilka milionów ludzi. Pytanie, które musimy sobie zadać, brzmi następująco: na czyje odciski udało nam się nadebrać? Kto mógł się poczuć osobiście zagrożony?

- Już ci powiedziałam: sekretarz generalny. Ben też tak uważał.

Harshaw pokręcił przecząco głową.

- Nie. Ktokolwiek za tym stoi, to z pewnością nie sekretarz generalny, nawet jeśli wyciąga z tego jakieś korzyści. Nikt nie potrafiłby nawet dowieść, że on w ogóle o czymś wie - zresztą najprawdopodobniej nie wie, podobnie jak o większości tego rodzaju brudnych spraw. Jill, musimy się dowiedzieć, który z jego fagasów dowodził tą operacją. A to może nam się udać. Kiedy Ben poszedł rozmawiać z sobowtórem, towarzyszył mu jeden z asystentów Douglasa. Najpierw próbował odwiedzić go od wizyty u Człowieka z Marsa, a potem doczepił się do niego. Teraz okazuje się, że ten sam osobnik zapadł się w zeszły czwartek pod ziemię. Nie przypuszczam, żeby to był przypadek, bo właśnie on odpowiadał za fałszywego "Człowieka z Marsa". Jeżeli go znajdziemy, być może uda nam się także dotrzeć do Bena. Facet nazywa się Gilbert Berquist i mam poważne powody sądzić...

- B e r q u i s t?

- Właśnie. Mam poważne... Jill, co się stało? Nie mdlej, bo wrzucę cię do basenu!

- Ju... Jubal... Czy może istnieć jakiś drugi Berquist?

- Co? Chyba nie... Nie sądzę, żeby tacy dranie rodzili się częściej niż raz na sto lat. Myślę oczywiście o tych, którzy później trafiają do otoczenia sekretarza generalnego. Znasz go?

- Nie wiem, ale jeśli to ten sam... Chyba nie ma sensu go szukać.

- Jak to? Lepiej wyduś z siebie, co wiesz, dziewczyno.

- Jubal, to okropne... Ale nie powiedziałam ci wszystkiego.

- Tak najczęściej bywa. No, kawa na ławę.

Jąkając się i płacząc, Jill opowiedziała mu o niesamowitym zniknięciu dwóch mężczyzn.

- I to wszystko - zakończyła ze smutkiem w głosie. -

Zaczęłam krzyczeć, przestraszyłam Mike'a, on zapadł w ten swój trans... Ale o tym już ci mówiłam.

- Taak... Szkoda, że od razu nie opowiedziałas mi wszystkiego.

Na policzki Jill wypełzły purpurowe rumieńce.

- Nie przypuszczałam, że ktokolwiek mi uwierzy. A poza tym bałam się... Jubal, co oni mogą nam zrobić?

- Proszę? - zapytał z lekkim zdziwieniem Harshaw.

- Wsadzą nas do więzienia?

- Moja droga, to nie przestępstwo być świadkiem cudu, czy nawet jego sprawcą. Ale ta sytuacja ma więcej aspektów niż jeź kolców. Pozwól mi chwilę pomyśleć.

Przez jakieś dziesięć minut Jubal nie odezwał się ani słowem. Wreszcie otworzył oczy i powiedział:

- Nigdzie nie widzę twego nieznośnego pacjenta. Pewnie leży na dnie basenu...

- Zgadza się.

- Więc zanurkuj i przyprowadź go do mojego gabinetu.

Chciałbym sprawdzić, czy potrafi powtórzyć tę sztuczkę, a nie zależy mi na widowni. Chociaż niezupełnie: powiedz Anne, żeby założyła strój Świadka. Będzie mi potrzebna. I Duke też.

- Tak jest, szefie.

- Nie masz prawa nazywać mnie szefem. Nie jesteś płatnikiem podatku dochodowego.

- Tak, Jubal.

- Hmm... Szkoda, że nie mamy tu kogoś, kogo bez żalu moglibyśmy się pozbyć. Czy Mike potrafi to robić z przedmiotami nieożywionymi?

- Nie mam pojęcia.

- Cóż, przekonamy się. Wyciągnij go na powierzchnię i obudź. - Zaś nieco ciszej dodał: - Co za znakomity sposób pozbywania się... Nie, nie kuś, szatanie! Zobaczymy się na górze, dziewczeczko.

Kilka minut później Jill zameldowała się w gabinecie Jubala. Ubrana na biało Anne spojrzała na nią bez słowa. Jill również się nie odezwała. Znalazła krzesło i usiadła, starając się nie przeszkadzać Jubalowi, który dyktował jakiś tekst Dorcas, przebiegającej błyskawicznie palcami po klawiaturze przenośnej maszyny do pisania.

- ...spod nieruchomego ciała, plamiąc róg dywanu, by wreszcie zebrać się przy kominku w formie małej czerwonej kałuży, gdzie zainteresowały się nią dwie bezrobotne chwilowo muchy. Panna Simpson zasłoniła dłonią otwarte jak do krzyku usta. "O jejku!" powiedziała przejętym głosem. "Ulubiony dywan tatusia! I tatuś też, jak sądzę..." Koniec rozdziału i pierwszej części. Znikaj i zaraz to wyślij.

Dorcas wychodząc uśmiechnęła się do Jill.

- Gdzie Mike? - zapytał Harshaw.

- Ubiera się - odpowiedziała Jill. - Zaraz tu będzie.

- Ubiera się? - powtórzył z irytacją Jubal. - Czy ja powiedziałem, że to oficjalne przyjęcie?

- Ale przecież nie może przyjść goły.

- Niby czemu? Mnie osobiście nie sprawia żadnej różnicy, czy latacie po domu ubrani we własną skórę, czy w wyjściowe stroje. Pogoń go trochę.

- Przecież musi się nauczyć...

- Eeech! Wpychasz go w gorset własnej ograniczonej, drobnomieszczańskiej, biblijnej moralności.

- Wcale nie! Po prostu uczę go obowiązujących zwyczajów.

- Zwyczaje, moralność... Jaka to różnica? Kobieto, Bóg w swojej łasce zesłał nam tutaj istotę nietkniętą przez żadne z tabu rządzących naszą kulturą, ty zaś chcesz z niego zrobić nieudaną kopię pierwszego lepszego zakichanego konformisty, z jakich w ogromnej większości składa się ludność tego zastraszonego kraju! Czemu nie pójdziesz na całość i nie każesz mu nosić aktówki?

- Nic takiego nie robię. Po prostu staram się mu pomóc, żeby nie miał później kłopotów. Robię to dla jego dobra.

- Dokładnie to samo wmawiali pewnemu ogierowi przed operacją! - parsknął Jubal.

Jill policzyła do dziesięciu, a następnie powiedziała bez żadnej emocji w głosie:

- To pański dom, doktorze Harshaw, my zaś jesteśmy pańskimi dłużnikami. Zaraz przyprowadzę Michaela.

Wstała i ruszyła do drzwi.

- Czeka, Jill.



- Tak?

- Siadaj i nie próbuj być tak wstrętna jak ja; brakuje ci lat praktyki. A teraz ustalmy coś raz na zawsze: nic nie jesteś mi winna, po prostu dlatego, że ja nigdy nie robię nic, na co nie mam ochoty. Co prawda, każdy tak mówi, ale w moim przypadku jestem tego pewien. Tak więc nie myśl o długach, które nie istnieją, bo jeszcze trochę, a zaczniesz odczuwać coś na kształt wdzięczności, co stanowi pierwszy zdradliwy krok na drodze ku całkowitej moralnej degradacji. Grokujesz?

Jill zagryzła wargi, ale niemal od razu uśmiechnęła się.

- Nie jestem pewna, co właściwie oznacza to słowo.

- Ja też nie. Zamierzam jednak tak długo pobierać lekcje u Mike'a, aż wreszcie zrozumiem. Ale mówiłem zupełnie serio: "wdzięczność" to po prostu eufemistyczne określenie niechęci. Niechęć ze strony większości ludzi mało mnie obchodzi, lecz u ładnych małych dziewczynek to coś okropnego.

- Przecież ja wcale nie czuję do ciebie niechęci...

- Mam nadzieję, lecz wkrótce poczujesz, jeśli nie uda ci się wybić z tej ślicznej główki, że jesteś mi cokolwiek winna. Japończycy mają pięć sposobów mówienia "dziękuję" i każdy z nich oznacza mniej więcej to samo - "nie lubię cię". Jaka szkoda, że język angielski nie jest równie uczciwy! Wręcz przeciwnie, istnieją w nim określenia uczuć, do jakich człowiek po prostu nie jest zdolny. "Wdzięczność" jest jednym z nich.

- A ty jesteś cynicznym starcem. Wiem, że bardzo dużo ci zawdzięczam i nie mam zamiaru robić nic, żeby to zmienić.

- Jeżeli ja jestem cynicznym starcem, to ty sentymentalną dziewczynką. Dobrana z nas para. Pojedźmy we dwoje na weekend do Atlantic City; gwarantowana wysoce nielegalna rozpusta!

- Ależ, Jubal!

- Widzisz, ile jest warta twoja wdzięczność?

- W porządku, jestem gotowa. Kiedy wyruszamy?

- Jeżeli chodzi o mnie, to powinienem był to uczynić jakieś czterdzieści lat temu. Poza tym masz rację: Mike musi zapoznać się z ludzkimi obyczajami. Musi zdejmować buty w meczecie, zakładać kapelusz w synagodze, skrywać swą nagość, gdy wymaga tego tabu, bo w przeciwnym razie szamani spalą go żywcem za szerzenie zgorzenia. Dziecko, zaklinam cię tylko na nieprzeliczone manifestacje Arymana: nie odmóźdz go. Zatrósz się, żeby miał do tego wszystkiego zdrowe, cyniczne podejście.

- Hmm... Nie wiem, czy dam sobie radę. Mike nie ma w sobie ani krzty cynizmu.

- Naprawdę? W takim razie służę pomocą. Jak myślisz,

zdążył już się ubrać?

- Pójdę sprawdzić.

- Za chwilę. Jill, wyjaśniłem ci już, dlaczego nie śpieszę się z oskarżaniem kogokolwiek o porwanie Bena. Jeżeli jeszcze żyje, to ma znaczne szanse pozostać przy życiu. Pierwszej nocy po waszym przyjeździe podjąłem pewne kroki. Znasz Biblię?

- Tak sobie.

- Jeżeli dobrze się w nią wczytać, można znaleźć wskazówki dotyczące postępowania niemal we wszystkich sytuacjach, jakie mogą nas spotkać w życiu. "Ten, co czyni zło, kryć się będzie przed światłem" - Jan coś tam, słowa Jezusa do Nikodema. Oczekiwałem próby odebrania nam Mike'a, bo nie sądzę, żeby udało ci się dokładnie zatrzeć ślady. Znajdujemy się przecież w odosobnionym miejscu, a w dodatku nie mamy ciężkiej artylerii. Istnieje tylko jeden sposób, żeby ich powstrzymać: światło. Skupione na nas oślepiające strumienie światła i zainteresowanie opinii publicznej. Zorganizowałem wszystko w ten sposób, że niemal każdy zakamarek domu może się znaleźć w zasięgu tego światła. Szczegóły nie są istotne, ważne jest tylko to, że kamery i złącza działają bez zarzutu i że w przypadku najmniejszego zamieszania trzy największe sieci stereowizyjne i cała masa wpływowych osobistości, które wręcz marzą o tym, by przyłapać sekretarza generalnego na jakimś nieczystym zagranium, otrzymają dokładny obraz wszystkiego, co się tu będzie działo. - Przerwał na moment i zmarszczył brwi. - Ale to nie może trwać w nieskończoność. Spodziewałem się, że kłopoty zaczną się od razu. Teraz jednak wydaje mi się, że musimy sprowokować przeciwników do działania, dopóki możemy korzystać z naszej specjalnej ochrony.

- Do jakiego działania?

- Zastanawiałem się nad tym przez ostatnie trzy dni. Kiedy opowiedziałas mi, co zdarzyło się w mieszkaniu Bena, zaświtał mi pewien pomysł.

- Naprawdę bardzo mi przykro, że nie zrobiłam tego wcześniej, ale nie sądziłam, że ktokolwiek mógłby mi uwierzyć. Tak się cieszę, że ty uwierzyłeś.

- Wcale tego nie powiedziałem.

- Jak to? Przecież...

- Jill, jestem całkowicie pewien, że powiedziałaś prawdę, ale sen czy iluzja hipnotyczna także są, w pewnym sensie, autentycznymi przeżyciami. Jednak to, co w ciągu najbliższej

godziny nastąpi w tym pokoju, będzie obserwowane przez Świadka i kamery... - nacisnął guzik - ...które działają już od tej chwili. Wątpię, czy komuś udałoby się zahipnotyzować Anne, a już z całą pewnością nie kamerom. Przekonamy się, z jakim rodzajem prawdy mamy do czynienia, a potem będziemy mogli się spokojnie zastanowić, w jaki sposób zmusić Tych Na Górze do następnego kroku, a może i nad tym, jak pomóc Benowi. Idź i przyprowadź Mike'a.

\*

Spóźnienie Mike'a nie było niczym nadzwyczajnym, jeśli wziąć pod uwagę, że związał prawe sznurowadło z lewym, wstał, oczywiście potknął się, przewrócił jak długi i zacisnął supeł tak mocno, że prawie uniemożliwił jego rozwiązanie. Resztę czasu spędził na analizowaniu nieciekawej sytuacji, w jakiej się znalazł i na mozolnych próbach rozsupłania sznurowadeł, a następnie prawidłowego ich zawiązania. Nie przejmował się zbytnio tym, że zajmuje mu to tak dużo czasu; znacznie bardziej bolesna była świadomość, że nie potrafi powtórzyć bezbłędnie tego, czego nauczyła go Jill. Przyznał się jej do swego niepowodzenia, chociaż w chwili, kiedy weszła do pokoju, wszystko było już prawie w porządku.

Pocieszyła go, uczesała, po czym zaprowadziła do gabinetu Jubala. Harshaw podniósł na niego wzrok.

- Jak się masz, synu. Siadaj.

- Jak się masz, Jubal - odparł poważnie Valentine Michael Smith.

- I co, chłopcze? Czego się dzisiaj nauczyłeś? - zapytał Jubal.

Smith uśmiechnął się radośnie i odpowiedział - jak zwykle po krótkiej pauzie:

- Nauczyłem się skoku ze śrubą. To znaczy, że skaczę, a w powietrzu...

- Wiem, wiem, widziałem, jak to robisz. Tylko pamiętaj o tym, żeby trzymać kolana i stopy razem.

Uśmiech ustąpił miejsca wyrazowi autentycznego niepokoju.

- Niedobrze to robię?

- Za pierwszym razem było bardzo dobrze. Ucz się od Dorcas.

Smith zastanawiał się przez chwilę.

- Woda grokuje Dorcas. Lubi go.

- Ją. Dorcas to "ona", nie "on".

- Ją - poprawił się Smith. - Czy moje mówienie jest złe? Przeczytałem, że w pewnych wypadkach mówiąc o rodzaju żeńskim można także używać rodzaju męskiego. W "Prawie zawierania umów" Hagwortha, piąte wydanie, opublikowane w Chicago w stanie Illinois, w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym, na stronie tysiąc dwunastej znajduje się...

- Zaczekaj - przerwał mu pośpiesznie Harshaw. - Owszem, używając rodzaju męskiego możesz mówić również o grupach mieszanych, ale gdy chodzi ci o pojedynczą osobę, musisz zwracać uwagę na płeć. Dorcas jest zawsze "ona" albo "ją", nigdy "on" ani "jego".

- Będę pamiętał.

- Byłoby dobrze, bo w przeciwnym razie możesz sprowokować Dorcas, żeby zademonstrowała ci, jak bardzo jest kobietą. - Harshaw zastanowił się przez chwilę. - Jill, czy nasz gość sypia z wami? Albo może z jedną z was?

Zawahała się, po czym odpowiedziała dziwnie cicho:

- O ile wiem, Mike w ogóle nie sypia.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Więc uznaj, że miała nią być. Z pewnością nie sypia ze mną.

- Hmm... Do licha, moje zainteresowanie ma czysto naukowy charakter. Mike, czego jeszcze się nauczyłeś?

- Nauczyłem się dwóch sposobów zawiązywania butów. Jeden sposób jest dobry do tego, żeby się położyć na podłodze. Drugi sposób jest dobry do chodzenia. Nauczyłem się też odmiany czasownika: ja jestem, ty jesteś, on jest, my jesteśmy, wy jesteście, oni są, ja byłem, ty byłeś...

- W porządku, wystarczy. Co jeszcze?

- Od wczoraj uczę się jeździć na traktorze - oznajmił Mike z błogim uśmiechem. - Ślicznie, ślicznie i milutko.

Jubał spojrział ze zdumieniem na Jill.

- Co takiego?

- Wczoraj, podczas twojej drzemki. Nie masz się czego obawiać. Duke uważał, żeby nic sobie nie zrobił.

- Jak widać, udało mu się. A może coś czytałeś?

- Tak.

- A co takiego?

- Trzy kolejne tomy Encyklopedii Brytyjskiej.

Powiedziałeś mi, żeby nie czytać zbyt dużo na raz, więc przerwałem. Potem przeczytałem "Tragedię Romea i Julii" mistrza Williama Shakespeare'a z Londynu, a następnie "Pamiętniki Jacque'a Casanovy" w angielskim przekładzie

Francisa Wellmana. Następnie starałem się zgrokować to, co przeczytałem, ale Jill powiedziała mi, że muszę zejść na śniadanie.

- I zgrokowałeś?

- Nie wiem - odparł z niepewną miną Smith.

- Czegoś nie rozumiesz?

- Nie gromuję wszystkiego, co przeczytałem. W historii napisanej przez mistrza Williama Szekspira wielce uszczęśliwiła mnie śmierć Romea, ale potem okazało się, że odcieleśnił się dużo za wcześnie - jeśli to dobrze zgrokowałem. Dlaczego tak się stało?

- Bo to był pokręcony młody kretyn.

Smith umilkł na kilka sekund, po czym wymamrotał coś po marsjańsku, po angielsku zaś dodał:

- Jestem tylko jajkiem.

- Że co? Mówisz to zawsze, kiedy chcesz o coś poprosić. O co chodzi, Mike?

Smith przez chwilę walczył ze sobą, ale w końcu nie wytrzymał.

- Jubal, mój bracie, czy mógłbyś zapytać Romea, dlaczego się odcieleśnił? Ja nie mogę tego zrobić, bo jestem tylko jajkiem, ale ty... Pomógłbyś mi zgrokować to wszystko.

Do Jubala dotarło wreszcie, że Mike uważa Romea za autentyczną postać i oczekuje od niego, Jubala, żeby skontaktował się z duchem nieszczęsnego młodzieńca i uzyskał od niego wyjaśnienia dotyczące właśnie takiego, a nie innego postępowania za życia. Wy tłumaczenie Mike'owi, że ani ta historia, ani występujący w niej ludzie nigdy nie istnieli, wydawało się czymś wręcz niemożliwym. Koncepcja fikcji literackiej była Smithowi całkowicie obca i wszelkie wysiłki Harshawa zmierzające do wyjaśnienia tej sprawy były z góry skazane na niepowodzenie; mało tego, wpędzały Mike'a w coraz głębszą depresję, aż Jill zaczęła się obawiać, żeby nie zapadł znowu w jeden ze swoich transów.

Mike wiedział już, jak wielkie zaburzenia emocjonalne u jego przyjaciół (może z wyjątkiem doktora Nelsona) powoduje jego odejście, toteż, chociaż myśl o tym była bardzo kusząca, powstrzymał się od wprowadzenia jej w czyn. Z wysiłkiem spowolnił przyspieszone bicie serca, uspokoił się, po czym z uśmiechem oznajmił:

- Poczekam, aż gromowanie samo do mnie przyjdzie.

- Bardzo słusznie - zgodził się Harshaw. - Od tej pory, zanim zaczniesz cokolwiek czytać, zawsze pytaj Jill albo

kogokolwiek, czy to fikcja, czy nie. Nie chcę, żeby ci się wszystko pomieszało.

- Będę pytał.

Mike postanowił, że natychmiast, jak tylko uda mu się zgrokować tę zupełnie nową koncepcję, doniesie o niej Starym... Nagle uświadomił sobie, że zastanawia się nad tym, czy Starzy wiedzą, co to jest owa "fikcja". Niesłychana myśl, że może to dla nich być taka sama nowość, jak dla niego, była znacznie bardziej rewolucyjna od wszystkich nowych pojęć, z jakimi zdążył się do tej pory zetknąć. Odłożył ją na bok, żeby rozważyć w spokojniejszej chwili.

- ...ale nie poprosiłem cię tutaj, by dyskutować o literaturze - mówił tymczasem jego brat Jubal. - Mike, czy przypominasz sobie ten dzień, kiedy Jill zabrała cię ze szpitala?

- Szpitala? - powtórzył niepewnie Smith.

- On chyba nie wie, co to jest szpital - odezwała się Jill. - Może ja spróbuję.

- W porządku.

- Mike, czy pamiętasz to miejsce, gdzie mieszkałeś sam jeden w pokoju, zanim przyszłam i wyprowadziłam cię na zewnątrz?

- Tak, Jill.

- A potem poleciliśmy do innego miejsca i tam rozebrałam cię i wykapałam.

Na twarzy Smitha rozgościł się błogi uśmiech.

- Tak, to było wielkie szczęście.

- Po kąpieli wytarłam cię i wtedy przyszło dwóch ludzi.

Uśmiech momentalnie zniknął. Smith skulił się, a jego ciałem zaczęły wstrząsać dreszcze.

- Mike, uspokój się! Nie wolno ci teraz odejść!

Stopniowo odzyskiwał kontrolę nad swoim ciałem.

- Tak, Jill.

- Posłuchaj mnie: chcę, żebyś to sobie dokładnie przypomniał, ale nie musisz się już niczego bać. Było ich dwóch; jeden z nich wyciągnął cię do salonu.

- Do tego pokoju z wesołą trawą?

- Właśnie. Wyciągnął cię do pokoju z trawą, a ja próbowałam go powstrzymać. Wtedy uderzył mnie i nagle zniknął. Pamiętasz?

- Nie gniewasz się?

- Czy się gniewam? Nie, ależ skąd. Kiedy ten człowiek zniknął, drugi wycelował we mnie rewolwer... i też zniknął.

Bardzo się wtedy przestraszyłam, ale wcale nie byłam na ciebie zła.

- A teraz?

- Mike, mój drogi, ja n i g d y nie jestem na ciebie zła. Jubal i ja po prostu chcemy wiedzieć, co się wtedy stało. Ci dwaj ludzie byli tam, a potem ty coś zrobiłeś i już ich nie było. Powiedz nam, jak to się stało? Możesz to powiedzieć?

- Mogę. Ten duży człowiek uderzył cię... A ja się przestraszyłem, więc... - Wyskrzecztał coś po marsjańsku i spojrzał na nich bezradnie. - Nie znam słów.

- Spróbuj jeszcze raz, tylko powoli - doradził mu Jubal.

- Spróbuję. Coś jest przede mną. To coś jest złe i nie powinno tutaj być, więc sięgam... - Znowu przerwał. - To bardzo łatwe. Zawiązywanie sznurowadeł jest dużo trudniejsze. Ale nie znam słów. Bardzo mi przykro. - Zastanowił się przez chwilę.

- Może te słowa są w następnych tomach encyklopedii.

Przeczytam w nocy i powiem wam przy śniadaniu.

- Może... - mruknął z powątpiewaniem Harshaw. - Zaczekaj chwilę.

Podszedł do jednej z szafek stojących w kącie gabinetu, pogrzebał w niej i wrócił z pudełkiem zawierającym kiedyś cztery butelki brandy.

- Czy możesz sprawić, żeby zniknęło?

- Czy to jest coś niedobrego?

- Przypuśćmy, że tak.

- Jubal, ja muszę wiedzieć na pewno, że to jest złe. To po prostu pudełko; nie widzę w nim nic niewłaściwego.

- A gdybym rzucił nim w Jill?

- Nie zrobiłbyś tego - powiedział Smith z łagodnym smutkiem.

- Hmm... Do licha, chyba rzeczywiście nie. Jill, czy byłabyś uprzejma cisnąć tym we mnie? Jest dość twarde; będę miał niezłego guza, jeśli Mike'owi nie uda się mnie obronić.

- Jubal, to mi się wcale nie podoba.

- Och, daj spokój. Robię to wyłącznie dla dobra nauki... i Bena Caxtona.

- Ale...

Jill nie dokończyła, chwyciła pudełko i rzuciła nim w Jubala. Harshaw miał zamiar stać niewzruszenie jak głaz, lecz instynkt zwyciężył; uchylił się w ostatniej chwili.

- Żyję - oznajmił. - Do licha, właściwie nic nie widziałem. - Spojrzał na Smitha. - Mike, czy tak właśnie... Co się stało, chłopcze?

Człowiek z Marsa trząśł się na całym ciele i wyglądał na bardzo nieszczęśliwego. Jill objęła go ramionami.

- Już wszystko w porządku. Wspaniale to zrobiłeś. Pudełko nawet nie dotknęło Jubala, po prostu zniknęło.

- Zdaje się, że masz rację - potwierdził Jubal, rozglądając się uważnie dookoła i ssąc z namysłem kciuk. - Anne, widziałaś coś?

- Tak.

- A co takiego?

- Pudełko nie zniknęło od razu, proces trwał jakiś ułamek sekundy. Oglądane z mojego miejsca zdawało się raptownie maleć, jakby oddalało się z ogromną szybkością, ale z pewnością nie opuściło tego pokoju. Obserwowałam je aż do momentu, kiedy zupełnie zniknęło.

- A gdzie się podziało?

- To wszystko, co mogę powiedzieć na ten temat.

- Hmm... Obejrzymy później kasetę, ale jeżeli chodzi o mnie, to już uwierzyłem. Mike...

- Tak, Jubal?

- Gdzie jest to pudełko?

- Pudełko jest w... Nie znam słów. Przepraszam.

- Nic już nie rozumiem. Synu, możesz sprowadzić je z powrotem?

- Proszę?

- Sprawileś, że zniknęło; teraz zrób tak, żeby znowu tutaj było.

- Ale jak? Przecież go nie ma.

Jubal zastanowił się nad tym przez chwilę.

- Jeżeli ta metoda się upowszechni, to trzeba będzie zmienić wszystkie ustępy kodeksu karnego mówiące o corpus delicti. Mike, jak blisko musisz być?

- Proszę?

- Gdybyś ty stał w holu, a ja tu, przy oknie, czy mógłbyś zrobić to samo?

- Tak - odpowiedział Smith z lekkim zdziwieniem.

- Hmm... Podejź do okna. Przypuśćmy, że ja i Jill jesteśmy po drugiej stronie basenu, a ty tutaj. Też by ci się udało?

- Tak.

- No, a gdybyśmy stali przy bramie, czyli ćwierć mili stąd? Czy to nie za daleko?

Smith zawahał się przez moment.

- Jubal, to nie odległość. Nie trzeba widzieć, wystarczy



wiedzieć.

- Aha. W takim razie sprawdźmy, czy wszystko zgrokowałem. Odległość nie gra żadnej roli. Nie musisz widzieć miejsca akcji. Jeżeli po prostu wiesz, że dzieje się coś złego, to możesz to powstrzymać, zgadza się?

- Prawie - przyznał z zakłopotaniem Smith. - Ale ja niedawno wyszedłem z gniazda. Żeby wiedzieć, muszę widzieć. Stary nie potrzebuje oczu, żeby widzieć. On wie. On grokuje. On działa. Przepraszam.

- Nie wiem, za co przepraszasz. Minister pokoju już dziesięć minut temu przybiłby ci do czoła tabliczkę z napisem "Ścisłe tajne".

- Proszę?

- Nieważne. - Jubal wziął z biurka ciężką popielniczkę i podał ją Jill. - Tylko nie celuj w twarz. Dobra, Mike, idź do holu.

- Jubal, mój bracie... Proszę, nie!

- O co chodzi? Chcę przeprowadzić jeszcze jedno doświadczenie. Tym razem nie zamknę oczu, żeby nie wiem co.

- Jubal...

- Tak, Jill?

- Chyba grokuję, co niepokoi Mike'a.

- Więc mów.

- I ty i ja jesteśmy jego wodnymi braćmi. Jemu po prostu nie mieści się w głowie, że ja mogłabym chcieć zrobić ci krzywdę. Zdaje się, że w takiej sytuacji musi być coś bardzo niemarsjańskiego.

Harshaw zmarszczył brwi.

- Może powinna się tym zająć Komisja Do Spraw Działań Niemarsjańskich?

- Ja wcale nie żartuję.

- Ani ja. W porządku, Jill. Zorganizujemy to inaczej. - Wręczył popielniczkę Mike'owi. - Czujesz, jaka ciężka? Zwróć uwagę na te ostre krawędzie.

Smith przyjrzał się jej uważnie.

- Teraz rzucę ją w górę, a ona spadając rąbnie mnie w głowę.

Mike wybałuszył na niego oczy.

- Mój bracie, czy chcesz się teraz odcieleśnić?

- Co? Nie, nie! Ale to mi zrobi krzywdę, chyba że zainteresujesz. Uwaga!

Podrzucił popielniczkę niemal pod sam sufit.

Popielniczka osiągnęła szczytowy punkt trajektorii i

zawisła nieruchomo w powietrzu.

Harshaw spojrzał w górę. Czuł się tak, jakby był jedną z postaci na wyciętej klatce filmu.

- Anne! - wychrypiał nienaturalnym głosem. - Co widzisz?

- Popielniczka znajduje się pięć cali od sufitu -

odpowiedziała Anne nieco ciszej niż zwykle. - Nie widzę niczego, co by ją podtrzymało. - Przerwała, by po chwili dodać: - To znaczy, wydaje mi się, że nie widzę, ale jeżeli kamery zarejestrują co innego, podrę moją licencję.

- Jill?

- Unosi się...

Jubal usiadł za biurkiem, nie odrywając wzroku od popielniczki.

- Mike, dlaczego ona nie zniknęła?

- Powiedziałeś tylko, że mam zainterweniować, a nie, że mam ją usunąć - odparł Smith takim tonem, jakby starał się usprawiedliwić. - Jeżeli ona zniknie, to zaraz będziesz chciał, żeby wróciła. Czy zrobiłem coś źle?

- Ależ skąd. Zrobiłeś wszystko tak, jak należało.

Ja tylko ciągle zapominam, że rozumiesz dosłownie to, co się do ciebie mówi.

Harshaw pomyślał o powiedzonkach popularnych za jego młodych lat i obiecał sobie solennie nigdy, ale to nigdy nie używać ich w stosunku do Mike'a. Gdyby chłopak usłyszał, że ma się zmywać albo spadać, z całą pewnością starałby się wykonać to, co mu polecono.

- Cieszę się - oznajmił pogodnie Mike. - Przepraszam, że nie mogę zrobić z powrotem pudełka. Przepraszam, że dwa razy zmarnowałem jedzenie. Ale tak było trzeba. Przynajmniej tak zgrokowałem.

- Jakie znów jedzenie?

- On mówi o tamtych ludziach - wtrąciła się pośpiesznie Jill. - O Berquiscie i tym drugim.

- Aha. - Harshaw zrozumiał, że musi się przyzwyczaić do marsjańskiego znaczenia słowa "jedzenie". - Nie przejmuj się tym, Mike. To był najgorszy gatunek. A poza tym i tak nie moglibyśmy ich zjeść - dodał, przypominając sobie konwencję Federacji o "długich świniach". - Działaleś w obronie własnej. Zgrokowałeś i zrobiłeś to, co należało.

- Jestem bardzo ucieszony - odparł Mike z wyraźną ulgą. - Tylko Stary może być pewien, że zawsze robi słusznie, a jeszcze mam dużo nauki do nauczenia i rośnięcia do dorastania, żeby dołączyć do Starych. Czy mogę już ją zdjąć? Męczę się.

- Ależ oczywiście.

- Ale nie mogę.

- Dlaczego?

- Na dole nie ma twojej głowy. Nie rozumiem nic z tego w tym, że jest tam, gdzie jest.

- Aha, w porządku. No, a teraz?

Harshaw nie spuszczał popielniczki z oka, oczekując, że przemieści się nad jego głowę, odzyskując dzięki temu "niewłaściwość" swego istnienia, ale nic takiego się nie stało.

Popielniczka po prostu opuściła się nad biurko i delikatnie na nim wylądowała.

- Dziękuję - powiedział Smith.

- Za co? To ja dziękuję, synu. - Jubal podniósł popielniczkę i obejrzał ją, ale nie dostrzegł nic nadzwyczajnego. - Tak, naprawdę dziękuję. Za najbardziej wstrząsające przeżycie od chwili, kiedy pewna pokojówka zaprowadziła mnie po raz pierwszy do swego pokoiku. - Poszukał wzrokiem Anne. - Ty już chyba miałaś do czynienia z takimi rzeczami?

- Tak.

- Widziałaś kiedyś lewitację?

Zawahała się.

- Widziałam to, co nazywa się telekinezą, ale nie jestem specjalistą i nie mogę z całą pewnością stwierdzić, czy to naprawdę była telekineza.

- Do licha, ty nie zaświadczyłybyś nawet, że Słońce wzeszło, gdyby ranek był akurat wyjątkowo pochmurny!

- To chyba oczywiście, prawda? Przecież ktoś mógłby się posługiwać sztucznym źródłem światła, ukrytym za zasłoną z chmur. Jeden z moich kolegów potrafił wprawiać w ruch przedmioty o masie nie większej od spinacza do papieru, ale tylko wtedy, kiedy był kompletnie pijany. Nie mogłam tego dokładnie zbadać, bo... bo ja też byłam pijana.

- Rozumiem więc, że coś takiego jak to widziałaś po raz pierwszy?

- Tak.

- Hmm... W takim razie skończ już swoją pracę.

Jeżeli chcesz zostać, to ściągnij tę białą płachtę i przynieś sobie krzesło.

- Dziękuję. Mając w pamięci twój wykład o meczetach i synagogach przebiorę się w moim pokoju.

- Jak chcesz. Obudź Duke'a i powiedz mu, żeby zajął się kamerami.

- Tak jest, szefie. Nie pozwól, żeby cokolwiek zdarzyło

się beze mnie.

Skierowała się do drzwi.

- Niczego nie obiecuję. Mike, siadaj przy biurku. Możesz podnieść tę popielniczkę?

- Tak. - Sięgnął po nią ręką.

- Nie, nie o to chodzi!

- Zrobiłem źle?

- Zrobiłeś dobrze; to moja wina. Chciałem wiedzieć, czy możesz ją podnieść bez dotykania.

- Tak, Jubal.

- No więc? Jesteś zmęczony?

- Nie, Jubal.

- To o co chodzi? Brakuje ci tej "niewłaściwości"?

- Nie, Jubal.

- Przecież ty mu nie powiedziałeś, że ma ją podnieść, tylko zapytałeś, czy może to zrobić - wtrąciła się Jill.

- Och. - Niewiele brakowało, żeby Harshaw się zarumienił.

- Mike, bądź tak dobry i nie dotykając popielniczki podnieś ją, by zawisała mniej więcej pół metra nad biurkiem.

- Dobrze, Jubal. - Popielniczka uniosła się i zawisała w powietrzu. - Może zmierzysz? - zaproponował nieśmiało Mike. - Jeśli coś jest nie tak, to zaraz ją przesunę.

- Wszystko w porządku. Możesz ją utrzymać w tej pozycji? Powiedz, jeśli się zmęczysz.

- Powiem.

- Dasz radę podnieść coś jeszcze? Na przykład ten ołówek? Jaśli tak, zrób to.

Ołówek zawisł obok popielniczki.

Na życzenie Jubala Mike unosił w powietrze coraz to nowe przedmioty. Wróciła Anne z krzesłem i usiadła przy drzwiach, przyglądając się w milczeniu. Wszedł Duke z drabiną, obrzucił pokój spojrzeniem, potem drugim, bardziej badawczym, ale nic nie powiedział, tylko rozstawił drabinę.

- Nie jestem pewien, Jubal... - odezwał się w pewnej chwili Mike, po czym przerwał, najwyraźniej szukając odpowiedniego słowa.

- Nie rób nic na siłę.

- Chyba dam radę z jeszcze jedną.

Przycisk do papierów zadrżał, uniósł się... I nagle wszystkie przedmioty, sporo ponad tuzin, posypały się na podłogę. Mike miał taką minę, jakby chciał się rozpląkać.

- Jubal, ja bardzo, bardzo przepraszam.

Harshaw poklepał go po plecach.

- Powinieneś być z siebie dumny, synu. To, co zrobiłeś, jest... - Starał się dobrać takie porównanie, które Mike mógłby zrozumieć. - To, co zrobiłeś, jest trudniejsze od zawiązywania sznurowadeł i skoku z podwójną śrubą. Zrobiłeś to... eee... ślicznie, ślicznie i milutko. Grokujesz?

- Nie muszę się wstydzić? - zapytał ze zdziwieniem Mike.

- Już ci powiedziałem: możesz być dumny.

- Tak, Jubal - zgodził się Mike. - Jestem dumny.

- To dobrze. Ja nie potrafię podnieść bez dotykania nawet jednej popielniczki.

- Nie potrafisz? - zdumiał się Smith.

- Nie. Mógłbyś mnie nauczyć?

- Tak. Po prostu... - Urwał, zakłopotany. - Znowu nie znam słów. Będę czytał, czytał i czytał, aż je poznam. Wtedy nauczę mojego brata.

- Tylko żebyś się za bardzo nie zawziął.

- Proszę?

- Nie chcę, żebyś się zmartwił, jeśli nie uda ci się znaleźć tych słów. Może ich w ogóle nie być.

Smith zastanowił się przez chwilę.

- Wtedy nauczę mojego brata języka mojego gniazda.

- Szkoda, że nie zjawileś się pięćdziesiąt lat wcześniej.

- Zrobiłem źle?

- Ależ skąd. Może na początek zacznij uczyć Jill.

- Ale od tego boli gardło! - zaprotestowała dziewczyna.

- Więc bierz aspirynę. To bardzo kiepski wykręt, siostrzyczko. Od tej chwili jesteś zaangażowana jako asystent do spraw marsjańskiej lingwistyki, a z tym mogą się także wiązać dodatkowe obowiązki. Anne, wpisz ją na listę płac. I nie zapomnij zgłosić jej do urzędu podatkowego.

- Od jakiegoś czasu pomagała w kuchni. Mam wpisać wcześniejszą datę?

- Nie zawracaj mi głowy szczegółami.

- Ależ, Jubal! - zaprotestowała Jill. - Ja nie dam rady nauczyć się marsjańskiego!

- Zawsze możesz spróbować.

- Ale...

- Czy to ty niedawno mówiłaś coś o wdzięczności? Więc jak, bierzesz tę pracę?

Jill zagryzła wargi.

- Biorę... szefie.

- Jill, ja będę uczył - powiedział łagodnie Smith dotykając jej dłoni.

Dziewczyna odpowiedziała równie delikatnym dotknięciem.

- Dziękuję, Mike. - Spojrzała groźnie na Harshawa. -

Nauczę się choćby po to, żeby zrobić ci na złość!

Jubał uśmiechnął się szeroko.

- Taką motywację gromię w całej rozciągłości. Na pewno się nauczysz. Mike, co jeszcze potrafisz z rzeczy, o których my nie mamy żadnego pojęcia?

- Nie wiem - odparł niepewnie Smith.

- A skąd miałby wiedzieć, skoro nikt mu nie powiedział, co potrafimy, a czego nie - wtrąciła się Jill.

- Właściwie masz rację. Anne, zmień jej funkcję na asystenta do spraw marsjańskiej lingwistyki, nauki i techniki. Jill, ucząc się ich języka będziesz z całą pewnością natrafiać na pojęcia zupełnie różne od tych, z jakimi mamy do czynienia na co dzień. Za każdym razem zgłaszaj się do mnie. A ty, Mike, koniecznie mnie informuj, jak tylko zauważysz u siebie jakąś umiejętność, której my nie posiadamy.

- Dobrze, Jubał. A co to będzie?

- Nie mam pojęcia. Choćby coś takiego jak przed chwilą albo to, że możesz leżeć na dnie basenu, ile chcesz. Hmm... Duke!

- Szefie, mam obie ręce zajęte filmami.

- Ale chyba możesz mówić, prawda? Zdaje się, że woda w basenie trochę zmętniała.

- Jutro wsypię środek wchłaniający zanieczyszczenia i zbiorę go wieczorem.

- A co z jakością wody?

- W porządku, można ją nawet podawać do stołu. Tyle, że wygląda trochę nieciekawie.

- Więc niech taka zostanie. Powiem ci, kiedy masz ją oczyścić.

- Ależ, szefie! Kto będzie chciał się kąpać w takich popłuczynach?

- Ten, kto nie będzie, zostanie na brzegu. Nie marudź, Duke. Filmy gotowe?

- Za pięć minut.

- Świetnie. Mike, czy wiesz, co to jest broń palna?

- Broń palna - wyrecytował z namaszczeniem Smith - jest to cała gama urządzeń przeznaczonych do wyrzucania pocisków przy użyciu ładunku wybuchowego, na przykład prochu strzelniczego, składających się z...

- W porządku, wystarczy. Gromię to?

- Nie jestem pewien.

- A widziałeś kiedykolwiek coś takiego? Na przykład rewolwer?

- Nie wiem.

- Oczywiście, że widziałeś! - odezwała się Jill. - Mike, pamiętasz ten pokój z trawą na podłodze? Tylko niczego się nie bój. Pamiętasz mężczyznę, który mnie uderzył?

- Tak.

- A drugi wymierzył we mnie z czegoś.

- Wymierzył w ciebie z czegoś złego.

- To był właśnie rewolwer.

- Tak myślałem, że ta zła rzecz nazywa się "rewolwer". W słowniku...

- Bardzo dobrze, synu - przerwał mu pośpiesznie Harshaw. - A teraz słuchaj: co zrobisz, jeśli ktoś wyceluje z rewolweru w Jill?

Smith zwlekał z odpowiedzią nieco dłużej niż zwykle.

- Nie będziesz zły, jak zmarnuję jedzenie?

- Nie. W takiej sytuacji nikt nie mógłby mieć do ciebie pretensji. Ale chciałbym wiedzieć coś innego: czy potrafiłbyś zrobić tak, żeby zniknął tylko rewolwer, a nie człowiek?

Mike zastanawiał się przez chwilę.

- Chcesz, żeby jedzenie zostało?

- No, niezupełnie o to mi chodziło. Czy możesz usunąć broń nie czyniąc krzywdy człowiekowi?

- Jubal, ja mu nie zrobię żadnej krzywdy. Rewolwer zniknie, człowiek nie. Nie będzie go bolało. Po prostu się odcieleśni. Jedzenie zostanie.

Harshaw westchnął ciężko.

- Tak, wierzę ci, że wszystko tak właśnie by się odbyło. Ale czy nie mógłbyś urządzić tego tak, żeby rewolwer zniknął, a człowiek pozostał?

- To łatwiejsze niż go odcieleścić - odparł po chwili namysłu Smith. - Ale przecież jeśli zostawię go nie odcieleśnionego, to on będzie mógł skrzywdzić Jill! Powiedz mi, dobrze grokuję?

Harshaw przypomniał sobie po raz kolejny, że to niewinne dziecko wcale nie jest dzieckiem, tylko produktem wyrafinowanej cywilizacji stojącej na znacznie wyższym szczeblu rozwoju od ziemskiej, i że te naiwne uwagi pochodzą od supermana albo od kogoś, kto może się nim stać już w najbliższej przyszłości. Odpowiedział Smithowi dobierając starannie słowa, gdyż eksperyment, który planował, nie należał do najbezpieczniejszych.

- Mike, jeśli zajdzie sytuacja, w której będziesz musiał bronić Jill, rób to.

- Tak, Jubal.

- Nie przejmuj się marnowaniem jedzenia. Nie przejmuj się niczym, tylko po prostu broń Jill.

- Zawsze będę bronił Jill.

- Doskonale. Ale wyobraźmy sobie taką sytuację, że ktoś wyciągnął rewolwer, a ty nie chcesz go zabijać tylko rozbroić. Mógłbyś to zrobić?

- Chyba rozumiem - odparł po krótkim milczeniu Mike. - Rewolwer to zła rzecz, ale czasem człowiek musi żyć. Tak, mogę to zrobić.

- Świetnie. Mike, teraz pokażę ci rewolwer. Pamiętaj, że rewolwer to zła rzecz.

- Rewolwer to zła rzecz. Zrobię tak, żeby zniknął.

- Ale dopiero wtedy, jak go zobaczysz.

- Tak?

- Tak. Zacznę go podnosić, żeby w ciebie wycelować. Usuń go chwilę wcześniej, zanim mi to się uda, ale nie zabijaj mnie ani mnie nie usuwaj. W ogóle nic mi nie rób. Nie zmarnuj mnie też jako jedzenia.

- Och, nigdy bym tego nie zrobił - odparł z powagą Mike. - Kiedy się odcieleńsz, mój bracie, mam nadzieję sam cię zjeść, z każdym kęsem chwając cię i rozkoszując się wspomnieniem o tobie, aż wreszcie zgrokuję cię w całości.

- Dziękuję ci, Mike - powiedział głucho Jubal, w ostatniej chwili zapanowując nad nudnościami.

- To ja muszę ci dziękować, mój bracie. Gdyby zdarzyło się tak, że odcieleńsz się przed tobą, mam nadzieję, że ty także uznasz mnie za wartego zgrokowania. Podziel się mną z Jill. Zrobisz to?

Harshaw spojrział szybko na Jill i stwierdził ze zdziwieniem, że dziewczyna słucha tego z niewzruszoną twarzą, Jako pielęgniarka musiała mieć nieraz do czynienia z gorszymi rzeczami.

- Podzielę się tobą z Jill - przyrzekł solennie. - Ale na to mamy jeszcze sporo czasu. Teraz pokażę ci rewolwer, a ty czekaj, póki ci nie powiem... i staraj się uważać, bo jeszcze wcale nie mam zamiaru się odcieleśniać.

- Będę uważał, mój bracie.

- W porządku - powiedział Harshaw wysuwając szufladę. - Spójrz tutaj, Mike. Widzisz? Zaraz go wezmę, ale nie rób nic, dopóki ci nie powiem.



Zacisnął palce na rękojeści starego policyjnego rewolweru i wyjął go z szuflady.

- Przygotuj się, Mike. Teraz!

Chciał wymierzyć broń w Smitha, ale kiedy uniósł dłoń, była pusta.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że cały się trząsie; nadzwyczajnym wysiłkiem woli udało mu się jakoś opanować.

- Doskonale! Zniknął, zanim zdążyłem wycelować.

- Jestem szczęśliwy.

- Ja też. Duke, zarejestrowałeś to?

- Aha.

- Dobra. No, dzieciaki, to by było na tyle. Zmykajcie.

- Szefie, powiesz mi później, co było na filmie? -

zapytała Anne.

- A nie chcesz go sama obejrzeć?

- Nie mogę oglądać wydarzeń, których byłam Świadkiem, ale chcę wiedzieć, czy się skompromitowałam, czy nie.

- W porządku.

### Rozdział XIII

Kiedy wyszli, Harshaw zaczął wydawać kolejne polecenia Duke'owi, ale zaraz przerwał i zapytał zrzędlawie:

- Czemu masz taką kwaśną minę?

- Szefie, kiedy pozbędziemy się tego wampira?

- Wampira? Uch, ty prowincjonalny głupcze!

- No dobrze, jestem z Kansas, i co z tego? U nas nigdy nie było kanibalizmu. Dopóki on tu mieszka, będę jadał w kuchni.

- Dobrze więc - odparł lodowatym tonem Harshaw. - Za pięć minut Anne wypisze ci czek. Nie sądzę, żebyś potrzebował więcej niż dziesięć na spakowanie swoich komiksów i drugiej koszuli.

Duke właśnie zabrał się do ustawiania projektora.

- Wcale nie chciałem odchodzić.

- Tak to zrozumiałem.

- Ale... O co chodzi, do diabła? Przecież już nieraz jadałem w kuchni.

- W innych okolicznościach. W moim domu nikt nie będzie odmawiał siadania do stołu tylko dlatego, że nie podoba mu się któryś z gości. Jestem przedstawicielem niemal zupełnie wytępionego gatunku staroświeckich dżentelmenów, a to oznacza, że kiedy mam ochotę, potrafię być także cholernym sukinsynem.

Właśnie teraz mam taką ochotę, a to z kolei znaczy, że nie pozwolę na to, by pierwszy z brzegu głupi, zabobonny gnojek pouczał mnie, kto może jadać przy moim stole. To wyłącznie moja sprawa. Wiedz tylko tyle, że na pewno nie dzielę się chlebem z faryzeuszami.

- Właściwie powinieneś teraz zdrowo oberwać - powiedział powoli Duke. - I oberwałbyś, gdybyś był młodszy.

- Och, nie przejmuj się moim wiekiem. Mógłbym okazać się twardszy, niż myślisz, a nawet jeśli nie, to i tak zaraz wszyscy by tu się zbiegli. Sądzisz, że dałbyś radę Człowiekowi z Marsa?

- Jemu? Złamałbym go w pół jedną ręką!

- Być może... Jeśli w ogóle udałoby ci się go dotknąć.

- Jak to?

- Widziałeś, co się stało, kiedy próbowałem w niego wymierzyć rewolwer. Gdzie teraz jest ta broń? Poszukaj jej, a potem zgłoś się do mnie i powiedz, czy nadal uważasz, że dasz radę złamać Mike'a w pół. Ale najpierw znajdź rewolwer.

Duke ponownie zajął się projektorem.

- To po prostu jakaś sztuczka. Na filmie wszystko wyjdzie.

- Duke, zostaw to i siadaj. Sam się tym zajmę, kiedy pójdziesz.

- Wolałbym, żebyś go nie dotykał. Zawsze coś źle podłączysz.

- Siadaj, powiedziałem.

- Ale...

- Jak mi się będzie podobało, to rozwalę go na kawałki.

Nigdy nie korzystam z usług pracowników, którzy przed chwilą poprosili o zwolnienie.

- Do licha, ja wcale się nie zwalniam! To ty się wściekleś i wyrzuciłeś mnie zupełnie bez powodu!

- Usiądź, Duke - powtórzył cicho Harshaw - i pozwól mi ocalić twoje życie albo zmykaj stąd czym prędzej. Nie zaprzataj sobie głowy pakowaniem. Możesz nie żyć wystarczająco długo.

- O co ci chodzi, do cholery?

- Dokładnie o to, co słyszysz. Nie ma najmniejszego znaczenia, czy sam zrezygnowałeś, czy zostałeś wyrzucony. Przestałeś tu pracować w chwili, kiedy oznajmiłeś, że nie będziesz jadał przy moim stole. Mimo to nie chciałem, żebyś został zabity, więc usiądź, a ja zrobię wszystko, żeby tego uniknąć.

Duke usiadł ze zdziwioną miną.

- Czy jesteś wodnym bratem Mike'a? - zapytał go Harshaw.  
- Oczywiście, że nie. Uważam, że to wszystko cholerne brednie.  
- To wcale nie są brednie, a poza tym nie interesuje mnie, co myślisz. Nie jesteś wystarczająco kompetentny, żeby mieć na ten temat jakiegokolwiek zdanie. - Jubal zmarszczył brwi. - Duke, nie chcę cię stąd wyrzucać, bo dajesz sobie świetnie radę ze wszelkiego rodzaju maszyną, dzięki czemu ja mogę się zupełnie nie troszczyć o te sprawy, ale muszę cię stąd jak najprędzej usunąć, a potem czym prędzej ustalić, kto jeszcze nie jest wodnym bratem Mike'a i albo też się go pozbyć, albo doprowadzić do tego, żeby wypił z nim szklanek wody. - Przygryzł na moment wargi. - Może wystarczyłoby uzyskać od Mike'a przyrzeczenie, że nie skrzywdzi nikogo bez mojej zgody... Nie, nic z tego. Dzieją się tu różne rzeczy, a Mike przejawia niezwykle talent do interpretowania wydarzeń dokładnie na odwrót niż trzeba. Na przykład gdybyś ty albo raczej Larry, bo przecież ciebie tu nie będzie, wrzucił znienacka Jill do basenu, to zanim zdołałbym wyjaśnić Mike'owi, że dziewczynie nie grozi żadne niebezpieczeństwo, Larry znalazłby się tam, gdzie teraz jest mój rewolwer, a przecież ma prawo przeżyć dokładnie tyle lat, ile mu będzie dane, a nie trzy razy mniej, i to tylko dlatego, że ja o czymś nie pomyślałem. Duke, wierzę święcie w to, że każdy kręci sobie swój własny stryczek, ale to jeszcze nie powód, żeby dawać do zabawy dziewczynce z zapalkami laskę dynamitu.

- Szefie, coś ci się poplątało - odparł powoli Duke. - Mike nikogo nie skrzywdził. Do licha, przez tę jego gadaninę o kanibalizmie chce mi się wymiotować, ale nie zrozum mnie źle: nic do niego nie mam. To dzikus i po prostu nie wie, jak się zachować. Ale jest łagodny jak baranek i nigdy nikogo by nie skrzywdził.

- Tak myślisz?

- Jestem tego pewien.

- Dobrze więc; masz w pokoju broń. Oświadczam ci niniejszym, że właśnie rozpoczął się sezon polowań na Marsjan. Weź strzelbę, idź nad basen i zabij go. Niczym się nie przejmuj - gwarantuję ci, że prawo zostawi cię w spokoju. No, już! Startuj.

- Jubal, chyba nie mówisz serio?

- Nie, nie mówię serio. Nie zrobiłbyś tego, bo on by ci nie pozwolił. Nawet gdybyś zdołał wycelować, twoja strzelba dołączyłaby do mojego rewolweru, a gdyby jakimś cudem udało ci się go skrzywdzić, sam poszedłbyś w jej ślady. Nawet sobie nie

wyobrażasz, z kim masz do czynienia. Zapewniam cię, że Mike wcale nie jest łagodny jak baranek i że nie jest dzikusem. Już prędzej my nimi jesteście. Hodowałeś kiedyś węże?

- Nie...

- A ja tak, kiedy byłem mały. Pewnej zimy złapałem na Florydzie szkarłatnego węża, a w każdym razie wydawało mi się, że to właśnie ten gatunek. Wiesz, jak wygląda?

- Nie lubię węży.

- Kolejne uprzedzenie. Większość jest nieszkodliwa, pożyteczna i łatwo się przyzwyczajają do życia w niewoli. Szkarłatny jest przepiękny - czerwono-czarno-żółty, łagodny i sympatyczny. Zdaje się, że ten mój nawet mnie polubił. Wiedziałem, jak się obchodzić z węzami, żeby ich nie przestraszyć i nie sprowokować do ataku, bo nawet ugryzienie niejadowitego węża nie należy do przyjemności. Ten był moim ulubieńcem. Wynosiłem go na dwór i pokazywałem ludziom, trzymając go delikatnie tuż poniżej głowy i pozwalając, by resztę ciała owijał dookoła mojej ręki. A pewnego dnia zaprezentowałem moją kolekcję specjalistom z zoo z Tampa. Kiedy zobaczył mego pupila, o mało nie dostał ataku hysterii. To nie był wąż szkarłatny, tylko koralowy, najbardziej jadowity z północnoamerykańskich węży. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?

- Że hodowanie węży jest niebezpieczne? Sam o tym wiem.

- Do licha! Miałem też grzechotniki i inne, wcale nie mniej groźne. Jadowity wąż wcale nie jest niebezpieczny, a w każdym razie nie bardziej od naładowanej broni. I z jednym i z drugim trzeba się po prostu ostrożnie obchodzić. Mój wąż był niebezpieczny wyłącznie dlatego, że nie znałem jego możliwości. Gdybym w swojej ignorancji potraktował go nie tak, jak trzeba, zabiłby mnie odruchowo i niewinnie jak kot, który drapie wysuniętymi pazurami. Chciałbym, abyś zrozumiał, że to samo dotyczy Mike'a. Sprawia wrażenie normalnego chłopca, może trochę słabego, niezdarnego, wiedzącego nieprawdopodobnie mało o świecie, ale bystrogo i żadnego wiedzy. To jednak nie wszystko. Jeżeli przekona się, że nie może ci zaufać, stanie się bardziej groźny od rozwścieczonego węża koralowego, a już szczególnie wtedy, gdy uzna, że krzywdzisz któregoś z jego wodnych braci, na przykład Jill albo mnie. - Harshaw potrząsnął głową. - Duke, gdybyś nie zapanował nad sobą i uderzył mnie, a Mike akurat wtedy stanąłby w drzwiach, byłbyś trupem szybciej, niż zdążyłbyś to zauważyć, a dużo za szybko, żebym ja zdążył mu

cokolwiek wyjaśnić. Zaraz potem Mike'owi zrobiłoby się bardzo przykro z powodu "zmarnowania jedzenia", czyli twych żyłastych zwłok, ale z pewnością nie odczuwałby z powodu twojej śmierci żadnych wyrzutów sumienia. Byłoby to działanie w stanie wyższej konieczności, które na nim wymusiłeś, a w dodatku według niego samo wydarzenie nie zasługiwałoby na większą uwagę, nawet z twojego punktu widzenia. Otóż musisz wiedzieć, że Mike wierzy w nieśmiertelność duszy.

- Tak? Ja też, ale...

- Ty też? - zapytał z lekkim zdziwieniem Jubal. - Ciekawe.

- Pewnie, że tak! No, może nie chodzę zbyt często do kościoła, ale wierzę.

- To dobrze. Chociaż ja osobiście nigdy nie mogłem zrozumieć, jak Bóg może oczekiwać od swoich dzieci, by wybrały tę jedynie słuszną religię zdając się wyłącznie na wiarę. To dosyć ryzykowny sposób kierowania Wszechświatem. Skoro jednak naprawdę wierzysz w nieśmiertelność, to przynajmniej nie grozi nam niebezpieczeństwo, że wyznawane przez ciebie przesady staną się przyczyną twojej śmierci. Chcesz zostać spalony czy pochowany?

- Do pioruna, Jubal! Nie próbuj wyprowadzić mnie z równowagi!

- Wcale nie mam takiego zamiaru. Nie mogę zagwarantować ci bezpieczeństwa, skoro upierasz się, że wąż koralowy jest jednak niegroźnym wężem szkarłatnym. Każdy błąd, jaki popełnisz, może być ostatnim w twoim życiu. Obiecuję jednak, że nie pozwolę Mike'owi, żeby cię zjadł.

Duke'owi na moment opadła szczęka, ale zaraz opanował się i odpowiedział - bezładnymi, obraźliwymi, gwałtownymi słowami. Harshaw wysłuchał go do końca, po czym wycedził:

- W porządku, jak sobie chcesz. Rób, co uważasz za stosowne. - Nachylił się nad projektorem. - A teraz chciałbym zobaczyć te filmy. Cholera, to przeklęte pudło nie chce działać!

- Nic dziwnego - odparł Duke. Poprawił niewłaściwie podłączony kabel i założył szpulę z filmem.

Żaden z nich nie poruszał już kwestii, czy Duke jeszcze pracuje dla Harshawa, czy już nie. Projektor był po prostu przenośnym odbiornikiem stereowizyjnym z przystawką umożliwiającą odtwarzanie 4-milimetrowej taśmy filmowej. Po chwili oglądali wydarzenia bezpośrednio poprzedzające zniknięcie pudełka po brandy.

Pudełko zmierzało nieuchronnie w kierunku głowy Harshawa, po czym nagle zniknęło.

- Anne ucieszy się, że film potwierdził jej słowa. Duke, powtórz to w zwolnionym tempie.

- Robi się.

Przewinął część filmu i oznajmił:

- Dziesięć razy wolniej.

Scena rozegrała się powtórnie, tyle że bez dźwięku.

Pudełko wypłynęło z dłoni Jill i przestało istnieć, ale tym razem można było dostrzec, jak to się odbywało: malało stopniowo, jakby oddalając się coraz bardziej, aż wreszcie zupełnie zniknęło.

- Duke, możesz puścić to jeszcze wolniej?

- Chwileczkę. Coś jest nie tak...

- Co takiego?

- Nie mam pojęcia. Za pierwszym razem wszystko było w porządku, ale za drugim coś się pochrzaniło z głębią ostrości. Pudełko oddalało się od nas, a jednocześnie cały czas było bliżej niż ściana. Pewnie to coś z paralaksą, ale dlaczego? Przecież nie ruszałem szpuli.

- Hmm... Może spróbuj z filmem z drugiej kamery.

- Dobry pomysł. Zmienimy kąt o dziewięćdziesiąt stopni i przekonamy się, czy to ja coś narozrabiłem. - Duke zmienił szpulę. - Przewinąć początek i włączyć dopiero pod koniec?

- Uhm.

Wszystko wyglądało dokładnie tak samo, z tą tylko różnicą, że ujęcie było robione z innego miejsca.

Duke zaklął pod nosem.

- Cholera, to samo!

- Hę...?

- Ta kamera stała z boku, więc pudełko powinno wylecieć poza kadr, a tymczasem też zaczęło oddalać się od obiektywu. Zresztą, sam widziałeś.

- Rzeczywiście, oddalało się - przyznał Jubal.

- Ale przecież to niemożliwe! Ujęcia były robione pod różnym kątem.

- Co to znaczy "niemożliwe"? Skoro tak było, to znaczy, że to możliwe. Ciekawe, co by wykazał radar dopplerowski?

- Skąd mam wiedzieć? Rozbiorę te kamery i sprawdzę część po części.

- Nie trudź się.

- Ale przecież...

- Duke, kamery są w porządku. Zadam ci teraz pytanie: co

znajduje się zawsze pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w stosunku do wszystkiego, co jest dokoła?

- Nie znam się na takich łamigłówkach.

- To wcale nie łamigłówka. Na pytanie, jakie przedmioty są w tej chwili prostopadłe do wszystkich innych, odpowiedź brzmi: dwa ciała, jeden rewolwer i jedno pudełko po brandy.

- Co przez to rozumiesz, szefie?

- Nigdy w życiu nie wyrażałem się jaśniej. Uwierz dowodom, a nie upieraj się bez końca, że kamery są uszkodzone, bo nie zarejestrowały tego, czego się spodziewałeś. Zobaczmy, co jest na pozostałych filmach.

Nie było na nich nic nowego. Wisząca pod sufitem popielniczka nie zmieściła się w kadrze, ale jej lądowanie zostało w całości zarejestrowane. Rewolwer widoczny na ekranie był bardzo malutki, lecz mimo to można było dostrzec, że on również raptownie się oddalił, nie zmieniając ani na chwilę swego położenia. Potwierdziło to przypuszczenia Harshawa, jakich doznał ściskając go w dłoni; poczuł się usatysfakcjonowany, o ile w tym przypadku można było mówić o jakiegokolwiek satysfakcji.

- Zrób kopie.

Duke zawahał się przez moment.

- Więc nadal tu pracuję?

- Co? Do diabła, nie chcę tylko słyszeć o żadnym jedzeniu w kuchni! Spróbuj na chwilę zapomnieć o swoich uprzedzeniach i posłuchaj mnie.

- Słucham.

- Kiedy Mike poprosił mnie, bym pozwolił mu zjeść moje stare łykowate ciało, wyświadczał mi największy zaszczyt, jaki, w jego pojęciu, jest w ogóle możliwy. To jest coś, co wyssał z mlekiem matki, jeśli tak można powiedzieć. Jednocześnie mówił mi wielki komplement i prosił o ogromną łaskę. Nieważne, co na ten temat myśli się w Kansas; Mike kieruje się w swoim postępowaniu zasadami, jakie wpojono mu na Marsie.

- Ja tam wolę Kansas.

- Ja też - przyznał Jubal. - Ale tak się złożyło, że nikt nas nie zapytał o zdanie, podobnie jak jego. Duke, niechże to wreszcie do ciebie dotrze, że jest prawie niemożliwe zapomnieć nagle o wszystkim, czego cię nauczono i o tym, jak cię wychowano. Gdybyś dorastał wśród Marsjan, miałbyś dokładnie takie same poglądy na temat jedzenia innych i bycia zjadanym jak Mike.

Duke potrząsnął głową.

- To nie dla mnie, Jubal. Jasne, chłopak miał pecha, że trafił do dzikusów, ale w tym przypadku to po prostu instynkt.

- Instynkt?

- Oczywiście. Nie musiałem niczego wysysać z mlekiem matki, żeby nie zostać kanibalem. Zawsze wiedziałem, że to grzech i to z tych najobrzydliwszych. Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze. To jest właśnie instynkt.

Jubal jęknął rozdzierająco.

- Duke, jak to możliwe, żebyś wiedział prawie wszystko o maszynach, a niemal nic o samym sobie? Twoja matka nie musiała mówić "Kochanie, bądź grzecznym chłopczykiem i nie zjadaj kolegów w piaskownicy", bo wchłaniałeś ten zakaz wraz z otaczającą cię kulturą, tak samo jak ja i każdy z nas. Dowcipy o kanibalach i misjonarzach, komiksy, bajki, opowieści z dreszczykiem, masa innych rzeczy... Synu, to nie instynkt! Historycznie rzecz biorąc kanibalizm jest najbardziej rozpowszechnionym obyczajem w dziejach rozwoju naszego gatunku. Twój przodek, moi przodkowie - wszyscy byli kanibalami.

- Może twój, bo moi na pewno nie.

- Kiedyś chyba wspomniałeś, że w twoich żyłach płynie trochę indiańskiej krwi?

- Tak, jedna ósma. I co z tego?

- To, że chociaż i ty i ja mieliśmy w rodzinach ludożerców, w twojej żyli oni jeszcze całkiem niedawno, jako że...

- Ty stary, łysogłowy...

- No, no, tylko spokojnie. Wśród tubylczych plemion zamieszkujących Amerykę rytualny kanibalizm wcale nie należał do rzadkości. Sam sprawdź, jeśli mi nie wierzysz. Poza tym jako mieszkańcy tego kontynentu mamy znakomite szanse na to, że nic o tym nie wiedząc jesteśmy praprawnukami jakiegoś gościa z Konga, a chyba wiesz, co to może oznaczać. Zresztą nawet jeśli przyjmujemy, że jesteśmy pełnokrwistymi potomkami Europejczyków - sprawa zupełnie nierealna, bo bękarstwo było i jest zjawiskiem znacznie bardziej popularnym, niż to się oficjalnie przyznaje - to nawet takie pochodzenie nie dałoby nam nic poza informacją, których dokładnie ludożerców stanowimy potomstwo, gdyż kanibalizm istniał kiedyś wszędzie, bez żadnych wyjątków. Głupotą jest mówić o czymś, że jest "wbrew instynktowi", podczas gdy robiły to setki milionów istot.

- Ale... Nieważne. W ogóle nie powinienem być wdawać się z tobą w dyskusję. Wszystko przekręcasz do góry ogonem. A nawet jeśli pochodzimy od dzikusów, którzy robili to, co robili, bo



nie wiedzieli, że można inaczej, to co z tego? Teraz jesteśmy już ucywilizowani. W każdym razie, przynajmniej ja jestem.

Jubał uśmiechnął się.

- To znaczy, że ja niby nie? Synu, oprócz tego, że rządzi mną odruch warunkowy nie pozwalający mi rozkoszować się befsztykiem z... no, na przykład z ciebie, uważam, że zakaz spożywania naszych bliźnich jest znakomitym pomysłem, a to właśnie dlatego, że nie jesteśmy cywilizowani.

- Jak to?

- Gdyby w naszej kulturze nie funkcjonowało tabu tak silne, że aż pomyliłeś je z instynktem, musiałbym sporządzić bardzo długą listę ludzi, do których pod żadnym pozorem nie mógłbym odwrócić się plecami, a przynajmniej nie przy tych cenach wołowiny, jakie mamy obecnie. I co ty na to?

Duke uśmiechnął się krzywo.

- Ja na pewno nie zaryzykowałbym tego z moją byłą teściową.

- A co powiesz o naszym przemiłym sąsiedzie z południa, który z nadejściem sezonu łowieckiego dziwnie obojętnie na los żywego inwentarza swoich bliźnich? Czy nie uważasz, że bardzo szybko skończylibyśmy w jego lodówce? Ale Mike'owi wierzę - właśnie dlatego, że on j e s t cywilizowany.

- To znaczy?

- Tyle tylko, że po marsjańsku. Rozmawiałem z nim wystarczająco często, by dowiedzieć się, że tam, u niego, bynajmniej nie gryzą się na każdym rogu. Zwyczaj dotyczy tylko zmarłych; zamiast grzebać, kremować albo zostawiać sępom, zjadają ich. Obrzęd jest bardzo sformalizowany i ma wybitnie religijny charakter. Żaden Marsjanin nigdy nie został zaszlachtowany wbrew swojej woli. Zdaje się, że coś takiego jak morderstwo w ogóle tam nie istnieje. Marsjanin umiera wtedy, kiedy zechce. Najpierw długo omawia swą decyzję z przyjaciółmi. Musi też otrzymać od duchów przodków zgodę na to, żeby do nich dołączyć. Gdy już postanowi umrzeć, robi to z taką samą łatwością, z jaką ty zamykasz oczy - żadnej przemocy, choroby ani nawet przedawkowania pigułek nasennych. W tej sekundzie jeszcze żyje i ma się dobrze, w następnej jest już duchem. Wtedy jego przyjaciele, przygotowując do smaku każdy kęs, zjadają to, z czego nie będzie żadnego pożytku w grokowaniu nieboszczyka, jakby powiedział Mike. Na uczcie zjawia się również duch zmarłego. Jest to solidna wyżerka połączona z uroczystym nabożeństwem, podczas którego duch otrzymuje status "Starego", czyli, o

ile dobrze to zrozumiałem, kogoś w rodzaju kongresmana na emeryturze.

Duke skrzywił się z niesmakiem.

- Boże, co za przesady!

- Dla Mike'a jest to ceremonia najpoważniejsza w świecie, choć jednocześnie bardzo radosna.

- Chyba nie wierzysz w te bajdy o duchach? To zwyczajny kanibalizm połączony z bezsensownymi zabobonami.

- No, ja byłbym trochę ostrożniejszy z wydawaniem wyroków. W tych Starych rzeczywiście trudno uwierzyć, ale dla Mike'a są oni równie realni jak dla ciebie ubiegła środa. A co do reszty... Duke, jakiego jesteś wyznania? - Otrzymałszy odpowiedź mówił dalej. - Tak myślałem. W Kansas wszyscy należą do tego kościoła, a nawet jeśli trafi się jakiś inny, to różnica polega wyłącznie na nazwie. Powiedz mi, jak się czujesz biorąc udział w symbolicznym obrzędzie kanibalistycznym, który w twoim Kościele odgrywa tak ważną rolę?

Duke wytrzeszczył oczy.

- O czym ty mówisz, do diabła?

W odpowiedzi Jubal wybałuszył swoje.

- Byłeś praktykujący, czy ograniczyłeś się do chodzenia do szkółki niedzielnej?

- Oczywiście, że byłem. Cały czas jestem, tylko że ostatnio...

- Myślałem, że może nie wolno ci było przystępować. Przestań tak intensywnie myśleć, a może zrozumiesz, o co mi chodzi. - Jubal wstał z fotela. - Nie będę robił ci wykładu na temat podobieństw obydwu rytuałów. Duke, nie mogę poświęcić więcej czasu na próby otrząśnięcia cię z twoich uprzedzeń. Odchodzisz? Jeżeli tak, to chyba będzie lepiej, jeśli cię odprowadzę. A może jednak zostaniesz i będziesz jadał przy jednym stole z nami, kanibalami?

Duke zmarszczył brwi.

- Zostaję.

- W takim razie ja umyвам ręce. Widziałeś filmy i jeżeli masz dość oleju w głowie, to chyba zrozumiałeś, że ten Marsjanin może być niebezpieczny.

Duke skinął głową.

- Nie jestem taki głupi, jak ci się wydaje, Jubal. Nie pozwolę, żeby Mike mnie stąd wykurzył. Twierdzisz, że jest niebezpieczny, więc postaram się go nie drażnić. Poza tym nawet lubię tego chłopaka.

- Ale nadal go nie doceniasz. Jeżeli rzeczywiście chcesz

być jego przyjacielem, to najmądrzej zrobisz proponując mu wypicie z tobą szklanki wody, rozumiesz? Musisz zostać jego wodnym bratem.

- Hmm... Pomyślę o tym.

- Tylko bądź szczery. Jeśli Mike przyjmie twoją propozycję, zrobi to ze śmiertelną powagą. Będzie ci ufał bez zastrzeżeń, więc lepiej nie rób tego, dopóki nie nabierzesz przekonania, że zostaniesz przy nim bez względu na okoliczności. Wszystko albo nic, inaczej być nie może.

- Rozumiem. Właśnie dlatego powiedziałem, że o tym pomyślę.

- W porządku. Byłoby dobrze, gdyby nie zajęło ci to zbyt wiele czasu. Mam przeczucie, że niedługo zaczniesz się niezłe zamieszanie.

## Rozdział XIV

W Lapucie, według relacji Lemuela Gulliwera, żadna ważniejsza osoba nie mogła słuchać ani mówić bez pomocy climenole, czyli "budziciela", którego obowiązkiem było uderzanie w usta lub uszy swego pana pęcherzem wypełnionym drobnymi kamykami wtedy, gdy według jego opinii pan ów powinien się odezwać lub czegoś wysłuchać. Rozmowa ze szlachetnym Laputańczykiem była możliwa wyłącznie w obecności tego służącego.

System ten nie był znany na Marsie. Starzy mieliby z budzicieli tyle samo pociechy, co wąż z butów, natomiast jeszcze nie odcieleśnieni Marsjanie nie korzystali z usług tego typu, ponieważ nie pasowały one zupełnie do ich sposobu życia.

Jeżeli jakiś Marsjanin uznał, że problem, nad którym właśnie rozmyśla, wymaga kilku minut lub kilku lat zastanowienia, nie przejmował się niczym i robił to, co uważał za stosowne; jeżeli w tym czasie chciałby z nim porozmawiać jego przyjaciel, nie było problemu. Przyjaciel poczeka. Gdy ma się do dyspozycji wieczność, nie trzeba się śpieszyć. Pośpiech był na Marsie pojęciem zupełnie nieznanym. Szybkość, przyspieszenie, równoczesność i inne tego typu abstrakcyjne określenia funkcjonowały w marsjańskiej matematyce, ale nie w psychice.

I odwrotnie: szaleńczy pośpiech ludzkiej egzystencji

wynikał nie z wymogów matematyki, lecz z bezwzględnego, zakodowanego w psychice nakazu, związanego z ludzką polaryzacją płci.

Na Ziemi system budzicieli rozwijał się powoli, ale nieustannie. Kiedyś władcy sami sprawowali sądy, aby umożliwić podwładnym przedstawienie swoich spraw bez pomocy pośredników. Pozostałości tego zwyczaju przetrwały do czasów, kiedy królowie należeli już do rzadkości - jeszcze w dwudziestym wieku co niektórym potentatom zdarzało się przyjmować osobiście każdego, kto o to poprosił. Relikty tej zasady zabalsamowano w postaci I i IX poprawki do konstytucji Stanów Zjednoczonych, podporządkowanej później konstytucji Federacji.

W chwili, gdy "Champion" wrócił z Marsa, już mało kto pamiętał o prawie swobodnego dostępu do władcy, chociaż rząd pochodził przecież z wyboru. Stopień ważności każdego dostojnika oceniano się na podstawie liczby "budzicieli" odgradzających go od pospólstwa. Nosili oni różne nazwy - zastępców, asystentów, sekretarzy, sekretarzy sekretarzy, rzeczników, recepcjonistów, portierów, gońców - ale każdy z nich był właśnie budzicielem i każdy decydował o tym, co i kiedy ma dotrzeć do oczu i uszu jego pana.

Istnienie gęstej sieci oficjalnych budzicieli zaowocowało powstaniem nie mniej licznej rzeszy budzicieli nieoficjalnych. Otaczali oni swego pana podczas zakulisowych spotkań i docierali do niego poufnymi kanałami. Nazywano ich "członkami gabinetów cieni", "grupami nacisku", "emerytowanymi senatorami", "przyjaciółmi z klubu golfowego" i tak dalej. Ci budziciele z kolei otaczali się siecią swych własnych climenole, tak że w końcu dotrzeć do nich było równie trudno, jak do samego pana, dzięki któremu egzystowali. Nieoficjalny labirynt budzicieli otaczający Bardzo Ważne Osoby był nieraz lepiej rozbudowany niż ten oficjalny.

Doktor Jubal Harshaw, profesjonalny błazen, wywrotowiec-amator i pasożyt z wyboru, miał do słowa "pośpiech" iście marsjański stosunek. Wiedząc doskonale, że życie trwa krótko, i nie znajdując w sobie właściwej mieszkańcom Marsa i stanu Kansas wiary w nieśmiertelność duszy, każdą złotą chwilę życia starał się przedłużyć w nieskończoność - bez strachu ani nadziei, za to z rozkoszą. Do tego celu potrzebował czegoś odrobinę większego od beczki Diogenesa, a jednocześnie mniejszego od Rzymu imperatorów: kilka akrów ziemi odgradzonych od reszty świata płotem pod napięciem, czternastopokojowy dom

wraz z sekretarkami i całą masą innych udogodnień. W utrzymanie tego wszystkiego wkładał minimum wysiłku uzyskując jednocześnie maksimum efektu, ponieważ bycie bogatym jest zawsze dużo łatwiejsze niż bycie biednym. Jubal Harshaw chciał żyć w leniwym luksusie, robiąc tylko to, na co Jubal Harshaw miał ochotę.

Kiedy okoliczności wymagały od niego podjęcia błyskawicznych działań, odnosił nieodparte wrażenie, że dzieje mu się wielka krzywda.

Tego ranka musiał koniecznie porozmawiać z najważniejszym człowiekiem na planecie, a wiedział doskonale, że dzięki rozbudowanej sieci budzicieli jego szanse na osiągnięcie celu są praktycznie żadne. On sam nie zatrudniał żadnych budzicieli; telefony odbierał osobiście, tylko wtedy, ma się rozumieć, kiedy miał na to ochotę. Miewał ją dość często, bo zawsze istniała możliwość, że będzie mógł zwymyślać kogoś za zawracanie mu głowy jakimiś głupstwami - głupstwami według jego, Harshawa, oceny, rzecz jasna. Zdawał sobie sprawę, że w Pałacu sprawy mają się zupełnie inaczej i że sekretarz generalny z pewnością nie podejździe osobiście do wizjofonu, ale miał za sobą lata praktyki w omijaniu ograniczeń będących wynikiem ludzkich zwyczajów i przesądów, więc zaraz po śniadaniu pełen optymizmu zabrał się do dzieła.

Dzięki swemu nazwisku powoli przebijał się przez kolejne barykady. Był człowiekiem wystarczająco znanym, żeby rozmówcy nie wyłączały się w pół słowa. Odsyłano go od sekretarza do sekretarza, aż w końcu wplątał się w dyskusję z grzecznym młodym człowiekiem o, zdawało się, niewyczerpanej cierpliwości, który mógł bez końca wysłuchiwać tego, co Harshaw miał do powiedzenia, ale z całą pewnością nie mógł uczynić jednego: połączyć go z sekretarzem generalnym Douglasem.

Jubal wiedział, że sprawy miałyby się zupełnie inaczej, gdyby oświadczył, że gości u siebie Człowieka z Marsa, ale nie był pewien, czy osiągnąłby w ten sposób dokładnie to, na czym mu zależało. Przeczuwał, że najmniejsza wzmianka o Smithie pozbawiłaby go jakiegokolwiek szansy dotarcia do Douglasa, natomiast z pewnością spowodowałyby szybką reakcję jego podwładnych. A tego nie chciał. Stawką było życie Caxtona i Harshaw nie miał zamiaru ryzykować przegranej, której przyczyną mógł być brak kompetencji lub nadmiar ambicji jakiegoś urzędnika.

Jednak to łagodne spławianie w końcu podziało mu na

nerwy.

- Młody człowieku! - prychnął wreszcie z rozdrażnieniem. - Jeżeli nie możesz sam o niczym zdecydować, to połącz mnie z kimś, kto ma odpowiednie pełnomocnictwa, na przykład z panem Berquistem!

Przystojniaczek nagle przestał się uśmiechać i Harshaw pomyślał z uciechą, że wreszcie trafił w słabe miejsce. Nie zwlekając przystąpił do dalszego szturmu.

- No, co tak siedzisz, młodzieńcze? Daj mi tu Gilberta, ale przedtem powiedz mu, że kazałeś czekać Jubalowi Harshawowi!

Twarz na ekranie przypominała drewnianą maskę.

- U nas nie ma żadnego pana Berquista.

- Nie obchodzi mnie, gdzie jest, a gdzie go... Żadnego? Jeśli nie znasz Gila Berquista, zapytaj swojego szefa. Gilbert Berquist, osobisty asystent pana Douglasa. Jeżeli pracujesz w Pałacu, to nieraz musiałeś go widzieć - trzydzieści sześć lat, sześć stóp wzrostu, sto osiemdziesiąt funtów wagi, jasne włosy, trochę przerzedzone na czubku głowy, szeroki uśmiech i doskonale zęby. Jeśli boisz się mu przeszkadzać, to zdaj to swojemu szefowi. Przestań obgryzać paznokcie i do roboty!

- Zaraz to sprawdzę, proszę chwilę zaczekać.

- Pewnie, że poczekam. Dawać mi tu Gila!

Na ekranie pojawił się abstrakcyjny kolorowy wzór, a głos z taśmy powiedział:

- Proszę czekać na wznowienie połączenia. Okres oczekiwania nie jest wliczany do rachunku.

Rozległy się kojące dźwięki muzyki. Jubal rozparł się wygodnie w fotelu i rozejrzał dookoła. Anne siedziała obok, poza zasięgiem kamery wizjofonu i czytała książkę. Niedaleko niej Człowiek z Marsa ze słuchawkami na uszach oglądał stereowizję.

Jubal pomyślał, że musi czym prędzej schować to przeklęte pudło do piwnicy.

- Co tam masz, synu? - zapytał, nachylając się do Smitha i włączając zewnętrzną fonię.

- Nie wiem, Jubal - odparł Mike.

Dźwięk potwierdził to, czego obawiał się Harshaw: Smith oglądał transmisję z nabożeństwa fosterytów. Pasterz właśnie czytał ogłoszenia.

- ... wykona nasz młodzieżowy zespół "Duch w działaniu", więc przyjdźcie wszyscy zobaczyć, co się będzie działo! Nasz trener, brat Hornsby, mówi, żeby wziąć tylko hełmy, rękawice i pałki - tym razem zostawimy grzeszników w spokoju. Niemniej

Mały Cherubinek będzie w pogotowiu ze swoją apteczką. - Pasterz przerwał na chwilę i uśmiechnął się od ucha do ucha. - A teraz, moje dzieci, wspaniała wiadomość! Informacja od anioła Ramzaia dla naszego brata Arthura Renwicka i jego żony Dorothy: wasze modlitwy zostały wysłuchane i oboje idziecie do nieba w czwartek o świcie! Wstań, Art! Wstań, Dottie! Ukłońcie się!

Kamera pokazała zgromadzenie, koncentrując się na bracie i siostrze Renwick. Przy wtórze hucznych braw i okrzyków "Alleluja!" brat Renwick pozdrowił wszystkich boksem gestem podniesionych rąk, a jego zaróżowiona z emocji żona uśmiechała się i ocierała ukradkiem łzy wzruszenia.

Kamera skierowała się na Pasterza, który uniósł dłoń, nakazując wiernym ciszę.

- Przyjęcie Pożegnalne zaczyna się o północy i dokładnie o tej godzinie zamykamy wszystkie drzwi, więc nie zapomnijcie przyjść wcześniej i niech to będzie najwspanialsza balanga, jaką kiedykolwiek zorganizowaliśmy. Jesteśmy dumni z Arta i Dottie. Ceremonia pogrzebowa odbędzie się pół godziny po wschodzie słońca, a zaraz potem śniadanie dla tych, którzy muszą wcześniej iść do pracy. - Pasterz niespodziewanie spowaźniał. Kamerzysta wykonał zbliżenie jego twarzy. - Po ostatnim Przyjęciu Pożegnalnym w jednym z Pokoi Szczęścia znaleziono pustą butelkę po brandy wyprodukowanej przez grzeszników. Było i minęło; brat, który zbłądził, przyznał się do winy i zapłacił karę, rezygnując nawet z przysługującej mu zniżki. Jestem pewien, że nie popełni już takiego błędu. Zastanówcie się, moje dzieci, czy warto ryzykować wieczne szczęście tylko po to, by zaoszczędzić parę nędznych centów na przedmiocie ziemskiego handlu? Kupujcie wyłącznie towary zaopatrzone w Akceptującą Pieczęć biskupa Digby'ego z jego uśmiechniętą twarzą. Nie pozwólcie grzesznikom wciskać wam niczego "równie dobrego". Nasi sponsorzy popierają nas i w zamian również oczekują poparcia. Bracie Art, przykro mi, że muszę wywlekać tę sprawę...

- W porządku, Pasterzu! Mów dalej!

- ...w chwili tak wielkiego szczęścia, ale nie wolno nam zapominać, że...

Jubal wyłączył głos.

- Mike, to ci się do niczego nie przyda.

- Nie?

Do licha, chłopak powinien dowiedzieć się także o takich sprawach.

- Zresztą, oglądaj dalej, jeśli chcesz. Ale nie zapomnij

potem ze mną o tym porozmawiać.

- Tak, Jubal.

Harshaw chciał dać mu jeszcze jakąś radę, pamiętając o skłonności Mike'a do rozumienia w sposób dosłowny wszystkiego, co usłyszał, ale właśnie w tej chwili ucichła dobiegająca z wizjofonu muzyka i na ekranie pojawił się czterdziestokilkuletni mężczyzna, którego Jubal natychmiast zidentyfikował jako glinę.

- Pan nie jest Gilem Berquistem! - zaatakował go od razu.

- A czego pan od niego chce?

- Chcę z nim porozmawiać - odparł z wysiloną uprzejmością Harshaw. - Dobry człowieku, czy jest pan może pracownikiem państwowym?

Mężczyzna zawahał się.

- Tak. Musi pan...

- Nic nie muszę! Jestem obywatelem tego kraju i dzięki podatkom, które płacę, dostaje pan swoją pensję. Od wczesnego rana próbuję wykonać zwykły telefon i jestem bez końca odsyłany od jednego bezmózgiego drańgala do drugiego, przy czym każdy z nich bierze pieniądze z państwowej kiesy. A teraz jeszcze pan! Proszę mi podać swoje nazwisko, zawód i stanowisko, a potem pozwolić mi porozmawiać z Gilbertem Berquistem!

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

- Rzeczywiście! Bo nie muszę. W przeciwieństwie do pana jestem prywatną osobą, a na pytanie, które ja panu zadałem, mam prawo uzyskać odpowiedź, zgodnie z wyrokiem w sprawie O'Kelly'ego przeciwko stanowi Kalifornia z roku 1972. Żądam, żeby pan się przedstawił: imię, nazwisko, zajmowane stanowisko.

- Nazywa się pan Jubal Harshaw - odparł mężczyzna beznamiętnym tonem. - Dzwoni pan z...

- Więc po to trzeba wam było tyle czasu? Cóż za głupota. Mój adres można znaleźć w każdej bibliotece, na poczcie, czy choćby w informacji telefonicznej. Wszyscy wiedzą, kim jestem, w każdym razie ci, którzy potrafią czytać. Pan potrafi?

- Doktorze Harshaw, jestem oficerem policji i oczekuję od pana współdziałania. Co skłoniło...

- Ba, mój panie! Ja zaś jestem prawnikiem. Każdy obywatel ma obowiązek współdziałania z policją tylko w ściśle określonych warunkach, na przykład w trakcie bezpośredniej pogoni za przestępcą, ale nawet wtedy oficer policji musi się najpierw wylegitymować. Czy to jest właśnie bezpośrednia pogoń? Czy za chwilę rzuci się pan głową naprzód w ten diabelski instrument? Obywatel może również współpracować z policją w



czasie śledztwa, ma się rozumieć w rozsądnych, zgodnych z prawem granicach, ale...

- To jest właśnie śledztwo.

- W jakiej sprawie, jeśli wolno zapytać? Zanim zacznie pan domagać się ode mnie współdziałania, musi się pan przedstawić, zaspokoić moją ciekawość co do celu śledztwa, a także, jeśli sobie tego zażyczę, zacytować odpowiedni paragraf i udowodnić mi, że konieczność takiego współdziałania rzeczywiście istnieje. Jak na razie nie uczynił pan żadnej z tych rzeczy. Chcę rozmawiać z Gilbertem Berquistem.

Człowiek na ekranie zaciskał cały czas z wściekłością szczęki, ale opanował się i powiedział:

- Jestem kapitan Heinrich ze służb specjalnych. Fakt, że dzwoni pan do Pałacu, a rozmawia ze mną, powinien stanowić wystarczające potwierdzenie mojej tożsamości, ale...

Wyciągnął portfel, otworzył go i przysunął do kamery. Harshaw uważnie obejrzał kartę identyfikacyjną.

- W porządku, kapitanie - mruknął. - Czy teraz byłby pan łaskaw mi wyjaśnić, dlaczego nie mogę rozmawiać z Gilbertem Berquistem?

- Pan Berquist jest chwilowo nieosiągalny.

- Więc czemu od razu pan tego nie powiedział? W takim razie proszę połączyć mnie z kimś równym mu rangą, to znaczy z kimś, kto tak jak on pracuje bezpośrednio z sekretarzem generalnym. Nie radzę podstawiać mi kolejnego młodszego asystenta, któremu nawet nie wolno samodzielnie się wysmarkać. Jeżeli Gila akurat nie ma, to dajcie mi kogoś sprawującego podobną funkcję!

- Pan chciał rozmawiać z sekretarzem generalnym...

- Zgadza się.

- Więc może będzie pan uprzejmy wyjaśnić, co takiego miał mu pan do przekazania?

- Raczej nie będę. Czy jest pan jego zaufanym współpracownikiem? Czy on dopuszcza pana do wszystkich tajemnic?

- To nie ma żadnego znaczenia.

- Właśnie, że ma. I to duże. Jako oficer policji doskonale zdaje pan sobie z tego sprawę. Mógłbym coś powiedzieć tylko osobie, o której wiedziałbym, że ma dostęp do wszystkich poufnych spraw, gdyby dało mi to możliwość bezpośredniej rozmowy z sekretarzem generalnym. Czy jest pan całkowicie pewien, że pan Berquist jest rzeczywiście nieosiągalny?

- Całkowicie.

- W takim razie proszę mi dać kogoś innego, równego mu

stanowiskiem.

- Jeżeli to aż taka tajemnica, nie powinien pan korzystać z wizjofonu.

- Mój drogi kapitanie! Skoro wyszedł pan, skąd dzwonię, to musi pan również wiedzieć, że to urządzenie jest przystosowane do ściśle tajnych, maksymalnie ekranowanych połączeń.

Oficer zignorował tę uwagę.

- Doktorze, będę z panem szczerzy. Dopóki nie wyjaśni pan, o co panu chodzi, nie połączy się pan z nikim innym. Jeżeli zadzwoni pan znowu, będzie pan rozmawiał ze mną. Wszystko jedno, czy spróbuje pan sto razy pod rząd, czy dopiero za miesiąc. Będzie to trwało dopóty, dopóki nie zechce pan z nami współdziałać.

Jubał uśmiechnął się radośnie.

- To nie będzie potrzebne, skoro niechący - a może chcący? - podał pan datę, po której będziemy mogli zacząć działać. Jeśli zajdzie taka potrzeba, ma się rozumieć. Mogę ich jeszcze trochę powstrzymać, ale od tej pory hasło nie brzmi już "Berquist".

- O czym pan mówi, do diabła?

- Kochany kapitanie, nie po otwartej linii... Zresztą, wie pan przecież, a przynajmniej powinien wiedzieć, że jestem praktykującym filozopunktulistą.

- Że co, proszę?

- Nie miał pan nigdy amfigorii? Rety, czego teraz uczą w tych szkołach? No, niech pan już wraca do swego bezika. Nie potrzebuję pana.

Jubał przerwał rozmowę i włączył dziesięciminutową blokadę wszystkich połączeń.

- Chodźcie, dzieci - powiedział, udając się na swoje ulubione miejsce nie opodal basenu. Poleciał Anne, żeby miała w pogotowiu białe szaty Świadka, kazał Mike'owi nie oddalać się za bardzo i wydał Miriam instrukcje dotyczące wizjofonu. Dopiero potem odprężył się.

Wcale nie był zawiedziony. Nie oczekiwał, że uda mu się od razu dotrzeć do sekretarza generalnego. Dzięki temu rekonesansowi odkrył słaby punkt w murze otaczającym Douglasa; oczekiwał, że starcie z kapitanem Heinrichem zaowocuje wkrótce telefonem od kogoś wyższego rangą niż jego niedawny oponent.

Jeżeli nawet nie, to wymiana uprzejmości z gliną ze służb specjalnych sama w sobie stanowiła sporą przyjemność i pozostawiła po sobie miłe rozgrzewające uczucie. Harshaw

zawsze twierdził, że istnieją odciski stworzone wyłącznie po to, by po nich deptać i w ten sposób przyczyniać się do rozwoju ludzkości, wzrostu dobrobytu i temperowania odwiecznej buty urzędników. Heinrich, jego zdaniem, miał właśnie takie odciski.

Ale jak długo można czekać? Oprócz tego, że jego "bomba" z godziny na godzinę traciła na mocy i że obiecał Jill podjąć kroki zmierzające do odnalezienia Caxtona, był jeszcze jeden problem: Duke zniknął.

Czy tylko na jeden dzień, czy na dobre (albo złe), tego Harshaw nie wiedział. Był na obiedzie, a następnego dnia nie pojawił się na śniadaniu. W domu Jubala Harshawa żaden z tych posiłków nie był obowiązkowy i jak na razie wszystko wskazywało na to, że oprócz niego nikt nie zauważył zniknięcia Duke'a.

Jubal spojrział na Mike'a i przyznał w duchu, że celowo nie zapytał o Duke'a przy śniadaniu. Po prostu nie chciał pytać Wilka, co się stało z Czerwonym Kapturkiem, bo przypadkiem Wilk mógłby powiedzieć prawdę.

No cóż, istniał tylko jeden sposób rozstrzygnięcia wahań.

- Mike, chodź tutaj!

- Tak, Jubal.

Człowiek z Marsa wyszedł z wody i podbiegł do niego jak szczęśliwy szczeniak. Jubal przyjrzał mu się krytycznie i ocenił, że chłopak waży o dobrych dziesięć kilo więcej niż w chwili przybycia tutaj. Dziesięć kilogramów mięśni.

- Mike, czy wiesz, gdzie jest Duke?

- Nie, Jubal.

To wyjaśniało sprawę; ten człowiek przecież nie potrafił kłamać. Ale zaraz, zaraz... Harshaw przypomniał sobie, że Mike miał wręcz komputerowy zwyczaj odpowiadania wyłącznie i dokładnie na zadane pytanie. Odpowiedź na pytanie, gdzie się podziało pudełko po brandy, brzmiała dokładnie tak samo.

- Mike, kiedy ostatnio go widziałeś?

- Widziałem Duke'a, jak szedł na górę, kiedy Jill i ja szliśmy na dół rano, żeby przygotować śniadanie - odparł Mike i dodał z dumą: - Pomagałem gotować.

- I wtedy widziałeś Duke'a po raz ostatni?

- Nie widziałem go potem. Dumnie paliłem grzanekę.

- Wierzę ci. Jeśli nie zaczniesz trochę uważać, niedługo staniesz się idealnym kandydatem na męża.

- Och, paliłem ją bardzo starannie.

- Jubal...

- Tak, Anne?

- Duke zjadł wcześniej śniadanie i pojechał do miasta.  
Myślałam, że o tym wiesz.

- Po prostu sądziłem, że wyjedzie dopiero po obiedzie - skłamał naprędce Jubal, czując jednocześnie, jak ogromny ciężar spada mu z serca. Bynajmniej nie dlatego, żeby Duke coś dla niego znaczył - przez lata trenował, żeby nie przywiązywać się do nikogo - ale gdyby stało się to, czego się obawiał, odczuwałby okropne wyrzuty sumienia. Przynajmniej przez jakiś czas.

Jakie prawo zakazywało ustawiania człowieka prostopadle do wszystkiego dookoła?

Z pewnością nie było to morderstwo, przynajmniej tak długo, jak długo chłopak sięgał do tego środka w samoobronie lub ratując kogoś innego, na przykład Jill. W tym przypadku mogłyby znaleźć zastosowanie ustawy obowiązujące w Pensylwanii, wymierzone przeciwko siłom nieczystym, ale ciekawe, w jaki sposób sformułowano by akt oskarżenia...

Może powództwo cywilne? Czy ukrywanie Człowieka z Marsa mogło zostać potraktowane jako "rozmyślne naruszanie spokoju i porządku publicznego"? Wszystko wskazywało na to, że trzeba będzie uzupełnić obowiązujące przepisy prawa. Mike zdążył już przewrócić do góry nogami fizykę i medycynę, chociaż ci, którzy zajmowali się tymi dziedzinami, jeszcze o tym nie wiedzieli. Harshaw przypomniał sobie, jak wielką tragedią dla niektórych uczonych stało się ogłoszenie teorii względności. Nie będąc w stanie jej pojąć, rzucili się z wściekłością na Einsteina, ale nic im to nie dało. Jedyne, co w takiej sytuacji może uczynić stara gwardia, to umrzeć i pozwolić działać młodym.

Z opowieści swego dziadka wiedział, że to samo działo się w medycynie, kiedy opublikowano teorię mikroorganizmów. Starzy lekarze szli do grobu wyzywając Pasteura od kłamców i głupców, nie potrafiąc nawet zdobyć się na zbadanie dowodów, które ich "zdrowy rozsądek" uznał a priori za fałszywe.

Zanosilo się na to, że Mike wywoła więcej zamieszania niż Pasteur i Einstein razem wzięci. A, właśnie...

- Larry! Gdzie jest Larry?

- Tutaj, szefie - odezwał się głośnik za jego plecami. - Na dole, w warsztacie.

- Masz przycisk alarmowy?

- Jasne, że mam. Przecież kazałeś mi z nim spać.

- Podskocz tutaj i daj go Anne. Anne, trzymaj go w pogotowiu razem ze strojem Świadka.

Skinęła głową.

- Już lecę, szefie. Będziesz mierzył czas?

- Nie. Po prostu przyjdź.

Jubal dopiero teraz spostrzegł, że Mike cały czas stoi przed nim, nieruchomy niczym posąg. Posąg? No tak, "Dawid" Michała Anioła! Wszystko się zgadzało - delikatne dłonie i stopy, łagodna, wrażliwa twarz, falujące długie włosy.

- To wszystko, chłopcze.

Ale Mike nie poruszył się.

- Coś cię gnębi, synu?

- To, co widziałem w przeklętym pudle. Powiedziałeś, że mam potem z tobą porozmawiać.

- Ach, tak... - Harshaw skrzywił się, przypomniawszy sobie transmisję z nabożeństwa fosterytów. - Zgadza się. Ale nie nazywaj tego przeklętym pudłem. To odbiornik stereowizji.

- Nie przekłete pudło? - zdziwił się Mike. - Niedobrze słyszałem?

- To j e s t przekłete pudło, ale ty masz mówić "odbiornik stereowizji".

- Będę mówił "odbiornik stereowizji". Dlaczego? Nie gromię.

Harshaw westchnął ciężko; zbyt często musiał wchodzić po tych samych schodach. Każda rozmowa ze Smithem prędzej czy później dotyczyła tych przejawów ludzkiego zachowania, których nie dało się logicznie wytłumaczyć.

- Ja też tego nie gromię - przyznał - ale Jill chce, żeby tak właśnie było.

- Tak będzie, Jubal. Jill tego chce.

- A teraz opowiedz mi o tym, co widziałeś i słyszałeś i co z tego gromisz.

Mike powtórzył dokładnie każde słowo, jakie usłyszał, łącznie ze wszystkimi reklamami. Ponieważ już prawie skończył przyswajać Encyklopedię Brytyjską, miał w pamięci takie hasła jak "religia", "chrześcijaństwo", "islam", "judaizm", "konfucjonizm", "buddyzm" i inne, związane z nimi. Nie gromił z tego dokładnie nic.

Jubal dowiedział się, że: a) Mike nie ma pojęcia, iż ceremonia fosterytów miała religijny charakter; b) Mike czytał o różnych religiach, ale kwestię zgrokowania tego zjawiska odłożył na później; c) Mike ma w głowie kompletny mętlik, jeżeli chodzi o to, czym w ogóle jest religia, chociaż potrafi zacytować dziewięć różnych definicji słownikowych; d) w języku marsjańskim nie istnieje słowo lub zdanie będące odpowiednikiem którejkolwiek z tych definicji; e) zwyczajnie, o których Jubal

opowiadał Duke'owi jako o marsjańskich "obrzędach religijnych", wcale nimi nie były - Mike traktował je jako coś równie naturalnego jak Jubal sklepy przy ulicy; f) w języku marsjańskim nie dało się oddzielić od siebie tego, co ludzie rozumieli jako "naukę", "filozofię" i "religię". Ponieważ Mike myślał po marsjańsku, wynikało z tego, że on również nie potrafi odróżnić tych pojęć. Dla niego stanowiły one po prostu "objawienie" czy też "nauczanie" Starych. Nigdy nie słyszał o czymś takim jak wątpliwości albo badania empiryczne (znowu brak marsjańskiego słowa); od nieomylnych i wszystkowiedzących Starych można było otrzymać odpowiedź na każde pytanie, obojętne, czy dotyczące jutrzejszej pogody, czy kosmicznej teologii. Gdy Mike zobaczył po raz pierwszy prognozę pogody, uznał, że jest to wiadomość przekazywana przez Starych tym, którzy jeszcze się nie odcieleśnili. Podobne podejrzenia żywił wobec autorów Encyklopedii Brytyjskiej.

Najgorsze jednak było to, że Mike zgrokował nabożeństwo fosterytów jako radosną uroczystość przygotowującą dwoje ludzi do odcieleśnienia i połączenia się ze Starymi. Był tym niezwykle podekscytowany. Czy dobrze zgrokował? Wie o tym, że jego angielski jest daleki od doskonałości; błędy są wynikiem jego ignorancji, bo "jest tylko jajkiem", ale czy to dobrze zgrokował? Bardzo by chciał spotkać tutejszych Starych i zadać im wiele pytań. Czy będzie mógł to uczynić? A może musi się jeszcze długo uczyć?

Jubala wybawiła z opresji Dorcas, przynosząc kanapki i kawę. Jedli w milczeniu, co zupełnie odpowiadało Mike'owi, przyzwyczajonemu do tego, że pora posiłków szczególnie nadaje się do medytacji. Jubal jadł tak długo, jak tylko się dało, klnąc się cały czas w duchu za to, że pozwolił Smithowi oglądać stereowizję. Jasne, że chłopak prędzej czy później musiał się zetknąć z tym problemem - było to nie do uniknięcia, skoro miał spędzić resztę życia na tej zwariowanej planecie. Ale, do wszystkich diabłów, powinno to nastąpić wtedy, kiedy przyzwyczai się już do pokrętnych ludzkich zachowań, a już na pewno jego pierwsze zetknięcie z kwestiami religii nie powinno być zetknięciem z fosterytami!

Dla takiego zaprzysięgłego agnostyka jak Jubal wszystkie religie, począwszy od animizmu Buszmenów z pustyni Kalahari, na najbardziej przeintelektualizowanych teoriach skończywszy, były sobie równe, ale niektóre z nich irytowały go bardziej, inne zaś mniej; fosteryci przyprawiali go o mdłości. Ich bajdy o bezpośrednich kontaktach z Niebem, arogancka nietolerancja,

ceremonie stanowiące połączenie meczu futbolowego z posezonową wyprzedają w domu towarowym - wszystko to sprawiało na nim przynębiające wrażenie. Skoro już ludzie muszą chodzić do kościoła, to dlaczego nie mogą tego robić z godnością, jak choćby katolicy albo kwakrzy?

Jeżeli Bóg rzeczywiście istniał (w tej kwestii Jubal zachowywał pełną neutralność) i jeżeli pragnął, by go wielbiono (do tej ewentualności odnosił się ze sporą dozą sceptycyzmu, ale przez wzgląd na swoją ignorancję był nawet skłonny uznać ją za prawdopodobną), to wydawało się absolutnie niemożliwe, żeby Bóg, w którego mocy leżało stwarzanie galaktyk, mógł znajdować upodobanie w jarmarcznych nonsensach nazywanych przez fosterytów "nabożeństwem".

Jednak z drugiej strony Harshaw nie mógł wykluczyć, że to jednak fosteryci znają Prawdę, samą Prawdę i tylko Prawdę. Wszechświat rzeczywiście jest kompletnie zwariowanym tworem, lecz ze wszystkich wyjaśnień, jakie próbowano do niego dopasować, najmniej prawdopodobnym było to, według którego wszystko stało się przypadkiem - przypadkiem różne rzeczy powyrabiały się z atomami, które przypadkiem połączyły się ze sobą w sposób, który przypadkiem doprowadził do stworzenia przypadkowej sytuacji, w której te wszystkie przypadki wyglądają na zamierzone i planowane działanie, i że z tych przypadków powstały przypadkowo istoty, wśród których przypadkowo znaleźli się także Człowiek z Marsa i łysy, stary dureń - Jubal Harshaw.

Nie, teoria przypadkowości była dla niego nie do przyjęcia, chociaż miała licznych zwolenników wśród tych, którzy lubili nazywać siebie naukowcami. Przypadek nie mógł stanowić wyjaśnienia Wszechświata; przypadek nie mógł nawet stanowić wyjaśnienia dla samego siebie.

A więc co? "Najprostsza hipoteza" również nie zasługiwała na uwagę. Brzytwa Ockhama była zbyt tępa, żeby przeciąć nić najważniejszego problemu - Natury Boskiego Umysłu. (Nie bój się używać słowa "Bóg", wszawy kundlu. To stary, przyzwoity wyraz, równie dobrze nadający się do nazwania tego, czego się nie rozumie, jak każdy inny).

Czy istniał jakiś powód, dla którego jedna z hipotez miałaby zostać uznana za bardziej prawdopodobną od pozostałych? Nie! Jubal był zmuszony przyznać, że przeżywszy spory szmat czasu ciągle jeszcze nie potrafił pojąć podstawowych problemów Wszechświata.

Fosteryci mogli mieć rację.

Jednak w grę wchodziły jeszcze dwie rzeczy, przypomniał samemu sobie z wyrafinowanym okrucieństwem: jego własny dobry smak i poczucie godności. Jeżeli fosteryci istotnie dzierżyli monopol na Prawdę, jeżeli Niebiosy miały się otworzyć tylko dla nich, to on, Jubal Harshaw, wolał wieczne męki czekające tych, którzy nie uznali Nowego Objawienia. Nie potrafił dostrzec twarzy Boga, lecz miał wystarczająco dobry wzrok, żeby odszukać równych sobie; fosteryci z pewnością do nich nie należeli.

Wiedział, co zmyliło Mike'a: zapowiedziane z wyprzedzeniem "Pójście do Nieba" dwojga fosterytów bardzo przypominało dobrowolne odcieleśnienie, stanowiące na Marsie, w co Jubal ani przez chwilę nie wątpił, powszechną praktykę. Podejrzewał, że słowem znacznie precyzyjniej określającym to, co robili fosteryci, było morderstwo, ale nigdy im tego nie udowodniono, a nawet rzadko o to oskarżano. Jako pierwszy "poszedł do Nieba" sam Foster, umierając o wcześniej zapowiedzianej porze. Od tego czasu właśnie takie odejście z tego świata było dla każdego z jego wyznawców szczytem marzeń i od tego też czasu żaden koroner nigdy nie miał okazji oglądać zwłok martwego członka sekty.

Harshaw wcale tak bardzo się tym nie przejmował; dobry fosteryta to martwy fosteryta.

Ale niełatwo będzie to wszystko wyjaśnić.

Jednak nie ma co odkładać tego w nieskończoność. Jeszcze jedna filiżanka kawy wcale nie ułatwi zadania.

- Mike, kto stworzył świat?

- Proszę?

- Rozejrzyj się dookoła. To wszystko. Gwiazdy. Marsa też. Wszystko: ciebie, mnie i innych. Czy Starzy powiedzieli ci kiedyś, kto to wszystko stworzył?

- Nie, Jubal - odpowiedział niepewnie Mike.

- A ty zastanawiałeś się kiedyś nad tym? Skąd wzięło się Słońce? Kto poukładał gwiazdy na niebie? Kto to wszystko zaczął - cały świat, kosmos... Kto sprawił, że ty i ja teraz tutaj rozmawiamy?

Jubal przerwał, zdumiony swymi słowami. Chciał podejść do zagadnienia niczym agnostyk, a tymczasem zachowywał się jak adwokat, co nie zważając na własne przekonania próbuje bronić religii, której sam nie wyznaje, ale która jest religią większości istot ludzkich. Mimo woli stanął po stronie ortodoksów, przeciwstawiając się... Właśnie, komu? Nie wiedział. Może innemu niż ludzki sposobowi patrzenia na świat?

- Jak na te pytania odpowiedzieliby wasi Starzy?



- Jubal, nie grokuję... To nie są pytania...

- Jak to? A ja nie grokuję tego, co teraz powiedziałeś.

Mike zawahał się.

- Spróbuję. Ale słowa nie są... nie są dobre. Nie "tworzenie". Nie "robienie". Istnienie. Świat jest. Świat był. Świat będzie.

- Jak było na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków...

Smith uśmiechnął się radośnie.

- Grokujesz!

- Wcale nie grokuję - odparł ponuro Jubal. - Cytowałem tylko to, co powiedział... eee... pewien Stary.

Harshaw postanowił zabrać się do sprawy z innej strony; Bóg Stwórca nie był chyba tym aspektem boskości, od którego należało zacząć. Mike najwyraźniej w ogóle nie rozumiał pojęcia kreacji. Cóż, Jubal wcale nie był pewien, czy on sam je pojmuje - dawno temu postanowił, żeby w dni parzyste wierzyć we Wszechświat stworzony przez kogoś, a w nieparzyste w istniejący bez początku i końca, niczym wąż połykający własny ogon (każda z tych hipotez, aczkolwiek sama w sobie paradoksalna, unikała paradoksów drugiej), z jednym dniem w każdym roku przestępnym, w którym nie wierzyłby dokładnie w nic. Rozprawiwszy się w ten sposób z pytaniem, na które nikt nie znał odpowiedzi, nie wracał do niego przez kilkadziesiąt lat.

Doszedł do wniosku, że najpierw powinien zaznajomić Mike'a z ogólną ideą boskości, pozostawiając na później roztrząsanie jej różnych aspektów.

Mike zgodził się, że wiedza spływa na każdego porcjami różnej wielkości, od bardzo niedużych, które mogły zgrokować nawet młode w gnieździe, po wielkie, o których pełne zgrokowanie mogli się pokusić jedynie Starzy. Jubal spróbował przeprowadzić linię podziału w taki sposób, żeby "wielka wiedza" stała się równoznaczna z problemami religijnymi, ale bez powodzenia. Dla Mike'a niektóre problemy religijne wcale nie były problemami (jak choćby zagadnienie kreacji), inne natomiast wydawały mu się zupełnie "małymi" pytaniami, na które odpowiedź znał dosłownie każdy - tak było na przykład z życiem po śmierci.

Jubal zostawił ten temat w spokoju i zajął się opisem różnorodności religii wyznawanych przez ludzi. Powiedział, że ludzie poznają "wielką wiedzę" na wiele różnych sposobów, z których każdy przedstawia swoje własne odpowiedzi i każdy uzurpuje sobie prawo do jednej, absolutnej prawdy.

- Co to jest prawda? - zapytał Mike.

(Czym jest prawda? - zapytał pewien rzymski sędzia i umył dłonie. Jubal miał ochotę zrobić to samo.)

- Prawda jest wtedy, kiedy mówisz słusznie i dobrze. Ile mam rąk?

- Dwie. Widzę dwie ręce - poprawił się Mike.

Anne podniosła wzrok znad lektury.

- W ciągu sześciu tygodni zrobiłabym z niego znakomitego Świadka - zauważyła.

- Spokój, Anne. I tak mam dość kłopotów. Mike, słusznie powiedziałaś: mam dwie ręce. Powiedziałaś prawdę. A gdybyś stwierdził, że mam siedem rąk?

- Nie zrobiłbym tego - odparł ze zdziwieniem Człowiek z Marsa.

- Oczywiście, że nie. Nie zrobiłbyś dobrze, gdybyś tak powiedział. To właśnie byłaby nieprawda. Mike, teraz słuchaj uważnie: każda ziemską religia twierdzi, że tylko to, co o n a mówi, jest prawdziwe, a jednocześnie odpowiedzi, jakich każda z nich udziela, są od siebie tak różne, jak te o dwóch i siedmiu rękach. Fosterycy mówią jedno, buddyści drugie, muzułmanie jeszcze co innego - dużo odpowiedzi, a żadne dwie nie są takie same.

Na twarzy Mike'a pojawił się grymas świadczący o wielkim wysiłku.

- Wszystkie mówią prawdę? Jubal, nie gromię tego.

- Ani ja, synu.

Twarz Człowieka z Marsa niespodziewanie się wypogodziła.

- Poproszę fosterytów, żeby zapytali o to waszych Starych, i wtedy będziemy już wiedzieć. Jak mogę to zrobić?

Kilka minut później Jubal stwierdził z niesmakiem, że obiecał umówić Mike'a z jakimś ważniejszym fosterytą. Nie udało mu się także osłabić przekonania Smitha, że fosterycy naprawdę mogą się kontaktować ze swoimi "Starymi". Problem polegał na tym, że Mike nie wiedział, co to jest kłamstwo - jego umysł wchłonął słownikowe definicje haseł "kłamstwo" i "nieprawda", ale nawet w najmniejszym stopniu ich nie zgrokował. Według niego, jeżeli nawet "mówiło się niesłusznie", to tylko przez przypadek; zamieszanie czynione przez fosterytów bez wahania przyjął za dobrą monetę.

Jubal próbował mu wyjaśnić, że w s z y s t k i e religie twierdzą, iż w taki czy inny sposób kontaktują się ze "Starymi", ale w niczym to nie przeszkadza, by na każdy inny temat mówiły dokładnie co innego.

- Mój bracie, próbuję... ale nie mogę tego zgrokować -

powiedział Mike z łagodną rezygnacją. - Kiedy moi ludzie rozmawiają ze Starymi, zawsze otrzymują słuszne, dobre odpowiedzi. Tutaj...

- Przyhamuj na chwilę.

- Proszę?

- Mówiąc "moi ludzie" miałeś na myśli Marsjan. Mike, nie jesteś Marsjaninem, tylko człowiekiem.

- Co to jest człowiek?

Jubal jęknął w duchu. Był przekonany, że chłopak mógłby zacytować kilkanaście definicji słownikowych, ale wiedział też, że Smith nigdy nie zadawał pytań po to, żeby się naprzykrzać. Po prostu chciał uzyskać więcej informacji i oczekiwał, że Jubal będzie mógł mu ich dostarczyć.

- No... Ja jestem człowiekiem, ty jesteś człowiekiem, Larry nim jest...

- Ale Anne nie jest człowiekiem?

- Eee... To znaczy... Anne jest człowiekiem płci żeńskiej.

Kobietą.

(- Dzięki, Jubal.

- Zamknij się, Anne.)

- Czy dziecko jest człowiekiem? Widziałem na zdjęciach i w tym przekle... w stereowizji. Dziecko ma inny kształt niż Anne... i inny kształt niż ty... a ty masz inny kształt niż ja. Ale dziecko to mały człowiek?

- Tak, dziecko to człowiek.

- Jubal... Grokuję, że moi ludzie, "Marsjanie", to też człowiek. Człowiek to nie kształt. Człowiek to grokowanie. Czy mówię dobrze?

Jubal uznał, że najwyższa pora zrezygnować z członkostwa w Towarzystwie Filozoficznym i zająć się robieniem na drutach. Co to znaczy grokować? Używał tego słowa już od tygodnia, ale go nie... nie grokował. Albo co to jest człowiek? Nieopierzony dwunóg? Obraz Boga? Czy może przypadkowy zwycięzca wyścigu zwanego ewolucją, do końca swych dni obarczony brzemieniem nieuchronnej śmierci i podatków? Marsjanie, zdaje się, poradzili sobie ze śmiercią i chyba nie mieli pieniędzy, własności ani rządu, więc jak mogli mieć podatki?

Mike miał rację: w definicji człowieka kształt nie odgrywa żadnej roli, podobnie jak nie odgrywa żadnej roli kształt butelki z winem. Człowieka nawet można wyjąć z jego butelki jak tego nieszczęśnika, któremu Rosjanie uratowali życie wkładając jego mózg do słoja z jakimś płynem i podłączając taką masę drutów, że wyglądał jak mała centrala telefoniczna. Ale

dowcip! Ciekawe, czy biedak potrafił go docenić.

Czym, z punktu widzenia Marsjan, człowiek różnił się od zwierząt? Czy na rasię, która potrafiła lewitować (i Bóg wie, co oprócz tego), mogły wyrzeć wrażenie jego inżynierskie osiągnięcia? Jeżeli tak, to co zajęłoby pierwsze miejsce - Tama Asuańska czy tysięczmilowej długości Wielka Rafa Koralowa? Jego świadomość? A któż byłby w stanie udowodnić, że kaszaloty i sekwoje nie są filozofami i poetami znacznie większego niż on formatu?

Człowiek nie miał sobie równych tylko w jednej dziedzinie: wykazywał nieprawdopodobną umiejętność tworzenia coraz to nowszych, doskonalszych, bardziej niezawodnych środków zabijania, dręczenia i niewolenia, pomagających mu w tym, żeby sam dla siebie stawał się coraz gorszy i coraz okrutniejszy. Najbardziej ponurym dowcipem, jaki człowiek kiedykolwiek zrobił, był właśnie on sam. Już choćby jego poczucie humoru...

- Człowiek to zwierzę, które się śmieje - powiedział nagle Jubal.

Mike zastanawiał się przez chwilę.

- W takim razie ja nie jestem człowiekiem.

- He...?

- Nie potrafię się śmiać. Kiedy po raz pierwszy usłyszałem śmiech, przestraszyłem się. Dopiero potem zgrokowałem, że to nie boli. Próbowałem się nauczyć... - Odchylił głowę i wydał z siebie odgłos, który można było porównać do ochryplego wycia połączonego z potężną czkawką.

- Przestań! - krzyknął Jubal zakrywając uszy rękami.

- Właśnie - powiedział ze smutkiem Mike. - Nie potrafię tego dobrze robić. Nie jestem człowiekiem.

- Chwileczkę, synu. Po prostu jeszcze nie zdążyłeś się tego nauczyć, a poza tym nigdy nie nauczysz się śmiać ćwicząc i próbując. Kiedy pobędziesz wśród nas wystarczająco długo, pewnego dnia sam zrozumiesz, jak bardzo jesteśmy śmieszni i wtedy się roześmiejesz.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Nie przejmuj się, tylko cierpliwie czekaj, aż samo ci to przyjdzie. Mówię ci, nawet Marsjanin nie pozbiera się ze śmiechu, kiedy nas wreszcie zgrokuje.

- Będę czekał - oświadczył Smith ze spokojem w głosie.

- A tymczasem nie wątp w to, że jesteś człowiekiem. Jesteś nim. Urodziła cię kobieta, co prawda głównie po to, żebyś miał kłopoty. Pewnego dnia zgrokujeś to i zaczniesz się śmiać, bo

człowiek to zwierzę, które śmieje się z samego siebie. Co do twoich marsjańskich przyjaciół, to nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że oni też w pewnym sensie są ludźmi.

- Tak, Jubal.

Harshaw uznał, że rozmowa na tym się zakończyła i poczuł ogromną ulgę. Ostatni raz był równie zakłopotany w dniu, kiedy jego ojciec zaczął mu tłumaczyć o ptaszkach, pszczołkach i kwiatkach... o wiele za późno, rzecz jasna.

Ale Człowiek z Marsa jeszcze nie skończył.

- Jubal, mój bracie, zapytałeś mnie, kto stworzył świat, a ja nie miałem słów, żeby zgrokować to, co mi powiedziałeś, ale myślałem nad twoimi słowami.

- I co?

- Powiedziałeś mi, że świat stworzył Bóg.

- Nie, nie! - zaprotestował Harshaw. - Powiedziałem ci tylko, że większość religii twierdzi w miarę zgodnie, że świat został stworzony przez Boga. Powiedziałem ci też, że ja sam nie gromię tego do końca, ale że słowo, którego używają, brzmi właśnie "Bóg".

- Tak, Jubal. To słowo brzmi "Bóg". - A po chwili milczenia: - Gromię.

- Obawiam się, że nie za bardzo.

- Gromię - powtórzył Smith z pewnością w głosie. - Już wiem. Nie znałem słowa. Ty gromię. Anne gromię. Ja gromię. Trawa pod moimi stopami gromię ślicznie, ślicznie i miłutko. Potrzebowałem słowa. To słowo brzmi "Bóg".

- Mów dalej.

Mike tryumfalnym gestem wyciągnął rękę i wycelował ją w pierś Harshawa.

- Ty ś j e ś t B o g i e m !

- Jezus, Maria! - jęknął Jubal. - Co ja narobiłem? Mike, tylko spokojnie. Nie zrozumiałeś mnie. Przykro mi, naprawdę bardzo mi przykro. Po prostu zapomnij o wszystkim, co ci naopowiadałem, a pewnego dnia zaczniemy wszystko od początku. Tylko...

- Tyś jest Bogiem - powtórzył łagodnie Mike. - Bóg to ten, kto gromię. Anne jest Bogiem. Ja jestem Bogiem. Wszyscy razem jesteśmy... - Wyskrzeczwał coś po marsjańsku i uśmiechnął się promiennie.

- W porządku, Mike. Jeszcze do tego wrócimy. Anne, masz wszystko?

- Jasne, szefie.

- Nagraj mi na taśmę. Będę musiał nad tym popracować.

Przecież nie mogę tak... - Jubal zerknął w górę. - O, Boże!  
Alarm! Anne, trzymaj palec na przycisku; może nie do nas lecą.  
- Spojrzał jeszcze raz w górę na dwie maszyny zbliżające się od południa. - A jednak. Mike, do basenu! Pamiętaj, co ci powiedziałem: opuść się na dno w najgłębszej części i nie waż się poruszyć, dopóki nie poślę po ciebie Jill.

- Tak, Jubal.

- Szybko!

- Tak, Jubal.

Mike przebiegł kilka kroków dzielących go od basenu, odbił się i zniknął pod wodą.

- Jill! I ty, Larry! Wskakujcie do wody i zaraz wyjdźcie. Jeżeli ktoś to widział, to lepiej, żeby nie mógł się doliczyć, ile osób było w basenie. Dorcas! Wylaż z wody, dzieciно, i skacz jeszcze raz. Anne... Prawda, ty pilnujesz przycisku.

- Mogę się rozebrać i usiąść na krawędzi. Szefie, jakie chcesz opóźnienie?

- Hmm... Trzydzieści sekund. Jeżeli wylądują, wskakuj w strój Świadka, pilnuj przycisku i czekaj. Kiedy wezwę cię do siebie, duś go co sił. Nie odważę się krzyknąć "Wilk!", dopóki... - Oślonił oczy przed słońcem. - Zdaje się, że jeden z nich ląduje. Śmierdzi z niego gliniarzami. Cholera, myślałem, że będą pertraktować!

Pierwszy pojazd wylądował w otaczającym basen ogrodzie, natomiast drugi zaczął krążyć na niewielkiej wysokości. Były to niewielkie policyjne transportery oznakowane jedynie małym stylizowanym globem - godłem Federacji.

Anne odłożyła na chwilę miniaturowy radionadajnik, zarzuciła na siebie szatę Świadka, po czym wzięła ponownie nadajnik do ręki i położyła palec na sterującym z niego guziku. Otworzyły się drzwi pierwszego pojazdu. Jubal rzucił się w jego kierunku z zajadłością małego pekińczyka. Kiedy z wnętrza wyszedł jakiś mężczyzna, Harshaw ryknął:

- Zabrać mi to cholerne żelastwo z moich róż!

- Pan jest Jubal Harshaw? - zapytał mężczyzna.

- Powiedz temu idiocie, żeby podniósł tę skorupę i cofnął ją na trawę! Anne!

- Idę, szefie.

- Panie Harshaw, mamy nakaz...

- Nie obchodzi mnie, co macie. Zabierać ten złom z moich róż, ale szybko! Bo jak nie, to oskarżę was o... - Jubal spojrzał na mężczyznę i zareagował tak, jakby dopiero teraz go rozpoznał. - No tak, to p a n - stwierdził kwaśno. - Urodził

się pan idiotą, Heinrich, czy dopiero musiał się pan tego uczyć? Czy każdy osioł, jeśli go ubrać w mundur, będzie umiał latać?

- Proszę, oto nakaz sądowy - odparł z niewzruszoną cierpliwością kapitan Heinrich. - Czy...

- Albo każe pan cofnąć tę bryczkę z mojego klombu, albo wytoczę panu sprawę, która będzie pana kosztować całą emeryturę, jaką otrzymałby pan do końca życia!

Heinrich zawahał się.

- Szybko! - ryknął Jubal. - I niech te kmiotki, które właśnie wysiadają, uważają trochę, po czym łażą! Ten idiota z wystającymi zębami stoi na nagrodzonym egzemplarzu Elizabeth M. Hewitt!

- Uważajcie na kwiaty - rzucił swoim ludziom Heinrich.

- Paskin, zejdź na trawę. Rogers, cofnij wóz. Zadowolony pan? - zwrócił się ponownie do Harshawa.

- I tak zapłacicie za zniszczenia. No, zobaczymy pańskie papierki... Dobrze, a teraz proszę pokazać je obecnemu tu Świadkowi i powiedzieć, w jakiej sprawie pan przychodzi i kim pan jest - imię, nazwisko, instytucja, którą pan reprezentuje i numer służbowy.

- Doskonale pan wie, kim jestem. Mam upoważnienie...

- A ja mam upoważnienie, żeby palnąć panu w łeb, jeżeli zaraz nie usłyszę, kim pan jest i czemu zawdzięczam pańską wizytę. Trochę pan przypomina tę wypchaną koszulę, z którą rozmawiałem przez wizjofon, ale to nie znaczy, że wiem, kim pan jest. Zanim zacznie pan korzystać ze swego upoważnienia, musi pan przedstawić się w określony przepisami sposób - Kodeks Światowy, paragraf 1602, część druga. To samo dotyczy pańskich goryli i tego pitekantropa z transportera.

- Są funkcjonariuszami policji wykonującymi rozkazy.

- J a nic o tym nie wiem. Równie dobrze mogli wypożyczyć te swoje pajacowate stroje w teatrze. Prawo przede wszystkim, mój panie! Wkraczacie bez zezwolenia na mój teren twierdząc, że jesteście z policji i że macie jakiś nakaz czy upoważnienie. Ja natomiast twierdzę, że dopóki tego nie udowodnicie, jesteście zwykłymi intruzami, których zgodnie z prawem mogę usunąć stąd siłą. Mam zamiar przystąpić do tego za mniej więcej trzy sekundy.

- Nie radzę tego robić.

- A kim pan jest, żeby mi cokolwiek radzić? Jeżeli w trakcie egzekwowania przy użyciu siły należnych mi praw doznam jakichkolwiek obrażeń, będzie pan oskarżony o

uszkodzenie ciała i napad z bronią w ręku - o ile przedmioty taszczone przez pańskie muły rzeczywiście są pistoletami i karabinami, na co wszystko wskazuje. Jeśli jeszcze dodamy do tego naruszenie praw obywatelskich, to zanosi się na to, że będę mógł powiesić sobie nad łóżkiem pańską skórę. - Jubal zacisnął pięść i wziął potężny zamach. - Precz stąd!

- W porządku, doktorze. Zrobimy, jak pan chce - wykrztusił Heinrich. Twarz nabiegła mu krwią, ale udało mu się zapanować nad głosem. Pokazał swoje dokumenty najpierw Jubalowi, a potem Anne. Następnie przedstawił się imieniem i nazwiskiem, powiedział, że jest kapitanem policyjnych służb specjalnych Federacji i wyrecytował swój numer służbowy. Jeden po drugim uczynili to również wszyscy pozostali funkcjonariusze, nie wyłączając pilota.

- A teraz czym mogę panu służyć, kapitanie? - zapytał słodkim głosem Harshaw, kiedy skończyli.

- Mam upoważnienie do przeszukania pańskiej posiadłości w celu odnalezienia Gilberta Berquista.

- Proszę je okazać; najpierw mnie, potem Świadkowi.

- Proszę bardzo. Mam również nakaz zatrzymania Gillian Boardman.

- Kogo?

- Gillian Boardman. Pod zarzutem porwania.

- Mój Boże!

- Poszukuję także Hektora C. Johnsona... Valentine'a Michaela Smitha... Mam również nakaz dotyczący p a n a, doktorze Harshaw.

- Mnie? Co, znowu podatki?

- Nie. Współdział w paru przestępstwach i ukrywanie informacji o kilku innych... Dodałbym do tego jeszcze utrudnianie wykonywania obowiązków służbowych przedstawicielom prawa, ale to zupełnie zbyteczne.

- Ależ, kapitanie! Od chwili, kiedy zaczął się pan zachowywać zgodnie z przepisami, jestem do pańskiej dyspozycji. I będę w dalszym ciągu. Rzecz jasna, nie zmienia to faktu, że wniosę przeciwko panu i pańskim zwierzchnikom oskarżenie odnoszące się do pańskich wcześniejszych poczynań, jak również nie zrezygnuję z prawa do podjęcia podobnych kroków w przyszłości. Hmm... Przedstawił mi pan dosyć długą listę. Teraz rozumiem, po co panu ten drugi pojazd. Ale... Coś mi tu nie gra. Ta pani, jak jej tam? Barkmann, zgadza się? Zdaje się, że jest oskarżona o porwanie tego gościa nazwiskiem Smith, a jednocześnie ma pan



nakaz aresztowania tego samego Smitha pod zarzutem ucieczki z miejsca odosobnienia. Nic z tego nie rozumiem.

- On uciekł, a ona go porwała.

- Przyzna pan chyba, że to dość niezwykle? A za co był aresztowany? Nie ma o tym ani słowa.

- Skąd mam wiedzieć, do diabła? Uciekł i to wszystko. Jest poszukiwany.

- Z przyjemnością zaofiarowałbym obojgu moje usługi jako adwokat. Bardzo interesujący przypadek. Jeżeli dopuszczono się jakiejś pomyłki albo pomyłek, to przy okazji mogłyby wyjść na jaw inne ciekawe sprawy.

Heinrich uśmiechnął się lodowato.

- Będzie pan miał z tym kłopoty. Pan także znajdzie się w kiciu.

- Och, chyba nie na długo. - Jubal uniósł nieco głos i zwrócił się twarzą w kierunku domu. - Gdyby słuchał tego sędziego Holland, z pewnością w stosunku do nas wszystkich bardzo szybko zastosowano by ustawę habeas corpus. A jeszcze gdyby w pobliżu znalazł się jakiś wóz sprawozdawczy Associated Press, to bardzo szybko wszyscy wiedzieliby, kto się kryje za tym całym zamieszaniem.

- Wciąż przemawia przez ciebie ten pokrętny adwokacina, co, Harshaw?

- Proszę, proszę, jeszcze zniesławienie... Słucham uważnie, kapitanie Heinrich.

- Dużo ci to pomoże. Jesteśmy sami.

- Czyżby?

## Rozdział XV

Valentine Michael Smith przepłynął w mętnej wodzie do najgłębszej części basenu pod trampolinę i opadł na dno. Nie wiedział, dlaczego jego wodny brat kazał mu się schować. Właściwie nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, że się chowa. Jubal powiedział, żeby to zrobił i czekał, aż zjawi się po niego Jill - to wystarczyło.

Zwinął się w kłębek, wypuścił powietrze z płuc, połknął język, wywrócił oczy, wstrzymał bicie serca, jednym słowem - umarł, ale się nie odcieleśnił. Wydłużył upływ subiektywnego czasu tak, żeby sekundy wydawały się godzinami, gdyż miał wiele do przemyślenia.

Znowu nie udało mu się osiągnąć wzajemnego grokowania, tego doskonałego rozumienia, jakie powinno zawsze łączyć wodnych braci. Zdawał sobie sprawę, że wina leży po jego stronie; nie potrafił sobie poradzić ze skomplikowanym ludzkim językiem, a Jubal był z tego powodu wyraźnie smutny.

Wiedział już, że jego ludzcy bracia potrafią bez większej szkody znosić nawet bardzo wielkie negatywne emocje, lecz było mu ogromnie przykro, że stał się przyczyną takich właśnie doznań Harshawa. A już wydawało mu się, że wreszcie zgrokoał najtrudniejsze z ludzkich słów! Powinien okazać większą ostrożność, bo przecież nawet wtedy, kiedy przebywał często w towarzystwie swojego brata Mahmouda, przekonał się, że długie słowa tego języka bardzo rzadko zmieniają znaczenie, natomiast krótkie czynią to niezwykle często i w nie dający się przewidzieć sposób. Tak przynajmniej grokował. Opanowanie krótkich słów przypominało próbę przeniesienia wody na ostrzu noża.

A to było b a r d z o krótkie słowo.

Mimo wszystko Mike odniósł wrażenie, że nie popełnił błędu w grokowaniu słowa "Bóg"; kłopoty zaczęły się dopiero z następnymi. Samo pojęcie było tak proste, tak podstawowe, tak niezbędne, że wytłumaczyć je mógłby nawet najmłodszy w gnieździe - tyle że po marsjańsku. Problem polegał na znalezieniu odpowiednich słów w ludzkiej mowie, którymi mógłby jasno i prosto wyrazić swoją myśl, tak jak uczyniłby to w języku tych, od których przybył.

Zdumiał i zaskoczył go fakt, że ma kłopoty z powiedzeniem tego po angielsku, bo przecież było to coś, bez czego nikt nie mógłby żyć... Chyba będzie musiał zapytać o to tutejszych Starych. Zaczeka, aż Jubal umożliwi mu takie spotkanie, bo on sam jest przecież tylko jajkiem. Poczul przypływ krótkotrwałego żalu, że nie mógł osobiście uczestniczyć w odcieleśnieniu brata Arta i brata Dottie.

Po pewnym czasie zaniepokoiło go niejasne przeczucie, że jego wodni bracia znajdują się w niebezpieczeństwie. Czy powinien opuścić wodę życia i dołączyć do nich, żeby razem grokować i dzielić niebezpieczeństwo? W domu nie musiałby się nad tym zastanawiać: wszelkim kłopotom stawia się czoło zawsze razem, w radosnej bliskości.

Ale Jubal kazał mu czekać.

Przypomniał sobie słowo po słowie to, co od niego usłyszał, upewniając się, czy aby wszystko właściwie zgrokoał.

Nie było żadnych wątpliwości: miał czekać, aż przyjdzie po niego Jill.

Mimo to opanował go niepokój. W pewnej chwili wpadł na tak wspaniałą myśl, że zdrzałby z radości, gdyby jego ciało akurat wtedy było do tego zdolne.

Jubal polecił mu zanurzyć ciało pod wodą i pozostawić je tam tak długo, dopóki nie zjawi się po niego Jill. Ale czy Jubal powiedział, że on, Valentine Michael Smith, musi pozostać z ciałem?

Zabrał się do roztrząsania tego problemu, zdając sobie sprawę, że zdradzieckie, zmieniające znaczenie słowa mogą zaprowadzić go na manowce. Ostatecznie jednak uznał, że takiego polecenia nie otrzymał. Istniał więc sposób zmniejszenia zła, jakie działo się dlatego, że nie dzielił ze swoimi braćmi ich kłopotów.

Smith postanowił udać się na przechadzkę.

Robił to już wielokrotnie, ale jeszcze nigdy sam; zawsze do tej pory obok znajdował się któryś ze Starych, czuwając nad bezpieczeństwem jego ciała, pomagając mu w orientacji, towarzysząc mu do chwili, kiedy wracał do swojej cielesnej powłoki.

Tutaj nie było żadnego Starego, który mógłby mu pomóc, ale Smith wierzył, że będzie w stanie wykonać wszystko w sposób, który nie przyniesie wstydu jego nauczycielom. Sprawdzał dokładnie każdą część swego ciała, upewniając się, że nic mu nie grozi, a potem wyszedł z niego, pozostawiając na straży tylko maleńki kawałeczek siebie.

Stanął na krawędzi basenu pamiętając o tym, żeby zachowywać się tak, jakby cały czas znajdował się w ciele - w przeciwnym razie łatwo mógłby stracić orientację i odejść gdzieś daleko, skąd nie potrafiłby wrócić.

Rozejrzał się dookoła.

W ogrodzie właśnie lądował jakiś pojazd i istoty, które znalazły się pod nim, skarżyły się na ból i poniżenie. Czy właśnie to niebezpieczeństwo stało się przyczyną jego niepokoju? Trawa istniała po to, żeby po niej chodzić; róże i krzewy już nie.

Działo się coś więcej. Z pojazdu wysiadł jakiś człowiek. Jubal rzucił się błyskawicznie w jego kierunku, promieniując taką nienawiścią i gniewem, że gdyby jeden Marsjanin skierował przeciwko drugiemu uczucia o podobnej intensywności, bez wątplenia obaj by się odcieleśnili. Smith zanotował tę sytuację w pamięci, żeby później dokładnie się zastanowić i zdecydować, w

jaki sposób może pomóc swemu bratu. Potem przyjrzał się pozostałym.

Dorcas właśnie wychodziła z basenu. Wydawała się zaniepokojona, ale nie za bardzo. Ufała Jubalowi. Larry wyszedł przed chwilą; stał na krawędzi, a krople wody ściekające z jego ciała zawisły w powietrzu. Larry był podniecony i ze wszech miar zadowolony - on również pokładał w Jubalu bezgraniczne zaufanie. Niedaleko od niego stała Miriam. Anne miała na sobie długą białą szatę, którą cały dzień trzymała w zasięgu ręki. Smith nie mógł do końca zgrokować jej nastroju, ale wyczuwał w niej zimną, niewzruszoną samodyscyplinę Starego. Zdumiało go to, bo do tej pory Anne zawsze była łagodna i serdeczna.

Wpatrywała się z napięciem w Jubala, gotowa w każdej chwili przyjść mu z pomocą. Tak samo Larry... i Dorcas... i Miriam. Smith zrozumiał nagle, że oni wszyscy są wodnymi braćmi Jubala, a tym samym i jego! Ta nagła konstatacja wstrząsnęła nim tak, że o mało nie stracił orientacji, ale zaraz uspokoił się, żeby móc cieszyć się i zachwycać każdym z osobna i wszystkimi razem.

Jill znajdowała się w basenie, trzymając się jego krawędzi; wiedział, że przed chwilą była na dnie, by sprawdzić, czy jest bezpieczny. Wiedział też, że niepokoi ją nie tylko jego los, ale także coś więcej, czego w tej chwili nie mógł w pełni zgrokować. Bardzo go to zasmuciło, więc postanowił podejść do niej i powiedzieć, że jest przy niej i dzieli z nią niepokój.

Z pewnością by to uczynił, gdyby nie niewyraźne, ale nie dające mu spokoju poczucie winy: nie był pewien, czy Jubal byłby zadowolony wiedząc o tym, że on jakby nigdy nic spaceruje sobie dookoła, podczas gdy jego ciało leży na dnie basenu. Przyjął kompromisowe rozwiązanie, postanawiając ujawnić swoją obecność dopiero wtedy, kiedy zajdzie taka potrzeba.

Następnie zajął się człowiekiem, który wysiadł z latającego pojazdu. Wchłonął w siebie jego uczucia, po czym dokładnie go obejrzał, zarówno z zewnątrz, jak i od środka.

Mężczyzna miał przy sobie pistolet.

Smith był niemal zupełnie pewien, że to jest właśnie pistolet. Porównał go z okazami broni, które widział do tej pory, oraz ze słownikową definicją.

Tak, to był pistolet; poznał go nie tylko po kształcie, ale po przenikającej go i emanującej z niego aurze zła. Smith zajrzał do lufy, by zobaczyć, jak działa - i zobaczył

samo zło.

Czy powinien zrobić tak, żeby pistolet znalazł się gdzie indziej, a wraz z nim jego zło? Może nawet zanim mężczyzna wyjdzie z pojazdu? Czuł, że tak właśnie powinien uczynić... Ale Jubal powiedział mu kiedyś, żeby nigdy nic nie robił, dopóki on, Jubal, mu na to nie pozwoli.

Mike zdawał sobie sprawę, że sprawy stanęły na ostrzu noża, ale postanowił je tam tymczasem pozostawić, gdyż mogło być i tak, że Jubal, przewidując rozwój sytuacji, specjalnie kazał mu schronić się pod wodą, żeby w ten sposób powstrzymać go przed podjęciem niewłaściwych działań.

Poczekaj... Ale nie będzie spuszczał z oka pistoletu. Mógł sobie na to pozwolić, nie będąc ograniczonym jedynie do obserwacji wzrokowej. Zajrzał do wnętrza pojazdu.

Nie sądził, że w ogóle mogło istnieć tyle zła, ile się tam mieściło! Wszyscy znajdujący się tam ludzie, z wyjątkiem jednego, tłoczyli się przy drzwiach. Ich myśli cuchnęły niczym dzikusy Khaugli, którzy zwietrzyli nie spodziewając się niczego nimfę... a każdy z nich trzymał w rękach coś bardzo, ale to bardzo niedobrego.

Zgodnie z tym, co powiedział Jubalowi, Smith wiedział doskonale, że kształt nie jest najważniejszy; aby zgrokować do końca sens istnienia danego stworzenia lub przedmiotu, należało pominąć kształt, a sięgnąć do samej istoty jego bytu. Marsjanie przechodzili przez pięć stadiów za każdym razem zmieniając kształt: jajko, nimfa, młode, dorosły, a wreszcie Stary, który właściwie nie miał żadnego kształtu, a istota jego bytu zawarta była już w jajku.

Te niedobre przedmioty bardzo przypominały broń. Jednak Smith nie dał się zwieść przypuszczeniom, tylko dokładnie zbadał jeden z nich: był większy od pistoletu, miał inny kształt i był inaczej zbudowany.

A jednak z całą pewnością była to broń.

Równie dokładnie zbadał pozostałe przedmioty. Rezultat był ten sam.

Człowiek, który siedział przy sterach, również miał przy sobie broń.

Sam pojazd był wyposażony w dwa olbrzymie pistolety, a także w wiele innych urządzeń, których Smith nie grokował, ale czuł, że były złem.

Zastanawiał się, czy nie sprawić, żeby pojazd zniknął, a wraz z nim całe zło, które ze sobą przyniósł. Przed wprowadzeniem tej myśli w czyn powstrzymało go wychowanie, zakazujące

marnowania żywności, a także świadomość, że nie grokuje wszystkiego, co się dzieje. Należało działać ostrożnie, wszystko uważnie obserwować i robić to, co każe Jubal. Jeżeli Jubal każe nic nie robić, to on, Smith, poczeka w swoim ciele i porozmawia z nim o tym później.

Wyszedłszy z pojazdu obserwował, słuchał i czekał.

Mężczyzna, który wysiadł jako pierwszy, rozmawiał z Jubalem o sprawach, które Smith mógł jedynie zapamiętać, gdyż o żadnym grokowaniu nawet nie było mowy. Pozostali mężczyźni także wyszli i rozproszyli się; Mike również nieco rozproszył swoją uwagę, by móc obserwować każdego z nich. Pojazd uniósł się, przesunął do tyłu i znowu osiadł, ale tym razem nie na udreńczonych kolorowych istotach. Smith starał się grokować wraz z nimi, by pomóc im zapomnieć o niedawnym bólu.

Nieznajomy wręczył Jubalowi jakieś papiery, które ten przekazał Anne. Mike czytał razem z nią. Kształty słów odnosiły się do zagadnień leczenia i zachowania równowagi wewnętrznej, ale ponieważ chodziło wyłącznie o ten gatunek, nawet nie starał się ich grokować, tym bardziej że sam Jubal w ogóle się nimi nie przejął. Zło leżało gdzie indziej. Mike z zachwytem dostrzegł na dwóch papierach swoje ludzkie imię - w takich sytuacjach zawsze doświadczał niezwykłego, rozkosznego dreszczu. Czuł się tak, jakby był w dwóch miejscach naraz, a to mogli osiągnąć wyłącznie Starzy.

Jubal i mężczyzna, a zaraz za nimi Anne, podeszli do basenu. Smith przyspieszył nieco upływ czasu, jednak tylko na tyle, żeby móc ciągle bez kłopotu wszystkich obserwować. Do małej grupki zbliżyli się z dwóch stron dwaj obcy.

Mężczyzna, który rozmawiał z Jubalem, zatrzymał się w pobliżu braci Smitha zgromadzonych wokół basenu, wyjął z kieszeni jakiś obrazek, spojrzął na niego, a zaraz potem na Jill. Smith wyczuł narastający w niej strach i wzmógł czujność. Pamiętał doskonale słowa Jubala: "Chroń Jill. Nie przejmuj się marnowaniem żywności, nie przejmuj się niczym, tylko chroń Jill."

Zrobiłby to, nawet gdyby miało się okazać, że uczynił coś niewłaściwego. Dobrze jednak się stało, że Jubal dał mu na to swoje pozwolenie. Dzięki temu umysł Mike'a był spokojny i w pełni skoncentrowany.

Mężczyzna wskazał na Jill, a wtedy dwaj zbliżający się ludzie ruszyli szybko w jej kierunku, wyciągając niedobre, bardzo niedobre pistolety. Smith sięgnął do nich i przekręcił każdego tak, jak przekręca się tych, którzy mają zniknąć.

Człowiek, który kazał im zaatakować Jill, zagapił się na miejsce, w którym przed chwilą byli, sięgnął po pistolet i także zniknął.

Pozostali czterej ruszyli do przodu. Smith nie chciał ich przekręcać. Czuł, że Jubal byłby w pełni zadowolony, gdyby ich tylko zatrzymał. Ale zatrzymanie czegokolwiek, nawet popielniczki, wymaga pewnej siły, a przecież on nie miał ciała. Stary z pewnością by sobie z tym jakoś poradził - on musiał robić to, co mógł.

Cztery delikatne dotknięcia i już ich nie było.

Mike poczuł nagły napływ zła z zaparkowanego pojazdu. Kolejne dotknięcie i pojazd zniknął wraz ze swoim kierowcą.

Niewiele brakowało, a zapomniałby o czymś. Niemal już się odprężył, kiedy wyczuł coś bardzo niedobrego i spojrzał w górę; drugi pojazd schodził do lądowania.

Smith spowolnił upływ czasu najbardziej, jak tylko potrafił, wszedł do wnętrza maszyny, zbadał ją dokładnie, zgrokował, że jest wyładowana po brzegi złem i przekręcił ją w niebyt, po czym wrócił do zebranej przy basenie grupki.

Jego przyjaciele wydawali się cokolwiek podekscytowani. Jill trzymała w ramionach łkającą nerwowo Dorcas. Tylko Anne była wolna od kłębiących się wokół Smitha uczuć i emocji. Najważniejsze jednak, że zniknęło zło, a wraz z nim niebezpieczeństwo, które zakłóciło jego rozmyślenia. Jill wyleczy Dorcas prędzej niż ktokolwiek inny - ona zawsze potrafiła od razu zgrokować wszelkie cierpienie. Smith, poruszony wzburzonym stanem umysłów swoich przyjaciół, niezbyt pewien, czy działał tak, jak powinien - a w każdym razie, jak oceni to Jubal - postanowił odejść. Wśliznął się do basenu, odszukał swoje ciało, sprawdził, czy nic mu się nie stało i wszedł w nie z powrotem.

Miał zamiar przyjrzeć się dokładniej wydarzeniom, których był świadkiem i w których uczestniczył, ale były jeszcze zbyt świeże, on zaś nie potrafił ich w pełni ogarnąć, nie mógł jeszcze radośnie i szczęśliwie zachwycać się tymi, których musiał usunąć.

Kiedy wyczuł, że zbliża się Jill, pobudził swoje ciało do normalnego funkcjonowania, wiedząc, że jego brat Jill nie może zbyt długo pozostawać pod wodą.

Kiedy go dotknęła, ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją. Była to czynność, której nauczył się całkiem niedawno i której jeszcze nie grokował do końca. Było w niej coś z ceremonii wody... ale także coś więcej. Coś, co bardzo, ale to bardzo

chciałby do końca zgrokować.

## Rozdział XVI

Harshaw nie czekał, aż Gillian wydobędzie z basenu swoje niesforne dziecko, tylko kazał dać Dorcas środek uspokajający i pognął do gabinetu, pozostawiając Anne zadanie wyjaśnienia ostatnich wydarzeń - jeśli w ogóle było to możliwe, ma się rozumieć.

- Pierwsza! - rzucił przez ramię.

Dopędziła go Miriam.

- To chyba ja - wysapała bez tchu w piersi. - Szefie, co...

- Ani słowa, dziewczyno.

- Ale...

- Powiedziałem: ani słowa. Za tydzień usiądziemy wszyscy razem i poprosimy Anne, żeby opowiedziała nam dokładnie, co się wydarzyło, ale tymczasem lada chwila wszyscy zaczną się do nas dobijać, a reporterzy będą spadać z drzew jak dojrzałe gruszki. Muszę przedtem wykonać kilka telefonów. Mam nadzieję, że należysz do tych kobiet, które potrafią wziąć się w garść, kiedy trzeba? A, właśnie: przypomnij mi, żeby odliczyć od wynagrodzenia Dorcas równowartość czasu, który pozwoliła sobie przeznaczyć na histerię.

Miriam na sekundę aż zaniemówiła z oburzenia.

- Tylko spróbuj, szefie! - prychnęła wreszcie. - Jeśli to zrobisz, wszystkie natychmiast odejdziemy!

- Bzdura.

- Nie czepiaj się Dorcas. Sama wpadłabym w histerię, gdyby ona nie zrobiła tego pierwsza. Właściwie mogę to zrobić teraz

- dodała po chwili namysłu.

Jubał uśmiechnął się.

- Proszę bardzo, ale dostaniesz największe lanie w życiu.

W porządku; dopisz Dorcas premię za pracę w warunkach szkodliwych dla zdrowia. Dopisz ją wszystkim, a szczególnie mnie. Ja przynajmniej na nią zasłużyłem.

- OK. Kto wypłaca ci premie, szefie?

- Podatnicy. O, cholera!

Wpadli do biura; na wizjofonie już paliło się światelko wywołania. Jubał opadł na fotel i włączył aparat.

- Harshaw. Czego tam, do stu diabłów?



- Spokojnie, doktoru - odpowiedziała twarz z ekranu. -  
Już od ładnych paru lat wcale się ciebie nie boję. Co słychać?  
Harshaw rozpoznał Thomasa Mackenzie, szefa produkcji sieci  
New World.

- W porządku, Tom - odpowiedział nieco łagodniej. - Tyle  
tylko, że jestem trochę zajęty, więc...

- T y jesteś zajęty! A co ja mam powiedzieć, z moim  
czterdziestoosiogodzinnym dniem pracy? Ciągłe uważasz, że  
będziesz miał dla nas coś ciekawego? Nie chodzi mi o sprzęt, bo  
to drobnostka, ale muszę płacić trzem ekipom tylko za to, że  
siedzą i czekają, aż ich wezwiesz. Jestem skłonny wyświadczyć  
ci każdą przysługę, o jaką poprosisz. Korzystaliśmy już z  
twoich scenariuszy i mamy nadzieję korzystać z nich jeszcze nie  
raz, ale coraz bardziej dręczy mnie myśl, co mam powiedzieć  
kontrolerowi.

Harshaw wybałuszył z niedowierzaniem oczy.

- Jeszcze wam mało?

- Czego nam mało?

Wkrótce Jubal dowiedział się, że sieć New World nie  
widziała nic z tego, co działo się przy basenie. Zbył byle czym  
pytania Mackenzie'ego, gdyż zdawał sobie sprawę, że każdą  
odповідź choćby zbliżoną do prawdy tamten niechybnie uznałby  
za sygnał świadczący o tym, że staremu Harshawowi wreszcie  
poprzestawiało się w łepetynie.

Zamiast tego ustalili, że jeżeli w ciągu najbliższych  
dwudziestu czterech godzin nie wydarzy się nic nadzwyczajnego,  
to New World wycofa swój sprzęt i ludzi.

Kiedy ekran ściemniał, Jubal wezwał do gabinetu Larry'ego,  
wcześniej poleciwszy mu odebrać od Anne nadajnik z przyciskiem  
alarmowym. Potem wykonał kilka telefonów, z których wynikało  
jasno, że żadna z sieci informacyjnych nie wiedziała o ataku  
służb specjalnych na jego dom.

Zjawił się Larry z nadajnikiem.

- Chciałeś to obejrzeć, szefie?

- Chciałem na to nakichać. Larry, niech to będzie dla  
ciebie lekcja na przyszłość: nigdy nie należy ufać urządzeniom  
bardziej skomplikowanym od noża i widelca.

- W porządku. Coś jeszcze?

- Czy można jakoś sprawdzić, czy to w ogóle działa, nie  
ściągając tutaj trzydziestu ekip naraz?

- Jasne. Przekażnik w piwnicy ma specjalny przełącznik.  
Albo można zawiadomić ich, że chcemy sprawdzić sygnalizację.

- A gdyby okazało się, że nas nie odbierają? Będziesz

umiał zlokalizować uszkodzenie?

- Może - odparł z powątpiewaniem Larry. - Pod warunkiem, że to co najwyżej zerwany przewód. Elektroniką zajmuje się Duke, ja jestem typem bardziej intelektualnym.

- Wiem, synu. Ja też się na tym nie znam. W każdym razie spróbuj.

Jubal podejrzewał, że Duke zepsuł coś w nadajniku, ale na razie odsunął od siebie tę myśl. Zamiast tego zaczął się zastanawiać nad wydarzeniami, które miały miejsce przy basenie, i nad sposobem, w jaki Człowiek z Marsa zdołał to wszystko zrobić będąc cały czas pod wodą. Nie miał żadnych wątpliwości, że nieprawdopodobne zniknięcia są dziełem Mike'a.

To, co wczoraj widział na własne oczy w gabinecie, było równie wstrząsające intelektualnie, ale nie emocjonalnie. Mysz jest takim samym cudem biologii jak słoń. Z jedną tylko różnicą: słoń jest większy.

Fakt zniknięcia zwykłego kartonowego pudełka implikował możliwość zniknięcia policyjnego transportera pełnego ludzi. Jednak wiedzieć, że coś jest możliwe, a zobaczyć to na własne oczy to dwie zupełnie różne sprawy.

Cóż, nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Jednak w głębi duszy Jubal uważał, że gliniarze jako tacy niekoniecznie wszyscy muszą być źli, zdarzyło mu się już spotkać kilku naprawdę uczciwych. Dla Jubala ideał stanowiła straż przybrzeżna; właśnie tacy powinni być gliniarze i nawet czasem tacy byli.

Natomiast każdy, kto szedł do służb specjalnych, musiał mieć nieczułe serce i sadystyczną duszę. Gestapo. Harshaw tęsknił za czasami, kiedy wystarczyło, żeby prawnik powołał się na ustawę o prawach obywatelskich i nie musiał obawiać się żadnych nieuczciwych sztuczek Federacji.

Mniejsza o to. Co teraz? Oddział Heinricha z pewnością miał kontakt radiowy z bazą, ergo jego zniknięcie zostanie zauważone. Zostanie wysłany kolejny, większy oddział - o ile już nie znajdował się w drodze.

- Miriam...

- Tak, szefie?

- Chcę zaraz mieć tutaj Mike'a, Jill i Anne. Potem znajdź Larry'ego, powinien być w piwnicy. Pozamykajcie drzwi i okna na parterze i też tu przyjdźcie.

- Kłopoty?

- Ruszaj się, dziewczynko.

Jeżeli te goryle się tutaj pojawią, a raczej k i e d y się pojawią i będą chcieli dostać się do środka siłą, trzeba będzie pozwolić działać Mike'owi. Byłoby jednak dobrze położyć kres tej wojnie, a to oznaczało, że Jubal koniecznie musi się skontaktować z sekretarzem generalnym.

Ale jak?

Zadzwoń do Pałacu? Heinrich chyba mówił prawdę, że na każdy telefon odpowie albo on, albo jakaś inna szycha ze służb specjalnych. I co z tego? Chyba nie spodziewają się, że człowiek, którego mieli aresztować, będzie chciał z nimi rozmawiać. Może uda mu się nawet przedrzeć na sam szczyt, do Komendanta Jak-mu-tam, o twarzy przypominającej pysk spasionej łasicy. Aha, Twitchell. Dowódca służb specjalnych z pewnością ma dostęp do Najważniejszego Szefa.

Nic z tego. Tylko traciłby czas, usiłując przekonać kogoś, kto wierzył wyłącznie w pałkę i pistolet, że ma lepszy pomysł. Twitchell pchałby tutaj ludzi i sprzęt tak długo, aż by mu ich zabrakło, ale nigdy nie przyznałby się, że nie jest w stanie aresztować człowieka, który nawet się przed nim nie ukrywa.

Cóż, jeżeli nie chcą cię wpuścić drzwiami frontowymi, idź do kuchennych. Do licha, przydałby się teraz Ben Caxton - on wiedział, kto może mieć do nich klucze.

Ale przyczyną całego zamieszania stała się właśnie nieobecność Bena. Skoro nie można zapytać Bena, to kogo?

Na ogony wszystkich diabłów w najniższym kręgu piekieł! Przecież przed chwilą z nim rozmawiał. Jubal rzucił się do wideofonu i wystukał numer Mackenzie'ego; po drodze napotkał trzy bastiony obronne, ale uśmiechnięte, wielkookie załogi dobrze go znały i nie stawiały większego oporu. Tymczasem w gabinecie zjawił się Człowiek z Marsa w towarzystwie całego sztabu Jubala. Usiedli, a Mirian podsunęła mu kartkę z napisaną odręcznie informacją: "Okna i drzwi zamknięte".

Jubal skinął głową i dopisał pod spodem: "Larry - nadajnik?", po czym zwrócił się w stronę ekranu.

- Przepraszam, że znowu cię niepokoję.

- Nie ma sprawy, Jubal.

- Tom, gdybyś chciał porozmawiać z sekretarzem generalnym, to jak byś się do tego zabrał?

- Hę? Zadzwońiłbym do jego sekretarza prasowego, Jima Sanfortha. Wcale nie musiałbym rozmawiać z Douglasem - Jim wszystko by załatwił.

- Przypuśćmy jednak, że zależałoby ci właśnie na

Douglasie?

- Powiedziałbym o tym Jimowi, chociaż z pewnością trwałoby krócej, gdyby on się wszystkim zajął. Zrozum, Jubal: ci na górze potrzebują mass mediów i dobrze o tym wiedzą, ale nie należy w związku z tym liczyć na zbyt wiele.

- Tom, wyobraź sobie jednak, że m u s i s z rozmawiać z Douglasem i to w ciągu najbliższych dziesięciu minut.

Brwi Mackenzie'ego powędrowały w górę.

- No... Gdybym rzeczywiście musiał, to chyba wyjaśniłbym Jimowi, co...

- Nic z tego.

- Jubal, bądź rozsądny.

- Nie mogę. Jeśli przyłapałbyś Sanfortha na tym, jak kradnie łyżeczki z restauracji, to chyba nie informowałbyś sekretarza generalnego za jego pośrednictwem. Musiałbyś dotrzeć bezpośrednio do sekretarza generalnego, i to jak najszybciej.

Mackenzie westchnął ciężko.

- W takim razie powiedziałbym Jimowi, że muszę natychmiast rozmawiać z jego szefem i że jeśli mi tego nie umożliwi, to moja sieć z umiarkowanie prorządowej zmieni się w zdecydowanie antyreżimową.

- W porządku, Tom. Zrób to.

- Proszę?

- Połącz się z drugiego aparatu z Pałacem i bądź gotów, żeby mnie przełączyć. Muszę n a t y c h m i a s t rozmawiać z sekretarzem generalnym!

- Jubal, stary przyjacielu... - zaczął Mackenzie z bolesnym grymasem na twarzy.

- Chcesz powiedzieć, że tego nie zrobisz.

- Chcę powiedzieć, że n i e m o g ę tego zrobić.

Wymyśliłeś czysto hipotetyczną sytuację, w której - przepraszam, jeśli będę nieskromny - jeden z szefów jednej z największych sieci informacyjnych chce rozmawiać osobiście z sekretarzem generalnym Douglasem. Chociaż diabelnie mało prawdopodobne, jest to jednak możliwe, ale - postaraj się mnie zrozumieć! - nie mogę tego załatwić komuś innemu. Bardzo cię szanuję, Jubal. Byłoby nam niezmiernie przykro, gdybyś zrezygnował ze współpracy z nami, ale po prostu n i e m o g ę. Nie dzwoni się ot, tak sobie, do szefa ogólnostatowego rządu tylko po to, żeby oddać słuchawkę komuś innemu.

- A jeżeli podpiszę z wami siedmioletni kontrakt?

Mackenzie skrzywił się, jakby nagle rozboleły go zęby.

- To by nic nie zmieniło. Efekt byłby taki, że ja straciłbym pracę, a ty byłbyś uwięzany na siedem lat.

Jubał zastanawiał się przez moment, czy wezwać przed ekran Mike'a i przedstawić go Tomowi, ale w porę przypomniał sobie, że wywiad z fałszywym Człowiekiem z Marsa nadała właśnie sieć Mackenzie'ego, który albo maczał palce w tej mistyfikacji, albo - i ta wersja wydawała się bardziej prawdopodobna - nic o niej nie wiedział i nie uwierzyłby, że został oszukany.

- W porządku, Tom. Znasz dobrze wszystkie układy w rządzie. Powiedz mi, kto ma prawo kontaktować się z Douglasem o każdej porze dnia i nocy? Oprócz Sanfortha, rzecz jasna.

- Nikt.

- Do licha, przecież nikt nie żyje w próżni! Musi być jeszcze ktoś, kto może do niego zawsze zadzwonić i nie zostać spławiony przez sekretarkę.

- Może członkowie gabinetu, ale na pewno nie wszyscy.

- Nikogo z nich nie znam. Nie chodzi o polityków. Kto może zadzwonić do niego zupełnie prywatnie i zaprosić go na partyjkę pokera?

- Hmm... Znasz Jake'a Allenby'ego?

- Tak. Nie lubi mnie. Ja też go nie lubię i on doskonale o tym wie.

- Douglas nie ma zbyt wielu przyjaciół. Jego żona działa raczej odstrasząco na... Jubal, co sądzisz o astrologii?

- Nigdy nie miałem z tym nic do czynienia. Wolę brandy.

- To wyłącznie kwestia smaku. A teraz słuchaj: jeżeli kiedykolwiek chłapiesz komuś o tym, co ci teraz powiem, nazwę cię publicznie kłamcą i własnoręcznie poderżnę ci to twoje obrzydliwe gardło.

- Usłyszałem. Zrozumiałem. Czekam na ciąg dalszy.

- Otóż Agnes Douglas ma z tym cokolwiek do czynienia i to nawet sporo. Wiem nawet, w jaki sposób. Jej astrolog może z nią rozmawiać, kiedy tylko zechce, a wierz mi - dla kogo jak dla kogo, ale dla swojej żony sekretarz generalny musi znaleźć trochę czasu. Zadzwoni do jej astrologa... Tyle mogę ci powiedzieć. Reszta należy już do ciebie.

- Szczerze mówiąc, na liście osób, którym wysyłam życzenia na Boże Narodzenie, nie ma żadnych astrologów - mruknął Jubal. - Jak on się nazywa?

- Nie on, tylko ona. Madame Aleksandra Vesant,

Waszyngton. V, E, S, A, N, T.

- Przyjąłem. Tom, właśnie wyświadczyłeś mi ogromną przysługę.

- Mam nadzieję. Będziesz miał coś dla nas?

- Chwileczkę. - Jubal spojrział na kartkę, którą podsunęła mu Miriam. "Larry mówi, że nadajnik nie działa, nie wie dlaczego". - Ta transmisja nie poszła z powodu awarii nadajnika.

- Zaraz tam kogoś przyślę.

- Podwójne dzięki.

Jubal rozłączył się, po czym natychmiast podał centrali nazwisko i adres i polecił zastosować podwójną ochronę przeciwpodśluchową, jeżeli tylko aparat rozmówcy był do tego przystosowany. Był, jak należało się tego spodziewać. Po niezbyt długiej chwili oczekiwania na ekranie pojawiły się pełne godności rysy madame Vesant. Jubal uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Jak się masz, łapciuchu!

Spojrzała na niego ze zdumieniem, by zaraz wykrzyknąć:

- Doktorek Harshaw! To ty, stary kundlu? Miło znowu cię widzieć. Gdzie się ukrywałeś przez tyle czasu?

- Otóż to, Becky. Ukrywam się. Clowni siedzą mi na karku.

- Mogę ci jakoś pomóc? Potrzebujesz pieniędzy?

- Pieniądzy mi nie brakuje, za to mam dużo poważniejsze kłopoty. Pomóc może mi tylko sam sekretarz generalny. Muszę z nim koniecznie porozmawiać i to zaraz.

- Masz spore wymagania, doktorze.

- Wiem, Becky. Próbowiałem się jakoś do niego dostać, ale nie udało mi się. Ty lepiej się w to nie mieszaj, dziewczyno, bo cuchnę bardziej niż stado skunksów. Pomyślałem tylko, że może będziesz mogła mi coś doradzić, na przykład jakiś numer telefonu, pod którym mógłbym go zastać... Nie chcę, żebyś się tego dotykała - mogłabyś się poparzyć, a ja potem nie potrafiłbym spojrzeć Profesorowi prosto w oczy, Panie świeć nad jego duszą.

- Wiem doskonale, jak on by postąpił - powiedziała madame Vesant nie znoszącym sprzeciwu tonem. - Skończmy z tymi bzdurami, doktorze. Profesor zawsze powtarzał, że jesteś jedynym konowalem potrafiącym wystarczająco dużo, żeby krajać ludzi. Nigdy nie zapomniał tego, co zrobiłeś w Elkton.

- Dajmy temu spokój, Becky. Płacono mi za to.

- Uratowałeś mu życie.

- Bzdura. To zasługa jego witalności i twojej opieki.

- Doktorku, tracimy tylko czas. Jak bardzo cuchniesz?

- Tak, że walą do mnie z najgrubszej rury. Jak trafią, to nie tylko we mnie, ale i we wszystkich dookoła. Mają nakaz wydany przez rząd Federacji, wiedzą, gdzie jestem i lada chwila zjawią się tutaj. Tylko Douglas może ich powstrzymać.

- Obiecuję ci, że cię zwolnię.

- Jestem pewien, że dotrzymasz słowa, Becky, ale tak czy inaczej musiałbym spędzić kilka godzin na nieprzyjemnej rozmowie w jakimś małym ciemnym pokoiku. Jestem już za stary na takie imprezy.

- Ale... Do licha! Doktorku, mógłbyś nie być taki tajemniczy? Gdybym miała twój horoskop, wiedziałabym, co robić. Ty, oczywiście, jesteś Merkury, ale gdybyś podpowiedział mi, gdzie należy szukać, poszłoby nam dużo szybciej.

- Becky, nie ma na to czasu. - Umysł Jubala pracował na najwyższych obrotach. Komu zaufać? - Jeżeli dowiesz się, o co chodzi, znajdziesz się dokładnie w takim samym bagnie jak ja.

- Powiedz mi, doktorku. Doskonale wiesz, że nikt nigdy nie mógł posądzić mnie o cykorię.

- Wiem. W porządku, Becky. Rzeczywiście, jestem Merkury, ale może kłopoty są związane z Marsem.

- W jaki sposób?

- Oglądałaś wiadomości? Człowiek z Marsa rzekomo przebywa gdzieś w Andach, ale to nieprawda. Mydlenie oczu naiwniaczkom.

Becky sprawiała wrażenie znacznie mnie zaskoczonej niż się tego spodziewała.

- A gdzie ty w tym wszystkim jesteś, doktorku?

- Becky, po tej nieszczęsnej planecie chodzą ludzie, którzy chcą dostać chłopca w swoje łapy i odpowiednio go wykorzystać. Ponieważ jest moim klientem, nie mogę na to pozwolić, ale jedyną szansą, jaka mi pozostała, jest sekretarz generalny.

- Występujesz w imieniu Człowieka z Marsa? I możesz go oddać?

- Owszem, ale tylko Douglasowi. Wiesz, jak to jest; burmistrz może być najpocziwszym człowiekiem, kochającym psy i dzieci, ale nie ma pojęcia, co wyrabiają jego clowni, szczególnie ci, którzy mają zwyczaj rozmawiać z obywatelami w małych, bezokiennych pokoikach.

Madame Vesant skinęła głową.

- Gliny.

- Właśnie dlatego muszę zamienić kilka słów z sekretarzem generalnym, dopóki jeszcze i mnie tam nie zaciągnęli.

- Chodzi ci tylko o rozmowę?

- Tak. Dam ci mój numer i będę tu siedział, czekając na telefon, dokąd mnie nie zgarną. Gdyby ci się udało... Ale i tak z góry dziękuję, Becky. Wiem, że zrobisz wszystko co w twojej mocy.

- Nie wyłączaj się!

- Jak to?

- Nie przerywaj połączenia, doktoru. Jeśli dopisze mi szczęście, może uda mi się załatwić to od ręki i zaoszczędzić trochę czasu. Zaczekaj chwilę.

Madame Vesant zniknęła z ekranu, by połączyć się z Agnes Douglas. Mówiła ze spokojną pewnością siebie, udowadniając, że wydarzenia toczą się dokładnie tak, jak wynikało z postawionych wcześniej horoskopów. Nadeszła właśnie ta krytyczna chwila, kiedy ona, żona sekretarza generalnego, musi z kobiecą mądrością i przenikliwością pokierować swoim mężem.

- Droga Agnes, taka konfiguracja powtórzy się dopiero za ponad tysiąc lat. Mars, Wenus i Merkury znajdują się w doskonałym układzie, dającym dominację Wenus. Sama rozumiesz, że...

- Moja droga, powiedz po prostu, co każą mi robić gwiazdy. Wiesz, że nie rozumiem tych naukowych spraw.

Nie było w tym nic dziwnego, jako że owa konfiguracja wcale nie wystąpiła. Madame Vesant nie miała czasu na sporządzenie horoskopu i po prostu improwizowała. Nie odczuwała z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia - mówiła przecież "wyższą prawdę", udzielając dobrych rad i pomagając przyjaciółom. Było jej szczególnie przyjemnie, że za jednym zamachem mogła pomóc aż dwojgu z nich.

- Kochanie, doskonale wszystko rozumiesz, masz do tego wrodzony talent. Ty jesteś Wenus, jak zawsze, a Mars to twój mąż i ten młody Smith. Merkury to doktor Harshaw. Aby na czas kryzysu zrównoważyć działanie podwójnego Marsa, Wenus musi połączyć siły z Merkurym. Masz bardzo mało czasu, Agnes. Wenus będzie dysponowała pełną siłą jeszcze tylko przez siedem minut, a potem zacznie ją tracić. Musisz działać bardzo szybko.

- Powinnaś była wcześniej mnie ostrzec.



- Kochana, cały dzień siedziałam przy wizjofonie, w każdej chwili gotowa do działania. Gwiazdy zapowiadają nadejście kryzysu, lecz nigdy nie zdradzają jego szczegółów. Ale jeszcze nie jest za późno - mam na linii doktora Harshawa. Wszystko, co musisz zrobić, to skontaktować ich ze sobą, dopóki Wenus znajduje się w okolicach zenitu.

- Dobrze, Allie. Będę musiała wyciągnąć Josepha z jakiejś idiotycznej konferencji. Daj mi numer tego doktora Rackshawa... A może uda ci się go przełączyć?

- Oczywiście. Znajdź szybko swojego męża.

- Za chwileczkę.

Kiedy twarz Agnes Douglas zniknęła z ekranu, Becky przeszła do drugiego aparatu. Jej zawód wymagał sprawnej, niezawodnej łączności; były to największe i praktycznie jedynie wydatki, jakie w związku z tym musiała ponieść. Nucąc wesoło pod nosem wystukała numer swojego maklera.

## Rozdział XVII

Kiedy ekran ściemniał, Jubal odchylił się daleko w tył na fotelu.

- Pierwsza!

- Jestem, szefie - zareagowała natychmiast Miriam.

- To będzie dla "Prawdziwych Przeżyć". Zaznacz, że narratorka musi mówić uwodzicielskim kontraltem...

- Może ja bym spróbowała?

- Nie aż t a k uwodzicielskim. Znajdź listę wolnych nazwisk, którą dostaliśmy z Urzędu Demograficznego, wybierz jedno i dostaw przed nim jakieś niewinne ssacze imię, najlepiej żeńskie, kończące się na "a", bo to od razu sugeruje największy rozmiar biustu.

- No, tak! Żadna z nas nie ma imienia kończącego się na "a"!

- I wszystkie jesteście jak deseczki, prawda? Angela. Niech nazywa się Angela. Tytuł: "Poślubiłam Marsjanina". Początek: Całe życie marzyłam o tym, żeby zostać kosmonautą. Akapit. Kiedy byłam jeszcze zupełnie mała, z piegami na nosie i gwiazdkami w oczach, wycinałam tak jak moi bracia kupony premiowe z kartonowych pudełek, a potem płakałam, kiedy mama nie pozwalała mi spać w hełmie kadeta Szkoły Kosmicznej. Akapit. W tamtych beztróskich latach nawet mi

się nie śniło, jak dziwny, słodki i gorzki zarazem los zgotują mi moje dziecięce marzenia...

- Szefie!

- Tak, Dorcas?

- Nadlatują jeszcze dwa.

- Miriam, przerwa. Siadaj przy wizjofonie. - Jubal podszedł do okna i zobaczył dwa podchodzące do lądowania pojazdy. - Larry, zablokuj drzwi. Anne, wciągnij strój Świadka. Jill, pilnuj Mike'a. Mike, rób to, co ci powie Jill.

- Tak, Jubal. Tak zrobię.

- Jill, nie pozwalaj mu na nic, chyba że będziesz musiała.

A jeżeli już, to wolałbym, żeby znikła broń, nie ludzie.

- Tak, Jubal.

- Nie możemy likwidować więcej gliniarzy.

- Szefie, telefon!

- Wszyscy poza zasięg kamery, szybko! Miriam, zanotuj nowy tytuł: "Poślubiłam Człowieka". - Jubal opadł na fotel i wduśli przycisk wizjofonu. - Tak?

Z ekranu spojrzała na niego twarz pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu.

- Doktor Harshaw?

- Tak.

- Będzie z panem rozmawiał sekretarz generalny.

- W porządku.

Pojawiła się nowa twarz, ozdobiona zmierzwionymi włosami, należąca bez wątpienia do Jego Ekscelencji Edgertona Douglasa, sekretarza generalnego Światowej Federacji Wolnych Narodów.

- Doktor Harshaw? Podobno chciał pan ze mną rozmawiać?

- Wcale nie.

- Proszę?

- Pozwoli pan, że ujmę to nieco inaczej, panie sekretarzu.

To p a n musi ze mną rozmawiać.

Douglas przez chwilę sprawiał wrażenie lekko zaskoczonego, ale zaraz uśmiechnął się.

- Doktorze, ma pan dziesięć sekund na udowodnienie, że ma pan rację.

- Proszę bardzo. Występuję w imieniu Człowieka z Marsa.

- Czy mógłby pan to powtórzyć?

- Działam w imieniu Valentine'a Michaela Smitha.

Właściwie, gdyby zastosować tu precedens Larkina, to jestem de facto ambasadorem Marsa na Ziemi.

- Pan chyba oszalał!

- Jeżeli nawet, to nie zmienia to w niczym faktu, że reprezentuję interesy Człowieka z Marsa. Mam pana poinformować, że jest on gotów przystąpić do negocjacji.

- Człowiek z Marsa przebywa obecnie w Ekwadorze.

- Porozmawiajmy poważnie, panie sekretarzu. Valentine Michael Smith - p r a w d z i w y Smith, nie ten, którego pokazano w stereowizji - uciekł w poprzedni czwartek z Bethesda Medical Center w towarzystwie pielęgniarki Gillian Boardman. Przebywa obecnie na wolności i ma zamiar na niej pozostać. Jeżeli do tej pory otrzymywał pan odmienne informacje, to znaczy, że okłamywano pana.

Douglas przyglądał mu się z namysłem. Ktoś coś powiedział do niego zza kadru.

- Jeżeli nawet to, co pan mówi, doktorze, jest prawdą, to i tak nie może pan występować w jego imieniu - odezwał się wreszcie. - Smith cały czas pozostaje pod opieką rządu.

Jubał potrząsnął głową.

- To niemożliwe, panie sekretarzu. Przypominam o precedensie Larkina.

- Jako prawnik mogę pana zapewnić, że...

- Ja również jestem prawnikiem. Dlatego muszę się kierować swoją własną opinią i chronić mojego klienta. Jako obrońca i pełnomocnik mogę występować nawet przed Sądem Najwyższym.

Na zewnątrz domu rozległ się głuchy łoskot.

- Chyba drzwi wejściowe, szefie - szepnął Larry. - Mam sprawdzić?

Jubał pokręcił głową.

- Panie sekretarzu, nie mamy czasu. Pańscy ludzie, a dokładniej mówiąc chuligani ze służb specjalnych włamują się właśnie do mojego domu. Czy może pan ich powstrzymać, żebyśmy w spokoju przystąpili do negocjacji? Czy też mamy się spotkać przed Sądem Najwyższym w oparach niesamowitego smrodu, jaki bez wątplenia wywołałaby ta afera?

Sekretarz generalny zamienił kilka słów z kimś, kto znajdował się poza zasięgiem kamery wizjofonu.

- Doktorze, jeżeli istotnie służby specjalne zamierzają pana aresztować, to dowiaduję się o tym dopiero w tej chwili. Nie...

- Jeśli wyteży pan słuch, to usłyszysz ich pan na moich schodach! Mike, Anne! Chodźcie tutaj. - Jubał odsunął się z fotelem, żeby zrobić im miejsce. - Panie sekretarzu generalny,

oto Człowiek z Marsa!

Nie mógł przedstawić Anne, ale jej biała szata z pewnością sama rzucała się w oczy.

Douglas wybałuszył oczy na Smitha, który odpowiedział podobnym spojrzeniem i przestąpił niepewnie z nogi na nogę.

- Jubal...

- Chwileczkę, Mike. I co, panie sekretarzu? Pańscy ludzie wdarli się przemocą do mojego domu; mam wrażenie, że właśnie dobijają się do drzwi tego pokoju. - Jubal odwrócił głowę. - Larry, otwórz im. - Położył dłoń na rękę Mike'a. - Tylko spokojnie, chłopcze.

- Tak, Jubal. To ten człowiek. Znam go.

- A on zna ciebie. Proszę, sierżancie! Zapraszam do środka.

W drzwiach gabinetu stanął sierżant służb specjalnych z gotowym do strzału pistoletem maszynowym w dłoniach.

- Tutaj są, majorze! - krzyknął w głąb korytarza.

- Doktorze, chcę rozmawiać z oficerem dowodzącym akcją - powiedział Douglas.

Kiedy pojawił się major, Jubal zauważył z ulgą, że pistolet oficera spoczywa w zapiętej kaburze; od chwili, kiedy Mike zobaczył broń sierżanta, drżał spazmatycznie na całym ciele. Jubal nie darzył zbyt dużą miłością funkcjonariuszy służb, ale nie chciał, żeby Smith demonstrował swoje możliwości.

Major rozejrzał się po pokoju.

- Jubal Harshaw?

- Tak. Proszę tutaj. Pański szef chce zamienić z panem kilka słów.

- Nic z tego. Proszę ze mną. Szukam też...

- Chodź pan tutaj! Będzie pan rozmawiał z sekretarzem generalnym.

Major wszedł ze zdziwioną miną do gabinetu, stanął przed wizjofonem, spojrzął na ekran i wyprężył się na baczność.

Douglas skinął głową.

- Nazwisko, stopień i jednostka.

- Major C. D. Bloch, Szwadron Cheerio Służb Specjalnych, Enclave Barracks.

- Proszę mi powiedzieć, co pan robi.

- To dosyć skomplikowane. Właściwie...

- Więc proszę mówić jak najprościej. Słucham, majorze.

- Tak jest. Wykonuję polecenie służbowe. Sam pan rozumie...

- Nic nie rozumiem.

- Otóż półtorej godziny temu został tu wysłany oddział służb w celu dokonania kilku aresztowań. Kiedy przestali odpowiadać na wezwania radiowe, przysłano nas, żebyśmy ich znaleźli i udzielili wsparcia.

- Na czyje polecenie?

- Eee... Komendanta.

- I co, znaleźliście tamten oddział?

- Nie. Ani śladu.

- A pan widział kogoś, doktorze Harshaw?

- Nie sądzę, żeby do moich obowiązków należała opieka nad pańskimi ludźmi, panie sekretarzu.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Ma pan rację, ale przecież nie jestem przesłuchiwany i nie zanoszę na to w najbliższym czasie. Występuję w imieniu mego klienta i nie jestem niańką tych umundurowanych... hmm... "osób". Na podstawie tego, co widziałem, mogę jedynie przypuszczać, że miałoby kłopoty ze znalezieniem słonia w pustym brodziku dla dzieci.

- Hmm... Majorze, proszę zabrać swoich ludzi i wracać do bazy.

- Tak jest!

- Chwileczkę - wtrącił się Harshaw. - Ci ludzie wdarli się przemocą do mojego domu. Chciałbym zobaczyć nakaz.

- Tak, oczywiście. Majorze, proszę pokazać nakaz przeszukiwania.

Na twarzy majora Blocha wykwitł krwistoczerwony rumieniec.

- Wszystkie rozkazy miał oficer, który był tu przede mną.

Douglas świdrował go wzrokiem.

- Młody człowieku, czy chce pan przez to powiedzieć, że włamał się pan do domu obywatela nie mając nakazu rewizji ani zezwolenia prokuratora?

- Ależ... To wcale nie było tak! Wszystkie nakazy ma kapitan Heinrich.

Douglas skrzywił się z niesmakiem.

- Proszę natychmiast wracać do bazy. Po powrocie zgłosi się pan do aresztu. Zajmę się panem później.

- Tak jest.

- Chwileczkę - wtrącił się ponownie Harshaw. - Mam zamiar skorzystać z prawa do nałożenia obywatelskiego aresztu w naszym lokalnym więzieniu. Za napad z bronią w rękę.

- Czy to konieczne, doktorze?

- Wydaje mi się, że tak. Nasz major może gdzieś zniknąć i

potem nikt nie będzie w stanie go odnaleźć. Poza tym pozostaje jeszcze kwestia szkód materialnych.

- Zapewniam pana, że otrzyma pan stosowne zadośćuczynienie.

- Dziękuję. Ale co się stanie, jeżeli za godzinę lub dwie zjawi się tutaj następny umundurowany żartowniś? Nie musiałby już nawet wywierać drzwi! Pogwałcono nienaruszalność mego domu - teraz może do niego wejść dosłownie każdy. Panie sekretarzu generalny, jedynie znakomita jakość moich drzwi powstrzymała tego osobnika przed wywleczeniem mnie stąd, zanim zdążyłem zamienić z panem tych kilka słów, a sam pan słyszał, że gdzieś w pobliżu podobno jest drugi taki jak on, rzekomo ze wszystkimi potrzebnymi nakazami.

- Doktorze, nic nie wiem o żadnym nakazie.

- O nakazach. Major powiedział, że chcieli dokonać nie jednego, lecz k i l k u aresztowań. To właściwie nie były nakazy, tylko lettres de cachet<sup>6</sup>.

- To poważne oskarżenie, doktorze.

- Bo to poważna sprawa, panie sekretarzu.

- Powtarzam jeszcze raz: nic nie wiem o istnieniu tych nakazów. Jednak zapewniam pana, że natychmiast się tym zajmę, sprawdzę, czy istotnie zostały wydane i podejmę odpowiednie kroki. Czy spodziewał się pan usłyszeć coś więcej?

- Spodziewałem się usłyszeć d u ż o więcej.

Chciałbym wiedzieć, co było powodem wydania tych nakazów. W przypływie gorliwości któryś z pańskich ludzi zlecił ich wystawienie jakiemuś ubezwłasnowolnionemu sędziemu, żeby umożliwić przesłuchanie mnie i moich gości bez pana wiedzy i zgody. Bez czyjejkolwiek wiedzy i zgody, panie sekretarzu. Nie mamy nic przeciwko rozmowie z panem, ale nie pozwolimy, żeby ktoś taki - wskazał kciukiem wyprężonego cały czas w postawie zasadniczej majora - przesłuchiwał nas w jakiejś ciemnej celi. Wierzę w pańską uczciwość, ale jeżeli te nakazy nie zostaną natychmiast anulowane, jeżeli nie będę miał pewności, że Człowiek z Marsa, siostra Boardman i ja mamy pełną swobodę poruszania się, to... - Jubal wzruszył bezradnie ramionami.

- To będę zmuszony zwrócić się do kogoś innego. Istnieją osoby i siły nie związane z rządem, które również przejawiają wielkie zainteresowanie losem i sprawami Człowieka z Marsa.

- Pan mi grozi.

- Nie. Ja pana proszę. Chcemy negocjować, ale nie możemy tego robić, kiedy nas się szczuje. Błagam pana!

Niech pan odwoła swoje psy!

Douglas spojrział gdzieś w bok.

- Te nakazy, jeśli w ogóle istnieją, przestają obowiązywać. Zostaną anulowane natychmiast, jak tylko uda się je odnaleźć.

- Dziękuję panu.

- A co z nim? - Douglas wskazał spojrzeniem majora Blocha.

- Ciągłe upiera się pan, żeby go przymknąć?

- Jego? Przecież to tylko głupek w mundurze. Mniejsza o odszkodowanie, mamy do omówienia ważniejszą sprawę.

- Może pan odejść, majorze. - Kiedy oficer zaszalutował i wyszedł, Douglas dodał: - Chyba nie będziemy rozmawiać przez wizjofon, prawda?

- Słusznie.

- Pan i pański... eee... klient będziecie w Pałacu mile widziani. Wyślę po was mój jacht. Możecie być gotowi w ciągu godziny?

Harshaw potrząsnął głową.

- Serdeczne dzięki, panie sekretarzu. Zostaniemy tutaj, a jeśli będzie trzeba, zorganizuję jakiś psi zaprzęg albo coś w tym rodzaju. Jacht jest zupełnie niepotrzebny.

Douglas zmarszczył brwi.

- Ależ, doktorze! Jak sam pan powiedział, rozmowy będą quasi-dyplomatyczne. Jeżeli mam postępować zgodnie z oficjalnym protokołem, to muszę też zaproponować oficjalną gościnę.

- Mój klient ostatnio doświadczył aż nadmiaru oficjalnej gościnności. Z trudem udało mu się wyrwać z jej szponów.

Twarz sekretarza generalnego stężała w nieruchomą maskę.

- Jeżeli sugeruje mi pan, że...

- Nikomu nic nie sugeruję. Smith wiele ostatnio przeszedł, a poza tym nie jest przyzwyczajony do oficjalnego ceremoniału. Będzie czuł się znacznie lepiej, jeśli zostanie tutaj. Ja zresztą też. Jestem starym człowiekiem, któremu nigdzie nie jest tak dobrze jak we własnym łóżku. Oprócz tego pozwolę sobie zauważyć, że gdyby nasze rozmowy z jakichś przyczyn uległy zerwaniu i musielibyśmy zwrócić się do kogoś innego, to będąc pańskimi gośćmi czulibyśmy się nieco skrepowani.

- Znowu groźby - stwierdził cierpko sekretarz generalny. - A ja myślałem, że pan mi ufa. Zdawało mi się, że słyszałem z pańskich ust stwierdzenie, iż jesteście gotowi podjąć negocjacje.

- Oczywiście, że panu ufam! - (Dopóki mam cię na

oku!) - Jesteśmy w każdej chwili gotowi do podjęcia negocjacji, ale negocjacji w starym, oryginalnym znaczeniu tego słowa, nie obecnym, oznaczającym po prostu jednostronne ustępstwa. Może się pan jednak nie obawiać - będziemy rozsądni. Przed natychmiastowym przystąpieniem do rozmów powstrzymuje nas tylko brak jednego czynnika. Będziemy musieli poczekać - niestety nie wiem, jak długo.

- Co ma pan na myśli?

- Pozostawiamy rządowi całkowitą dowolność w kwestii ustalania składu reprezentującej go delegacji z tym, że takie samo prawo rezerwujemy również dla siebie.

- Oczywiście, ale lepiej nie przesadzajmy. Z naszej strony będę ja, jeden lub dwóch asystentów... Nasz radca prawny i jakiś ekspert od prawa kosmicznego. Interesy najlepiej załatwia się w małych grupkach.

- Całkowicie się zgadzam. Nas też nie będzie dużo: Smith, ja, Świadek...

- No wie pan, doktorze!

- Na pewno nie będzie przeszkadzał. I jeszcze jedna lub dwie osoby. Właśnie na tym polega kłopot: brakuje nam jednego człowieka. Według instrukcji, jakie otrzymałem, przy rozmowach musi być obecny niejaki Ben Caxton, a ja nigdzie nie mogę znaleźć tego typka.

Jubał, którego wszystkie dotychczasowe tyrady miały na celu przygotowanie gruntu pod tę jedną, jedyną uwagę, zamilkł. Douglas spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Ben Caxton? Chyba nie ma pan na myśli tego nędznego pismaka?

- Caxton, o którego mi chodzi, ma własną kolumnę w jednym z pism syndykatowych.

- Nie ma mowy!

Harshaw potrząsnął głową.

- W takim razie to wszystko, co mieliśmy sobie do powiedzenia, panie sekretarzu. Moje instrukcje są jasne i nie pozostawiają żadnej wątpliwości. Przepraszam, że zabrałem panu tyle czasu. Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan tego za złe.

Wyciągnął rękę w kierunku przycisku przerywającego połączenie.

- Chwileczkę!

- Tak?

- Jeszcze nie skończyłem!

- Proszę o wybaczenie, panie sekretarzu generalny.



Zaczekam, aż pan pierwszy się wyłączy.

- Już dobrze, dobrze. Doktorze, czy czytuje pan bełkoty, które powstają na podstawie oficjalnych komunikatów rządowych?

- Broń Boże!

- Ja też byłbym szczęśliwy, gdybym nie musiał tego robić, ale czasem muszę. Nie ma mowy o jakichkolwiek dziennikarzach. Zobaczymy się z nimi, kiedy już wszystko będzie ustalone. A zresztą nawet gdybyśmy mieli zaprosić kogoś, to na pewno nie Caxtona. Ten człowiek to zaraza... Jeśli zwącha jakąś sensację, wciśnie się za nią w każdą, nawet najbardziej cuchnącą dziurę.

- Panie sekretarzu, my nie mamy nic przeciwko całkowitej jawności rozmów. Mało tego, nawet się jej domagamy!

- Śmieszne!

- Być może. Służę memu klientowi najlepiej, jak potrafię. Jeżeli uda nam się osiągnąć porozumienie dotyczące Człowieka z Marsa i jego rodzinnej planety, to chcę, żeby każdy obywatel wiedział dokładnie, jak do tego doszło i co zostało ustalone. Również jeżeli negocjacje nie zakończą się sukcesem, ludzie powinni wiedzieć, dlaczego tak się stało. To nie będą tajne rokowania, panie sekretarzu.

- Do licha, nie mówiłem o żadnych tajnych rokowaniach i pan doskonale o tym wie! Chodzi mi o spokojne, rzeczowe rozmowy bez przepychania się łokciami.

- Więc dopuścimy prasę - z kamerami i mikrofonami, ale bez łokci, które zostaną na zewnątrz. Właśnie coś sobie przypomniałem: dziś wieczorem mój klient i ja mamy zaplanowany wywiad w jednej z ogólnowiatowych sieci stereowizyjnych, w którym oznajmimy, że domagamy się całkowitej jawności rozmów.

- Co takiego? Nie wolno wam teraz udzielać żadnych wywiadów! To sprzeczne z duchem negocjacji!

- Doprawdy? Nie wydaje mi się. Czy chce pan przez to powiedzieć, że każdy obywatel, który ma ochotę udzielić wywiadu środkom masowego przekazu, musi najpierw uzyskać pańską zgodę?

- Oczywiście, że nie, ale...

- Zresztą obawiam się, że i tak jest za późno. Wszystko zostało już ustalone i mógłby pan nas powstrzymać tylko przysyłając tutaj jeszcze kilka transporterów wypełnionych pańskimi pieskami. Wspomniałem o naszych zamiarach wyłącznie dlatego, że być może chciałby pan wcześniej ogłosić komunikat, iż Człowiek z Marsa wrócił już z wakacji i przebywa obecnie w Górach Pocono. Żeby nie wyglądało na to, że rząd jest zaskoczony rozwojem wydarzeń. Rozumie pan, co mam na myśli?

- Rozumiem. - Sekretarz generalny spojrział uważnie na Harshawa. - Proszę chwilę poczekać.

Zniknął z ekranu.

Jubał skinął na Larry'ego i zasłoniwszy dłonią mikrofon zaczął gorączkowo szeptać:

- Synu, mamy rozchrzaniony nadajnik, więc blefuję w ciemno. Nie mam pojęcia, czy poszedł w sprawie tego komunikatu, czy tylko, żeby kazać nas wszystkich zwinąć. Jedź do miasteczka, znajdź gdzieś budkę telefoniczną, połącz się z Mackenzie i powiedz mu, że jeśli nie naprawi nadajnika, to straci najlepszy materiał od chwili zdobycia Troi. Tylko uważaj - wszędzie mogą być gliny.

- Jak mam dotrzeć do Mackenziego?

Na ekranie pojawiła się twarz Douglasa.

- Zapytaj Miriam.

- Doktorze Harshaw, postąpiłem zgodnie z pańską radą. Komunikat ukaże się w takiej formie, jaką pan zaproponował, uzupełniony o kilka istotnych szczegółów. - Douglas uśmiechnął się w swój wypróbowany, profesjonalny sposób. - Dodałem, że rząd będzie omawiał z Człowiekiem z Marsa zagadnienia dotyczące stosunków międzyplanetarnych i że rozmowy będą się odbywały przy podniesionej kurtynie... Przy w y s o k o podniesionej kurtynie.

Uśmiech jakby zlodowaciał i nagle sekretarz generalny przestał przypominać starego dobrego Joe'a Douglasa.

Harshaw również uśmiechnął się, tyle tylko, że z podziwem; stary złodziej wykręcił się i tym razem, zmieniając całkowitą klęskę w tryumf.

- Znakomicie, panie sekretarzu! Poprzemy pana na całej linii.

- Dziękuję. A wracając do tego Caxtona: fakt, że dopuszczamy prasę nie oznacza, że dopuszczamy także jego. Może oglądać transmisję w stereowizji i zmyślać, co mu się żywnie podoba, ale nic ponadto.

- W takim razie, panie sekretarzu, bez względu na to, co powiedział pan prasie, nie dojdzie do żadnych rozmów.

- Pan mnie chyba nie zrozumiał, doktorze. Obecność na sali tego osobnika byłaby zniewagą wymierzoną w moją osobę. Pozwolę sobie skorzystać w tej kwestii z przywileju osobistego.

- Ma pan rację. Chodzi właśnie o przywilej osobisty.

- Czyli sprawę możemy uznać za zakończoną.

- Tym razem to p a n mnie nie zrozumiał. Chodzi o przywilej osobisty, ale nie pański, tylko Smitha.

- Jak to?

- Ma pan prawo sam sobie dobrać wszystkich doradców i asystentów i nawet gdyby zdecydował się pan na samego diabła, nic nie moglibyśmy zrobić. Takie samo prawo jak pan ma także Valentine Michael Smith. Jeżeli nie będzie Caxtona, nas też nie będzie. To znaczy, będziemy, ale na jakiejś zupełnie innej konferencji z zupełnie kimś innym. Chyba by pana tam nie zaproszono. Nawet gdyby znał pan hindi.

Harshaw uczynił kliniczne spostrzeżenie, że człowiek w wieku Douglasa nie powinien dawać się aż tak bardzo ponieść wściekłości. Wreszcie sekretarz przemówił, ale tym razem bezpośrednio do Człowieka z Marsa.

Mike cały czas stał cierpliwie bez najmniejszego ruchu niczym Świadek.

- Smith, czy upiera się pan przy tym żalnym warunku? - zapytał Douglas.

- Nie odpowiadaj, Mike! - zareagował natychmiast Jubal. - Nieładnie, panie sekretarzu generalny. A co z zasadami? Czemu miałby pan wiedzieć, dlaczego mój klient dał mi właśnie takie, a nie inne instrukcje? Pański postępek jest tym bardziej nieetyczny, że mój klient dopiero od bardzo niedawna posługuje się językiem angielskim i nie byłby w stanie przedstawić swoich racji w sposób pełny i jednoznaczny. Pozwolę panu z nim porozmawiać, jak nauczy się pan marsjańskiego, ale na pewno nie wcześniej.

Douglas zmarszczył brwi.

- Mógłbym zacząć dociekać, jakimi zasadami pan się kierował, ale teraz nie mam na to czasu. Poddaję się. Lecz niech pan nie oczekuje, że uściskę dłoń temu Caxtonowi.

- Jak pan sobie życzy. Wracając do podstawowego problemu: nie mogę go nigdzie znaleźć.

Sekretarz generalny parsknął śmiechem.

- No, wie pan! Najpierw upiera się pan przy kimś, kto stanowi dla mnie osobistą obrazę, a potem okazuje się, że ja mam go dla pana jeszcze szukać?

- Skądże znowu. Ale czy nie zechciałby pan wyświadczyć Człowiekowi z Marsa pewnej przysługi?

- Proszę? Jakiej przysługi?

- Rozmowy rozpoczną się dopiero wtedy, kiedy uda się odnaleźć Caxtona, to nie podlega żadnej dyskusji. Ja nie mogłem go odnaleźć, bo jestem tylko zwyczajnym szarym obywatelem.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Wypowiadałem się niezbyt pochlebnie o umiejętnościach

służb specjalnych. Proszę to zwalić na irytację człowieka, któremu umundurowane zbiry pchają się do domu drzwiami i oknami. Wiem jednak, że służby potrafią działać zadziwiająco skutecznie, dysponując przy tym wsparciem wszystkich sił policyjnych. Gdyby pan, panie sekretarzu, zechciał wezwać komendanta służb specjalnych i powiedzieć mu, że poszukuje pan pewnego człowieka, to w ciągu pięciu minut wywołałby pan większą aktywność, niż mnie udałoby się sprowokować nawet przez sto lat.

- A niby czemu miałbym stawiać na nogi całą ziemską policję tylko po to, żeby odnaleźć jakiegoś wężącego za skandalami reportera?

- Policja jest może ziemska, ale przyczyna marsjańska. Proszę pana o to jako o przysługę dla Człowieka z Marsa.

- No... To niesłychane, ale zgadzam się. - Douglas spojrział na Mike'a. - Dobrze, potraktujmy to jako przysługę. Oczekuję od was podobnej współpracy, kiedy już przejdziemy do rzeczy.

- Zapewniam pana, że pańska decyzja przyczyni się do daleko idącej poprawy atmosfery rozmów.

- Niczego nie obiecuję. Sam pan mówi, że ten człowiek gdzieś zniknął. Równie dobrze mógł wpaść pod ciężarówkę.

- Miejmy nadzieję, że nic takiego się nie stało. Choćby przez wzgląd na dobro sprawy - dodał Harshaw z ponurą miną.

- Co pan przez to rozumie?

- Próbowałem zasugerować mojemu klientowi taką możliwość, lecz on nawet nie chciał o tym słyszeć. - Jubal westchnął ciężko. - Klapa. Kompletna klapa, jeśli nie uda nam się odnaleźć Caxtona.

- Cóż, spróbuję. Ale proszę nie oczekiwać cudów, doktorze.

- Ja ich nie oczekuję, za to mój klient, owszem. On patrzy na wszystko z marsjańskiego punktu widzenia i jak najbardziej oczekuje cudów. Módlmy się, żeby jakiś nastąpił.

- Dam panu znać. Na razie nic więcej nie mogę powiedzieć. Harshaw uklonił się nie wstając z miejsca.

- Do usług.

Kiedy ekran ściemniał, Jubal podniósł się z fotela i wpadł prosto w objęcia Gillian.

- Och, Jubal! Byłeś cudowny!

- Jeszcze nie wyszliśmy z lasu, dziecino.

- Ale zrobiłeś wszystko, żeby ocalić Bena.

Pocałowała go.

- Ejże, co ty wyrabiasz? Przyrzekłem sobie skończyć z tym

na długo przedtem, zanim się urodziłaś. Okaż trochę szacunku dla moich lat, dziecino. - Oddał jej długi, gorący pocałunek. - Robię to tylko po to, żeby zapomnieć o Douglasie. W przerwach między całowaniem go po piętach a kopaniem w kuper chwytają mnie nudności. Zajmij się Mike'em. Zasługuje na to choćby dlatego, że dzielnie zniósł wszystkie moje kłamstwa.

- Jasne! - Jill uwolniła Harshawa i objęła za szyję Człowieka z Marsa. - To były wspaniałe kłamstwa, Jubal. Pocałowała Smitha.

Jubal obserwował z zainteresowaniem, jak Mike z powagą i ostrożnie, ale wcale nie jak zupełny debiutant inicjuje drugą część pocałunku. Za sprawność techniczną dał mu 4-, natomiast za włożony wysiłek pełne 5.

- Zadziwiasz mnie, synu - powiedział. - Spodziewałbym się raczej, że swoim starym zwyczajem zwiniesz się w kulkę.

- Tak zrobiłem za pierwszym całującym razem - odparł Mike, nie wypuszczając Jill z ramion.

- No, proszę! Gratulacje, Jill. Jak on całuje - jak chłopiec czy jak dziewczynka?

- Jubal, jesteś potworem, ale mimo to bardzo cię kocham i nie uda ci się wyprowadzić mnie z równowagi. Wtedy Mike po prostu zbyt szybko tym przejął, ale, jak widzisz, teraz już wszystko jest w porządku.

Mike skinął głową.

- Tak - potwierdził. - To bardzo dobre. Wodni bracia robią się dużo, dużo bliżej. Pokażę ci.

Wypuścił dziewczynę z objęć i ruszył w kierunku Harshawa. Jubal wyciągnął rękę w obronnym geście.

- Nie!

- Nie?

- Przeżyłbyś wielkie rozczarowanie, synu. To rzeczywiście zbliża do siebie wodnych braci, ale tylko wtedy, jeśli jeden z nich jest młodą, ładną dziewczyną, taką jak Jill.

- Mój bracie, czy mówisz prawdziwie?

- Jak najbardziej. Całuj wszystkie dziewczyny, na które przyjdzie ci ochota. To bardzo sprzyja szybkiemu topnieniu lodów.

- Proszę?

- Chciałem powiedzieć, że bardzo zbliża... z dziewczętami, oczywiście. Hmm... - Jubal rozejrzał się dookoła. - Ciekawe, czy zareaguje tak, jak za pierwszym razem. Dorcas, pomożesz mi w przeprowadzeniu naukowego eksperymentu.

- Nie jestem świnką morską, szefie. Idź do diabła!

- W swoim czasie z pewnością tam pójdę. Nie sprawiaj nam trudności, dziewczyno; Mike nie ma żadnych zakaźnych chorób, bo inaczej nie pozwoliłbym mu korzystać z basenu. Aha, powiedz Larry'emu, kiedy wróci, że trzeba zmienić wodę w basenie. Ta zielona breja nie będzie nam już potrzebna. Więc jak, Dorcas?

- Skąd wiesz, że to będzie nasz pierwszy raz?

- No, tak. Mike, czy całowałeś już kiedyś Dorcas?

- Nie, Jubal. Dopiero dzisiaj dowiedziałem się o tym, że Dorcas jest twoim wodnym bratem.

- A jest?

- Tak. Dorcas i Anne, i Miriam, i Larry. To są twoi wodni bracia, bracie Jubal.

- Hmm... Chyba tak. W pewnym sensie masz rację.

- Tak. To jest sens, grokowanie, niekoniecznie picie wody. Czy mówię prawdziwie?

- Bardzo prawdziwie, Mike.

- Oni są twoimi wodnymi braćmi. - Umilkł na chwilę, szukając odpowiednich słów. - We wspólnym powiązaniu są też moimi braćmi. - Spojrzał na Dorcas. - Dla braci zbliżanie jest dobre i słuszne.

- A więc, Dorcas? - powtórzył pytanie Jubal.

- Co? Szefie, jesteś największym złośliwcem na świecie. Ale Mike wcale nie jest złośliwy, tylko słodki. - Podeszła do niego, wspięła się na palce i wyciągnęła ramiona. - Pocałuj mnie, Mike.

Smith zrobił to. Przez kilka sekund "zbliżali się"...

Dorcas zemdlą.

Jubal chwycił ją w ostatniej chwili chroniąc przed upadkiem, Jill zaś udzieliła Mike'owi ostrej reprimendy, powstrzymując go przed zwinięciem się w kłębek i tymczasowym odejściem. Doszedłszy do siebie Dorcas zapewniła Człowieka z Marsa, że nic jej nie jest i że z przyjemnością jeszcze się z nim pozbliża, tylko musi złapać trochę oddechu.

Miriam przyglądała się temu szeroko otwartymi oczami.

- Może i ja bym się odważyła? - zauważyła nieśmiało.

- Według starszeństwa, jeśli łaska - wtrąciła się Anne. - Szefie, czy jestem jeszcze potrzebna jako Świadek?

- Na razie nie.

- Więc potrzymaj ten chałat. Chcesz się założyć? Siedem do dwóch, że nie zemdleję. Szczerze mówiąc nie mam nic przeciwko temu, żeby przegrać.

- Zgoda.

- Dolary, nie setki. Mike, kochanie... Czy możemy się

zbliżyć?

Anne przegrała z powodu niedotlenienia - Mike po marsjańskim treningu mógł się obyć bez tego życiodajnego gazu znacznie dłużej od niej. Przez chwilę chwytiała powietrze niczym wyrzucona na brzeg ryba, po czym powiedziała:

- Byłam źle ustawiona, szefie. Dam ci jeszcze jedną szansę.

Rozchyliła już usta, ale Miriam poklepała ją po ramieniu.

- Wynocha.

- Nie bądź taka niecierpliwa.

- Wynocha, powiedziałam. Wszystkie czekamy w kolejce.

- Niech ci będzie.

Anne odeszła na bok. Natychmiast zastąpiła ją Miriam, która uśmiechnęła się i bez słowa objęła Mike'a za szyję.

- Pierwsza!

Obejrzała się przez ramię.

- Szefie, nie widzisz, że jestem zajęta?

- No, tak. W takim razie zejdź mi z drogi. Sam odbiorę.

- Ktoś dzwoni? Nic nie słyszałam.

- Wierzę ci. Musimy zachować pozory przyzwoitości, to może być sam sekretarz generalny.

Ale okazało się, że jest to Mackenzie.

- Jubal, co tam się u was dzieje, do diabła?

- A czemu pytasz?

- Dostałem telefon od jakiegoś człowieka, który kazał mi rzucić wszystko w cholerę i pędzić do ciebie, bo coś dla mnie masz. Wysłałem wóz transmisyjny...

- Jeszcze nie dotarł.

- Wiem o tym. Meldowali, że nie mogą cię znaleźć, ale dyspozytor już naprowadził ich na właściwą drogę. Będą lada moment. Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale cały czas z kimś gadałeś. Dużo straciłem?

- Na razie nic. - Do licha, ktoś powinien śledzić wiadomości w stereowizji. Czy Douglas dotrzymał słowa? A może zaraz zwali się tutaj kilka transporterów policji? A te dzieciaki jakby nigdy nic rozdają sobie całusy! Jubal, całkowita beztroska to jeden z objawów chorób wieku starczego.

- Czy w ciągu ostatniej godziny były jakieś specjalne informacje?

- Nie... To znaczy, tylko jedna. Z Pałacu podano, że Człowiek z Marsa wrócił ze swoich... Jubal! Czy to twoja sprawka?

- Jedną chwilkę. Mike, chodź tutaj. Anne, wskakuj w to

prześcieradło.

- Jestem gotowa, szefie.

- Panie Mackenzie, pozwoli pan, że przedstawię mu Człowieka z Marsa.

Szczęka Mackenziego opadła o kilka cali.

- Zaczekajcie! Zaraz będzie kamera! Weźmiemy to z wizjofonu i damy na antenę zaraz, jak tylko te palanty wreszcie się u ciebie zjawią. Jedno pytanie, Jubal: czy to prawda? Bo jeżeli nie...

- Czy próbowałbym wciskać ci ciemnotę ze Świadkiem u boku? Zresztą do niczego cię nie zmuszam. Gdzieś tu miałem numer Argusa i Trans-Planet...

- Nie możesz mi tego zrobić!

- Nie mam najmniejszego zamiaru. Umowa polegała na monitorowaniu kamer i wykorzystaniu materiału do rozpowszechniania. Nie obiecywałem im żadnych wywiadów. Ty natomiast nie tylko wypożyczyłeś sprzęt, ale też bardzo nam pomogłeś w inny sposób. Nawet nie potrafisz powiedzieć, jak bardzo.

- Mówisz o tym numerze telefonu?

- Właśnie. Ale lepiej nie pytaj o szczegóły, Tom. Opowiem ci wszystko prywatnie... za rok.

- Och, nawet nie miałem zamiaru o nic pytać. Jeżeli musisz milczeć, ja też nie puszczę pary z ust. A teraz...

- Jeszcze jedno. Te depeze, które masz w biurku. Prześlij je z powrotem do mnie.

- W porządku. Uwaga, już mam kamerę. Jesteście gotowi?

- Jesteśmy.

- No, coś takiego muszę zrobić osobiście! - Mackenzie odwrócił się bokiem, najwidoczniej twarzą do kamery. - Wiadomość z ostatniej chwili! Wasz reporter był na miejscu, niemal zanim to się wydarzyło! Właśnie zadzwonił do mnie Człowiek z Marsa i powiedział, że chce z wami porozmawiać! Cięcie. Wmontujcie reklamówkę sponsora. Jubal, czy mam zapytać o coś specjalnego?

- N i e pytaj o Amerykę Południową. Najlepiej trzymaj się pogody i pływania. Możesz zapytać mnie o jego plany na przyszłość.

- Cięcie. Przyjaciele, jesteście teraz twarzą w twarz z Valentinem Michaelem Smithem, Człowiekiem z Marsa! Jak już poinformowaliśmy was wcześniej, pan Smith wrócił właśnie z wypoczynku w Andach. Witamy go wśród nas! Proszę pomachać do pańskich przyjaciół, panie Smith...

(- Pomachaj do wizjofonu, synu. Uśmiechnij się i



pomachaj.)

- Serdecznie dziękujemy, panie Smith. Cieszymy się wszyscy, że tak znakomicie pan wygląda. Słyszałem, że wracał pan do sił ucząc się pływać?

- Szefie! Goście albo coś w tym rodzaju!

- Cięcie! Zaraz po słowie "pływać". Co się dzieje, Jubal?

- Zobaczę. Jill, pilnuj Mike'a. To może być coś poważnego.

Okazało się jednak, że to tylko spóźniony wóz transmisyjny - rzecz jasna, wylądował dokładnie na różach - Larry, wracający z miasteczka i Duke, wracający nie wiadomo skąd. Mackenzie postanowił szybko dokończyć wywiad przez wizjofon, mając pewność, że lada chwila będzie miał już normalną jakość przekazu. Tymczasem jego ludzie mieli sprawdzić uszkodzenia nadajnika; Larry i Duke poszli z nimi.

Wywiad schodził na coraz głębsze tematy, a i tak na większość pytań musiał odpowiadać Jubal, gdyż Mike po prostu ich nie rozumiał. Mackenzie zakończył wreszcie rozmowę obietnicą, że niebawem powróci zwykła jakość dźwięku i obrazu.

- Nie wyłączajcie odbiorników! Zostańcie z naszą stacją! - A do Jubala: - Jak skończą z tym nadajnikiem, niech się natychmiast zgłoszą.

Kilka minut później uczynił to szef ekipy.

- Nadajnik jest w porządku, panie Mackenzie.

- Więc co się stało?

Technik zerknął na Larry'ego i Duke'a.

- Po prostu działa znacznie lepiej, jeśli jest włączony.

Ktoś wyłączył dopływ prądu.

Jubal przerwał rozwijającą się w najlepsze sprzeczkę o to, czy Duke powiedział Larry'emu, jak trzeba uruchomić nadajnik, gdyż zupełnie nie interesowała go kwestia odpowiedzialności. Właśnie zyskał kolejne potwierdzenie swojej teorii, że technologia osiągnęła szczytowy punkt rozwoju wraz z pojawieniem się forda T, a od tamtego czasu ulega postępującej degradacji. Zarejestrowali wywiad, w kolorze i trzech wymiarach - na koniec Mike przesłał pozdrowienia przyjaciołom z "Championa", przy czym te przeznaczone dla doktora Mahmouda wycharczał po marsjańsku.

Następnie Jubal zablokował na dwie godziny wizjofon i przeciągnął się ze znużeniem, zastanawiając się, czy przypadkiem nie zaczął się starzeć.

- Co z obiadem? Która z was, ładacznic, miała dzisiaj zająć się gotowaniem? Boże, ten dom coraz bardziej popada w ruinę!

- Dzisiaj była moja kolej - przyznała Jill - ale...

- Wymówki, wiecznie jakieś wymówki!

- Szefie, w jaki sposób miałyśmy coś przygotować, jeśli ganiałeś nas w tę i z powrotem przez całe popołudnie? - wtrąciła się Anne.

- Nic mnie to nie obchodzi - odparł surowo Jubal. - Nawet jeśli tu, na tej posiadłości, miałby się odbyć Armageddon, żądam, żeby aż do ostatnich fanfar posiłki były gorące i podawane o czasie. Poza tym...

- Poza tym - przerwała mu Anne - jest dopiero za dwadzieścia ósma, czyli mnóstwo czasu na to, żeby przygotować coś do ósmej, więc przestań się mazać, bekso.

- Za dwadzieścia ósma? A mnie się wydaje, że od lunchu minęły już całe wieki. Nie zostawiłyście mi dość czasu na przedobiedniego drinka.

- Biedactwo!

- Niech ktoś mi go poda. Niech ktoś wszystkim poda drinki. Darujmy sobie obiad - jestem tak napięty jak lina podtrzymująca główny maszt namiotu w czasie deszczu. Anne, jak tam stoimy ze smorgasbordem?

- Znakomicie.

- Skoro tak, to wystawcie co macie i niech każdy weźmie sobie tyle, ile chce. Po co ta cała kłótnia?

- Zaraz to zrobię - powiedziała Jill.

Anne pocałowała Jubala w łysinę.

- Szefie, zachowałeś się nadzwyczaj szlachetnie. Nakarmimy cię, upijemy, a potem położymy do łóżka. Zaczekaj, Jill, pomogę ci.

- Czy ja też mogę pomóc? - zapytał z nadzieją Smith.

- Oczywiście. Będziesz nosił tace. Szefie, obiad będzie przy basenie. Wieczór jest bardzo ciepły.

- A gdzieżby indziej? - Kiedy wyszli, Harshaw zwrócił się do Duke'a: - Gdzie ty byłeś, do cholery?

- Myślałem.

- Za to nie płacą, a poza tym możesz stać się malkontentem. I wymyśliłeś coś?

- Tak. Doszedłem do wniosku, że to, co Mike je, to wyłącznie jego sprawa.

- Bravo! Przekonanie, że nie należy wtykać nosa w cudze sprawy, stanowi osiemdziesiąt procent mądrości, jaka jest na tym świecie.

- Ty przecież ciągle wtykasz nos w cudze sprawy?

- A kto powiedział, że ja jestem mądry?

- Jubal, czy Mike wypiłby ze mną szklankę wody, gdybym mu to zaproponował?

- Myślę, że tak. Jediną typowo ludzką cechą, jaką posiada, jest niemożliwe do przewyciężenia pragnienie bycia lubianym. Ale najpierw muszę się upewnić, czy wiesz, jak bardzo poważna to sprawa. Ja zgodziłem się zostać wodnym bratem Mike'a, zanim to zrozumiałem, i dopiero teraz poczułem, co to naprawdę znaczy. Nie będziesz mógł nigdy go okłamać ani oszukać i musisz trwać przy nim bez względu na to, co się zdarzy. Lepiej się nad tym zastanów.

- Już się zastanawiałem. Jubal, w Mike'u jest coś takiego, co sprawia, że c h c e s z się o niego troszczyć.

- Wiem. Zapewne nigdy do tej pory nie zetknąłeś się z uczciwością i niewinnością. Mike nigdy nie skosztował owocu z Drzewa Wiadomości Dobrego i Złego, więc bardzo trudno jest nam go zrozumieć. Cóż, mam nadzieję, że nigdy nie będziesz tego żałował. - Jubal podniósł na niego wzrok. - Szklanki stoją na górnej półce, za "Anatomią melancholii"...

- Wiem, gdzie je chowasz.

- Rąbniemy sobie po maluchu, zanim weźmiemy się poważnie za picie. - Duke przyniósł szklanki, a Jubal napełnił je i podniósł swoją. - Za alkoholowe braterstwo... Znacznie bardziej odpowiednie dla delikatnej ludzkiej duszy niż jakiegokolwiek inne.

- Zdrowie.

- Najlepszego.

Harshaw wlał do gardła zawartość szklanki.

- Ach! - westchnął z zadowoleniem i czknął. - Zaproponuj to Mike'owi, Duke, i pokaż mu, jak wspaniale jest być człowiekiem. Od razu wpadam w twórczy nastrój. Pierwsza! Dlaczego tych dziewczyn nigdy nie ma, kiedy je naprawdę potrzebuję? Pierwsza!!!

- Ja jestem pierwsza - powiedziała Miriam pokazując się w drzwiach - ale...

- Dyktuję dalej: ...jak dziwny, gorzko-słodki los zgotowały mi moje dziecięce marzenia...

- Dokończyłam tę historyjkę, kiedy plotkowałeś z sekretarzem generalnym.

- W takim razie już nie jesteś pierwsza. Wyślij ją.

- Nie chcesz przeczytać? Poza tym i tak muszę trochę zmienić. Pocałunek z Mike'em pozwolił mi spojrzeć na pewne sprawy w zupełnie nowy sposób.

Jubal zatrząsł się z obrzydzeniem.

- Miałbym co c z y t a ć? Dobry Boże, wystarczy, że muszę pisać takie rzeczy! Nie przejmuj się żadnymi poprawkami, a już najmniej tymi, które miałyby cokolwiek uwiarygodnić. Dobra opowieść z cyklu "prawdziwe wyznania" nigdy nie powinna zawierać ani odrobiny prawdy.

- Jak chcesz, szefie. Anne mówi, żebyście poszli nad basen i przekąsili coś przed obiadem.

- W samą porę. Panowie, proszę za mną.

Posiłek, składający się z ryb i różnych innych skandynawskich smakołyków, przebiegał bez zakłóceń. Mike skosztował brandy, nakłoniony do tego przez Jubalą; przekonawszy się, że odczuwa jakieś dziwne sensacje, błyskawicznie ustalił ich przyczynę, dodał tlen do etanolu w zachodzącym w jego organizmie procesie odwróconej fermentacji i otrzymał w rezultacie glukozę i wodę.

Jubal obserwował uważnie działanie, jakie wywarł alkohol na Człowieku z Marsa. Widział, jak Mike się upił, a następnie błyskawicznie wytrzeźwiał. Próbując zrozumieć, jak to się stało, Harshaw podsuwał Smithowi kolejne szklaneczki, które ten opróżniał bez wahania, jako że stanowiły dar wodnego brata. Wreszcie, kiedy Mike wypił wręcz nieprawdopodobną ilość brandy, Jubal doszedł do wniosku, że nikomu nigdy nie uda się go upić.

Z nim samym sprawy nie miały się tak dobrze, mimo wielu lat treningu. Próba dotrzymania Mike'owi kroku w czasie eksperymentu doprowadziła do znacznego spowolnienia funkcji mózgowych Harshawa, więc kiedy zapytał Smitha, jak on to zrobił, Mike uznał, że pytanie dotyczy wydarzeń związanych z atakiem służb specjalnych. Gnębiony skrytym poczuciem winy usiłował wszystko wyjaśnić i, gdyby okazało się to konieczne, prosić Jubalą o wybaczenie, ale Harshaw przerwał mu natychmiast, jak tylko dotarło do niego, o czym Smith mówi.

- Synu, nie chcę nic wiedzieć. Zrobiłeś dokładnie to, co trzeba i bardzo dobrze. - Zamrugał w zwolnionym tempie. - Ale nic mi o tym nie mów. N i k o m u nic o tym nie mów!

- Nic?

- Nic. To była najbardziej niesamowita rzecz, jaką widziałem od chwili, kiedy mój dwugłowy wujek dyskutował sam ze sobą o zawartości srebra w złotych monetach. Każde wyjaśnienie zepsułoby całe wrażenie.

- Nie rozumiem.

- Ani ja. Lepiej napijmy się jeszcze.

Zaczęli pojawiać się reporterzy. Jubal witał ich serdecznie, zapraszając, by zechcieli jeść, pić i czuć się jak

u siebie w domu, ale nie pozwalał zadawać żadnych pytań ani sobie, ani Człowiekowi z Marsa.

Ci, którzy mimo ostrzeżenia próbowali to robić, byli wrzucani do basenu.

Egzekucje wykonywali Larry i Duke. Niektórzy dziennikarze mieli im to za złe, ale inni z entuzjazmem przyłączali się do zabawy - nawet do tego stopnia, że tylko osobista interwencja Jubala uratowała przed trzecią kąpielą najstarszego wiekiem reportera "New York Timesa".

Późno wieczorem Dorcas odszukała Harshawa i szepnęła mu do ucha:

- Szefie, telefon.

- Więc go odbierz.

- Musisz sam podejść, szefie.

- Podejść, ale z siekierą! Już od dawna chciałem się pozbyć tego rupiecia, a teraz jestem akurat w dobrym nastroju. Duke, podaj mi siekierę!

- Szefie, to ten człowiek, z którym rozmawiałeś tak długo dzisiaj po południu.

- Aha. Dlaczego od razu nie powiedziałaś?

Jubal zataczając się wspinał na piętro, zamknął od wewnątrz drzwi gabinetu i podszedł do wizjofonu. Na ekranie ujrzał jednego z akolitów Douglasa, który jednak natychmiast zniknął, ustępując miejsca sekretarzowi generalnemu.

- Odebranie telefonu zajęło panu dość dużo czasu.

- To mój aparat, panie sekretarzu. Czasem nie mam ochoty z niego korzystać.

- Na to wygląda. Dlaczego nie powiedział mi pan, że Caxton jest alkoholikiem?

- A jest?

- I to jak! Wyruszył w rejs. Odsypiał go w pudle w Sonorze.

- Miło mi słyszeć, że go odnaleziono. Dziękuję panu.

- Został zatrzymany za włóczęgostwo, ale oskarżenie zostanie wycofane. Oddajemy wam go.

- Jestem pańskim dłużnikiem.

- Wcale nie uważam tego za przysługę. Dostaniecie go w takim stanie, w jakim go znalezione - brudnego, nieogolonego i cuchnącego jak browar. Niech pan się sam przekona, co to za typek.

- Znakomicie. Kiedy mogę go oczekiwać?

- Kurier wyleciał z Nogales już jakiś czas temu. Lecąc z prędkością 4 Macha powinien być tam lada chwila. Pilot wyda

panu Caxtona za pokwitowaniem.

- Nie omieszkać mu go wystawić.

- Doktorze, w tej chwili umyłam od wszystkiego ręce.

Oczekuję, że stawi się pan wraz ze swoim klientem niezależnie od tego, czy przyprowadzi pan tego pijaczynę, czy nie.

- Zgoda. Kiedy?

- Powiedzmy, jutro o dziesiątej.

- Takie sprawy najlepiej załatwiać z marszu. Zgoda.

Jubal zszedł na dół i wytoczył się przed dom.

- Jill! Chodź tutaj, dziecko.

Podbiegła do niego, a za nią jeden z dziennikarzy. Jubal odegnał go machnięciem ręki.

- To sprawa rodzinna - oświadczył tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- O jaką rodzinę chodzi?

- O twoją. Zdaje się, że ktoś umarł. Spływaj! - Kiedy reporter uśmiechnął się kwaśno i odszedł, Jubal nachylił się do Jill. - Jest bezpieczny - szepnął.

- Ben?

- Tak. Wkrótce tu będzie.

- Och, Jubal! - Zaczęła chlipać ze wzruszenia.

Położył jej dłonie na ramionach.

- Uspokój się. Idź do domu i spróbuj się opanować.

- Tak, szefie.

- Wypłacz się w poduszkę, a potem umyj twarz. - Podeszedł do basenu. - Cisza! Mam ważne oświadczenie. Miło nam, że wpadliście, ale przyjęcie właśnie się skończyło.

- Uuuuu!...

- Jestem starym człowiekiem, który potrzebuje spokoju, podobnie jak moja rodzina. Duke, pozakręcaj butelki. Dziewczęta, chowajcie jedzenie.

Tu i ówdzie rozległy się niezadowolone pomruki, ale bardziej odpowiedzialni uspokoiли swoich rozczarowanych kolegów. W dziesięć minut później goście zniknęli.

Po kolejnych dziesięciu zjawił się Caxton. Pilotujący maszynę oficer służb specjalnych uzyskał podpis Jubala na przygotowanym wcześniej pokwitowaniu i odleciał, podczas kiedy Jill płakała ze szczęścia, tuląc się do piersi Bena.

Jubal przyjrzał mu się uważnie.

- Słyszałem, że od tygodnia nie robisz nic innego, tylko pijesz?

Ben zaklął siarczyście, nie przestając gładzić Jill po ramieniu.

- Co, ja? J-j-jasne, jezdem tego... zawiany, ale n-n-nie piłem ani k-k-kropelki...

- Więc co się stało?

- N-n-nie wiem. Nie wiem!

W godzinę później Ben był już po płukaniu żołądka, a Jubal naszprycował go zastrzykami mającymi za zadanie zwalczyć działanie alkoholu i narkotyków. Oprócz tego dziennikarz został także wykąpany, ogolony, przyodziany w pożyczone ubranie, przedstawiony Człowiekowi z Marsa, a także poinformowany w skrócie o dotychczasowym rozwoju wydarzeń. Słuchał z zainte-resowaniem, popijając jedzenie mlekiem.

Sam jednak nie był w stanie nic powiedzieć. Dla Bena cały miniony tydzień po prostu nie istniał - stracił przytomność w Waszyngtonie, a odzyskał ją w Meksyku.

- To znaczy, oczywiście domyślam się, co mi zrobili: wstrzyknęli mi jakieś świństwo, zamknęli w ciemnym pokoju i wyciągnęli ze mnie wszystko, co wiedziałem... Ale nie mogę im niczego udowodnić. Poza tym jest jeszcze ta wioska Jefe i właścicielka speluny, a także na pewno cała masa innych świadków gotowych zeznać pod przysięgą, w jaki sposób spędziłem tam czas. Nic nie mogę na to poradzić.

- W takim razie nie próbuj - poradził mu Jubal. - Odpręż się i rozkoszuj życiem.

- Jeszcze czego! Już ja dorwę tego...

- Ciii!... Najważniejsze jest to, że żyjesz, co w pewnej chwili wydawało się cholernie mało prawdopodobne. Poza tym Douglas zrobi dokładnie to, co chcemy, a w dodatku będzie zachwycony.

- Właśnie o tym chciałem porozmawiać. Wydaje mi się...

- Wydaje mi się, że teraz pójdziesz do łóżka ze szklanką ciepłego mleka, w której będzie rozpuszczony Tajny Lek Doktora Harshawa Dla Potajemnych Alkoholików.

Wkrótce Caxton chrapał donośnie. Zmierzając do swojej sypialni Jubal spotkał na piętrze Anne. Potrzęsnał ze znużeniem głową.

- Ale dzień, laleczko!

- Rzeczywiście. Nie chciałabym go stracić, ale nie mam żadnej ochoty powtórzyć. Kładź się do łóżka, szefie.

- Za chwilę. Anne... Co jest takiego niezwykłego w sposobie, w jaki całuje ten chłopak?

Na twarzy Anne pojawił się najpierw wyraz rozmarzenia, a potem przekorny uśmiech.

- Powinieneś sam spróbować.

- Jestem już za stary, żeby zmieniać upodobania, ale interesuje mnie wszystko, co dotyczy Mike'a. Czy jego pocałunek to coś zupełnie odmiennego?

Anne zastanowiła się przez chwilę.

- Tak.

- Na czym polega różnica?

- Mike daje z siebie wszystko.

- Do pioruna! Ja też. W każdym razie kiedyś tak było.

Anne potrząsnęła głową.

- Nie, szefie. Całowali mnie już mężczyźni, którzy to robią bardzo dobrze, ale oni nigdy nie poświęcali pocałunkowi całej uwagi. Po prostu nie potrafili tego. Bez względu na to, jak bardzo się starali, podświadomie zawsze myśleli o czymś innym - że spóźnią się na autobus, że może im się nie udać mnie poderwać, że powinni robić to właśnie tak, a nie inaczej, że mogą stracić pracę, że nie zarobią dość pieniędzy, że nagle zjawi się sąsiad albo tatuś... Mike nie ma żadnego pojęcia o technice pocałunku, ale kiedy całuje, to robi tylko to i nic innego. Stanowisz dla niego cały wszechświat... Ta chwila trwa wiecznie, bo on przecież nie ma żadnych planów i nigdzie się nie śpieszy. Po prostu całuje cię i już. - Zadrzała. - To niesamowite.

- Hmm...

- Tylko nie hamkaj nade mną, ty stary rozpustniku! Nic nie rozumiesz.

- Rzeczywiście, nie rozumiem. I z przykrością muszę stwierdzić, że chyba nigdy mi się to nie uda. Cóż, dobranoc... Aha, tak przy okazji: powiedziałem Mike'owi, żeby zamknął drzwi od środka.

Pokazała mu język.

- Zazdrośnik!

- On i tak uczy się bardzo szybko. Nie trzeba go poganiać.

## Rozdział XVIII

Konferencja została przesunięta o dwadzieścia cztery godziny, co dało Caxtonowi więcej czasu na dojście do siebie, pozwoliło wysłuchać szczegółowych relacji o wydarzeniach minionego tygodnia, a także "zbliżyć się" z Człowiekiem z Marsa, gdyż Mike zgrokował, że Jill i Ben są wodnymi braćmi, skonsultował się z Jill, a następnie z wielką powagą ofiarował



wodę Benowi.

Najświeższe wydarzenia zrelacjonowała mu Jill, nieświadomie stając się przyczyną jego dość poważnego niepokoju; Bena irytowała intymna więź, jaka nawiązała się między dziewczyną i Mike'em. Po tygodniu spędzonym w nie mającym nic wspólnego ze śmiercią niebycie Ben zmienił opinię na temat małżeństwa i oświadczył się ponownie natychmiast, jak tylko zostali sami.

Jill odwróciła spojrzenie.

- Ben, proszę...

- Dlaczego nie? Mam stałą pracę, jestem zdrowy, a w każdym razie będę, jak tylko pozbędę się z organizmu tych chemicznych świństw. Kocham cię. Chcę się z tobą ożenić i masować twoje biedne, zmęczone stópki. Czyżbym był dla ciebie za stary? A może chcesz wyjść za kogoś innego?

- Nie, wcale nie! Ben, najdroższy... Ja też cię kocham, ale nie prosz mnie o to... na razie. Mam obowiązki.

Nie wypadało mu dłużej się upierać.

Jednak po pewnym czasie zrozumiał, że Człowiek z Marsa nie jest jego rywalem, tylko pacjentem Jill, i że osobnik, który postanawia poślubić pielęgniarkę, musi pogodzić się z faktem, że pielęgniarki żywią wobec swoich pacjentów niemal macierzyńskie uczucia. Pogodzić się to mało; musiał to polubić, bo gdyby Jill była pozbawiona tej właśnie cechy charakteru, z pewnością by jej nie pokochał. Wcale nie najważniejsza była jej przypominająca ósemkę figura i cudowny sposób, w jaki się poruszała, kręcąc zalotnie tyłeczkiem, ani żaden inny szczegół jej wyglądu - nie był przecież infantylnym osobnikiem, zainteresowanym wyłącznie rozmiarami gruczołów mlecznych! Kochał ją, a nie jej ciało.

A ponieważ to, kim była, wymagało od niego, żeby usunął się na drugie miejsce, odstępując pierwsze pacjentom, którzy jej potrzebowali, zaciśnie zęby i nie będzie ani trochę zazdrosny! Mike był bardzo miłym dzieckiem - dokładnie tak niewinnym i szczerym jak w jej opowieściach.

Co do niego samego zaś, to Ben musiał przyznać, że nie może jej obiecać życia usłanego różami. Żona dziennikarza musi być przygotowana na wiele niespodzianek - w każdej chwili mógł wyjechać na kilka tygodni i nie miał ustalonych godzin pracy. Na pewno nie byłby zadowolony, gdyby Jill miała mu to za złe.

Doszedłszy do takich wniosków, Ben z otwartym sercem przyjął propozycję Mike'a.

Jubał potrzebował dodatkowego dnia, żeby poczynić nowe

plany.

- Ben, kiedy zważyłeś to wszystko na moją głowę, powiedziałem Gillian, że nawet nie ruszę palcem, by walczyć o tak zwane prawa tego chłopaka. Otóż teraz zmieniłem zdanie. Nie pozwolimy, żeby rząd zlizął całą śmietankę!

- A już na pewno nie t e n rząd!

- Ani żaden inny, tym bardziej że następny z pewnością będzie gorszy. Chyba nie doceniasz Joe'a Douglasa.

- To marny politykier, a jego morale jest warte tyle samo co on sam.

- Owszem. W dodatku to ignorant do szóstej potęgi, chociaż jednocześnie dość uczciwie wykonuje swoje obowiązki, a już na pewno dużo sumienniejszy niż na to zasługujemy. Z przyjemnością zagrałbym z nim w pokera; nie oszukiwałby, a gdyby przegrał, zapłaciłby z uśmiechem. Oczywiście, że nieżył z niego sks, ale to znaczy także "strasznie klawy skunks". Jest w miarę w porządku.

- Jubal, niech mnie szlag trafi, jeśli cię rozumiem! Przecież sam mi powiedziałeś, że byłeś prawie pewien, że Douglas kazał mnie zabić... I zapewniam cię, że niewiele brakowało. Stawałeś na głowie, żeby mnie wyciągnąć, i Bóg mi świadkiem, jak bardzo jestem ci za to wdzięczny, ale nie wymagaj ode mnie, żebym natychmiast zapomniał, kto tym wszystkim kierował! Tego, że żyję, na pewno nie zawdzięczam jemu - byłby znacznie bardziej zadowolony, gdyby zobaczył moje zwłoki.

- Masz całkowitą rację, ale chcę, żebyś o tym zapomniał.

- Ani mi się śni!

- Jeżeli tego nie zrobisz, okażesz się kompletnym idiotą. Nie możesz nic udowodnić. Poza tym nie bądź taki cwany z tą wdzięcznością, bo i tak nie pozwolę, żebyś jeszcze i t o zważył mi na głowę. Nie zrobiłem tego dla ciebie.

- Jak to?

- Zrobiłem to dla małej dziewczynki, która chciała wybiec stąd krzycząc o wszystkim na lewo i prawo, co na pewno spowodowałoby na nią nieszczęście. Zrobiłem to, ponieważ była moim gościem, a ja znalazłem się in loco parentis. Zrobiłem to, bo jest odważna i śliczna, ale zbyt niedoświadczona, żeby majstrować przy ostrej pile mechanicznej. Ale ty, mój cyniczny, grzeszny matole, wiesz wszystko o piłach mechanicznych. Jeżeli jesteś na tyle nieostrożny, żeby pchać paluchy pod ostrze, to ja nie mam zamiaru ingerować w twoją karmę<sup>8</sup>.

- Hmm... W porządku, Jubal, jeśli masz ochotę, możesz iść do piekła za grzebanie w mojej karmie, o ile w ogóle mam coś takiego.

- To rzeczywiście punkt sporny. Według tego, co ostatnio słyszałem, przeznaczeniowcy i wolnowolowcy remisują w ostatniej tercji. Niezależnie od tego, kto wygra, nie mam najmniejszej ochoty budzić faceta śpiącego w rynsztoku. Dobroczynność właściwie niczym się nie różni od leczenia hemofilii - jedynym wyjściem byłoby pozwolić, żeby wszyscy, którzy na nią chorują, wykrwawili się na śmierć, zanim zdążą spłodzić następne pokolenie.

- Można ich wysterylizować.

- Chciałbyś, żebym zabawił się w Boga? Ale zdaje się, że zesłiliśmy z tematu. Douglas wcale nie chciał cię zabić.

- Kto tak twierdzi?

- Nieomylny Jubal Harshaw, przemawiający ex cathedra ze swojego pępka. Synu, jeśli zastępca szeryfa zatłucze więźnia na śmierć, można przyjmować zakłady o to, że jego zwierzchnicy nie dopuściliby do tego, gdyby znali jego zamiary. W najgorszym przypadku wolą później przymknąć oczy niż robić zamieszanie wokół sprawy. W tym kraju zabójstwo nigdy nie stanowiło elementu gry politycznej.

- Mogę ci przedstawić dokumentację na temat wielu tajemniczych zgonów, którymi się zajmowałem.

Jubal machnął lekceważąco ręką.

- Powiedziałem tylko, że zabójstwo nie wchodzi do oficjalnego kanonu polityki. Oczywiście, zawsze zdarzały się morderstwa - od bardzo głośnych, jak Hueya Longa, do ludzi pobitych na śmierć, którym nie poświęcono nawet jednej ósmej strony. Ale nikt nigdy nie uważał zabijania za sposób robienia polityki, a to, że żyjesz, zawdzięczasz wyłącznie faktowi, że Joe Douglas również tak nie uważa. Zgarnęli cię, wycisnęli z ciebie wszystko, co się tylko dało, a potem mogli pozbyć się ciebie równie łatwo, jak ty pozbywasz się martwej myszy, splukując ją z wodą w klozecie. Jednak ich szef nie chciał, żeby to zrobili, a gdyby dotarło do niego, że stało się inaczej, zapłaciliby za to posadami, o ile nie gardłem. - Jubal pociągnął ze szklanki. - Te rzezimieszki stanowią tylko jego narzędzie. To nie gwardia pretoriańska, która wybiera sobie cesarza. A kogo ty chciałbyś widzieć cesarzem? Może chciałbyś posadzić na fotelu sekretarza generalnego jakiegoś typa pochodzącego z kraju, gdzie życie jest niewiele warte, zabójstwo zaś stanowi narodową

tradycję? Zastanów się, Ben. Jeżeli to zrobisz, co stanie się z następnym wścibskim pismakiem, który zapuści się w ciemną uliczkę?

Caxton nie odpowiedział.

- Jak już powiedziałem, ludzie ze służb specjalnych są tylko narzędziami. Lubią brudną robotę i pracują dla każdego, kto im ją zleci. J a k brudna stanie się ta robota, jeśli pozbawisz Douglasa większości w radzie?

- Jubal, czy chcesz przez to powiedzieć, że w ogóle nie powinienem krytykować rządu?

- Skądże znowu. Gry także są pożyteczne, ale przed usunięciem starych kanałii zawsze trzeba najpierw przyjrzeć się nowym. Demokracja ma wiele wad; za jej jedyną zaletę trzeba uznać, że jest osiem razy lepsza od każdego innego systemu. Największa wada polega na tym, że przywódcy zawsze stanowią odbicie swoich wyborców, a więc są na niskim poziomie, ale czy można oczekiwać czegoś innego? Patrząc na Douglasa nie zapominaj o tym, że swoją ignorancją, głupotą i egoizmem przypomina przeciętnego Amerykanina, nie będąc od niego ani odrobinę lepszym. Zaraz potem przyjrzyj się jego ewentualnemu następcy.

- Różnica jest niewielka.

- Ale jest! W tym przypadku taka jak między złym a gorszym, czyli znacznie wyraźniejsza niż między dobrym a lepszym.

- W takim razie czego ode mnie oczekujesz?

- Niczego - odparł Harshaw. - Sam poprowadzę przedstawienie, ty zaś nie tylko powinienes powstrzymać się przed atakowaniem Douglasa, ale może nawet pochwalić go za powściągliwość godną prawdziwego męża stanu...

- Chce mi się rzygać!

- Zrób to do swojego kapelusza. Powiem ci, co zamierzam: kiedy ujeżdżasz tygrysa, przede wszystkim musisz pamiętać o tym, żeby trzymać go mocno za uszy.

- Jesteś okropnie nadęty. O co konkretnie chodzi?

- Rusz trochę głową i posłuchaj. Mike miał nieszczęście zostać spadkobiercą fortuny większej niż ta, o jakiej śniło się Krezusowi. W dodatku ma szansę zyskać ogromną władzę polityczną dzięki prawnemu precedensowi, którego debilizm można porównać chyba tylko z przypadkiem skazania sekretarza generalnego Falla za przyjęcie łapówki, podczas gdy Doheny, który mu ją dał, został uwolniony od wszelkich zarzutów. Nie interesują mnie bzdury w rodzaju powrotu prawdziwego księcia, ani nie uważam,

że te bogactwa mu się należą, bo przecież nie on je wytworzył. A nawet gdyby tak było, to własność wcale nie jest tak naturalnym i oczywistym pojęciem, jak to się wydaje większości ludzi.

- Nie rozumiem.

- Własność to wymyślona abstrakcja, mityczna zależność. Jeden Bóg wie, jak bardzo udało się ją skomplikować naszym prawniczym teoretykom, ale tak naprawdę przekonałem się, jak bardzo subtelna to sprawa dopiero wtedy, kiedy spojrzałem na nią z marsjańskiego punktu widzenia. Otóż Marsjanie nie posiadają n i c... Nawet swoich ciał.

- Zaczekaj chwilę. Przecież nawet zwierzęta mają własność, z Marsjanie to nie zwierzęta! Stworzyli cywilizację, z miastami i całą masą innych rzeczy.

- Owszem. Lisy mają jamy, a ptaki swoje gniazda. Nikt nie wie lepiej od podwórzowego psa, co to znaczy "meus-et-tuus". Ale nie Marsjanie. Chyba że uznasz, iż wspólne posiadanie wszystkiego przez miliony lub miliardy dorosłych obywateli - dla ciebie są to tylko duchy, przyjacielu - jest właśnie własnością.

- Jubal, jak to właściwie jest z tymi Starymi?

- Chcesz usłyszeć oficjalną wersję?

- Nie. Twoją opinię.

- Uważam to za pobożne łajno, zdatne wyłącznie do nawożenia trawników. Przesąd, który wsiąkł w mózg chłopaka tak wcześnie, że teraz Mike nie ma już żadnych szans, żeby się od niego uwolnić.

- Słuchając Jill odniosłem wrażenie, że ona w to wierzy.

- Kiedy mnie posłuchasz, odniesiesz takie samo wrażenie.

To zwykła uprzejmość. Jedna z moich najszacowniejszych znajomych wierzy w astrologię. Nigdy nie ośmieliłbym się jej obrazić mówiąc, co ja o tym myślę. Zdolność ludzi do wierzenia w to, co mnie wydaje się w najwyższym stopniu nieprawdopodobne - od spirytyzmu po nadzwyczajne zdolności ich dzieci - jest wręcz nieograniczona. Uważam wiarę za przejaw intelektualnego lenistwa, lecz wiara Mike'a w Starych wcale nie jest bardziej irracjonalna niż przekonanie, że za pomocą modlitwy o deszcz można zmienić fizyczne prawa rządzące wszechświatem.

- Hmm... Wiesz, Jubal, muszę ci się przyznać, że skłaniam się ku wierze w nieśmiertelność, ale jednocześnie jestem zadowolony, że nie muszę się spotykać z duchem mojego dziadka. To był cholerny drań.

- Mój też. Tak samo, jak ja. Ale czy prawa obywatelskie

człowieka mają wygasać tylko z tego powodu, że umarł? Tam, gdzie się wychowywałem, był duży cmentarz; ciekawe, co by się stało, gdyby wszyscy zmarli mogli głosować? Wracając do tematu: nasz przyjaciel Mike nie może niczego mieć na własność, bo wszystko stanowi już własność Starych. Dlatego wcale nie jest łatwo mu wytłumaczyć, że posiada ponad milion akcji Lunar Enterprises, plus prawo do napędu Lyle, plus mnóstwo ruchomości i zabezpieczeń majątkowych. Niewiele pomaga tu fakt, że pierwotni właściciele już nie żyją, bo tym samym stali się Starymi, a Mike nigdy nie odważyłby się wtykać nosa w sprawy Starych.

- Do licha, on jest po prostu niekompetentny!

- Oczywiście. Nie umie radzić sobie z własnością, ponieważ nie wierzy w jej mistyczne znaczenie, tak samo jak ja nie wierzę w jego duchy. Ben, wszystko, co Mike ma, to szczoteczka do zębów, a i tego nie wie. Gdybyś mu ją zabrał, uznałby, że stało się tak za sprawą Starych. - Jubal wzruszył ramionami. - Rzeczywiście, jest niekompetentny. Właśnie dlatego nie dopuszczę, żeby wystawiono go na próbę, bo chyba domyślasz się, kto zostałby wyznaczony na kuratora?

- Ha! Douglas albo któreś z jego popychadeł.

- Jesteś pewien, Ben? Weź pod uwagę skład Sądu Najwyższego. Nie uważasz, że kurator mógłby się nazywać Savvonavong? Albo Nadi? Lub Kee?

- Może i masz rację...

- Gdyby tak się stało, Mike nie pożyłby długo. Albo dożyłby późnej starości w jakimś przyjemnym ogrodzie, z którego uciec byłoby jeszcze trudniej niż z Bethesda Center.

- Co zamierzasz zrobić?

- Siła, jaką potencjalnie dysponuje ten chłopak, jest zbyt niebezpieczna. Musimy się jej pozbyć.

- W jaki sposób można się pozbyć takiej ilości pieniędzy?

- Na pewno nie będziemy ich wydawać, bo wtedy naruszylibyśmy równowagę sił, a w dodatku narazilibyśmy chłopca na zarzut niekompetencji. Zamiast tego pozwolimy tygrysowi gnać jak wszyscy diabli, cały czas ściskając go mocno za uszy. Ben, teraz przedstawię ci moje plany, a ty postaraj się wyszukać w nich wszystkie dziury. Nie od strony prawnej, bo tymi sprawami zajmą się ludzie Douglasa, a ja sprawdzę wszystko, co wymyślą. Chodzi mi o spojrzenie od strony polityki. Oto, co zrobimy...

## Rozdział XIX

Następnego ranka marsjańska delegacja dyplomatyczna wyruszyła do Pałacu. Mike Smith, bezpretensjonalny pretendent do marsjańskiego tronu, nie zastanawiał się nad celem podróży, tylko rozkoszował nią. Siedział w przeszklonej kabinie wynajętego latającego greyhounda, mając po bokach Jill i Dorcas i podziwiał widoki pokazywane mu przez szczebioczące dziewczęta. Ponieważ fotel był w zasadzie przeznaczony tylko dla dwóch osób, nastąpiło bardzo ciepłe zbliżanie się. Mike obejmował dziewczyny ramionami, rozglądał się, słuchał, starał się grokować i czuł się przeszczęśliwy.

Po raz pierwszy miał okazję przyjrzeć się ziemskiej cywilizacji. Podczas przenosin z "Championa" nie zdążył nic zauważyć, a dziesięć dni później spędził kilka minut w taksówce, lecz nie zgrokował nic z tego, co widział. Od tamtej pory jego świat składał się wyłącznie z domu, basenu, ogrodu, trawy i drzew - nie dotarł nawet do bramy posiadłości Jubala.

Teraz rozumiał już znacznie więcej: wiedział, co to są okna, zdawał sobie sprawę, że otaczająca go bańka jest przezroczysta po to, żeby można było przez nią patrzeć, i że to, co przesuwa się w dole, to miasta. Z pomocą dziewcząt znalazł na mapie miejsce, w którym akurat się znajdowali. Aż do tej pory nie wiedział, że ludzie używają map i zgrokowawszy to poczuł przyjemne ukłucie tęsknoty za domem. Tutejsze mapy były martwe i płaskie, nie tak jak na Marsie, ale mimo to bez wątpienia były mapami i swoją istotą niczym się nie różniły od marsjańskich. Spodobały mu się.

Mike wchłaniał każdy cal roztaczającej się dookoła niego dwustumilowej panoramy, wypełnionej w większości stłoczonymi budowlami ogólnoświatowej metropolii i starał się ją zgrokować. Zdumiały go rozmiary ziemskich miast i panujący w nich ruch, tak odmienne od klasztornego spokoju w przypominających ogrody miastach na Marsie.

Odpowiedzi uzyskane od Jill i Dorcas na zadawane im pytania pozwoliły mu zgrokować wiek miasta; zostało założone niewiele ponad dwieście ziemskich lat temu. Ponieważ miejscowa rachuba czasu nie przypadła mu specjalnie do gustu, przeliczył to na marsjańskie jednostki: trzy okresy pełne plus trzy okresy oczekiwania ( $34+33=108$  lat marsjańskich).

Przerażające i cudowne! Ci ludzie z pewnością przygotowują się już do tego, żeby opuścić miasto i pozostawić je jego myślom, zanim runie pod ich ciężarem i przestanie istnieć...

Choć z drugiej strony, jeśli wziąć pod uwagę czas, to miasto było jeszcze tylko jajkiem.

Mike postanowił wrócić do Waszyngtonu za jakieś sto lub dwieście lat i ruszyć na przechadzkę jego pustymi ulicami, starając się zbliżyć do nieskończonego bólu i piękna tego miejsca, grokując ze wszystkich sił, aż wreszcie sam stałby się miastem, a ono nim - oczywiście, jeżeli wtedy będzie już wystarczająco silny. Zdawał sobie sprawę, że musi jeszcze rosnąć, rosnąć i rosnąć, zanim będzie w stanie podziwiać i wielbić dostojną boleść miasta.

Pilot skierował greyhonda na wschód, kierując się w korytarz wolny od wszelkiego ruchu (choć Smith tego nie wiedział, spowodowane to było jego obecnością na pokładzie) i Mike ujrzał morze.

Jill wyjaśniła mu, że to jest woda, a Dorcas dodała, że to Ocean Atlantycki i pokazała mu na mapie linię brzegową. Mike wiedział od dawna, że planeta krążąca nieco bliżej Słońca jest niemal w całości pokryta wodą życia, a ostatnio przekonał się, że zamieszkujący ją ludzie nie zwracali na to bogactwo większej uwagi. Zdołał nawet zgrokować jeden z najbardziej ortodoksyjnych marsjańskich poglądów, że ceremonia dzielenia się wodą może się doskonale bez niej obejść. Woda stanowi symbol życia - jest piękna, lecz nie nieodzowna.

Okazało się jednak, że abstrakcyjna wiedza to nie to samo, co fizyczna rzeczywistość; widok Atlantyku nappełnił go takim podziwem, że...

- Mike! Ani się waż! - ostrzegła go Jill.

Smith wyzwolił się spod uroku i zachował go na później, a następnie spojrzął na sięgającą aż po horyzont wodę, usiłując ocenić jej rozmiary, aż wreszcie zaczęło mu huczeć w głowie od trójek, ich potęg i superpotęg.

Kiedy wylądowali w Pałacu, Jubal powiedział:

- Pamiętajcie, dziewczęta, macie uformować wokół niego czworokąt i nie wahajcie się, jeśli będzie trzeba dziabnąć kogoś obcasem albo szturchnąć łokciem. Anne, co prawda, będziesz w stroju Świadka, ale to nie oznacza, że nie możesz nastąpić komuś na nogę, jeśli za bardzo cię przycisną. A może się mylę?

- Nie bój się, szefie. Nikt nigdy nie pcha się na Świadka, a poza tym jestem w szpilkach i ważę więcej od ciebie.

- W porządku. Duke, odeślij Larry'ego z autobusem tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Grokuję, szefie. Przestań się trząść.

- Właśnie, że będę się trząść, jeśli akurat mam na to



ochotę. Chodźmy.

Harshaw, cztery dziewczyny, Mike i Ben Caxton wysiedli z autobusu; Greyhound natychmiast wzbił się w powietrze. Lądowisko nie było zatłoczone, ale też z pewnością nie było puste. Z grupy oczekujących wystąpił jakiś mężczyzna.

- Doktor Harshaw? - zapytał przyjaznym tonem. - Jestem Tom Bradley, starszy asystent sekretarza generalnego. Macie państwo udać się do gabinetu pana Douglasa. Chce z wami porozmawiać przed rozpoczęciem konferencji.

- Nie.

Bradley zamrugał raptownie.

- Mam wrażenie, że pan mnie nie rozumiał. To polecenie sekretarza generalnego. Pan Smith... to znaczy, Człowiek z Marsa... oczywiście może iść z wami.

- Nie. Pójdziemy prosto na salę obrad. Niech ktoś wskaże nam drogę. Tymczasem mam dla pana zadanie. Miriam, list.

- Ależ, doktorze Harshaw...

- Powiedziałem: nie! Ma pan to n a t y c h m i a s t dostarczyć panu Douglasowi... i przynieść mi pokwitowanie. - Harshaw złożył podpis na odwrocie koperty, którą podała mu Miriam, odcisnął kciuk na miejscu sklejenia i wręczył list Bradleyowi. - Proszę mu powiedzieć, żeby przeczytał to od razu, jeszcze przed konferencją.

- Ale sekretarz generalny życzy sobie...

- Sekretarz generalny życzy sobie zobaczyć ten list. Młody człowieku, jestem obdarzony zdolnością jasnowidzenia. Przepowiadam panu, że jeszcze dziś straci pan pracę, jeśli natychmiast nie dostarczy mu go pan do rąk własnych.

- Jim, zajmij się nimi - rzucił przez ramię Bradley i odszedł z listem.

Jubał odetchnął głęboko; przesiedział nad nim wraz z Anne niemal całą noc, przygotowując kolejne wersje. Zamierzał doprowadzić do ugody, ale nie miał najmniejszego zamiaru niczym zaskakiwać sekretarza generalnego.

Na wezwanie Bradleya z grupy wystąpił kolejny mężczyzna. Jubał rozpoznał w nim typ młodego zdolnego człowieka, jednego z tych, co ciążą zawsze ku ludziom stojącym u steru władzy i wykonują za nich brudną robotę. Mężczyzna uśmiechnął się i powiedział:

- Nazywam się Jim Sanforth, doktorze. Jestem sekretarzem prasowym pana Douglasa. Będę teraz waszym łącznikiem - zajmę się organizacją wywiadów, konferencji prasowych i tak dalej. Muszę pana z przykrością zawiadomić, że jeszcze nie jesteśmy

przygotowani do rozpoczęcia rozmów. W ostatniej chwili musieliśmy przenieść obrady do większej sali. Mam wrażenie, że...

- A ja mam wrażenie, że powinniśmy natychmiast iść do tej sali.

- Nie zrozumiał mnie pan, doktorze. Pełno tam techników instalujących mikrofony i różne urządzenia, a w dodatku aż roi się od dziennikarzy, którzy...

- Znakomicie. Trochę sobie z nimi poplotkujemy.

- To niemożliwe, doktorze. Otrzymałem wyraźne instrukcje, żeby...

- Młodzińcze, może pan wziąć swoje instrukcje, zwinąć je w ciasną kulkę i spuścić z wodą w toalecie. Zjawiliśmy się tu w jednym celu: żeby odbyć publiczną konferencję. Jeżeli konferencja nie jest przygotowana, spotkamy się z prasą tam, gdzie miała się odbyć.

- Ale...

Harshaw podniósł głos.

- Zmuszacie Człowieka z Marsa do tego, żeby stał na zimnym wietrze. Czy jest tu ktoś dość bystry, żeby zaprowadzić nas na salę obrad?

Sanforth przełknął z wysiłkiem ślinę.

- Proszę za mną, doktorze.

Sala posiedzeń była wypełniona technikami i dziennikarzami, ale stał tam już duży owalny stół, krzesła, a także kilka mniejszych stolików. Kiedy zauważono Mike'a, na nic zdały się protesty Sanfortha, próbującego nie dopuścić do niego tłumu. Jednak oddziałowi amazonek udało się doprowadzić Smitha do wielkiego stołu; Jubal posadził go między Jill i Dorcas, z tyłu umieszczając Anne w stroju Świadka i Miriam, po czym pozwolił zadawać do woli pytania i robić zdjęcia. Mike wiedział już, że ludzie robią czasem dziwne rzeczy, a Jubal ostrzegł go, żeby nie podejmował żadnych gwałtownych działań (polegających między innymi na usuwaniu lub zatrzymywaniu osób i przedmiotów), dopóki Jill wyraźnie nie każe mu tego zrobić.

Mike niezbyt dobrze znosił zamieszanie; pewną pociechę czerpał z faktu, że Jill cały czas trzymała go za rękę.

Jubalowi zależało na tym, żeby wykonano jak najwięcej zdjęć, zaś co do pytań, to wcale ich się nie obawiał. Po tygodniu rozmów z Mike'em przekonał się, że żaden reporter bez fachowej pomocy nie zdoła wycisnąć z niego ani krzty informacji. Zwyczaj Smitha traktowania dosłownie każdego pytania i udzielania na nie wyczerpującej odpowiedzi uniemożli-

wiał wszelkie próby ciągnięcia go za język.

Na większość pytań Mike odpowiadał "Nie wiem" albo "Proszę?".

Korespondent Reutera, spodziewając się znacznych nieporozumień wokół kwestii uznania Smitha spadkobiercą ogromnej fortuny, usiłował przemycić własny test na kompetencje Mike'a:

- Panie Smith, co pan wie o prawach dziedziczenia?

Mike zdawał sobie doskonale sprawę, że ma poważne kłopoty ze zgrokowaniem ludzkiego pojęcia własności, a szczególnie wszelkich szczegółów związanych ze spadkami i dziedziczeniem, więc odwołał się do pomocy książki - Jubal zidentyfikował pierwszy rozdział dzieła zatytułowanego "Uwagi o prawie spadkowym".

Smith z niewzruszoną twarzą recytował strona za stroną wszystko, co przeczytał; w sali stopniowo zapadała cisza, a dziennikarz, który zadał pytanie, wpatrywał się w niego wybałuszonymi oczami.

Jubal zaczął jeszcze chwilę, żeby każdy z obecnych dziennikarzy dowiedział się więcej, niż miał ochotę wiedzieć o posagu i darowiźnie, więzach krwi i przyrodnim rodzeństwie, per stirpes i per capita.

- Wystarczy, Mike - przerwał mu wreszcie.

Mike spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Jest jeszcze dużo, Jubal - powiedział.

- Później. Czy ktoś ma pytanie na jakiś inny temat?

Reporter z londyńskiej popołudniówki wyskoczył z pytaniem bliskim sercu swojego szefa:

- Panie Smith, zdaje się, że lubi pan dziewczęta. Czy całował pan kiedyś którąś z nich?

- Tak.

- Podobało się to panu?

- Tak.

- Jak bardzo?

Mike nawet się nie zawahał.

- Całowanie dziewczyny to bardzo dobra rzecz - wyjaśnił. - Gra w karty nawet się do tego nie umywa.

Głośny wybuch entuzjazmu przestraszył go, ale jednocześnie zdał sobie sprawę, że Jill i Dorcas wcale się nie boją, tylko starają się powstrzymać ten hałaśliwy wyraz zadowolenia, którego nie potrafił się nauczyć. Uspokoił się i czekał, co będzie dalej.

Oszczędzono mu kolejnych pytań, natomiast sprawiono

ogromną radość; ujrzał wchodzącą przez boczne drzwi znajomą postać.

- Mój brat doktor Mahmoud! - wykrzyknął z entuzjazmem Mike i dodał coś jeszcze po marsjańsku.

Semantyk z "Championa" uśmiechnął się, pomachał mu ręką, odpowiedział w tym samym języku i ruszył w jego stronę. Rozmawiali przez jakiś czas - Mike mówił płynnie i szybko, Mahmoud nieco wolniej, wydając z gardła dźwięki przypominające odgłosy dobiegające ze stalowej klatki, w której zamknięto szalonego nosorożca.

Dziennikarze wytrzymali to przez pewien czas. Ci, którzy mieli urządzenia rejestrujące dźwięk nagrali fragmenty rozmowy. Wreszcie jeden z nich wykrzyknął:

- Doktorze Mahmoud! O czym rozmawiacie?

- Jeżeli o mnie chodzi, to głównie prosiłem go, żeby zechciał mówić trochę wolniej - odparł Mahmoud z nienagannym oksfordzkim akcentem.

- A o czym mówił?

- Wyłącznie o sprawach osobistych, bez znaczenia dla postronnych osób. Prosił, żebym przekazał pozdrowienia naszym wspólnym znajomym.

Po czym natychmiast przeszedł z powrotem na marsjański.

W rzeczywistości Mike opowiadał swemu wodnemu bratu o wszystkim, co go spotkało od chwili, kiedy widzieli się po raz ostatni, żeby mogli bliżej się zgrokować. Niestety, jego relacja była filtrowana przez sito marsjańskich pojęć i koncepcji, w wyniku czego dotyczyła przede wszystkim nowych wodnych braci oraz wrażeń, jakie po sobie pozostawiali. Łagodna i spokojna Jill... Głęboka Anne... Dziwny i nie do końca zgrokowany fakt, że Jubal czasem zachowywał się jak jeden ze Starych, a czasem tak, jakby był ciągle jajkiem... Niemożliwy do zgrokowania ogrom oceanu...

Mahmoud miał mniej do opowiadania, jako że, przynajmniej według marsjańskich standardów, nie przeżył aż tak wiele. Jeden dionizyjski wybryk, z którego wcale nie był dumny, cały dzień spędzony w pozycji twarzą do ziemi w waszyngtońskim meczecie Sulejmana - na razie jeszcze nie zgrokował rezultatów swoich działań i nie chce na ten temat rozmawiać. Żadnych wodnych braci.

Przerwał w pół zdania Mike'owi i wyciągnął rękę do Jubala.

- Pan jest zapewne doktor Harshaw. Valentine Michael uważa, że już nas sobie przedstawił - i zrobił to, jeśli przyjmujemy jego punkt widzenia.

Ściskając dłoń Mahmouda Harshaw przyjrzał mu się dokładnie. Semantyk wyglądał jak strzelająco-polująco-wysportowany Brytyjczyk, poczynając od dyskretnie kosztownego tweedowego ubrania, na krótko przyciętym szpakowatym wąsiku kończąc. Jednak jego cera była śniada, a geny, które przyczyniły się do takiego właśnie ukształtowania nosa, musiały pochodzić z Lewantu. Jubal nie lubił imitacji i wolałby kawałek suchego chleba od nawet najsmakowitszej syntetycznej szynki.

Jednak Mike traktował Mahmouda jak przyjaciela, więc Jubalowi nie pozostało nic innego, jak czynić to samo - przynajmniej do chwili, kiedy okaże się, że jest inaczej. Dla Mahmouda Harshaw wyglądał jak muzealny eksponat przedstawiający jednego z tych, których w myślach zawsze nazywał Jankesami - wulgarny, ubrany w strój nie pasujący do okazji, hałaśliwy, prawdopodobnie głupi, a już na pewno hołdujący prowincjonalnym zwyczajom. W dodatku był także specjalistą, co tylko pogarszało sprawę, gdyż z doświadczeń Mahmouda wynikało jednoznacznie, że wszyscy amerykańscy specjaliści mieli marne wykształcenie i ograniczone horyzonty, będąc w gruncie rzeczy zaledwie technikami. W ogóle żywił głęboką niechęć wobec wszystkiego, co amerykańskie. Ta ich niewiarygodna politeistyczna Wieża Babel religii, ich kuchnia (kuchnia!), maniery, beznadziejna architektura i upadająca sztuka, a przede wszystkim ślepe, aroganckie przekonanie o własnej wyższości, z której w rzeczywistości już prawie nic nie zostało. Poza tym kobiety. Pozbawione skromności, apodyktyczne kobiety o szczupłych, wygłodzonych ciałach, mimo to kojarzące się niepokojąco z hurysami. Cztery z nich tłoczyły się właśnie wokół Valentine'a Michaela, a przecież w tym spotkaniu powinni brać udział sami mężczyźni...

Ale Valentine Michael uznał tych ludzi - nawet te wszędobylskie kobiety - za swoich wodnych braci, nakładając w ten sposób na Mahmouda zobowiązania znacznie bardziej wiążące od tych, jakie łączyły go z pozostałymi synami jego własnego ojca; dzięki obserwacjom poczynionym na Marsie wiedział dokładnie, czym jest ten wzajemny stosunek i nie musiał korzystać z nieadekwatnych tłumaczeń w rodzaju "relacja łączności" ani bardziej opisowych jak "dwie rzeczy równe trzeciej są także równe sobie". Widział Marsjan w ich domach, poznał ich ubóstwo (według ziemskich standardów), zanurzył się w ich kulturalnym bogactwie (podejrzewając, że

jest go znacznie więcej niż on byłby kiedykolwiek w stanie pojąć) i zgrokował nadzwyczajną wagę, jaką Marsjanie przykładali do stosunków międzyosobniczych.

Nie było się nad czym zastanawiać: podzielił się wodą z Valentine'em Michael'em i teraz musi udowodnić, że istotnie zasługuje na jego zaufanie. Pozostawało mu tylko mieć nadzieję, że ci Jankesi nie okażą się kompletnymi matołami.

Uśmiechnął się ciepło.

- Valentine Michael wyjaśnił mi z dumą, że wszyscy jesteście jego... - Zakończył jakimś marsjańskim słowem.

- Że co, proszę?

- Wodnymi braćmi. Rozumie pan?

- Głokuję.

Mahmoud mocno w to wątpił, ale nie dał niczego po sobie poznać.

- Ponieważ mnie łączy z nim ten sam związek, muszę pana prosić, aby zechciał uważać mnie pan za członka rodziny. Wiem, jak pan się nazywa, doktorze, i domyślam się, że to zapewne jest pan Caxton - widziałem pańskie zdjęcie w gazecie, panie Caxton - ale nie jestem pewien, czy rozpoznam młode damy. Spróbujmy: to będzie chyba Anne.

- Zgadza się, ale w tej chwili jest Świadkiem.

- Oczywiście. Później złożę jej wyrazy szacunku.

Harshaw przedstawił go pozostałym dziewczętom. Jill wprawiła Mahmouda w spore zdumienie, zwracając się do niego po marsjańsku tak, jak należy zwracać się do wodnych braci; co prawda, powiedziała to głosem o trzy oktawy wyższym od tego, jaki zdołałby z siebie wydobyć przeciętny Marsjanin, ale z nienagannym akcentem zdającym się świadczyć o potwornym bólu gardła. Było to jedno z kilku słów, jakie nauczyła się wymawiać spośród kilkuset, które zaczynała rozumieć. Opanowała je jako pierwsze, ponieważ słyszała je i używała go kilkanaście razy dziennie.

Oczy doktora Mahmouda rozszerzyły się lekko; może jednak ci ludzie nie są zwykłymi nieobrzeszanymi barbarzyńcami... Tak, jego młody przyjaciel z pewnością ma dobre wyczucie. Natychmiast zrewanżował się dziewczynie równie grzecznym zwrotem i pocałował ją w rękę.

Jill zauważyła, że Mike jest wręcz zachwycony. Zdołała wycharczeć najkrótszą z dziewięciu formułek grzecznościowych, którymi należy odpowiedzieć na pozdrowienie wodnego brata, choć nie grokowała jej, a nawet gdyby ją rozumiała, to z pewnością nie odważyłaby się

wypowiedzieć jej po angielsku - szczególnie do mężczyzny, którego dopiero co poznała!

Mahmoud zrozumiał odpowiedź, lecz nie w sposób dosłowny (i niemożliwy do zrealizowania), tylko symboliczny, i nie zwlekając wypowiedział właściwą formułę. Jill wkroczyła już na zupełnie obcy teren. Nic nie rozumiała i nie wiedziała, co powinna odpowiedzieć.

Nagle doznała olśnienia. Na stole w równych odstępach stały karafki z wodą, otoczone wianuszkami szklanek. Wzięła jedną ze szklanek i napełniła ją wodą, po czym spojrzała Mahmoudowi prosto w oczy i powiedziała poważnie:

- Oto woda. Nasze gniazdo jest twoim gniazdem.

Przytknęła szklankę do ust, a następnie podała ją Mahmoudowi.

Odrzekł coś po marsjańsku, zorientował się, że dziewczyna nic nie rozumie, i przetłumaczył:

- Ten, kto daje wodę, daje wszystko.

Pociągnąwszy niewielki łyk wykonał ruch, jakby chciał oddać jej szklankę, ale w ostatniej chwili zmienił zamiar i wręczył ją Harshawowi.

- Nie znam marsjańskiego, synu, ale dzięki za wodę - powiedział Jubal. - Obyś nigdy nie był spragniony. - Opróżnił jedną trzecią naczynia. - Ach!

Podał je Benowi.

Caxton spojrzał na Mahmouda.

- Zbliżajmy się do siebie. Woda życia sprawi, że staniemy się sobie bliżsi.

Upiwszy nieco wody przekazał szklankę Dorcas.

Pomimo tego, co powiedziano do tej pory, Dorcas zawahała się.

- Doktorze Mahmoud, czy pan wie, jakie to ważne dla Mike'a?

- Wiem, panienko.

- Otóż... Dla nas to jest równie ważne. Rozumie pan? Czy pan... grokuje?

- Grotuję całkowicie. Gdyby było inaczej, nie piłbym tej wody.

- W porządku. Obyś zawsze pił do syta. Niech nasze jajka dzielą to samo gniazdo.

Po jej policzkach popłynęły łzy; zamoczyła usta w wodzie i szybko podała szklankę Miriam.

- Weź się w garść, dziecino - szepnęła Miriam, po czym zwróciła się do Mike'a. - Witamy wodą naszego brata... - A

do Mahmouda: - Gniazdo, woda, życie. - Napiała się. - Nasz brat.

Wręczyła mu szklanę.

Mahmound opróżnił ją do końca i powiedział po arabsku:

- A jeśli połączysz swoje sprawy z ich sprawami, to są oni twoimi braćmi.

- Amen - zgodził się Jubal.

Mahmoud zerknął na niego, ale powstrzymał cisnące mu się na usta pytanie, czy Harshaw zrozumiał sentencję. Nie był po temu czas ani miejsce. Mimo to poczuł w duszy znajome ciepło, towarzyszące zawsze rytuałowi dzielenia się wodą, choć tym razem pachniało mu to wyraźnie herezją.

Rozmyślenia przerwał mu zastępca szefa protokołu, który podszedł do niego szybkim krokiem.

- Doktorze Mahmoud, pan ma miejsce przy drugim końcu stołu. Proszę za mną.

Mahmoud uśmiechnął się.

- Nie. Moje miejsce jest tutaj. Dorcas, czy mogę wziąć sobie krzesło i usiąść między tobą i Michael'em?

- Oczywiście, doktorze. Zaraz się posunę.

Niewiele brakowało, żeby zastępca szefa protokołu zaczął tupać nogą.

- Doktorze Mahmoud, proszę! Według grafiku ma pan siedzieć zupełnie gdzie indziej! Lada chwila przyjdzie sekretarz generalny, a tu ciągle pełno dziennikarzy i Bóg jeden wie, kogo jeszcze... Nie mam pojęcia, co robić!

- Skoro tak, to rób to gdzieś indziej, bubku - zaproponował Jubal.

- Co takiego? Kim pan jest? Jest pan na liście? - Z niepokojem zaczął przeglądać grafik.

- A kim p a n jest? - zaatakował Jubal. - Głównym kelnerem? Nazywam się Jubal Harshaw. Jeżeli mojego nazwiska nie ma na tej liście, to może ją pan podrzeć. Posłuchaj, bubku, skoro Człowiek z Marsa życzy sobie, żeby doktor Mahmoud siedział przy nim, to załatwia sprawę.

- Ale on n i e m o ż e tutaj siedzieć! Miejsca przy tym stole są zarezerwowane dla ministrów, przewodniczących delegacji, sędziów Sądu Najwyższego i innych osób o podobnej randze... Nie wiem, gdzie ich wcisnę, jeśli przyjdzie jeszcze kilku... I dla Człowieka z Marsa, ma się rozumieć.

- Ma się rozumieć - potwierdził Jubal.

- Doktor Mahmoud musi być blisko sekretarza generalnego, żeby służyć jako tłumacz, gdy zajdzie potrzeba. Muszę z



przykrością stwierdzić, że nie ułatwiacie nam panowie zadania...

- Zaraz je panu ułatwię - odparł Jubal, wyjmując listę z dłoni mężczyzny. - Niech no rzucę okiem... Dobra: Człowiek z Marsa będzie siedział naprzeciwko sekretarza generalnego, czyli tu, gdzie siedzi. - Jubal wziął do ręki długopis. - Ta połowa, stąd dotąd, należy do Człowieka z Marsa. - Zaznaczył obszar grubą kreską, po czym zaczął skreślać nazwiska wypisane przy poszczególnych miejscach. - W ten sposób zdjąłem panu z głowy połowę kłopotu, bo to ja zdecyduję, kto będzie siedział po naszej stronie stołu.

Zastępca szefa protokołu aż zaniemówił z wrażenia. Co prawda, poruszał ustami, lecz nie był w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Jubal przyjrzał mu się z umiarkowanym zainteresowaniem.

- Coś się stało? Ach, zapomniałem, że to ma wyglądać urzędowo. - Nabazgrał pośpiesznie na grafiku: "J. Harshaw, w imieniu V. M. Smitha". - Teraz popędź do swojego sierżanta, synu, i pokaż mu to. Powiedz, żeby przeczytał z podręcznika protokołu rozdział o wizytach przywódców zaprzyjaźnionych planet.

Mężczyzna otworzył usta i odszedł, zapomniawszy je zamknąć. Niebawem wrócił, ale nie sam, tylko ze znacznie starszym od siebie człowiekiem.

- Doktorze Harshaw, jestem LaRue, szef protokołu - powiedział nowo przybyły rzeczowym tonem. - Czy naprawdę potrzebuje pan połowy głównego stołu? Wydawało mi się, że wasza delegacja nie jest zbyt liczna.

- To nie ma żadnego znaczenia.

LaRue uśmiechnął się sucho.

- Obawiam się, że to jednak ma znaczenie. Potwornie brakuje mi miejsca. Niemal wszyscy znaczący dostojnicy postanowili być obecni na konferencji. Jeżeli spodziewa się pan jeszcze kogoś - choć wolałbym, żeby powiadomił mnie pan o tym wcześniej - każę ustawić dodatkowy stół za miejscami zarezerwowanymi dla pana i pana Smitha.

- Nie.

- Obawiam się, że jednak tak musi być. Bardzo mi przykro.

- Mnie także. Jeżeli okaże się, że rzeczywiście nie zarezerwował pan dla Człowieka z Marsa połowy miejsc przy głównym stole, natychmiast opuścimy salę. Będzie pan mógł powiedzieć sekretarzowi generalnemu, że osobiście doprowadził pan do zerwania rozmów.

- Chyba nie mówi pan serio?
- Czyżbym wyrażał się niejasno?
- Tak... To znaczy... Myślałem, że to żart.

- Ja nie mogę sobie pozwolić na żarty, synu. Smith albo jest szefem sąsiedniej planety składającym oficjalną wizytę szefowi tej planety, a co za tym idzie ma prawo przyprowadzić ze sobą taką świtę, na jaką tylko będzie miał ochotę, albo jest zwykłym turystą i jego pobyt nie powinien wywoływać żadnych oficjalnych reperkusji. Trzeba się na coś zdecydować. Niech pan rozejrzy się dookoła, policzy wszystkich znaczących dostojników, jak pan ich nazywa i niech pan się zastanowi, czy znaleźliby się tutaj, gdyby uważali Smitha za turystę.

- To wydarzenie bez precedensu... - odparł powoli LaRue.

Jubał parsknął z wściekłością.

- Widziałem, jak na salę wchodził przewodniczący delegacji Republiki Luny - niech pan j e m u powie, że to wydarzenie bez precedensu! Tylko radzę zaraz potem szybko uciekać; słyszałem, że jest diabelnie impulsywny. Synu, jestem starym człowiekiem, źle spałem w nocy i nie mam zamiaru uczyć cię, jak masz wykonywać swoją robotę. Przekaż panu Douglasowi, że wpadniemy do niego kiedy indziej... jak tylko będzie gotów odpowiednio nas przyjąć. Chodźmy, Mike.

Jubał zrobił taki ruch, jakby chciał dźwignąć się z wysiłkiem z fotela.

- Bardzo proszę, doktorze Harshaw! - wykrzyknął pośpiesznie LaRue. - Opróżnimy tę część stołu. Ja... coś wymyślę. Może pan rozporządzać tymi miejscami.

- To już lepiej. - Harshaw nie zmienił pozycji. - A gdzie flaga Marsa? I co będzie z hymnem?

- Obawiam się, że nie rozumiem...

- Chyba od czasu, kiedy mieszkam w odosobnieniu, musiał zmienić się język. Widzi pan flagę Federacji przy miejscu sekretarza generalnego? Nigdzie nie widzę flagi Marsa.

LaRue zamrugał raptownie powiekami.

- Przyznam, że udało się panu mnie zaskoczyć. Nie wiedziałem, że Marsjanie używają flag.

- Bo nie używają. Ale na pewno nie potrafiłby pan sobie wyobrazić, c z e g o używają podczas uroczystych okazji! - (Ani ja, chłopcze, ale to akurat nie ma żadnego znaczenia.) - Dlatego pójdziemy wam na rękę i ułatwimy zadanie. Miriam, podaj mi kartkę papieru... O, to będzie coś takiego. - Harshaw narysował prostokąt i wpisał w niego tradycyjny symbol oznaczający Marsa - okrąg ze strzałką skierowaną w prawo i do

góry. - Tło ma być białe, a znak czerwony. Oczywiście, flaga powinna być jedwabna, ale każdy harcerz mając do dyspozycji kawałek płótna i trochę farby poradziłby sobie z zadaniem. Był pan harcerzem?

- Eee... Jakiś czas temu.

- To dobrze. Zna pan więc hasło. A teraz, co do hymnu...

Kiedy wejdzie sekretarz generalny, zagrać "Chwała wiecznemu pokojowi"?

- Oczywiście.

- W takim razie zaraz potem odegracie hymn Marsa.

- Przecież to niemożliwe! Nawet jeśli oni mają jakiś hymn, to my go nie znamy. Doktorze Harshaw, niechże pan będzie rozsądny!

- Synu, ja właśnie j e s t e m rozsądny. Przybyliśmy tutaj na małe, nieformalne spotkanie, a okazuje się, że zrobiliście z tego cyrk. Cóż, skoro chcecie mieć cyrk, to muszą też być słonie. Zdajemy sobie doskonale sprawę, że nie moglibyście zagrać marsjańskiej muzyki, tak samo jak chłopak z gwizdkiem nie potrafiłby zagrać symfonii, ale w y możecie zagrać symfonię - na przykład "Symfonię Dziewięciu Planet". Grokujesz? To znaczy, chwytasz? Puśćcie taśmę od momentu, w którym zaczyna się temat Marsa, przynajmniej tak długo, żeby wszyscy zdążyli to poznać.

LaRue zastanowił się przez chwilę.

- Tak, to chyba da się zrobić... Ale, doktorze Harshaw, naprawdę nie mogę panu obiecać, że uda nam się wszystko zorganizować nawet na tak ograniczoną skalę. Nie mam odpowiednich pełnomocnictw.

- Ani dość odwagi - uzupełnił Harshaw z kwaśną miną. - Cóż, nie my postanowiliśmy zrobić z tego przedstawienie cyrkowe, więc przekaz panu Douglasowi, że zajrzemy do niego, kiedy nie będzie tak bardzo zajęty. Miło było z tobą pogawędzić, synu. Jak przyjdziemy następnym razem, zajrzyj do gabinetu sekretarza generalnego i powiedz, co u ciebie słychać. O ile będziesz tu jeszcze pracował, ma się rozumieć.

Jubał ponownie nachylił się nieco do przodu, przygotowując do dużego i bolesnego wysiłku polegającego na dźwignięciu z fotela starego, zmęczonego ciała.

- Proszę nie odchodzić, doktorze Harshaw! - wybuchnął LaRue. - Sekretarz generalny przyjdzie dopiero wtedy, kiedy zawiadomię go, że jesteśmy gotowi. Proszę poczekać, dobrze? Zorientuję się, co da się zrobić.

Harshaw opadł z powrotem na fotel.

- Jak sobie życzysz. Aha, przypomniała mi się jeszcze jedna rzecz. Parę minut temu dotarły do mnie pogłoski, że na salę chcą wejść ludzie z "Championa". Wpuśćcie ich, bo to przyjaciele Smitha. Pomogą nam zapełnić naszą stronę stołu.

Westchnął ciężko i skrzywił się, dotykając delikatnie boku.

- Jak pan sobie życzy - odparł sztywno LaRue i odszedł.

- Szefie, naciągnąłeś sobie mięśnie grzbietu stojąc na rękach dwa dni temu? - zapytała szeptem Miriam.

- Zamilcz, dziewczyno, bo spuszczę ci lanie.

Jubal z satysfakcją rozejrzał się po sali, zapelniającej się coraz szybciej wysokimi dostojnikami. Powiedział Douglasowi, że zależy mu na małym, nieformalnym spotkaniu, zdając sobie doskonale sprawę, że przyciągnie ono wszystkich żadnych władzy tak samo, jak światło przyciąga ćmy. Miał teraz całkowitą pewność, że ci notable będą traktować Smitha jak udzielnego władcę i że świat to zobaczy. Niech potem ktoś spróbuje choćby tknąć go palcem!

Sanforth zaczął wypraszać z sali dziennikarzy, natomiast nieszczęsny szef protokołu trząsł się jak nerwowa piastunka, nie mogąc sobie poradzić z usadzaniem coraz to nowych gości. Jubal doszedł do wniosku, że sekretarz generalny nie pojawi się wcześniej jak o jedenastej i że wszyscy o tym wiedzieli; Człowiek z Marsa został zaproszony na wcześniejszą godzinę wyłącznie w celu odbycia krótkiego, prywatnego spotkania, z udziału w którym zrezygnował. Jeżeli chodziło o Jubala, to nie miał nic przeciwko opóźnieniu konferencji.

Pojawił się przywódca Wschodniej Koalicji. Pan Kung nie był, zresztą z własnej woli, szefem przedstawicielstwa swego państwa, tylko zaledwie jednym z członków delegacji, ale Harshaw wcale się nie zdziwił, kiedy zobaczył, jak zastępca szefa protokołu rzuca wszystko i prowadzi głównego przeciwnika politycznego Douglasa do miejsca usytuowanego bardzo blisko fotela sekretarza generalnego. Utwierdziło go to w przekonaniu, że Douglas nie jest głupcem.

Mike powitał radośnie doktora Nelsona, lekarza pokładowego z "Championa", i kapitana van Trompa, dowódcę statku. Jubal również się ucieszył, gdyż dzięki temu chłopak miał się czym zająć, zamiast siedzieć jak kukła pod okiem niezliczonych kamer. Harshaw skorzystał z zamieszania, żeby dokonać pewnych korekt w ustawieniu foteli. Posadził Mike'a dokładnie naprzeciwko miejsca przeznaczonego dla sekretarza generalnego,

sam zaś usiadł po jego lewej stronie, na tyle blisko, żeby mieć go w zasięgu ręki. Ponieważ Mike miał dość mgliste pojęcie o obowiązujących na Ziemi zwyczajach, Jubal opracował system znaków równie niedostrzegalnych dla postronnych obserwatorów jak te, które stosuje się przy tresurze koni - "wstań", "usiądź", "ukłoń się", "podaj rękę" - z tą tylko różnicą, że Mike nie był koniem i opanował je wszystkie w ciągu zaledwie pięciu minut.

Mahmoud przerwał rozmowę z towarzyszami podróży i zwrócił się do Jubala:

- Doktorze, kapitan i medyk też są wodnymi braćmi naszego brata. Mike chciał, żebyśmy powtórzyli ten sam rytuał, co poprzednio, ale powiedziałem mu, żeby z tym zaczekał. Pan też tak uważa?

- Oczywiście. Nie będziemy tego robić w tym tłumie. - Do licha, ilu jeszcze wodnych braci ma ten chłopak? - Może zabierzecie się z nami, jak już będzie po wszystkim? Przekąsimy coś i porozmawiamy spokojnie.

- Będę zaszczycony. Jestem pewien, że tamci dwaj także przyjmą zaproszenie.

- To dobrze. Doktorze Mahmoud, czy wie pan o jeszcze jakichś wodnych braciach naszego młodego brata, którzy mogliby się tutaj pojawić?

- Nie. Na "Championie" nie pił wody z nikim oprócz nas. - Mahmoud powstrzymał się od zadania nasuwającego się w sposób oczywisty pytania, gdyż zdradziłby w ten sposób, jak bardzo był zaskoczony, kiedy okazało się, że za pośrednictwem Człowieka z Marsa jest blisko związany z zupełnie obcymi ludźmi. - Zawiadomię Svena i kapitana.

Harshaw ujrzał nuncjusza papieskiego zajmującego miejsce przy stole i uśmiechnął się w duchu; jeżeli ten długouchy kretyn LaRue miał jakieś wątpliwości co do oficjalnej natury spotkania, to byłoby dobrze, żeby o nich jak najprędzej zapomniał!

Ktoś dotknął jego ramienia.

- Czy tu gdzieś kręci się Człowiek z Marsa?

- Owszem.

- Jestem Tom Boone... Senator Boone, dokładnie rzecz biorąc... Mam dla niego wiadomość od biskupa Digby'ego.

Jubal ustawił swój mózg na najwyższe obroty.

- Nazywam się Jubal Harshaw, senatorze. - Dał Mike'owi znak, żeby wstał i podał rękę. - A to jest pan Michael Smith. Mike, poznaj senatora Boone'a.

- Bardzo mi miło, panie senatorze - powiedział Smith tak, jakby uczył się w najlepszych szkołach dobrego wychowania i przyjrzał się z zainteresowaniem Boone'owi. Wyjaśniono mu już, że wbrew temu, co mogłoby się zdawać, senator wcale nie oznacza tego samego, co Stary. Choć tego nie grokował, ucieszył się, że może zobaczyć na własne oczy prawdziwego senatora.

- Mnie również. Nie zabiorę panu dużo czasu; zdaje się, że zaraz zaczną imprezę. Panie Smith, biskup Digby zaprasza pana za moim pośrednictwem do wzięcia udziału w nabożeństwie. W Sanktuarium Nowego Objawienia archanioła Fostera.

- Proszę?

- Jak pan zapewne wie, senatorze, wiele spraw, a właściwie niemal wszystkie, jest zupełnie nowych dla Człowieka z Marsa - wtrącił się pośpiesznie Jubal. - Tak się jednak składa, że pan Smith oglądał jedno z waszych nabożeństw w stereowizji...

- To nie to samo.

- Wiem. Wyraził ogromne zainteresowanie i zadał mi wiele pytań, w tym także takie, na które nie potrafiłem udzielić mu odpowiedzi.

Boone przyjrzał mu się uważnie.

- Nie jest pan jednym z wiernych?

- Muszę przyznać, że nie.

- Więc niech pan też przyjdzie. Zawsze przyda się jeden grzesznik więcej.

- Z przyjemnością. - (Możesz być pewien, że przyjdę, przyjacielu! Nie puszczę Mike'a samego do waszej pułapki.)

- Więc w najbliższą niedzielę. Powiem biskupowi Digby'emu.

- W najbliższą niedzielę, jeśli nic nam nie stanie na przeszkodzie - poprawił go Harshaw. - Kto wie, czy wcześniej nie wylądujemy w więzieniu.

Boone wyszczerzył zęby.

- To zawsze może się zdarzyć, nie? W razie czego zawiadomcie mnie albo biskupa. Nie posiedzicie tam długo. - Rozejrzał się po sali. - Zdaje się, że zabrakło foteli. Zwykły senator nie ma żadnych szans przy tych szychach.

- Może zechciałby pan zrobić nam ten zaszczyt i usiąść z nami? - zaproponował gładko Jubal.

- Co? Jasne, piękne dzięki! Przynajmniej będę miał dobre miejsce.

- Oczywiście, jeżeli nie obawia się pan konsekwencji, jakie mogą wyniknąć z tego, że będzie pan widziany po stronie delegacji z Marsa. Nie chcielibyśmy postawić pana w kłopotliwej

sytuacji.

Wahanie Boone'a trwało najwyżej ułamek sekundy.

- A gdzie tam! Szczerze mówiąc, tak tylko między nami, to biskup c h o l e r n i e chce poznać tego młodego człowieka.

- Znakomicie. Widzę wolny fotel obok kapitana van Trompa. Chyba pan go zna?

- Van Tromp? Jasne, jesteśmy starymi kumplami. Spotkałem go przy wejściu.

Senator skinął głową Smithowi, potoczył się wokół stołu i zasiadł w fotelu.

Strumień przybywających gości wyraźnie zmaleł. Jubal obserwował sprzeczki wynikające z powodu braku wystarczającej liczby miejsc i im dłużej na nie patrzył, tym bardziej zaczynał się irytować. Wreszcie, nie mogąc już wytrzymać, zwrócił się do Mike'a, aby upewnić się, że ten wie, co ma robić, nawet jeśli tego nie rozumie.

- Wiem, Jubal.

- To dobrze, synu.

Harshaw podniósł się z miejsca i podszedł do małej grupki składającej się z trzech mężczyzn: zastępcy szefa protokołu, przewodniczącego delegacji Urugwaju i jakiegoś człowieka sprawiającego wrażenie zarazem wściekłego i zdumionego.

- ...go pan posadzi, to będzie pan musiał znaleźć miejsca dla wszystkich szefów państw, a jest ich tu co najmniej osiemdziesięciu - mówił Urugwajczyk. - To teren Federacji i wszyscy mają takie same prawa. Jeżeli uczyni pan jakiś wyjątek...

Jubal przerwał mu, zwracając się do trzeciego mężczyzny:

- Proszę pana... - Zaczekał, aż ściągnie na siebie ich uwagę, po czym mówił dalej: - Człowiek z Marsa polecił mi, abym zapytał, czy nie zechciałby pan sprawić mu ogromnego zaszczytu i usiąść z nim przy stole obrad. Ma się rozumieć, jeśli nie musi pan być w tym czasie obecny gdzie indziej.

Mężczyzna przez chwilę sprawiał wrażenie nieco zaskoczonego, ale zaraz potem uśmiechnął się szeroko.

- Owszem, będzie mi bardzo miło.

Dygnitarz i urzędnik zaczęli protestować, ale Jubal odwrócił się do nich plecami.

- Pośpieszmy się. Mamy niewiele czasu.

Zobaczył, jak do sali wchodzą ludzie niosący coś, co przypominało podstawkę pod choinkę z wetkniętym w nią kijem zakończonym zakrwawionym prześcieradłem, a co bez wątpienia miało być flagą Marsa.

Mike wstał, kiedy dostrzegł Harshawa zbliżającego się z nieznanym mężczyzną.

- Pozwoli pan, że przedstawię mu Valentine'a Michaela Smitha. Michael, oto prezydent Stanów Zjednoczonych.

Mike uklonił się bardzo nisko.

Ledwie Jubal zdążył posadzić prezydenta po prawej stronie Mike'a, przygotowana pośpiesznie flaga stanęła przed nimi na stole, rozległy się dźwięki muzyki, wszyscy podnieśli się z miejsc, a donośny głos obwieścił:

- Sekretarz generalny!

## Rozdział XX

Jubal zastanawiał się, czy nie kazać Mike'owi zostać w fotelu, ale zrezygnował z tego pomysłu; nie miał zamiaru sprawiać wrażenia, że Mike jest kimś lepszym od Douglasa, tylko podkreślić fakt, że w spotkaniu biorą udział całkowicie równoprawni partnerzy. Dlatego podnosząc się z miejsca dał Smithowi

znak, żeby ten uczynił to samo. Przy dźwiękach "Chwały wiecznemu pokojowi" otworzyły się wielkie drzwi z tyłu sali i wkroczył przez nie sekretarz generalny Douglas. Podszedłszy do swego fotela pochylił się, by usiąść.

W tej samej chwili Jubal dał znak Mike'owi, żeby również usiadł, w wyniku czego Człowiek z Marsa i sekretarz generalny zajęli miejsca niemal równocześnie, o sekundę lub dwie przed pozostałymi.

Jubal wstrzymał oddech. Czy LaRue dotrzymał słowa? Właściwie niczego nie obiecał, ale...

Salę wypełniły donośne dźwięki tematu Marsa z "Symfonii Dziewięciu Planet", zdolne poruszyć nawet tych, którzy spodziewali się je usłyszeć. Harshaw utkwili spojrzenie w oczach Douglasa i poderwał się na baczność jak rekrut podczas ćwiczeń.

Sekretarz generalny również wstał, na pewno nie tak szybko, ale i bez ociągania.

Mike tego nie zrobił, gdyż Harshaw nie dał mu żadnego sygnału. Siedział spokojnie, w najmniejszym stopniu nie skrzępowany faktem, że wszyscy podnieśli się z miejsc, idąc w ślady Douglasa. Nie rozumiał nic z tego, co się działo i był całkowicie usatysfakcjonowany mogąc robić to, czego sobie życzył jego wodny brat.



Jubal zastanawiał się nad sposobem postępowania już od chwili, kiedy zażądał odegrania "marsjańskiego hymnu". Jeżeli jego życzenie zostanie spełnione, w jaki sposób powinien się zachować Człowiek z Marsa? Odpowiedź na to pytanie zależała od tego, jaką rolę wyznaczono Mike'owi do odegrania w całej tej komedii...

Muzyka ucichła. Na znak dany przez Jubalą Mike wstał, uklonił się i usiadł z powrotem mniej więcej w tej samej chwili, kiedy uczynili to wszyscy zebrani. Z pewnością nie umknął niczyjej uwagi fakt, że podczas "hymnu" Człowiek z Marsa pozostał na swoim miejscu.

Jubal odetchnął z ulgą. Udało się. Przed wielu laty widział przedstawiciela ginącego rodu panującego (dokładnie rzecz biorąc była to królowa) przyjmującego wojskową paradę. Zwrócił wówczas uwagę, że koronowana głowa skłoniła się p o hymnie, tym samym przyjmując złożone jej w ten sposób wyrazy szacunku.

Z drugiej strony przywódca demokratycznego państwa stoi podczas hymnu jak każdy obywatel, bo przecież nie jest koronowanym władcą.

Na coś jednak trzeba było się zdecydować. Albo Mike był zwykłym obywatelem i cała ta maskarada nie powinna się w ogóle odbyć, albo - na podstawie precedensu Larkina - dzieciak był udzielnym władcą całej planety.

Jubal nie mógł się powstrzymać, żeby choć w ten sposób utrzyć nosa szefowi protokołu. Cóż, przynajmniej jedna osoba zorientowała się, o co idzie gra: nuncjusz papieski zachował kamienną twarz, ale jego oczy błyszczały rozbawieniem.

Jako pierwszy zabrał głos sekretarz generalny Douglas.

- Panie Smith, to dla nas wielka radość i zaszczyt móc pana gościć na naszej planecie. Mamy nadzieję, że uzna pan Ziemię za swój dom w takim samym stopniu jak planetę, na której się pan urodził, naszego sąsiada, n a j b l i ż s z e g o sąsiada, Marsa. - Mówił dalej zaokrąglonymi, przyjemnie brzmiącymi zdaniami, witając serdecznie Mike'a; jednak nie sposób było wywnioskować, czy uważa go za przywódcę samodzielnego państwa, turystę, czy też obywatela Federacji wracającego do domu po długiej nieobecności.

Jubal obserwował uważnie Douglasa szukając jakiegoś znaku świadczącego o tym, że sekretarz generalny otrzymał jego list. Ale Douglas ani razu nie spojrział w jego stronę. Wreszcie zakończył przemówienie, nie powiedziawszy dokładnie nic, lecz uczyniwszy to w bardzo ładny sposób.

- Teraz, Mike! - szepnął Harshaw.

Smith zwrócił się do sekretarza generalnego po marsjańsku. Jednak bardzo szybko przeszedł na angielski.

- Panie sekretarzu generalny Federacji Wolnych Narodów planety Ziemia... - Dalsza część zdania była po marsjańsku, a potem znowu zabrzmiał angielski. - Dziękujemy panu za serdeczne przyjęcie. Przywozimy wszystkim ludziom pozdrowienia od Prastarych Marsa... - Ponownie przerzucił się na marsjański.

Jubal uważał, że słowo "Prastarzy" brzmi znacznie lepiej, niż "Starzy", a Mike nie miał nic przeciwko tej zmianie. Pomysł mieszania języków wyszedł od Jill, a Jubal musiał z przyjemnością przyznać, że ta drobna sztuczka dodała sporo powagi formalnemu wystąpieniu, zamieniając je z pozbawionej jakiegokolwiek znaczenia mowy wyborczej w coś zbliżonego do opery Wagnera (i równie trudnego do zrozumienia).

Mike nie przywiązywał do tego żadnej wagi. Angielskim posługiwał się już niemal równie swobodnie co marsjańskim, a jeżeli mógł sprawić swoim wodnym braciom przyjemność mówiąc akurat to, a nie co innego, to on, Mike, był z tego powodu bardzo szczęśliwy.

Ktoś dotknął ramienia Jubala, wcisnął mu do ręki kopertę i szepnął:

- Od sekretarza generalnego.

Harshaw podniósł wzrok i zobaczył Bradleya, oddalającego się pośpiesznie od stołu. Otworzył kopertę i zajrzał do środka.

Znajdowała się tam kartka ze słowem "Tak" i podpisem "J. E. D.", wykonanym słynnym zielonym atramentem.

Jubal przeniósł wzrok na Douglasa, spojrzał mu prosto w oczy i skinął głową; Douglas odwrócił głowę. Konferencja właściwie dobiegła końca; jedyne, co pozostało, to obwieścić o tym całemu światu.

Mike zakończył dostojne, pozbawione wszelkiej treści wystąpienie. Jubal usłyszał swoje własne słowa:

- ...zbliżenie, które przyniesie korzyści obu planetom...

Każda rasa, zgodnie ze swoją naturą...

Douglas krótko, lecz serdecznie podziękował Człowiekowi z Marsa.

Jubal wstał z miejsca.

- Panie sekretarzu generalny...

- Tak, doktorze Harshaw?

- Pan Smith znajduje się tutaj w podwójnej roli. Tak jak podróżujący książkę, jakich wielu w historii naszej wspaniałej

rasy, przemierzający konno lub pod żaglami niezmierzone przestrzenie po to, by dotrzeć do odległego królestwa, przywozi nam serdeczne słowa od Prastarych Władców Marsa. Zarazem jest także ludzką istotą, obywatelem Federacji i Stanów Zjednoczonych Ameryki, a co za tym idzie, posiada prawa, dobytek i zobowiązania. - Jubal potrząsnął głową. - I to niemałe. Jako jego adwokat łamię sobie już od jakiegoś czasu głowę nad tymi sprawami, a mimo to nawet nie zdołałem jeszcze sporządzić pełnego spisu jego majątku, nie wspominając o tym, że nie mam najmniejszego pojęcia, co powiedzieć poborcom podatkowym. - Przerwał dla nabrania oddechu. - Jestem starym człowiekiem i mogę nie dożyć chwili ukończenia tego dzieła. Wszyscy wiecie, że mój klient nie ma żadnego doświadczenia w interesach, w ziemskim znaczeniu tego słowa ma się rozumieć, bo Marsjanie załatwiają te sprawy w całkowicie odmienny sposób. Jest jednak młody, dysponuje ogromną inteligencją - cały świat wie, że jego rodzice byli geniuszami - i nie mam najmniejszych wątpliwości co do tego, że za kilka lat, gdyby tylko chciał, dałby sobie znakomicie radę bez pomocy takiego starego, zbankrutowanego adwokata jak ja. Niestety, te sprawy muszą zostać załatwione t e r a z. Interesy nie mogą czekać.

Jednak Człowiek z Marsa ma znacznie większą ochotę poświęcić się studiom nad historią, sztuką i zwyczajami ludzi zamieszkujących jego drugą ojczyznę, niż zagłębiać się w zawłości operacji giełdowych, inwestycji i dywidend. Wydaje mi się, że czyni bardzo słusznie. Pan Smith posiadał bezpretensjonalną mądrość, która wciąż zdumiewa zarówno mnie, jak i

wszystkich, którzy się z nim stykają. Kiedy wyjaśniłem mu, na czym polega problem, spojrział na mnie swymi szczerymi oczami i powiedział: "Nie ma żadnego problemu, Jubal. Poprosimy o pomoc pana Douglasa." - Jubal umilkł na chwilę, po czym dokończył ostrożnie: - Reszta to sprawy osobiste, panie sekretarzu generalny. Czy moglibyśmy porozmawiać prywatnie i pozwolić państwu iść do domu?

- Proszę kontynuować, doktorze Harshaw - odparł Douglas. - Oficjalna część spotkania dobiegła końca - uzupełnił. - Nie obowiązuje już protokół dyplomatyczny. Każdy, kto chce wyjść, może to zrobić.

Nikt się nie poruszył.

- W porządku - powiedział Harshaw. - Myślę, że uda mi się zawrzeć to w jednym zdaniu. Pan Smith pragnąłby uczynić pana swoim pełnomocnikiem dysponującym wszelkimi uprawnieniami

niezbędnymi do prowadzenia jego interesów.

Douglas dość zręcznie udał zaskoczenie.

- To dość poważna prośba, doktorze.

- Wiem o tym. Zwróciłem mu natychmiast uwagę, że jest pan najbardziej zapracowanym człowiekiem na Ziemi i po prostu nie ma czasu zajmować się jego sprawami, ale... - Jubal potrząsnął z uśmiechem głową. - Obawiam się, że nie wywarło to na nim większego wrażenia. Zdaje się, że na Marsie wygląda to w ten sposób, że im kto bardziej zajęty, tym więcej się od niego wymaga. "Poprosimy go" - powiedział po prostu. A więc proszę pana. Oczywiście nie oczekujemy natychmiastowej odpowiedzi; to także cecha Marsjan. Oni nigdy się nie śpieszą ani nie starają się komplikować spraw. Żadnego kontraktu, żadnego wcześniejszego sprawdzania ksiąg - po prostu zwykle pisemne pełnomocnictwo, naturalnie jeśli wyrazi pan zgodę. Jemu, rzecz jasna, nie sprawia to żadnej różnicy. Gdyby zaszła taka potrzeba, mógłby udzielić panu tego pełnomocnictwa natychmiast, ustnie i bez żadnych oporów. To kolejna charakterystyczna cecha Marsjan: jeżeli Marsjanin komuś ufa, to do końca i bez żadnych ograniczeń. Aha, zapomniałbym dodać, że pan Smith nie zwraca się z tą prośbą do sekretarza generalnego, tylko do Josepha Edgertona Douglasa. Nawet gdyby wycofał się pan z życia publicznego, umowa zachowuje ważność, bez względu na to, kto zostanie pańskim następcą. Człowiek z Marsa ufa panu osobiście, a nie komuś, kto bardziej lub mniej przypadkowo trafi do Gabinetu Ośmiokątneho w tym Pałacu.

Douglas skinął głową.

- Niezależnie od odpowiedzi, jakiej udzielię, jestem bardzo zaszczycony... i wdzięczny.

- Gdyby nie zechciał pan wyrazić zgody, nie mógł jej udzielić lub podjął się zadania, a później postanowił się wycofać, pan Smith dokonał już drugiego wyboru - jest nim Ben Caxton. Wstań, Ben, niech cię wszyscy zobaczą. A gdyby także Ben nie chciał albo nie mógł, następnym kandydatem jest... Myślę, że na razie zachowam to w tajemnicy. Pozostaniemy przy tym, że Człowiek z Marsa podjął już decyzję. Tak, a teraz... - Jubal podrapał się z zakłopotaniem po głowie. - Odzwyczailem się już od mówienia z pamięci. Miriam, gdzie jest ta lista, na której wszystko spisaliśmy?

Wziął od niej kartkę.

- Może lepiej podaj mi też pozostałe.

Miriam podsunęła mu grubą stertę papierów.

- To memorandum przygotowane specjalnie dla pana

albo dla Caxtona, gdyby pan zrezygnował. Hmm, niech no zerknę... O, tutaj: pełnomocnik ma sobie wypłacić wynagrodzenie w dowolnej wysokości, nie niższe jednak niż... Nieważne. W każdym razie nie jest to mała suma, ale szczegóły nie powinny nikogo interesować. Pełnomocnik ma gromadzić uzyskiwane środki na rachunkach bieżących w celu pokrywania wydatków strony udzielającej mu pełnomocnictwa... Osobiście proponowałbym Bank Szanghajski, a Lloyda jako agenta - albo na odwrót, wedle uznania - żeby nie musiał pan wszędzie szargać swojego nazwiska. Pan Smith nie ma najmniejszego zamiaru udzielać jakichkolwiek ścisłych instrukcji; jedyne, co go interesuje, to pełnomocnictwo bez żadnych ograniczeń, z którego każda ze stron może się wycofać w dowolnie wybranym momencie. Nie będę teraz czytał tego wszystkiego. Po to zostało to napisane, żeby uniknąć tej konieczności. - Jubal rozejrzył się nieśpiesznie dokoła. - Miriam, bądź grzeczną dziewczynką i zanieś to panu sekretarzowi generalnemu. Nie, kopie zostaw. Mogą się jeszcze przydać. Jedną daj panu Caxtonowi; masz, Ben... I to by chyba było wszystko, panie sekretarzu. Czy chciałby pan nam coś powiedzieć?

- Jedną chwileczkę. Panie Smith...

- Tak, panie Douglas?

- Czy właśnie tego pan chce? Czy zgadza się pan ze wszystkim, co jest zapisane w tym dokumencie?

Jubal wstrzymał oddech, z trudem hamując się przed rzuceniem szybkiego spojrzenia na swego klienta. Przygotował Mike'a na takie pytanie, ale nie mógł przewidzieć, jaką dokładnie przybierze formę ani co chłopak z niego zrozumie, przetłumaczywszy sobie dosłownie jego treść.

- Tak, panie Douglas - odparł Mike, a jego głos odbił się echem w sali konferencyjnej i w milionach pomieszczeń na całej planecie.

- Chce pan, żebym zajął się pańskimi interesami?

- Bardzo o to proszę, panie Douglas. Wyświadczy mi pan wielkie dobro. Dziękuję panu.

Douglas zamrugał raptownie.

- Cóż, to było chyba wystarczająco jasne. Doktorze, udzielię panu odpowiedzi nieco później, ale zapewniam, że nie będzie pan na nią czekał zbyt długo.

- Dziękuję panu. Zarówno w imieniu mego klienta, jak i moim własnym.

Douglas miał zamiar wstać z fotela, ale powstrzymał go głos deputowanego Kunga:

- Chwileczkę! A co z precedensem Larkina?

Jubal zareagował błyskawicznie.

- Właśnie, precedens Larkina. Słyszałem o tym mnóstwo bzdur, głównie od zupełnie nieodpowiedzialnych osób. Co jest z tym precedensem, panie Kung?

- P a n a o to pytam. Albo pańskiego... klienta. Lub sekretarza generalnego.

- Czy mogę mówić, panie sekretarzu? - zapytał spokojnie Jubal.

- Bardzo proszę.

- Znakomicie.

Harshaw wyjął chusteczkę i wydmuchał nos z przeraźliwym trąbieniem, uzyskując efekt zbliżony do molowego akordu trzy oktawy poniżej środkowego c, po czym obrzucił Kunga krytycznym spojrzeniem i powiedział poważnie:

- Szanowny panie, kieruję to pytanie do p a n a, ponieważ wiem, że adresowanie go do naszego rządu reprezentowanego

tu przez pana sekretarza generalnego jest z gruntu niewłaściwe. Dawno temu, kiedy jeszcze byłem małym chłopcem, wraz z jednym z moich kolegów założyłem klub. Ponieważ mieliśmy klub, musieliśmy też ustalić obowiązujące w nim reguły. Według pierwszej, uchwalonej natychmiast i jednomyślnie, mieliśmy zwracając się do naszych matek używać wyłącznie słowa "zrzęda"... Głupota, ma się rozumieć, ale byliśmy wtedy bardzo młodzi. Czy domyśla się pan, co z tego wyszło, panie Kung?

- Ani trochę, doktorze Harshaw.

- Wprowadziłem naszą decyzję w życie tylko jeden jedyny raz; nigdy nie powtórzyłem tego błędu i ostrzegłem mego kolegę, żeby tego także nie robił. Jedyne rezultaty, jakie uzyskałem, to obolały zadek. I w taki oto sposób "Uchwała o zrzędach" dokonała swoich dni. - Jubal odchrząknął. - Wiedząc o tym, że ktoś z pewnością uzna za stosowne poruszyć ten nie istniejący problem, usiłowałem wyjaśnić memu klientowi, na czym polegał precedens Larkina. Pan Smith nie był w stanie uwierzyć, że ktokolwiek mógłby próbować zastosować tę prawną fikcję w stosunku do Marsa. Przede wszystkim dlatego, że Mars jest zamieszkały przez bardzo starą i mądrą rasę - znacznie starszą od naszej, a całkiem możliwe, że także mądrzejszą. Kiedy jednak wreszcie w to uwierzył, szalenie go to rozbawiło. Właśnie tak, szanowny panie - rozbawiło. W przeszłości jeden jedyny raz nie doceniłem możliwości mojej matki w karaniu zuchwałości, ale nauczka, jaką otrzymałem, nie była zbyt

bolesna. Nasza planeta nie może sobie pozwolić na otrzymanie takiej nau czki na skalę kosmiczną. Zanim rozparcelujemy ziemię, które do nas nie należą, powinniśmy nabrać całkowitej pewności, że marsjańskie różgi stoją spokojnie w ciemnym kącie.

Kung nie sprawiał wrażenia przekonanego.

- Doktorze Harshaw, jeżeli precedens Larkina jest tylko kaprysem małego chłopca, to dlaczego przyjmujemy pana Smitha z honorami należnymi głowie państwa?

Jubał wzruszył ramionami.

- To pytanie powinien pan zadać rządowi, nie mnie. Ale mogę panu powiedzieć, jak ja zinterpretowałem to postępowanie: jako zwykłą uprzejmość wyświadczoną Prastarym Marsa.

- Słucham?

- Panie Kung, te honory nie stanowią pustego echa precedensu Larkina. W sposób wymykający się wszystkim ludzkim doświadczeniom pan Smith j e s t równoznaczny z całym Marsem!

Kung nawet nie mrugnął.

- Proszę kontynuować.

- Czy też raczej z istotami zamieszkującymi tę planetę. Za jego pośrednictwem składają nam wizytę Prastarzy. Szacunek, który mu okazujemy, okazujemy także im, a gdybyśmy wyrządzili mu krzywdę, zostałaby odebrana jako krzywda wyrządzona całej rasie. Należy to rozumieć zupełnie dosłownie, bez żadnej przenośni. Postąpiliśmy bardzo roztropnie witając dziś naszych sąsiadów z wszelkimi honorami, natomiast precedens Larkina nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek roztropnością. Nikt rozsądny nigdy nie twierdził, że odnosi się on także do zamieszkanych planet, a ja ośmiele się nawet zaryzykować stwierdzenie, że nikt nigdy tego nie powie. - Jubał podniósł wzrok, jakby wzywał na pomoc niebiosa. - Może pan być pewien, panie Kung, że starożytni władcy Marsa zwrócą uwagę na to, w jaki sposób potraktowaliśmy ich wysłannika. Honory, jakie okazaliśmy im za jego pośrednictwem, stanowiły wspaniały symbol. Jestem przekonany, że decydując się na takie postępowanie nasz rząd wykazał ogromną mądrość. Kiedyś i pan zrozumie, dlaczego tak uważam.

- Doktorze, jeżeli chciał pan mnie przestraszyć, to obawiam się, że to się panu nie udało - odparł szyderczym tonem Kung.

- Wcale nie miałem takiego zamiaru. Jednak, na szczęście dla tej planety, pańska opinia nie ma żadnego znaczenia. - Jubał zwrócił się do Douglasa. - Panie sekretarzu, to moje

najdłuższe publiczne wystąpienie od wielu lat. Czuję się nieco zmęczony. Czy możemy odejść, aby oczekiwać pańskiej decyzji?

## Rozdział XXI

Konferencja zakończyła się. Harshaw miał zamiar zniknąć jak najszybciej wraz ze swą trzódką, ale stanęli temu na przeszkodzie senator Boone i prezydent Stanów Zjednoczonych; obaj zdawali sobie sprawę, jak wielkie korzyści mogą odnieść, będąc widzianymi w bezpośrednim otoczeniu Człowieka z Marsa.

Inni wygłodniali politycy zbliżali się ze wszystkich stron.

Jubał podjął natychmiastową decyzję.

- Panie prezydencie, panie senatorze... Lecimy stąd od razu na lunch. Czy zechcecie panowie nam towarzyszyć?

Zdawał sobie doskonale sprawę, że lepiej mieć do czynienia na prywatnym gruncie z tymi dwoma niż z dwudziestoma innymi w świetle reflektorów i w zasięgu kamer. Poza tym musiał możliwie szybko zabrać stąd Mike'a, zanim coś pójdzie nie tak, jak powinno.

Ku jego uldze okazało się, że obaj są już umówieni gdzie indziej. Skończyło się na obietnicy złożenia w możliwie krótkim terminie wizyty w Białym Domu - cóż, w razie czego zawsze będzie można powiedzieć, że Mike zachorował.

- Szybko, dziewczęta!

Mała procesja ruszyła na dach. Pochód otwierała Anne, torując drogę dzięki swemu wzrostowi, urodzie Walkirii i budzącemu szacunek strojowi. Jubał, Ben i trzech oficerowie z "Championa" stanowili straż tylną. Larry czekał już w autobusie; kilka minut później wysiedli z pojazdu na dachu "New Mayflower". Dziennikarze wyśledzili ich w okamgnieniu, ale dziewczęta zaprowadziły Mike'a do apartamentu wynajętego wcześniej przez Duke'a. Wykonywały z entuzjazmem powierzone im zadanie. Miriam i Dorcas zachowywały się wręcz jak kotki broniące swego dziecka. Jakiś reporter, który zbliżył się na zbyt małą odległość, został niemal przyszpilony do podłogi wysokim, ostro zakończonym obcasem.

W korytarzu zastali funkcjonariuszy służb specjalnych, a przed drzwiami apartamentu oficera.

Jubałowi zjeżyły się włoski na karku, ale natychmiast uświadomił sobie, że obecność uzbrojonych ludzi świadczy



jedynie o tym, że Douglas dotrzymuje swojej części umowy. W liście, który Jubal przesłał sekretarzowi generalnemu przed rozpoczęciem obrad, znajdowała się również gorąca prośba o zapewnienie Mike'owi spokoju i bezpieczeństwa, żeby nieszczęsny chłopak mógł prowadzić w miarę normalne życie.

- Jill, pilnuj Mike'a! - zawołał czym prędzej. - Wszystko w porządku.

- Dobra, szefie.

Stojący przy drzwiach oficer wyprężył się na baczność i zaszalutował. Jubal zerknął na jego twarz.

- No, proszę! Witam, majorze! Włamywał się pan ostatnio do jakichś domów?

Major Bloch poczerwieniał i nic nie odpowiedział. Jubalowi przemknęła myśl, czy skierowanie go do tej akcji nie miało przypadkiem stanowić swego rodzaju kary. W środku czekał na nich Duke.

- Siadajcie, panowie - powiedział Jubal. - Jak tam, Duke?

Zagadnięty wzruszył ramionami.

- Odkąd wynająłem ten apartament, nikt nie próbował założyć podsłuchu, ale to o niczym nie świadczy, szefie. Są takie podsłuchy, których nie sposób znaleźć.

- Wiem, wiem... Nie o to mi chodziło. Chciałem zapytać, jak tam z naszymi zapasami? Jestem głodny, chce mi się pić, a w dodatku mamy na lunchu jeszcze trzy osoby.

- Aha. Osobiście dopilnowałem rozładunku. Wszystko jest w schowku na bieliznę. Jest pan cholernie podejrzliwy, szefie.

- Lepiej się tego naucz, jeśli chcesz dożyć mojego wieku.

- Wolałbym nie.

- Rzecz gustu. Ogólnie rzecz biorąc, bawiłem się nie najgorzej. Ruszajcie się, dziewczyny. Ta, która pierwsza przyniesie mi drinka, dostanie dzień wolnego. Oczywiście, najpierw obsłużcie naszych gości. Siadajcie, panowie. Sven, jaka jest twoja ulubiona trucizna? Akwawit? Larry, wyślijnij się stąd i kup parę butelek. I gin dla kapitana.

- Zaczekaj, Jubal - wtrącił się Nelson. - Wolałbym szkocką.

- Ja też - przyłączył się van Tromp.

- W takim razie przynieś tyle, żeby można było utopić konia. A pan, doktorze Mahmoud? Woli pan coś bezalkoholowego? Jeśli tak, to jestem pewien, że dziewczęta znajdą coś odpowiedniego.

Mahmoud sprawiał wrażenie lekko zatroskanego.

- Szczerze mówiąc, wolałbym uniknąć pokusy, ale...

- Pozwól, że sam zdecyduję - przerwał mu Jubal, taksując go uważnym spojrzeniem. - Synu, znajdowałeś się w ciągłym napięciu psychicznym. Ponieważ nie mam meprohamatu, muszę zalecić ci dwie uncje dziewięćdziesięcioośmioprocentowego etanolu. Dawkę należy powtarzać aż do całkowitego ustąpienia objawów. Masz jakiś ulubiony smak?

Mahmoud uśmiechnął się.

- Dziękuję, doktorze, ale wolę grzeszyć według własnego uznania. Poproszę gin z odrobiną wody. Albo wódkę. Albo cokolwiek.

- Na przykład spirytus do dezynfekcji - dodał Nelson. - Jubal, nie daj mu się oszukać. Śmierdziel pije wszystko, a potem tego żałuje.

- Naprawdę tego żałuję - powiedział poważnie Mahmoud. - To grzech.

Jubal machnął ręką.

- Zostaw go w spokoju, Sven. Jeżeli wydaje mu się, że w ten sposób coś osiągnie, to jego sprawa. Każdemu to, co mu się należy. A co z jedzeniem, Śmierdzielu? Zdaje się, że Anne wepchnęła do koszyka kilka kanapek z szynką, a oprócz tego może tam być jeszcze parę nieczystych rzeczy. Mam sprawdzić?

Mahmoud pokręcił głową.

- Nie trzeba. Nie jestem ortodoksyjny, Jubal. Zasady, o których mówisz, zostały uchylone już dawno temu. Czasy się zmieniły.

- Owszem, ale czy na lepsze? - mruknął ze smutkiem Jubal. - Nieważne, to także minie. Jedz, co chcesz, mój bracie. Bóg rozumie, co to stan wyższej konieczności.

- Dziękuję. Szczerze mówiąc, rzadko kiedy jadam w ciągu dnia.

- Tym razem lepiej coś zjedz, bo jak nie, to efektem etanolu będzie nie tylko odprężenie. Poza tym dzieciaki, które u mnie pracują, czasem popełniają błędy ortograficzne, ale wszystkie znakomicie gotują.

Weszła Miriam z tacą zastawioną drinkami.

- Dasz nam to na piśmie, szefie?

- Co? - Jubal odwrócił się gwałtownie. - Podśluchiwałaś! Za karę zostaniesz po lekcjach i napiszesz w zeszytach sto razy: nie będę nigdy podśluchiwać prywatnych rozmów.

- Tak jest, szefie. To dla pana, kapitanie... I dla pana, doktorze Nelson... A to dla pana, doktorze Mahmoud. Miało być z odrobiną wody?

- Tak, Miriam. Bardzo dziękuję.

- Właśnie tak zwykle obsługują u Harshawa - byle jak, ale za to szybko. Proszę, szefie.

- Dołałaś tam wody!

- Polecenie Anne. Jesteś zbyt zmęczony, żeby pić tylko z lodem.

Jubal zrobił cierpiętniczą minę.

- Widzicie, jak mnie tu traktują, panowie? Popelniliśmy ogromny błąd, pozwalając im chodzić w butach. Miriam, napiszesz to tysiąc razy, i to w sanskrycie.

- Tak jest, szefie. - Poklepała go po głowie. - Kochanie, a teraz grzecznie wypij swój soczek. Zasłużyłeś sobie na niego.

- Wracaj do kuchni, kobieto. Czy każdy ma swoją szklankę? Gdzie jest Ben?

- Każdy. Ben dyktuje przez wizjofon artykuł, oczywiście z drinkiem w zasięgu ręki.

- Znakomicie. Możesz już dyskretnie odejść. Przyślij tu zaraz Mike'a. Panowie! Me ke aloha pau ole!

Uniósł szklankę do ust, a inni poszli w jego ślady.

- Wydawało mi się, że już wyszłaś. Tak czy inaczej, przyprowadź go tutaj. Doktor Nelson chce go zbadać.

- Nie ma pośpiechu - odparł lekarz z "Championa". - Jubal, ta szkocka jest znakomita, ale co to był za toast?

- Przepraszam. Polinezyjski. "Oby nasza przyjaźń trwała wiecznie." Można go uważać za przypis do ceremonii dzielenia się wodą. Skoro już o tym mowa: Larry i Duke również są wodnymi braćmi Mike'a, lecz niech was to nie przeraża. Co prawda, nie potrafią gotować, ale za to można się z nimi spokojnie zapuszczać nawet w najciemniejsze uliczki.

- Skoro tak twierdzisz, Jubal, to wpuść ich i zamknij za nimi drzwi - odparł kapitan van Tromp. - Ale wolałbym wypić za dziewczyny. Sven, jak to mówią w filmach?

- "Wypijmy zdrowie wszystkich pięknych dziewcząt świata." Ja tam wolę te cztery, które mamy tutaj. Skaal! - Wznieśli toast za czterech kobiecych wodnych braci. - Jubal, skąd ty je bierzesz?

- Hoduję w piwnicy. Kiedy wreszcie nauczą się robić wszystko, jak należy, zjawia się jakiś fagas z miasta i żeni się z którąś z nich. Nie mam najmniejszych szans.

- Domyślam się, że bardzo cierpisz - powiedział ze współczuciem Nelson.

- Żebyś wiedział. Mam nadzieję, że wy wszyscy jesteście żonaci?

Dwaj istotnie byli, natomiast Mahmoud nie. Jubal obrzucił

go ponurym spojrzeniem.

- Czy byłbyś uprzejmy się odcieleśnić? Może być po lunchu; nie chciałbym, żebyś to robił z pustym żołądkiem.

- Nie stanowią żadnego zagrożenia. Jestem przysięgłym starym kawalerem.

- Dobrze sobie! Widziałem, jak Dorcas puszcza do ciebie oko, a ty mruczysz jak stary kocur!

- Zapewniam cię, że z mojej strony nic ci nie grozi. -

Mahmoud chciał powiedzieć Jubalowi, że nigdy nie ożeni się z kimś wyznającym odmienną wiarę, ale doszedł do wniosku, że mogłoby to zostać niewłaściwie odebrane. - Ale na twoim miejscu nie podsuwałbym takich pomysłów Mike'owi. Na pewno nie zgrokowałby, że to tylko żart, i zanim byś się zorientował, miałbyś na rękach zimnego trupa. Nie jestem pewien, czy on to potrafi, ale założą się, że by spróbował.

- Oczywiście, że potrafi - stwierdził stanowczo Nelson. - Doktorze... To znaczy, Jubal... Czy zauważyłeś coś niezwykłego w metabolizmie Mike'a?

- Ujmijmy to w taki sposób: nie zauważyłem w jego metabolizmie nic, co by n i e b y ł o niezwykłe.

- Otóż to.

Jubal zwrócił się do Mahmouda:

- Możesz się nie obawiać: na pewno nie będę zachęcał Mike'a do popełnienia samobójstwa. Doskonale gromuję, że on nie gromuje żartów. - Zamrugał raptownie. - A ja z kolei nie gromuję, co to znaczy "gromować". Śmierdziel, ty mówisz po marsjańsku...

- Odrobinę.

- Mówisz znakomicie, słyszałem na własne uszy. Gromujesz, co to jest "gromować"?

Mahmoud zastanawiał się przez chwilę.

- Nie. Czasownik "gromować" jest najważniejszym wyrazem tego języka i zanoszą się na to, że będę przez kilka lat próbował go zrozumieć, ale wątpię, czy mi to się kiedykolwiek uda. Żeby go zgromować, trzeba myśleć po marsjańsku. Może zwróciłeś uwagę, że Mike w dość niezwykły sposób podchodzi do pewnych zagadnień?

- Czy zwróciłem uwagę? Głowa mi od tego pęka!

- Mnie też.

- Jedzenie! - oznajmił Jubal. - Najwyższa pora na lunch.

Dziewczęta, postawcie wszystko tak, żebyśmy mogli łatwo sięgnąć i zachowajcie pełne szacunku milczenie. Proszę kontynuować, doktorze. A może lepiej przełożyć naszą dyskusję na później, ze

względu na obecność Mike'a?

- Ależ skąd. - Mahmoud powiedział coś po marsjańsku do Smitha, który odparł coś w tym samym języku, uśmiechając się promiennie, po czym skoncentrował uwagę na lunchu. - Skonsultowałem z nim to, co mam zamiar powiedzieć, a on przyznał mi rację. Mam nadzieję, że poprawi mnie, gdybym coś pokręcił, ale szczerze mówiąc, mocno w to wątpię. On myśli po marsjańsku, w wyniku czego posługuje się zupełnie inną "mapą". Rozumiesz mnie?

- Chyba tak - odparł Jubal. - Chodzi ci o to, że język kształtuje podstawowe pojęcia, którymi posługuje się człowiek.

- Otóż to. Znasz arabski?

- He? Nie bardzo - przyznał Jubal. - Liznąłem go trochę służąc jako lekarz wojskowy w Północnej Afryce. Właściwie tylko czytam, bo wolę poznawać słowa Proroka w oryginale.

- Słusznie. Koran nie może być tłumaczony, bo "mapa" zmienia się bez względu na wysiłki tłumacza. Chyba więc rozumiesz, jak trudno przyszło mi nauczyć się angielskiego. Chodzi nie tylko o to, że mój ojczysty język ma prostszą fleksję, ale o to, że zmieniła się "mapa". Angielski ma największy zasięg spośród wszystkich ludzkich języków. Jego różnorodność, możliwość oddawania delikatnych niuansów, a także irracjonalna idiomatyczna złożoność pozwalają przekazywać w nim myśli, których nie sposób by było wyrazić w żadnym innym języku. Z początku mało nie oszalałem, aż wreszcie nauczyłem się w nim myśleć, zasłaniając nową "mapą" tę, którą znałem od dzieciństwa. Muszę przyznać, że jest o wiele lepsza, a w każdym razie na pewno znacznie bardziej szczegółowa. Lecz mimo to są rzeczy, które można powiedzieć po arabsku, a nie da się ich wyrazić po angielsku.

Jubal skinął głową.

- Właśnie dlatego czytam Koran w oryginale.

- Tak, ale marsjański jest o tyle bardziej skomplikowany od angielskiego i tworzy tak bardzo odmienną "mapę" wszechświata, że w porównaniu z nim angielski i arabski właściwie trzeba traktować jako jeden język. Anglik i Arab mogą nauczyć się myśleć po arabsku i angielsku, ale mam poważne wątpliwości, czy kiedykolwiek uda nam się nauczyć myśleć po marsjańsku (chyba że przejdziemy takie samo szkolenie, jakie przeszedł Mike). Oczywiście, możemy mówić łamanym angielskim - tak, jak ja to robię.

Weźmy na przykład ten jeden wyraz: grokować. Jego dosłowne znaczenie, sięgające, jak podejrzewam, do początków istnienia

Marsjan jako myślących stworzeń i rzucające sporo światła na ich umysłową "mapę", jest bardzo łatwe. Grokować znaczy po prostu pić.

- Jak to? - zdziwił się Jubal. - Mike nigdy go nie używa, kiedy mówi o piciu. Zazwyczaj...

- Chwileczkę - przerwał mu Mahmoud i powiedział coś do Mike'a.

Mike sprawiał wrażenie lekko zdziwionego.

- Grokować to pić.

- Ale on przyznałby mi rację nawet wtedy, gdybym wymienił sto innych słów, w tym nawet takie o przeciwstawnych znaczeniach - ciągnął Mahmoud. - "Grokować" jest równe każdemu z nich. Oznacza strach, miłość, nienawiść... Przy czym chodzi tu o prawdziwą nienawiść, bo według marsjańskiej "mapy" nie możesz nienawidzić czegoś, czego nie grokujesz, czego nie rozumiesz tak dogłębnie, że łączysz się z tym czymś w jedno. Dopiero wtedy możesz nienawidzić, nienawidząc w ten sposób samego siebie. To jednak z kolei oznacza, że musisz także kochać - inaczej po prostu nie można. Kiedy kochasz, możesz również nienawidzić. Wydaje mi się jednak, że najbliższym odpowiednikiem marsjańskiej nienawiści jest łagodne obrzydzenie. - Mahmoud skrzywił się z niechęcią. - "Grokować" znaczy także tyle, co być dokładnie równym. Ziemski zwrot "Mnie to boli bardziej niż ciebie" ma marsjański posmak. Marsjanie zdają się przeczuwać instynktownie to, czego my dowiedzieliśmy się z trudem dzięki nowoczesnej fizyce: że obserwator oddziałuje aktywnie na obserwowanego poprzez sam fakt obserwacji. "Grokować" to rozumieć tak dokładnie, że obserwator staje się częścią obserwowanego - wtapia się w niego, wnika, traci swoją indywidualność na rzecz nowej grupowej świadomości. To słowo oznacza prawie wszystko, co rozumiemy pod pojęciami religii, filozofii i nauki, a jednocześnie ma dla nas taką samą wartość jak kolory dla ślepego. - Mahmoud umilkł na chwilę. - Jubal, gdybym porąbał cię na kawałki i zrobił z ciebie gulasz, zgrokowałbyś to, a kiedy bym cię zjadł, grokowałibyśmy razem. Nic nie zostałoby stracone i nie miałyby najmniejszego znaczenia, który z nas jadł, a który był zjadany.

- Dla mnie by miało! - stwierdził stanowczo Jubal.

- Bo nie jesteś Marsjaninem. - Mahmoud powiedział coś do Mike'a.

Mike skinął głową.

- Mówiłeś prawdziwie, mój bracie. Ja też tak mówiłem. Tyś jest Bogiem.

Mahmoud wzruszył bezradnie ramionami.

- Widzisz? To beznadziejne. Wszystko, co usłyszałem w odpowiedzi, to bluźnierstwo. Nie porafimy myśleć po marsjańsku.

- Tyś jest Bogiem - powtórzył Mike. - Bóg grokuje.

- Lepiej zmieńmy temat. Jubal, czy mógłbym wykorzystać fakt, że łączą nas braterskie więzi i poprosić o więcej ginu?

- Ja przyniosę - ofiarowała się Dorcas.

\*

Lunch zamienił się w rodzinny piknik, do czego walenie przyczyniła się bezpośrednio Jubala oraz fakt, że goście należeli do tego samego gatunku ludzi - chętnie uczących się, zgodnych i nie starających się robić niczego na siłę. Nawet doktor Mahmoud, zwykle zachowujący dość daleko posuniętą rezerwę wobec wszystkich nie wyznających prawdziwej wiary w konieczność poddania się woli Boga, zawsze dobrotliwej i łaskawej, całkowicie się odprężył. Sprawilo mu ogromną przyjemność, że Jubal czytuje słowa Proroka, a w dodatku po dokładniejszych oględzinach doszedł do wniosku, że otaczające go kobiety są znacznie pulchniejsze, niż wydawało mu się w pierwszej chwili. Ta brunetka... Natychmiast odsunął od siebie tę myśl. Był tu przecież gościem.

Mimo to podobało mu się, że kobiety nie gadają bez przerwy i nie wtrącają się do poważnej rozmowy mężczyzn, tylko częstują obficie jadłem i napitkiem. Co prawda, zaszokował go brak szacunku, z jakim Miriam odnosiła się do swego pana, lecz wkrótce zorientował się, co to było: swoboda, na którą czasem pozwala się w domu kotom i ulubionym dzieciom.

Jubal wyjaśnił, że po prostu czekają na sekretarza generalnego.

- Jeżeli ma zamiar robić z nami interesy, to wkrótce się odezwie. Gdybyśmy zostali w Pałacu, mogłaby mu przyjść ochota na to, żeby się targować. Tutaj będzie nam znacznie łatwiej odmówić.

- O co miałby się targować? - zapytał kapitan van Tromp. - Przecież dałeś mu wszystko, czego chciał.

- Wcale nie. Douglas na pewno wolałby otrzymać to pełnomocnictwo natychmiast i bezwarunkowo, a nie jako nagrodę za dobre zachowanie, w dodatku z taką alternatywą, że zamiast

niego całą śmietankę może zlizać człowiek, którego nienawidzi, mianowicie ten łotr o niewinnym uśmiechu, nasz brat Ben. Inni też mogliby chcieć się potargować. Na przykład ten dobroduszny budda Kung - nienawidzi mnie, bo wytrąciłem mu z ręki wszystkie argumenty. Gdyby jednak wymyślił coś, co mogłoby nas skusić, na pewno by nam to podsunął. Dlatego będzie lepiej, jeśli jemu też znikniemy z oczu. Właśnie ze względu na niego jemy i pijemy wyłącznie to, co przywieźliśmy ze sobą.

- Sądzisz, że z tej strony może nam grozić jakieś niebezpieczeństwo? - zapytał Nelson. - A ja myślałem, że jesteś smakoszem, który nie cierpi żadnej kuchni poza własną! Szczerze mówiąc nie wyobrażam sobie, jak można zostać otrutym w takim hotelu.

Jubal ze smutkiem potrząsnął głową.

- Sven, na pewno nikt nie chce otruć c i e b i e, ale mogłoby się zdarzyć, że twoja żona odebrałaby pieniądze z ubezpieczenia na życie tylko dlatego, że jadłeś przy jednym stole z Człowiekiem z Marsa.

- Naprawdę tak myślisz?

- Jeśli chcesz, każę kelnerowi przynieść wszystko, na co masz ochotę, ale nie tknę tego nawet palcem i nie pozwolę Mike'owi, żeby to zrobił. Oni wiedzą, gdzie jesteśmy i mieli kilka godzin, żeby przygotować plan działania, więc musimy zakładać, że każdy kelner został już opłacony przez Kunga. Na razie zależy mi przede wszystkim na tym, żeby utrzymać tego chłopaka przy życiu, dopóki nie uda nam się okiełznać potęgi, którą dysponuje. - Jubal zmarszczył brwi. - Weź na przykład czarną wdowę: mała łagodna bestyjka, w dodatku chyba najładniejszy z pajaków z tą swoją czarną skórą i znakiem firmowym w kształcie klepsydry. Jej pech polega na tym, że w stosunku do swoich rozmiarów ma zbyt duże możliwości. Dlatego wszyscy ją tępią, a ona nic nie może na to poradzić, bo nie ma sposobu, żeby pozbyć się swojej śmiertelnej siły.

Mike stanął wobec tego samego problemu. Co prawda, nie jest tak ładny jak czarna wdowa...

- No wiesz, Jubal! - przerwała mu z oburzeniem Dorcas. - Jak możesz mówić takie rzeczy! Poza tym to nieprawda.

- Dziecko, moje gruczoły wydzielają trochę inne hormony niż twoje. Piękny czy brzydki, Mike nie może pozbyć się tych pieniędzy, a zatrzymanie ich oznacza dla niego wielkie niebezpieczeństwo. Nie chodzi mi tylko o Kunga. Sąd Najwyższy nie jest aż tak apolityczny, jak by się mogło wydawać, choć oni raczej nie staraliby się go zabić, tylko wtrącić do więzienia,



co moim zdaniem jest znacznie gorsze. Nie wspomnę już o innych zainteresowanych w kręgach rządowych i poza nimi, którzy od jakiegoś czasu rozważają głęboko, jak bardzo poprawiłaby się ich sytuacja, gdyby Mike zjawił się jako gość honorowy na własnym pogrzebie. Osobiście...

- Szefie, telefon.

- Anne, ty chyba pochodzisz z Porlock.

- Wcale nie, bo z Dallas.

- Nie odbiorę tego telefonu.

- Prosiła, żeby ci powiedzieć, że dzwoni Becky.

- Więc czemu od razu nie mówisz? - Jubal wypadł z pokoju i ujrzał na ekranie wizjofonu twarz madame Vesant. - Becky! Cieszę się, że znowu cię widzę.

- Cześć, doktorku. Oglądałam twoje popisy.

- I co o tym myślisz?

- Nigdy nie słyszałam takiego zalewania. Profesja adwokacka straciła wspaniałego mówcę, kiedy po twoim urodzeniu okazało się, że nie jesteś bliźniakami.

- Pochlebiasz mi, Becky. - Umysł Jubala pracował na zwiększonych obrotach. - Ale to ty przygotowałaś przedstawienie - ja tylko przyszedłem i zebrałem pieniądze za bilety. D u ż e pieniądze, Becky. Wymień dowolną sumę.

Madame Vesant zmarszczyła brwi.

- Ranisz moje uczucia.

- Becky! Każdy może klaskać i wiwatować, ale prawdziwy dowód uznania stanowi dopiero miękka sterta zielonych, szeleszczących banknotów. Wierz mi, Człowiek z Marsa może sobie na to pozwolić. - Uśmiechnął się. - Ode mnie możesz liczyć tylko na całusa i uścisk, który połamię ci zębra.

Becky odprężyła się i również uśmiechnęła.

- Pamiętam, jak poklepywałaś mnie po pupie mówiąc, że profesor na pewno z tego wyjdzie... Przy tobie zawsze od razu czułam się lepiej.

- Z pewnością nigdy nie robiłem nic równie nie licującego z powagą zawodu.

- Dobrze wiesz, że robiłeś. I to bynajmniej nie po ojcowsku.

- Może po prostu potrzebowałaś takiej terapii. Co prawda, jakiś czas temu skończyłem z poklepywaniem po pupach, ale mogę uczynić dla ciebie wyjątek.

- Bardzo proszę.

- Pod warunkiem, że wymienisz jakąś sumę. Tylko nie zapomnij o zerach.

- Doktorku, istnieje wiele lepszych sposobów zarabiania pieniędzy. Widziałeś dzisiejsze notowania giełdowe?

- Nie i nie chcę nic o nich słyszeć. Lepiej wpadnij do mnie na drinka.

- Wolałabym tego nie robić. Obiecałam dość poważnemu klientowi, że będę w każdej chwili osiągalna.

- Rozumiem. Becky, czy przypadkiem nie wyczytałaś w gwiazdach wiadomości, że ta sprawa skończy się najlepiej dla wszystkich, jeśli zostanie zakończona jeszcze dzisiaj, na przykład zaraz po zamknięciu giełdy?

Spojrzała na niego uważnie.

- Muszę im się przyrzec.

- Zrób to. A zaraz potem wpadnij do nas. Na pewno polubisz tego chłopaka. Jest dziwaczny jak podwiązki węża, ale słodki jak skradziony całus.

- Hmm... W porządku. Dziękuję, doktorku.

Kiedy Jubal wrócił do salonu, przekonał się, że podczas jego rozmowy z madame Vesant doktor Nelson zbadał w sąsiedniej sypialni swojego pacjenta. Lekarz sprawiał wrażenie autentycznie zdumionego.

- Ostatnio widziałem go zaledwie dziesięć dni temu - powiedział. - Skąd mu się wzięły te mięśnie?

- Cóż, wysłał kupon do pisma kulturystycznego. Zobaczył reklamę, według której każde czterdziestopięciokilogramowe chuchro może...

- Doktorze, proszę!

- Czemu nie zapytasz j e g o?

Nelson zrobił to.

- Pomyślałem je - odparł Mike.

- Oczywiście - potwierdził Jubal. - Pomyślał je i to wszystko. Kiedy zjawił się u mnie w ubiegłym tygodniu, był zupełnie do niczego - słaby, blady i wymoczkowaty. Wyglądał tak, jakby wychowywał się w jaskini, co zresztą chyba nie odbiega od prawdy. Powiedziałem mu więc, żeby się wzmocnił, a on to zrobił.

- Ćwiczenia? - zapytał z powątpiewaniem Nelson.

- Trochę pływał.

- Żaden człowiek nie będzie po kilku dniach pływania wyglądał tak, jakby spędził pół życia w siłowni! - Nelson zmarszczył brwi. - Wiem, że Mike potrafi kontrolować te grupy mięśni, nad którymi my nie mamy żadnej władzy, ale takie przypadki już się zdarzały. Natomiast to...

- Doktorze - przerwał mu spokojnie Jubal - dlaczego nie

przyznasz po prostu, że tego nie grokujesz?

Nelson westchnął.

- Chyba powinienem. Ubierz się, Michael.

Nieco później Jubal ujawnił trzem oficerom z "Championa" swoją słodką tajemnicę.

- Rozwiązanie kwestii finansowej było bardzo proste: wystarczyło zablokować pieniądze Mike'a tak, żeby nie rozgorzała o nie walka, nawet w przypadku jego śmierci. Powiedziałem Douglasowi, że gdyby Mike'owi coś się stało, jego pełnomocnictwo natychmiast ulegnie unieważnieniu, a jednocześnie do uszu Kunga i innych zainteresowanych osób dotrze plotka, oczywiście z dobrze poinformowanego źródła, według której sekretarz generalny zyskał całkowitą kontrolę nad majątkiem Człowieka z Marsa. Ma się rozumieć, gdybym dysponował magicznymi umiejętnościami, pozbawiłbym chłopaka ostatniego centa, ale...

- Dlaczego, Jubal? - przerwał mu kapitan van Tromp.

Harshaw spojrzał na niego przeciągle.

- Czy jesteś bogaty, kapitanie? Mam na myśli prawdziwe bogactwo.

- Ja? - parsknął van Tromp. - Dostaję pensję, pewnego dnia przejdę na emeryturę, spłacam raty za dom i posłałem na studia dwie córki. Cholernie chciałbym być bogaty!

- Na pewno by ci się to nie podobało.

- Ha! Nie mówiłbyś tak, gdybyś musiał wykształcić dwie córki.

- Wykształciłem cztery, a przy okazji zadłużyłem się po uszy. Jedna jest teraz w swoim zawodzie prawdziwą gwiazdą... pod nazwiskiem męża, ma się rozumieć, bo ja jestem starym gburem, a nie wzbudzającym powszechny szacunek starcem. Pozostałe pamiętają o moich urodzinach, ale nie narzucają mi się. Wykształcenie na pewno im nie zaszkodziło. Wspominam o nich tylko dlatego, by udowodnić, że problem pustej kieszeni ojca jest mi dobrze znany. Ale przecież możesz związać się z jakąś firmą, która da ci pięć razy więcej, niż teraz dostajesz tylko za to, żeby mogli używać w swojej nazwie twojego nazwiska. Miałeś jakieś propozycje?

- To nie wchodzi w grę - odparł wyniośle van Tromp. - Nie pozwala mi na to etyka zawodowa.

- Innymi słowy, pieniądze nie skłonią cię do tego, żebyś przestał pilotować statki kosmiczne.

- Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby przy okazji zarobić trochę pieniędzy!

- Trochę to dużo za mało. Córki potrafią wydać dziesięć razy więcej niż jakikolwiek człowiek jest zdolny zarobić na normalnej posadzie. To prawo natury, które od tej pory będzie zwane Prawem Harshawa. Prawdziwe bogactwo, kapitanie, takie, które wymaga oddziały prawników pomagających ci oszukać urząd podatkowy, uziemiłoby cię tak samo jak rezygnacja z pracy.

- Nonsens! Zainwestowałbym forszę i tylko odcinał kupony!

- Na pewno nie, jeśli najpierw musiałbyś je zarobić. Wcale nie jest trudno zdobyć wielką forszę - wystarczy tylko harować całe życie. To gorsze niż codzienny trening w balecie. Kapitanie, to nie w twoim stylu, ty nie chcesz zarabiać pieniędzy, tylko je wydawać!

- Zgadza się. I właśnie dlatego nie rozumiem, dlaczego chcesz pozbawić Mike'a jego bogactwa.

- Dlatego, że wielkie bogactwo jest przekleństwem, chyba że interesuje cię zarabianie pieniędzy jako takie. Ale nawet wtedy musisz się liczyć z pewnymi niedogodnościami.

- Do licha! Jubal, gadasz jak dozorca haremu usiłujący przekonać normalnego faceta, że lepiej jest być eunuchem.

- Być może - zgodził się Harshaw. - Umysł człowieka dysponuje niewyczerpanymi zdolnościami racjonalizowania własnych ograniczeń. Mój nie stanowi tu wyjątku. Ponieważ mnie również, podobnie jak ciebie, interesuje tylko wydawanie pieniędzy, nigdy nie zostanę bogaty. I na odwrót: nigdy nie istniało nawet najmniejsze niebezpieczeństwo, że nie zdołam uzbierać skromnej sumy potrzebnej do zaspokojenia moich potrzeb. Ale wielkie bogactwo? Przecież widziałeś tę farszę. Mike ufa mi, bo jestem jego wodnym bratem. Myślisz, że nie udałoby mi się ukraść jego fortuny?

- Hmm... Do licha, chyba rzeczywiście potrafiłbyś to zrobić!

- Nawet na pewno. Naszemu sekretarzowi generalnemu zależy przecież na zarabianiu pieniędzy nie bardziej niż tobie. Dla niego najważniejsza jest władza, która dla mnie nie ma żadnego znaczenia. Gdybym zagwarantował, że Smith będzie popierał jego rząd, z pewnością pozwoliłby mi zatrzymać całą forszę. - Jubal wzruszył ramionami. - W pewnej chwili wydawało mi się nawet, że to zrobię, by ocalić Smitha przed sępami, ale byłem wtedy ogarnięty paniką. Kapitanie, nie masz najmniejszego pojęcia, co to znaczy być bogaczem. Takiego człowieka oblega zawsze dziki tłum, przypominający żebraków z Bombaju, domagający się części jego majątku,

czy to w formie inwestycji, czy najzwyczajszej jałmużny. Po pewnym czasie staje się podejrzliwy, gdyż nikt nie ofiarowuje mu prawdziwej przyjaźni. Ci, którzy mogliby zostać jego przyjaciółmi są zbyt dumni na to, żeby przepychać się z żebrakami w obawie, że ktoś mógłby ich z nimi pomylić. Co gorsza, jego rodzina znajduje się w ciągłym niebezpieczeństwie. Kapitanie, czy twoim córkom kiedykolwiek grożono porwaniem?

- Co takiego? Dobry Boże, skądże znowu!

- Gdybyś miał bogactwo, które spadło na barki Mike'a, musiałbyś pilnować ich w dzień i w nocy, a i tak nie spałbyś spokojnie, bo nie ufałbyś strażnikom. Czy istnieje taka suma pieniędzy, która mogłaby zrównoważyć zagrożenie, w jakim znalazłyby się twoje dzieci?

Van Tromp zastanowił się przez chwilę.

- W takim razie chyba zatrzymam mój nie spleacony dom.

- Amen. Ja także chcę żyć moim własnym życiem, sypiać we własnym łóżku i nie mieć żadnych kłopotów, ale w pewnym momencie myślałem, że będę musiał spędzić resztę życia zabarykadowany w biurze, otoczony gorylami, zarządzając interesami Mike'a. Aż nagle przyszedł mi do głowy znakomity pomysł: przecież Douglas już żyje za takimi barykadami i ma odpowiednich ludzi! Skoro rezygnujemy z władzy, żeby zapewnić Mike'owi wolność, dlaczego nie zmusić Douglasa, żeby zapłacił za to bólem głowy? Nie obawiałem się, że mógłby coś ukraść, bo tylko drugorzędni politycy węszą wszędzie za pieniędzmi, a on na pewno do nich nie należy.

Tak więc obarczyłem wszystkimi kłopotami Douglasa, a sam mogę znowu spokojnie zająć się ogrodem. Jedyne, co mnie niepokoiło, to ten cholerny precedens Larkina.

- Zdaje się, że właśnie w tym miejscu popełniłeś błąd - odezwał się Caxton. - Chyba niepotrzebnie upierałeś się, żeby oddawali Mike'owi honory należne głowie państwa. Trzeba było kazać mu podpisać pełnomocnictwo i dać sobie ze wszystkim spokój.

- Ben, mój chłopcze - powiedział łagodnie Jubal - twoje artykuły czasem nawet nadają się do czytania...

- Dziękuję. Widzę, że mam jeszcze jednego wielbiciela.

- ...ale twoje koncepcje strategiczne są na poziomie neandertalczyka.

- To już lepiej - westchnął Caxton. - Przez chwilę obawiałem się, że usiłujesz mi pochlebić.

- Gdybym kiedyś zrobił coś takiego, możesz mnie

zastrzelić. Kapitanie, ilu ludzi zostawiliście na Marsie?

- Dwudziestu trzech.

- Jaki jest ich status według precedensu Larkina?

Van Tromp zmarszczył brwi.

- Nie powinienem o tym mówić...

- Więc nie mów - poradził mu Jubal. - Sami się domyślmy.

- Kapitanie, Śmierdziel i ja jesteśmy z powrotem cywilami. Mogę mówić, co mi się żywnie podoba...

- Ja też - wtrącił Mahmoud.

- ...a oni doskonale wiedzą, co mogą zrobić z papierami przenoszącymi mnie czasowo do rezerwy. Jakie mają prawo decydować, o czym możemy mówić, a o czym nie? Przecież żaden z tych urzędasów nie polecał na Marsa.

- Już dobrze, dobrze, Sven. Powiem, bo to przecież nasi wodni bracia. Ale, Ben, wolałbym, żeby to się nie ukazało drukiem.

- Jeżeli chcesz, kapitanie, mogę pójść do Mike'a i dziewczyn.

- Proszę, nie odchodź. Rząd trzęsie się nad tą kolonią jak nad zgniłym jajkiem. Każdy osadnik podpisał dokument, w którym rezygnuje na rzecz administracji ze swoich praw wynikających z precedensu Larkina. Odnalezienie Mike'a zniszczyło im cały plan. Nie jestem prawnikiem, ale rozumiem, że gdyby Mike zrzekł się wszystkiego, rząd znalazłby się w znakomitej sytuacji, przy podziale łupów.

- Jakich łupów? - zapytał Caxton. - Kapitanie, nie mam zamiaru umniejszać waszych zasług, ale z tego, co słyszałem, Mars nie obfituje w tereny atrakcyjne dla ludzi. Chyba że część raportów opatrzone nagłówkiem "Przed przeczytaniem spalić"?

Van Tromp pokręcił głową.

- Nie, wszystkie raporty są ogólnie dostępne. Ale o ile pamiętasz, Ben, Księżyc też wydawał się z początku tylko bezwartościowym kawałkiem skały.

- Trafienie - przyznał Caxton. - Żałuję, że mój dziadek nie wykupił Lunar Enterprises. Ale przecież Mars jest zamieszkany!

Kapitan zrobił nieszczęśliwą minę.

- Owszem, tylko że... Śmierdziel, powiedz mu o wszystkim.

- Ben, na Marsie jest mnóstwo miejsca nadającego się do kolonizacji i, o ile mogłem się zorientować, Marsjanie na pewno nie staraliby się temu przeciwstawić. Już teraz nad osadą powiewa nasza flaga i jej mieszkańcy domagają się eksterytorialności, ale obawiam się, że ich sytuacja może przypominać tę, w jakiej znajdują się mrówki hodowane pod szklanymi

klozami w pracowniach biologicznych. Nie mam pojęcia, na czym właściwie stoimy.

Jubal skinął głową.

- Ani ja. Nic o tym nie wiedziałem - to znaczy, tylko tyle, że rządowi bardzo zależy na uzyskaniu tego prawa. Przypuszczałem, że chodzi im wyłącznie o zyskanie maksymalnego rozgłosu. - Uśmiechnął się. - Kiedy chodziłem do ogólniaka, rozstrzygnąłem na swoją korzyść jedną z klasowych dyskusji, gdyż powołałem się na decyzję Brytyjskiej Rady Kolonialnej. Argument był nie do zbiccia, ponieważ Brytyjska Rada Kolonialna nigdy nie istniała.

Dziś rano byłem równie bezczelny. Administracja chciała uzyskać od Mike'a jego prawa Larkina i robiła w portki ze strachu, że moglibyśmy dogadać się z kimś innym, więc wykorzystałem ich chciwość, zmuszając do ukoronowania tej fantastycznej teorii wynikającym z niej w logiczny sposób absurdem, czyli uznaniem Mike'a władcą suwerennego państwa.

Jubal wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

- A tym samym wlałeś po kolana w bardzo cuchnącą substancję - uzupełnił sucho Caxton.

- Oj, Ben, Ben... - mruknął Harshaw. - Z własnej woli ukoronowali Mike'a. Czy muszę ci przypominać starą mądrość, według której znacznie bezpieczniej być powszechnie znanym królem niż pozostającym w ukryciu pretendentem do tronu? Dzięki kilku chwilom muzyki i prześcieradłu pomazanemu farbą pozycja Mike'a uległa znacznemu wzmocnieniu, choć w dalszym ciągu była nie do pozazdroszczenia. W myśl prawnego bełkotu zawartego w precedensie Larkina stał się udziałowym władcą Marsa, mogącym rozdzielać koncesje, ziemie, nadawać przywileje i tak dalej. Albo musiał na to przystać, wystawiając się na naciski i groźby znacznie poważniejsze od tych, jakim musi stawić czoła nawet najzamożniejszy bogacz, albo abdykować, przekazując swoje prawa ludziom zamieszkującym Marsa, czyli w praktyce sekretarzowi generalnemu Douglasowi. - Jubal skrzywił się boleśnie. - Oba rozwiązania budziły we mnie jednakową niechęć. Panowie, nie mogłem pozwolić, aby mój klient wpadł w równie beznadziejną pułapkę. Należało wyłączyć Marsa spod działania precedensu Larkina, jednocześnie nie dając Sądowi Najwyższemu szansy zabrania głosu w tej sprawie. - Uśmiechnął się. - W związku z tym o mało nie załgałem się na śmierć. Cały świat widział, że Mike był przyjmowany z honorami należnymi głowie państwa, ale takie same honory należą się również jej przedstawicielowi,

czyli ambasadorowi. Zaznaczyłem więc wyraźnie, że nie jest jakimś papierowym królem, lecz ambasadorem wielkiego narodu Marsjan! - Jubal wzruszył ramionami. - Było to czyste łgarstwo, ma się rozumieć, ale oparłem je na przeświadczeniu, że inni - to znaczy przede wszystkim Douglas i Kung - będą zorientowani w sprawie nie lepiej ode mnie. - Rozejrzał się dookoła. - Zaryzykowałem, bo wy trzej byliście po naszej stronie. Ponieważ nie zaprotestowaliście, Mike musiał zostać uznany za marsjańskiego ambasadora, a tym samym precedens Larkina stracił wszelkie znaczenie.

- Mam nadzieję - odparł trzeźwo van Tromp. - Moim zdaniem, Jubal, nie skłamałeś ani razu. - Kapitan zawahał się przez chwilę. - Tyle tylko, że nie nazwałbym Mike'a ambasadorem. Bliższe rzeczywistości byłoby chyba określenie "oddział desantowy".

Caxton rozdziawił usta.

- Co przez to rozumiesz, kapitanie?

- Zaraz wszystko wyjaśnię. Moim zdaniem Mike jest zwiadowcą przeprowadzającym rekonesans dla swoich marsjańskich władców. Nie zrozumcie mnie źle: lubię go tak samo jak każdy z was, ale on nie ma żadnych powodów, żeby być wobec nas lojalnym - mam na myśli Ziemię. - Van Tromp zmarszczył brwi. - Wszyscy uważają, że człowiek odnaleziony na Marsie powinien skakać do góry z radości, że może wrócić do "domu", ale to wcale nie wyglądało w ten sposób. Prawda, Sven?

- Prawda - potwierdził Nelson. - Mike nie miał na to najmniejszej ochoty. Tak się bał, że nie mogliśmy nawet się do niego zbliżyć... A potem Marsjanie kazali mu lecieć z nami, Zachowywał się jak żołnierz wypełniający rozkaz.

- Chwileczkę! - zaprotestował Caxton. - Mars miałyby nas zaatakować? M a r s? Przecież to tak samo, jakbyśmy my mieli dokonać najazdu na Jowisza. Ciężenie na powierzchni Ziemi dwa i pół raza przewyższa marsjańskie, a to na Jowiszu jest większe od naszego też dwa i pół raza. Podobne różnice występują w ciśnieniu, temperaturze, składzie atmosfery i tak dalej... Nie wyobrażam sobie, jak Marsjanie mogliby wytrzymać warunki panujące na Ziemi. Chyba mam rację, prawda?

- W znacznej części - przyznał van Tromp.

- Po co mielibyśmy atakować Jowisza? Po co Marsjanie mieliby starać się nas podbić?

- Ben, czy słyszałeś o propozycjach utworzenia przyczółka na Jowiszu?

- Owszem, ale nie wyszły poza stadium teoretycznych



rozważań. To zupełnie niepraktyczne.

- Kilka lat temu loty kosmiczne też były jeszcze zupełnie niepraktyczne. Inżynierowie są pewni, że korzystając z doświadczeń w eksploracji oceanów i wyposażywszy ludzi w skafandry ze wspomaganiami, możemy wybrać się na Jowisza. Nie myśl, że Marsjanie są głupszy od nas. Powinieneś być zobaczyć ich miasta.

- Hm... - mruknął Caxton. - W porządku, ale w dalszym ciągu nie rozumiem, po co mieliby to robić.

- Kapitanie...

- Tak, Jubal?

- Jest jeszcze jedna przeszkoda. Wiesz o tym, że cywilizacje dzieli się na apollińskie i dionizyjskie?

- Coś mi się obilo o uszy.

- Otóż wydaje mi się, że w porównaniu z marsjańską nawet cywilizację plemienia Zuni trzeba by nazwać dionizyjską. Ty byłeś tam, na miejscu, ale ja sporo rozmawiałem z Mike'em. Ten chłopak był wychowywany przez cywilizację apollińską, czyli taką, która nie stosuje przemocy.

- Hmm... Ja tam bym za bardzo na to nie liczył.

- Kapitanie, są dowody na poparcie tezy Jubala - odezwał się Mahmoud. - Można dowiedzieć się bardzo dużo o cywilizacji analizując jej język. Marsjanie nie znają słowa "wojna", a w każdym razie ja nic o tym nie wiem. To samo z "bronią"... i "walką"... Jeżeli jakieś słowo nie istnieje, to cywilizacja, która posługuje się tym językiem, nie zna także jego desygnatu.

- Gadanie, Śmierdzielu! Zwierzęta walczą ze sobą, mrówki nawet prowadzą regularne wojny, a przecież nie mają na to żadnych słów!

- Miałyby, gdyby należały do jakiegoś werbalizującego gatunku - odparł Mahmoud. - Gdyby Marsjanie wiedzieli co to takiego "wojna", na pewno mieliby odpowiednie słowo.

- Możemy to łatwo wyjaśnić. Poprośmy Mike'a - zaproponował Jubal.

- Jedną chwileczkę - zaprotestował van Tromp. - Już wiele lat temu nauczyłem się nigdy nie sprzeczać ze specjalistami, ale wiem także, że w historii aż roi się od fachowców, którzy zupełnie nie mieli racji. Przepraszam, Śmierdzielu.

- Masz słuszność, kapitanie. Ale tym razem na pewno się nie mylę.

- Mike może tylko powiedzieć, czy z n a dane słowo. To tak samo, jakbyś kazał dwulatкови zdefiniować pojęcie rachunku różniczkowego. Lepiej trzymajmy się faktów. Sven, opowiedzieć

im o Agnew?

- Jak uważasz, kapitanie - odparł Nelson.

- Cóż... Panowie, to musi pozostać między nami, wodnymi braćmi. Porucznik Agnew pełnił funkcję zastępcy lekarza pokładowego. Sven twierdzi, że znakomicie się zapowiadał. Niestety, miał jedną wadę: nie znosił Marsjan.

Kiedy okazało się, że tubylcy są przyjaźnie nastawieni, zakazałem wychodzić poza statek z bronią. Agnew nie posłuchał rozkazu. W każdym razie potem nigdzie nie mogliśmy znaleźć jego pistoletu, a ci, którzy widzieli go po raz ostatni, twierdzili, że był uzbrojony. Zapis w dzienniku pokładowym jest bardzo zwięzły: "Zaginął, przypuszczalnie nie żyje."

Dwaj członkowie załogi zobaczyli, jak Agnew wchodzi w wąską szczelinę między dwiema wielkimi skałami, a zaraz po nim jakiś Marsjanin. Pobiegli tam prędko, bo wszyscy dobrze wiedzieliśmy o uprzedzeniach doktora Agnew.

Obaj usłyszeli wystrzał. Jeden z nich twierdzi, że dotarłszy do szczeliny widział jeszcze przez ułamek sekundy doktora, a potem Agnew zniknął. Drugi zeznał, że zobaczył samego Marsjanina, który wyszedł dostojnie ze szczeliny i udał się w swoją stronę. Szczelina kończyła się skalną ścianą i była zupełnie pusta.

To wszystko, panowie. Agnew mógł przeskoczyć którąś ze ścian dzięki niewielkiej sile przyciągania i pod wpływem strachu - choć ja próbowałem to zrobić i nie dałem rady. Obaj członkowie załogi mieli aparaty tlenowe, jak zresztą wszyscy, którzy poruszają się po Marsie, bo niedotlenienie mózgu może wywołać halucynacje. Nie wiem na pewno, że tak właśnie stało się z tym, który pierwszy dobiegł do szczeliny, ale wspominam o tej możliwości, bo łatwiej uwierzyć w nią niż w to, co opowiadał. Na wszelki wypadek kazałem mu sprawdzić jego aparat.

Myślałem, że Agnew zjawi się lada chwila i byłem gotów udzielić mu ostrej reprimendy za niewykonanie rozkazu. Niestety, nigdy go nie znaleźliśmy. Od tamtej pory straciłem zaufanie do Marsjan. Już nigdy nie myślałem o nich jak o wielkich, łagodnych, nieszkodliwych, wręcz zabawnych istotach, choć nie mieliśmy z nimi żadnych problemów i zawsze dawali nam wszystko, o co prosiliśmy, odkąd Śmierdziel nauczył się o to prosić. Zataiłem wypadek, bo nie mogłem dopuścić do wybuchu paniki wśród załogi, kiedy od domu dzieliło nas sto milionów mil. Nie mogłem ukryć faktu zniknięcia doktora Agnew, ale kategorycznie zdementowałem wszelkie plotki, jakoby

wydarzyło się coś niezwykłego - Agnew po prostu zablądził wśród skał, umarł, kiedy skończyło mu się powietrze i został zasypany przez lotne piaski. Nakazałem ludziom poruszać się wyłącznie parami, utrzymywać stałą łączność radiową i częściej sprawdzać funkcjonowanie aparatów tlenowych. Mam wrażenie, że większość uwierzyła w oficjalną wersję.

- Kapitanie, po raz pierwszy słyszę, że ze zniknięciem Agnew jest związana jakaś tajemnicza sprawa - powiedział powoli Mahmoud. - Jeśli mam być szczery, to bardziej trafiła mi do przekonania pańska oficjalna wersja. Nie wierzę w zabobony.

Van Tromp skinął głową.

- Właśnie o to mi chodziło. Do tej pory tylko Sven i ja wiedzieliśmy o tej zwiariowanej historii. Mimo to... - nagle kapitan jakby postarzał się o kilka lat. - Mimo to nadal budzę się w nocy i zadaję sobie pytanie: co się stało z Agnew?

Jubał nie odezwał się ani słowem. Czy Jill opowiedziała Benowi o Berquiście i tym drugim facecie - Johnsonie? Czy ktoś opowiedział mu o bitwie przy basenie? Wydawało się to mało prawdopodobne. Dziewczyny znały oficjalną wersję, według której pierwszy oddział w ogóle się nie pojawił. Przecież wszystkie słyszały jego rozmowę z Douglasem.

Do licha, nie pozostało mu nic innego jak siedzieć cicho i starać się przekonać chłopaka, żeby nie usuwał każdego obcego, który nie przypadnie mu do gustu!

Pojawienie się Anne uchroniło Jubala przed dalszymi rozważaniami.

- Szefie, przyszedł pan Bradley. Czeka za drzwiami. To ten, który przedstawił się jako starszy asystent sekretarza generalnego.

- Nie wpuściłaś go?

- Nie. Rozmawialiśmy przez domofon. Twierdzi, że przyniósł jakieś dokumenty i że zaczeka na odpowiedź.

- Niech je wsunie przez szczelinę na korespondencję. Bądź co bądź znajdujemy się na terenie ambasady Marsa.

- Ma zostać na zewnątrz?

- Anne, wiem, że jesteś dobrze wychowaną dziewczyną, ale w naszej sytuacji odrobina gburowatości może nam jedynie pomóc. Nie ustąpimy ani o cal, dopóki nie dostaniemy tego, czego żądamy.

- Tak jest, szefie.

Koperta była gruba, gdyż znajdowało się w niej kilka egzemplarzy tego samego dokumentu. Jubal zebrał wszystkich i dał każdemu po kopii.

- Wyznaczam nagrodę za każdy odnaleziony haczyk, pułapkę lub niejednoznaczność.

Zapadła długa cisza, którą przerwał ponownie Jubal:

- To uczciwy polityk. Nie próbuje się wykpić.

- Na to wygląda - przyznał Caxton.

- Ktoś coś znalazł? - Nikt się nie zgłosił. Douglas postąpił zgodnie z umową. - W porządku, a teraz wszyscy podpisujemy wszystkie egzemplarze. Miriam, przynieś swoją pieczęć. Do licha, wpuście tu tego Bradleya. Niech też podpisze, a potem dajcie mu drinka. Duke, zawiadom recepcję, że wyjeżdżamy. Zadzwoń do Greyhounda, niech przyślą ten sam autobus. Sven, kapitanie, Śmierdzielu - znikamy w taki sam sposób, w jaki Lot opuścił Sodomę. Może polecicie z nami na wieś i trochę sobie odpoczniecie? Mamy mnóstwo wolnych łóżek, domowe żarcie i żadnych kłopotów.

Żonaci poprosili o możliwość skorzystania z zaproszenia w późniejszym terminie, natomiast doktor Mahmoud przyjął je bez wahania. Podpisywanie trwało dosyć długo, gdyż Mike rozkoszował się tą czynnością, cyzelując starannie każdą literę. Kiedy wszystkie kopie były już gotowe i opieczętowane, resztki uczyty zniknęły ze stołu i przyniesiono rachunek za apartament.

Jubal zerknął na sumę, napisał na odwrocie: "Zatwierdzone do wypłaty. J. Harshaw w im. V. M. Smitha" i wręczył rachunek Bradleyowi.

- To już zmartwienie twojego szefa.

Bradley zamrugął raptownie.

- Słucham?

- Och, pan Douglas z pewnością przekaże go szefowi protokołu. Szczerze mówiąc, nie znam się za bardzo na tych sprawach.

Bradley wziął od niego rachunek.

- Tak - powiedział powoli - LaRue na pewno się tym zajmie. Dam to od razu jemu.

- Dziękujemy, panie Bradley. Dziękujemy za wszystko!

## CZEŚĆ TRZECIA

Jego niezwykła edukacja

## Rozdział XXII

W jednym z ramion spiralnej galaktyki, blisko gwiazdy znanej niektórym pod nazwą Sol, inna gwiazda przemieniła się w Novą. Jej blask powinien dotrzeć do Marsa za trzy lata, czyli 1370 lat ziemskich. Starzy odnotowali to jako pożyteczne wydarzenie, mogące służyć kształceniu młodych, ale ani na chwilę nie przerwali pasjonującej dyskusji o zagadnieniach estetycznych związanych z nową epopeją opowiadającą o śmierci Piątej Planety.

Dostrzegli również odlot "Championa", ale nie komentowali. Śledzili losy dziwnego pisklęcia wysłanego z powrotem na Ziemię, ale nic ponadto, gdyż należało długo czekać, zanim można będzie pokusić się o zgrokowanie ewentualnych następstw tego faktu. Ludzie pozostawieni na Marsie stawiali czoła środowisku stanowiącemu dla nich śmiertelne zagrożenie, lecz mimo to mniej niebezpiecznemu niż to w Wolnym Stanie Antarktyki. Jeden z nich odcieleśnił się z powodu choroby zwanej czasem tęsknotą. Starzy serdecznie przyjęli jego obolałą duszę i odesłali ją tam, gdzie mogła wyleczyć swoje rany. Poza tym zostawili Ziemian w spokoju.

Na Ziemi nikt nie dostrzegł eksplodującej gwiazdy, gdyż możliwości astronomów były ograniczone prędkością światła. Środki masowego przekazu wkrótce przestały się zajmować Człowiekiem z Marsa. Jego miejsce zajęły inne osobistości. Pani Percy B. S. Souчек wytoczyła sprawę Radzie Miejskiej Los Angeles w związku ze śmiercią swojej ukochanej pudliczki Piddle, która zdechła od smogu. Cynthia Duchess oświadczyła, że zostanie matką Dziecka Doskonałego poczętego z nasienia pobranego od wytypowanego przez komputer dawcy i urodzonego przez starannie wyselekcjonowaną nosicielkę, jak tylko eksperci ustalą ponad wszelką wątpliwość odpowiedni moment zapłodnienia, aby cudowne dziecko było geniuszem we wszystkich dziedzinach, od muzyki poczynając na polityce kończąc. Podała, że sama będzie je karmić, stosując odpowiednią kurację hormonalną. Wygłosiła krótki wykład na temat psychologicznych zalet naturalnego karmienia i pozwoiliła (nakazała) dziennikarzom wykonać zdjęcia potwierdzające w sposób jednoznaczny, że jest do tego zdolna.

Biskup Digby ogłosił ją Ladacznicą Babilonu i zabronił wszystkim fosterytom spełniać rolę dawcy lub matki-

nosicielki. Zacytowano wypowiedź Alice Douglas: "Choć nie znam osobiście panny Duchess, bardzo ją podziwiam. Jej przykład powinien stanowić wzór dla matek na całym świecie."

Jubal Harshaw zobaczył jedno ze zdjęć w jakimś czasopiśmie. Wyciął je i powiesił na ścianie w kuchni, a kiedy stwierdził, że wkrótce stamtąd zniknęło, zarechotał ukradkiem.

W tym tygodniu nie miał wielu powodów do radości; zbyt wiele spraw zważyło mu się na głowę. Prasa przestała niepokoić Mike'a, jak tylko historia straciła na świeżości, ale tysiące ludzi nie zapomniało o Człowieku z Marsa. Jubal był zmuszony zapewnić mu spokój siłą. Granic posiadłości pilnowali funkcjonariusze służb specjalnych, a w powietrzu bezustannie unosił się pojazd patrolowy, nie dopuszczając do lądowania żadnych nieproszonych gości. Harshaw wcale nie był tym zachwycony, ale nie mógł na to nic poradzić.

Wizjofon został podłączony do centrali zajmującej się przyjmowaniem zleceń telefonicznych, której Harshaw dostarczył krótką listę osób mogących dzwonić do niego o każdej porze dnia i nocy. Jego domowy aparat był przez niemal cały czas ustawiony wyłącznie na nagrywanie.

Nie istniał jednak żaden sposób, żeby uchronić się przed nadchodzącą pocztą.

Harshaw powiedział Jill, że jego zdaniem Mike powinien zaczął dorosnąć. Pierwszym etapem mogło stać się zajmowanie korespondencją. Oczywiście z jej pomocą.

- Ale nie zawracajcie mi tym głowy. I tak nie jestem w stanie załatwić swojej.

Było jej po prostu za dużo. Jill nawet nie wyobrażała sobie, o ile za dużo.

Nawet samo sortowanie stanowiło nie lada problem. Jubal zadzwonił do kierownika miejscowej poczty, co nie przyniosło żadnego rezultatu, a następnie do Bradleya, który natychmiast osobiście skontaktował się z kierownikiem i zasugerował mu odpowiedni sposób postępowania. Od tej pory listy zaadresowane do Mike'a przywożono posegregowane na pierwszą, drugą, trzecią i czwartą klasę, natomiast korespondencja przeznaczona dla pozostałych mieszkańców posiadłości znajdowała się w osobnym worku. Listy drugiej i trzeciej klasy były natychmiast wykorzystywane do uszczelniania piwniczki na warzywa; kiedy piwniczka została aż nadto uszczelniona, Jubal polecił Duke'owi, żeby ten zainteresował się erozją kanałów odpływowych.

Spory problem stanowiły przesyłki czwartej klasy. Jedna z paczek eksplodowała na poczcie, zdmuchując ze ścian wieloletnią warstwę nieaktualnych listów gończych i wywieszkę "Okienko nieczynne"; szczęśliwym zbiegiem okoliczności kierownik akurat wyszedł na kawę, urzędniczka zaś, leciwa dama o chorych nerkach, przebywała w toalecie. Jubal zastanawiał się, czy nie zatrudnić specjalistów od wykrywania materiałów wybuchowych.

Okazało się to niepotrzebne, gdyż Mike potrafił wyczuć "niewłaściwość" przesyłki bez jej otwierania. Od tej pory poczta czwartej klasy zostawała przy bramie; Mike "przeglądał" ją z bezpiecznej odległości, usuwając wszystkie niepożądane dodatki, a to co zostało, Larry przywoził taczkami do domu.

Mike uwielbiał otwierać paczki, choć nie przywiązywał żadnej wagi do ich zawartości. To, co się nikomu nie podobało, lądowało w śmieciach, podobnie jak wszystkie artykuły spożywcze, gdyż Jubal nie był pewien, czy umiejętność wyczuwania "niewłaściwości" dotyczy także trucizn - kiedyś Smith wypił trujący odczynnik używany przy wywoływaniu filmów, który Duke zostawił w lodówce, ale tylko delikatnie wypomniął, że ta "lodowata herbata" miała niezbyt przyjemny smak.

Jubal oznajmił Jill, że można zatrzymać wszystko, pod warunkiem, żeby: a) za nic nie płacić; b) za nic nie dziękować; c) nic później nie zwracać. Znaczna część przedmiotów stanowiła normalne podarunki, ale jeszcze więcej było mniej lub bardziej zakamuflowaną formą przekupstwa lub reklamy i jako takie, zdaniem Jubala, nie zasługiwało na żadne podziękowania.

Wyjątek stanowiły zwierzęta, która polecił natychmiast odsyłać ofiarodawcom, chyba że Jill podjęłyby się dbać o ich wyżywienie i chronić przed wpadnięciem do basenu.

Jednak największy ból głowy wywoływała poczta pierwszej klasy. Przejrzawszy kilkanaście kilogramów listów Jubal ustalił następujące kategorie:

A: prośby o wsparcie - do natychmiastowego wyrzucenia.

B: pogróżki - pozostawiać bez odpowiedzi. W przypadku nadejścia kolejnego listu z tego samego źródła przekazać służbom specjalnym.

C: propozycje ekonomiczne - przekazać Douglasowi.

D: listy od szaleńców - część wykorzystać w celach rozrywkowych, reszta do wyrzucenia.

E: listy utrzymane w przyjaznym tonie - udzielić odpowiedzi, o ile zawierały zaadresowaną kopertę ze znaczkiem,

posługując się gotowymi szablonami podpisanymi przez Jill. (Zdaniem Jubala listy podpisane przez Człowieka z Marsa miałyby zbyt dużą wartość rynkową i zachęcałyby do działania kolejnych miłośników epistolografii.)

F: listy z wyzwiskami - przekazywać Jubalowi, który gotów był iść o zakład z samym sobą, że nie znajdzie w nich nic nowego.

G: propozycje matrymonialne i inne, jeszcze bardziej osobistej natury - odłożyć ad acta.

H: listy od instytucji naukowych i oświatowych - traktować tak samo, jak te z kategorii E.

I: listy od osób znających Mike'a, na przykład od członków załogi "Championa", prezydenta Stanów Zjednoczonych i tym podobnych - pozwolić Mike'owi odpisać osobiście, jeśli będzie miał na to ochotę. Trochę ćwiczeń w kaligrafii na pewno mu się przyda, podobnie jak odrobina praktycznych zajęć z utrzymywania stosunków międzyludzkich (gdyby chciał o coś zapytać, niech pyta).

Dzięki temu Jill musiała udzielać bardzo niewielu odpowiedzi, podobnie jak Mike. Dziewczyna przekonała się, że jest w stanie uwinąć się z segregowaniem dziennej porcji przesyłek w ciągu godziny. Pierwsze cztery kategorie były reprezentowane bardzo licznie; kategoria G dogoniła je po transmisji stereowizyjnej z Pałacu, po czym wyraźnie zmalała. Jubal zwrócił Jill uwagę, że choć Mike powinien osobiście odpowiadać wyłącznie na listy od znajomych, to całą adresowaną do niego pocztę należało traktować jako jego własność.

Trzeciego dnia po wprowadzeniu tego systemu Jill przyniosła Jubalowi list należący do kategorii G. Piszące je kobiety i inne stworzenia płci żeńskiej (plus pewien specjalny rodzaj mężczyzn) zwykle załączały zdjęcia, podobno swoje. Niektóre z tych fotografii były tak szczegółowe, że nie pozostawiały zbyt wielkiego pola wyobraźni.

Zdjęcie, które znajdowało się w tym liście, nie pozostawiało jej dosłownie nic.

- Szefie, spójrz na to - powiedziała Jill. - Proszę cię!

Jubal przeczytał list.

- Dziewczyna wie, czego chce. Co o tym myśli Mike?

- Jeszcze tego nie widział.

Harshaw zerknął na zdjęcie.

- W mojej młodości nazywaliśmy takie jak ona laseczkami.

Cóż, co do płci nie ma najmniejszych wątpliwości.

Po co mi ją pokazujesz? Widziałem już lepsze.



- A co miałam zrobić? List jest wystarczająco okropny, ale to wstrętne zdjęcie... Uważasz, że powinnam je podrzeć?

- Co jest na kopercie?

- Adres nadawcy i odbiorcy...

- Jak brzmi adres odbiorcy?

- Proszę? No... "Szanowny Pan Valentine Michael Smith, Człowiek z..."

- Czyli, o ile dobrze rozumiem, list nie jest do ciebie?

- Nie... To znaczy, właściwie...

- Wyjaśnijmy sobie pewną sprawę: nie jesteś ani matką Mike'a, ani jego przyzwoitką. Jeżeli ma ochotę czytać wszystko, co do niego przychodzi, łącznie z takimi śmieciami, ma do tego całkowite prawo.

- Czyta większość tych propozycji, ale chyba nie chcesz, żeby miał do czynienia z takim brudem! On jest niewinny.

- Doprawdy? A możesz mi powiedzieć, ilu ludzi zabił do tej pory?

Jill zrobiła nieszczęśliwą minę.

- Jeżeli chcesz mu pomóc, skoncentruj się raczej na wytłumaczeniu mu, że w naszym społeczeństwie zabójstwo nie jest zbyt mile widziane - ciągnął Harshaw. - W przeciwnym razie będzie za bardzo zwracał na siebie uwagę, kiedy wreszcie pójdzie w świat.

- Nie jestem pewna, czy on w ogóle chce pójść w świat...

- Wypchnę go z gniazda natychmiast, jak tylko nauczy się latać. Nie mogę pozwolić, żeby spędził całe życie jak ubezwłasnowolnione dziecko. Poza tym nie uda mi się tego zrobić, bo przecież on przeżyje mnie o wiele lat. Ale pod jednym względem masz rację: Mike jest niewinny. Siostrzo, czy widziała pani kiedyś laboratorium w Notre Dame?

- Czytałam o nim.

- Są tam najzdrowsze zwierzęta na świecie, ale żadne z nich nie może opuścić ścian laboratorium. Dziecko, Mike musi zaznajomić się z "brudem" i uodpornić na niego. Pewnego dnia spotka dziewczynę, która to napisała, albo jej duchowe siostrzyczki... Będzie je spotykał całymi setkami, a biorąc pod uwagę jego wygląd, mógłby spędzić resztę życia przeskakując z łóżka na łóżko. Ani ty, ani ja nie możemy temu przeszkodzić: wszystko zależy od niego. Powiem więcej: ja nawet nie chciałbym temu przeszkadzać, choć wydaje mi się, że to dość głupi sposób spędzania czasu - wciąż te same ćwiczenia. Co o tym myślisz?

Jill oblała się szkarłatnym rumieńcem.

- Ja...

- Może dla ciebie one nie są nudne, ale to i tak nie moja sprawa. Jeżeli jednak nie chcesz, żeby Mike został stratowany na śmierć przez pierwszych pięćset kobiet, które przydybią go sam na sam, nie cenzuruj jego poczty. Dzięki takim listom będzie się miał na baczności. Po prostu daj mu je wraz z innymi, odpowiedz na wszystkie jego pytania i postaraj się za bardzo nie rumienić.

- Szefie, jesteś nie do wytrzymania, kiedy posługujesz się logiką!

- Doprawdy, to dość niezwykły sposób argumentacji.

- Podrę to zdjęcie natychmiast, jak tylko Mike je obejrzy.

- Och, nie rób tego.

- Co takiego? Czyżbyś chciał je zatrzymać dla siebie?

- Niech mnie Bóg broni! Ale Duke zbiera takie fotografie.

Jeżeli Mike nie będzie jej chciał, daj ją Duke'owi.

- D u k e zbiera takie śmieci? A wydaje się takim miłym człowiekiem...

- Bo nim jest.

- Ale... Nie rozumiem.

Jubał westchnął.

- Mógłbym tłumaczyć ci to cały dzień, a ty i tak byś nic nie zrozumiała. Moja droga, istnieją pewne kwestie związane z seksem, których nigdy nie rozumieją jednocześnie obie płcie tworzące nasz gatunek. Szczególnie uzdolnionym osobnikom udaje się czasem je zgrokować poprzez kosmiczną przepaść, jaka nas rozdziela. Ale słowa są tu całkowicie bezużyteczne. Możesz mi wierzyć: Duke jest świetnym facetem i na pewno spodoba mu się to zdjęcie.

- Ale ja mu go nie dam. Jeszcze by zaczął sobie coś wyobrażać...

- Smarkula. Poza tym było coś ciekawego w poczcie?

- Nie. Tylko to co zwykle. Najwięcej próśb o bezzwrotne pożyczki i o zgodę na wyłączność w rozpowszechnianiu suwenirów - jakiś typek zażyczył sobie pięcioletniego monopolu i zwolnienia od wszystkich opłat za prawo używania nazwiska Mike'a. Chciał nawet, żebyśmy pożyczili mu pieniędzy na rozruch interesu.

- Zawsze podziwiałem złodziei oddanych całym sercem swojemu powołaniu. Odpisz mu, że Mike chętnie uniknąłby podatków i zapytaj, jakie może dać zabezpieczenie.

- Mówisz serio, szefie?

- Skądże znowu, ten typek gotów by natychmiast się tu zjawić z całą rodziną. Ale podsunęłaś mi pomysł na opowiadanie.

Pierwsza!

Mike bardzo się zainteresował "odrażającym" zdjęciem. Głokował (przynajmniej teoretycznie), czemu miały służyć zarówno fotografia, jak i załączony do niej list, i przyglądał się zdjęciu z takim samym zachwytem, z jakim obserwował każdego motyla. Motyle i kobiety ogromnie go ciekawiły - cały otaczający go świat był tak ciekawy, że pragnął napić się z niego głęboko, aby jego głokowanie stało się doskonałe.

Rozumiał, na czym polegały mechaniczne i biologiczne czynności, których wspólne wykonywanie proponowano mu w listach,

ale nie mógł zrozumieć, dlaczego zupełnie obcy ludzie pragną jego pomocy przy pobudzaniu jaj do życia? Wiedział (bez głokowania), że z tej czynności czyniono tutaj prawdziwy rytuał, "zbliżanie się", podobne nieco do ceremonii dzielenia się wodą. Bardzo chciał to zgłokować.

Ale nie śpieszyło mu się. W ogóle nie głokował, co to znaczy pośpiech. Był wyczulony na właściwe umiejscowienie wszystkich wydarzeń w czasie, lecz spoglądał na ten problem z marsjańskiego punktu widzenia: cel osiągało się poprzez oczekiwanie. Zauważył, że jego ludzcy bracia podchodzili do kwestii czasu w całkowicie odmienny sposób i często byli zmuszeni czekać znacznie szybciej, niż uczyniłby to Marsjanin, lecz nie uważał, żeby w tym przypadku wina leżała po ich stronie - sam nauczył się czekać nieco szybciej, aby zniwelować dzielącą ich różnicę. Czasem udawało mu się to tak dobrze, że obserwujący go ludzie byli gotowi przysiąc, iż Mike funkcjonuje z oszałamiającą szybkością.

Zaakceptował edykt Jill zakazujący mu odpowiadać na oferty ludzi-kobiet, lecz rozumiał go jako polecenie czekania; być może za sto lat sprawy będą się miały inaczej. W każdym razie teraz na pewno nie była po temu odpowiednia pora, skoro tak postanowił jego brat Jill.

Zgodził się z jej sugestią, aby ofiarować zdjęcie Duke'owi. I tak by to zrobił, gdyż widział już jego kolekcję, obejrzał ją z zainteresowaniem, starając się zgłokować to, co mówił Duke.

- Ta ma może niespecjalną twarz, ale spójrz na nogi! Bracie!..

Mike bardzo lubił, kiedy nazywano go bratem, ale nogi były tylko nogami; jedyna różnica polegała na tym, że jego bracia na Marsie mieli ich trzy, a ci ludzie po dwie. Czasem musiał sobie przypominać, że nie stanowiło to żadnego upośledzenia.

Co zaś tyczyło się twarzy, to Jubal miał najpiękniejszą twarz, jaką Mike kiedykolwiek widział, obdarzoną niezwykle charakterystycznymi cechami. Ludzie-kobiety ze zdjęć w kolekcji Duke'a właściwie w ogóle nie mieli twarzy. Wszyscy młodzi ludzie-kobiety mieli taką samą twarz - czy zresztą mogło być inaczej?

Mike nigdy nie miał problemów z rozpoznaniem twarzy Jill - była pierwszą kobietą, jaką zobaczył na oczy i jego pierwszym kobiecym wodnym bratem. Znał każdy otworek w skórze jej nosa, każdą rodzącą się zmarszczkę pod jej oczami i zachwycał się nimi, pogrążony w szczęśliwej medytacji. Teraz potrafił także rozróżniać twarze Anne, Dorcas i Miriam, lecz początkowo miał z tym ogromne kłopoty, kierując się raczej różnicami w wielkości, barwie i głosie, gdyż głosy nigdy nie są jednakowe. Kiedy czasem zdarzało się, choć bardzo rzadko, że wszystkie trzy dziewczyny siedziały cicho, dobrze było wiedzieć, że Anne jest taka duża, Dorcas taka mała, Miriam zaś większa od Dorcas, ale mniejsza od Anne. Nie można jej było pomylić z żadną z tamtych dwóch, gdyż Miriam miała czerwone włosy, na które jednak mówiło się rude, choć na wszystko inne, co było czerwone, mówiło się po prostu czerwone.

Mike wiedział, że każde słowo ma więcej niż jedno znaczenie. Można się było do tego przyzwyczaić, tak samo jak można się było przyzwyczaić do podobieństwa twarzy dziewcząt... Choć po pewnym czasie okazało się, że wcale nie są takie same. Teraz Mike mógł przywołać z pamięci obraz twarzy Anne i policzyć pory w skórze jej nosa równie dokładnie, jak u Jill.

Mike ofiarował zdjęcie Duke'owi i ogromnie się ucieszył jego radością. Oddając mu fotografię nie dokonywał żadnego poświęcenia, gdyż mógł ją sobie przypomnieć, kiedy tylko chciał - nawet twarz, promieniującą niezwykle wyrazem cudownego cierpienia.

Przyjął podziękowania Duke'a i uszczęśliwiony zajął się znowu swoją pocztą.

Mike nie podzielał irytacji Jubala, przerażonego zasypującą ich lawiną listów. Rozkoszował się nimi, szczególne upodobanie znajdując w reklamach agencji ubezpieczeniowych i ofertach matrymonialnych. Podróż do Pałacu otworzyła mu oczy na niesłychaną różnorodność tego świata i postanowił zgrokować ją w całości. Z pewnością zajmie mu to wiele stuleci, podczas których będzie musiał bezustannie rosnać, rosnać i rosnać, ale jemu nigdzie się nie śpieszyło - grokował już, że wieczność i

ciągle-cudowne-zmienianie to jedno i to samo.

Zrezygnował z powtórnej lektury Encyklopedii Brytyjskiej; poczta dawała mu pełniejszy obraz otaczającego go świata. Czytał wszystko, grokował, co mógł, zapamiętując resztę, by rozmyślać nad nią wtedy, kiedy pozostali domownicy pogrążali się we śnie. Odniósł wrażenie, że zaczyna powoli grokować takie pojęcia jak biznes, kupno, sprzedaż i inne, również odnoszące się do działań całkowicie nieznanymi na Marsie. Encyklopedia nie dała mu takiej wiedzy, bo wszyscy autorzy haseł zakładali, że czytelnik wie doskonale o sprawach, o których Mike nie miał najmniejszego pojęcia.

Pan sekretarz generalny Joseph Edgerton Douglas przysłał książeczkę czekową i jakieś dokumenty. Wodny brat Jubal spędził wiele godzin usiłując wyjaśnić Człowiekowi z Marsa, co to są pieniądze i jaką pełnią funkcję, lecz Mike nic z tego nie pojął, choć Jubal zademonstrował mu, jak się wypełnia czek, dał mu za niego pieniądze i nauczył go, jak się je liczy.

Aż nagle, z grokowaniem tak gwałtownym, że aż zdrzął na całym ciele, zrozumiał pieniądze. Te ładne obrazki i błyszczące krążki wcale nie były pieniędzmi, tylko symbolami pewnej idei, obejmującej zarówno tych ludzi, jak i ich świat. R z e c z y nie miały nic wspólnego z pieniędzmi, podobnie jak woda wypita podczas ceremonii nie miała nic wspólnego ze zbliżaniem się. Pieniądze stanowiły i d e ę równie abstrakcyjną, jak myśli Starzych; był to wielki strukturalny symbol równowagi, zdrowienia i zbliżania się.

Mike'a oszołomiło cudowne piękno pieniędzy.

Bezustanny przepływ, zamiana i ruch stanowiły piękno samo w sobie, przywodząc mu na myśl gry, jakich uczono młode w gnieździe, starając się nakłonić je do tego, by zaczęły mądrzeć i rosnąć, lecz najbardziej zachwyciła go wszechobecność systemu i fakt, że cały świat znajdował swoje odbicie w jednej dynamicznej, symbolicznej strukturze. Mike zgrokował, że Starzy tej rasy muszą być istotnie bardzo starzy, skoro udało im się stworzyć coś równie pięknego. Miał nieśmiałą nadzieję, iż kiedyś dostąpi zaszczytu poznania jednego z nich.

Jill namówiła go, by wydał trochę pieniędzy i Mike uczynił to z gorliwością panny młodej idącej do małżeńskiego łóżka. Jubal zaproponował, żeby kupił prezenty swoim przyjaciółom; Jill pomogła mu, zaczynając od ustalenia limitów: jeden prezent na jedną osobę i całkowity koszt nie przekraczający odwrotności trzeciej części sumy zebranej na jego koncercie. Dobrze się stało, że to uczyniła, gdyż Mike miał zamiar wydać

w s z y s t k o.

Przekonał się, jak trudno pozbyć się pieniędzy. Było tak wiele rzeczy, wszystkie wspaniałe i niepojęte. Otoczony katalogami największych firm wysyłkowych czuł się przytłoczony bogactwem. W zupełności wystarczyłby mu cienki folder domu handlowego Sears & Montgomery.

Jill starała się mu pomóc.

- Nie, Mike. Duke z pewnością nie chciałby dostać traktora.

- Duke lubi traktory.

- Ma już jeden, a raczej ma go Jubal, choć to w gruncie rzeczy to samo. Być może, spodobałby mu się któryś z tych zmyślnych belgijskich jednokołowców - mógłby przez cały dzień rozmontowywać go i składać z powrotem - ale one są zbyt drogie. Prezent nie powinien być kosztowny, chyba że jest przeznaczony dla dziewczyny, z którą chcesz się ożenić. Prezent powinien świadczyć o tym, że przy jego wyborze brałeś pod uwagę gust osoby mającej być nim obdarowaną. Musi to być coś, co by jej się podobało, ale czego na pewno by sobie nie kupiła.

- To znaczy co?

- Właśnie na tym polega kłopot. Zaczekaj! Zdaje się, że widziałam coś takiego w porannej poczcie. - Wkrótce była z powrotem. - Znalazłam! Posłuchaj: "Żywa Afrodyta; luksusowy album kobiecych piękności, stereo i w kolorze, autorstwa największych współczesnych mistrzów kamery. Uwaga: album nie może być przesyłany pocztą do następujących stanów..." Hm, na liście jest też Pensylwania, ale znajdziemy jakiś sposób. Jestem pewna, że Duke będzie zachwycony.

Podarunek został dostarczony przez pojazd patrolowy służb specjalnych, a już w następnej ulotce reklamującej ten produkt znalazł się dopisek: "Zamówiony osobiście przez Człowieka z Marsa." Mike był bardzo zadowolony, Jill zaś porządnie to zdenerwowało.

Wybór prezentu dla Jubala stanowił dla niej niemały problem. Co można kupić człowiekowi, który ma wszystko, co można dostać za pieniądze? Trzy życzenia Złotej Rybki? Fontannę, której nie odnalazł Ponce de Leon<sup>9</sup>? Cudowny balsam kojący ból starych kości? A może jeden złoty dzień młodości? Jubal dawno zaprzestał trzymania w domu zwierząt, ponieważ musiałby być świadkiem śmierci każdego z nich, teraz zaś z pewnością nie chciałby mieć żadnego z nieco odmiennego powodu: to o n mógłby umrzeć wcześniej, osierocając przyjaciela.

Zasięgnęła rady innych.

- To proste - powiedział Duke. - Szef lubi rzeźby. Nie wiedziałas o tym?

- Naprawdę? - zdziwiła się Jill. - Nie widziałam tu żadnych rzeźb.

- Te, które mu się najbardziej podobają, nie są na sprzedaż. O tych, które robi się teraz, mówi, że wyglądają jak wynik trzęsienia ziemi na złomowisku starych samochodów i że każdy idiota z palnikiem acetylenowym i astygmatyzmem uważa się za rzeźbiarza.

Anne skinęła głową.

- Duke ma rację. Wystarczy, że spojrzysz na książki w gabinecie Jubala.

Wybrali trzy, noszące ślady częstego przeglądania.

- Hmm... - mruknęła Anne. - Zdaje się, że szef szczególnie ceni Rodina. Mike, gdybyś mógł kupić jedną z tych, którą byś wybrał? Ta jest ładna: "Wieczna wiosna".

Mike przewrócił kilka stron.

- Tę.

Jill aż podskoczyła.

- Mike, przecież to jest okropne! Mam nadzieję, że umrę na długo przedtem, zanim zacznę tak wyglądać.

- To jest piękne - stwierdził stanowczo Mike.

- No, wiesz! - zaprotestowała Jill. - Masz zboczony gust. Jesteś jeszcze gorszy niż Duke!

Zwykle taka uwaga, szczególnie jeśli padła z ust Jill, zamknęłaby Mike'owi usta i zmusiła do spędzenia całej nocy na próbach zgrokowania błędu, jaki popełnił, lecz tym razem był pewien swoich racji. Postać przedstawiona na obrazku przywodziła mu na myśl dom. Choć wyobrażała człowieka-kobietę, wywoływała uczucie, jakby przy jej tworzeniu brał udział jeden z marsjańskich Starych.

- To jest piękne - powtórzył. - Ona ma swoją twarz.

Grokuje ją.

- Mike ma rację, Jill - powiedziała powoli Anne.

- Proszę? Anne! Chyba nie chcesz powiedzieć, że tobie też się to podoba?

- Przeraza mnie, ale książka otwiera się najłatwiej w trzech miejscach - na tej stronie jeszcze łatwiej niż na dwóch pozostałych. Jest tam jeszcze "Kariatyda uginająca się pod kamieniem", ale nie ulega wątpliwości, że Mike wybrał ulubioną rzeźbę Jubala.

- Kupuję to - oznajmił Mike.

Anne zadzwoniła do Muzeum Rodina w Paryżu i o mało nie

została wyśmiana. S p r z e d a ć jedno z dzieł Mistrza?  
Droga pani, one nie tylko nie są na sprzedaż, ale nawet nie wolno wykonywać ich kopii! Non, non, non! Quelle idee!

Lecz dla Człowieka z Marsa nawet niemożliwe staje się czasem możliwe. Anne zawiadomiła Bradleya, który oddzwonił w dwa dni później. Rząd francuski postanowił ofiarować Mike'owi - pod warunkiem, że nigdy nie będzie prezentowana publicznie - wykonaną z brązu, ultradokładną kopię "Tej, która kiedyś była piękną Heaulmiere".

Jill pomogła Smithowi wybrać prezenty dla dziewcząt, ale kiedy Mike zapytał ją, co o n a chciałaby dostać, uparła się, żeby nic jej nie kupował.

Mike zaczynał już rozumieć, że choć wszyscy jego wodni bracia mówili prawdziwie, to czasem niektórzy z nich mówili bardziej prawdziwie od pozostałych. Zwrócił się o radę do Anne.

- Mój drogi, Jill musiała ci tak odpowiedzieć, ale ty i tak powinienesz dać jej jakiś prezent. Hmm...

Anne wybrała podarunek, który go trochę zdziwił - przecież Jill pachniała dokładnie tak, jak powinna.

Kiedy zobaczył swój zakup, jego niewielkie rozmiary i rzucająca się w oczy błahość przyczyniły się do nasilenia wątpliwości. Powąchawszy flakonik zaniepokoił się jeszcze bardziej; zapach był bardzo silny i w niczym nie przypominał tego, który wydzielala Jill.

Dziewczyna była zachwycona perfumami i z radości natychmiast pocałowała ofiarodawcę. Całując ją Mike zgrokował, że prezent sprawił jej ogromną przyjemność i przyczynił się do ich dalszego zbliżenia.

Podczas kolacji przekonał się, że w jakiś tajemniczy sposób zapach zmieszał się z zapachem Jill sprawiając, że roztaczała jeszcze bardziej cudowną woń niż zwykle. Zdziwienie nasiliło się, kiedy Dorcas pocałowała go i szepnęła:

- Mike, kochanie... Ta bielizna jest cudowna, ale może kiedyś i ja dostanę od ciebie perfumy?...

Smith nie był w stanie zgrokować, dlaczego Dorcas chciałaby je mieć. Przecież nie pachniała tak jak Jill, więc perfumy nie byłyby dla niej odpowiednie... Poza tym on sam nie chciał, żeby Dorcas pachniała jak Jill, tylko jak Dorcas.

- Przestań napastować chłopaka i pozwól mu jeść - wtrącił się Jubal. - I tak cuchniesz już jak schronisko dla bezdomnych kotów, więc nie naciągaj Mike'a na jakieś nowe pachnidło.

- Pilnuj swego nosa, szefie.

Wszystko to było szalenie dziwne: że Jill mogła pachnieć



jeszcze bardziej jak Jill... że Dorcas chciała pachnieć jak Jill, choć pachniała jak Dorcas... że Jubal powiedział, że Dorcas pachnie jak kot. Po terenie posiadłości kręcił się kot, traktowany nie jako domowy pupil, lecz raczej jako współmieszkaniec. Od czasu do czasu przychodził do kuchni i łaskawie pozwalał się czymś poczęstować. Kot i Mike bardzo dobrze grokowali się nawzajem; mięsożerne myśli zwierzęcia były dla Smitha bardzo przyjemne i wydawały mu się wręcz marsjańskie w swojej istocie. Dowiedział się z nich, że imię, jakim nazywano kota (Friedrich Wilhelm Nietzsche), wcale nie jest jego prawdziwym imieniem, lecz nie podzielił się z nikim tą wiadomością, ponieważ nie potrafił wymówić prawdziwego. Mógł tylko powtórzyć je w głowie.

Kot wcale nie pachniał jak Dorcas.

Dawanie prezentów stanowiło ogromną przyjemność i nauczyło Mike'a rozumieć wartość pieniędzy. Nie zapomniał jednak o innych sprawach, które gorąco pragnął zgrokować. Jubal dwukrotnie przełożył na później zaproszenie otrzymane od senatora Boone'a, nie mówiąc nic o tym Mike'owi; w jego pojmowaniu czasu następna niedziela oznaczała jakiś bliżej nieokreślony termin. Jednak kolejne zaproszenie było zaadresowane bezpośrednio do Mike'a. Boone był mocno naciskany przez biskupa Digby'ego i wyczuł, że Harshaw próbuje wziąć go na przetrzymanie.

Mike zaniósł list Jubalowi.

- I co? - warknął Jubal. - Chcesz tam iść? Wcale nie musisz. Możemy im powiedzieć, żeby poszli sobie do diabła.

W niedzielę rano zjawiała się taksówka z człowiekiem za sterami (Harshaw stracił zaufanie do automatycznych pilotów), aby zawieźć Mike'a, Jill i Jubala do Sanktuarium Archanioła Fostera należącego do Kościoła Nowego Objawienia.

## Rozdział XXIII

Przez całą drogę do kościoła Jubal usiłował ostrzec Mike'a - ale przed czym, Mike nie miał najmniejszego pojęcia. Słuchał, co mówi jego wodny brat, lecz przesuwał się w dole krajobraz wręcz dopraszał się o uwagę, więc poszedł na kompromis zapamiętując dokładnie każde słowo.

- Pamiętaj, że tym fosterytom chodzi przede wszystkim o pieniądze - upominał go Jubal. - I o rozgłos, jaki

przyniosłoby im twoje przystąpienie do ich Kościoła. Wezmą cię mocno w obroty, więc musisz być twardy.

- Proszę?

- Do licha! Ty mnie w ogóle nie słuchasz!

- Przepraszam, Jubal.

- Cóż... Spójrz na to z tej strony: wielu ludziom religia przynosi znaczną ulgę i nie jest wcale wykluczone, że któraś z religii istotnie jest Prawdą Ostateczną, ale wiara często wbija w pychę. Ta, w której mnie wychowywano, wkładała mi bezustannie do głowy, że jestem lepszy od innych; ja byłem zbawiony, oni potępieni, my żyliśmy w stanie łaski, oni byli poganami. Przez pogan rozumiano ludzi takich jak nasz brat Mahmoud. Głupi nieokrzeszańcy, którzy rzadko kiedy korzystali z wanny, natomiast siali zboże wyłącznie podczas pełni księżyca, twierdzili, że znają odpowiedzi na ostateczne pytania dotyczące Wszechświata, co jakoby dawało im prawo do spoglądania z góry na innych. Nasze pieśni były przesycone arogancją; mówiły głównie o tym, jak wspaniale układa nam się współzycie z Wszechmocnym, jakie wysokie mamy o sobie mniemanie

i jaki okropny los spotka w Dniu Sądu wszystkich, którzy do nas nie należą. Nasze usta były rzekomo krynicami prawdy, a...

- Jubal! - przerwała mu Jill. - Przecież on tego nie grokuje.

- He? Przepraszam. Moi starzy chcieli zrobić ze mnie kaznodzieję. Zdaje się, że czasem to widać.

- Rzeczywiście.

- Nie drwij ze mnie, dziewczyno. Byłbym znakomitym kaznodzieją, gdyby nie to, że wpadłem w fatalny nałóg czytania. Gdybym wykazał odrobinę więcej pewności siebie i ignorancji, na pewno zostałbym słynnym ewangelistą. Do licha, może nawet to miejsce, do którego lecimy, nazywałoby się Sanktuarium Archanioła Jubala?

Ciałem Jill wstrząsnął dreszcz.

- Jubal, proszę! Nie zaraz po śniadaniu.

- Mówię poważnie. Człowiek pewny siebie zdaje sobie sprawę z tego, że kłamie, i to ogranicza jego możliwości, ale dobry szaman wierzy w to, co mówi, dzięki czemu jego możliwości nie są niczym ograniczone. Niestety, zabrakło mi przekonania o mojej nieomyślności, w związku z czym nie mogłem zostać prorokiem, a co najwyżej krytykiem, czyli kimś w rodzaju trzeciorzędnego proroka ze złudzeniami. - Jubal zmarszczył brwi. - Właśnie tego najbardziej obawiam się u fosterytów:

wydaje mi się, że traktują to poważnie, a Mike chłonie jak gąbka wszystkie takie sprawy.

- Jak sądzisz, co będą chcieli zrobić?

- Nawrócić go, a potem położyć łapę na jego majątku.

- Myślałam, że tak wszystko urządziłeś, żeby nikomu to się nie udało?

- Tylko tak, żeby nikt nie mógł tego zrobić wbrew jego woli. Właściwie nie mógłby rozdać tego bez zgody rządu, ale przekazanie fortuny Kościołowi o znacznych politycznych wpływach to zupełnie inna sprawa.

- Dlaczego?

Jubał skrzywił się.

- Moja droga, religia znajduje się właściwie poza prawem. Kościołowi wolno robić wszystko, co wolno każdej organizacji, ale nie dotyczą go żadne ograniczenia. Nie płaci podatków, nie musi publikować sprawozdań finansowych, nie dotyczą go kontrole - a Kościołem jest wszystko, co każe się w ten sposób nazywać. Były już próby wprowadzenia rozróżnienia na prawdziwe religie, którym należą się wszelkie immunitety, i kultury. Niestety, nie da się tego zrobić. Lekarstwo okazałoby się gorsze od choroby. Tak więc zarówno według tego, co pozostało z Konstytucji Stanów Zjednoczonych, jak i w myśl ustaleń Układu o Federacji, wszystkie Kościoły korzystają z takiej samej nietykalności, szczególnie jeśli mogą dostarczyć znacznej liczby głosów. Jeżeli Mike zostanie nawrócony na fosteryzm, zapisze im cały swój majątek, a potem pewnego pięknego dnia pójdzie do nieba - wszystko odbędzie się zupełnie legalnie i nikomu nie uda się na to nic poradzić.

- Dobry Boże! A ja myślałam, że wreszcie jest bezpieczny...

- Po tej stronie grobu nie ma mowy o bezpieczeństwie.

- Co masz zamiar zrobić, Jubal?

- Nic. Mogę tylko obgryzać palce.

Mike zapamiętał ich rozmowę nawet nie próbując jej zgrokować. Wiedział, że dotyczy problemu bardzo prostego w języku marsjańskim, lecz nadzwyczaj skomplikowanego w ziemskim. Od chwili, kiedy nie udało mu się osiągnąć wzajemnego grokowania z jego bratem Mahmoudem, w wyniku niedokładnego tłumaczenia wszechogarniającej marsjańskiej koncepcji "Tyś jest Bogiem", postanowił czekać. Czekanie prędzej czy później przyniesie pożądane owoce. Jego brat Jill szybko uczyła się języka i on wszystko jej wytłumaczy.

Będą wspólnie grokować.

Senator Boone powitał ich na lądowisku Sanktuarium.

- Jak się macie! Niech Bóg błogosławi was w ten piękny sabat. Panie Smith, cieszę się, że znowu pana widzę. Pana też, doktorze. - Wyjął cygaro z ust i spojrzał na Jill. - A ta młoda dama... Czy ja pani nie widziałem w Pałacu?

- Owszem, senatorze. Jestem Gillian Boardman.

- Właśnie tak myślałem. Czy jesteś zbawiona?

- Eee... Chyba nie, senatorze.

- Na to nigdy nie jest za późno. Zapraszamy serdecznie do wzięcia udziału w nabożeństwie dla poszukujących w Zewnętrznej Świątyni. Zaraz zawołam Strażnika, żeby cię zaprowadził. Pan Smith i doktor pójdą do Sanktuarium.

- Senatorze...

- Słucham, doktorze?

- Jeżeli panna Boardman nie może wejść do Sanktuarium, to będzie lepiej, jeśli wszyscy weźmiemy udział w nabożeństwie dla poszukujących. Ona jest jego pielęgniarką.

Boone nie wyglądał na uszczęśliwionego.

- Czy on zachorował?

Jubał wzruszył ramionami.

- Jako jego lekarz wolałbym, żeby była z nami pielęgniarka. Pan Smith jeszcze nie zdążył się zaaklimatyzować na naszej planecie. Zresztą dlaczego sam go pan nie spyta? Mike, czy chcesz, żeby Jill poszła z nami?

- Tak, Jubal.

- Ale... Jak pan sobie życzy, panie Smith. - Boone ponownie wyjął cygaro z ust, zastąpił je dwoma palcami i gwizdnął. - Cherubin, szybko!

Co sił w nogach podbiegł do nich kilkunastoletni chłopak ubrany w krótką tunikę, rajstopy i pantofle. Miał złote kędziory, słoneczny uśmiech i doczepione skrzydełka. Jill pomyślała, że jest apetyczny jak z reklamy piwa.

- Poleć do Biura Sanctum i powiedz pełniącemu służbę Strażnikowi, żeby natychmiast kazał dostarczyć do bramy Sanktuarium jeszcze jedną plakietkę pielgrzyma. Hasło "Mars".

- Tak jest, "Mars"! - wykrzyknął chłopak, zasalutował po harcersku i wykonał sześćdziesięciostopowy skok nad tłumem. Dopiero teraz Jill zrozumiała, dlaczego tunika była taka obszerna; kryły się pod nią minirakietki odrzutowe.

- Musimy pilnować tych plakietek - poinformował ich Boone.

- Zdziwilibyście się, ilu grzeszników chciałoby dzielić z Bogiem Jego Radość nie obmywszy się najpierw ze swoich

grzechów. Oprowadzę was trochę, zanim ją przyniosą.

Przepchnąwszy się przez tłum weszli do Świątyni i znaleźli się w długiej, wysokiej sali. Boone przystanął.

- Chciałem zwrócić wam na to uwagę: sprzedać trzeba umieć wszystko, nawet dzieło Pana. Każdy turysta bez względu na to, czy ma zamiar uczestniczyć w nabożeństwie dla poszukujących, czy nie - a nabożeństwa są odprawiane przez dwadzieścia cztery godziny na dobę - musi przejść przez tę salę. I co widzi? Okazję, by spróbować szczęścia. - Wskazał rzędy jednorękich bandytów stojących przy obu ścianach. - Bar przekąskowy i z napojami jest na samym końcu, więc zanim tam dotrze, prawie na pewno skusi się. Mówię wam, tylko najbardziej zatwardziali grzesznicy wychodzą stąd z nienaruszonym portfelem.

Ale to wcale nie jest tak, że zabieramy im pieniądze, nie dając nic w zamian. Zresztą, przekonajcie się sami... - Boone przepchnął się do jednej z maszyn i poklepał po ramieniu stojącą przed nią kobietę. - Przepraszam, Siostro.

Kiedy się odwróciła, wyraz zniecierpliwienia na jej twarzy natychmiast ustąpił miejsca uśmiechowi.

- Oczywiście, biskupie.

- Błogosławię cię. Jak zauważycie - ciągnął wrzucając w szczelinę dwudziestopięciocentówkę - bez względu na to, czy grzesznikowi uda się wygrać nieco ziemskich dóbr, czy nie, otrzyma w nagrodę błogosławieństwo i pamiątkowy tekst.

Pociągnął za lewarek i w okienkach pojawił się napis: BÓG-PATRZY-NA CIEBIE.

- Za to płacą trzy do jednego - poinformował ich Boone, chowając wygraną do kieszeni. - A oto pamiątkowy tekst. - Oddał fragment papierowej wstęgi i wręczył go Jill. - Zatrzymaj to, młoda damo, i zastanów się nad tym głęboko.

Jill zerknęła na kawałek papieru, zanim schowała go do torebki. "Lecz brzuch Grzesznika wypełnion jest po brzegi plugastwem - N.O. XXII 17."

- Może zwróciliście uwagę, że wygrana jest wypłacana nie w gotówce, lecz w żetonach - mówił dalej senator - kantor wymiany znajduje się dopiero za barem... a podczas zwiedzania jest wiele sposobności, aby złożyć ofiarę na biednych lub w innym zbożnym celu, więc grzesznik najczęściej postanawia zagrać jeszcze raz, w nagrodę za co otrzymuje kolejne błogosławieństwa i pobożne teksty. Rezultat końcowy jest wręcz niewyobrażalny! Niektóre z naszych najwierniejszych owieczek nawróciły się właśnie tutaj, w tej sali!

- Nie wątpię - odparł Jubal.

- Szczególnie jeśli udało im się rozbić bank. Każda kombinacja jest nagradzana błogosławieństwem, ale bank rozbija się tylko wtedy, kiedy uzyska się po trzykroć Święte Oczy. Mówię wam, kiedy zobaczy się te Święte Oczy w jednej linii i spojrzy się w nie, a jednocześnie z Nieba zaczyna sypać się manna, zmusza to człowieka do zastanowienia. Niektórzy nawet mdleją. Proszę, panie Smith... - Boone wręczył Mike'owi żeton. - Może zechce pan spróbować?

Mike zawahał się. Jubal wyjął mu żeton z dłoni - do licha, nie pozwoli na to, żeby chłopak dał się okpić jednorękiemu bandycie.

- Ja zagram, senatorze.

Wrzucił żeton w szczelinę.

Mike nieco rozszerzył swoje postrzeganie i badał wnętrze maszyny, starając się odgadnąć jej przeznaczenie. Był zbyt nieśmiały, żeby samemu ją uruchomić.

Ale kiedy uczynił to Jubal, Mike obserwował z zainteresowaniem kręcące się cylindry i zwrócił uwagę, że na każdym z nich znajduje się rysunek wyobrażający oko. Zastanawiał się, co może znaczyć rozbicie banku; wyrażenie to miało kilka znaczeń, ale żadne nie wydawało się pasować do tej sytuacji. Nie mając najmniejszego zamiaru wywoływać jakiegokolwiek zamieszania, Mike spowolnił ruch wszystkich cylindrów, a wreszcie zatrzymał je tak, że przez okienka wyglądało na zewnątrz troje oczu.

Rozległo się bicie dzwonów, chór zaśpiewał hosanna, automat zaś zamigotał światelkami i zaczął wymiotować żetonami. Boone promieniał zadowoleniem.

- A niech pana Bog błogosławi! Doktorze, ma pan dzisiaj szczęśliwy dzień. Niech pan zakręci jeszcze raz, żeby wyłączyć taśmę.

Wręczył Jubalowi żeton.

Mike'a bardzo to zainteresowało, więc na wszelki wypadek zatrzymał cylindry w tej samej pozycji. Wydarzenia powtórzyły się, z tą tylko różnicą, że obfity wodospad żetonów zamienił się w skromny strumyczek. Boone wybałuszył oczy.

- Coś takiego! Jeszcze nigdy nikomu nie udało się trafić dwa razy pod rząd, i nie powinno się udać, ale dopilnuję, żeby wypłacili panu tyle, ile pan wygrał.

Pośpiesznie wrzucił jeszcze jeden żeton.

Mike w dalszym ciągu nie rozumiał, co to znaczy rozbić bank. Oczy pojawiły się w okienkach po raz trzeci.

Boone zaniemówił, Jill zaś ścisnęła rękę Mike'a i szepnęła:

- Mike, przestań!

- Ale ja tylko...

- Nic nie mów, tylko po prostu przestań. Poczekaj, aż wrócimy do domu!

- Wahałbym się nazwać to cudem - wykrztusił wreszcie Boone. - Prawdopodobnie ta maszyna po prostu wymaga naprawy. Cherubin, tutaj! - ryknął. - Lepiej to wyłączmy - dodał i wsunął żeton w szczelinę.

Tym razem bez pomocy Mike'a w okienkach pojawił się napis: FOSTER-CIEŻ-KOCHA.

Pojawił się Cherubin.

- Życzę miłego dnia - powiedział. - Potrzebujecie pomocy?

- Trzy razy pod rząd - poinformował go Boone.

- Trzy?...

- Nie słyszałeś muzyki? Jesteś głuchy, czy co? Idziemy do baru, a ty w tym czasie wymień żetony. I każ komuś sprawdzić tę maszynę.

- Tak jest, biskupie.

Boone zaprowadził ich do baru.

- Muszę was stąd zabrać, zanim doprowadzicie Kościół do bankructwa - powiedział jowialnie. - Doktorze, czy zawsze ma pan takie szczęście?

- Zawsze - odparł poważnie Harshaw. Powtarzał sobie bezustannie, że przecież nie ma żadnego dowodu na to, że chłopak maczał w tym palce, lecz mimo to wolałby, żeby wizyta u fosterytów już się skończyła.

Boone poprowadził ich do lady, na której stała tabliczka z napisem "Zarezerwowane".

- Tu powinno nam być wygodnie... Chyba że młoda dama wolałaby usiąść?

- Dziękuję, będzie mi bardzo wygodnie - (Jeśli jeszcze raz powiesz do mnie "młoda damo", napuszczę na ciebie Mike'a!)

Natychmiast zjawił się barman.

- Życzę szczęśliwego dnia. To co zwykle, biskupie?

- Podwójną. A dla pana, doktorze? Panie Smith? Proszę się nie krępować, jesteście gośćmi nadbiskupa.

- Poproszę brandy. Z odrobiną wody.

- Poproszę brandy - powtórzył Mike. - Dla mnie bez wody - dodał. W tym przypadku woda nie była najważniejsza, lecz mimo to nie chciał jej pić w tym miejscu.

- To mi się podoba! - wykrzyknął z entuzjazmem senator, trącając Jubalą łokciem w żebra. - A co dla naszej małej damy? Cola? Mleko na cerę? Czy prawdziwy drink razem z dorosłymi?

Jill zdołała się jakoś opanować.

- Senatorze, czy mogłabym prosić o martini? - powiedziała spokojnie.

- Oczywiście! Mamy najlepsze martini na świecie, bez vermouthu, ale za to z błogosławieństwem. Podwójne martini dla naszej młodej damy! Błogosławię cię, synu, ale uwiń się z tym szybko. Zaraz musimy złożyć uszanowanie archaniołowi Fosterowi, a potem idziemy do Sanktuarium, żeby wysłuchać nadbiskupa.

Wraz z drinkami pojawiła się wypłata za trzykrotne rozbicie banku. Wypili pobłogosławione przez Boone'a napoje, a on wepchnął Jubalowi trzysta dolarów, upierając się, że cała wygrana należy do niego. Harshaw w końcu ustąpił, ale natychmiast poprosił, żeby przekazano pieniądze na cele dobroczynne.

Boone skinął z aprobatą głową.

- To bardzo ładnie z pana strony, doktorze. Myślę, że uda nam się pana zbawić. Jeszcze po jednym?

Jill miała nadzieję, że ktoś powie tak; co prawda, gin był potwornie rozwodniony, lecz rozpałił w jej wnętrzu niewielki płomyk tolerancji. Niestety, nikt się nie odezwał, więc Boone poprowadził ich w górę po schodach, obok tabliczki z napisem: GRZESZNIKOM I POSZUKUJĄCYM - TO ZNACZY TOBIE TEŻ! -

WSTĘP SUROWO ZAKAZANY.

Dotarli do bramy.

- Biskup Boone i troje pielgrzymów, gości nadbiskupa - oznajmił senator.

Kiedy brama otworzyła się, poprowadził ich wygiętym łukowato przejściem do obszernego, luksusowo urządzonego pokoju; Jill wygląd tego pomieszczenia skojarzył się z salonem jakiegoś fabrykanta, gdyby nie dźwięki żywej muzyki. Były to "Dzwoneczki" z dodatkiem akompaniamentu sekcji rytmicznej z Konga. Jill uświadomiła sobie, że ma ochotę zatańczyć.

Przeciwległa ściana była wykonana z doskonale przezroczystego szkła.

- Znaleźliśmy się w Obecności - poinformował ich z ożywieniem Boone. - Nie musicie klękać, ale zróbcie to, jeśli macie ochotę. Większość pielgrzymów klęka. Oto o n - dokładnie taki sam jak wtedy, kiedy wezwano go do Nieba. - Machnął trzymanym w palcach cygarem. - Czy nie wygląda



naturalnie? Cudownym sposobem zachowany w nienaruszonym stanie.

Ciało w ogóle nie ulega rozkładowi. Siedzi w fotelu, w którym pisał swoje Posłanie, w tej samej pozie, w której został zabrany do Nieba. Nikt go nie ruszał. Zbudowaliśmy Świątynię dokoła niego, oczywiście najpierw rozebrawszy stary kościół i zabezpieczywszy jego święte kamienie.

Jakieś dwadzieścia stóp przed nimi, w przypominającym tron wielkim fotelu, siedział stary mężczyzna. Wyglądał tak, jakby żył... i przypominał Jill starego kozła z farmy, na której w dzieciństwie spędzała letnie miesiące: wysunięta dolna warga, bokobrody, ogniste, przesywające spojrzenie. Poczwała na ciele gęsią skórę; archanioł Foster nie wywarł na niej zbyt sympatycznego wrażenia.

- Mój bracie, czy to jest Stary? - zapytał Mike po marsjańsku.

- Nie wiem, Mike. Oni twierdzą, że tak.

- Nie rozumiem Starego.

- Już ci powiedziałam, że nie wiem.

- Rozumiem niewłaściwość.

- Mike! Pamiętaj!...

- Tak, Jill.

- Co on mówi, młoda damo? - zapytał Boone. - O co pan pytał, panie Smith?

- Och, to nic takiego, senatorze - odpowiedziała szybko Jill. - Czy mogę stąd wyjść? Boję się, że zemdleję.

Spojrzała na ciało. Unosiły się nad nim skłębione obłoki, przez które przedostawał się pojedynczy promień słońca, padając na twarz. Błyszczące oczy wydawały się należeć do żywego człowieka.

- Za pierwszym razem to często robi takie wrażenie - powiedział uspokajająco Boone. - Może powinna pani pójść na galerię dla poszukujących - patrzy się wtedy z dołu, przy innej muzyce. Zdaje się, że z podkładem poddźwiękowym. To chyba przypomina im o grzechach. Ten pokój to komnata Radosnych Medytacji przeznaczona wyłącznie dla wysokich dostojników Kościoła. Kiedy mam zły nastrój, często przychodzę tutaj, żeby wypalić cygaro.

- Senatorze, proszę...

- Tak, oczywiście. Poczekaj na zewnątrz, moja droga. Panie Smith, pan może tu zostać, jak długo zechce.

- Czy nie powinniśmy już udać się na nabożeństwo? - zapytał Jubal.

Wyszli wszyscy. Jill trzęsła się jak galareta. Bała się, że Mike zrobi coś z tą okropną ekspozycją i fosteryci natychmiast ich zlinczują.

Przy wejściu prowadzącym do Sanktuarium dwaj strażnicy zagrodzili im drogę kopiami.

- Dajcie spokój! - skarcił ich Boone. - Ci pielgrzymi są osobistymi gośćmi nadbiskupa. Gdzie ich plakietki?

Plakietki natychmiast się znalazły, a wraz z nimi numery miejsc.

- Proszę tędy, biskupie - powiedział z szacunkiem szwajcar i zaprowadził ich po szerokich schodach do centralnej łoży usytuowanej dokładnie na wprost ołtarza.

Boone zatrzymał się, przepuszczając Jill.

- Pani pierwsza, młoda damo.

Najwyraźniej chciał zająć miejsce obok Mike'a, ale Jubal nie dopuścił do tego i Mike usiadł między nim a Jill, Boone zaś rad nierad zajął miejsce z boku.

Łoża była luksusowo wyposażona: fotele dostosowujące się do kształtu ciała, popielniczki, rozkładane stoliki. Znajdowali się wysoko nad zgromadzeniem, nie dalej niż sto stóp od ołtarza. Młody kapłan starał się wprowadzić tłum w modlitewne uniesienie, podrygując w rytm muzyki i wymachując muskularnym ramieniem. Jego niski mocny głos przyłączał się od czasu do czasu do chóru, by zaraz wznieść się o rejestr wyżej:

- Dalej, podnieść tyłki! Chcecie, żeby Diabeł przyłapał was na drzemce?

Wzdłuż prawej nawy przesuwiał się wąż utworzony z tańczących ludzi, skręcał przed ołtarzem i kierował się główną nawą w stronę wejścia do Sanktuarium. Stopy uderzały rytmicznie w posadzkę zgodnie z synkopowanym śpiewem chóru. Żup, łup... jęk! Żup, łup... jęk! Jill natychmiast podchwyciła rytm i nagle zdała sobie z zażenowaniem sprawę, że ma ochotę przyłączyć się do tańca, co zresztą czyniło coraz więcej ludzi, ulegając namowom krzepkiego kapłana.

- Ten chłopak nieźle się zapowiada - stwierdził z uznaniem Boone. - Prowadziłem z nim grupowe modły i mogę zaświadczyć, że potrafi zmiękczyć każdy tłum. To wielebny "Kubek" Jackerman. Kiedyś grał na lewym skrzydle u Ramsów, na pewno nie raz go widzieliście.

- Obawiam się, że nie - odparł Jubal. - Nie interesuję się futbolem.

- Doprawdy? Podczas sezonu większość wiernych zostaje po nabożeństwie na lunch i ogląda mecz. Ściana za

ołtarzem rozsuwa się, a za nią jest największy odbiornik stereowizji, jaki kiedykolwiek zbudowano. Można powiedzieć, że ma się grę na wyciągnięcie ręki. Odbiór jest lepszy niż w domu, a w dodatku to bardziej ekscytujące, kiedy siedzi się w tłumie widzów. - Gwizdnął przeciągle. - Cherubin, tutaj!

Szwajcar zjawił się natychmiast.

- Słucham, biskupie?

- Synu, tak szybko uciekłeś, że nie zdążyłem złożyć zamówienia.

- Przepraszam, biskupie.

- Przepraszając nie dostaniesz się do Nieba.

Powtarzamy to samo, przyjaciele? - Zamówiwszy drinki dodał:

- Przynieś mi parę cygar. Główny barman będzie wiedział, jakie.

- Tak jest, biskupie.

- Błogosławię cię, synu. Zaczekaj chwilę... - utworzony z ludzi wąż zbliżał się powoli do nich. Boone wychylił się z łoży, przysunął do ust złożone w tubę dłonie i wrzasnął, przekrzykując hałas: - Dawn! Hej, Dawn! - Jedna z kobiet uniosła głowę i spojrzała w jego kierunku. Skinął na nią, a ona uśmiechnęła się w odpowiedzi. - Dodaj jeszcze whisky z cytryną i znikaj.

Kobieta dotarła do nich bardzo szybko, podobnie jak drinki. Boone przysunął dla niej jeden z foteli stojących w drugim rzędzie.

- Przedstawiam wam pannę Dawn Ardent. Kochanie, ta młoda dama w kącie to panna Boardman... ten dżentelmen przy mnie to słynny doktor Jubal Harshaw...

- Naprawdę? Doktorze, pańskie opowiadania są po prostu boskie!

- Dziękuję.

- Ależ tak! Co wieczór włączam taśmę z jednym z nich, żeby szybciej zasnąć.

- Żaden autor nie mógłby liczyć na większą pochwałę - odparł Jubal z kamienną twarzą.

- Wystarczy, Dawn - wtrącił się Boone. - A ten młody mężczyzna między nimi to... pan Valentine Smith, Człowiek z Marsa.

Dziewczyna wytrzeszczyła oczy.

- O, mój Boże!

- Niech cię błogosławi, dziecko! - ryknął Boone. - Ale ci zrobiłem niespodziankę, co?

- Czy pan naprawdę jest Człowiekiem z Marsa?

- Tak, panno Dawn Ardent.

- Mów mi po prostu Dawn. O, Boże!...

Boone poklepał ją po ręce.

- Nie wiesz, że to grzech nie wierzyć słowu biskupa? Moja droga, czy chciałabyś pomóc Człowiekowi z Marsa odnaleźć drogę ku światłu?

- Och, z rozkoszą!

(No pewnie, parszywa suko! - warknęła w myślach Jill.)

Od chwili, kiedy przyłączyła się do nich panna Ardent, zaczęła ją ogarniać coraz większa złość. Suknia kobiety miała bardzo skromny krój i niczego nie zasłaniała. Jill doszła do wniosku, że panna Ardent wygląda tak, jakby przed chwilą wstała z łóżka i marzyła o tym, żeby tam jak najprędzej wrócić. Z Mike'em. Przestań podsuwać mu swoje zwłoki, ty tania wydro!

- Porozmawiam o tym z nadbiskupem, moja droga - powiedział Boone. - A teraz wracaj i poprowadź dalej ten pochód. Kubek cię potrzebuje.

- Tak jest, biskupie. Miło mi było pana poznać, doktorze. I panią, panno Broad. Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy, panie Smith. Będę się za pana modlić.

Powiedziawszy to odeszła, falując wszystkim, czym można było falować.

- Świetna dziewczucha - stwierdził z satysfakcją Boone. - Widział pan kiedyś jej numer, doktorze?

- Obawiam się, że nie. Co ona robi?

- Nie wie pan?

- Nie.

- Nie słyszał pan o niej? To Dawn Ardent - najlepiej zarabiająca striptizerka w Baja California. Występuje zawsze w świetle reflektora punktowego z przesłoną wycinkową, a kiedy jest już tylko w butach, światło pada tylko na jej twarz, tak że nie widać nic poza tym. Bardzo efektowne. Nadzwyczaj inspirujące. Czy uwierzyłby pan, patrząc na tę słodką buzię, że kiedyś była nadzwyczaj amoralną kobietą?

- Nie uwierzyłbym.

- No więc była. Niech ją pan sam o to spyta. Opowie panu. Albo lepiej niech pan przyjdzie na seans oczyszczający dla poszukujących - dam panu znać, kiedy i ona tam będzie. Kiedy się spowiada, inne kobiety nabierają odwagi, żeby wyznać swoje grzechy. Niczego nie ukrywa. Świadomość, że pomaga ludziom, napełnia ją ogromną radością. Jest bardzo zaangażowana - w każdą sobotę wieczorem po ostatnim występie przylatuje tutaj,

żeby w niedzielę prowadzić lekcje w naszej szkółce. Odkąd przejęła zajęcia w Klasie Szczęścia Młodych Mężczyzn, frekwencja wzrosła trzy razy.

- Wcale mnie to nie dziwi - odparł Jubal. - Po ile lat mają ci szczęśliwi Młodzi Mężczyźni?

Boone wybuchnął śmiechem.

- Nie nabierzesz mnie, stary diable... Ktoś już musiał powiedzieć panu, pod jakim hasłem ona prowadzi swoje zajęcia: "Nigdy nie jest za późno na to, żeby być młodym".

- Naprawdę nie miałem o niczym pojęcia.

- Nie można brać udziału w nabożeństwie, dopóki nie ujrzało się światła i nie przeszło przez oczyszczenie. To jest Jedyne Prawdziwy Kościół, pielgrzymie, nie taki jak te pułapki Szatana, te cuchnące jamy wypełnione grzechem, które zwą się Kościołami. Nie można do nas wejść ot, tak sobie, żeby przeczekać deszcz - najpierw trzeba zostać z b a w i - o n y m. W gruncie rzeczy... - nagle w ogromnym wnętrzu zamigotały światła. - Oho, zaczynają filmować. Kubkowi udało się wprowadzić ich w niezły trans. Zobaczycie, co się teraz będzie działo!

Wężowy taniec przyciągał coraz więcej chętnych. Nieliczni wierni, którzy pozostali w ławkach, wystukiwali rytm i podskakiwali w górę i w dół. Szwajcarzy zbierali z podłogi tych, którzy się na nią osunęli; niektórzy, szczególnie kobiety, wili się i skręcali. Ci byli kładzeni przed ołtarzem, gdzie miotali się niczym wyjęte z wody ryby. Boone wskazał cygarem wymizerowaną rudowłosą kobietę w podartej sukni.

- Widzicie ją? Od ponad roku podczas każdego nabożeństwa wstępuje w nią Duch. Czasem archanioł Foster przemawia do nas poprzez jej usta i wtedy musi ją trzymać czterech krzepkich akolitów. Może pójść do nieba w każdej chwili, jest już gotowa. Komuś jeszcze nalać? Obsługa nie jest najlepsza, kiedy włączą kamery i wszystko nabiera życia.

Mike pozwolił, by uzupełniono zawartość jego szklanki. Nie podzielał odrazy, z jaką Jill przyglądała się rozgrywającej się w dole scenie. Fakt, że Stary, którego mu pokazano, był jedynie zepsutą żywnością, bardzo go zaniepokoił, lecz postanowił odsunąć na bok tę kwestię i zająć się wchłanianiem tego, co widział przed sobą. Było to tak marsjańskie w swojej istocie, że poczuł jednoczesny napływ tęsknoty i zadowolenia z tego, że znowu znalazł się w domu. Oczywiście żaden szczegół nie miał nic wspólnego z Marsem - wszystkie były zupełnie obce - ale Mike grokował zbliżanie się równie realne jak to, jakie

następuje podczas ceremonii dzielenia się wodą, tyle że w ilości i intensywności, jakich nigdy nie spotkał poza swoim gniazdem. Żywił żalosną nadzieję, że ktoś zaprosi go do wspólnego podskakiwania w górę i w dół. Jego stopy aż drżały z chęci przyłączenia się do innych.

Dostrzegł w tłumie pannę Dawn Ardent - może ona go zaprosi? Nie musiał rozpoznawać jej po rozmiarach i proporcjach, choć była równie wysoka jak jego brat Jill i miała niemal identyczne kształty. Panna Dawn Ardent miała swoją własną twarz, na której pod ciepłym uśmiechem wyryty był cały jej ból, troska i radość. Przemknęła mu myśl, czy pewnego dnia panna Dawn Ardent nie zechciałaby podzielić się z nim wodą. Senator biskup Boone nie wzbudzał jego zaufania i Mike był zadowolony, że Jubal nie posadził ich obok siebie, lecz było mu bardzo przykro, że panna Dawn Ardent nie została z nimi w łoży.

Panna Dawn Ardent nie spojrzała na niego, a w chwilę potem tłum zabrał ją ze sobą.

Człowiek stojący na podwyższeniu uniósł oba ramiona; gwar wypełniający wielkie wnętrze nieco przycichł. Nagle opuścił je i zapytał:

- Kto jest szczęśliwy?
- MY JESTEŚMY SZCZĘŚLIWI!
- Dlaczego?
- Bo Bóg... KOCHA NAS!
- Skąd o tym wiecie?
- FOSTER NAM POWIEDZIAŁ!

Mężczyzna padł na kolana, unosząc zaciśniętą pięść.

- Usłyszmy ryk LWA!

Wszyscy ryczeli, wyli i krzyczeli, a on wymachiwał pięścią jak batutą, to wzmagając rwetes, to go przyciszając, sprowadzając do ledwie słyszalnego pomruku, by zaraz potem poprowadzić go w górę raptownym crescendo, od którego trząsał się cały balkon. Mike pławił się w hałasie doświadczając tak ogromnej rozkoszy, iż bał się, że lada chwila będzie musiał się na jakiś czas wycofać. Pamiętał jednak, że Jill pozwoliła mu to robić wyłącznie w jego pokoju, opanował się więc i pozwolił omywać swoje ciało kolejnym falom uniesienia.

Człowiek dyrygujący tłumem podniósł się z klęczek.

- Sponsorem naszego pierwszego hymnu - powiedział z ożywieniem - są "Piekarne Manny", producent Anielskiego Chleba, bochenków miłości, na których opakowaniu widzicie uśmiechnięte oblicze naszego nadbiskupa. Możecie w nich znaleźć kupon premiowy, który zrealizujecie w najbliższym kościele

Nowego Objawienia. Bracia i siostry, już od jutra "Piekarnie Manny" za pośrednictwem swoich oddziałów w całym kraju zaczynają wielką promocyjną sprzedaż przed świętem zrównania dnia z nocą! Wasze dziecko musi pójść do szkoły z pękatym pudełkiem ciasteczek archanioła Fostera - wszystkie są pobłogosławione i zawinięte w opakowanie z pobożną sentencją - i módlcie się, aby każde ciasteczko, którym wasze dziecko kogoś poczęstuje, sprowadziło grzesznika na drogę wiodącą ku światłu.

A teraz połączmy się wszyscy śpiewając naszą starą, ulubioną pieśń "Naprzód, dzieci Fostera!" Dalej, wszyscy razem!

Naprzód, dzieci Foste-ra!

Precz z wrogami naszymi!

Nasza wiara dech im odbiera!

Zmiećmy ich z powierzchni ziemi!

- Druga zwrotka!

Tępić grzeszników nam trzeba!

Bóg jest po naszej stronie!...

Mike był tak zachwycony, że nawet nie próbował zgrokować słów pieśni. Grokował, że nie mają one większego znaczenia; najważniejsze było zbliżanie się. Wąż znowu ruszył, a tworzący go ludzie dołączali swoje głosy do chóralnego śpiewu.

Po hymnie nastąpiły ogłoszenia, informacje z Nieba, reklamówki i podanie szczęśliwych numerów loterii. Kolejny hymn ("Unieśmy w górę rozjaśnione twarze") sponsorowały Sklepy Dattelbauma, w których wszyscy zbawieni mogą dokonywać zakupów

w spokoju i bez pośpiechu, gdyż oferuje się tam wyłącznie towary zaakceptowane przez Kościół, a w tym czasie dzieci przebywają w sali zabaw pod opieką zbawionej siostry.

Kapłan zbliżył się do tłumu i przyłożył dłoń do ucha.

- Chcemy... Digby'ego!

- Kogo?

- Chce-my DIG-BY'E-GO!

- Głośniej! Niech was usłyszy!

- CHCE-MY DIG-BY'E-GO! - Żup, łup, szur, szur! - CHCE-MY DIG-BY'E-GO! - Żup, łup, szur, szur!...

Trwało to bardzo długo, aż wreszcie wydawało się, że cała budowla chwieje się w posadach. Jubal nachylił się do Boone'a.

- Jeszcze trochę, a uda wam się to samo, co Samsonowi.

- Może się pan nie obawiać - odparł Boone, nie wyjmując z ust cygara. - Świątynia jest wzmocniona siłą wiary. To pomaga, choć i tak została odpowiednio zaprojektowana.

Światła przygasły, zasłony rozsunęły się i w oślepiającym

blasku ukazał się nadbiskup Digby, uśmiechnięty i pozdrawiający zebranych złączonymi nad głową dłońmi.

Wierni odpowiedzieli potwornym rykiem, a on zaczął przesyłać im całusy. W drodze do ambony przystanął, podniósł jedną z wciąż jeszcze wstrząsanych lekkimi drgawkami kobiet, pocałował ją, położył delikatnie z powrotem na podłodze i ruszył przed siebie... lecz nagle zatrzymał się ponownie, tym razem przy rudowłosej chudzinie w podartej sukni. Wyciągnął rękę do tyłu i ktoś podał mu mikrofon.

Otoczywszy ramieniem szczupłe barki zbliżył mikrofon do ust kobiety.

Mike nie zrozumiał ani słowa z tego, co mówiła. Odniósł wrażenie, że nie było to po angielsku.

Nadbiskup tłumaczył wypluwane z niezwykłą energią słowa, przerywając w chwilach, kiedy kobieta nabierała oddechu.

- Archanioł Foster jest z nami... Jest z was zadowolony. Ucałuj siostrę z prawej strony... Archanioł Foster kocha was. Ucałuj siostrę z lewej strony... Ma wiadomość dla jednego z was...

Digby zawahał się.

- Co powiedziałaś? Proszę, powtórz to głośniej.

Kobieta wymamrotała coś pod nosem, a następnie przeraźliwie wrzasnęła.

Digby spojrzał z uśmiechem na zgromadzenie.

- Wiadomość jest przeznaczona dla pielgrzyma z innej planety - dla Valentine'a Michaela Smitha, Człowieka z Marsa! Gdzie jesteście, Valentine Michaelu? Pokaż się!

Jill chciała mu przeszkodzić, lecz Jubal powstrzymał ją.

- Lepiej się w to nie wtrącać. Niech wstanie. Pomachaj ręką, Mike. Usiądź.

Mike zrobił to, zdumiony, że tłum skanduje teraz:

- Człowiek z Marsa!... Człowiek z Marsa!...

Kazanie wygłoszone przez nadbiskupa również zdawało się być skierowane do niego, ale nic z niego nie rozumiał. Słowa były angielskie, lecz odnosił wrażenie, iż zostały połączone ze sobą w nieprawidłowy sposób, a poza tym w Sanktuarium panował tak straszny hałas, odzywało się tyle okrzyków "Alleluja!" i "Szczęśliwego dnia!", że poczuł się zupełnie dezorientowany.

Zakończywszy kazanie Digby przekazał prowadzenie dalszej części nabożeństwa młodemu kapłanowi i zniknął. Boone wstał z fotela.

- Chodźcie, kochani. Musimy umknąć przed tłumem.

Mike siedł za nim trzymając Jill za rękę. Wkrótce weszli w



tunel o bogato zdobionym sklepieniu.

- Czy tędy idzie się na parking? - zapytał Jubal. -  
Kazałem kierowcy na nas czekać.

- Co? Tak, cały czas prosto. Ale najpierw zobaczymy się z  
nadbiskupem.

- Proszę? - zdziwił się Jubal. - Bardzo dziękujemy, ale na  
nas już czas.

Boone spojrział na niego przeciągle.

- Doktorze, nadbiskup czeka na was. Musicie złożyć mu  
wyrazy szacunku. Jesteście jego gośćmi.

Jubal poddał się.

- No, cóż... Mam nadzieję, że nie będzie tam wielkiego  
tłoku? Chłopak miał już dzisiaj dość przeżyć.

- Tylko my i nadbiskup.

Boone wprowadził ich do windy, a w chwilę potem znaleźli  
się w salonie apartamentu Digby'ego.

Otworzyły się drzwi i szybkim krokiem wszedł nadbiskup  
Digby. Zdjął już strój liturgiczny, zastąpiwszy go powłóczytą  
szatą. Uśmiechnął się.

- Przepraszam, że kazałem wam na siebie czekać, kochani,  
ale zaraz po kazaniu muszę natychmiast wskoczyć pod prysznic.  
Nawet nie macie pojęcia, ile się człowiek namęczy boksując z  
Szatanem! Więc to jest Człowiek z Marsa? Niech cię Bóg  
błogosławi, synu. Witamy w Domu Pana. Archanioł Foster życzy  
sobie, żebyś czuł się tu jak u siebie w domu. On ma cię pod  
swoją opieką.

Mike nie odpowiedział. Jubal zdziwił się, że Digby jest  
tak niski. Czyżby na scenie występował w butach na obcasie? A  
może to kwestia odpowiedniego oświetlenia? Z wyjątkiem  
krzaczastych bokobrodów, które nosił na pamiątkę Foster'a,  
wyglądał jak sprzedawca używanych samochodów - miał ten sam  
uśmiech i serdeczny sposób bycia. Ale Jubalowi Digby  
przypominał jakąś konkretną osobę... Oczywiście! Simona Magusa,  
od dawna nieżyjącego męża Becky Vesey. Jubal natychmiast poczuł  
przyływ cieplejszych uczuć do nadbiskupa; Simon był  
najsympatyczniejszym skurczybykiem, jakiego kiedykolwiek znał...

Tymczasem Digby skoncentrował swój urok osobisty na Jill.

- Nie klękaj, córko. To prywatne spotkanie przyjaciół.  
Żywię głęboki szacunek dla twego powołania, córko. Cytując  
błogosławione słowa archanioła Foster'a: "Bóg każe nam  
troszczyć się o ciało, aby dusza mogła skoncentrować się  
wyłącznie na poszukiwaniu światła." Wiem, że jeszcze nie  
jesteś jedną z nas, ale Pan przychylnym okiem spogląda na

twoją pracę. - Odwrócił się do Jubala. - Pan też, doktorze. Archanioł Foster mówi nam, że Bóg chce, byśmy byli szczęśliwi. Niejeden raz odkładałem mój pastorał, ledwie żywy ze zmęczenia, i spędzałem radosną godzinę lub dwie nad którymś z pańskich opowiadań, by potem wstać odświeżony i znowu gotów do walki.

- Bardzo dziękuję, biskupie.

- Mówię to zupełnie serio. Kazałem sprawdzić w Niebie pański rejestr... zresztą, nieważne. Wiem, że jest pan niewierzący, ale nawet Szatan ma swoje miejsce w Boskim Planie. Po prostu nie nadszedł jeszcze czas, by pan uwierzył. Ze swoich trosk i bólu tworzy pan szczęście, które daje innym. To wszystko jest zapisane w księdze Wielkiego Rejestratora. Bardzo proszę! Nie zaprosiłem was tutaj, żeby dyskutować o teologii. Nigdy o niej nie dyskutujemy, tylko czekamy, aż zobaczycie światło i wtedy witamy was z otwartymi ramionami. Dziś po prostu spędźmy wspólnie kilka miłych chwil.

Jubal musiał przyznać, że złotousty oszust był dobrym gospodarzem; kawa, trunki i jedzenie były najwyższej jakości. Mike wydawał się nieco spięty, szczególnie po tym, jak Digby wziął go na stronę i przez chwilę rozmawiał z nim sam na sam, ale przecież kiedyś chłopak musiał zacząć się przyzwyczajać do spotkań z obcymi ludźmi.

Boone pokazywał Jill relikwie Fostera trzymane w skrzynce w przeciwległym kącie salonu; Jubal zerkał z rozbawieniem w tamtą stronę, smarując grzanekę pasztetem z gęsich wątróbek. W pewnej chwili usłyszał stuknięcie zamykanych drzwi; kiedy rozejrzał się dookoła, stwierdził, że Digby i Mike zniknęli.

- Dokąd oni poszli, senatorze?

- Proszę? Kto taki, doktorze?

- Biskup Digby i pan Smith. Gdzie oni są?

Boone udał, że dopiero teraz dostrzegł zamknięte drzwi.

- Och, weszli na chwilę do pokoju przeznaczonego dla prywatnych audiencji. Zdaje się, że pan też tam był, kiedy nadbiskup oprowadzał pana po domu?

- Owszem.

W pokoju znajdował się stojący na wysokim podium fotel - raczej tron, poprawił się z uśmiechem Jubal - i klęcznik. Harshaw zastanawiał się, który z nich zasiądzie na tronie, a który zajmie miejsce na klęczniku. Gdyby ten malowany biskup zechciał dyskutować z Mike'em na tematy religijne, czekałoby go spore zaskoczenie.

- Mam nadzieję, że nie będą tam zbyt długo?

- Na pewno nie. Być może pan Smith pragnął zamienić z nadbiskupem kilka słów na osobności. Wie pan co, doktorze? Zawiadomię waszego kierowcę, żeby czekał przy końcu tego tunelu, którym szliśmy do windy. To prywatne wejście nadbiskupa. W ten sposób oszczędzicie dobrych dziesięć minut.

- To bardzo miło z pańskiej strony.

- Jeśli więc pan Smith ma na duszy coś, co chciałby wyznać, nie będziemy go poganiać. Pójdę zatelefonować.

Boone wyszedł z salonu.

- Jubal, to mi się wcale nie podoba - powiedziała Jill. - Myślę, że celowo tak nas wymanewrowali, żeby Digby mógł zostać z Mike'em sam na sam.

- Oczywiście.

- Nie mają prawa tego robić! Zaraz tam wejdę i powiem Mike'owi, że pora jechać.

- Zrobisz, jak zechcesz - odparł Jubal - ale wyjdiesz wtedy na idiotkę. Nawet jeśli Digby próbuje nawrócić Mike'a, to prędzej Mike nawróci jego. Ma argumenty trudne do zbiccia.

- Mimo to nadal nie jestem zachwycona.

- Uspokój się. Może coś zjesz?

- Nie jestem głodna.

- Ja też nie, ale gdybym odmówił przyjęcia darmowego poczęstunku, wyrzuciliby mnie ze Związku Literatów.

Położył szynkę na chlebie posmarowanym grubo masłem, dołożył kilka dodatków, po czym wepchnął do ust chwiejną piramidę.

Kiedy minęło dziesięć minut, a Boone nie wracał, Jill powiedziała ostro:

- Jubal, idę wyciągnąć stamtąd Mike'a.

- Proszę bardzo.

Podeszła do drzwi.

- Są zamknięte!

- Tak właśnie podejrzewałem.

- Co zrobimy? Może je wyważymy?

Jubal przyjrzał się im uważnie.

- Hmm... Gdybym miał taran i dwudziestu silnych ludzi, może bym się na to zdecydował. Jill, takich drzwi nie powstydziliby się nawet skarbiec.

- Więc co robimy?

- Jeśli chcesz, możesz walić w nie pięścią. Ja tymczasem zobaczę, co zatrzymało Boone'a.

Kiedy Jubal wystawił głowę na korytarz, ujrzał wracającego

senatora.

- Bardzo przepraszam - powiedział Boone. - Musiałem wysłać cherubina, żeby znalazł waszego kierowcę. Jadł lunch w Pokoju Radości.

- Senatorze, musimy już wracać do domu. Czy byłby pan tak uprzejmy i zawiadomił o tym biskupa Digby'ego?

- Mógłbym do niego zadzwonić, skoro pan nalega - odparł z zakłopotaniem Boone. - Nie mogę tam wejść w czasie prywatnej audiencji.

- W takim razie proszę zadzwonić.

Jednak Boone'owi oszczędzono kłopotu, gdyż w tej chwili drzwi otworzyły się i z pokoju audiencyjnego wyszedł Mike.

- Nic ci nie jest? - wykrzyknęła Jill, zobaczywszy jego twarz.

- Nic, Jill.

- Powiem nadbiskupowi, że odlatujecie. - Boone wszedł do pokoju sąsiadującego z salonem i natychmiast wrócił. - Wszedł - oznajmił. - Jest tam przejście prowadzące do jego gabinetu. - Senator uśmiechnął się. - Tak jak koty i kucharze, nadbiskup znika bez słowa uprzedzenia. To oczywiście żart. On zawsze powtarza, że "do widzenia" nie da nikomu ani trochę więcej szczęścia. Nie czujcie się urażeni.

- Nie jesteśmy urażeni. Dziękujemy za nadzwyczaj interesujące przeżycie. Nie, proszę się nie trudzić, senatorze. Trafimy do wyjścia.

## Rozdział XXIV

Kiedy znaleźli się w powietrzu, Jubal zapytał:

- Mike, co o tym myślisz?

Człowiek z Marsa zmarszczył brwi.

- Nie gromię.

- Nie ty jeden, synu. Co ci powiedział biskup?

Mike zawahał się.

- Mój bracie Jubal, muszę się zastanowić, zanim to zgromię.

- Zastanawiaj się, ile chcesz, synu.

- Jubal? - odezwała się Jill. - W jaki sposób uchodzi im to na sucho?

- Co takiego?

- No, wszystko. Przecież to nie żaden kościół, tylko dom

wariatów.

- Nie, Jill. To j e s t kościół... połączony z  
eklektyzmem wynikającym logicznie z czasów, w jakich żyjemy.

- Jak to?

- Nowe Objawienie to, wbrew pozorom, nic nowego. Ani  
Foster, ani Digby nie wpadli na żaden oryginalny pomysł, tylko  
sklecieli do kupy stare kawałki, pomalowali świeżą farbą i  
zaczęli robić interesy. Grube interesy. Jedyne, co mnie  
niepokoi, to że mógłbym dożyć czasów, kiedy to będzie  
obowiązkowe.

- Och, nie!

- Och, tak. Hitler zaczynał ze znacznie mniejszym  
kapitałem i miał do zaoferowania tylko nienawiść. Jeżeli ktoś  
ma zamiar utrzymać się dłużej na rynku, powinien handlować  
szczęściem. Wiem o tym, bo prowadzę stragan z tym samym  
towarem, czego zresztą Digby nie omieszkał mi przypomnieć. - Jubal  
skrzywił się. - Powinienem był walnąć go w zęby, a nie  
potakiwać mu z zapalem. Właśnie dlatego boję się go - jest  
sprytny. Wie, czego chcą ludzie: szczęścia. Świat przeżył  
długie stulecie wypełnione strachem i poczuciem winy, a teraz  
Digby mówi ludziom, że nie muszą się niczego bać, ani teraz,  
ani później, i że Bóg każe im być szczęśliwymi. Powtarza im to  
codziennie, bez chwili przerwy: nie bójcie się, bądźcie  
szczęśliwi!

- To prawda - przyznała Jill. - Ciężko nad tym pracuje.  
Ale...

- Dobrze sobie! Ciężko u d a j e, nie pracuje.

- Wcale nie. Wywarł na mnie wrażenie szczerze oddanego  
sprawie. Kogoś, kto poświęcił wszystko dla...

- Bzdury! Już ci kiedyś powiedziałem, Jill, że ze  
wszystkich nonsensów, które wstrząsają światem, najgorszy jest  
tak zwany altruizm. Ludzie zawsze robią tylko to, na co mają  
ochotę. Jeżeli konieczność dokonania wyboru sprawia im ból -  
jeśli jest to coś w rodzaju poświęcenia - możesz być pewna,  
że to tylko poczucie niewygody spowodowane przez chciwość;  
muszą wybrać jedną z dwóch rzeczy, a pożądamy i jednej i  
drugiej. Przeciętny facet cierpi zawsze, kiedy musi podjąć  
decyzję, czy wydać dolara na piwo, czy kupić dzieciakom  
cukierków i czy ma wstać rano do pracy, czy zostać w łóżku i  
stracić robotę. Zawsze wybiera to, co sprawia mniej bólu lub  
daje więcej przyjemności. Łotr i święty dokonują tych samych  
wyborów, tyle tylko, że na inną skalę. Tak samo Digby. Święty  
czy łotr, na pewno nie jest nawiedzonym durniem.

- A kim on właściwie jest, Jubal?
- Uważasz, że istnieje jakaś różnica?
- Pozujesz na cynika, ale nim wcale nie jesteś.

Oczywiście, że istnieje różnica!

- Hmm... Chyba rzeczywiście. Mam nadzieję, że jest łotrem, bo święty może spowodować dziesięć razy więcej nieszczęść. Podkreśl to, co powiedziałem. Możesz powiesić przy tym tabliczkę z napisem "cynizm", ale to niczego nie zmieni. Jill, co najbardziej zaniepokoiło cię w tym nabożeństwie?

- No... wszystko. Nikt mi nie wmówi, że to było prawdziwe nabożeństwo.

- Co oznacza, że nie robili tego tak jak w Małym Drewnianym Kościółku, do którego chadzałaś w dzieciństwie? Obudź się, Jill. W ten sposób nie robią tego ani w Bazylice Świętego Piotra, ani w Mekce.

- Tak, ale... Ale żeby aż t a k? Tańce... jednoręcy bandyci... nawet bar! W tym nie ma nic wzniosłego!

- Nie wydaje mi się, żeby było coś wzniosłego w świątynnej prostytutce.

- He?...

- Mam wrażenie, że istota o dwóch grzbietach równie zabawnie wygląda służąc jakiemuś bogu, co w każdej innej sytuacji. Co do tańców... Widziałaś kiedyś mszę Szakerów? Ani ja. Wiara zakazująca stosunków seksualnych nie ma szans na przetrwanie. Ale okazywanie Bogu czci za pomocą tańca ma długą historię. Nie musi mieć nic wspólnego z artyzmem - Szakerzy na pewno nie stanowiliby konkurencji dla baletu Teatru Wielkiego z Moskwy - ale powinno być możliwie jak najbardziej entuzjastyczne. Czy indiański Taniec Deszczu budzi w tobie odrazę?

- To zupełnie inna sprawa.

- Każda kolejna sprawa jest inna od poprzedniej, ale im bardziej się zmienia, tym bardziej pozostaje taka sama. Natomiast jednoręcy bandyci... Widziałaś kiedyś, jak w kościele gra się w bingo?

- No... tak. Nasz proboszcz spłacał w ten sposób dług hipoteczny parafii. Ale tylko w piątki wieczorem, nigdy podczas mszy!

- I co z tego? Przypomina mi to historyjkę o żonie chełpiącej się swoją wiernością. Sypiała z innymi mężczyznami tylko wtedy, kiedy mąż wyjeżdżał z domu.

- Jubal, te sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego!

- Może tak, a może nie. Analogia to bestia jeszcze

trudniejsza do okiełznania niż logika. Jednak, "młoda damo"...

- Uśmiechnij się, kiedy to mówisz!

- ..."to był tylko żart". Jill, jeśli jakaś rzecz jest grzechem w niedzielę, to nie przestaje nim być w piątek. Przynajmniej ja to tak gromię, a niewykluczone, że również Człowiek z Marsa. Jedyna różnica polega na tym, że fosteryci dają ci za darmo kartkę z pobożną sentencją, nawet jeśli przegrasz. Czy podczas waszej gry w bingo też tak było?

- Kłamliwe bzdury! Teksty z Nowego Objawienia. Szefie, czytałeś to kiedyś?

- Owszem.

- W takim razie wiesz, co to jest. Przesłodzone mądrości ubrane w biblijną stylistykę, oprócz tego masa bzdur i parę naprawdę wstrętnych rzeczy.

Jubal milczał przez dłuższą chwilę.

- Jill, czy znasz święte teksty hinduizmu? - zapytał wreszcie.

- Obawiam się, że nie.

- A Koran? Jakies inne ważne księgi? Co prawda mógłbym przytoczyć odpowiednie przykłady z Biblii, ale nie chciałbym zranić twoich uczuć.

- Możesz się tego nie obawiać.

- Posłużę się Starym Testamentem, bo on ludzi tak bardzo nie obchodzi. Czytałeś o Sodomie i Gomorze, i o tym, jak Jahwe zniszczył oba miasta, pozwalając ujść z życiem tylko Lotowi?

- Oczywiście. Jego żona zamieniła się w słup soli.

- Zawsze wydawało mi się, że to odrobinę zbyt surowa kara. Ale teraz mówimy o Locie. Piotr opisał go jako uczciwego, bogobojnego i prawego człowieka, w którym budziły odrazę plugawe rozmowy niegodziwców. Świętego Piotra musimy traktować jako autorytet w sprawach cnoty, ponieważ to jemu powierzono klucze do Królestwa Niebieskiego. Jednak doprawdy trudno zrozumieć, dlaczego uważał Lota za taki wzór. W całej Biblii znajduje się tylko jedna wzmianka świadcząca o niezwyklej cnotce Lota - cnotce tak ogromnej, że Niebiosa uznały za stosowne ocalić mu życie. Zjrzyj do Księgi Rodzaju, rozdział dziewiętnasty, wiersz ósmy.

- Co tam jest napisane?

- Sama przeczytaj. Wątpię, czy byś mi uwierzyła.

- Jubal! Jesteś najbardziej nieznośnym człowiekiem, jakiego spotkałam w życiu!

- A ty jesteś bardzo ładną dziewczyną, więc nie wezmę ci za złe twojej ignorancji. Dobra, powiem ci, ale obiecaj, że

później tam zajrzysz. Otóż sąsiedzi Lota dobijali się do jego drzwi, żeby pogadać z tymi dwoma typkami z miasta. Lot miał dwie córki - obie dziewice; zaproponował sąsiadom, że da im je, żeby sobie z nimi robili, co chcą, byle tylko dali mu spokój. B ł a g a ł ich, żeby zechcieli się z nimi zabawić.

- Jubal, czy to naprawdę jest tam napisane?

- Trochę unowocześniłem język, ale sens pozostał ten sam. Lot zaproponował grupie mężczyzn - "byli młodzi i starzy", jak mówi Biblia - żeby dokonali zbiorowego gwałtu, a w zamian zrezygnowali z zamiaru wyważenia jego drzwi. - Jubal rozpromienił się. - Powiniennem był zrobić to samo, kiedy służby specjalne wywały m o j e drzwi! Może i ja dostałbym się do nieba? - Nagle posmutniał. - Nie, nic by z tego nie wyszło. W przepisie jest wyraźnie podane, że chodzi o virginis intactae, więc skąd miałbym wiedzieć, której z was zaproponować?

- Och! Trzeba było m n i e o to zapytać.

- Zresztą nawet Lot mógł się pomylić. W każdym razie obiecał im młode, delikatne, przerażone dziewice, w dodatku swoje córki, i zachęcał sąsiadów, żeby zechcieli je zgwałcić. Najważniejsze, żeby j e g o zostawili w spokoju. - Jubal parsknął wściekle. - I Biblia przedstawia tego łajdaka jako prawego człowieka!

- Nie wydaje mi się, żeby tak właśnie uczono nas tego na lekcjach religii... - powiedziała z zastanowieniem Jill.

- Do licha, znajdź ten fragment, jeśli mi nie wierzysz! To nie jedyny wstrząs, jaki czeka na tych, którzy n a p r a w d ę czytają Biblię. Weź na przykład Elizeusza. Był podobno takim świętoszkiem, że potem, kiedy umarł, martwi wracali do życia, jak tylko dotknięto ich jego kośćmi. Miał również łysą pałę, tak samo jak ja. Pewnego dnia dzieci zaczęły wyśmiewać się z jego łysiny, jak i wy to robicie, więc Bóg przysłał niedźwiedzie, a te rozdarły czterdzieścioro dwoje dzieci na krwawe strzępy. Tak jest napisane w drugim rozdziale Drugiej Księgi Królewskiej.

- Szefie, ja nigdy nie śmieję się z twojej łysiny.

- A kto wysłał moje nazwisko do tego szarlatana od przeszczepiania włosów? Ja nie wiem, ale Bóg wie, więc lepiej niech ta osóbką uważa, czy gdzieś w pobliżu nie ma jakichś niedźwiedzi. W Biblii jest mnóstwo takich opisów. Zbrodnie, od których zbiera się na wymioty, są przypisywane boskiej interwencji i nieomyślności, uzasadniają je zaś twarde poczucie zdrowego rozsądku i funkcjonujące dość sprawnie reguły



współzycia społecznego. Nie staram się zdeprecjonować Biblii; przynajmniej nie jest to sterta pornograficznego śmiecia, która jest uważana za świętość wśród hinduistów lub wśród wyznawców wielu innych religii... Ale i c h też nie potępiam, bo nie można wykluczyć, że jedna z tych mitologii jest jednak Prawdziwym Słowem Boga i że Bóg jest w rzeczywistości paranoikiem każącym rozszarpać na kawałki czterdzieścioro dwoje dzieci tylko za to, że nabijały się z Jego kapłana. Nie pytaj mnie o teologiczne uzasadnienie; ja tu tylko sprzątam. Chcę jedynie zwrócić ci uwagę, że Kościół Nowego Objawienia stara się wyglądać jak słodziutki cukierek, a biskup Digby udaje dobrego Jasia: zależy mu wyłącznie na tym, żeby wszyscy zaznali szczęścia na Ziemi, a potem jeszcze wiecznej rozkoszy w Niebie. Nie wymaga od nikogo cielesnych umartwień, wręcz przeciwnie. To ogromne przedsięwzięcie ekonomiczne. Jeśli lubisz pić, uprawiać hazard, tańczyć i uganiać się za dziwkami - przyjdź do kościoła i rób to pod naszym świątobliwym zwierzchnictwem. Możesz mieć czyste sumienie. Korzystaj, ile się da. Bądź szczęśliwy! - Jednak Jubal wcale nie sprawiał wrażenia szczęśliwego. - Oczywiście, trzeba za to zapłacić. Bóg Digby'ego oczekuje, że w zamian staniesz się jego wyznawcą. Wszyscy głupcy, którzy nie chcą dać się uszczęśliwić na Jego warunkach, są grzesznikami i zasługują sobie na wszystkie nieszczęścia, jakie się na nich zwałą. Ale ta reguła jest wspólna dla wszystkich bogów; nie można za to winić ani Fostera, ani Digby'ego. Zwykła woda, którą zachwalają jako cudowny lek na wszystkie zmartwienia, spełnia dokładnie warunki stawiane tego rodzaju specyfikom.

- Szefie, mówisz tak, jakbyś już się prawie nawrócił.

- Mnie to na pewno nie grozi. Nie lubię wężowych tańców, nie znoszę tłumy i nienawidzę, kiedy byle kto mówi mi, gdzie mam chodzić w każdą niedzielę. Po prostu uważam, że nie należy krytykować ich za rzekome zło, które czynią. Nowe Objawienie wyrasta poziomem literackim wysoko ponad przeciętność - nie ma w tym nic dziwnego, gdyż jest to plagiat wielu świętych pism. Co się tyczy wewnętrznej logiki, to większości tego rodzaju utworów nie można oceniać za pomocą tradycyjnych kryteriów, lecz i w tym przypadku Nowe Objawienie trzeba uznać za chlubny wyjątek, bo niezwykle rzadko można przychwycić je na tym, jak zaczyna pożerać własny ogon. Spróbuj porównać Stary Testament z Nowym lub doktrynę buddyzmu z jego apokryfami. Pod względem moralnym fosteryzm jest freudyzmem pokrytym grubą warstwą

lukru, żeby mogli go przełknąć ludzie niezdolni do przyswojenia sobie wprost odrobiny psychologii, choć szczerze mówiąc wątpię, czy ten stary rozpustnik, który to napisał - przepraszam: "został zainspirowany do napisania" - zdawał sobie z tego sprawę. Chyba nie, bo nie był uczonym, ale czuł doskonale ducha swoich czasów. Strach, poczucie winy, kryzys wiary... W jaki sposób mógł nie trafić? Dobra, dosyć tego! Chcę się zdrzemnąć.

- A kto tu gada?

- Ja, ale skusiła mnie kobieta - odparł Jubal i zamknął oczy.

Dotarłszy do domu zastali tam Caxtona i Mahmouda, którzy przylecieli w odwiedziny na cały dzień. Ben był bardzo zawiedziony, że nie zastał Jill, lecz zdołał jakoś otrząsnąć się z przygnębienia w towarzystwie Anne, Miriam i Dorcas. Mahmoud jak zwykle twierdził, że zjawia się wyłącznie w celu spotkania Jubala i Człowieka z Marsa, ale on również zadowolił się towarzystwem jedzenia, picia, ogrodu i pięknych dziewcząt. Miriam masowała mu grzbiet, a Dorcas skronie.

Jubal spojrział na niego.

- Nie musisz wstawać.

- Nie mogę. Ona na mnie siedzi. Cześć, Mike.

- Cześć, mój bracie Śmierdzielu doktorze Mahmoud.

Następnie Mike przywitał się poważnie z Benem i zapytał, czy może odejść.

- Zmykaj, synu - odparł Jubal.

- Mike, jadłeś już lunch? - spytała Anne.

- Nie jestem głodny - odpowiedział ponuro. - Dziękuję, Anne.

Odwrócił się i bez słowa odszedł do domu.

Mahmoud przekreślił się na bok, o mało nie wysadzając Miriam z siodła.

- Jubal, co mu się stało?

- Wygląda, jakby miał chorobę morską - dodał Ben.

- Zostawcie go w spokoju. To przedawkowanie religii.

Jubal zdał im skrótową relację z wydarzeń tego przedpołudnia.

Mahmoud zmarszczył brwi.

- Czy musiałeś zostawiać go sam na sam z Digbym? Wybacz mi, bracie, ale wydaje mi się to co najmniej nierozsądne.

- Śmierdzielu, on musi stopniowo oswajać się z takimi sprawami. Ty pierwszy zacząłeś wkładać mu do głowy teologię - powiedział mi o tym. Dlaczego Digby nie mógłby mieć swojej

szansy? Odpowiedz mi jak naukowiec, nie jak muzułmanin.

- Mogę mówić tylko jako muzułmanin - odparł spokojnie doktor Mahmoud.

- W takim razie przepraszam. Rozumiem cię, choć się z tobą nie zgadzam.

- Jubal, użyłem słowa muzułmanin w jego dosłownym sensie. Nie chodzi mi o wyznanie, które Maryam cały czas błędnie nazywa mahometanizmem.

- I będę tak na ciebie mówiła, dopóki wreszcie nie nauczysz się wymawiać poprawnie mojego imienia. Przestań się wiercić!

- Dobrze, Maryam. Auu!... Kobiety nie powinny mieć takich mięśni. Jubal, jako naukowiec uważam Michaela za ukoronowanie mojej kariery, natomiast jako muzułmanin dostrzegam w nim chęć podporządkowania się woli Boga... co bardzo mnie cieszy, choć są jeszcze pewne trudności, jak choćby ta, że on w dalszym ciągu nie grokuje, co my rozumiemy przez słowo Bóg. - Mahmoud wzruszył ramionami. - Jednak jako człowiek, który zawsze jest Niewolnikiem Boga, kocham naszego przybranego syna i wodnego brata, i nie chcę, żeby dostał się pod złe wpływy. Abstrahując od spraw wiary, wydaje mi się, że Digby'ego można właśnie nazwać złym wpływem. A co ty o tym myślisz?

- To podstępny skurczybyk - wykrzyknął z entuzjazmem Ben. - Nie ujawniłem jego matactw w moich artykułach tylko dlatego, że syndykat boi się to wydrukować. Śmierdzieli, mów tak jeszcze, a zacznę uczyć się arabskiego i kupię sobie dywan.

- Mam nadzieję. Dywan akurat nie jest konieczny.

Jubal westchnął ciężko.

- Zgadzam się z wami. Wolałbym, żeby Mike zaczął palić marihuanę, niż został nawrócony przez Digby'ego, ale nie wydaje mi się, żeby dał się wciągnąć w ten synkretyczny bigos... a poza tym powinien już zacząć się uodparniać na złe wpływy. Uważam, że akurat ty wywierasz na niego dobry wpływ, choć podejrzewam, że masz równie mało szans - chłopak dysponuje zdumiewająco silnym umysłem. Możliwe, że Mahomet będzie musiał ustąpić miejsca nowemu prorokowi.

- Jeśli taka będzie wola Boga... - odparł Mahmoud.

- Z tym rzeczywiście trudno dyskutować - zgodził się Jubal.

- Kiedy was nie było, rozmawialiśmy trochę o religii - odezwała się Dorcas. - Szefie, czy ty wiesz, że kobiety mają

dusze?

- Naprawdę?

- Tak twierdzi Śmierdziel.

- Maryam chciała się dowiedzieć, dlaczego my, mahometanie, uważamy, że dusze posiadają wyłącznie mężczyźni - wyjaśnił Mahmoud.

- Miriam, to równie wulgarnie uproszczenie jak to, że Żydzi składają w ofierze chrześcijańskie dzieci. Według Koranu do Raju dostają się całe rodziny, kobiety i mężczyźni. Weź na przykład "Złote ornamenty", wers siedemdziesiąty - zgadza się, Śmierdzielu?

- Wejdźcie do Ogrodu, wy i wasze żony, abyście stali się szczęśliwymi - potwierdził Mahmoud. - Nie dam rady tego lepiej przetłumaczyć.

- Słyszałam o pięknych hurysach, które mahometanie trzymają dla rozrywki w swoim Raju - zauważyła Miriam. - W jaki sposób miałyby się znaleźć tam jeszcze miejsce dla żon?

- Hurysy to zupełnie inny rodzaj istot, tak samo jak dżinnowie i anioły - wyjaśnił Jubal. - Nie potrzebują dusz, bo od razu są samymi duchami - wiecznymi, niezmiennymi i pięknymi. Istnieją również męskie hurysy, czy coś w tym rodzaju. Nie muszą sobie zasłużyć na wejście do Raju, gdyż należą do obsługi. Roznoszą smakowite potrawy i drinki nie powodujące kaca, i zabawiają gości tak, jak oni sobie tego zażyczą. Natomiast dusze żon nie mają powodów do narzekań, bo nie muszą pracować. Zgadza się, Śmierdzielu?

- Mniej więcej, oczywiście biorąc poprawkę na dość dowolny dobór słów. Hurysy... - Nagle przerwał i usiadł gwałtownie, zrzucając z siebie Miriam. - Hej, dziewczęta! Możliwe, że jednak nie macie dusz!

- Och, ty niewdzięczny psie! - syknęła Miriam.

- Natychmiast to odszczekaj!

- Uspokój się, Maryam. Jeżeli nie masz duszy, to znaczy, że jesteś nieśmiertelna. Jubal... Czy to możliwe, żeby człowiek umarł i wcale tego nie zauważył?

- Nie wiem. Nigdy nie próbowałem.

- Czy nie mogło być tak, że umarłem na Marsie i tylko śnię, że wróciłem do domu? Rozejrzyjcie się dookoła! Jesteśmy w ogrodzie, który wzbudziłby zazdrość samego Proroka. Cztery piękne hurysy podają o dowolnej porze znakomite potrawy i wysmienite drinki. Jeśli się uprzeć, można nawet uznać, że są też ich męskie odpowiedniki. Czy to Raj?

- Zapewniam cię, że nie - uspokoił go Jubal. - Wkrótce

będę musiał zapłacić podatek.

- Ale przecież m n i e to nie dotyczy.

- Co zaś tyczy się tych hurys... Nawet jeśli założymy, że są wystarczająco ładne, bo to przecież rzecz gustu...

- Mogą być.

- Zapłacisz za to, szefie!

- ...pozostaje jeszcze kwestia jednego koniecznego atrybutu hurys - dokończył Jubal.

- Hmm... - mruknął Mahmoud. - Lepiej się w to nie zagłębiajmy. Gdybyśmy rzeczywiście znajdowali się w Raju, byłby to nieodłączny atrybut duchowy, całkowicie oczywisty.

- Skoro tak - stwierdził stanowczo Jubal - to mogę cię zapewnić, że one nie są hurysami.

Mahmoud westchnął z żalem.

- W takim razie będę musiał nawrócić jedną z nich.

- Dlaczego jedną? Są takie miejsca, gdzie mógłbyś wykorzystać cały limit.

- Nie, mój bracie. Jak mądrze mówi Prorok: prawo pozwala mieć cztery, lecz uczciwie można się zająć tylko jedną.

- Miło to słyszeć. Którą wybierasz?

- Zobaczymy. Maryam, czy czujesz się odpowiednio uduchowiona?

- Idź do diabła! Widzicie ich, wymyślili sobie hurysy!

- Jill?

- Nie zgadzam się! - zaprotestował Ben. - Ja nad nią pracuję.

- W takim razie Jill później. Anne?

- Przykro mi, ale jestem umówiona.

- Dorcas? Jesteś moją ostatnią szansą.

- Powiedz mi, Śmierdzielu, jak bardzo mam być uduchowiona?

- zapytała łagodnie.

\*

Mike poszedł na górę do swojego pokoju, zamknął drzwi, położył się na łóżku, przyjął pozycję embrionalną, wywrócił oczy, połknął język i spowolnił bicie serca. Jill nie lubiła, kiedy robił to w dzień, ale nie zgłaszała sprzeciwu, dopóki nie zabierał się do tego przy ludziach. Nie mógł robić przy ludziach wielu rzeczy, lecz tylko ta jedna wywoływała jej gniew. Czekał na stosowną chwilę od momentu, kiedy opuści tamto pomieszczenie zawierające straszliwą niewłaściwość; musiał jak najszybciej wycofać się i spróbować wszystko

zgrokować.

Uczył coś, czego Jill zakazała mu robić.

Odczuwał bardzo ludzką chęć usprawiedliwienia się tym, że został do tego zmuszony, lecz jego marsjańskie wychowanie nie pozwalało mu skorzystać z tej drogi ucieczki. Znalazł się w sytuacji, kiedy musiał postąpić właśnie tak, a nie inaczej i świadomie dokonał wyboru. Grokował, że uczynił słusznie, ale przecież jego wodny brat Jill zakazał mu tego robić...

Jednak gdyby tego nie zrobił, nie miałby żadnego wyboru, a to doprowadziłoby do powstania sprzeczności. Wyboru należało dokonywać zawsze, kiedy istniała taka konieczność, gdyż prowadziło to do rozrastania się ducha.

Czy Jill byłaby zadowolona, gdyby podjął inne działanie, nie marnując żywności?

Na pewno nie. Grokował, że zakaz Jill dotyczył również tego drugiego wariantu.

W tym momencie istota powstała z ludzkich genów i ukształtowana przez marsjański sposób myślenia, która nie mogła stać się ani człowiekiem, ani Marsjaninem, zakończyła jeden z etapów rozwoju, przestając być młodym w gnieździe. W jednej chwili spadła na Smitha świadomość samotności wynikającej z posiadania wolnej woli, a także marsjański spokój pozwalający ogarnąć jej gorycz, rozkoszować się nią, zachwycać i akceptować wszystkie konsekwencje. Z tragiczną radością zdał sobie sprawę, że od tej pory sam będzie musiał podejmować wszelkie decyzje; jego wodny brat Jill mógł go uczyć i służyć mu radą, lecz decyzja należała wyłącznie do niego. Na tym właśnie polegała wieczna całość, ostateczny dar i końcowe zahipotekowanie: własność i właściciel zgrokowani jako niepodzielna jedność. Już nigdy nie będzie mógł uwolnić się od następstw swoich decyzji.

Teraz, kiedy już wie, że jest sobą, będzie mógł jeszcze lepiej grokować swoich braci, łącząc się z nimi bez reszty. Integralność osobowości była, jest i będzie; Mike przestał zachwycać się istnościami swoich niezliczonych braci na Marsie, tych niewielu, ale tym bardziej cennych, na Ziemi, niewyobrażalną liczbą innych, dopiero czekających na uwielbienie i zgrokowanie - i zaczął grokować i wielbić samego siebie.

Cały czas pozostawał w transie; tyle miał do zgrokowania, taki galimatias spraw, które musiał rozplątać i wprowadzić w proces swojego dorastania... Wszystko, co widział, słyszał i w czym brał udział w Sanktuarium Archanioła Fostera (nie tylko chwila, kiedy znalazł się sam na sam z Digbym)... dlaczego tak źle się czuł w towarzystwie biskupa senatora Boone'a...

dlatego panna Dawn Ardent smakowała jak wodny brat, chociaż nim nie była... skąd wziął się zapach dobra podczas podskakiwania i śpiewu, którego nie zdążył do końca zgrokować...

Rozmowy, które prowadził Jubal... Słowa Jubala sprawiały mu najwięcej kłopotów. Analizował je, porównywał z tym, czego nauczył się w gnieździe, starając się pokonać przepaść dzielącą oba języki - ten, w którym myślał i ten, w którym dopiero uczył się myśleć. Szczególny problem pojawiał się przy słowie kościół, przewijającym się bezustannie przez to, co mówił Jubal. W marsjańskim sposobie myślenia nie istniało pojęcie, któremu można było je przyporządkować, chyba że wzięłoby się razem kościół, modlitwę, Boga, zgromadzenie i jeszcze wiele innych słów, i przyrównałoby się je do całości jedyne go świata, jaki poznał w trakcie swojego czekania-dorastania... a następnie przełożyło wszystko z powrotem na angielski, na wyrażenie, które zostało odrzucone przez Mahmouda, Jubala i Digby'ego - choć przez każdego w odmienny sposób.

T y ś j e s t B o g i e m. Mike był teraz bliższy zrozumienia tego zdania, aczkolwiek zdawał sobie sprawę, że nigdy nie uda mu się zawrzeć w nim ostateczności marsjańskiego pojęcia, które miało wyrażać. W myślach powtarzał je jednocześnie z marsjańskim słowem, czując, jak z każdą chwilą coraz bardziej je grokuje.

Przed północą przyśpieszył bicie serca, zaczął znowu normalnie oddychać, sprawdził działanie poszczególnych organów, rozprostował się i usiadł. Przedtem czuł się zmęczony, ale teraz był rześki, świeży, z otwartym umysłem, gotowy podjąć każde z wielu działań, o jakich wiedział, że już wkrótce go czekają.

Tak, jak poprzednio pragnął spokoju, tak teraz odczuwał szczeniącą chęć przebywania w czymś towarzystwie. Wyszedłszy do holu uradował się, widząc jednego ze swoich wodnych braci.

- Cześć!

- Cześć, Mike. Wyglądasz jak skowronek na wiosnę.

- Czuję się dobrze! Gdzie są wszyscy?

- Śpią. Ben i Śmierdziel godzinę temu polecieli do domu.

- Aha. - Mike był trochę rozczarowany, że Mahmoud wyjechał, bo chciał się z nim podzielić swoim nowym grokowaniem.

- Ja właściwie też powinnam już spać, ale zachciało mi się jeść. Jesteś głodny?

- Oczywiście, że jestem głodny!

- Chodź, w kuchni powinien być kurczak na zimno, a może

coś jeszcze. - Zeszli na dół i załadowali obficie tacę. -  
Wyjdźmy na zewnątrz. Jest bardzo ciepło.

- Dobry pomysł - zgodził się Mike.

- Tak ciepło, że można pływać. Prawdziwe babie lato.

Zapalę światła.

- Nie warto - powiedział Mike. - Wezmę tacę.

Widział doskonale nawet w całkowitej ciemności. Jubal twierdził, że ta umiejętność najprawdopodobniej miała związek z warunkami, w jakich się wychowywał; Mike zgrokował, że to prawda, lecz grokował również, że nie jest to pełne wyjaśnienie. Jego przybrani rodzice po prostu n a u c z y l i go widzieć.

Noc istotnie była ciepła, choć Mike mógłby swobodnie przebywać bez ubrania nawet na szczycie Mount Everestu. Jednak jego wodni bracia przejawiali niewielką tolerancję na zmiany temperatury i ciśnienia. Od chwili, kiedy dowiedział się o ich słabości, zawsze starał się brać ją pod uwagę. Mimo to z utęsknieniem oczekiwał na pierwszy śnieg; pragnął przekonać się na własne oczy, że każdy płatek stanowi niepowtarzalną konstrukcję utworzoną z kryształków zamrożonej wody, chodzić po nim na bosaka, a nawet tarzać się w zaspach.

Tymczasem jednak cieszył się przyjemnym ciepłem nocy i jeszcze przyjemniejszym towarzystwem wodnego brata.

- W porządku; weź ją, a ja włączę światła w basenie.

- Dobrze.

Mike bardzo lubił wydobywający się spod wody blask, załamywany w maleńkich falach. Było w tym dobro i piękno. Zjedli posiłek przy basenie, a potem położyli się na trawie i zaczęli wpatrywać w gwiazdy.

- Mike, tam jest Mars. To Mars, prawda? Czy Antares?

- Mars.

- Mike... Co oni robią tam, na Marsie?

Smith zawahał się. Pytanie obejmowało zbyt szeroki zakres, jak na jego jeszcze niedoskonałą znajomość angielskiego.

- Po stronie w kierunku horyzontu... to znaczy, na południowej półkuli, jest teraz wiosna. Rośliny są uczone, jak mają rosnać.

- Są uczone...?

Ponownie zawahał się.

- Larry też uczy rośliny, jak mają rosnać. Pomagałem mu.

Ale moi ludzie... to znaczy Marsjanie - wiem, że teraz w y jesteście moimi ludźmi - uczą rośliny w inny sposób. Na drugiej półkuli robi się coraz zimniej i nimfy, którym udało się



przeżyć lato, przyprowadza się do gniazd, żeby je przyspieszyć i wzrosnąć. - Zastanowił się przez chwilę. - Jeden z ludzi, których zostawiliśmy na równiku, odcieleśnił się, a inni są smutni.

- Tak, mówili o tym w wiadomościach.

Mike nie oglądał tych wiadomości. O tym, co powiedział swojemu bratu, dowiedział się dopiero wtedy, kiedy został o to zapytany.

- Nie powinni być smutni. Pan T. W. Jones, technik żywnościowy pierwszej klasy, nie jest smutny, bo Starzy go umiłowali.

- Znałeś go?

- Tak. Miał własną twarz, ciemną i piękną. Ale tęsknił za domem.

- Mój Boże! Mike, czy ty też czasem tęsknisz za domem? Za Marssem?

- Początkowo tęskniłem - odparł. - Byłem zawsze samotny. - Przetoczył się bliżej niej i wziął ją w ramiona. - Ale teraz nie jestem samotny. Głokuję, że już nigdy nie będę samotny.

- Mike, najdroższy...

Pocałowali się, a pocałunek trwał i trwał...

Wreszcie wodny brat Człowieka z Marsa oderwał się od niego, by zaczerpnąć tchu.

- O, rety! To było chyba jeszcze gorsze niż za pierwszym razem.

- Nic ci nie jest, mój bracie?

- Nic. Zupełnie nic. Pocałuj mnie jeszcze raz.

Dużo później, licząc według zegara kosmicznego, powiedziała:

- Mike, czy to... To znaczy, czy ty wiesz...

- Wiem. To jest po to, żeby się zbliżyć. Teraz zbliżamy się.

- Właściwie... Chciałam tego od dawna. Mój Boże, wszystkie tego chciałyśmy, ale... Zresztą, nieważne. Posuń się troszeczkę, pomogę ci.

Kiedy stopili się w jedno, głokując się coraz bliżej, Mike oznajmił tryumfalnie:

- Tyś jest Bogiem!

Odpowiedź, jaką otrzymał, nie składała się ze słów. Potem, kiedy głokowanie stało się jeszcze bliższe i Mike poczuł, że właściwie jest już gotów się odcieleścić, usłyszał jej szept:

- Och!... Och! Tyś jest Bogiem!

- Głokujemy Boga.

## Rozdział XXV

Na Marsie ludzie budowali kopuły ciśnieniowe dla wyprawy składającej się z kobiet i mężczyzn, która miała przybyć następnym statkiem. Zaawansowanie prac wyprzedzało harmonogram, gdyż Marsjanie okazali dużą pomoc. Część zaoszczędzonego w ten sposób czasu wykorzystywano na wstępne obliczenia i pomiary związane z projektem uwolnienia tlenu związanego z różnymi minerałami w piaskach Marsa, by uczynić tę planetę nieco bardziej przyjazną dla przyszłych pokoleń.

Starzy ani nie pomagali, ani nie przeszkadzali w tych czynnościach; jeszcze nie nadszedł czas. Ich medytacje zbliżały się do punktu krytycznego, który miał na długie tysiąclecia zdecydować o kształcie marsjańskiej sztuki. Na Ziemi odbywały się kolejne wybory, a pewien poeta opublikował w niewielkim nakładzie wiersz składający się wyłącznie ze znaków interpunkcyjnych i spacji. Recenzent "Time'a" zasugerował, żeby w tej samej postaci drukowano sprawozdania z posiedzeń Najwyższej Rady Federacji.

Rozpoczęto gigantyczną kampanię mającą na celu zwiększenie sprzedaży narządów płciowych roślin, cytując przy tym wypowiedź pani Douglas ("Cień wielkości"): "Nie usiadłabym przy stole, na którym nie ma kwiatów, tak samo jak nie usiadłabym przy stole bez obrusa." Tybetański swami<sup>10</sup> z Palermo na Sycylii ogłosił w Beverly Hills o odkryciu zupełnie nowego, aczkolwiek wywodzącego się ze starożytnej jogi, sposobu oddychania, zwiększającego siłę kosmicznego oddziaływania między płciami. Jego uczniowie musieli siedzieć w pozie matsyendra, ubrani w ręcznie tkane szaty, podczas gdy on czytał im na głos Rygwedę, jego asystent zaś w pokoju obok przeglądał zawartość portfeli i torebek. Nie zanotowano żadnej kradzieży, gdyż obu dżentelmenom przyświecały bardziej długofalowe cele.

Prezydent Stanów Zjednoczonych ogłosił pierwszą niedzielę listopada Narodowym Dniem Babci i zachęcał Amerykę, aby uczciła to święto ogromną liczbą kwiatów. Właściciel sieci domów pogrzebowych został oskarżony o stosowanie nadmiernych obniżek cen. Biskupi Kościoła Nowego Objawienia (fosteryci) po tajnym konklawe oznajmili o drugim Wielkim Cudzie: nadbiskup Digby dostąpił wniebowstąpienia i mianowany został

archaniołem, ustępując rangą jedynie archaniołowi Fosterowi. Informacji tej towarzyszyła wiadomość o mianowaniu nowego nadbiskupa, którym po długich targach, dzięki poparciu frakcji senatora Boone'a, został Huey Short.

"L'Unita" i "Hoy" opublikowały jednobrzmiące demaskatorskie artykuły na ten temat, "l'Osservatore Romano" i "Christian Science Monitor" zignorowały to wydarzenie, "Times of India" wykpił je, natomiast ukazujący się w Manchesterze "Guardian" po prostu zrelacjonował - fosterycy w Anglii byli nieliczni, ale nadzwyczaj wojowniczo nastawieni.

Digby niezbyt ucieszył się ze swojego awansu. Człowiek z Marsa nie pozwolił mu dokończyć doprowadzonego zaledwie do połowy dzieła, a ten głupi osioł Short na pewno nie da rady tego dokonać. Foster wysłuchał z anielską cierpliwością wszystkich żalów Digby'ego, po czym rzekł:

- Posłuchaj, junior: jesteś teraz aniołem, więc daj sobie z tym wszystkim spokój. W wieczności nie ma czasu na to, żeby się nawzajem obwiniać. Ty też zachowywałeś się jak głupi osioł, dopóki nie wpadłeś na pomysł, żeby mnie otruć. Potem radziłeś sobie całkiem nieźle. Teraz, kiedy Short został nadbiskupem, na pewno da sobie radę, bo nie ma innego wyjścia. Tak samo jest z papieżami; niektórzy byli zupełnie do niczego, dopóki nie dostali tej posady. Pogadaj z którymś z nich. Nie bój się, tu nie ma czegoś takiego jak profesjonalna zawiść.

Digby uspokoił się, ale przedstawił jedną prośbę.

Foster potrząsnął aureolą.

- Nie wolno ci go tknąć. Nawet nie powinieneś próbować. Naturalnie, jeśli koniecznie chcesz zrobić z siebie głupca, możesz złożyć prośbę o zgodę na dokonanie cudu, ale zapewniam cię, że jej nie uzyskasz. Jeszcze nie rozumiesz Systemu. Marsjanie mają własny układ, odmienny od naszego, i jak długo potrzebują tego gościa, nie możemy mu nic zrobić. Robią wszystko po swojemu - we Wszechświecie istnieje ogromna różnorodność, dla każdego coś miłego. Wy, pracownicy operacyjni, często nie zdajecie sobie z tego sprawy.

- Chcesz powiedzieć, że ten punk może machnąć mnie na tę stronę, a mnie nie wolno mu się niczym odwdziżyć?

- Ja chyba postąpiłem tak samo, prawda? Zdaje się, że ci teraz pomagam? Posłuchaj, jest masa roboty do odwalenia. Szef wymaga fachowości, nie jakichś przepychanek. Jeśli będziesz potrzebował wolnego dnia, żeby się odprężyć, poleć do Raju muzułmanów i rób tam, co ci się podoba, ale na co dzień masz

wyprostować aureolę, nastroszyć skrzydła i zakasać rękawy. Im wcześniej zaczniesz się zachowywać jak anioł, tym szybciej poczujesz się jak w Niebie. Uśmiechnij się, junior!

Z piersi Digby'ego wyrwało się głębokie eteryczne westchnienie.

- W porządku, jestem Szczęśliwy. Od czego mam zacząć?

Jubal dowiedział się o zniknięciu nadbiskupa z pewnym opóźnieniem. Co prawda, zaświtało mu w związku z tym pewne podejrzenie, lecz natychmiast przestał sobie zaprzętać tym głowę; nawet jeśli Mike miał z tym coś wspólnego, załatwił to nie zostawiając żadnych śladów.

Tymczasem w jego domu rozszalały się gwałtowne burze. Harshaw domyślał się, co było ich powodem, choć nie miał zamiaru przeprowadzać śledztwa. Mike osiągnął już pełnoletność i gdyby chciał, z pewnością potrafiłby wyjść obroną ręką z każdego zwarcia. Poza tym i tak był już najwyższy czas, żeby stał się mężczyzną.

Jubal nie mógł zrekonstruować zbrodni na podstawie zachowania dziewcząt, ponieważ układy były płynne i ulegały bezustannym zmianom: ABC przeciwko D, BCD przeciwko A, AB przeciwko CD, AD przeciwko CB... I tak dalej, przez wszystkie możliwe kombinacje, w jakich cztery kobiety mogły skakać sobie nawzajem do oczu.

Trwało to niemal przez cały tydzień zapoczątkowany fatalną wyprawą do kościoła; w tym okresie Mike przebywał głównie w swoim pokoju, najczęściej pogrążony w tak głębokim transie, że Jubal natychmiast uznałby go za martwego, gdyby już wcześniej nie widział go w podobnym stanie. Harshaw nie miałby nic przeciwko temu, gdyby nie to, że właściwie nie miał go kto obsługiwać. Dziewczyny spędzały większość czasu na sprawdzaniu, "czy Mike'owi nic nie jest" i były zbyt zajęte, żeby gotować, nie wspominając już o wypełnianiu obowiązków sekretarek. Nawet niewzruszona jak skała Anne... Do diabła, Anne była najgorsza! Roztargniona, wybuchająca bez powodu płaczem... Mimo to Jubal gotów był założyć się o swoją głowę, że nawet gdyby miała teraz znaleźć się jako Świadek przy Powtórny Przyjściu w Chwale, bez problemu zapamiętałaby datę, czas, osoby biorące udział, porządek wydarzeń i ciśnienie atmosferyczne.

W czwartek wieczorem Mike nagle przebudził się z transu i w jednej chwili miał ABCD na swoje usługi. Dziewczęta zaczęły także zajmować się Jubalem, choć ten miał nieprzyjemne wrażenie, że nawet gdyby zwiększył im pięciokrotnie pensję, w chwili kryzysu

one i tak wybrałyby Mike'a.

Ponieważ jednak do domu wreszcie powrócił spokój, Harshaw nie miał nic przeciwko temu, żeby tymczasowe rządy sprawował nie on, a ktoś inny. Posiłki znowu były o czasie, nawet lepsze niż poprzednio; kiedy zawołał "Pierwsza!", dziewczyna, która się pojawiała, była uśmiechnięta, szczęśliwa i chętna do pracy. Jubal w najmniejszym stopniu nie interesowało, kto zajmuje pierwsze miejsce na liście popularności.

Oprócz tego bardzo interesujące były zmiany, jakie dokonały się w Mike'u. Jeszcze w ubiegłym tygodniu chłopak był wręcz nienormalnie potulny, teraz zaś stał się tak pewny siebie, że Jubal nie zawahałby się określić go jako czupurnego, gdyby nie to, że był w dalszym ciągu nadzwyczaj grzeczny i uprzejmy.

Hołdy składane mu przez dziewczęta odbierał jako coś zupełnie naturalnego, sprawiał wrażenie starszego, niż wynikało to z jego wieku, głos pogłębił mu się, mówił donośnie i dobitnie, a nie cicho i nieśmiało. Jubal ocenił, że Mike'a można już było przestać traktować jak pacjenta.

Z jednym tylko wyjątkiem: Mike w dalszym ciągu nie potrafił się śmiać. Czasem tylko uśmiechał się, usłyszawszy jakiś żart i zdarzało się nawet, że nie prosił o wyjaśnienie. Był pogodny, nawet wesoły - ale nigdy się nie śmiał.

Jubal doszedł do wniosku, że nie ma to większego znaczenia. Pacjent był normalnym zdrowym człowiekiem. Jeszcze niedawno Harshaw zawahałby się przed postawieniem jakiegokolwiek sumy na to, że tak się sprawy potoczą, więc teraz zdobył się na dosyć pokory, by nie przypisywać sobie zasług. Człowiek z Marsa znacznie więcej miał do zawdzięczenia dziewczynom... a może dziewczynie?

Od samego początku Jubal powtarzał Mike'owi, że jest mile widzianym gościem, ale powinien także zobaczyć nieco świata, jak tylko poczuje się wystarczająco silny. W związku z tym nie powinien czuć się zaskoczony, kiedy pewnego dnia przy śniadaniu Mike oznajmił, że wyjeżdża. Był jednak zaskoczony, a także urażony.

Harshaw ukrył te uczucia ocierając niepotrzebnie usta serwetką.

- Dobra? A kiedy?

- Wyjeżdżamy dzisiaj.

- Aha. Użyłeś liczby mnogiej. Czy mam rozumieć, że od tej pory Larry, Duke i ja będziemy sami sobie gotować?

- Rozmawialiśmy o tym - odparł Mike. - Ja muszę mieć kogoś przy sobie. Jeszcze nie znam ludzi i często popełniam błędy.

Powinienem zabrać Jill, bo ona chce w dalszym ciągu uczyć się marsjańskiego, ale może to być Larry lub Duke, jeśli nie chcesz rozstać się z żadną z dziewcząt.

- Mam prawo głosu?

- Jubal, ty musisz zdecydować. Wszyscy o tym wiemy.

(Synu, prawdopodobnie właśnie powiedziałeś swoje pierwsze kłamstwo. Wątpię, czy zdołałbym zatrzymać nawet Duke'a, gdybyś ty postanowił inaczej.)

- Ja też uważam, że to powinna być Jill. Ale pamiętajcie, dzieciaki: tu jest wasz dom.

- Wiemy o tym. Wrócimy. Znowu będziemy dzielić się wodą.

- Na pewno, synu.

- Tak, ojcze.

- He?...

- Jubal, w marsjańskim nie ma słowa ojciec, ale ja ostatnio zgrokowałem, że jesteś moim ojcem. I ojcem Jill.

Jubal zerknął na dziewczynę.

- Hmm... Głokuję. Uważajcie na siebie.

- Tak. Chodź, Jill.

Odeszli, zanim Jubal zdążył wstać od stołu.

## Rozdział XXVI

Było to typowe wesołe miasteczko: karuzele, wata na patyku i masa innych atrakcji mających na celu pozabawienie odwiedzających ich pieniędzy. Nieustraszony Fenton wykonywał swoje Śmiertelne Skoki do Basenu. W Salonie Atrakcji zamiast jasnowidza był magik, zamiast brodatej kobiety hemafrrodyta, zamiast pożeracza noży połykacz ognia, zamiast wytatuowanego mężczyzny wytatuowana kobieta, będąca jednocześnie zaklinaczką węzów, pokazującą się w finale numeru "...zupełnie nago! Ubrana jedynie w swoją skórę przyozdobioną egzotycznymi wzorami!" Każdy z widzów, któremu udałoby się znaleźć choćby jeden cal kwadratowy jej ciała poniżej szyi nie pokryty tatuażem, zdobyłby nagrodę w wysokości dwudziestu dolarów.

Jak do tej pory nikt nie zgłosił się po nagrodę. Pani Paiwonski rzeczywiście występowała "ubrana jedynie w skórę" - swoją i czternastostopowej długości boa-dusiciela imieniem Pieszczoch. Gad owijał się tak szczelnie wokół najbardziej strategicznych miejsc, że żaden duchowny kontroler nie miał się

do czego przyczepić. W celu zapewnienia dodatkowej ochrony - tym razem wężowi - pokaz odbywał się w szklanym terrarium z kilkoma jadowitymi kobraami.

Poza tym oświetlenie nie należało do najmocniejszych.

Twierdzenie pani Paiwonski było jednak zgodne z prawdą. Jej mąż do samej śmierci prowadził w San Pedro studio tatuażu; kiedy ruch nieco malał, wraz z żoną przyozdabiali nawzajem swoje ciała. Po pewnym czasie na skórze kobiety poniżej szyi nie pozostał najmniejszy skrawek wolnego miejsca. Chełpiła się tym, że jest najbardziej przyozdobioną kobietą na świecie, w dodatku przez największego artystę w dziejach ludzkości - taką właśnie opinię miała o swoim mężu.

Patrycja Paiwonski nie ponosiła żadnych moralnych szkód w związku z kontaktami z grzesznikami i jarmarcznymi przekupniami, gdyż wraz z mężem została nawrócona przez samego Fostera i kiedy tylko mogła, odwiedzała najbliższy kościół Nowego Objawienia. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby występować bez żadnego okrycia, gdyż wierzyła święcie w to, że stanowi dzieło sztuki religijnej znacznie przewyższające wartość te znajdujące się w muzeach i katedrach. Kiedy wraz z Georgem ujrzeli światło, pozostały na niej jeszcze mniej więcej trzy stopy kwadratowe nietkniętej skóry; kiedy George umarł, nosiła już na sobie obrazkową historię życia Fostera, poczynając od jego kołyski otoczonej aniołami, kończąc na chwalebny dniu, w którym zajął należne mu miejsce.

Niestety, znaczna część tej świętej historii przez większość czasu musiała pozostawać zakryta, lecz Patrycja z radością prezentowała ją podczas zamkniętych spotkań wierzących w Nowe Objawienie, jeśli tylko poprosił ją o to kapłan - a prosił prawie za każdym razem. Nie potrafiła wygłaszać kazań, nie umiała śpiewać, ale za to stanowiła żywe świadectwo prawdy.

Występowała jako przedostatnia w programie. Miała jeszcze dość czasu, by otrząsnąć się ze wspomnień i wśliznąć za zasłonę, czekając na jej uniesienie. Tymczasem trwał występ magika.

Doktor Apollo rozdał publiczności stalowe pierścienie, aby wszyscy mogli się przekonać, że są solidnie wykonane. Następnie kazał złożyć je tak, żeby zachodziły jeden na drugi, dotknął każdego magiczną różdżką... i pierścienie utworzyły łańcuch. Położywszy różdżkę w powietrzu wziął od asystentki kosz z jajami i zaczął żonglować sześcioma z nich, lecz uwaga publiczności była zwrócona raczej na asystentkę niż na niego.

Miała na sobie nieco więcej niż pani Paiwonski, mimo to można było z całą pewnością stwierdzić, że nie jest nigdzie wytatuowana. Widzowie nie zauważyli, kiedy sześć jaj zamieniło się w pięć, pięć w cztery... trzy, dwa... aż wreszcie doktor Apollo podrzucił jedno jedyne jajko.

- Co roku mamy coraz mniej jajek - powiedział i rzucił je w tłum. Nikt nie zwrócił uwagi na to, że jajko nie dotarło do celu.

Doktor Apollo przywołał na scenę jakiegoś chłopca z widowni.

- Synu, wiem, co myślisz. Myślisz, że nie jestem prawdziwym magikiem. Dostaniesz za to dolara.

Podał chłopcu banknot, który nagle zniknął.

- O, rety! Damy ci jeszcze jedną szansę. Masz go? W takim razie zmykaj. Powinieneś już być w domu, w łóżku. - Dzieciak umknął ze swoim dolarem. Magik zmarszczył brwi. - Madame Merlin, co teraz zrobimy?

Asystentka szepnęła mu coś na ucho. Doktor Apollo potrząsnął głową.

- Chyba nie tutaj, przy tych ludziach?

Szepnęła coś ponownie, a on westchnął.

- Przyjaciele, madame Merlin pragnie położyć się do łóżka. Czy któryś z panów zechciałby jej pomóc?

Rzucił się cały tłum.

- Nie wszyscy! Który z panów był w wojsku?

Ochotników w dalszym ciągu było zbyt dużo. Doktor Apollo wybrał dwóch i powiedział:

- Za kulisami stoi wojskowa prycza. Zechcą panowie wnieść ją na scenę? Madame Merlin, proszę na mnie spojrzeć.

Podczas kiedy mężczyźni ustawiali pryczę, doktor Apollo wykonywał tajemnicze ruchy rękami.

- Śpij... Śpij... Już śpisz. Przyjaciele, ona jest pogrążona w głębokim transie. Panowie, a teraz proszę położyć ją na łóżku. Tylko ostrożnie...

Sztywne niczym zwłoki ciało dziewczyny zostało przeniesione na pryczę.

- Dziękuję. - Magik wziął różdżkę z powietrza i skierował ją na stół ustawiony w głębi sceny. Leżące tam wraz z wieloma innymi rzeczami złożone prześcieradło poszybowało w jego kierunku. - Rozłóżcie je i nakryjcie ją razem z głową. Nie wypada przyglądać się śpiącej kobiecie. Dziękuję, możecie panowie odejść... Znakomicie. Madame Merlin, słyszy mnie pani?

- Tak, doktorze Apollo.



- Zasypiając była pani bardzo ciężka, teraz stała się pani znacznie lżejsza. Stąpa pani po obłokach... Unosi się pani... - Przykryte prześcieradłem ciało uniosło się o stopę nad łóżko. - Ostrożnie! Nie może pani stać się z b y t lekka!

Z widowni dobiegł chłopięcy szept:

- Kiedy nakrywali ją prześcieradłem, wysliznęła się przez klapę w podłodze. To, co widać, to tylko drucziany szkielec. Kiedy on zdejmie prześcieradło, druty złożą się i znikną. Każdy by to potrafił.

Doktor Apollo nie zwrócił na niego uwagi.

- Proszę wyżej, madame Merlin. Jeszcze wyżej... Dobrze.

Okryty płótnem kształt unosił się sześć stóp nad sceną.

- Jest tam stalowy pręt, którego nie widać - szepnął wścibski młodzieniec. - W miejscu, gdzie prześcieradło zwisa dotykając łóżka.

Doktor Apollo poprosił na scenę ochotników, by zdjęli z jego asystentki prześcieradło.

- Ona już go nie potrzebuje, bo śpi na obłokach. -

Odwrócił się do zawieszzonego w powietrzu kształtu i zdawał się nasłuchiwać. - Proszę głośniejsze... Tak? Mówi, że nie chce prześcieradła.

(- Teraz zniknie drucziany szkielec.)

Magik szybkim ruchem zdjął prześcieradło. Publiczność prawie tego nie zauważyła, gdyż wpatrywała się w madame Merlin, unoszącą się sześć stóp nad sceną.

- I gdzie ten stalowy pręt? - zapytał kolega chłopca, który wiedział wszystko o kulisach czarnej magii.

- Musisz patrzeć w miejsce, od którego starają się odwrócić twoją uwagę. Nic nie widać, bo tak ustawili światła, żeby świeciły prosto w oczy.

- Wystarczy, księżniczko! - powiedział doktor Apollo. - Podaj mi rękę. Obudź się!

Pomógł jej wyprostować się, a następnie zejść na scenę.

(- Widziałeś, gdzie postawiła stopę? Właśnie tam był ten pręt. Zwykła sztuczka, nic więcej - wyszeptał z satysfakcją chłopak.)

- A teraz, przyjaciele, zechciejcie poświęcić nieco uwagi naszemu uczonemu gościowi, profesorowi Timoszenko, który...

- Proszę, nie wychodźcie! - przerwał mu prowadzący program. - Dzięki porozumieniu z Radą Uniwersytetów oraz Departamentem Bezpieczeństwa tego pięknego miasta, jeden z widzów tego jednego jedyne przedstawienia otrzyma od nas dwudziestodolarowy banknot...

Zachęta na nikogo nie podziałała. Kiedy ostatni widz wyszedł z namiotu, obsługa zaczęła natychmiast szykować go do zwinięcia. Następnego ranka cały zespół czekała podróż pociągiem w nowe miejsce.

Konferansjer, będący jednocześnie właścicielem interesu, wszedł za kulisy.

- Zaczekaj, Smitty. - Wręczył magikowi kopertę. - Chłopcze, przykro mi to mówić, ale ty i twoja żona nie jedzicie z nami do Paducah.

- Wiem o tym.

- Ja tam nic do ciebie nie mam, ale muszę myśleć o interesach. Zatrudniliśmy zespół telepatów; on odczytuje teksty z kartek w zaklejonych kopertach, a ona demonstruje podstawy frenologii<sup>11</sup>. Sam wiesz, że nie umawialiśmy się na cały sezon.

- Wiem - zgodził się magik. - Nie mam do ciebie żalu, Tim.

- Cieszę, że tak do tego podchodzisz. - Konferansjer zawahał się. - Smitty, chcesz usłyszeć ode mnie dobrą radę?

- Chętnie usłyszę od ciebie dobrą radę - odparł magik.

- To dobrze. Smitty, twoje sztuczki są dobre, ale sztuczki to za mało, żeby zostać magikiem. Ty się w to nie angażujesz. Zachowujesz się jak człowiek showbiznesu - nie wtykasz nosa w cudze sprawy, nie podkładasz nikomu świni, pomagasz każdemu, kto cię poprosi - ale nim nie jesteś. Nie potrafisz wyczuć, w jaki sposób robi się z widza balona. Prawdziwy magik potrafi zadziwić publiczność nawet wyczarowując z powietrza dziesięciocentówkę. Ta twoja lewitacja... Nigdy nie widziałem, żeby ktoś robił to lepiej od ciebie, ale ludzi to nie bierze. Nie masz psychologicznego podejścia. Weź na przykład mnie: ja nie potrafię wyczarować dziesięciocentówki. Nic nie potrafię - tylko jedno, co się naprawdę liczy: znam ludzi. Wiem, czego im trzeba, nawet jeśli oni tego nie wiedzą. Chodzi o to, żeby umieć się sprzedać, synu. Wszystko jedno, czy jesteś politykiem, księdzem czy magikiem. Jeżeli wiesz, czego ludzie chcą, wtedy możesz nawet się zbytnio nie wysilać.

- Jestem pewien, że masz rację.

- Jasne, że mam. Ludzie chcą seksu, krwi i pieniędzy. Nie dajemy im krwi, ale pozwalamy mieć nadzieję, że połkacz ognia albo człowiek rzucający nożami popełnią jakiś błąd. Nie dajemy im pieniędzy, ale zabieramy tak mało, że mogą to sobie odbić przy najbliższej drobnej kradzieży. Nie dajemy im seksu, ale pokazujemy dziewczyny tak rozebrane, że pozostaje tylko wysilić odrobinę wyobraźnię. Więc choć nic nie widzą, idą do domów

zadowoleni.

Czego jeszcze chcą ludzie? Tajemnicy! Chcą sobie wyobrazić, że świat jest cholernie romantyczny, podczas kiedy w rzeczywistości wcale taki nie jest. Właśnie na tym polega nasza praca... ale ty jeszcze się tego nie nauczyłeś. Do licha, synu, oni wiedzą, że twoje sztuczki to lipa, a twoim zadaniem jest pomóc im uwierzyć, że nie mają racji. Tego ci brakuje.

- Jak mam to zdobyć, Tim?

- Do diabła, z czasem sam się nauczysz. Ale... Ten twój pomysł, żeby występować jako Człowiek z Marsa! Nigdy nie wolno wypychać widzom czegoś, w co nie są w stanie uwierzyć. Oni wszyscy widzieli Człowieka z Marsa na zdjęciach albo w stereowizji. Jesteś do niego trochę podobny, ale nawet gdybyś był jego bliźniakiem, to wszyscy wiedzą, że ktoś taki nie występowałby w wesołym miasteczku. To tak samo, jakbyś ogłosił, że połykaczem ognia jest prezydent Stanów Zjednoczonych. Widz c h c e we wszystko uwierzyć, ale nie znosi, kiedy nie docenia się jego inteligencji, zakładając, że ją w ogóle ma. A chyba ma, bo nawet najgłupszy widz ma przecież w łepetynie trochę mózgu.

- Będę o tym pamiętał.

- Za dużo gadam. To nawyk wszystkich konferansjerów. Dacie sobie radę, dzieciaki? Jak tam stoicie z forszą? Właściwie nie powinienem pytać, ale może potrzebujecie pożyczki?

- Dziękuję, Tim. Damy sobie radę.

- No to, trzymajcie się. Cześć, Jill.

I wyszedł.

W chwilę potem zjawiała się Patrycja Paiwonski ubrana w płaszcz kąpielowy.

- Dzieciaki, Tim skreślił wasz numer!

- I tak mieliśmy zamiar wyjechać, Pat.

- Jestem na niego tak wściekła, że mam ochotę zerwać przedstawienie!

- Daj spokój, Pat...

- Niech sam sobie tańczy z węzami! A resztę programu wypełnią mu clowni. Tylko ciekawe, kto mu na to przyjdzie!

- Pat, Tim ma rację. Nie jestem showmanem.

- Hmm... Będzie mi was brakowało. Słuchajcie! Na pewno nie zwiną nas do rana, więc może chodźcie do mnie, to posiedzimy razem i pogadamy?

- Mam lepszy pomysł, Patty - odparła Jill. - Ty przyjdź do nas. Co byś powiedziała na długą, gorącą kąpiel?

- O, rety... Dobra. Przyniosę butelkę.

- Nie trzeba - zaprostestował Mike. - Wiem, co pijesz. Mamy to.

- W takim razie... Mieszkacie w "Imperialu", prawda? Sprawdzę tylko, czy moim maleństwu nie dzieje się krzywda i powiem Pieszczochowi, że wychodzę. Wezmę taksówkę. Zjawię się najpóźniej za pół godziny.

Samochód prowadził Mike. Było to małe miasteczko, bez komputerowego sterowania ruchem; Mike jechał dokładnie z najwyższą dozwoloną szybkością wślizgując się w niedostrzegalne dla Jill odstępy między pojazdami. Czynił to bez najmniejszego wysiłku. Jill również powoli się tego uczyła, a przynajmniej wiedziała, jak to robił: przedłużał subiektywny odbiór czasu tak bardzo, że wszystko wydawało się poruszać w zwolnionym tempie. Nasunęła jej się refleksja, że jest to dość niezwykle u człowieka, który zaledwie kilka miesięcy temu nie potrafił sobie poradzić nawet ze sznurowadłami.

Nie rozmawiali, gdyż porozumiewanie się między umysłami pracującymi z różną szybkością nie należało do najłatwiejszych. Jill rozmyślała o życiu, które zostawiali za sobą, wspominając je i zachwycając się nim, zarówno po marsjańsku, jak i po ludzku. Do chwili poznania Mike'a przez całe życie ulegała tyranii zegara - najpierw w szkole, potem na studiach i wreszcie w szpitalu.

W wesołym miasteczku żyło się zupełnie inaczej. Z wyjątkiem obowiązku kilkukrotnego w ciągu dnia pojawienia się na scenie i wyglądania możliwie najładniej, nigdy nie musiała niczego robić o wyznaczonej porze. Mike nie zwracał uwagi na to, czy jedzą raz czy sześć razy dziennie - we wszystkich kwestiach domowych zdawał się całkowicie na nią i wszystko mu odpowiadało. Mieli własny wóz mieszkalny i często zdarzało się, że przez cały czas występów w jakimś miasteczku ani na chwilę nie opuszczali terenu lunaparku. Traktowali go jak gniazdo, do którego nie miały dostępu troski zewnętrznego świata.

Oczywiście wszędzie roило się od widzów, lecz Jill nauczyła się traktować ich w sposób przyjęty w środowisku. Widzowie nie byli ludźmi, tylko istotami, których jedyne zadanie polegało na przynoszeniu forsy.

Dobrze im się żyło w wesołym miasteczku. Wtedy, kiedy wyruszyli w świat, by poszerzyć edukację Mike'a, sprawy nie przedstawiały się tak różowo. Co chwila ktoś ich rozpoznawał i czasem z najwyższym trudem udawało im się uciec - bynajmniej nie przed prasą, tylko przed rzeszami ludzi, którym wydawało się, że mają prawo domagać się czegoś od Mike'a.

Po pewnym czasie Mike pomyślał sobie nieco inną, doroślejszą twarz i dokonał kilku innych zmian, co w połączeniu z faktem, że odwiedzali miejsca, gdzie raczej nie spodziewano się Człowieka z Marsa, zapewniło im nieco spokoju. Wtedy także, kiedy Jill podawała przez wizjofon ich nowy adres, Jubal zaproponował postawienie zasłony dymnej. Kilka dni później Jill przeczytała w jakiejś gazecie, że Człowiek z Marsa udał się na medytację do tybetańskiego klasztoru.

Klasztor był w rzeczywistości zajazdem "Hank's Grill" w prowincjonalnym miasteczku, gdzie Jill zatrudniła się jako kelnerka, Mike zaś zmywał naczynia. Kiedy szef nie patrzył, Mike korzystał ze swoich zdolności, "zmywając" w okamgnieniu ogromną stertę talerzy. Zostali tam przez tydzień, a potem ruszyli w dalszą drogę, czasem pracując, a czasem nie. Odkąd Mike dowiedział się o istnieniu bibliotek publicznych, odwiedzali je niemal codziennie. Chłopak myślał dotąd, że biblioteka Jubala zawierała przynajmniej po jednym egzemplarzu wszystkich książek, jakie istniały na Ziemi. Kiedy odkrył cudowną prawdę, że tak nie jest, a stało się to w Akron, zostali tam cały miesiąc - Jill głównie robiła zakupy, gdyż Mike'a z książką w ręku trudno było uznać za towarzystwo.

Ale najlepiej żyło im się w Wesołym Miasteczku Baxtera. Jill przypominała sobie z rozbawieniem, jak w którejś miejscinie - jak to się ona nazywała? - zaarrestowano "żywe obrazy". Było to nieuczciwe, gdyż wcześniej zawsze dogadywali się z władzami co do najistotniejszych szczegółów: z biustonoszami czy bez, światła jasne czy przyćmione, i tak dalej. Mimo to szeryf zaarrestował dziewczyny, a sędzia pokoju miał wyraźną ochotę przymknąć je na dłużej. Lunapark zawiesił działalność, jego załoga zaś udała się na salę rozpraw, wraz z tłumem gapiów pragnących ujrzeć na własne oczy "bezwstydne kobiety". Mike i Jill wcisnęli się z trudem i stanęli pod samą ścianą.

Jill udało się wymóc na Mike'u przyrzeczenie, że nigdy nie będzie robił nic niezwykłego, jeżeli mogłoby to zostać zauważone. Jednak Mike zgrozkował kryzysową sytuację...

Szeryf właśnie rozwodził się szeroko i z zapalem nad obrazą moralności publicznej, kiedy zarówno on jak i sędzia stali się całkowicie nadzy.

Jill i Mike umknęli z sali, korzystając z zamieszania. Podobnie uczyniły wszystkie oskarżone, lunapark zaś przeniósł się do bardziej uczciwego miasteczka. Nikt nie skojarzył cudu z

obecnością Mike'a.

Dla Jill wyraz twarzy szeryfa stanowił jedno z najwspanialszych wspomnień. Zaczęła nawet mówić do Mike'a w myślach, żeby przypomnieć mu, jak śmiesznie wyglądał wtedy przedstawiciel prawa, lecz nie mogła mu tego przekazać, gdyż Marsjanin nie miał poczucia humoru. Łączyły ich głęboko zgrozkowane telepatyczne więzy - ale tylko po marsjańsku.

(- Tak, Jill?)

(- Później.)

Kiedy dojechali do hotelu, wyraźnie poczuła, jak jego umysł przyspiesza upływ czasu. Jill wolałaby mieszkać na terenie wesołego miasteczka, gdyby nie jedno: wanny. Pysznice były w porządku, lecz nic nie mogło zastąpić kąpieli w wannie wypełnionej gorącą wodą. W związku z tym od czasu do czasu przenosili się do hotelu i wynajmowali samochód. Mike nie podzielał jej niechęci do brudu. Był teraz równie czysty jak ona, ale wyłącznie dzięki temu, że dużym nakładem sił przyzwyczała go do dbania o higienę. Aby utrzymać swoje ciało w czystości, nie potrzebował się wcale myć, podobnie jak nie musiał chodzić do fryzjera, odkąd dowiedział się, jaka fryzura najbardziej podoba się dziewczynie. Natomiast każda możliwość zanurzenia się w wodzie życia sprawiała mu taką samą przyjemność, co dawniej.

Hotel "Imperial" był stary i zaniedbany, za to wanna w apartamencie dla nowożeńców miała ogromne rozmiary. Jill weszła do łazienki, odkręciła kurki... i nawet specjalnie się nie zdziwiła, kiedy poczuła, że jest już rozebrana do kąpieli. Kochany Mike! Wiedział o tym, że ona uwielbia robić zakupy, więc niejako zmuszał ją do folgowania temu upodobaniu wysyłając w niebyt wszystkie stroje, które już przestały się jej podobać. Robiłby to nawet częściej, gdyby nie powiedziała mu, że paradując codziennie w nowym ubraniu zwracałaby na siebie uwagę.

- Dziękuję, kochanie! - zawołała. - Chodź, wskakujemy!

Albo zdążył się już rozebrać, albo również "zniknął" swoje ubranie. Doszła do wniosku, że w grę wchodziło raczej to pierwsze. Mike'a nie interesowało kupowanie odzieży; uważał, że jej głównym zadaniem jest ochrona przed skutkami zmian atmosferycznych, a do tego celu nie była mu zupełnie potrzebna. Weszli do wanny zwróceniem twarzami do siebie. Jill nabrała nieco wody w złożone dłonie, uniosła do ust i podała mu. Rytuał nie był konieczny, lecz Jill lubiła przypominać im w ten sposób o czymś, o czym i tak żadne nigdy by nie zapomniało.

- Przypomniałam sobie, jak śmiesznie wyglądał na golasa ten okropny szeryf.

- Czy on wyglądał śmiesznie?

- I to jeszcze jak!

- Wy tłumacz mi, co w nim było śmiesznego. Nie rozumiem tego żartu.

- Hmm... Wątpię, czy potrafię. To nie był żart taki jak kawały i dowcipy, które można wyjaśnić.

- Nie rozumiem, dlaczego szeryf był śmieszny - powtórzył Mike. - W obu grokowałem dużą niewłaściwość. Gdybym nie wiedział, że będziesz niezadowolona, odesłałbym ich.

- Mój kochany. - Dotknęła jego policzka. - Kochany, dobry Mike. Bardzo dobrze, że tego nie zrobiłeś. To była dla nich wystarczająca kara. Przez najbliższe pięćdziesiąt lat w tym miasteczku nie będzie żadnych aresztowań za obrazę moralności publicznej. Ale pomówmy o czymś innym: chciałam ci powiedzieć, że przykro mi z powodu skreślenia naszego numeru. Napisałam scenariusz najlepiej jak umiałam, ale ja też nie jestem zawodowcem.

- To moja wina, Jill. Tim mówił prawdę... Ja nie rozumiem gapiów. Mimo to bardzo się cieszę, że pracowaliśmy w lunaparku. Z każdym dniem grokowałem gapiów coraz lepiej.

- Nie powinieneś nazywać ich gapiami. To są po prostu ludzie, tacy jak wszyscy.

- Rozumiem, że są gapiami.

- Masz rację, mój drogi, ale to niegrzecznie mówić w taki sposób.

- Będę pamiętał.

- Czy już postanowiłeś, dokąd teraz pojedziemy?

- Nie. Będę wiedział, kiedy nadejdzie czas.

To prawda, Mike zawsze wszystko wiedział. Od chwili przemiany z osobnika uległego w dominującego stawał się coraz silniejszy i bardziej zdecydowany. Chłopiec, który kiedyś męczył się utrzymując w powietrzu jedną popielniczkę, teraz nie tylko mógł podnieść Jill i wyczyniać z nią różne rzeczy, ale wyemitować z siebie niemal dowolną ilość energii. Kiedyś na błotnistym terenie ciężarówka zapadła się niemal po osie. Próbowano ją wypchnąć dwudziestu ludzi, ale udało się tego dokonać dopiero wtedy, kiedy przyłączył się do nich Mike - był już na tyle sprytny, żeby nie wywoływać niczyich podejrzeń.

Pamiętała dzień, kiedy wreszcie udało mu się zgrokować, że z usuwaniem przedmiotów nie wiążą się niemal żadne dylematy moralne, natomiast aby usunąć żywą, grokującą osobę, musi

najpierw wyczuć w niej autentyczną, groźną niewłaściwość.

Czasem zastanawiała się, na czym będzie polegała następna przemiana, która się w nim dokona. Nie bała się jednak, gdyż wiedziała, że jest mądry i dobry.

- Mike, czy nie byłoby cudownie, gdyby wskoczyły tu z nami jeszcze Dorcas, Anne i Miriam? I ojciec Jubal, i chłopcy... i w ogóle cała rodzina!

- Wanna musiałaby być większa.

- Albo byłoby nam trochę tłoczno. Kiedy znowu złożymy wizytę w domu, Mike?

- Głokuję, że wkrótce.

- Marsjańskie "wkrótce", czy ziemskie? Wszystko jedno, kochanie; zrobimy to wtedy, kiedy zakończy się oczekiwanie. Właśnie, zaraz przyjdzie ciocia Patty - i to ziemskie "zaraz". Możesz mnie umyć?

Stała w wannie; mydło uniosło się z mydelniczki, przesunęło się po jej ciele i wróciło na miejsce.

- Ojej! Łaskocze...

- Słukać?

- Zanurkuje. - Zanurzyła się w wodzie, wstała ponownie. - Oho, w samą porę.

Rozległo się pukanie.

- Kochani, jesteście grzeczni?

- Już idę, Pat! - zawołała Jill wyskakując z wanny. -

Możesz mnie wysuszyć? - dodała.

W chwilę później była już zupełnie sucha, tak że nawet nie zostawiała śladów stóp.

- Mike, tylko nie zapomnij założyć ubrania. Patty to prawdziwa dama, nie tak jak ja.

- Nie zapomnę.

## Rozdział XXVII

Jill wciągnęła pośpiesznie szlafrok i weszła do pokoju.

- Chodź, kochanie. Właśnie się kąpaliśmy. Mike zaraz wyjdzie. Zrobię ci drinka, a drugiego wypijesz w wannie. Mamy mnóstwo gorącej wody.

- Wzięłam prysznic zaraz po położeniu Pieszczocha do łóżka... ale chętnie wymoczę się w wannie. Jill, nie myśl sobie, że przyszedłam tu się kąpać. Strasznie mi przykro z powodu waszego wyjazdu.



- Na pewno nie stracimy ze sobą kontaktu. - Jill zajęła się napełnianiem szklanek. - Tim miał rację: Mike i ja musimy jeszcze popracować nad naszym numerem.

- Wasz numer jest w porządku. Może trzeba go robić z większym jajem, ale... Cześć, Smitty.

Podawała mu dłoń w rękawiczce. Poza wesołym miasteczkiem Patrycja Paiwonski zawsze nosiła rękawiczki, zapinane pod szyję sukienki i pończochy. Wyglądała na osobę, jaką w gruncie rzeczy była: godną szacunku wdowę w średnim wieku, bardzo dbającą o figurę.

- Właśnie mówiłam Jill, że wasz numer bardzo mi się podobał.

Mike uśmiechnął się.

- Pat, nie nabieraj nas. Cuchnie aż miło.

- Wcale nie, rybeńko. Jasne, przydałoby się trochę ikry, może parę dowcipów... albo Jill mogłaby założyć trochę bardziej skąpy kostium. Masz świetną figurę, złotko.

Jill pokręciła głową.

- To by nic nie dało.

- Znałam kiedyś magika, który ubierał swoją asystentkę według mody z lat dziewięćdziesiątych - tysiąc osiemset dziewięćdziesiątych, ma się rozumieć - tak, że nie było widać nawet kawałka jej nogi, a potem kolejne warstwy znikwały jedna za drugą. Ludziska byli zachwyceni. Nie zrozum mnie źle, kochanie - żadnych świństw. Pod koniec miała na sobie mniej więcej tyle, co ty teraz.

- Patty, wyszłabym na scenę nawet nago, gdyby nie to, że zaraz potem kazaliby nam zamknąć cały interes.

- Nie zrobiłabyś tego, kochanie, bo wybuchłyby zamieszki. Ale jeśli już masz ładną figurę, to czemu jej nie wykorzystać? Jak sądzisz, co bym osiągnęła jako wytatuowana kobieta, gdybym nie pokazywała wszystkiego, co się da?

- Skoro mówimy o ubraniach... - wtrącił się Mike. - Pat, nie wydaje mi się, żebyś czuła się najlepiej. W tej ruderze znowu nawaliła klimatyzacja. Musi być już co najmniej trzydzieści stopni. - Miał na sobie lekki szlafrok, bardzo odpowiedni strój dla ceniącego swobodę artysty. Potrafił dostosować się do temperatury otoczenia, spowalniając lub przyspieszając swój metabolizm; natomiast Patrycja Paiwonski, przyzwyczajona do częstego przebywania wyłącznie we własnej skórze, była ubrana tak jak zawsze, kiedy wychodziła poza teren lunaparku. - Czemu się nie odprężysz? W kurniku jesteśmy tylko my, kurczaki.

Jubal wyjaśnił mu kiedyś, że był to żart stosowany w sytuacjach, kiedy bliscy przyjaciele znajdowali się wyłącznie we własnym gronie.

- Właśnie - poparła go Jill. - Jeśli nie masz nic pod spodem, dam ci coś z moich rzeczy.

- Eee... Założyłam kostium...

- Nie bądź taka oficjalna wobec przyjaciół. Zaczekaj, pomogę ci...

- Przede wszystkim muszę ściągnąć te pończochy i buty - powiedziała Patrycja, zastanawiając się jednocześnie, w jaki sposób skierować rozmowę na temat religii. Była pewna, że te dzieciaki w każdej chwili mogłyby stać się poszukującymi, a ona przez cały sezon miała nadzieję, że uda się doprowadzić je do światła. - Najważniejsze w show biznesie jest to, że trzeba rozumieć gapiów. Nawet jeśli jesteś p r a w d z i w y m magikiem - wcale nie chcę przez to powiedzieć, że nie wiesz, jak to się robi. Wiesz, i to dobrze. - Zdjęła pantofle, a Jill rozpięła jej suwak w sukience. - Nawet gdybyś zawarł pakt z samym diabłem, to ludzie i tak będą uważać, że ich nabierasz, więc musisz podać im to w odpowiedni sposób. Czy widziałeś kiedyś, żeby połykacz ognia występował z piękną asystentką? Nie, bo ładna dziewczyna odciągnęłaby od niego uwagę publiczności i zepsuła całe przedstawienie. Gapie liczą na to, że popełni błąd i zapali się jak pochodnia.

Ściągnęła sukienkę przez głowę, a Jill ucałowała ją serdecznie.

- Od razu wyglądasz lepiej, ciociu Patty. Siadaj i rozkoszuj się swoim drinkiem.

- Jedną chwilkę, kochanie. - Patrycja Paiwonski modliła się o jakiś znak. Właściwie jej obrazki powinny mówić same za siebie. W końcu George umieścił je na niej właśnie w tym celu.

- Oto, co j a mam do pokazania widzom. Czy kiedyś widzieliście to z bliska?

- Nie - przyznała Jill. - Nie chcieliśmy się na ciebie gapić.

- Więc gapie się teraz, moi drodzy. Przecież George po to je zrobił, Panie błogosław jego duszę w Niebie. Żeby je oglądać i studiować. Tutaj, pod moją brodą, widzicie narodziny naszego proroka, archanioła Fostera. Jest niewinnym dzieciątkiem i nic nie wie o tym, co go czeka w przyszłości. Ale aniołowie wiedzą - widzicie ich dookoła? Następną sceną przedstawia jego pierwszy cud, kiedy to młody grzesznik chodzący do tej samej szkoły co on zastrzelił małego ptaszka, a on podniósł go z

ziemi, pogłaskał i ptaszek poleciał jakby nigdy nic. Teraz muszę odwrócić się do was plecami.

Wyjaśniła im, że George w chwili rozpoczęcia pracy dysponował już częściowo wykorzystaną powierzchnią, więc zainspirowany genialnym natchnieniem przerobił "Atak na Pearl Harbour" w "Armageddon", a "Pejzaż nowojorski" w "Święte miasto".

- Choć teraz to wszystko są święte obrazy - ciągnęła - George musiał przenosić się z jednej części ciała na drugą, żeby upamiętnić wszystkie ważne wydarzenia z ziemskiego życia naszego proroka. Tutaj widzicie go modlącego się na stopniach grzesznego seminarium teologicznego, do którego go nie przyjęto. Właśnie wtedy został po raz pierwszy aresztowany, co zapoczątkowało Okres Prześladowań. Po drugiej stronie kręgosłupa możecie zobaczyć, jak rozbija bałwochwalcze obrazy, a obok jak siedzi w więzieniu, otoczony świętą poświatą. Dalej jest obraz przedstawiający Nielicznych Wiernych wpadających do więzienia...

(Wielebny Foster doskonale zdawał sobie sprawę, że w walce o swobody religijne znacznie bardziej od pasywnego oporu przydają się kastety, pałki i chęć do brania się za bary z gliniarzami. Był bojownikiem, ale także wyśmienitym taktykiem; dopuszczał do stoczenia walnych bitew tylko wtedy, kiedy przewaga ciężkiej artylerii była wyraźnie po stronie Pana.)

- ...ratujących go z opresji, a następnie tarzających w smole i pierzu nieuczciwego sędziego, który go tam wsadził. Z kolei z przodu... Hm, niewiele widać, bo prawie wszystko zasłania biustonosz. Wielka szkoda.

(- Michael, czego ona chce?)

(- Przecież wiesz. Powiedz jej to.)

- Ciociu Patty, zdaje się, że chciałabyś pokazać nam wszystkie swoje obrazy, prawda? - zapytała łagodnie Jill.

- Cóż... Jest dokładnie tak, jak mówi Tim na scenie: George wykorzystał całą powierzchnię mojego ciała, żeby ukończyć dzieło.

- Skoro George zadał sobie tyle pracy, to chyba chciał, żeby ludzie mogli oglądać jej rezultaty. Zdejmij kostium. Powiedziałam ci, że ja rozebrałabym się na scenie, a przecież nasz występ to wyłącznie rozrywka. T w ó j ma jakiś cel... święty cel.

- Skoro tak nalegacie...

W duszy wykrzyknęła radosne "Alleluja!". Foster postanowił jej dopomóc; przy odrobinie szczęścia i dzięki obrazom George'a

skieruje te dzieci na poszukiwanie światła.

- Ja ci go rozepnę.

(- Jill...)

(- Słucham, Michael?)

(- Zaczekaj.)

Patrycja Paiwonski stwierdziła z nieopisanym zdumieniem, że nagle zniknął zarówno jej biustonosz, jak i błyszczące majteczki. Jill natomiast wcale nie zdziwił fakt zniknięcia jej własnego peniuaru, a także to, że zdematerializował się szlafrok Mike'a - to ostatnie przypisała jego niezwyklej delikatności.

Patrycja rozdziawiła szeroko usta. Jill objęła ją ramieniem.

- Uspokój się, kochanie! Wszystko w porządku. Mike, musisz jej wytłumaczyć.

- Tak, Jill. Pat...

- Słucham, Smitty?

- Powiedziałaś, że jestem dobry w robieniu sztuczek.

Chciałaś zdjąć kostium, więc po prostu ci pomogłem.

- Ale jak? Gdzie on jest?

- Tam, gdzie peniuar Jill i mój szlafrok. Zniknął.

- Nie obawiaj się, Pat - uspokoiła ją Jill. - Odkupimy ci go. Mike, nie powinienesz był tego robić.

- Przepraszam, Jill. Zgrokowałem, że to nic nie szkodzi.

- Hmm... Może masz rację.

Ciocia Patty nie wyglądała na specjalnie przerażoną i z pewnością nie miała zamiaru nikomu nic mówić. Wiedziała, kiedy należy trzymać język za zębami.

Patrycji Paiwonski nie niepokoił los dwóch skrawków kolorowego materiału ani nagość. Natomiast nie dawał jej spokoju problem natury teologicznej.

- Smitty, czy to była p r a w d z i w a magia?

- Chyba można tak powiedzieć.

- Ja raczej nazwałabym to cudem - stwierdziła bez ogródek.

- Możesz to nazywać, jak chcesz. W każdym razie to nie była żadna sztuczka.

- Wiem. - Nie bała się; Patrycja Paiwonski niczego się nie bała, gdyż miała oparcie w wierze. Niepokój, który czuła, dotyczył jej przyjaciół. - Smitty, spójrz mi prosto w oczy. Czy zawarłeś pakt z Diabłem?

- Nie, Pat. Nie zawarłem.

Nie spuszczała z niego badawczego spojrzenia.

- Nie kłamiesz...

- On nie potrafi kłamać, ciociu Patty.  
- .. więc to był cud. Smitty, jesteś świętym!  
- Nic o tym nie wiem, Pat.  
- Archanioł Foster dowiedział się o tym dopiero wtedy, kiedy miał kilkanaście lat, choć wcześniej często dokonywał różnych cudów. Jesteś świętym, czuję to. Wydaje mi się, że poczułam to od razu, jak tylko cię poznałam.  
- Nie wiem, Pat.  
- Możliwe, że masz rację - przyznała Jill. - Ale on naprawdę o niczym nie wie. Michael... Skoro powiedzieliśmy już tyle, musimy powiedzieć więcej.  
- Michael! - powtórzyła nagle Patty. - Archanioł Michael, zesłany do nas w ludzkiej postaci...  
- Patty, proszę! Nawet jeśli nim jest, to nic o tym nie wie.  
- Bo nie musi wiedzieć. Bóg dokonuje cudów w sposób, na jaki ma ochotę.  
- Ciociu Patty, czy pozwolisz mi wszystko opowiedzieć?  
Wkrótce Patrycja Paiwonski dowiedziała się, że Mike był Człowiekiem z Marsa. Zgodziła się traktować go jak człowieka, zachowując jednak własne zdanie co do jego natury i przyczyny zjawienia się na Ziemi - Foster również był człowiekiem z krwi i kości, nie przestając ani na chwilę być archaniołem. Skoro Jill i Mike upierają się, że jeszcze nie zostali zbawieni, będzie odnosić się do nich tak, jak sobie tego życzą.  
Niezbadane są ścieżki Pana.  
- Wydaje mi się, że możesz uważać nas za poszukujących - podpowiedział jej Mike.  
- Wystarczy! Jestem pewna, że zostaliście już zbawieni, ale Foster w swoich młodych latach też był poszukującym. Pomogę wam.  
Następnie wzięła udział w kolejnym cudzie: wszyscy usiedli na dywanie, po czym Jill położyła się na wznak i szepnęła Mike'owi w myślach, co ma zrobić. Natychmiast uniósł ją w powietrze. Patrycja przyglądała się temu ze spokojną radością.  
- Połóż się, Pat - polecił jej Mike.  
Uczyliła to tak szybko, jakby spełniała życzenie samego Fostera. Jill odwróciła głowę.  
- Czy nie powinieneś najpierw mnie położyć?  
- Nie. Dam sobie radę.  
Patrycja Paiwonski poczuła, że unosi się powoli w powietrze. Nie była przerażona; odczuwała oszałamiającą religijną ekstazę, jakby ktoś rozpałił w jej lędźwiach gorący

plomień. Do oczu napłynęły jej łzy szczęścia. Po raz ostatni czuła przy sobie tak wielką siłę wtedy, kiedy dotknął ją sam Święty Foster. Mike przysunął je bliżej; Jill przytuliła mocno Patty i po chwili do łez dołączyły odgłosy radosnego pochlipywania.

Kiedy Mike opuścił je na podłogę, wcale nie był zmęczony. Właściwie nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio był zmęczony.

- Mike... Potrzebujemy wody.

(- ? ? ?)

(- Tak - odparła w myślach.)

(- Dlaczego?)

(- Bo tak trzeba. Jak sądzisz, po co ona tu przyszła?)

(- Wiedziałem o tym, ale nie byłem pewny, czy ty wiesz... ani czy się zgodzisz. Mój bracie. Moje ja.)

(- Mój bracie.)

Mike posłał szklanekę do łazienki, kazał jej napełnić się wodą i podał ją Jill. Patrycja Paiwonski przyglądała się temu z zainteresowaniem; przekroczyła już wszystkie możliwe pułapy zdziwienia.

- Ciociu Patty - powiedziała do niej Jill - to jest jak chrzest... i ślub. To jest marsjańskie. Oznacza, że ty ufasz nam, a my tobie... że możemy sobie nawzajem wszystko powiedzieć i że już zawsze będziemy przyjaciółmi. Ale tej przysięgi nie wolno złamać. Gdybyś ją złamała, umarlibyśmy, wszystko jedno - zbawieni czy nie. Gdybyśmy m y ją złamali... ale tego nie zrobimy. Jeżeli nie jesteś zupełnie pewna, nie dziel się z nami wodą. I tak pozostaniemy przyjaciółmi. Wstrzymaj się, jeżeli jest to coś sprzecznego z twoją wiarą. Nie należymy do twojego Kościoła i możliwe, że nigdy nie będziemy należeć. Jesteśmy co najwyżej poszukującymi. Mike?

- Pat, Jill mówi prawdziwie - potwierdził. - Szkoda, że nie możemy ci tego powiedzieć po marsjańsku, bo wtedy wszystko byłoby znacznie prostsze. To coś takiego jak małżeństwo, tyle tylko, że znacznie więcej. Wolno nam zaproponować ci wodę, ale jeśli istnieje jakaś przyczyna, która zabraniałaby ci ją przyjąć - nie pij jej!

Patrycja Paiwonski nabrała w płuca głęboki haust powietrza. Już kiedyś podjęła taką decyzję... pod okiem męża... i nie stchórzyła. Czyż mogła odmówić świętemu i jego oblubienicy?

- Chcę tego - stwierdziła stanowczo.

Jill wypła niewielki łyk.

- Coraz bardziej zbliżamy się do siebie.

Podawała szklankę Mike'owi.

- Dziękuję ci za wodę, mój bracie. - Zanurzył usta. - Pat, ofiarowuję ci wodę życia. Obyś zawsze piła do woli.

Przekazał jej naczynie.

- Dziękuję. Dziękuję wam, kochani! Woda życia... Kocham was oboje! - Napila się łapczywie.

Jill wzięła od niej szklankę i wysączyła ostatnie krople.

- A teraz stańmy się sobie bliżsi, bracia.

(- Jill?)

(- Teraz, Mike!)

Uniósł delikatnie swojego nowego wodnego brata i położył go ostrożnie na łóżku.

Valentine Michael Smith grokował, że fizyczna ludzka miłość - bardzo ludzka i bardzo fizyczna - ani nie służy wyłącznie przyśpieszaniu jaj, ani nie jest rytuałem służącym lepszemu wzajemnemu zbliżeniu, tylko sama w sobie jest tym zbliżaniem. Grokował to przy każdej nadarzającej się okazji, starając się pojąć pełnię zagadnienia. Już dawno temu przestał wstydliwie unikać heretyckiej myśli, że nawet Starzy nie znali t a k i e j ekstazy, gdyż wiedział, iż życie duchowe jego nowych ziomków sięga niezbadanych głębin. Sondował je radośnie, nie obciążony wytworzonymi w dzieciństwie zahamowaniami wywołującymi poczucie winy lub jakąkolwiek niechęć.

Jego nauczycielki, łagodne i hojne, uwolniły go od niewinności nie powodując żadnych szkód psychicznych. Rezultat był równie niezwykły jak on sam.

Jill nie zdziwiła się zbyt, kiedy Pat zaakceptowała ochoczo, iż po starożytnej marsjańskiej ceremonii dzielenia się wodą nastąpiła starożytna ludzka ceremonia dzielenia się Mike'em. Zdumiała ją natomiast, że Pat przyjęła z całkowitym spokojem cuda, których Mike dokonywał również na tym polu. Jill jednak nie wiedziała, że Patrycja miała już kiedyś do czynienia ze świętym i po prostu więcej oczekiwała od ludzi tego pokroju. Jill ucieszyła się, że wszystko odbyło się tak jak należy, a następnie sama z ogromną radością przyłączyła się do wzajemnego zbliżania.

Po odpoczynku poprosiła Mike'a, żeby za pomocą telekinezy wykąpał Pat. Kiedy to uczynił, śmiała się i chichotała wraz ze starszą kobietą. Pamiętała pierwszy raz, kiedy doświadczyła tego uczucia, więc teraz z radością obserwowała minę Pat mytą i gładzoną przez niewidzialne dłonie, a następnie osuszaną bez pomocy ręcznika ani nawiewu powietrza.

Patrycja zamrugała raptownie powiekami.

- Po tym wszystkim muszę się napić.

- Oczywiście, kochanie.

- I chciałabym jednak pokazać wam resztę moich obrazów. -

Przeszli z powrotem do salonu; Patrycja stanęła na dywanie pośrodku pokoju. - Najpierw spójrzcie na mnie. Na m n i e, nie na obrazki. Co widzicie?

Mike w myślach usunął z jej skóry tatuaże i przyjrzał się swojemu nowemu bratu pozbawionemu ozdób. Lubił tatuaże Pat, gdyż wyróżniały ją od innych i czyniły z niej osobną istotę; upodabniało ją to nieco do Marsjan, likwidując pustą jednakowość charakteryzującą większość ludzi. Miał zamiar również dać się wytatuować, jak tylko zgrokuje, co powinny przedstawiać obrazy na jego skórze. Może sceny z życia jego ojca, wodnego brata Jubala? Jeszcze się nad tym zastanowi. Możliwe, że Jill również zapragnie zostać wytatuowana. Jakie obrazy mogą uczynić ją jeszcze piękniejszą?

To, co ujrzał, przyjrawszy się Pat pozbawionej tatuaży, nie zachwyciło go już tak bardzo. Wyglądała tak, jak musi wyglądać kobieta, żeby być kobietą. Mike w dalszym ciągu nie grokował kolekcji Duke'a - dowiedział się z niej tylko, że istnieją kobiety rozmaitych wielkości, kształtów i kolorów, oraz że niektóre z nich są prawdziwymi akrobatkami miłości i nic ponadto. Dzięki swemu pozaziemskiemu wychowaniu był nadzwyczaj

ważnym obserwatorem, lecz z tego samego powodu pozostał nieczuły na subtelne przyjemności podglądactwa. Nie chodziło tu bynajmniej o to, że kobiety (a szczególnie Patrycja Paiwonski) nie pociągały go seksualnie, ale wcale nie musiał ich widzieć, żeby się nimi zainteresować. Zapach i dotyk miały dla niego znacznie większe znaczenie; pod tym względem Mike był pół-człowiekiem i pół-Marsjaninem. Analogiczna do ludzkiej marsjańska reakcja (równie subtelna, co głośnie kichnięcie) była wyzwalana właśnie przez te zmysły, lecz mogło do niej dojść jedynie w ściśle odpowiedniej porze roku. Seks w wydaniu marsjańskim był równie romantyczny co odżywianie dożyłne.

Usunąwszy w wyobraźni tatuaże, Mike natychmiast zwrócił uwagę na jedną rzecz: Patrycja Paiwonski miała własną twarz, naznaczoną pięknem jej życia. Ze zdumieniem doszedł do wniosku, że miała ją nawet w większym stopniu niż Jill. Natychmiast zwiększyło to intensywność jego uczucia, którego Pat była adresatką - uczucia, którego jeszcze nie nazwał miłością.

Miała również swój własny zapach i własny głos. Głos,



lekko ochryply, sprawiał mu przyjemność samym swoim brzmieniem, nawet jeśli nie grokował tego, co mówiła. W zapachu wyczuwał delikatną domieszkę gorzkiego piżma, biorącą się z częstych kontaktów z węzami. Mike lubił węże i potrafił się obchodzić nawet z tymi jadowitymi, niekoniecznie spowalniając upływ czasu, by uniknąć śmiertelnych ukąszeń. Grokował je, a one jego; ich niewinnie bezlitosne myśli przypominały mu o domu. Mike był jedyną osobą, któremu Pieszczoch pozwalał się dotykać z prawdziwą przyjemnością. Boa tolerował także innych ludzi, lecz jego uważał za substytut Pat.

Mike z powrotem ubrał Patrycję w jej tatuaże.

Jill zastanawiała się, co sprawiło, że ciocia Patty dała się wytatuować. Wyglądałaby całkiem nieźle, gdyby nie to, że była żywą książeczką z komiksami. Kochała jednak ją jako taką, nie jej wygląd, a fakt posiadania na ciele tych obrazków zapewniał Patrycji środki do życia, przynajmniej dopóki nie zestarzeje się i nikt nie będzie skłonny zapłacić choćby centa za to, żeby ją obejrzeć, nawet gdyby zaklinała się, że służyła jako płótno samemu Rembrandtowi. Miała nadzieję, że Pat poczyniła odpowiednie oszczędności... W tej samej chwili przypomniała sobie, że ciocia Patty jest teraz ich wodnym bratem i może korzystać z niewyobrażalnej fortuny Mike'a. Od razu poczuła się lepiej.

- I co widzicie? - zapytała Patrycja Paiwonski. - Ile mam lat, Michael?

- Nie wiem.

- To zgadnij.

- Nie potrafię, Pat.

- Och, daj spokój!

- On naprawdę nie potrafi - wtrąciła się Jill. - Nie nauczył się rozpoznawać wieku ludzi - przecież wiesz, jak krótko jest na Ziemi. Poza tym posługuje się marsjańską rachubą lat i marsjańską arytmetyką. Jeżeli trzeba radzić sobie z liczbami, ja to robię za niego.

- Cóż... W takim razie ty spróbuj zgadnąć, kochanie. Ale mów prawdę!

Jill przyjrzała się uważnie Patrycji, zwracając uwagę nie tylko na jej smukłą sylwetkę, ale także na szyję, dłonie i oczy, po czym odjęła pięć lat mimo nakazu bezwzględnej uczciwości wobec wodnego brata.

- No... Około trzydziestki plus minus rok albo dwa.

Pat zachichotała radośnie.

- Oto, czego można dokonać dzięki Prawdziwej Wierze, moi

drodzy! Kochanie, zbliżam się już do pięćdziesiątki.

- Zupełnie na to nie wyglądasz!

- Wszystko dzięki Szczęściu, najdroższa. Po urodzeniu pierwszego dziecka zupełnie zaniedbałam figurę. Zdaje się, że specjalnie dla mnie wymyślono słowo gruby. Miałam brzuch jak balon, obwisłe piersi... nie, nie robiłam operacji. Proszę, możesz sprawdzić. Dobry chirurg nie zostawiłby blizn, ale na mnie byłoby widać każdą bliznę, skarbie! Nie zgadzałyby się linie na obrazkach.

A potem ujrzałam światło! Nie, żadna gimnastyka ani dieta. W dalszym ciągu żarłam jak świnia. Szczęście, moja droga. Doskonałe Szczęście w Panu osiągnięte z pomocą Błogosławionego Fostera.

Patrycja Paiwonski wycelowała w nich palec i nagle przemieniła się w kapłankę odzianą w świętą godność i mistyczne symbole.

- Bóg chce, abyśmy byli Szczęśliwi. Zapełnił ten świat rzeczami, które mają nam pomóc stać się Szczęśliwymi. Czyż Bóg pozwoliłby sokowi z winogron przemieniać się w wino, gdyby nie chciał, żebyśmy je pili i radowali się? Przecież mógł sprawić, aby pozostał zwykłym sokiem albo zamieniał się wyłącznie w ocet, którym nikt nie mógłby się rozweselić. Czyż nie jest tak, jak mówię? Oczywiście nie chodziło mu o to, żebyśmy upijali się do nieprzytomności, bili żony i zaniedbywali dzieci... Dał nam wszystkie dobre rzeczy, byśmy ich używali, nie n a d u ż y w a l i. Jeśli masz ochotę napić się w towarzystwie przyjaciół, którzy również dostrzegli światło, a potem pragniesz zatańczyć i złożyć Panu podziękowanie za Jego dobroć, czemu miałbyś tego nie uczynić? Bóg stworzył alkohol i Bóg stworzył nogi - wystarczy połączyć jedno z drugim i być Szczęśliwym!

Umilkła na chwilę.

- Dolej mi jeszcze, kochanie. Wygłaszanie kazań szalenie zwiększa pragnienie. Nie za dużo wody; to bardzo dobra whisky. Jeszcze nie skończyłam. Gdyby Bóg nie chciał, żeby mężczyźni patrzyli na kobiety, stworzyłby je brzydkimi - to chyba oczywiste, prawda? Bóg nie oszukuje. Sam wymyślił tę grę, ale ustalił reguły w taki sposób, że wygrać może każdy, kto bierze w niej udział - nie tak, jak na strzelnicy w wesołym miasteczku, gdzie wszystkie wiatróvky mają krzywe lufy. Nie posłałby nikogo do piekła za to, że biedak przegrał w nieuczciwej grze.

Dobrze więc! Bóg chce, żebyśmy byli Szczęśliwi i nawet powiedział nam, w jaki sposób: "Kochajcie się!" Kochaj węża,

jeśli biedna istota akurat potrzebuje twojej miłości. Kochaj swojego sąsiada, sprzeciwiając się stanowczo sługom Szatana, którzy pragną sprowadzić cię z wyznaczonej ścieżki na manowce. Przez miłość Bóg nie rozumie miłości starej bigotki, która boi się wyrzucić z książki do nabożeństwa, żeby nie natrafić na jakąś cielesną pokusę. Gdyby Bóg nienawidził ciała, czy stworzyłby go a ż t y l e? Bóg to nie byle gówniarz. Stworzył Wielki Kanion, komety przelatujące po niebie, cyklony, ogiery i trzęsienia ziemi... Czy Bóg, który to wszystko stworzył, może zsiąść w majtki tylko dlatego, że jakaś dziewczucha pochylila się nad kołyską, a chłop zobaczył kawałek jej piersi? Wiesz, że nie, kochanie, i ja też to wiem. Kiedy Bóg kazał nam się kochać, miał na myśli dokładnie to, o czym mówił. Trzeba kochać małe dzieci, które ciągle należy przewijać, i trzeba kochać silnych, ostro pachnących mężczyzn, żeby było więcej dzieci do kochania... Trzeba kochać wszystko i wszystkich, po prostu dlatego, że wspaniale jest kochać!

Oczywiście, to wcale nie znaczy, że należy tym kramarzyć, tak samo jak ta butelka whisky nie oznacza, że zaleję się w trupa i pobiję gliniarza. Nie można sprzedawać miłości i nie można kupić Szczęścia, bo na żadną z tych rzeczy nie ma ceny... Jeśli uwierzysz, że jest inaczej, droga do piekła stoi przed tobą otworem. Jeśli jednak podzielisz się szczodrze z innymi i przyjmiesz w zamian to, czego Bóg ma ogromne zapasy, Diabeł nie będzie miał do ciebie dostępu. - Spojrzała na Jill. - Pieniądze? Kochanie, czy podzieliłabyś się z kimś wodą za, powiedzmy, milion dolarów? Albo za dziesięć milionów, wolnych od podatku?

- Jasne, że nie. (Michael, grokujesz to?)

(- Prawie w całości, Jill. Pomoże mi czekanie.)

- Widzisz? Wiedziałałam, że w tej wodzie jest miłość. Oboje jesteście poszukującymi, których bardzo niewiele dzieli od światła. Ponieważ jednak, dzięki tej miłości, podzieliliśmy się wodą i zbliżyliśmy się, jak mówi Michael, opowiem wam o rzeczach, o których nie mogłam opowiedzieć zwykłym poszukującym...

\*

Wielebny Foster - wyświęcony przez siebie lub przez Boga, zależnie od cytowanego źródła - wyczuwał czasy, w których przyszło mu żyć znacznie lepiej nawet od doświadczonego showmana, błyskawicznie oceniającego zebraną publiczność.

Cywilizacja znana pod nazwą Ameryki w ciągu całej swojej historii cierpiała na rozdzielenie osobowości. Cechowały ją purytańskie prawa i orgiastyczne zachowania obywateli, apollinijskie religie i dionizyjskie nawroty wiary. W dwudziestym wieku (ziemskiej ery chrześcijańskiej) nigdzie na całej planecie seks nie był tępiony z taką bezwzględnością... i nigdzie nie cieszył się tak głębokim zainteresowaniem.

Foster miał dwie cechy wspólne ze wszystkimi wielkimi przywódcami religijnymi: magnetyczną osobowość i odbiegające od normy życie seksualne. Na Ziemi wielcy przywódcy religijni zawsze albo żyli w celibacie, albo w stanie będącym jego całkowitym zaprzeczeniem. Foster nie żył w celibacie, podobnie jak jego żony i kapłanki. Rytuał decydujący o dopuszczeniu do światła Nowego Objawienia znakomicie nadawał się do wzajemnego zbliżania.

Przez ziemską historię przewinęło się wiele kultów stosujących tę samą technikę, lecz przed Fosterem żadnemu z nich nie udało się zaistnieć w Ameryce na większą skalę. Foster był wielokrotnie wyrzucany z różnych miast, zanim udało mu się opracować metodę pozwalającą rozszerzać zasięg oddziaływania wiary. Tworząc swoje Nowe Objawienie czerpał pełnymi garściami nie tylko z doświadczeń masonerii, katolicyzmu, komunizmu i przemysłu reklamowego, lecz także ze świętych tekstów wielu dawnych religii, pokrywając wszystko grubą warstwą lukru i nazywając powrotem do prymitywnego chrześcijaństwa. Utworzył Kościół Zewnętrzny, do którego mógł uczęszczać praktycznie każdy, oraz Kościół Środkowy, właściwie równoznaczny Kościołowi Nowego Objawienia. Zbawieni szczęśliwcy - ma się rozumieć ci, którzy płacili dziesięcinę - wykorzystywali profity płynące z rozległych powiązań finansowych tej instytucji, płasząc w niekończącym się karnawale Szczęścia, Szczęścia, Szczęścia! Wybaczone im wszystkie grzechy - było ich niewiele, pod warunkiem, że popierali finansowo swój Kościół, nie oszukiwali współwyznawców, potępiali grzeszników i byli Szczęśliwi. Nowe Objawienie nie zachęcało wprost do rozpusty, lecz w kwestiach związanych z seksem wypowiadało się dość niejednoznacznie i tajemniczo.

Z Kościoła Środkowego wywodzili się członkowie oddziałów uderzeniowych. Foster pożyzył ten pomysł od działających na początku dwudziestego wieku w Chicago komunistycznych związków zawodowych; jeżeli jakaś społeczność usiłowała zdusić w zarodku ruch fosterytów, fosteryci przystępowali do szturmującego

tak długo, aż wreszcie więzienia nie były w stanie ich pomieścić, a policja nie mogła sobie z nimi poradzić. Następny etap polegał na łamaniu żeber policjantom i burzeniu więzień.

Jeśli nawet znalazł się surowy prokurator, który wniósł przed sąd oskarżenie, to nic z tego nie wynikało, gdyż Foster miał swoje sposoby, aby dopilnować, żeby żaden fosteryta nie był sądzony za to, że jest fosterytą - i nigdy do tego nie doszło.

Jądro Kościoła Środkowego stanowił Kościół Wewnętrzny - grupa najbardziej zaangażowanych ludzi, spośród których wywodzili się kapłani, zwierzchnicy i najważniejsze osobistości. Byli oni "ponownie narodzeni", a więc bez grzechu, pewni miejsca w niebie, uczestniczący w najskrytszych obrzędach.

Foster dobierał ich nadzwyczaj starannie, a nawet osobiście, dopóki nie stało się to fizyczną niemożliwością. Szukał mężczyzn takich jak on sam i kobiet takich jak jego żony-kapłanki: dynamicznych, całkowicie oddanych sprawie, upartych i wolnych od zazdrości (lub rokujących w tym względzie znaczne nadzieje) w jej najbardziej ludzkim z możliwych znaczeń; jednocześnie wszyscy musieli być potencjalnymi satyrami i nimfami, gdyż mieli stanowić załączek nieznanego Ameryce dionizyjskiego kultu, na który istniał ogromny popyt rynkowy.

Podczas rekrutacji zachowywał maksymalną ostrożność. W przypadku małżeństw angażował wyłącznie oboje partnerów, samotni kandydaci zaś musieli być atrakcyjni seksualnie i agresywni; często powtarzał swoim kapłanom, że mężczyźni muszą dorównywać liczbą kobietom lub nawet je przewyższać. Nie istnieją żadne dowody na to, że Foster studiował historię podobnych kultów, usiłujących wcześniej zaistnieć w Ameryce, lecz z pewnością wiedział lub przeczuwał, iż przyczyną upadku większości z nich było to, że nadmierna zachłanność ich kapłanów prowadziła do tarć na tle zazdrości. Nigdy nie popełnił takiego błędu: nie zdarzyło się ani razu, żeby zatrzymał jakąś kobietę wyłącznie dla siebie, nawet jeśli była jego żoną.

Nie zależało mu też zbyt na szybkim poszerzaniu kręgu najbardziej wtajemniczonych; Kościół Środkowy oferował dosyć atrakcji, żeby zaspokoić łagodniejsze potrzeby mas. Jeżeli w jednym poborze trafiały się dwie pary gotowe zawrzeć Boskie Małżeństwo, Foster był bardzo zadowolony. Jeżeli nie znalazła się żadna, pozwalał ziarnu spokojnie kiełkować, posyłając od czasu do czasu doświadczonego kapłana lub kapłankę, aby je doglądali.

O ile było to możliwe, egzaminował zakwalifikowane pary osobiście, w towarzystwie jednej z kapłanek. Ponieważ ludzie ci byli już zbawieni, przynajmniej z punktu widzenia Kościoła Środkowego, ryzyko było niewielkie; w przypadku kobiety prawie żadne, a co do mężczyzny, to najpierw starannie go oceniał, zanim pozwolił kapłance zabrać się do dzieła.

Przed swoim zbawieniem Patrycja Paiwonski była młoda, zamężna i bardzo szczęśliwa. Miała dziecko, a swego znacznie starszego męża otaczała miłością i podziwem. George Paiwonski był szlachetnym i dobrym człowiekiem, gnębionym przez jedną jedyną słabość - w rezultacie często bywał zbyt pijany, aby okazać rodzinie swoją szlachetność i dobroć. Patty uważała, że miała szczęście; to prawda, że czasem George poświęcał nieco zbyt dużo uwagi jakiejś klientce (tym więcej, im dalej było do wieczora), ale przecież tatuaż musiał być wykonywany w warunkach całkowitej dyskrecji, szczególnie jeśli w grę wchodziła kobieta. Patty była bardzo tolerancyjna. Kiedy George zaczął coraz częściej zaglądać do butelki, ona także zaczęła zniżać się z jego klientami.

Mimo to w jej życiu istniała pustka, której nie wypełnił nawet jeden z klientów, ofiarowując jej żywego węża - twierdził, że wypływa w rejs i nie może zabrać gada ze sobą. Lubiła żywe istoty i nie bała się węży; umieściła go na wystawie, a George wykonał piękny czterokolorowy rysunek z napisem "Proszę po mnie nie deptać!" Ten wzór okazał się dosyć popularny.

Stopniowo zdobywała coraz więcej węży, co przynosiło jej pewną ulgę, lecz problem polegał na tym, że była córką północnoirlandzkiego katolika i południowoirlandzkiej protestantki; w wyniku układu o zawieszeniu broni między rodzicami nie została wychowana w żadnej religii.

Kiedy Foster nauczał w San Pedro, zaliczała się już do poszukujących. Udało się jej nawet namówić kilka razy George'a, żeby poszedł z nią na niedzielne nabożeństwo, ale jej mąż nie ujrzał światła.

Sprawił to dopiero Foster. Wspólnie przystąpili do spowiedzi, a kiedy w pół roku później Wielebny zjawił się ponownie w San Pedro, państwo Paiwonski byli tak mocno zaangażowani, że nawet poświęcił im chwilę czasu.

- Odkąd George dostrzegł światło, nie miałam z nim najmniejszych kłopotów - zwierzyła się Mike'owi i Jill. - Co prawda, nadal pił, ale tylko w kościele i nigdy zbyt wiele. Po spotkaniu z naszym świętym przywódcą George przystąpił do

realizacji Wielkiego Projektu. Naturalnie chciał to pokazać Fosterowi... - Patrycja zawahała się. - Właściwie nie powinnam wam tego mówić...

- Więc nie mów - odparła z naciskiem Jill. - Droga Patty, nie musisz robić niczego, na co nie masz ochoty. Dzielenie się wodą musi brać się z autentycznej potrzeby.

- Kiedy ja c h c ę powiedzieć! Ale pamiętajcie, że to są sprawy Kościoła, więc nikomu tego nie powtarzajcie. Tak samo, jak ja nikomu nie pisnę ani słowa o was.

Mike skinął głową.

- Tu na Ziemi nazywamy to sprawą między wodnymi braćmi. Na Marsie nie ma z tym kłopotów, ale grokuję, że tu czasem się zdarzają. O sprawach między wodnymi braćmi nie rozmawia się z nikim innym.

- Ja... grokuję. Śmieszne słowo, ale chyba zaczynam się go uczyć. W porządku, moi drodzy; to jest sprawa między wodnymi braćmi. Czy wiecie, że wszyscy fosteryci mają tatuaże? Mam na myśli członków Kościoła Wewnętrznego, którzy są już na zawsze zbawieni. Nie wszędzie, tak jak ja, ale... Widzicie ten znak nad moim sercem? To święty pocałunek Fosterera. George wkomponował

go w obraz, więc trudno go zauważyć, ale to jest naprawdę pocałunek Fosterera... i on złożył go tam osobiście!

Spojrzała na nich z ekstatyczną dumą.

Przyjrżeli się dokładnie znakowi.

- To rzeczywiście ślad po pocałunku - stwierdziła ze zdziwieniem Jill. - Jakby ktoś posmarował usta szminką i potem cię pocałował. Myślałam, że to część tego zachodu słońca.

- George specjalnie starał się, żeby to tak wyglądało, bo pocałunek Fosterera można pokazać tylko tym, którzy także go noszą. Pierwszy raz zламаłam tę zasadę. Ale wy też kiedyś będziecie go mieli, jestem tego pewna.

- Nie rozumiem, Patty... W jaki sposób on może nas pocałować? Przecież jest w Niebie?

- Oczywiście, że jest, kochanie. Zaraz ci to wyjaśnię. Otóż pocałunek Fosterera może ci dać każdy kapłan lub kapłanka. Oznacza to, że masz Boga w sercu, więc Bóg jest już na zawsze częścią ciebie.

- Tyś jest Bogiem! - odezwał się nagle Mike.

- Słucham, Michael? Hmm... Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś ujął to w ten sposób, ale chyba właśnie o to chodzi. Bóg jest z tobą, w tobie i obok ciebie, dzięki czemu Diabeł nie może się do ciebie dostać.

- Tak - zgodził się Mike. - Grokujesz Boga.

Pomyślał z radością, że chyba jeszcze nigdy nie udało mu się dotrzeć tak blisko sedna problemu... Jill także zbliżała się do niego coraz bardziej, dzięki postępom czynionym w nauce marsjańskiego. Z pewnością kiedyś się tam spotkają.

- Właśnie o to chodzi, Michael. Bóg... grokuje ciebie, a ty jesteś poślubiony Jego Kościołowi w Świętej Miłości i Wiecznym Szczęściu. Kapłan lub kapłanka całują twoją pierś, a ślad po pocałunku zostaje wytatuowany, żeby pozostać już na zawsze. Wcale nie musi być taki duży - mój jest dokładnie wielkości błogosławionych ust Fostera i można go umieścić w dowolnym miejscu, aby uchronić przed spojrzeciami grzesznych oczu. Gdziekolwiek, gdzie trudno będzie go dostrzec. Pokazuje się go tylko innym zbawionym podczas Spotkań Szczęścia.

- Słyszałam o tych spotkaniach, ale szczerze mówiąc nie wiem, na czym polegają - przyznała Jill.

- Cóż, są spotkania i Spotkania - stwierdziła z mądrą miną Patrycja Paiwonski. - Te przeznaczone dla zwykłych członków, którzy co prawda zostali zbawieni, ale nie są zbyt pewni, to zwykłe przyjęcia: nie za dużo modlitw, a za to masa tańców, żeby wszystkim było przyjemnie, i może trochę miłości, ale trzeba bardzo uważać z kim i w jaki sposób, żeby nie zgorszyć żadnego z braci. Nasz Kościół ściśle przestrzega zasady, żeby wszystko miało swoje miejsce.

Natomiast Spotkanie Szczęścia przeznaczone dla tych, którzy zostali zbawieni już na wieczność... Tam nie trzeba uważać, bo nie ma nikogo, kto mógłby w jakikolwiek sposób zgrzeszyć. Wszyscy mają to już za sobą. Jeżeli masz ochotę zalać się w pestkę - proszę bardzo, widocznie Bóg sobie tego życzy. Chcesz paść na kolana i modlić się, chcesz śpiewać, chcesz podrzeć na sobie ubranie i puścić się w płasy - nie ma sprawy, taka jest wola Boga. Z pewnością nikt nie weźmie ci tego za złe.

- Wygląda na to, że to niezła zabawa - zauważyła Jill.

- Och, możesz być tego pewna! A w dodatku wypełnia cię niebiańska rozkosz. Jeżeli następnego ranka obudzisz się u boku jednego z braci, oznacza to, że Bóg zażyczył sobie, abyście byli ze sobą szczęśliwi. Wszyscy noszą ślad po pocałunku Fostera, więc wszyscy należą do ciebie, a ty do nich. - Zmarszczyła z zastanowieniem brwi. - To trochę tak jak przy dzieleniu się wodą. Rozumiecie?

- Grokuję - odparł Mike.

(- Mike???)



(- Zaczekaj, Jill. Zaczekaj na całość.)

- Wątpię jednak, czy udałoby dostać się na Spotkanie Szczęścia ze sfalszowanym śladem pocałunku - ciągnęła Patrycja.  
- Nawet podróżującemu bratu lub siostrze, takim jak ja. Jak tylko się dowiem, do jakiego miasta jedziemy, natychmiast piszę list do tamtejszego kościoła i wysyłam moje odciski palców, żeby sprawdzili je w kartotece zbawionych na wieczność w Sanktuarium Archanioła Fostera. Podaję im też adres, a potem nie opuszczam żadnego, ale to żadnego Spotkania, nawet jeśli Tim musi przesunąć godzinę przedstawienia. Bracia zawsze witają mnie z radością, bo dzięki moim świętym obrazom stanowią nie lada atrakcję. Nieraz przez cały wieczór nic nie robię, tylko pozwalam się oglądać, a każda minuta spędzona w ten sposób jest dla mnie błogosławieństwem. Czasem kapłan prosi mnie, żebym przyniosła Pieszczocha i wzięła udział w przedstawieniu jako Ewa z wężem. Któryś z braci gra Adama, zostajemy wyrzuceni z Raju, a kapłan wyjaśnia, co to n a p r a w d ę znaczy. W końcu odzyskujemy błogosławioną niewinność i przyjęcie zaczyna się na dobre. - Umilkła na chwilę, po czym dodała: - Wszyscy chcą zawsze zobaczyć ślad pocałunku Fostera, bo on przecież poszedł do Nieba już dwadzieścia lat temu, więc jest niewiele takich, których ucałował osobiście - na to też mam zaświadczenie z Sanktuarium. Opowiadam im nawet, jak to było...

Po krótkim wahaniu Patrycja Paiwonski przedstawiła im swoją opowieść; Jill stwierdziła z niepokojem, że chyba już zupełnie oduczyla się rumienić. Dopiero po chwili zrozumiała, że Patty jest taka sama jak Mike: bosko niewinna, niezdolna do grzechu bez względu na to, co robi. Miała nadzieję, właśnie z tego względu, że Foster naprawdę był świętym prorokiem i zapewnił Patrycji wieczną szczęśliwość.

Szczerze mówiąc, miała co do tego pewne wątpliwości.

Wróciła myślami do pokoju ze szklaną ścianą i spojrzała jeszcze raz w martwe oczy Fostera... ale teraz te oczy wydawały się błyszczeć życiem. Poczowała dziwne drżenie i przemknęła jej zaskakująca myśl, co o n a by zrobiła, gdyby Foster zaproponował jej święty pocałunek - i siebie?

Otrząsnęła się z tych myśli, ale nie dość szybko, by Mike nie zdążył ich zauważyć. Poczowała jego mądry, niewinny uśmiech.

Wstała z miejsca.

- Patty, kochanie... O której musisz być z powrotem u siebie?

- O, rety! Już jestem spóźniona!

- Dlaczego? Przecież masz występ dopiero o wpół do

dziesiątej rano?

- Tak, ale Pieszczoł bardzo za mną tęskni. Jest zazdrosny, jeśli nie ma mnie długo w domu.

- Nie możesz mu powiedzieć, że byłaś na Spotkaniu Szczęścia?

- Och... - Kobieta uściskała mocno Jill. - Masz rację, to naprawdę było Spotkanie Szczęścia!

- To dobrze. Idę spać, jestem wykończona. O której musisz wstać?

- Jeżeli uda mi się zwlec o ósmej, to Sam złoży moją budę, a ja zdążę sprawdzić, czy moim maleństwom niczego nie brakuje.

- A śniadanie?

- Zjem w drodze. Zwykle rano piję tylko filiżankę kawy.

- Zrobię ci ją tutaj. Możecie sobie jeszcze gadać, ile chcecie. Obudzę cię, gdybyś zasnęła - o ile w ogóle pójdziesz spać. Mike nigdy nie śpi.

- Ani trochę?

- Ani trochę. Czasem zwija się w kłębek i zamyka oczy, żeby pomyśleć, ale to nie jest sen.

Patrycja Paiwonski skinęła z powagą głową.

- Jeszcze jeden znak, jestem tego pewna. Ty też to zrozumiesz, Michael. Pewnego dnia usłyszysz głos, który cię wezwie do siebie.

- Być może - zgodziła się Jill. - Mike, dosłownie lecę z nóg. Mógłbyś zanieść mnie do łóżka?

Została uniesiona w powietrze i delikatnie przeniesiona do sypialni, gdzie już czekało łóżko z odwiniętą kołdrą.

Obudziwszy się o siódmej rano Jill wyskoczyła z łóżka i wsadziła głowę do salonu. Zastony były zaciągnięte, a światło zgaszone, lecz Mike i Patty nie spali. Jill usłyszała spokojny, łagodny głos Człowieka z Marsa:

- Tyś jest Bogiem.

- Tyś jest Bogiem... - powtórzyła półprzytomnie Patrycja.

- Tak. Jill jest Bogiem.

- Jill... jest Bogiem. Tak, Michael.

- I tyś jest Bogiem.

- Tyś... jest Bogiem. Teraz, Michael! Teraz!

Jill wycofała się po cichutku, umyła zęby, po czym zasygnalizowała Mike'owi, że już nie śpi, ale przekonała się, że on o tym wie. Kiedy wróciła do pokoju, przez odsłonięte okna wpadał blask słońca.

- Dzień dobry, kochani! - Pocałowała obydwój.

- Tyś jest Bogiem - odparła po prostu Patty.

- Tak, Patty. I tyś jest Bogiem. Bóg jest w każdym z nas.

Przyjrząwszy się uważnie Pat w jasnym świetle poranka stwierdziła, że starsza od niej kobieta wcale nie wygląda na zmęczoną. Znała to z własnego doświadczenia; jeżeli Mike życzył sobie, żeby nie spała całą noc, nigdy nie sprawiało jej to najmniejszego kłopotu. Podejrzewała, że jej wieczorna senność również stanowiła jego pomysł... Ochocho potwierdził to w myślach.

- Jest już kawa, moi drodzy. I udało mi się znaleźć trochę soku pomarańczowego.

Skromne śniadanie upłynęło w nastroju pełnego szczęścia. W pewnej chwili Pat zamyśliła się nad czymś.

- Co się stało, kochanie? - zapytała Jill.

- Przepraszam, że o to pytam, ale... Z czego będziecie żyć, dzieciaki? Ciocia Patty ma dość wypchany trzosik, więc pomyślałam sobie, że...

Jill wybuchnęła śmiechem.

- Przepraszam, nie chciałam cię urazić. Pat, Człowiek z Marsa jest niewiarygodnie bogaty! Nie słyszałaś o tym?

- Owszem, słyszałam. Ale trudno wierzyć we wszystko, co mówią w stereowizji.

- Jesteś kochana, Patty. Wierz mi - teraz, kiedy jesteśmy wodnymi braćmi, nie wahałobyśmy się ani chwili skorzystać z twojej propozycji. Dzielenie gniazda to nie tylko poezja. Jednak sprawa ma się dokładnie na odwrót: gdybyś ty kiedykolwiek potrzebowała pieniędzy, po prostu nam o tym powiedz. Ile i kiedy zechcesz. Napisz do nas albo jeszcze lepiej zadzwoń do mnie, bo Mike zupełnie nie orientuje się w tych sprawach. Mam kilkaset tysięcy dolarów na osobnym koncie. Chcesz trochę?

Patrycja Paiwonski sprawiała wrażenie lekko zaszokowanej.

- Niech mnie błogosławi!... Nie trzeba mi pieniędzy.

Jill wzruszyła ramionami.

- Gdyby coś się zmieniło, po prostu daj znać. Nie chciałabyś na przykład mieć jachtu? Mike'owi sprawiłoby to ogromną przyjemność, gdyby mógł podarować ci jacht.

- Jill ma rację. Jeszcze nigdy nie widziałem jachtu.

Patrycja potrząsnęła głową.

- Nie wprowadzajcie mnie na wysoką górę, kochani. Od was chcę tylko waszej miłości...

- Masz ją - zapewniła ją Jill.

- Nie rozumiem miłości - odparł Mike. - Ale Jill zawsze mówi prawdziwie. Jeżeli to mamy, należy do ciebie.

- ...i marzę o tym, żebyście zostali zbawieni, choć już się tym nie martwię. Mike opowiedział mi o czekaniu i o tym, do czego ono służy. Rozumiesz to, Jill?

- Głokuję. Już nic mnie nie niecierpliwi.

- Mam coś dla was. - Wytatuowana kobieta sięgnęła do torebki i wyjęła z niej książkę. - Moi drodzy, oto egzemplarz Nowego Objawienia, który otrzymałam z rąk samego Błogosławionego Foster'a tej nocy, kiedy złożył na mnie swój pocałunek. Pragnę wam go ofiarować.

Oczy Jill wypełniły się łzami.

- Ciociu Patty... Patty, nasz bracie!... Nie możemy tego przyjąć. Kupimy sobie inny.

- Nie, bo to jest... to "woda", którą się z wami dzielę. Po to, byśmy jeszcze bardziej się zbliżyli.

- Och... - Jill zerwała się z miejsca. - W takim razie zgoda. Teraz należy do nas wszystkich. - Pocałowała ją.

Mike poklepał ją po ramieniu.

- Zachłanny braciszku, teraz moja kolej.

- W tych sprawach zawsze będę zachłanna.

Człowiek z Marsa najpierw pocałował swojego nowego brata w usta, a następnie w miejsce, które kiedyś ucałował Foster. Przez dłuższą chwilę - dla innych trwającą zaledwie ułamek sekundy - zastanawiał się nad wyborem miejsca po drugiej stronie, by ślad ust wtopił się w obraz wykonany przez George'a, po czym złożył tam ostrożnie pocałunek, z wielką uwagą grokując przebieg wszystkich nerwów i naczyń krwionośnych...

Kobiety dostrzegły tylko, jak przyłożył na krótko usta do skóry, lecz Jill wyczuła jego nadzwyczajny wysiłek.

- Zobacz, Patty!

Patrycja Paiwonski spojrzała na krwistoczerwony odcisk ust Człowieka z Marsa. Przez moment wydawało się, że zemdleje, ale znalazła oparcie w sile swojej wiary.

- Och, Michael...

Wkrótce miejsce wytatuowanej kobiety zajęła myszowata gospodyni ubrana w sukienkę szczelnie zakrywającą ciało i długie rękawiczki.

- Nie będę płakać - oświadczyła spokojnie - a w wieczności nie ma miejsca na pożegnania. Będę czekać.

Ucałowała ich i wyszła, nie oglądając się za siebie.

## Rozdział XXVIII

- Błuznierstwo!

Foster podniósł wzrok.

- Coś cię gryzie, junior?

Dodatek, nad którym ślęczał, został stworzony w dużym pośpiechu, w wyniku czego dostało się do niego wiele Rzeczy - roje prawie niedostrzegalnych chochlików, zazwyczaj nieszkodliwych, ale od czasu do czasu potrafiących boleśnie ukąsić jego poczucie własnej wartości.

- Musisz to zobaczyć, żeby uwierzyć. Cofnę trochę zapis.

- Zdziwiłbyś się, w co ja potrafię uwierzyć, junior. -

Mimo to zwierzchnik Digby'ego skierował część uwagi we wskazanym kierunku. Troje tymczasowych - po bliższym przyjrzeniu się stwierdził, że były to dwie kobiety i mężczyzna - rozmawiało o wieczności. Nic nadzwyczajnego. - I co?

- Przecież słyszałeś, co powiedziała! "Archanioł Michael", dobre sobie!

- I co z tego?

- I co z tego?! Na litość Boską...

- Tak?

Przez aureolę Digby'ego przebiegło drżenie.

- Foster, chyba nie przyjrzałeś im się dokładnie! Ona miała na myśli tego przerośniętego młodziana, który mnie sprzątnął. Spójrz jeszcze raz.

Foster wzmocnił powiększenie i stwierdził, że anioł-adept ma rację. Zauważył także coś, co sprawiło, że uśmiechnął się swoim anielskim uśmiechem.

- Junior, a skąd wiesz, że ona nie ma racji?

- Co takiego?

- Od jakiegoś czasu Mike przestał pokazywać się w Klubie, a jego nazwisko zostało skreślone z listy uczestników Solipsystycznego Turnieju Tysiąclecia. To znak, że przydzielono mu zadanie specjalne. Mike jest jednym z najlepszych graczy w solipsyzm w tym sektorze.

- Ale cóż to za ohydny pomysł!

- Zdziwiłbyś się, jak wiele najlepszych pomysłów Szefa nazywano w niektórych rejonach ohydnyymi... Choć t y akurat nie powinieneś się dziwić, zważywszy na twoje doświadczenie bojowe. Ohyda to puste pojęcie, pozbawione jakiegokolwiek znaczenia teologicznego. "Czystym wszystkie rzeczy wydają się

czyste."

- Ale...

- Jestem zajęty Asystowaniem, junior. Oprócz tego, że nasz brat Michael akurat w tej mikrochwili zdaje się być nieobecny - nie wiem, gdzie przebywa, bo nie zostaliśmy przydzieleni do tej samej Wachtu - ta wytatuowana dama, która wygłosiła niniejsze stwierdzenie, może mieć rację. Ona sama ma bardzo świętą tymczasowość.

- Kto tak mówi?

- Ja tak mówię, bo wiem.

Foster ponownie uśmiechnął się z anielską słodyczą. Mała kochana Patrycja! Już trochę podstarzała, ale nadal z ziemskiego punktu widzenia godna pożądania, a w dodatku promieniująca wewnętrznym blaskiem upodabniającym ją do witraża. Zauważył, że od chwili, kiedy widział ją po raz ostatni, George zdążył ukończyć swoje natchnione dzieło - obraz przedstawiający Wniebowstąpienie Fostera był całkiem niezły, nawet w wyższym sensie. Musi pamiętać, żeby znaleźć George'a, pochwalić go i powiedzieć mu, że widział Patrycję... Tylko gdzie był George? Jako artysta trafił zapewne do sekcji projektowania wszechświata podlegającej bezpośrednio samemu Architektowi. Zresztą nieważne; w głównej kartotece odszukają go w ciągu ułamka milenium.

Cóż za rozkoszny mały pulpecik był z tej Patrycji, a do tego jeszcze ta święta gorliwość! Gdyby była odrobinę mniej pokorna, a bardziej apodyktyczna, mógłby nawet uczynić ją kapłanką. Jednak cechowała ją tak głęboka potrzeba zaakceptowania Boga zgodnie z jej własną naturą, że kwalifikowałaby się jedynie do Czcicieli Lingamu, gdzie jej nie potrzebowano. Foster nabrał ochoty, żeby cofnąć się w przeszłość i obejrzeć Patrycję taką, jaka wtedy była, lecz zmusił się do zachowania anielskiej powściągliwości; miał jeszcze wiele do zrobienia.

- Zostaw to w spokoju, junior. Chcę z tobą zamienić Słowo.

Digby zamarł w oczekiwaniu. Foster pstryknął w swoją aureolę - czynił to zawsze, kiedy się nad czymś zastanawiał.

- Junior, muszę stwierdzić, że zachowujesz się niezbyt po anielsku.

- Przepraszam.

- Przepraszając nie osiągniesz wieczności. Chodzi o to, że za bardzo zaprzątasz sobie głowę tym chłopakiem, który może jest, a może nie jest naszym bratem Michałem. Zaczekaj... Po pierwsze, nie tobie oceniać sposób, jaki wybrano, aby odwołać cię z ziemskiego pastwiska. Po drugie, w gruncie rzeczy to nie

on nie daje ci spokoju, bo przecież prawie go nie znalazłeś, tylko ta mała brunetka, która była twoją sekretarką. Zasłużyła na mój Pocałunek spory kawał tymczasowości przedtem, zanim cię tu przywołano. Zgadza się?

- Nie zdążyłem jej do końca zbadać.

- W takim razie chyba ucieszy cię wiadomość, że nadbiskup Short, przeprowadziwszy osobiście nadzwyczaj dokładne badanie - od razu mówiłem ci, że potrafi ci dorównać - uznał, że może ją dopuścić do większej Szczęśliwości. Hmm... Pasterz powinien czerpać radość ze swojej pracy, nawet wtedy, kiedy zostaje od niej odwołany. Tak się przypadkiem składa, że w nowo otwartym sektorze jest wolne stanowisko Strażnika-Adepta; zdaję sobie sprawę, że to funkcja poniżej twojej oficjalnej rangi, ale dzięki temu będziesz miał szansę wiele się nauczyć jako anioł. Ta planeta - w każdym razie możesz o niej myśleć jako o planecie; wkrótce sam się przekonasz, co to jest naprawdę - jest zamieszkała przez trójpliową rasę, a Najwyższy zapewnił mnie osobiście, że nawet Don Juan nie wykrzesałby z siebie ani odrobiny ziemskiego zainteresowania dla którejkolwiek z tych płci. To nie domysł, tylko fakt; wypożyczyliśmy go dla przeprowadzenia testu. Wrzeszczał jak potępieniec i błagał, żebyśmy pozwolili mu wrócić do piekła samotności, które sam sobie stworzył.

- Chcesz wysłać mnie na zapadłą prowincję, żebym nie przeszkadzał?

- Daj spokój. I tak nie możesz w niczym przeszkodzić; próbowałem ci o tym powiedzieć od razu, jak się tu zjawiłeś. Ale nie przejmuj się za bardzo - wolno ci ciągle próbować. Masz składać okresowe meldunki, nie tracąc nic ze swojej tamtejszej tymczasowości. A teraz leć już i bierz się do roboty, bo jestem zajęty.

Foster wrócił do swego poprzedniego zajęcia, to znaczy biednej duszyczki oznaczonej czasowo jako "Alice Douglas" - pełnienie funkcji medium nie należało do najłatwiejszych zadań, ona jednak wypełniła je bezbłędnie, teraz zaś należał jej się odpoczynek i rehabilitacja po niewątpliwym zmęczeniu bitewnym. Nieszczęsna wrzeszczała, wiała się i wydzielała obficie ektoplazmę ze wszystkich otworów ciała.

Po tak ciężkiej pracy przydadzą się jej egzorcyzmy. Ale który z przydziałów można było nazwać lekkim? Żaden. "Alice Douglas" była wysmienitym agentem bojowym; mogła przyjąć każde zlecenie, które musiało zostać zrealizowane przez dziewczęcę: od spalenia na stosie poczynając, na wstąpieniu do klasztoru

kończąc. Zawsze znakomicie dawała sobie radę.

Nie znaczyło to wcale, że Foster żywił jakiś specjalny szacunek dla dziewczyc, oprócz należnego każdemu, kto dobrze spełnił swoją rolę. Rzucił pożegnalne spojrzenie na Patrycję Paiwonski; oto współpracownik, którego naprawdę cenił! Kochana mała Patrycja! Święte, apetyczne błogosławieństwo...

## Rozdział XXIX

- Co teraz, Mike? - zapytała Jill, kiedy za Patrycją zamknęły się drzwi.

- Wyjeżdżamy. Jill, czy czytałaś coś o paranormalnej psychologii?

- Tak, ale na pewno nie tyle co ty.

- Wiesz, jakie jest symboliczne znaczenie tatuazu i węży?

- Oczywiście. Przejrzałam Pat w chwili, kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy. Miałam nadzieję, że będziesz mógł jej jakoś pomóc.

- Nie mogłem, dopóki nie zostaliśmy wodnymi braćmi. Seks to przyjazne bóstwo, ale tylko wtedy, jeśli służy dzieleniu się wodą i zbliżaniu. Głęboko, że gdybym zrobił to bez dzielenia się wodą... Hmm, nie jestem pewien.

- Chyba rzeczywiście nie mógłbyś tego zrobić. To jeden z wielu powodów, dla których cię kocham.

- Ja nadal nie głęboko miłości. Jill, ja nawet nie głęboko ludzi. Ale nie chciałem, żeby Pat sobie poszła.

- Więc zatrzymaj ją. Niech zostanie z nami.

(- Trzeba czekać, Jill.)

(- Wiem.)

- Wątpię, czy moglibyśmy dać jej wszystko, czego potrzebuje - dodał. - Ona chce dawać siebie wszystkim cały czas, bez przerwy. Spotkania Szczęścia, węże i publiczność to dla niej za mało. Pragnie złożyć się w ofierze za cały świat i uczynić go szczęśliwym. To Nowe Objawienie... Głęboko, że dla innych ludzi oznacza różne inne rzeczy, ale dla Pat to właśnie to.

- Tak, Mike. Kochany Mike.

- Pora iść. Wybierz jakąś sukienkę i weź torebkę, a ja pozbędę się tych śmieci.

Jill pomyślała ze smutkiem, że chciałyby zabrać parę rzeczy, lecz Mike wolał, żeby za każdym razem wyruszali tylko w



tym, co mieli na grzbiecie, a w dodatku zdawał się grokować, że ona uważa tak samo.

- Założę tę niebieską.

Sukienka wypłynęła z szafy, zawisała nad Jill, a kiedy ta uniosła ramiona, opuściła się na nią. W chwilę potem zasunął się zamek błyskawiczny, a kiedy dziewczyna założyła pantofle, które przymaszerowały i stanęły przy niej, była już gotowa do wyjścia.

Mike pochwyił ogólny sens jej myśli, ale nie ich temat, zbyt odległy od marsjańskich wyobrażeń.

- Jill? Czy chcesz, żebyśmy się pobrali?

Myślała nad tym przez chwilę.

- Dzisiaj jest niedziela. Nie dostalibyśmy zezwolenia.

- W takim razie jutro. Grokuję, że byś tego chciała.

- Nie, Mike.

- Dlaczego nie, Jill?

- Nie stalibyśmy się sobie bliżsi, bo już dzieliliśmy się wodą. To prawda zarówno ludzka, jak i marsjańska.

- Tak.

- Ale powód, dla którego nie chcę wyjść za ciebie za męża, mogę wyjaśnić tylko w moim języku. Nie chciałabym, żeby Dorcas, Miriam, Anne i Patty odniosły wrażenie, że próbuję się przed nie wepchnąć.

- Na pewno żadna z nich by tak nie pomyślała.

- Mimo to wolę nie próbować, tym bardziej że nie muszę.

Przecież już bardzo, bardzo dawno temu poślubiłeś mnie w pewnym szpitalnym pokoju... - Zawahała się. - Jest jednak coś, co mógłbyś dla mnie zrobić.

- Co takiego, Jill?

- Mógłbyś nazywać mnie różnymi zdrobniałymi przydomkami, tak jak ja ciebie.

- Dobrze, Jill. Jakimi zdrobniałymi przydomkami?

- Och! - Pocałowała go szybko. - Mike, jesteś najśłodszym, najbardziej kochanym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam, a jednocześnie najbardziej irytującą istotą na dwóch planetach!

Nie przejmuj się tym. Mów tylko do mnie czasem "mały braciszku"... Dostaję od tego rozkosznych dreszczy.

- Tak, Mały Braciszku.

- Och... Lepiej stąd idźmy, zanim znowu zaciągnę cię do łóżka. Spotkamy się przy recepcji. Muszę zapłacić rachunek.

Wyszła prędko z pokoju.

Wsiedli do pierwszego autobusu, nie patrząc dokąd jedzie. Tydzień później wpadli na chwilę do domu, przez kilka dni

dzielili się wodą ze swoimi braćmi, po czym wyjechali bez pożegnania; Mike kategorycznie odmówił podporządkowania się ziemskiemu zwyczajowi mówienia za każdym razem "Do widzenia". Używał tego zwrotu wyłącznie w stosunku do obcych.

Wkrótce potem znaleźli się w Las Vegas, gdzie zamieszkali w jednym z hoteli poza Strip Street<sup>12</sup>. Mike zajął się grą, a Jill podjęła pracę w show biznesie. Nie potrafiła tańczyć ani śpiewać, więc tylko paradowała po scenie w stroju składającym się z nieprawdopodobnie wysokiego kapelusza, uśmiechu i skrawka błyszczącego materiału. Nie lubiła siedzieć bezczynnie, podczas gdy Mike pracował, jemu zaś zawsze udawało się załatwić jej to zajęcie, które sobie wybrała. Ponieważ kasyna działały przez całą dobę, Mike pracował niemal bez przerwy.

Starał się nie wygrywać zbyt wiele, przestrzegając limitów ustalonych przez Jill. Wydoiwszy z jakiegoś kasyna kilka tysięcy, chował je do kieszeni i wychodził, nie podejmując gry o największe stawki. Następnie podjął pracę jako krupier, pozwalając małej kulce kręcić się bez ingerencji jego woli, obserwując ludzi i usiłując odgadnąć powody, dla których brali się do hazardu. Grokował, że powoduje nimi coś w rodzaju seksualnego pożądania, lecz wyczuwał w tym jakąś niewłaściwość.

Jill przypuszczała, że goście odwiedzający wielką restaurację połączoną z salą widowiskową, w której pracowała, nie będą się niczym różnić od publiczności znanej jej z wesołego miasteczka, lecz ku swemu zdziwieniu stwierdziła, że pokazywanie się im sprawia jej autentyczną przyjemność. Z typową dla Marsjan uczciwością zbadła to uczucie. Zawsze lubiła stanowić obiekt podziwu mężczyzn wystarczająco atrakcyjnych,

żeby pragnęła ich dotknąć; irytowało ją, że Mike'a w ogóle nie porusza widok jej ciała, mimo iż wielbił ją tak, jak nie była wielbiona chyba żadna kobieta na świecie... oczywiście pod warunkiem, że nie był akurat zajęty. Jednak nawet wtedy nie tracił nic ze swojej szlachetności: bez protestu budził się z transu stając się znowu uśmiechniętym, gorliwym kochankiem.

Mimo to traktowała tę jego cechę jak jedno z nielicznych dziwactw, podobne do nieumiejętności śmiania się. Po swoim pierwszym występie Jill doszła do wniosku, że lubi czuć na sobie zachwycone spojrzenia mężczyzn, gdyż jest to jedna z niewielu rzeczy, których Mike nie potrafił jej zapewnić.

Jednak coraz większa wewnętrzna uczciwość kazała jej wkrótce zmienić zdanie. Mężczyźni zasiadający na widowni byli w większości zbyt starzy, zbyt otyli i zbyt łysi, żeby ją

zainteresować; Jill nie znosiła rozpustnych starych wilków, choć sam zaawansowany wiek nie wywierał na niej żadnego niekorzystnego wrażenia - przecież Jubal często gapił się na nią, nierzadko wyrażał się w grubiański sposób, a przecież nigdy nie odniosła wrażenia, że ma ochotę odciągnąć ją w jakieś ustronne miejsce i zacząć obmacywać.

Po pewnym czasie musiała stwierdzić, że te rozpustne stare wilki nie budzą już jej agresji. Czując na sobie ich rozmarzone spojrzenia lub wręcz gorące pożądanie - a czuła je i mogła nawet zidentyfikować źródła - nie krzywiła się z odrazą. Wręcz przeciwnie: robiło jej się ciepło i przyjemnie.

Ekshibicjonizm do tej pory stanowił dla niej wyłącznie termin techniczny określający słabość, dla której żywiła głęboką pogardę. Teraz, wydobywszy na wierzch swój własny i przyjrawszy mu się uważnie, stwierdziła, że albo ta forma narcyzmu jest zupełnie normalna, albo ona sama jest nienormalna. Ale n i e c z u ł a się nienormalnie - wręcz przeciwnie, miała wrażenie, że jest zdrowsza niż kiedykolwiek przedtem. Zawsze była silnego zdrowia - jest to jeden z wymogów stawianych wszystkim pielęgniarcom - lecz teraz już nawet nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni miała katar, kłopoty żołądkowe, czy choćby skurcz mięśni.

Dobrze: skoro zdrowa kobieta lubi, żeby ją oglądano, to jest jasne jak słońce, że zdrowi mężczyźni powinni lubić na nią patrzeć, bo inaczej to wszystko nie miałyby najmniejszego sensu! Dopiero teraz zrozumiała Duke'a i jego kolekcję zdjęć.

Rozmawiała na ten temat z Mikem, ale on nie potrafił w ogóle pojąć, dlaczego Jill kiedykolwiek mogła mieć opory przed pokazywaniem się innym. Rozumiał niechęć do bycia dotykana; sam także unikał podawania ręki nieznanym, gdyż nie życzył sobie mieć kontaktu z nikim oprócz swoich wodnych braci. (Jill nie była pewna, jak daleko sięga to jego nastawienie. Wytłumaczyła mu, co to jest homoseksualizm, kiedy przeczytał o tym i nic nie zgrokował, i podpowiedziała, w jaki sposób wykręcać się z niebezpiecznych sytuacji. Zdawała sobie sprawę, że przy swojej urodzie Mike z pewnością ściągnie na siebie uwagę także takich ludzi. Zgodnie z jej sugestiami postarzył nieco swą twarz i dodał jej więcej typowo męskich cech, pozbawiając ją dwupłciowej urody. Mimo to Jill wcale nie była pewna, czy odmówiłby propozycji złożonej na przykład przez Duke'a - na szczęście wszyscy męscy wodni bracia Mike'a byli stuprocentowymi samcami, podobnie jak kobiety - samicami. Zresztą Jill podejrzewała, że Mike zawczasu zgrokowałby niewłaściwość w biednym homo i nigdy

nie zaproponowałby mu wody.)

Nie był również w stanie pojąć, dlaczego sprawia jej przyjemność fakt, że stanowi obiekt zainteresowania innych. Ich poglądy w tej sprawie zbliżyły się nieco po pożegnaniu z wesołym miasteczkiem, kiedy Jill właściwie uodporniła się na obce spojrzenia. Teraz zrozumiała, że zbyt wcześnie w to uwierzyła i że uodpornienie nie było całkowite. Zajęta dostosowywaniem się do Człowieka z Marsa odrzuciła część swych ziemskich uwarunkowań, przede wszystkim całą pruderię, jaka może charakteryzować pielęgniarkę mimo pewnych oczywistych spraw związanych z jej zawodem.

Jill nie miała pojęcia, że była pruderyjna, dopóki nie przekonała się, że już taka nie jest. Wreszcie mogła bez oporów przyznać przed sobą, że w jej wnętrzu tkwi coś równie radośnie bezwstydnego jak u kotki w rui.

Usiłowała wyjaśnić to Mike'owi, przedstawiając mu własną teorię na temat komplementarności narcyzmu i podglądactwa.

- Prawda wygląda w ten sposób, że podniecają mnie spojrzenia mężczyzn - wszystko jedno, czy jest ich wielu, czy tylko jeden. Teraz rozumiem, dlaczego Duke lubi zdjęcia kobiet. To wcale nie znaczy, że chcę od razu iść z nimi do łóżka, tak samo jak Duke nie sypia ze swoimi fotografiami. Ale kiedy oni patrzą i mówią mi swoimi spojrzeniami, że jestem godna pożądanego, gdzieś w środku porusza mi się coś ciepłego. - Zmarszczyła lekko brwi. - Powinnam kazać zrobić sobie jakieś bardzo nieprzyzwoite zdjęcie i wysłać je Duke'owi jako przeprosiny za to, że nie zgrokowałam tego, co uważałam za jego słabość... Jeśli to rzeczywiście jest słabość, to ja też ją mam, tylko na babski sposób. J e ś l i to jest słabość. Głęboko, że chyba jednak nie.

- W porządku. Zaraz poszukamy fotografa.

Pokręciła głową.

- Wolę go po prostu przeprosić. Nie wysłałabym mu takiego zdjęcia, bo Duke nigdy mnie nie podrywał, a nie chcę, żeby zaczął sobie wyobrażać nie wiadomo co.

- Jill, czy nie chciałabyś Duke'a?

W jego myślach usłyszała echo słów "wodny brat".

- Hmm... Nigdy o tym nie myślałam. Wydaje mi się, że zawsze byłam ci wierna. Ale głęboko, że mówisz prawdziwie. Nie odmówiłabym Duke'owi, a nawet chyba by mi się to podobało! I co ty na to, kochanie?

- Głęboko dobrze - odparł poważnie Mike.

- Hmm... Musisz wiedzieć, mój szarmancki Marsjaninie, że

są takie chwile, kiedy ziemskie damy oczekują od mężczyzny odrobiny zazdrości.. ale szczerze mówiąc wątpię, czy ty w ogóle kiedykolwiek zgrokujesz zazdrość. Kochanie, jak ci się wydaje, co by było, gdyby któryś z tych ludzi chciał mnie poderwać?

Mike uśmiechnął się lekko.

- Wydaje mi się, że mógłby zniknąć.

- Mnie też. Posłuchaj mnie, najdroższy: obiecałeś, że zrobisz coś takiego tylko w stanie najwyższego zagrożenia. Jeżeli usłyszysz, jak krzyczę, zajrzesz do mojego umysłu i przekonasz się, że jestem w prawdziwych kłopotach, to co innego. Pamiętaj jednak, że radziłam sobie z takimi jak oni już wtedy, kiedy ty byłeś jeszcze na Marsie. Jeśli dziewczyna zostaje zgwałcona, w dziewięciu przypadkach na dziesięć to jest jej wina. Dlatego nie śpiesz się za bardzo.

- Będę pamiętał. Jeżeli chcesz wysłać Duke'owi tę fotografię, zrób to. Jeżeli nie chcesz, nie rób tego. Po prostu miałem nadzieję, że zobaczę, jak się robi nieprzyzwoite zdjęcia. Jill, co to jest "nieprzyzwoite zdjęcie"?

Mike był zdziwiony nagłą zmianą poglądów Jill, podobnie jak wcześniej dziwiła go jej niechęć, jaką okazywała kolekcji Duke'a. Mizerniutki marsjański odpowiednik pogmatwanej ludzkiej płciowości nie dawał mu żadnych podstaw do zgrokowania takich zjawisk jak narcyzm i podglądactwo, skromność i bezwstyd.

- Są różne rodzaje nieprzyzwoitości - zależy, dla kogo. Teraz to rozumiem, kiedy pozbyłam się tych głupich uprzedzeń. Ale... Wiesz co, Mike? Nie potrafię ci tego powiedzieć, muszę pokazać. Czy mógłbyś zasunąć zasłony?

Zrobił to nie ruszając się z miejsca.

- Dobrze. Na przykład ta poza jest tylko odrobinę nieprzyzwoita. Każda dziewczyna występująca na scenie przybiera ją bez żadnych zahamowań. Ta jest już trochę bardziej... Znam dziewczyny, które już by się na nią nie zdecydowały. Ta jest bardzo nieprzyzwoita... ta szalenie... a ta tak bardzo, że nie pozwoliłabym się w niej sfotografować nawet z twarzą zakrytą rękami - chyba że ty byś sobie tego życzył, ma się rozumieć.

- Po co miałbym sobie tego życzyć, skoro nie widziałbym twojej twarzy?

- Zapytaj o to Duke'a. To wszystko, co ci mogę powiedzieć.

- Nie gromię niewłaściwości, nie gromię dobra.

Gromię... - Użył marsjańskiego słowa oznaczającego zerowy stan emocjonalny.

Ponieważ zdawał się być zupełnie zbity z tropu, dyskutowali nad tym jeszcze przez jakiś czas, w miarę możliwości posługując się marsjańskim - gdyż ten język dysponował znacznie większą liczbą słów określających dokładnie różne odcienie stanów emocjonalnych i wartości - lub angielskim, kiedy było to konieczne ze względu na nieprzekładalność pewnych pojęć. W celu dokładniejszego zbadania tajemnicy Mike zamówił na wieczór najlepszy stolik, zgodnie ze wskazówkami Jill przekupiwszy wcześniej maitre d'hotel. Jill pokazała się już w pierwszym numerze, z uśmiechem przeznaczonym dla wszystkich i mrugnięciem skierowanym wyłącznie do Mike'a. Przekonała się, że dzięki jego obecności to ciepłe przyjemne uczucie, którego doznawała podczas każdego występu, jeszcze się nasiliło - podejrzewała, że może nawet świecić w ciemności.

Kiedy dziewczęta utworzyły żywy obraz, Jill znalazła się na jego przodzie i zarazem zaledwie dziesięć stóp od Mike'a. Reżyser przesunął ją tam czwartego dnia, mówiąc: "Nie wiem, na czym to polega, dzieciно. Mamy dziewczyny dwa razy lepiej zbudowane niż ty, ale klienci wytrzeszczają gały właśnie na ciebie."

Znieruchomiała w wyznaczonej pozie i zapytała w myślach:

(- Czujesz coś?)

(- Głokuję, ale nie w pełni.)

(- Spójrz tam, gdzie ja patrzę, mój bracie. Na tego niedużego. Cały aż drży. Pragnie mnie.)

(- Głokuję jego pragnienie.)

(- Widzisz go?)

Jill spojrzała klientowi prosto w oczy, aby zwiększyć jego zainteresowanie i pozwolić Mike'owi zobaczyć go za jej pośrednictwem. W miarę jak coraz lepiej głokowała marsjański i zbliżała się jeszcze bardziej z Człowiekiem z Marsa, coraz częściej korzystali z tego bardzo popularnego na Czerwonej Planecie udogodnienia. Na razie nie miała nad tym zbyt wielkiej kontroli; Mike mógł patrzeć przez jej oczy, kiedy zechciał, ona przez jego tylko wtedy, kiedy jej w tym pomagał.

(- Głokujemy go wspólnie - zgodził się Mike. - Wielkie pragnienie Małego Braciszka.)

(- !!!)

(- Tak. Piękna agonia.)

Muzyczny akord nakazał Jill wznowić wędrówkę po scenie. Poruszała się z dumną zmysłowością, czując jak wzbiera w niej pożądanie wywołane połączonymi emocjami Mike'a i nieznanego mężczyzny. Zgodnie ze scenariuszem przesunęła się bliżej

obcego, cały czas patrząc mu prosto w oczy.

Nagle zdarzyło się coś, czego zupełnie się nie spodziewała, bo Mike nigdy nie powiedział jej, że coś takiego jest możliwe. Wchłaniała uczucia nieznanego, drażniąc go swoim spojrzeniem i ciałem, przekazując wszystkie wrażenia Mike'owi...

...kiedy nagle ujrzała się taką, jaką ją widział i poczuła z całą mocą prymitywną żądzę, jaką jej widok wywoływał w tym człowieku.

Zachwiała się i byłaby upadła, gdyby Mike w porę jej nie podtrzymał. Kiedy niezwykle wrażenie minęło, była znowu gotowa poruszać się o własnych siłach.

Parada piękności opuściła scenę.

- Co się stało? - zapytała sąsiadka Jill w szeregu.

- Spadłam z obcasa.

- Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ktoś odzyskał równowagę w taki sposób! Wyglądałaś jak marionetka poruszana sznurkami.

(Bo nią byłam, kochanie!)

- Poproszę inspicjenta, żeby sprawdził to miejsce. Zdaje się, że obluzowała się deska.

Przez pozostałą część przedstawienia Mike pokazywał jej, w jaki sposób widzą ją różni mężczyźni, ale uważał, żeby jej nie zaskoczyć. Zdumiała ją różnorodność tych obrazów. Jeden dostrzegał wyłącznie jej nogi, drugi był zafascynowany poruszeniami tułowia, trzeci nie widział nic oprócz jej wypiętej pupy. Potem Mike pozwolił jej popatrzeć swoimi oczami na pozostałe dziewczęta z zespołu; stwierdziła z ulgą, że widzi je tak samo jak ona, tylko znacznie ostrzej.

Przekonała się także, tym razem ze zdziwieniem, że po tym seansie jej podniecenie wzrosło jeszcze bardziej.

Mike wyszedł przed finałem, aby uniknąć przepychania się w tłumie. Nie spodziewała się zobaczyć go więcej tego wieczoru, bo zwolnił się tylko po to, żeby być na jej występie, ale kiedy wróciła do hotelu, już z daleka wyczuła myślami jego obecność w pokoju. Drzwi otworzyły się i zamknęły za nią.

- Witaj, najdroższy! - zawołała. - Jak to miło, że jesteś w domu.

Uśmiechnął się łagodnie.

- Teraz grokuję nieprzyzwoite zdjęcia. - Jej ubranie zniknęło. - Będziemy robić nieprzyzwoite zdjęcia.

- Proszę? Tak, kochanie. Oczywiście.

Zademonstrowała mu te same pozy, co wcześniej. Mike

pozwalal jej patrzec swoimi oczami; patrzyla, czula jego emocje, a takze swoje wlasne, wzburajace wzmocnionym echem. Wreszcie ulozyla sie w najbardziej ekstrawagancki sposob, jaki przyszedl jej do glowy.

- Nieprzyzwoite zdjecia to wielkie dobro - oswiadczył powaznie Mike.

- Tak! Teraz ja takze je grokuje. Na co czekasz?

Obydwoje zrezygnowali z pracy i spedzali wieczory ogladajac rewie na Strip Street. Jill przekonala sie, ze "grokuje nieprzyzwoite zdjecia" wylacznie poprzez oczy mezczyzny. Kiedy Mike ogladal przedstawienie, dzielila jego nastroj, od zmyslowej przyjemnosci do pelnego podniecenia, lecz jesli jego mysli akurat byly zajete czyms innym, wtedy modelka, tancerka czy striptizerka byla po prostu inna kobieta. Doszla do wniosku, ze to bardzo dobrze. Na cale szczescie nie odkryla u siebie zadnych lesbijskich sklonnosci.

Ogladanie dziewczat jego oczami sprawialo jej jednak ogromna przyjemnosć, tym wieksza, ze zdawala sobie sprawe, iz wreszcie zaczal patrzec na nia w ten sam sposob.

\*

Przenieśli sie do Palo Alto, gdzie Mike usilowal wchlonać Bibliotekę Hoovera. Niestety, ani czytelnicy nie obracaly sie wystarczajaco szybko, ani Mike nie potrafil dosc sprawnie odwracac stron, zeby przeczytac je wszystkie. Wreszcie sam przyznal, ze przyswaja wiedze szybciej, niz jest w stanie ja zgrokowac, nawet spedzajac na kontemplacji wszystkie godziny miedzy zamknięciem a ponownym otwarciem biblioteki. Jill z niemala ulga zorganizowala przenosiny do San Francisco, gdzie Czlowiek z Marsa wziął sie za nieco bardziej systematyczna nauke.

Kiedy pewnego dnia wrócila do mieszkania, zastala go siedzacego beczynn timer na podlodze, otoczonego masa ksiazek: Talmudem, Kamasutra, rózny mi edycjami Biblii, Ksiega Umarlych, Ksiega Mormonów, ofiarowanym przez Patty egzemplarzem Nowego Objawienia, rozmaity mi apokryfami, Koranem, pelna wersja "Zlotej Galęzi", "Droga, Nauka i Zrowiem w polaczeniu z Kluczem do Ksiaz" oraz swietymi pismami dziesiatkow rózny mi religii, w tym nawet takim dziwolagem jak "Ksiega Prawa" Crowleya.

- Jakies klopoty, kochanie?

- Jill, ja nie grokuje.

(- Trzeba czekac, Michael. Trzeba czekac na osiagniecie calosci.)

- Nie wydaje mi sie, zeby czekanie cos tu pomoglo. Wiem, o



co chodzi: nie jestem człowiekiem, tylko Marsjaninem w niewłaściwym ciele.

- Dla mnie jesteś przede wszystkim człowiekiem. A co do twojego ciała, to nie zgłaszam żadnych zastrzeżeń.

- Och, przecież grokujesz, o czym mówię. Nie grokuję l u d z i. Nie rozumiem tej wielkiej liczby religii. Moi rodacy...

- T w o i rodacy?

- Przepraszam, nie powinienem był tak mówić. Marsjanie mają tylko jedną religię, ale ona nie opiera się na wierze, tylko na pewności. Grokujesz: "Tyś jest Bogiem!"

Jill skinęła głową.

- Owszem, grokuję... po marsjańsku. Kochanie, my mówimy to zupełnie inaczej. Nie wiem, dlaczego.

- Hmm... Na Marsie, kiedy chcemy się czegoś dowiedzieć, po prostu pytamy Starych i otrzymujemy zawsze prawdziwą odpowiedź. Czy to możliwe, żebyśmy my, ludzie, nie mieli żadnych Starych? Mam na myśli dusze. Czy naprawdę, kiedy się odcieleśniamy... to znaczy, umieramy... to umieramy na śmierć i nic po nas nie zostaje? Czy żyjemy w ignorancji, ponieważ to i tak nie ma żadnego znaczenia? Ponieważ znikniemy nie pozostawiając po sobie nic, co wystarczyłoby Marsjaninowi na jedną długą kontemplację? Powiedz mi, Jill! Przecież jesteś człowiekiem.

Uśmiechnęła się z łagodnym smutkiem.

- Kiedy t y już mi wszystko powiedziałeś. Mike.

Nauczyłeś mnie co to wieczność i nikt już mi tego nie odbierze.

Ty nie możesz umrzeć, tylko najwyżej się odcieleśnić. -

Skierowała dłonie ku swojej piersi. - To ciało, które nauczyłeś mnie widzieć swoimi oczami i które tak wspaniale kochałeś... ono pewnego dnia zniknie. Ale j a nie zniknę! Jestem tym, kim jestem! Tyś jest Bogiem, ja jestem Bogiem, oboje jesteśmy Bogiem, już na zawsze. Nie wiem, gdzie się znajdę ani czy będę pamiętała, że kiedyś byłam Gillian Boardman, która lubiła nosić chorym baseny i pokazywać się goło na scenie. Zawsze lubiłam swoje ciało...

Mike przerwał jej, w niezwykłym dla siebie geście zniecierpliwienia zrywając z niej całe ubranie.

- Dziękuję, mój drogi - powiedziała, po czym mówiła dalej:

- To było dla mnie dobre ciało... i dla ciebie. Mimo to nie wydaje mi się, żeby miało mi go kiedyś brakować. Mam nadzieję, że zjesz je, kiedy się odcieleśnię.

- Oczywiście. Chyba że ja odcieleśnię się pierwszy.

- Wątpię, czy tak się stanie. Potrafisz tak wspaniale

kontrolować swoje cudowne ciało, że nie zdziwiłabym się, gdybyś żył kilkaset lat. O ile sam nie postanowisz się wcześniej odcieleścić.

- Może to zrobię. Ale nie teraz. Jill, tak długo próbowałam to zgrokować. W ilu kościołach byliśmy?

- Chyba we wszystkich, jakie są w San Francisco. Nie licząc nabożeństw dla poszukujących.

- Tam chodziliśmy tylko ze względu na Pat. Nigdy bym się na to nie zgodził, gdybyś nie uważała, że ona tego potrzebuje.

- I to bardzo. Nie mogliśmy jej okłamywać. Choćby dlatego, że nie wiesz, jak to się robi.

- Właściwie fosteryci mają sporo racji - przyznał Mike. - Tyle tylko, że wszystko poprzekręcali. Działają po omacku, tak samo jak ja, kiedy występowałam w wesołym miasteczku. Nigdy nie uda im się naprawić swoich błędów, bo to... - nie wyciągając ręki podniósł z podłogi egzemplarz Nowego Objawienia - ...są prawie same śmieci!

- Owszem. Ale Patty tego nie dostrzega. Jest niewinna. Jest Bogiem i postępuje tak, jak powinien postępować Bóg... tyle że Ona nie wie, że Nim jest.

- Aha. - Mike skinął głową. - To cała Pat. Uwierzy tylko wtedy, jeśli ja jej o tym powiem. Jill, zostały już tylko trzy miejsca, w których mogę szukać: nauka - ale ja będąc jeszcze w gnieździe nauczyłem się więcej o zasadach rządzących wszechświatem, niż zmieściłoby się w głowach wszystkich ziemskich uczonych. Nie mogę z nimi rozmawiać nawet o takich podstawowych sprawach jak lewitacja. Nie lekceważę ich, bo robią wszystko tak jak trzeba; grokuję to w całej pełni. Ale to, czego szukają, mnie w ogóle nie interesuje - nie zgrokuje się pustyni licząc ziarenka piasku. Jest jeszcze filozofia, która właściwie powinna obejmować dokładnie wszystko. Czy tak jest w istocie? Każdy filozof otrzymuje w wyniku swoich rozważań dokładnie tyle, ile miał w chwili ich rozpoczęcia, z wyjątkiem tych, którzy lubią sami się oszukiwać, przedstawiając konkluzje jako dowody potwierdzające prawdziwość założeń. Taki był na przykład Kant i inni, kręcący się w kółko za ogonami. Skoro tak jest, to odpowiedź powinna znajdować się t u t a j.

- Wskazał stopy książek. - Tyle tylko, że jej nie ma. Są fragmenty, które jednak nie tworzą całości, a jeśli nawet tworzą, to podstawowe założenia trzeba przyjmować na wiarę. Wiara! Cóż za obrzydliwe słowo. Jill, dlaczego nie wymieniałaś go ucząc mnie krótkich słów, których nie należy używać w kulturalnym towarzystwie?

Uśmiechnęła się.

- Mike, właśnie zażartowałeś.

- Wcale nie miałem takiego zamiaru i nie widzę w tym nic śmiesznego. Jill, ja nawet dla ciebie okazałem się nie taki, jak powinienem. Kiedyś często się śmiałaś; ja nie nauczyłem się śmiać, a ty zapomniałaś, jak to się robi! Zamiast stać się człowiekiem doprowadziłem do tego, że ty zaczęłaś stawać się Marsjaninem.

- Jestem bardzo szczęśliwa, kochanie. Może po prostu nie zauważasz, kiedy się śmieję.

- Usłyszałbym cię, nawet gdybyś roześmiała się na drugim końcu miasta. Od chwili, kiedy przestałem się tego bać, zawsze zwracam na to uwagę... Szczególnie kiedy ty to robisz. Gdybym zgrokował śmiech, zgrokowałbym ludzi - tak mi się przynajmniej wydaje. Wtedy mógłbym pomóc komuś takiemu jak Pat. Nauczyłbym ją tego, co wiem, a od niej nauczyłbym się tego, co ona wie. Zrozumielibyśmy się.

- Mike, Patty w zupełności wystarczy, jeśli będzie mogła od czasu do czasu spotykać się z tobą. Właśnie, może byśmy się do niej wybrali? Ucieknijmy od tej okropnej mgły. Pewnie siedzi w domu, bo teraz w wesołym miasteczku jest przerwa sezonowa. Pojedźmy na południe, do Pat... Poza tym zawsze chciałam zobaczyć Baja California. Moglibyśmy pojechać z nią jeszcze dalej na południe i kąpać się w ciepłej wodzie... Wiesz, jak by było wspaniale?

- Dobrze.

Jill wstała z miejsca.

- Muszę się tylko ubrać. Chcesz zachować te książki? Mogłabym wysłać je Jubalowi.

Pstryknął palcami i książki znikły, z wyjątkiem cennego подарunku Patrycji.

- Weźmiemy tylko tę jedną. Pat na pewno to zauważy. Jill, chcę pójść do zoo.

- W porządku.

- Zapytam wielbłąda, dlaczego ma taką skwaszoną minę. Może to wielbłądy są Starymi tej planety... i właśnie dlatego tyle spraw wygląda tu nie tak, jak powinno?

- Drugi żart w ciągu jednego dnia, Mike.

- Wcale nie żartuję. Ani ty, ani wielbłąd. Może on grokuje, dlaczego. Czy ta sukienka jest w porządku? Chcesz jakąś bieliznę?

- Poproszę, kochanie. Ochłodziło się.

- No, to w górę. - Uniósł ją w powietrze. - Majtki.

Pończochy. Pantofle. Teraz na dół, podnieść ręce. Biustonosz? Nie potrzebujesz. Sukienka... i już wyglądasz przyzwoicie. Ładnie, cokolwiek to znaczy. Po prostu wyglądasz dobrze. Może uda mi się dostać pracę jako pokojówka jakiejś damy, jeśli nie będę się nadawał do niczego innego. Kąpiele, szampony, masaże, czesanie, makijaż, dobór stroju stosownie do okazji - nauczyłem się nawet robić manicure. Czy to wszystko, proszę pani?

- Jesteś znakomitą pokojówką, mój drogi.

- Wiem o tym. Wyglądasz tak dobrze, że chętnie zdjąłbym to wszystko z ciebie i urządził ci solidny masaż. Z tych zbliżających.

- Chętnie, Michael!

- Myślałem, że już nauczyłaś się czekać? Najpierw musisz zabrać mnie do zoo i kupić mi fistaszki.

- Dobrze, Mike.

W parku Złotych Wrót było wietrznie i zimno, lecz Mike nie zwrócił na to uwagi, Jill zaś nauczyła się nie odczuwać chłodu. Mimo to w ciepłej małpiarni z przyjemnością rozluźniła nieco kontrolę nad swym ciałem. Oprócz wysokiej temperatury nic jej się tutaj nie podobało - małpy w przygnębiający sposób były podobne do ludzi. Udało jej się pozbyć resztek purytańskiej skromności; nauczyła się cieszyć w ascetyczny, wręcz marsjański sposób wszystkim, co fizyczne. Publiczne kopulacje i wypróżnianie się małp nie zawstydzaly jej w najmniejszym stopniu. Zdawała sobie sprawę, że to nie jest wina tych biednych półludzików, pozbawionych szansy odgrodzenia się od ciekawskich spojrzeń. Przyglądała im się bez odrazy i pogardy. Znacznie gorsze było ich ogromne podobieństwo do ludzi - każdy ruch, każdy wyraz twarzy, każde smutne spojrzenie przypominało jej boleśnie o najmniej sympatycznych cechach gatunku, do którego sama należała.

Znacznie lepiej czuła się w lwiarni: nie zmniejszona niewolą arogancja wielkich samców, łagodna opiekuńczość samic, królewskie piękno bengalskich tygrysów, którym z oczu wciąż jeszcze wyczierała dżungla, groźna zwinność małych leopardów, silna woń piżma, z którą nie mogła sobie poradzić nawet klimatyzacja. Mike podzielał jej upodobania; mogli spędzać długie godziny w lwiarni, ptaszarni, w pomieszczeniu przeznaczonym dla gadów lub przy basenie z fokami. Kiedyś powiedział jej, że gdyby miał urodzić się na tej planecie, chciałby być lwem morskim.

Pierwszy kontakt z zoo wprowadził Mike'a w wielkie przygnębienie. Jill z trudem przekonała go, żeby poczekał i postarał

się najpierw zgrokować, bo chciał natychmiast uwolnić wszystkie zwierzęta. Po pewnym czasie przyznał, że istotnie większość spośród nich nie byłaby w stanie żyć na swobodzie - zoo było dla nich czymś w rodzaju gniazda. Doszedł do tego wniosku po długich medytacjach, a potem nigdy już nie wyrażał chęci usunięcia krat, siatek i szklanych ścian. Wyjaśnił Jill, że w pierwszej chwili nie zrozumiał, iż kraty mają za zadanie nie tyle zatrzymać zwierzęta, co raczej chronić je przed ludźmi. Od tej pory Mike odwiedzał każde zoo, w pobliżu jakiego się znaleźli.

Jednak dzisiaj nie była go w stanie rozweselić ani mizantropia wielbłądów, ani popisy małp. Zatrzymali się przed klatką zamieszkaną przez rodzinę kapucynek, obserwując jak małpki jedzą, śpią, drapią się, iskają i biegają po małym pomieszczeniu. Jill rzucała im fistaszki.

Jeden z orzeszków upadł na podłogę w pobliżu młodego samca, lecz zanim ten zdążył po niego sięgnąć, doskoczył do niego większy osobnik, zabrał mu smakołyk i na dokładkę spuścił mu tęgie lanie. Ograbiony samczyk nie szukał zemsty na swoim prześladowcy, tylko uderzył piąstką w podłogę i wywrzeszczał na głos swą bezsilną wściekłość. Mike przyglądał się temu z kamienną twarzą.

Niespodziewanie okradziony osobnik rzucił się na jeszcze mniejszą małpkę, obalił ją na podłogę klatki i zaczął okładać razami boleśniejszymi od tych, jakie sam niedawno otrzymał. Pobity nieszczęśnik uciekł, kwiląc żałośnie. Pozostałe małpy nie zwróciły na to najmniejszej uwagi.

Mike odrzucił w tył głowę i wybuchnął śmiechem - śmiał się bez przerwy, niekontrolowanie, łapiąc rozpaczliwie powietrze. W pewnej chwili osunął się bezsilnie na podłogę, wciąż rycząc ze śmiechu.

- Mike, przestań!

Najwyraźniej nie był w stanie się opanować.

- Potrzebuje pani pomocy? - zapytał z niepokojem jeden z dozorców.

- Mógłby pan wezwać taksówkę? Naziemną, powietrzną, wszystko jedno jaką. Muszę go stąd zabrać. Nie czuje się najlepiej - dodała tytułem wyjaśnienia.

- A może karetkę? Zdaje się, że ma jakiś atak.

- Cokolwiek!

Kilka minut później wsadziła Mike'a do powietrznej taksówki z pilotem, podała ich adres, po czym zwróciła się do niego:

- Mike, posłuchaj mnie! - powiedziała z naciskiem. -  
Musisz się opanować!

Trochę się uspokoił, ale nadal na zmianę chichotał i  
wybuchał donośnym śmiechem, podczas gdy ona ocierała mu łzy  
płynące z oczu. Trwało to przez całą drogę do domu. Kiedy  
znaleźli się w pokoju, zdjęła z niego ubranie i kazała mu się  
położyć.

- Już dobrze, kochanie. Jeśli chcesz, możesz zapaść w  
trans.

- Nic mi nie jest. Nareszcie nic mi nie jest.

Westchnęła głęboko.

- Mam nadzieję. Przestraszyłeś mnie.

- Przepraszam, Mały Braciszku. Ja też się przestraszyłem,  
kiedy po raz pierwszy usłyszałem śmiech.

- Co się właściwie stało?

- Jill... Wreszcie grokuję ludzi!

- He?... (- ? ? ?)

(- Mówię prawdziwie, Mały Braciszku. Grokuję ich.)

- Grokuję ludzi, Jill... Mały Braciszku... moje  
kochanie... mój maleńki diabełku o słicznych nóżkach i pięknym,  
lubieżnym, zmysłowym, rozpustnym, wyuzdanym libido...  
cudownych

zderzaczkach i wspaniałym kuperku... miłym głosiku i sprytnych  
rączkach. Moja najdroższa.

- Ojej, Michael!

- Już dawno znałem wszystkie potrzebne słowa, tylko nie  
wiedziałem, kiedy należy ich używać. Kocham cię, moja droga.  
Teraz grokuję też miłość.

- Zawsze ją grokowałeś. Ja ciebie też kocham... moja  
gładka małpo. Mój najdroższy.

- Właśnie, małpo... Chodź tu, moja samico, oprzyj głowę na  
moim ramieniu i opowiedz mi jakiś dowcip.

- Mam ci po prostu opowiedzieć dowcip?

- Nic ci nie zrobię, tylko się przytul do mnie. Opowiedz mi  
dowcip, którego jeszcze nie słyszałem i sprawdź, czy roześmieję  
się we właściwym miejscu. Jestem pewien, że tak będzie. Potem  
wyjaśnię ci, dlaczego jest zabawny. Jill... Ja grokuję ludzi!

- Ale jak, kochanie? Możesz mi to wyjaśnić? Tłumaczysz  
sobie wszystko na marsjański, czy czytasz ich myśli?

- Nie, i właśnie o to chodzi. Grokuję ludzi, bo nimi  
jestem. Teraz mogę to wyrazić w ich języku. Zrozumiałem,  
dlaczego ludzie się śmieją. Śmieją się, ponieważ istnieje ból,  
a tylko dzięki śmiechowi mogą choć na chwilę przestać go

odczuwać.

Jill sprawiała wrażenie nieco zdezorientowanej.

- Możliwe, że nie jestem człowiekiem, bo nic z tego nie rozumiem.

- Och, jesteś, kochana małpeczko. Grokujesz to odruchowo, nie musząc w ogóle o tym myśleć. Dlatego, że wychowywałaś się wśród ludzi. Ja natomiast jestem jak szczeniak, który nigdy nie miał do czynienia z psami - nie mógł upodobnić się do swoich panów i nie miał szansy stać się prawdziwym psem. Musiałem się dopiero tego nauczyć. Uczył mnie brat Mahmoud, uczył mnie Jubal, uczyło mnie wielu innych ludzi... a ty najbardziej ze wszystkich. Dzisiaj zdałem egzamin - i zacząłem się śmiać. Biedna mała małpka.

- Która, kochanie? Wydawało mi się, że ta największa po prostu jest podła, a potem okazało się, że ta, której rzuciłam orzeszka, jest jeszcze bardziej wstrętna. Nie było w tym nic zabawnego.

- Jill, moja najdroższa! Chyba miałaś zbyt długi kontakt z marsjańskim sposobem myślenia. Oczywiście, że to nie było zabawne, tylko tragiczne. Właśnie dlatego musiałem wybuchnąć śmiechem. Patrząc na tę klatkę z małpami dostrzegłem nagle wszystkie okropne, wstrętne i niewytłumaczalne rzeczy, jakie słyszałem i widziałem... i nagle zabolalo mnie to tak bardzo, że zacząłem się śmiać.

- Ale... Mike, kochanie... Ludzie śmieją się wtedy, kiedy widzą coś miłego, nie wtedy, kiedy to jest okropne...

- Jesteś tego pewna? Przypomnij sobie Las Vegas. Czy widzowie śmiali się, kiedy wychodziłyście na scenę?

- No... nie.

- A przecież stanowiłyście ozdobę przedstawienia. Teraz grokuję, że gdyby się śmiali, byłoby wam bardzo przykro. Natomiast ryczeli ze śmiechu, kiedy komik potknął się i upadł, albo kiedy zdarzyło się coś innego, co wcale nie było dobrem.

- Ale nie wszyscy ludzie śmieją się akurat z t e g o.

- Czyżby? Być może, jeszcze nie grokuję tego w całości.

Moja droga, opowiedz mi coś, co kiedyś rozbawiło cię do łez, a potem razem poszukamy, czy rzeczywiście nie ma w tym żadnej niewłaściwości i czy śmiałaś się tak samo, gdyby ją usunąć. - Zastanowił się przez chwilę. - Grokuję, że gdyby małpy nauczyły się śmiać, stałyby się ludźmi.

- Być może.

Jill, co prawda nie przekonana, ale posłuszna, zaczęła szukać w pamięci dowcipów, które kiedyś wydały jej się wręcz

nieprawdopodobnie zabawne.

"A papuga na to..." "...i wtedy on powiedział..."

"Dlaczego tak późno wróciłeś z pracy?" "Kochanie, ale w naszym domu są tylko trzy piętra!" "...teściowa zemdląca." "Tu szyna, tam szyna..." "Ile razy miałem ci powtarzać, żebyś..."

Po pewnym czasie dała sobie spokój z kawałami uznając, że przecież wszystkie są wymyślone i próbowała sobie przypomnieć prawdziwe historie. Wszystkie żarty sytuacyjne potwierdzały teorię Mike'a, nawet tak niewinne, jak podstawienie komuś dziurawego kubka, a wspomnienia wyczynów z internatu nasunęły jej wniosek, że młodzież w tym wieku powinna być trzymana w klatkach. Co jeszcze jej zostało? Może to, jak Elsa Mae zgubiła majtki? Dla Elsy z pewnością nie było to nic śmiesznego. A może...

- Wszystko wskazuje na to, że szczytem dowcipu jest poślizgnięcie się na skórcie od banana - stwierdziła ponuro.

- Nie wystawia to ludzkości zbyt pochlebnej opinii.

- Wręcz przeciwnie.

- Jak to?

- Myślałem, bo tak mi powiedziano, że coś co jest śmieszne, jest jednocześnie czymś dobrym. To nieprawda. Dla tego, komu się przytrafiło, to nigdy nie jest dobra rzecz. Na przykład dla tego szeryfa bez spodni. Dobro jest w śmiechu. Grokuje go jako odwagę i chęć przeciwstawienia się bólowi, rozpaczy i beznadziejności.

- Ale... Przecież nie ma nic dobrego w śmianiu się z innych ludzi!

- Nie. Ja nie śmiałem się z tej małej małpki, tylko z nas. A potem uświadomiłem sobie, że śmieję się także z siebie i już nie mogłem przestać. - Umilkł na chwilę. - Trudno to wytłumaczyć, bo nigdy nie żyłaś jak Marsjanin, choć dużo ci o tym opowiedziałem. Na Marsie n i e m a s i ę z c z e g o ś m i a ć. To, co jest zabawne dla ludzi, na Marsie albo nie mogłoby się zdarzyć, albo nie dopuszczono by do tego, żeby się zdarzyło. Kochanie, tam nie istnieje nic takiego jak wolność; wszystko jest z góry zaplanowane przez Starych. Z kolei to, z czego śmiejemy się na Ziemi, a co istnieje również na Marsie, wcale nie jest zabawne, bo nie ma w tym żadnej niewłaściwości. Na przykład w śmierci.

- Śmierć nie jest zabawna.

- W takim razie dlaczego istnieje tyle dowcipów na temat śmierci? Jill, dla nas, ludzi, śmierć jest czymś tak smutnym, że po prostu m u s i m y się z niej śmiać. Te wszystkie



religie różnią się pod prawie każdym względem, ale każda doradza na tysiące sposobów, jak być dzielnym i śmiać się nawet wtedy, kiedy się umiera. - Umilkł na chwilę i Jill wyczuła, że niewiele brakowało, by pogrążył się w transie. - Jill? - odezwał się wreszcie. - Czy to możliwe, żebym się aż tak pomylił? Czy one wszystkie mogą być prawdziwe?

- Jak to sobie wyobrażasz? Przecież jeżeli choć jedna jest prawdziwa, to pozostałe muszą być fałszywe!

- Naprawdę? W takim razie wskaż mi najkrótszą drogę dookoła wszechświata. Gdziekolwiek wyciągniesz rękę, to właśnie będzie ta najkrótsza droga, a w dodatku za każdym razem będziesz wskazywać samą siebie.

- Czego to dowodzi? Sam nauczyłeś mnie właściwej odpowiedzi, Mike. Tyś jest Bogiem.

- I tyś jest Bogiem, moja śliczna. To podstawowy fakt, nie opierający się na żadnej wierze, który jednak może stanowić dowód na to, że każda z nich jest prawdziwa.

- Hmm... Jeśli rzeczywiście wszystkie mają rację, to akurat w tej chwili mam wielką ochotę zacząć wielbić Siwę. - Jill poparła to oświadczenie przystępując do energicznej akcji.

- Mała poganko... Wypędzą cię z San Francisco - powiedział łagodnie.

- I tak jedziemy do Los Angeles, gdzie nikt nie zwróci na to uwagi. Och!... Tyś jest Siwą!

- Tańcz, Kali, tańcz!

Kiedy obudziła się w nocy, zobaczyła go stojącego przy oknie i spoglądającego na miasto.

(- Jakieś kłopoty, mój bracie?)

Odwrócił się do niej.

- Nie istnieje żaden powód, dla którego oni muszą być tacy nieszczęśliwi.

- Mój kochany! Chyba będzie lepiej, jeśli zabiorę cię do domu. To miasto nie jest odpowiednie dla ciebie.

- Ale ja i tak będę o tym wiedział. Ból, choroby, głód, nienawiść - to wszystko jest niepotrzebne. Tak mogą postępować tylko głupie małpki.

- Owszem, kochanie. Ale to przecież nie twoja wina...

- Właśnie, że tak!

- Skoro patrzysz na to w ten sposób... Ale rzecz nie dotyczy tego jednego miasta, tylko ponad pięciu miliardów ludzi. Nie możesz pomóc pięciu miliardom ludzi!

- Zastanawiam się nad tym. - Usiadł przy niej na łóżku. - Teraz już ich grokuję i wiem, jak trzeba z nimi rozmawiać.

Gdybyśmy jeszcze występowali w wesołym miasteczku, widownia przez cały czas ryczałyby ze śmiechu. Jestem tego pewien.

- W takim razie, dlaczego tego nie zrobimy? Patty byłaby zachwycona, ja zresztą też. Było mi tam bardzo dobrze, a teraz, kiedy Patty jest naszym wodnym bratem, czulibyśmy się jak w domu.

Mike nie odpowiedział. Jill czuła, że jest pogrążony w głębokiej kontemplacji, starając się coś zgrokować. Czekala cierpliwie.

- Jill... Co powinienem zrobić, żeby zostać wyświęcony?

## CZĘŚĆ CZWARTA

### Jego skandaliczna kariera

#### Rozdział XXX

Na Marsa dotarła pierwsza grupa kolonistów o mieszanym składzie; sześciu spośród siedemnastu, którym udało się przetrwać z pionierskiej wyprawy osiedleńczej liczącej sobie dwudziestu trzech mężczyzn, wróciło na Ziemię. Czekający na swoją kolej przechodzili trening w Peru, na wysokości szesnastu tysięcy stóp nad poziomem morza. Prezydent Argentyny przeniósł się pewnej nocy do Montevideo, zabierając ze sobą dwie walizki; nowy presidente złożył w Sądzie Najwyższym wniosek o ekstradycję, pragnąc ściągnąć go z powrotem, a jeśli nie jego, to przynajmniej walizki. W katedrze narodowej z udziałem dwóch tysięcy wiernych odbyły się uroczystości pogrzebowe Alice Douglas; komentatorzy podkreślali hart ducha, z jakim sekretarz generalny przyjął okrutny wyrok losu. Trzyletnia klacz Inflacja zwyciężyła w derbach Kentucky, niosąc na grzbiecie 126 funtów; totalizator płacił pięćdziesiąt cztery do jednego. Dwaj goście airhotelu Colony w Louisville odcieleśnili się - jeden dobrowolnie, drugi z powodu zawału serca.

W Stanach Zjednoczonych pojawiło się pirackie wydanie nieautoryzowanej biografii "Diabeł i wielebny Foster"; przed zachodem słońca wszystkie egzemplarze, jak również matryce

drukarskie zostały zniszczone. Wydarzenia te pociągnęły za sobą znaczne straty materialne, a także mniej lub bardziej poważne uszkodzenia ciała wielu osób. Rozeszła się plotka, jakoby British Museum udało się ocalić jeden egzemplarz (co było kłamstwem), podobnie jak Bibliotece Watykańskiej (co odpowiadało prawdzie, lecz egzemplarz ten był dostępny wyłącznie dla kościelnych uczonych).

W Kongresie stanu Tennessee komitet zajmujący się sprawami edukacji publicznej i moralności złożył wniosek, żeby liczbę zaokrąglić do 3,00; izba niższa zatwierdziła projekt ustawy bez żadnych poprawek, wyższa odrzuciła go w całości. Międzykościelna grupa fundamentalistów otworzyła biuro w Van Buren w stanie Arkansas, by zebrać fundusze niezbędne dla sfinansowania podróży misjonarzy na Marsa; doktor Jubal Harshaw złożył na ten cel hojny dar, lecz przesłał go na ręce wydawcy "Nowego Humanisty" - wojującego ateisty i swojego serdecznego przyjaciela.

Poza tym Jubal nie miał za bardzo czym się cieszyć - zbyt wiele napływało wieści o Mike'u. Radował się z każdej wizyty, jaką składali w domu Jill i Mike, interesując się bardzo postępami czynionymi przez chłopca, szczególnie od chwili, kiedy Człowiek z Marsa wykształcił w sobie poczucie humoru. Teraz jednak odwiedziny stały się znacznie rzadsze, Jubal zaś wcale nie był zachwycony rozwojem wydarzeń.

Nie przejął się specjalnie, kiedy Mike'a wyrzucono z seminarium teologicznego, a rozwścieczeni wykładowcy obrzucili go najstraszliwszymi obelgami; niektórzy uczynili to dlatego, że wierzyli w Boga, a inni dlatego, że n i e wierzyli, lecz połączyła ich wspólna nienawiść do Człowieka z Marsa. Jubal wyznawał zasadę, że każdy teolog powinien być zachwycony, jeśli spotka go coś choćby odrobinę lepszego od łamania kołem, a poza tym chłopcu przyda się takie doświadczenie. Następnym razem na pewno będzie ostrożniejszy.

Nie przejął się również zbyt, kiedy Mike (przy znacznej pomocy Douglasa) zaciągnął się pod przybranym nazwiskiem do sił zbrojnych Federacji. Był pewien, że żaden sierżant nie zdoła wpędzić chłopaka w nerwicę, a w najmniejszym stopniu nie obchodziło go, co stanie się z wojskiem Federacji - jako niepoprawny stary reakcjonista Jubal spalił pochwalny list, z jakim zwolniono go z armii i wszystkie inne dokumenty, w chwili kiedy Stany Zjednoczone zrezygnowały z utrzymywania własnych sił zbrojnych.

Zdziwiło go nieco, jak niewiele zniszczeń poczynił Mike

jako "szeregowiec Jones" i że długo udało mu się pozostać niezauważonym - prawie trzy tygodnie. Zakończył swoją wojskową karierę podczas wolnych pytań po jakimś wykładzie, kiedy to wygłosił przemowę na temat bezsensu używania siły w stosunkach międzyludzkich, okraszając ją uwagami na temat pożytków płynących z redukcji nadmiaru populacji poprzez powszechny kanibalizm, a następnie zgłosił gotowość posłużenia jako świnka morska w testach mających na celu udowodnienie, że wszelka przemoc nie ma najmniejszego zastosowania, jeśli przeciwstawi się jej n a p r a w d ę samozdiscyplinowana osoba.

Zamiast skorzystać z propozycji wyrzucono go z wojska.

Douglas pokazał Harshawowi ściśle tajny raport, przeznaczony do natychmiastowego zniszczenia po przeczytaniu, ostrzegłszy go uprzednio, że nikt, nie wyłączając samego szefa sztabu, nie wie o tym, iż "szeregowiec Jones" jest w rzeczywistości Człowiekiem z Marsa. Raport zawierał kilka sprzecznych ze sobą relacji osób będących świadkami ćwiczeń "Jonesa" z bronią palną; Jubal zdziwił się, że znaleźli się ludzie mający dość odwagi, by stwierdzić pod przysięgą, że widzieli, jak broń po prostu rozplynęła się bez śladu.

Ostatni akapit przeczytał ze szczególną uwagą: "Wnioski: rzeczony osobnik posiada wrodzone zdolności hipnotyzerskie i ewentualnie mógłby być przydatny w wywiadzie, lecz nie posiada żadnej wartości bojowej. Co więcej, jego niski poziom inteligencji (kretyn), ogólnie niski poziom rozwoju oraz skłonności paranoidalne (mania wielkości), praktycznie uniemożliwiają wykorzystanie tego samorodnego talentu. Zalecenie: zwolnić z powodu niezdolności do służby."

Mimo to Mike zdołał się trochę zabawić. Podczas parady, jaka odbywała się w dniu jego odejścia z wojska, kiedy pluton Mike'a maszerował przed generałem i jego sztabem, wszyscy oficerowie odbierający defiladę znaleźli się nagle po pas w kojarzącym się natychmiast ze wsią produktem stanowiącym końcowy efekt przemiany materii, znanym wszystkim żołnierzom, lecz ostatnio dość rzadko spotykanym na placach ćwiczeń. Produkt ów natychmiast zniknął, pozostawiając przykry zapach i przeświadczenie o zbiorowej halucynacji. Jubal doszedł do wniosku, że Mike ma dość swoisty gust, jeśli chodzi o dowcipy, ale zaraz potem przypomniał sobie wydarzenie z akademii medycznej, w którym brali udział dziekan i pewne anonimowe zwłoki; na całe szczęście, on sam miał wtedy na dłoniach gumowe rękawiczki.

Harshaw był nawet zadowolony z niechlubnej kariery

wojskowej Mike'a, gdyż cały ten czas Jill spędziła w domu. Kiedy Człowiek z Marsa wrócił do cywila, nie wydawał się zbyt zrozpaczony - chwalił się nawet przed Jubalem, że spełnił życzenie Jill i nie usunął nikogo żywego, tylko kilka martwych przedmiotów, choć chwilami był bliski przekonania, że Ziemia stałaby się znacznie przyjemniejszym miejscem, gdyby nie ta właśnie słabość Jill. Harshaw nie zaprzeczył, gdyż sam był w stanie podać dość długą listę ludzi, których najchętniej widziałby na tamym świecie.

Nie budziły jego sprzeciwu niezwykle sposoby, jakich miał się Mike podczas swego dorostania, bo Człowiek z Marsa był przecież niezwykle istotą. Jednak ta ostatnia sprawa... "Wielebny doktor Valentine M. Smith, doc. dr hab., założyciel i pastor Kościoła Wszystkich Planet, sp. akc." - tego było już za wiele! Wystarczyło, że chłopak postanowił zostać Świętym Jasiem zamiast zostawić dusze innych ludzi w spokoju, jak uczyniłby na jego miejscu każdy dżentelmen. Ale te tytuły naukowe... Jubal miał ochotę zwymiotować.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że według Mike'a u podstaw przedsięwzięcia leżała jakaś wypowiedź Jubala na temat, czym jest kościół i co mógłby osiągnąć, gdyby chciał. Jubal musiał przyznać, że istotnie mógł coś takiego powiedzieć, choć akurat w tej chwili nie był w stanie sobie tego przypomnieć.

Mike zabrał się do dzieła nadzwyczaj ostrożnie; najpierw spędził kilka miesięcy w bardzo małym i bardzo biednym sekciarskim college'u, gdzie zdał egzamin magisterski i został wyświęcony na kapłana. Następnie napisał pracę doktorską z komparatystyki religijnej, stanowiącą kwintesencję czystej naukowości i unikającą wszelkich jednoznacznych ocen; z obroną tej pracy zbiegł się fakt otrzymania przez biedną szkołę nadzwyczaj hojnej (i anonimowej) dotacji. Drugi doktorat (tym razem honorowy) otrzymał za "wkład w rozwój wiedzy międzyplanetarnej" od pewnego słynnego uniwersytetu - stanowiło to nagrodę za obietnicę pojawienia się na konferencji poświęconej badaniom Układu Słonecznego. Wcześniej Człowiek z Marsa odrzucił wszystkie podobne propozycje, nic więc dziwnego, że Harvard nie mógł oprzeć się pokusie.

Cóż, dostali za swoje, pomyślał cynicznie Jubal. Mike spędził kilka tygodni jako młodszy kapłan w swojej prowincjonalnej alma mater, po czym odłączył się od sekty i założył własny kościół: całkowicie koszerny, z całą niezbędną otoczką prawną, tak samo pozbawiony precedensu jak luterański -

i beznadziejny jak zeszlotygodniowe śmieci.

Miriam przerwała jego gorzkie rozważania.

- Szefie! Mamy gości.

Harshaw podniósł wzrok i ujrzał lądujący pojazd.

- Larry, przynieś mi strzelbę. Przysięgam, że zabiję następnego kretyna, który wylądje na moich różach!

- On lądje na trawie, szefie.

- Powiedz mu, żeby spróbował jeszcze raz. Za drugim podejściem na pewno go trafimy.

- Wygląda na Bena Caxtona.

- Bo to on. Cześć, Ben! Czego się napijesz?

- Niczego, ty zawodowy demoralizatorze. Muszę z tobą porozmawiać.

- Właśnie to robisz. Dorcas, przynieś Benowi szklankę ciepłego mleka. Zdaje się, że jest chory.

- Proszę bez wody - uzupełnił Ben. - To ma być prywatna rozmowa, Jubal.

- W porządku. Chodźmy do gabinetu, choć jeśli uda ci się utrzymać coś w tajemnicy przed tymi dzieciakami, powiedz mi, jak to się robi.

Ruszyli na piętro natychmiast, jak tylko Ben przywitał się serdecznie (a w trzech przypadkach niehigienicznie) z pozostałymi członkami rodziny.

- Cholera, czyżbym się zgubił? - zapytał ze zdziwieniem Ben.

- Och, jeszcze nie byłeś w nowym skrzydle. Na dole dwie sypialnie i łazienka, na górze moja galeria.

- Tyle posągów, że starczyłoby na spory cmentarz!

- Jeśli można, Ben: posągi to martwi politycy, a to są rzeźby. Proszę, żebyś wyrażał się o nich z szacunkiem, bo w przeciwnym razie mogą stać się brutalny. Widzisz repliki kilkunastu najwspanialszych rzeźb, jakie wykonano na tej obrzydliwej planecie.

- Co takiego? To okropieństwo, które kiedyś widziałem... A skąd zdobyłeś resztę tego balastu?

- Nie słuchaj, ma petite chere - powiedział Jubal do kopii La Belle Heaulmiere. - To barbarzyńca, nie wie, jak się powinien zachować. - Położył dłoń na jej pięknie zeszeconym policzku, a następnie delikatnie dotknął pustej, zapadniętej piersi. - Wiem, co czujesz, ale to już nie potrwa długo. Cierpliwości, moja droga. - Odwrócił się do Caxtona. - Ben, muszę udzielić ci lekcji patrzenia na rzeźby. Przed chwilą obraziłeś damę. Nie mogę tego tolerować.

- Proszę? Nie wygłupiaj się, Jubal. To t y obrażasz damy  
- ż y w e damy! - co najmniej dziesięć razy dziennie.  
- Anne! - ryknął Jubal. - Na górę! Załóż strój świadka!  
- Dobrze wiesz, że nie powiedziałbym nic przykrego starej  
kobiecie, która do tego pozowała. Nie rozumiem tylko, dlaczego  
ten tak zwany artysta postanowił uwiecznić akurat czyjąś  
praprababcie, ani dlaczego ty chcesz na to patrzeć.

Pojawiła się Anne ubrana w białą szatę.

- Anne, czy kiedykolwiek byłem niegrzeczny dla ciebie lub  
którejs z dziewcząt? - zapytał Harshaw.

- To zależy od punktu widzenia.

- Właśnie o to pytam. Nie jesteś w sądzie.

- Nigdy nie byłeś niegrzeczny dla żadnej z nas, Jubal.

- Czy wiesz o tym, żebym kiedyś obraził jakąś damę?

- Widziałam, jak nieumyślnie obraziłeś kobietę. Nigdy nie  
widziałam, żebyś obraził damę.

- Jeszcze jedno: co sądzisz o tej rzeźbie?

Anne obejrzała uważnie arcydzieło Rodina.

- Kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy, pomyślałam, że jest  
okropna. Potem jednak doszłam do wniosku, że może to być  
najpiękniejsza rzecz, jaką widziałam w życiu.

- Dziękuję ci, to wszystko. - Anne wyszła. - Czy nadal  
chcesz dyskutować, Ben?

- Jeżeli pewnego dnia zacznę dyskutować z Anne, to będzie  
znaczyło, że możesz dać mnie do uspienia. Ale nadal tego nie  
grokuję.

- Posłuchaj mnie więc. Każdy potrafi zauważyć ładną  
dziewczynę, lecz artysta umie w niej dostrzec także starą  
kobietę, którą ona kiedyś się stanie. W i e l k i artysta potrafi  
spojrzeć na starą kobietę, pokazać ją taką, jaką jest i zmusić  
widza, żeby zobaczył w niej piękną dziewczynę, którą kiedyś  
była. Co więcej, jest w stanie przekonać każdego, kto dysponuje  
wrażliwością większą niż pancernik, że ta urocza młoda  
dziewczyna nadal żyje, zamknięta w zniszczonym ciele. Potrafi  
przekazać ci ogrom cichej, nie mającej końca tragedii, że  
jeszcze nigdy nie urodziła się kobieta, która w sercu  
przekroczyłaby wiek osiemnastu lat, bez względu na to, co  
zrobił z nią bezlitosny czas. Spójrz na nią, Ben. Nas nie  
obchodzi, czy i jak szybko się starzejemy, ale dla nich to jest  
niezwykle ważne. Spójrz na nią!

Ben spojrział.

- Dobra, wydmuchaj nos - warknął po chwili Jubal. -  
Usiądźmy i porozmawiajmy.

- Jeszcze nie - zaprotestował Caxton. - A co powiesz o tej? Widzę, że to dziewczyna, ale dlaczego ktoś zwinął ją jak precel?

Jubał obrzucił spojrzeniem replikę "Kariatydy uginającej się pod kamieniem".

- Nie oczekuję od ciebie, abyś pojął, dlaczego ta postać przypomina precel, ale z pewnością możesz zrozumieć, co Rodin chciał przez to powiedzieć. Jak sądzisz, co daje ludziom patrzeć na krucyfiks?

- Przecież wiesz, że nie chodzę do kościoła.

- Mimo to na pewno wiesz, że wyobrażenia ukrzyżowania są najczęściej bardzo okrutne, a już szczególnie te w kościołach. Krew leje się jak keczup, a ów były cieśla pokazany jest jak pedzio, którym z pewnością nie był. Był stuprocentowym mężczyzną, dobrze umięśnionym i zdrowym. Jednak dla większości ludzi zły portret jest równie dobry, jak każdy inny. Nie widzą wad, tylko symbol budzący w nich najgłębsze emocje, przypominający im o męce i poświęceniu Boga.

- Wydawało mi się, że jesteś chrześcijaninem?

- Czy dlatego mam być ślepy na ludzkie uczucia? Zwykły gipsowy krucyfiks potrafi wywołać w sercu człowieka tak silne emocje, że ten może nawet umrzeć. Poziom artystyczny dzieła jest w tym przypadku zupełnie nieistotny. Tutaj mamy do czynienia również z symbolem emocjonalnym, tyle tylko, że wykonanym z niezwykłym artyzmem. Ben, przez trzy tysiące lat architekci projektowali budowle z kolumnami w kształcie kobiecych postaci, aż wreszcie Rodin pokazał, że to praca ponad siły dziewcząt. Nie powiedział tego w ten sposób: "Słuchajcie, palanty, róbcie lepiej krzepkich, zdrowych chłopów". Nie, on to p o k a z a ł. Ta biedna mała kariatyda upadła pod ciężarem. To dobra dziewczyna - spójrz na jej twarz. Poważna, nieszczęśliwa z powodu porażki, nie obwinia za nią nikogo, nawet bogów... i w dalszym ciągu usiłuje dźwignąć się na nogi.

Ona jest jednak czymś więcej niż tylko pięknym dziełem sztuki demaskującym kicz i tandetę; symbolizuje wszystkie kobiety, jakie kiedyś wzięły na swoje barki zbyt wielki ciężar. Zresztą nie tylko kobiety - po prostu wszystkich ludzi, którzy bez słowa protestu przepracowali całe życie w pocie czoła, aż wreszcie zawiodły ich siły. Widzisz przed sobą odwagę, Ben, a także zwycięstwo.

- Zwycięstwo?

- Największe, jakie może być, bo odniesione mimo porażki. Ta kariatyda nie zrezygnowała; nadal usiłuje dźwignąć kamień,



który ją zmiażdżył. Jest jak ojciec harujący od świtu do nocy, by przynieść do domu jeszcze jeden czek, mimo że rak pożera jego wnętrzności. Jest jak dwunastoletnia dziewczynka wychowująca młodsze rodzeństwo, bo mama musiała pójść do nieba. Jest jak radiooperator nie opuszczający swego miejsca i nadający wezwanie o ratunek, choć ogień odcina mu drogę ucieczki. Jest jak wszyscy nieznani bohaterowie, którzy nie byli w stanie podołać zadaniu, lecz nigdy nie dali za wygraną. Oddaj jej pokłon i chodź ze mną, to pokażę ci moją Małą Syrenkę.

Ben zrozumiał go dosłownie, ale Jubal powstrzymał się od komentarza.

- Tej rzeźby nie dostałem od Mike'a - poinformował go. - Nigdy mu nie powiedziałem, dlaczego zapragnąłem ją mieć, bo jest oczywiste, że to jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie zostały stworzone ręką człowieka.

- Nie musisz mi niczego tłumaczyć. Ona jest śliczna!

- Co stanowi wystarczające usprawiedliwienie, jak w przypadku kociąt i motyli. Ale to nie wszystko. Jak widzisz, nie jest stuprocentową syreną, ale nie jest także człowiekiem. Siedzi na łodzi, gdzie postanowiła zostać, lecz jednocześnie spogląda ku morzu, tęskniąc za tym, co tam pozostawiła. Znasz tę bajkę?

- Hans Christian Andersen.

- Zgadza się. Moja syrenka siedzi u wejścia do portu w Kopenhadze i wyobraża wszystkich, którzy kiedykolwiek musieli podjąć jakąś trudną decyzję. Nie żałuje jej, lecz musi za nią zapłacić. Płaci się za każdy wybór. Zapłatą jest nie tylko ogromna tęsknota, ale także to, że biedaczka nigdy nie stanie się w pełni człowiekiem. Kiedy stąpa na swych drogo okupionych stopach, za każdym krokiem czuje ukłucia ostrych noży. Ben, wydaje mi się, że Mike też ciągle stąpa po ostrzach noży... ale nie powtórz mu tego.

- Nie powtórzę. Wolę patrzeć na nią i nie myśleć o żadnych nożach.

- Jest urocza, prawda? Chciałbyś mieć ją w łóżku? Byłaby ruchliwa jak mała foczka i na pewno równie trudna do złapania.

- Też coś! Jesteś wstrętnym starcem, Jubal.

- I co roku staję się coraz wstrętniejszy. Daruję ci resztę; zwykle wydzielam sobie po jednej rzeźbie dziennie.

- Nie szkodzi. Czuję się tak, jakbym wypił trzy szybkie drinki. Jubal, dlaczego teraz nigdzie nie można zobaczyć takich rzeczy?

- Dlatego że świat oszalał, a sztuka zawsze odzwierciedla ducha epoki. Rodin umarł mniej więcej wtedy, kiedy zaczęło się ogólne wariactwo. Jego następcy dostrzegli cudowne rzeczy, jakich dokonywał ze światłem, cieniem, masą i kompozycją, i próbowali go naśladować. Nie potrafili jednak zrozumieć, że mistrz opowiadał swymi dziełami historie obnażające wnętrze ludzkiego serca. Pogardzali sztuką, która cokolwiek opisywała, nazywając ją dosłowną i poświęcając się jak jeden mąż abstrakcji. - Jubal wzruszył ramionami. - Nie mam nic przeciwko abstrakcyjnym wzorom, bo znakomicie nadają się na tapety lub wykładzinę podłogową, lecz s z t u k a polega na wywoływaniu u odbiorcy żalu i przerażenia. To, co robią współcześni artyści, jest pseudointelektualną masturbacją, natomiast sztuka kreacyjna to stosunek seksualny, podczas którego artysta pobudza emocjonalnie publiczność. Pacykarze, którzy tego nie chcą robić, albo nie potrafią, tracą publiczność. Przeciętny człowiek nie kupi dzieła sztuki, na które pozostaje zupełnie obojętny, a jeśli nawet kupi, to tylko dlatego, żeby odliczono mu to od podstawy opodatkowania.

- Wiesz, Jubal... Zawsze zastanawiałem się, dlaczego sztuka nic mnie nie obchodzi. Myślałem, że może czegoś mi brakuje.

- Hmm... Trzeba nauczyć się patrzeć na sztukę, ale z drugiej strony artysta powinien posługiwać się zrozumiałym językiem. Większość tych pacanów n i e c h c e mówić w języku, którego ty lub ja moglibyśmy się nauczyć. Wolą krzywić się z pogardą, ponieważ "nie jesteśmy w stanie" pojąć, o co im chodzi, jeżeli w ogóle chodzi im o cokolwiek. Niezrozumiałość pełni rolę parawanu dla niekompetencji. Ben, czy m n i e nazwałbyś artystą?

- Ciebie? Pisujesz niezłe kawałki.

- Dziękuję. Unikam słowa artysta z tych samych powodów, dla których nie znoszę, kiedy ktoś zwraca się do mnie "doktorze". Mimo to j e s t e m artystą. Większość moich dzieł da się przeczytać tylko raz, a i to pod warunkiem, że czytelnik nie wie, jak mało w gruncie rzeczy mam do powiedzenia. Ja jednak jestem u c z c i w y m artystą. To, co piszę, ma za zadanie dotrzeć do klienta i wyrzucić na nim wrażenie - jeśli możliwe, wywołać uczucie żalu i przerażenia - lub przynajmniej oderwać go na chwilę od codzienności. Nigdy nie kryję się przed nim za zasłoną wymyślonego języka ani nie oczekuję od innych pisarzy pochwał za "technikę" czy jakąś inną bzdurę. Zależy mi wyłącznie na wymiernym w pieniądzech uznaniu klienta,

świadczącym o tym, że udało mi się do niego dotrzeć; reszta mnie nie interesuje. Mecenat sztuki... merde! Jeżeli jakiś artysta jest subwencionowany przez państwo, znaczy to, że jest niekompetentną dziwką! Do licha, to jeden z moich koników. Lepiej nalej sobie czegoś i powiedz mi, co ci leży na wątrobie.

- Jestem nieszczęśliwy.

- I to ma być nowina?

- Mam świeży ładunek kłopotów. - Ben zmarszczył brwi. -

Ale nie jestem pewien, czy chcę z tobą o nich rozmawiać.

- W takim razie posłuchaj o m o i c h kłopotach.

- Ty masz kłopoty? Zawsze wydawało mi się, że jesteś jedynym człowiekiem na świecie, któremu udało się wyjść w tej grze na swoje.

- Skoro tak uważasz, to żałuję, że nigdy nie opowiedziałem ci o moim życiu małżeńskim. Owszem, mam kłopoty. Wiesz o tym, że Duke odszedł?

- Wiem.

- Larry jest znakomitym ogrodnikiem, ale sprzęt, dzięki któremu ten dom jeszcze jako tako funkcjonuje, zaczyna się powoli rozpadać. Dobrzy mechanicy stanowią w dzisiejszych czasach rzadkość, a takich, którzy pasowaliby do naszej rodziny, po prostu nie ma. Wzywam ciągle jakichś monterów, którzy cholernie przeszkadzają, niektórzy próbują coś kraść, a większość nie potrafi wziąć do ręki śrubokrętu, żeby się od razu nie skaleczyć. Ze mną jest to samo, więc jestem zdany na ich łaskę.

- Serce pęka mi z żalu nad tobą, Jubal.

- Daruj sobie ten sarkazm. Mechanicy i ogrodnicy są przydatni, natomiast sekretarki są niezbędne. Jeżeli chodzi o moje, to dwie są w ciąży, a jedna wychodzi za mąż.

Caxton wytrzeszczył ze zdumieniem oczy.

- To prawda - warknął Harshaw. - Teraz będą się dąsać, bo wziąłem cię na górę, zanim zdążyły się pochwalić. Kiedy ci o tym powiedzą, lepiej udaj zaskoczonego.

- Eee... A która z nich wychodzi za mąż?

- Tak trudno się tego domyślić? Szczęśliwym wybrańcem jest ten złotousty uciekinier z pustyni, nasz wielce szacowny wodny brat Śmierdziel Mahmoud. Zapowiedziałem mu, że kiedy będą w tym kraju zawsze muszą mieszkać tutaj, nie gdzie indziej, ale łobuz tylko się roześmiał i odparł, że zaproponowałem mu to już dawno temu. - Jubal pociągnął nosem. - Nie byłoby źle, gdyby się zgodził. Może wtedy miałbym z niej jeszcze jakiś pożytek.

- Na pewno. Ona lubi pracować. A tamte dwie są w ciąży?

- Jak kotki. Odświeżam sobie wiadomości z położnictwa, bo obie oświadczyły, że chcą rodzić w domu. Wyobrażasz sobie, jak mi się będzie pracować w towarzystwie dwóch niemowlaków! Ale, ale... Czemu przypuszczasz, że żadna z przyszłych mamus nie jest panną młodą?

- Myślałem, że Śmierdziel nieco bardziej hołduje tradycji... albo jest ostrożniejszy.

- Na niego na pewno bym nie głosował. Ben, choć już tyle lat zajmuję się tym problemem, usiłując zbadać sposób, w jaki funkcjonują ich małe, pokręcone umysły, nauczyłem się tylko tego, że kiedy dziewczyna się uprze, nie ma na nią żadnego sposobu. Wtedy należy po prostu pogodzić się z tym, co nieuniknione.

- W takim razie która z nich nie wychodzi za mąż ani nie jest w ciąży? Miriam? A może Anne?

- Zaczekaj, przecież nie powiedziałem, że panna młoda n i e jest w ciąży, a ty nie wiadomo czemu uznałeś, że za mąż wychodzi Dorcas. To Miriam uczy się arabskiego.

- Co?! Do licha, ależ ze mnie zezowaty pawian!

- To oczywiste.

- Ale Miriam zawsze dogryzała Śmierdzielowi...

- I pomyśleć, że ktoś pozwala ci publikować w gazecie! Czy widziałeś kiedyś w życiu grupę szóstoklasistów?

- Tak, ale przecież Dorcas robiła dla niego wszystko z wyjątkiem tańczenia tańca bajader...

- Ona zawsze tak się zachowuje. Pamiętaj, żeby okazać należne zdumienie, kiedy Miriam pokaże ci pierścionek zaręczynowy. Jest wielkości jaja ptaka-olbrzyna i przynajmniej równie cenny. Co do tego, które z nich są w ciąży, nie mam najmniejszego pojęcia. Tylko pamiętaj o tym, że są tym zachwycone - dlatego uprzedzam cię, żebyś nie myślał, że wpadły. One nigdy nie wpadają. Są w siódmym niebie. - Jubal westchnął głęboko. - Jestem już zbyt stary, żeby cieszyć się tupotem małych stópek, ale nie mam zamiaru pogodzić się z utratą doskonałych sekretarek - i moich kochanych dzieci - jeżeli istnieje choć cień szansy na to, że tu zostaną. Od chwili, kiedy Jill zjawiała się z Mike'em, ten dom pogrąża się w coraz większym chaosie. Oczywiście, nie mam jej tego za złe... ani ty, jak przypuszczam.

- Nie, ale... Jubal, czy ty uważasz, że to Jill nauczyła Mike'a, jak to się robi?

Jubal spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- A kto, jeśli nie ona?

- Nie bądź taki ciekawski. Jill wyprowadziła mnie z błędu, kiedy powiedziałem jej, co o tym sądzę. Zdaje się, że to był przypadek.

- Hmm... Też tak myślę.

- Podobnie jak Jill. Ona uważa, że Mike miał dużo szczęścia, bo został po raz pierwszy uwiedziony przez tę z nich, która potrafiła najwięcej go nauczyć. Może to być dla ciebie wskazówką, jeśli wiesz, jak pracuje umysł Jill.

- Do diabła, ja nawet nie wiem, jak pracuje m ó j umysł! Co do Jill, to nigdy nie podejrzewałbym jej o to, że zostanie kaznodzieją, nawet jeżeli zakocha się po uszy, co dowodzi tego, że jednak jej nie znam.

- Wygłasza kazania tylko od czasu do czasu... Później do tego wrócimy. Jubal, jakie nasuwają ci się wnioski, kiedy patrzysz w kalendarz?

- Hę?...

- Czy sądzisz, że w obu przypadkach był to Mike? Jeśli tak, to powinno się to zgadzać z jego wizytami w domu.

- Ben, nie powiedziałem nic, co pozwoliłoby ci wysnuć taki wniosek - odparł ostrożnie Harshaw.

- Dobrze sobie! Powiedziałeś, że są tym zachwycone. Wiem, jaki efekt wywiera na kobietach ten cholerny superman.

- Wolnego, synu. Przecież jest twoim wodnym bratem.

- Pamiętam o tym i bardzo go kocham, ale dzięki temu jeszcze lepiej rozumiem ich zadowolenie.

Jubal zapatrzył się w swoją szklankę.

- Jeśli mam być zupełnie szczery, Ben, to twoje nazwisko pasuje mi na pierwsze miejsce na liście podejrzanych znacznie bardziej niż Mike'a.

- Chyba postradałeś zmysły!

- Tylko spokojnie. Klnę się na wszystkie miliardy imion Boga, że nie wtykam nosa w cudze sprawy, ale przecież mam normalny wzrok i słuch. Gdyby przez mój dom przemaszerowała orkiestra dęta, na pewno bym to zauważył. Spałeś pod tym dachem wiele razy; czy choć raz spałeś sam?

- Ty draniu! Owszem, spałem! Pierwszej nocy, kiedy mnie tu przywieźli.

- Prawdopodobnie Dorcas miała wtedy wolne. Nie, już pamiętam: byłeś pod działaniem środków uspokajających, więc to się nie liczy. A co z pozostałymi nocami?

- Twoje pytanie jest nieistotne, nie na temat i niegodne mojej uwagi.

- Uznam to za odpowiedź. Tylko bądź uprzejmy zwrócić

uwagę na fakt, że choć gościnne sypialnie są oddalone od mojej najbardziej, jak to tylko było możliwe, to ściany, niestety, nie są dźwiękoszczelne.

- Jubal, czy nie uważasz, że t w o j e nazwisko powinno być na tej liście jeszcze przed moim?

- Co takiego?

- Nie wspominając już o Larrym i Duke'u. I tak wszyscy są zdania, że utrzymujesz najwspanialszy harem od czasów sułtana. Nie zrozum mnie źle - większość ludzi po prostu ci zazdrości. Jednak moim skromnym zdaniem jesteś starym rozpustnym capem.

Jubal zabębnił palcami w podłokietnik.

- Ben, z zasady nie mam nic przeciwko partnerskiemu traktowaniu osób znacznie młodszych ode mnie, lecz w tym przypadku jestem zmuszony zażądać, aby okazywano stosowny szacunek mojemu wiekowi!

- Przepraszam - odparł sztywno Caxton. - Wydawało mi się tylko, że jeśli ty możesz grzebać do woli w moim życiu erotycznym, to nie będziesz miał mi za złe, jeśli ja zrewanżuję ci się tym samym.

- Człowieku, źle mnie zrozumiałeś! Chodzi mi o to, żeby d z i e w c z y n y traktowały mnie w tych sprawach z należnym szacunkiem.

- Och...

- Jak przed chwilą słusznie zauważyłeś, jestem stary... nawet bardzo stary. Między nami mówiąc cieszę się z tego, iż mogę jeszcze być rozpustny, ale rozpusta nie ma nade mną żadnej władzy. Zdecydowanie wolę powagę od nurzania się w rozkoszach, których - możesz być tego pewien! - zaznałem do woli i wciąż doskonale je pamiętam, nie musząc niczego powtarzać. Człowiek w moim wieku, przypominający dzielnicę slumsów w ostatnim stadium rozkładu, może znaleźć młodą dziewczynę chętną do spędzenia z nim nocy w łóżku posługując się jednym z trzech sposobów: proponując jej pieniądze, obiecując jakieś inne korzyści materialne lub... ale w tym miejscu zadam ci pytanie: czy twoim zdaniem któraś z tych czterech dziewcząt zgodziłaby się dla któregoś z tych powodów?

- Oczywiście, że nie.

- Dziękuję. Spotykam się wyłącznie z damami; miło mi, że pan o tym wie. Trzeci powód jest typowo kobiecy: młoda słodka dziewczyna idzie czasem do łóżka ze starym wrakiem, ponieważ go lubi, ponieważ jest jej go żal lub ponieważ pragnie sprawić mu przyjemność. Czy wydaje ci się to prawdopodobne?

- Hmm... Tak. W przypadku każdej z nich.

- Ja również tak uważam. Ale powód, które te młode damy mogłyby uznać za całkowicie wystarczający, dla mnie taki nie jest. Ja również mam swoją godność, więc bardzo pana proszę, by zechciał pan usunąć moje nazwisko z listy.

Caxton wyszczerzył zęby.

- W porządku, ty cholerny zimnokrwisty głupcze. Mam nadzieję, że kiedy dożyję twojego wieku, nie będzie mnie tak trudno skusić.

Jubal uśmiechnął się.

- Lepiej być kuszonym i oprzeć się pokusie niż przeżyć rozczarowanie. Co do Duke'a i Larry'ego - o niczym nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Każdemu, kto mieszka pod moim dachem, daję wyraźnie do zrozumienia, że nie jest to ani plantacja bawełny, ani burdel, tylko dom, i że w związku z tym panuje w nim mieszanka anarchii i tyranii bez najmniejszego śladu demokracji, tak jak to się dzieje w każdej porządnej rodzinie. To znaczy: każdy robi to, na co ma ochotę, chyba że każę mu robić coś innego, a wtedy te polecenia nie podlegają żadnej dyskusji. Jednak moja tyrania nie dotyczy życia uczuciowego. Dzieciaki zawsze miały swoje prywatne sprawy, przynajmniej do czasu, kiedy te marsjańskie wpływy wymknęły nam się spod kontroli. Być może Larry i Duke napastowali dziewczęta za każdym krzakiem, ale ja nie słyszałem żadnych krzyków.

- Więc jednak uważasz, że to Mike.

Harshaw skrzywił się.

- Tak, masz rację... Powiedziałem ci, że dziewczyny są zachwycone, ale to nie jest żaden problem, bo daleko mi do bankructwa, a poza tym w każdej chwili mogę dostać od Mike'a tyle, na ile przyjdzie mi ochota. Ich dzieciom nie będzie niczego brakowało. Natomiast bardzo mnie niepokoi sam Mike.

- Mnie też, Jubal.

- I Jill.

- Hmm... Moim zdaniem z Mike'em jest dużo gorsza sprawa.

- Do licha, czemu ten chłopak nie przestanie walić pięścią w ambonę i nie wróci do domu?!

- Szczerze mówiąc, on wcale nie robi nic takiego - odparł Ben. - Właśnie stamtąd wracam.

- To czemu nic nie mówisz?

Caxton westchnął.

- Najpierw dyskutowałeś ze mną o sztuce, potem zaczęłaś się nad sobą rozczulać, a wreszcie przyszła ci ochota poplotkować...

- Hmm... Dobra, udzielam ci głosu.

- Odwiedziłem ich w drodze powrotnej z konferencji w Kapsztadzie. To, co zobaczyłem, cholernie mnie przstraszyło, więc wpadłem tylko na chwilę do biura, a potem od razu przyleciałem tutaj. Jubal, czy nie mógłbyś pogadać z Douglasem i wstrzymać finansowanie tej historii?

Harshaw pokręcił głową.

- To, co Mike robi ze swoim życiem, to wyłącznie jego sprawa.

- Nie mówiłbyś tak, gdybyś zobaczył to, co ja!

- Na pewno nie. Poza tym, n i e m o g ę. Ani ja, ani Douglas.

- Mike zaakceptowałby każdą decyzję, jaką podjąłbyś w sprawie jego pieniędzy. Prawdopodobnie nawet nic by nie zrozumiał.

- Mylisz się. Niedawno spisał testament i przysłał mi go do oceny. To jeden z najsprytniej sformułowanych dokumentów, jakie widziałem. Mike wreszcie zdał sobie sprawę z tego, że dysponuje większym bogactwem, niż jego spadkobiercy mogliby spożytkować, więc przeznaczył znaczną sumę na ochronę swoich pieniędzy. Jego fortuna jest zabezpieczona nie tylko przed roszczeniami osób dziedziczących po jego prawnych i biologicznych rodzicach - dowiedział się, że jest bękartem, choć nie mam najmniejszego pojęcia, w jaki sposób - ale także spadkobierców załogi "Envoy". Zapewnił sobie możliwość dogadania się poza sądem z każdym, kto zgłosiłby uzasadnione roszczenia i obwarował to takimi zastrzeżeniami, że trzeba by obalić rząd, żeby zmienić jego decyzje w tej sprawie. Z testamentu wynikało, że zna wszystkie kruczki i pułapki. Nie znalazłem n i c, do czego mógłbym się przyczepić! - Jest nawet przewidziana prowizja dla ciebie, mój bracie, pomyślał Jubal. - Bądź więc taki miły i nie wmawiaj mi, że j a mógłbym zablokować j e g o pieniądze.

Ben zasepił się.

- To bardzo niedobrze.

- Ja tak nie uważam. Zresztą nawet gdybym miał taką możliwość, nic by to nie dało. Od prawie roku Mike nie podjął z konta ani jednego dolara. Douglas wreszcie zawiadomił mnie o tym, bo chłopak nie odpowiada na jego listy.

- Żadnych wypłat? Przecież on wydaje mnóstwo forsy!

- Widocznie opłaca się prowadzić kościelny interes.

- Właśnie to jest w tym wszystkim najdziwniejsze: to wcale nie jest kościół.



- Tylko co?
- Przede wszystkim szkoła językowa.
- Że co, proszę?
- Uczy ludzi marsjańskiego.
- W takim razie czemu nazywa to kościołem?
- Bo może z definicji wynika, że to jednak j e s t kościół.
- Ben, kościołem może być nawet tor do jazdy na deskorolce, pod warunkiem, że jakaś sekta uzna, iż jazda na deskorolce jest niezbędnym elementem kultu ich Boga. Jeżeli wielbieniu Boga może służyć śpiew, to może temu służyć również jazda na desce z kółkami. Na Półwyspie Malajskim istnieją świątynie, które postronnemu obserwatorowi wydają się jedynie hotelami dla węży, ale ten sam Sąd Najwyższy, który tak bardzo dba o interesy naszych sekt, uznał je za kościoły.
- Hmm... Mike też hoduje węże. Jubal, czy w tych sprawach wszystko jest dozwolone?
- Dobrze pytanie. Kościół z reguły nie może pobierać opłat za przepowiadanie przyszłości lub przywoływanie duchów zmarłych, ale może przyjmować ofiary, które w gruncie rzeczy nie są niczym innym, jak właśnie opłatami za te usługi. Składanie ofiar z ludzi jest nielegalne, lecz wiemy, że praktykuje się to jeszcze w paru miejscach na Ziemi... możliwe, że nawet tutaj, w kraju stanowiącym kiedyś synonim wolności. Najlepszy sposób, żeby zrobić coś, co jest zakazane, to schować się z tym w wewnętrznym kręgu sanctum i trzymać niewiernych z daleka. Czemu o to pytasz, Ben? Czyżby Mike robił coś, za co mógłby trafić do pudła?
- Chyba nie.
- Gdyby zachował wystarczającą ostrożność... Fosterycy udowodnili, że jak się człowiek uprze, to może mu ująć na sucho prawie wszystko, a już na pewno znacznie więcej niż to, za co by zlinczowano Josepha Smitha.
- Mike wyraźnie wzoruje się na fosterytach. Jednak nie to mnie najbardziej niepokoi.
- W takim razie, co cię najbardziej niepokoi?
- Hmm... Jubal, to "sprawa między wodnymi braćmi".
- Czy od tej pory mam nosić truciznę w wydrążonym zębie?
- Członkowie kręgu najlepiej wtajemniczonych powinni umieć odcieleścić się na zawołanie, bez pomocy trucizny.
- Nigdy nie byłem aż tak zaawansowany, ale znam sporo sposobów skorzystania z tego ostatecznego środka obronnego. Mów, co ci leży na sercu.

- Jak ci już wspomniałem, Mike hoduje węże. Rozumiem to zarówno dosłownie, jak i w przenośni, bo ta cała sprawa kojarzy mi się z kłębowiskiem węzów. Jego świątynia jest bardzo rozległa - wielka sala zgromadzeń, kilka mniejszych, mnóstwo różnych pomieszczeń i pokoiów mieszkalnych. Jill wysłała mi radiogram z dokładnymi wskazówkami, więc taksówka podwiozła mnie na małą uliczkę, do bocznego wejścia. Kwatery mieszkalne są usytuowane nad salą, w największym odosobnieniu, jakie można sobie zapewnić nie wyprowadzając się z miasta.

Jubał skinął głową.

- Bez względu na to, co robisz, trzymaj się jak najdalej od wścibskich sąsiadów.

- W tym przypadku jak najbardziej słusznie. Wszedłem przez zewnętrzne drzwi - na pewno byłem obserwowany, choć nigdzie nie mogłem dostrzec kamery. Po przejściu przez podwójne automatyczne drzwi dostałem się do rury spadowej, ale to nie była normalna rura spadowa, bo sterował nią nie pasażer, tylko ktoś inny, niewidoczny.

- Nigdy z tego nie korzystałem i nigdy nie skorzystam - stwierdził stanowczo Jubał.

- Na pewno by ci się spodobało. Wznosiłem się lekko jak piórko.

- Nie ufam maszynom, bo one gryzą. Choć z drugiej strony matka Mike'a była jednym z największych konstruktorów naszych czasów, a jego ojciec - p r a w d z i w y ojciec - był znakomitym inżynierem. Nie powinniśmy się dziwić, jeśli Mike usprawnił rury spadowe tak, że wreszcie nadają się dla ludzi.

- To całkiem możliwe, bo kiedy dotarłem na górę, wyłądownąłem bez żadnych kłopotów i bez pomocy siatek bezpieczeństwa;

jeśli mam być szczery, to nawet ich nie widziałem.

Przeszedłem przez jeszcze jedne automatyczne drzwi i znalazłem się w wielkim pokoju, umeblowanym dość skromnie, ale za to bardzo niezwykle. Jubał, spotkałem się z opiniami, że masz dziwnie urządzone dom.

- Bzdura! Po prostu zwyczajnie i wygodnie.

- Mimo to i tak stanowi on wzór normalności w porównaniu z tym, co tam widziałem. A pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, była zupełnie goła, wytatuowana od stóp do głów dziewczyna! Mówię ci, to fantastyczne: nie było na niej ani skrawka wolnego miejsca.

- Jesteś prowincjuszem z wielkiego miasta, Ben. Znałem kiedyś wytatuowaną kobietę. Bardzo miła osóbką.

- Cóż, ta też była miła, pod warunkiem, że przywyczyłaś się do jej obrazkowego stroju i tego, że zwykle towarzyszył jej jakiś wąż.

- Właśnie zastanawiałem się, czy to może nie ta sama, którą ja znałem. W końcu nie spotyka się zbyt wiele wytatuowanych kobiet. Ale tamta, trzydzieści lat temu, panicznie bała się węży. Ja natomiast bardzo je lubię... Chętnie poznam twoją nową przyjaciółkę.

- Poznasz ją, kiedy odwiedzisz Mike'a. Pełni funkcję kogoś w rodzaju majordomo i nazywa się Patrycja, ale mówi się do niej Pat albo Patty.

- Ach, tak! Jill wyrażała się o niej bardzo pochlebnie, lecz nigdy nie wspomniała o tatuażach.

- Jest w takim wieku, że właściwie mogłaby być twoją znajomą. Mówiąc dziewczyna miałem na myśli pierwsze wrażenie, jakie na mnie wywarła. Wygląda na dwadzieścia parę lat, a twierdzi, że właśnie tyle ma jej najstarsze dziecko. W każdym razie podeszła do mnie, cała w uśmiechach, objęła mnie i pocałowała. "Jesteś Ben. Witaj, bracie! Ofiarowuję ci wodę."

Jubał, od wielu lat jestem dziennikarzem i widziałem już rozmaite rzeczy, ale jeszcze nigdy nie całowała mnie nieznajoma kobieta ubrana tylko w tatuaże. Zawstydzilem się.

- Biedactwo!

- Do licha, ty czułbyś się dokładnie tak samo!

- Oczywiście, że nie. Pamiętaj, że znałem już kiedyś wytatuowaną kobietę. One uważają tatuaż za coś w rodzaju ubrania, a przynajmniej tak uważała moja przyjaciółka Sadako. Była Japonką. Zresztą Japonki w ogóle nie myślą o swoim ciele w taki sposób, w jaki my jesteśmy do tego przyzwyczajeni.

- Patty też nie myśli o swoim ciele, tylko o tatuażach. Pragnie, by po śmierci wypchano ją i pokazywano nagą ludziom, jako hołd złożony George'owi.

- Kim jest George?

- Jej mężem, na całe szczęście już w niebie... Choć mówiła o nim tak, jakby na chwilę wyszedł na piwo. Jednak w gruncie rzeczy Patty jest prawdziwą damą i nie pozwoliła mi się długo wstydzić...

## Rozdział XXXI

Zanim Ben Caxton zorientował się, co się z nim dzieje,

Patrycja Paiwonski złożyła na jego ustach gorący braterski pocałunek. Wyczuwała jego niepokój i była tym trochę zdziwiona. Michael powiedział jej, że należy spodziewać się odwiedzin Bena i umieścił jego twarz w jej umyśle. Wiedziała o tym, że Caxton jest pełnym bratem, należącym do Środkowego Gniazda, i że Jill bardziej niż z nim zbliżała się tylko z Michaelem.

Największym pragnieniem Patrycji było czynienie ludzi równie szczęśliwymi jak ona, w związku z tym nieco zwolniła. Zaproponowała Benowi, żeby pozbył się ubrania, lecz nie nastawała zbyt energicznie; poprosiła go tylko, by zdjął buty, gdyż Gniazdo jest miękkie i czyste.

Pokazała mu, gdzie może powiesić ubranie i zajęła się jego drinkiem. Wiedziała od Jill o jego gustach - zdecydowała się na podwójne martini, gdyż biedaczysko wyglądał na zmęczonego. Kiedy wróciła ze szklankami, Ben był na bosaka i bez marynarki.

- Bracie, obyś nigdy nie był spragniony.

- Dzielimy się wodą - odparł i pociągnął spory łyk. - Choć zdaje się, że w t y m nie ma zbyt wiele wody - dodał.

- W sam raz. Michael zawsze mówi, że wystarczy, jeśli woda jest w myśli. Wtedy również następuje dzielenie. Grokuje, że mówi prawdziwie.

- Grokuje. Właśnie tego było mi trzeba. Dzięki, Pat.

- Wszystko, co nasze, jest twoje, a ty należysz do nas.

Cieszymy się, że wróciłeś do domu. Inni biorą udział w nabożeństwach albo udzielają lekcji, ale nie ma pośpiechu. Przyjdą, kiedy skończy się oczekiwanie. Czy chciałbyś obejrzeć nasze Gniazdo?

Wyruszyli na zwiedzanie: wielka kuchnia z barem w rogu, biblioteka znacznie zasobniejsza od należącej do Jubala, obszerne i luksusowe łazienki, sypialnie... Ben domyślił się, że muszą pełnić tę funkcję, choć nie było tam łóżek tylko podłogi jeszcze bardziej miękkie niż w innych pomieszczeniach. Patty nazywała je gniazdkami i pokazała mu to, w którym sama najczęściej sypia.

Było ono przystosowane do potrzeb jej węży. Benowi udało się jakoś zachować kamienną twarz do chwili, kiedy zaczęła mu pokazywać kobry.

- Nie bój się - uspokoiła go. - Trzymaliśmy je za szybą, ale Michael powiedział im, że nie mogą przekraczać tej linii.

- Mimo wszystko bardziej ufałbym szybie.

- Jak chcesz - odparła opuszczając szklaną barierę.

Ben od razu poczuł się lepiej i zdobył się nawet na to, by pogłaskać po głowie Pieszczocha. Potem Pat zaprowadziła go do

innego pokoju; był duży, podłogę miał równie miękką jak sypialnie, a pośrodku znajdował się okrągły basen.

- To jest nasza Środkowa Świątynia, w której przyjmujemy do Gniazda nowych braci - poinformowała go. - Czy chcesz podzielić się ze mną wodą i zbliżyć? - zapytała zanurzając stopę w wodzie. - A może tylko popływać?

- Eee... Na razie dziękuję.

- Po to jest czekanie - zgodziła się.

Wrócili do obszernego salonu, gdzie Patrycja przyrządziła mu kolejnego drinka. Ben usiadł na wielkiej kanapie... i natychmiast wstał. W pokoju było ciepło, alkohol rozgrzał go od środka, a dostosowująca się do kształtu ciała kanapa sprawiła, że zrobiło mu się jeszcze bardziej gorąco. Doszedł do wniosku, że nie ma sensu męczyć się w normalnym ubraniu, tym bardziej że jedyny przydziewek Patty stanowił wąż przewieszony przez jej ramiona.

Zdecydował się na kompromis i pozostał w szortach.

Wieszając ubranie w przedpokoju zauważył tabliczkę na drzwiach: "Czy nie zapomniałeś ubrać się przed wyjściem?"

Doszedł do wniosku, że w tym domu to przypomnienie było jak najbardziej na miejscu. Zobaczył też jeszcze coś, co w pierwszej chwili umknęło jego uwadze: po obu stronach drzwi stały wielkie mosiężne czary wypełnione pieniędzmi. Nawet nie tyle wypełnione, co p r z e p e ł n i o n e - banknoty Federacji o różnych nominałach wysypywały się na podłogę.

Przyglądał się temu, kiedy wróciła Patrycja.

- Proszę, oto twoja szklanka, bracie Benie. Obyśmy zbliżali się w Szczęściu.

- He?... A, tak. Dziękuję. - Znowu zagapił się na pieniądze.

Podążyła za jego spojrzeniem.

- Jestem nieporządną gospodynią, Ben. Michael sprząta tak łatwo, zupełnie mimochodem, że czasem po prostu zapominam.

Podniosła pieniądze i wepchnęła je do czary, w której zostało nieco więcej miejsca.

- Patty, po co to wszystko?

- Trzymamy tutaj pieniądze, bo te drzwi prowadzą na ulicę. Kiedy ktoś z nas wychodzi z Gniazda - a ja wychodzę prawie codziennie na zakupy - może potrzebować trochę gotówki, a dzięki temu nie zapomni jej zabrać.

- Tak po prostu? Wystarczy wepchnąć do kieszeni garść pieniędzy i wyjść na ulicę?

- Oczywiście, kochanie... Tutaj nigdy nie przychodzi

nikt obcy. Kiedy odwiedzają nas przyjaciele z zewnątrz, spotykamy się z nimi w pokojach na dole, trochę bardziej podobnych do tego, do czego są przyzwyczajeni. Tu nie ma nikogo słabego, kogo mogłoby to skusić.

- Jak to? Ja jestem bardzo słabym człowiekiem!

Pat zachichotała.

- Jak może cię kusić coś, co jest twoje?

- Hmm... A co z włamywaczami?

Spróbował oszacować, jaka kwota znajduje się w czarach.

Większość banknotów miała dwucyfrowe nominały... Do licha, na podłodze leżał jeden z trzema zerami. Pat zapomniała go sprzątnąć.

- Był tu jeden, zdaje się, że w zeszłym tygodniu.

- I co? Ile ukradł?

- Nic nie ukradł. Mike go odesłał.

- Na posterunek?

- Skądże znowu! Mike n i g d y nie wydałby nikogo glinom. Po prostu... - wzruszyła ramionami. - Odesłał go, i już. Potem Duke musiał tylko załatać dziurę w suficie w pokoju ogrodowym. Pokazywałam ci go? Jest cudowny, z trawiastą podłogą. Jill powiedziała mi, że ty też masz trawiastą podłogę. Właśnie tam Mike zobaczył coś takiego po raz pierwszy. Rośnie w całym mieszkaniu?

- Tylko w salonie.

- Czy będę mogła położyć się na niej, gdybym kiedyś pojechała do Waszyngtonu?

- Oczywiście, Patty. Eee... Ona jest twoja.

- Wiem o tym, kochanie, ale miło jest pytać. Położę się na niej, będę ją czuła całym ciałem i pozwolę napęlić się Szcęściem, że jestem w gniazdku mojego brata.

- Serdecznie cię zapraszam, Pat. (- Mam nadzieję, że przyjedzie bez węży!) - Kiedy do mnie wpadniesz?

- Nie wiem. Kiedy skończy się oczekiwanie. Może Michael będzie wiedział.

- Na wszelki wypadek daj mi wcześniej znać, żebym nie wyjechał z miasta. Gdyby mnie nie było, Jill poda ci szyfr do drzwi. Patty, czy naprawdę nikt nie pilnuje tych pieniędzy?

- Po co?

- No... Tak się zwykle robi.

- Nie u nas. Weź, ile chcesz, a kiedy wrócisz, po prostu odłóż to, co ci zostanie. Michael chce, żeby te misy były zawsze pełne. Gdyby zabrakło pieniędzy, po prostu wezmę trochę od niego.

Ben zrezygnował z dalszej dyskusji na ten temat. Mając jakie takie pojęcie o bezpiecześniejszym komunizmie Marsjan zorientował się, że Mike utworzył enklawę tego ustroju; czary z banknotami wyznaczały granicę między dwoma systemami ekonomicznymi.

Ciekawe, czy Patty wie, że jest to możliwe wyłącznie dzięki ogromnemu bogactwu Mike'a...

- Patty, ile osób mieszka w Gnieździe? - Przez chwilę poczuł lekki niepokój, lecz natychmiast otrząsnął się z niego; przecież w j e g o mieszkaniu przy drzwiach nie stoją miski ze złotem.

- Niech pomyślę... Prawie dwadzieścia, łącznie z braćmi odbywającymi nowicjat, którzy jeszcze nie myślą po marsjańsku i nie zostali wyświęceni.

- A czy ty jesteś wyświęcona, Patty?

- Och, tak. Zajmuję się głównie uczeniem innych. Prowadzę początkowy kurs marsjańskiego, pomagam nowicjuszom, i w ogóle... Dawn i ja - Dawn i Jill są najwyższymi kapłankami - jesteśmy znanymi fosterytkami, więc oprócz tego pracujemy razem, aby udowodnić fosterytom, że Kościół Wszystkich Planet nie występuje przeciwko wierze. Tak samo, jeśli ktoś jest baptystą, to wcale nie znaczy, że nie może należeć do loży masońskiej.

Pokazała Benowi ślad po pocałunku Fostera, wyjaśniła, co to jest, a następnie zademonstrowała bliźniaczy znak pozostawiony w cudowny sposób przez Mike'a.

- Oni dobrze wiedzą, co oznacza pocałunek Fostera i jak trudno na niego zasłużyć... Widzieli też niektóre z cudów dokonywanych przez Mike'a. Są już prawie gotowi zakasać rękawy i wspiąć się do wyższego kręgu.

- To taka ciężka praca?

- Dla nich tak. Z nami sprawa wyglądała zupełnie inaczej, bo ciebie, mnie, Jill i jeszcze parę osób Mike powołał bezpośrednio do bractwa. Innych najpierw uczy dyscypliny - nie wiary, tylko umiejętności dostrzeżenia jej w działaniu. Dlatego najpierw muszą nauczyć się marsjańskiego. To bardzo trudny język i ja sama robię jeszcze dużo błędów, ale praca i nauka daje ogromne szczęście. Co zaś się tyczy Gniazda... Zaczekaj, zaraz policzę: Duke, Jill, Michael... dwie fosterytki, czyli Dawn i ja... jeden obrzezany Żyd z żoną i czworgiem dzieci...

- W Gnieździe są dzieci?

- I to całe mnóstwo, w specjalnym gniazdku dla młodych. Nie byłoby mowy o medytacji, gdyby pętały się pod nogami i

robiły zamieszanie. Chcesz je zobaczyć?

- Może później.

- Katolickie małżeństwo z małym chłopcem... Obawiam się, że zostali ekskomunikowani, bo ich proboszcz dowiedział się o wszystkim. Michael musiał udzielić im specjalnej pomocy. To był dla nich ogromny wstrząs, w dodatku zupełnie niepotrzebny. Jak zwykle w każdą niedzielę wstawali wcześniej rano i szli do kościoła, ale dzieciak jak to dzieciak, wszystko wygadał. Rodzina mormonów nowego obrządku - to trójka, plus dzieci. Reszta to protestanci i jeden ateista - to znaczy był nim, dopóki Michael nie otworzył mu oczu. Przyszedł, żeby się naśmiewać, a został, by się uczyć... Wkrótce będzie kapłanem. W sumie dziewiętnaście dorosłych osób, ale rzadko się zdarza, żebyśmy wszyscy byli w Gnieździe, z wyjątkiem specjalnych nabożeństw w środkowej świątyni. Gniazdo może pomieścić osiemdziesiąt jeden osób - "trzy-wypełnione" - ale Michael grokuje jeszcze dużo czekania, zanim będzie nam potrzebne większe gniazdo. Tym bardziej że do tego czasu wybudujemy inne. Chciałbyś zobaczyć ogólnie dostępne nabożeństwo?

Michael właśnie wygłasza naukę.

- Owszem, jeśli nie sprawię za dużo kłopotu...

- Dobrze. Zaczekaj sekundkę, kochanie. Muszę coś na siebie narzucić.

\*

- Wróciła w szacie podobnej do tej, jaką ma Anne, tyle że z szerokimi anielskimi rękawami, stojącym kołnierzem i wymyślonym przez Mike'a symbolem na sercu - dziewięć koncentrycznych okręgów otaczających Słońce. Okazało się, że to szata liturgiczna. Jill i inne kapłanki miały takie same, tyle że bez kołnierzyków. Patty dodatkowo założyła skarpetki i sandały.

Mówię ci, Jubal, diabelnie ją to zmieniło. Dodało jej powagi. Dopiero wtedy zobaczyłem, że jest dużo starsza niż myślałem, choć i tak nie dałem jej tylu lat, ile podobno ma naprawdę. Ma wspaniałą cerę; szkoda takiej skóry pod tatuaż.

Ja też się ubrałem. Kazała mi wziąć buty do ręki i poprowadziła przez całe Gniazdo na korytarz. Założyliśmy tam buty i zjechaliśmy kilka pięter w dół długą pochylnią. Wylądowaliśmy na galerii nad głównym audytorium. Mike stał na podium, bez żadnego pulpitu, a za nim na ścianie był wymalowany wielki symbol Wszystkich Planet. Razem z nim stała jakaś



kapłanka i w pierwszej chwili pomyślałem, że to Jill, ale okazało się, że to ta druga - Dawn Ardent.

- Jak?

- Dawn Ardent, z domu Higgins, jeśli chcesz być drobiazgowy.

- Spotkałem ją kiedyś.

- Wiem o tym, ty emerytowany capie. Ma na ciebie haka.

Jubal potrząsnął głową.

- Tę Dawn Ardent, którą mam na myśli, poznałem przelotnie dwa lata temu. Na pewno mnie nie pamięta.

- Oczywiście, że cię pamięta. Czyta każdy kawałek komercyjnego śmiecia, jaki publikujesz pod swoim nazwiskiem i pod pseudonimami, nagrywa na taśmę i puszcza sobie codziennie przed zaśnięciem. Twierdzi, że dzięki temu ma zawsze cudowne sny. Oni wszyscy cię znają, Jubal. W tym mięciutkim salonie, o którym ci mówiłem, jest tylko jedna ozdoba - naturalnej wielkości holo przedstawiające twoją głowę. Wygląda to zupełnie tak, jakbyś został zdekapitowany, bo w dodatku masz na twarzy obrzydliwy uśmieszek. Duke kiedyś pstryknął ci ukradkiem to zdjęcie.

- A to drań!

- Zrobił to na prośbę Jill.

- Drań do kwadratu.

- A ją namówił Mike. Jubal, przygotuj się na poważny wstrząs: zostałeś głównym patronem Kościoła Wszystkich Planet. Harshaw z przerażeniem wybałuszył oczy.

- Nie mogą mi tego zrobić!

- Już zrobili. Mike twierdzi, że to ty zacząłeś całe przedstawienie, bo wytłumaczyłeś mu tak dokładnie różne rzeczy, że był w stanie wyłożyć ludziom marsjańską teologię.

Jubal jęknął rozpaczliwie, a Ben mówił dalej:

- W dodatku Dawn uważa, że jesteś piękny. Pomijając to jedno dziwactwo, trzeba ją uznać za bardzo inteligentną i uroczą osobkę. Ale wracając do rzeczy: Mike zauważył nas, zawołał "Cześć, Ben! Poczekaj chwilę!" i wrócił do swojego kazania.

Żałuj, żeś tego nie słyszał. Nie był ubrany w żadne specjalne szaty, tylko w dobrze skrojony biały garnitur i nie mówił jak kapłan, tylko jak cholernie dobry sprzedawca samochodów. Sypał jak z rękawa dowcipami i przypowieściami. Przemówienie dotyczyło w większej części czegoś w rodzaju panteizmu, a jedną z przypowieści znałem z dawnych czasów - o tym, jak dżdżownica draży tunel w ziemi i spotyka drugą dżdżownicę.

"Jesteś piękna" - mówi. - "Czy wyjdiesz za mnie za męża?"  
"Nie bądź idiotą" - odpowiada tamta. - "Jestem twoim drugim  
końcem." Słyszałeś ją?

- Czy ją słyszałem? Ja ją n a p i s a ł e m !

- Nie wiedziałem, że jest aż t a k stara. Mike dobrze ją  
wykorzystał. Doszedł do wniosku, że spotykając inną grokującą  
istotę - mężczyznę, kobietę, czy zwykłego kota - spotykamy swój  
drugi koniec. Wszechświat jest czymś, co sami stworzyliśmy  
wokół siebie, zaraz potem dokładnie o tym zapominając.

Jubał skrzywił się kwaśno.

- Solipsyzm i panteizm. Wspólnie niczego nie wyjaśniają,  
bo pozwalają nie zwracać uwagi na wszystkie niewygodne fakty,  
a włączać te, które nam pasują, w tym również istniejące  
wyłącznie w naszej wyobraźni. W rezultacie otrzymuje się watę  
na patyku - mnóstwo smaku, ale zero treści. To rozczarowuje  
prawie tak samo, jak zakończenie jakiejś historii w stylu:  
"...i wtedy chłopczyk wypadł z łóżeczka i przekonał się, że to  
wszystko był tylko sen."

- Nie dyskutuj o tym ze mną, tylko z Mike'em. Możesz mi  
jednak wierzyć, że dobrze się spisywał. W pewnej chwili  
przerwał i powiedział: "Na pewno jesteście już zmęczeni moją  
gadanią..." A oni na to jak jeden mąż: "Nieeee!" Mówię ci,  
miał ich w garści. Zaczął się usprawiedliwiać, że jest  
zmęczony, a poza tym i tak nadeszła już pora na cuda, i zrobił  
taki hokus-pokus, że aż mi szczęka opadła... Wiedziałaś o tym,  
że występował jako magik w lunaparku?

- Coś do mnie dotarło, ale nie znam żadnych szczegółów  
tego żalosego epizodu.

- Jest znakomity. Wyczyniał takie numery, że nawet ja  
dałem się nabrać. Nie byłoby sprawy, gdyby robił zwykłe  
sztuczki, bo oni i tak byli oczarowani jego gadaniem. Wreszcie  
przerwał i powiedział: "Od Człowieka z Marsa oczekuje się  
nadmierzających rzeczy, więc podczas każdego spotkania dokonuję  
kilku cudów. Nic nie poradzę na to, że jestem Człowiekiem z  
Marsa; to mi się po prostu zdarzyło. Wam, jeśli tylko  
zechcecie, mogą się przydarzyć różne cuda, lecz aby osiągnąć  
wyższy stopień wtajemniczenia, musicie wstąpić do kręgu. Spotkam  
się później z tymi, którzy tego pragną. Możecie już wypełniać  
deklaracje."

Patty wyjaśniła mi, o co chodzi. "Ten tłum to zwykli  
gapie, mój drogi. Przyszli tu z ciekawości albo zostali do tego  
namówieni przez tych, którzy dotarli do jednego z wewnętrznych  
kręgów." Musisz wiedzieć, Jubał, że Mike podzielił swój Kościół

na dziewięć kręgów, przy czym każdy kolejny oznacza wyższy stopień wtajemniczenia. Nikt nie wie o tym, że istnieje następny krąg, dopóki do tego nie dojrzeje. "Dla Michaela to żaden problem" - powiedziała mi Patty. "Bada ich i wyszukuje tych, z którymi można wiązać jakieś nadzieje. Dlatego trwa to tak długo. Duke czeka za tą kratą z boku a Mike mówi mu, gdzie siedzą ci, którzy mogą się przydać. Chodzi o to, żeby odrzucić wszystkie nieprzydatne elementy. Potem, kiedy Duke ma już gotowy diagram, Dawn zastępuje Mike'a."

- W jaki sposób to robią? - zapytał Jubal.

- Nie mam pojęcia. Istnieje parę sposobów dzielenia stada owiec, pod warunkiem, że wiadomo, które chce się zostawić, a których nie. Patty uważa, że Mike jest jasnowidzem, a ja nie mam zamiaru temu zaprzeczać. Potem zbierali na tacę. On nawet tego nie robi w tradycyjny sposób - wiesz, łagodna muzyka i pełni godności kościelni. Powiedział, że nikt nie uwierzyłby, że to kościół, gdyby nie było zbierania na tacę. Tyle tylko, że kiedy tace poszły w tłum, j u ż b y ł y wypełnione pieniędzmi, a Mike ogłosił, że tyle zebrano podczas poprzedniego nabożeństwa, więc jeśli ktoś jest głodny, niedawno zbankrutował albo w ogóle potrzebuje trochę szmalu, może sobie wziąć, ile zechce. Gdyby jednak ktoś miał ochotę coś dać, naturalnie może to zrobić. Mają do wyboru - wziąć albo dołożyć. Domyśliłem się, że to jeden ze sposobów, w jaki pozbywa się nadmiaru gotówki.

- Gdyby to odpowiednio rozegrać, większość ludzi zaczęłaby składać znacznie hojniejsze ofiary, a brałoby niewielu i małe sumy... - mruknął Jubal. - Być może nawet b a r d z o niewielu.

- Nie wiem, jak to wyglądało, bo Patty zabrała mnie od razu, jak tylko Mike przekazał pałeczkę Dawn. Zaprowadziła mnie do niewielkiej salki, gdzie akurat zaczynało się nabożeństwo dla siódmego kręgu, czyli dla ludzi, którzy należą do Kościoła od dłuższego czasu i poczynili znaczne postępy. O ile to można nazwać postępem, ma się rozumieć.

Mówię ci, przeskok był niesamowity. Tamto było czymś w rodzaju prelekcji połączonej ze spotkaniem towarzyskim, to przypominało jakiś obrządek voodoo. Mike miał teraz na sobie luźną szatę, wydawał się wyższy, jakby bardziej ascetyczny i skupiony; oczy mu błyszczały. W sali panował półmrok i przygrywała jakaś muzyka, od której dostałem gęsiej skórki, a mimo to z trudem powstrzymałem się, żeby nie zacząć tańczyć. Usiedliśmy z Pat na kanapie bardzo przypominającej łożko. Nie

potrafię ci powiedzieć, o czym było nabożeństwo, bo Mike śpiewał coś po marsjańsku, a oni odpowiadali mu też po marsjańsku, z wyjątkiem okrzyków "Tyś jest Bogiem! Tyś jest Bogiem!", po których następowało jeszcze jakieś marsjańskie słowo, którego nie powtórzę, bo zdarłbym sobie gardło.

Jubal wydał z siebie przeraźliwy skrzek.

- Coś w tym rodzaju?

- Chyba tak... Jubal, czyżby ciebie też skaptowali? Cały czas robisz mnie w balona?

- Nie. Nauczył mnie tego Śmierdziel. Twierdzi, że to jakaś potworna herezja - z jego punktu widzenia, ma się rozumieć. Właśnie to słowo Mike tłumaczy jako "Tyś jest Bogiem", ale Mahmoud uważa, że tego nie można przetłumaczyć, bo to coś w rodzaju deklaracji samoświadomości wszechświata... spowiedzi powszechnej bez odrobiny żalu za grzechy albo kilkudziesięciu innych rzeczy. Śmierdziel nie rozumie tego nawet po marsjańsku, ale wyczuwa, że to jakieś paskudne słowo, jego zdaniem jedno z najgorszych, jakie w ogóle istnieją, znacznie bliższe szatańskiemu przekleństwu niż błogosławieństwu Boga. Mów dalej. Czy to już wszystko? Po prostu gromada fanatyków wrzeszcząca po marsjańsku?

- Hmm... Jubal, oni wcale nie wrzeszczeli i nie wyglądali na fanatyków. Czasem ledwo co szeptali albo mówili niewiele głośniej, tyle że zawsze trzymając się rytmu i powtarzającego się wzoru. Nie odnosiło się jednak wrażenia, że wcześniej to ćwiczyli, tylko że stanowią jeden organizm, dający głosem wyraz swoim uczuciom. Widziałeś, jak fosteryci wprowadzają się w trans...

- Aż zbyt często.

- Tutaj wszystko było znacznie spokojniejsze i łatwiejsze, jakbyś czuwał, a w następnej chwili zapadł w drzemkę. Oczywiście, czuć było w tym narastające napięcie, ale... Jubal, brałeś kiedyś udział w seansie spirytystycznym?

- Owszem. Brałem udział we wszystkim, w czym tylko się dało, Ben.

- W takim razie wiesz, w jaki sposób może narastać napięcie, mimo że nikt się nie porusza ani nic nie mówi. Tamto przypominało nastrojem mszę w kościele, ale wcale nie było niemrawe, tylko naładowane cholerną energią.

- Podsunę ci odpowiednie słowo: apolliński.

- Proszę?

- W przeciwieństwie do dionizyjskiego. Ludzie niesłusznie uważają, że apolliński znaczy tyle samo co

spokojny, łagodny i opanowany, ale w rzeczywistości apolliński i dionizyjski to dwie strony tej samej monety; klęcząca spokojnie w swojej celi zakonnica może znajdować się w znacznie większej ekstazie niż kapłanka Pana płasząca ku czci wiosennego zrównania dnia z nocą. Ekstaza rodzi się w głowie, niekoniecznie w wyniku szaleńczych podskoków. - Harshaw zmarszczył brwi. - Inny błąd polega na utożsamianiu apollińskości z dobrem, co bierze się wyłącznie stąd, że nasze najbardziej poważane sekty mają apolliński rytuał i naukę. To wszystko zwykłe uprzedzenie. Wał dalej.

- Cóż... Nie mogę powiedzieć, żeby ich zachowanie przypominało modlitwę zakonnicy. Łazili po całej sali, zamieniali się miejscami i chyba trochę pieścili - nie wiem, czy robili coś więcej, bo światło było słabe. Jakaś dziewczyna chciała się do nas dosiąść, ale Patty dała jej dyskretny znak, więc tylko pocałowała nas i poszła sobie. - Ben wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Nieźle całowała, bestia. Byłem jedyną osobą nie ubraną w te powłóczyście szaty, więc czułem się trochę nieswojo, ale ona nie zwróciła na to uwagi.

Wszystko odbywało się na luzie, ale z koordynacją jak w balecie. Mike cały czas był w ruchu - to z przodu, to z tyłu, między ludźmi... Przechodząc koło nas uścisnął mnie i pocałował Patty, dość szybko, ale bez pośpiechu. Nic nie mówił. Na podium, na które czasem wchodził, stał jakiś grzmot podobny do dużego odbiornika stereowizji. Robił w nim różne cuda, ale ani razu nie użył tego słowa, przynajmniej po angielsku. Jubal, każdy kościół obiecuje cuda, ale żaden nie dotrzymuje obietnic.

- Z pewnymi wyjątkami - przerwał mu Harshaw. - Na przykład leczący wiarą w Chrystusa i katolicy.

- Katolicy? Masz na myśli Lourdes?

- Mam na myśli cud przeistoczenia.

- Hmm... Szczerze mówiąc, nie znam się na tym. A co do tych leczących wiarą, to gdybym złamał nogę, wolałbym trafić do chirurga.

- W takim razie uważaj, jak chodzisz - warknął Jubal. - Ja nie mam czasu.

- Nie ośmieliłbym się zawracać ci głowy. Zresztą, wolę nie mieć nic do czynienia z lekarzem, który studiował z Williamem Harveyem<sup>13</sup>.

- Harvey sporo potrafił.

- Czy to samo można powiedzieć o jego kolegach ze studiów? Jubal, jeśli nawet przykłady, które przytoczyłeś, można uznać za cuda, to Mike potrafi dokonywać znacznie bardziej

efektownych. Albo jest znakomitym iluzjonistą, albo wspaniałym hipnotyzerem...

- Lub oboma na raz.

- ...albo udoskonalił przekaz stereowizyjny tak, że nie można odróżnić go od rzeczywistości.

- Czy można wiedzieć, na jakiej podstawie wykluczyłeś możliwość, że dokonuje prawdziwych cudów?

- Bo taka teoria zupełnie mi się nie podoba. W każdym razie bez względu na to, jak to osiągnął, przedstawienie było pierwsza klasa. W pewnej chwili zapaliły się reflektory i w ich blasku pojawił się wielki lew z czarną grzywą, siedzący w takiej pozycji, w jakiej siedzą kamienne lwy przed wejściami do bibliotek, otoczony stadem owieczek. Popatrzył na ludzi, zamrugał i ziewnął... Wiem, że w Hollywood znają różne sztuczki, ale ja c z u ł e m zapach lwa. Chociaż to też można sfabrykować.

- Dlaczego upierasz się przy fałszerstwie?

- Do licha! Po prostu staram się patrzeć krytycznie na świat.

- Ale nie przesadzaj z tym krytycyzmem. Bierz przykład z Anne.

- Nie jestem nią i wtedy byłem raczej bezkrytyczny, bo po prostu bardzo mi się to podobało. Potem Mike wyczyniał różne inne hocki-klocki - lewitacja, i tak dalej. Pod koniec Patty zniknęła, ale przedtem szepnęła mi, żebym został. "Mike właśnie powiedział, żeby wszyscy, którzy nie czują się na siłach, by przejść do następnego kręgu, wyszli z sali".

"Może ja też wyjdę?" - zaproponowałem.

"Och, nie, kochanie!" - szepnęła. "Ty należysz już do dziewiątego kręgu. Zostań tutaj. Wkrótce wrócę."

Zdaje się, że nikt nie stchórzył, bo przecież wszyscy byli już w siódmym kręgu i czekali na promocję. Zaraz potem zrobiło się jasno... i zobaczyłem Jill!

Jubał, to nie miało nic wspólnego ze stereowizją.

Zauważyła mnie i uśmiechnęła się do mnie. Wiem, że kiedy aktor patrzy w kamerę, spogląda ci prosto w oczy niezależnie od tego, gdzie siedzisz, ale jeśli Mike'owi to też udało się tak niesamowicie udoskonalić, to powinien zgłosić się do urzędu patentowego. Jill miała na sobie jakiś dziwaczny kostium. Mike zaczął coś nucić, częściowo po angielsku... coś o Matce Wszystkiego, jednoczącej w sobie wszelką różnorodność... potem zaczął wymieniać jej różne imiona i nazwy, a kostium zmieniał się co chwila...

\*

Ben Caxton natychmiast ożywił się, kiedy zobaczył Jill. Nie dał się zwieść odległości ani oświeceniu - nie uległo najmniejszej wątpliwości, że to Jill we własnej osobie! Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Słuchał jednym uchem śpiewnej recytacji myśląc jednocześnie o tym, że musiał pomylić się uważając przedmiot za Człowiekiem z Marsa za wielki odbiornik stereowizji.

- Cybele!

Kostium Jill raptownie zmienił wygląd.

- Izis!

Znowu.

- Frygio!... Ge!... Diable!... Isztar!... Mariam!... Matko Ewo!... Mater Deum Magna!... Kochana i Kochająca!... Życie Nie Przemijające!...

Caxton przestał słuchać. Jill była Matką Ewą, przyodzianą w chwałę. Kiedy rozsunęła się kurtyna światła, zobaczył, że dziewczyna jest w raj, stojąc obok drzewa, wokół którego owinał się ogromny wąż.

Jill uśmiechnęła się, wyciągnęła rękę, pogłaskała węża po głowie, po czym odwróciła się i rozłożyła szeroko ramiona.

Chętni, by wejść do ogrodu, ruszyli w jej kierunku.

Patty podeszła z tyłu do Bena i dotknęła delikatnie jego ramienia.

- Ben... Chodź, kochanie.

Caxton pragnął zostać i upajać się wspaniałą wizją Jill, a potem dołączyć do procesji, lecz mimo to wstał i poszedł za wytatuowaną kobietą. Obejrząwszy się dostrzegł jeszcze Mike'a obejmującego idącą w pierwszym szeregu kobietę, ale nie zdążył

już dostrzec, że po pocałunku Człowieka z Marsa szata kobiety zniknęła bez śladu... podobnie jak strój mężczyzny, którego pocałowała Jill.

- Pójdziemy naokoło, żeby mieli czas wejść do świątyni - wyjaśniła Patty.

- Dokąd właściwie idziemy?

- Najpierw zabrać Pieszczocha, a potem z powrotem do Gniazda. Chyba że chcesz wziąć udział w inicjacji, ale niewiele byś z tego zrozumiał, bo jeszcze nie nauczyłeś się marsjańskiego.

- Właściwie... Chciałbym zobaczyć się z Jill.

- Och. Prosiła, żeby ci przekazać, że wpadnie na górę, jak tylko będzie mogła. Tędy, Ben.

Otworzyły się drzwi i Ben znalazł się w rajskim ogrodzie. Na ich widok wąż podniósł głowę.

- Jak się masz, kochanie! - powiedziała Patrycja. - Byłeś bardzo grzeczny. - Zdjęła boa z drzewa i wepchnęła go do koszyka. - Przyniósł go tu Duke, ale na drzewo musiałam wsadzić go sama. Miałeś szczęście, Ben; przejście z siódmego do ósmego kręgu zdarza się bardzo rzadko.

Podniósłszy koszyk Ben przestał się dziwić metalowym uchwytom; czternastostopowy wąż ma jednak swoją wagę. Kiedy dotarli na najwyższe piętro, Patrycja przystanęła.

- Postaw go na podłodze, Ben. - Zdjęła szatę i wręczyła mu ją, po czym owinęła węża dokoła swego ciała. - To w nagrodę za to, że był taki grzeczny. Bardzo lubi czuć przy sobie mamuszkę. Mam zaraz lekcję, ale zdejmę go dopiero w ostatniej chwili. Nigdy nie należy sprawiać zawodu wężom; są jak dzieci i nie potrafią grokować w całości.

Przeszli pięćdziesiąt jardów dzielące ich od wejścia do właściwego Gniazda. Ben najpierw ściągnął buty, a potem zdjął Patrycji sandały i skarpetki. W środku Pat zaczęła, aż Caxton rozbierze się do szortów - wahał się, czy ich również się nie pozbyć, gdyż nabrał już graniczącego z pewnością przekonania, iż przebywanie w ubraniu w Gnieździe było co najmniej równie niezwykle (i prawdopodobnie tak samo nie przyjęte) jak chodzenie w podkutych buciorach po tanecznym parkiecie. Ostrzeżenie umieszczone na drzwiach wyjściowych, brak okien, przytulność i wygoda Gniazda, nieskrępowanie Patrycji - wszystko to przemawiało za tym, żeby dostosował się do zwyczajów panujących w tym domu.

Miał niejasne podejrzenia, że swobodne zachowanie Patrycji może wynikać z faktu, iż wytatuowane kobiety hołdują dziwnym zwyczajom, jeśli chodzi o stroje, ale w drodze do salonu minęli jakiegoś mężczyznę zmierzającego do łazienek i "gniazdek" - był ubrany tak samo jak Pat, z tą różnicą, że nie miał ani węża, ani choćby jednego obrazka. Pozdrowił ich "Tyś jest Bogiem" i poszedł w swoją stronę. W salonie czekał na nich kolejny dowód: kobiece ciało rozciągnięte na kanapie.

Caxton wiedział, że w wielu rodzinach przyjął się zwyczaj chodzenia nago po domu, a to przecież także była "rodzina", składająca się z samych wodnych braci. Mimo to nie mógł się zdecydować na gest odrzucenia symbolicznego figowego listka, gdyż wiedział, że gdyby nagle do pokoju wszedł ktoś całkowicie



ubrany, on, Ben Caxton, poczułby się strasznie głupio. Do licha, mógłby nawet spiec raka!

\*

- A co ty zrobiłbyś na moim miejscu, Jubal?

Harshaw uniósł brwi.

- Spodziewałeś się, że będę wstrząśnięty? A więc w domu Mike'a obowiązują zwyczaje jak na plaży nudystów... Powinienem wiwatować czy płakać?

- Do diabła, Jubal, łatwo jest udawać olimpijskiego boga, ale tak się jakoś składa, że nigdy nie widziałem, żebyś ściągał majtki przy ludziach!

- I nigdy nie zobaczysz. Domyślam się jednak, że twoje opory nie brały się z nadzwyczajnego poczucia skromności, tylko z obawy o to, że mógłbyś wyjść na durnia. To dosyć dobrze znana neuroza o długiej pseudogreckiej nazwie.

- Bzdura! Po prostu nie byłem pewien, jak należy się zachować.

- Sam opowiadasz bzdury! Doskonale wiedziałeś, jak powinieneś się zachować, ale bałeś się ośmieszyć. Głokuję, że Mike musiał mieć jakiś powód, żeby wprowadzić ten zwyczaj. On nigdy nie robi niczego bez powodu.

- Masz rację. Jill wytłumaczyła mi wszystko.

\*

Ben stał w przedpokoju z rękami na gumce szortów, odwrócony plecami do wejścia do salonu, prawie zdecydowany wykonać decydujący ruch, kiedy nagle poczuł obejmujące go w pasie ramiona.

- Ben, najdroższy! Jakże się cieszę!

Zaraz potem Jill znalazła się w jego objęciach, przyciskając do jego ust swoje, gorące i chciwe... i Ben bardzo się ucieszył, że nie zdążył się zupełnie rozebrać. Jill nie była już Matką Ewą; miała na sobie zwykłą szatę kapłanki. W niczym nie umniejszało to jego radosnej świadomości, że trzyma w objęciach żywą, ciepłą i cudownie ruchliwą dziewczynę.

- Jejku! - westchnęła, przerywając pocałunek. - Strasznie się za tobą stęskniłam, potworze. Tyś jest Bogiem.

- Tyś jest Bogiem - odpowiedział. - Jill, jesteś jeszcze ładniejsza niż przedtem!

Skinęła głową.

- Wiem. To dzięki temu wszystkiemu. Nawet nie masz pojęcia, jak się ucieszyłam, kiedy zobaczyłam cię w finale!

- W finale?

- Jill ma na myśli końcową część nabożeństwa, kiedy jest Matką Wszystkiego, Mater Deum Magna. Dzieciaki, muszę już pędzić.

- Nigdy się nie śpiesz, kochanie.

- Muszę pędzić, żebym nie musiała się śpieszyć. Położę Pieszczocha spać, a zaraz potem mam lekcję, więc lepiej pocałuj już mnie na dobranoc, Ben.

Ben stwierdził, że całuje kobietę owiniętą ogromnym węzem. Udało mu się zignorować gada i potraktować Pat tak, jak na to zasługiwała.

Następnie Patty pocałowała Jill.

- Dobranoc, dzieciaki - powiedziała, po czym odeszła bez pośpiechu.

- Ben, czy ona nie jest cudowna?

- Jest, choć w pierwszej chwili trochę mnie zaskoczyła.

- Głokuję. Patty wszystkich zaskakuje, ponieważ nigdy nie ma żadnych wątpliwości. Zawsze automatycznie robi to, co jest słuszne. Pod tym względem bardzo przypomina Mike'a. Jest najbardziej zaawansowana z nas wszystkich i powinna już zostać najwyższą kapłanką, ale nie zgodziła się na to, bo tatuaże utrudniałyby jej wykonywanie niektórych obowiązków, a ona nie chce się ich pozbyć.

- W jaki sposób można się pozbyć tak rozległego tatuażu? Chyba nie tradycyjną metodą, bo to by ją zabiło.

- Oczywiście, że nie, kochanie. Zająłby się tym Mike - nie zostawiłby najmniejszego śladu i na pewno by jej nie skrzywdził. Ale ona nie myśli o tatuażach jak o swojej własności, tylko uważa się za ich strażniczkę. Siadaj, proszę. Dawn przyniesie nam kolację; muszę coś zjeść teraz, bo potem nie będę miała czasu aż do jutra rana. Opowiedz mi o swoich wrażeniach. Podobno widziałeś ogólnie dostępne nabożeństwo?

- Tak.

- I co?

- Cóż... - odpowiedział ostrożnie Caxton. - Mike mógłby nawet sprzedawać buty węzom.

- Głokuję, że coś cię niepokoi.

- Wcale nie - odparł. - A w każdym razie nic konkretnego.

- Zapytam cię jeszcze raz za tydzień lub dwa. Nie ma pośpiechu.

- Nie zostanę tutaj tak długo.

- Masz w zapasie kilka artykułów?  
- Trzy. Mimo to nie zostanę.  
- Może jednak... Napisałbyś coś o naszym Kościele, a potem zgrokowałbyś, że powinieneś jednak tu być.  
- Wątpię.  
- Po to istnieje czekanie, żeby osiągnąć całość. Czy wiesz, że to w gruncie rzeczy wcale nie jest kościół?  
- Patty wspomniała coś w tym rodzaju.  
- To znaczy, to j e s t kościół pod względem moralnym i prawnym, ale nie religia. My nie staramy się przyprowadzać ludzi do Boga, bo to samo w sobie stanowi przeciwieństwo i nawet nie można tego przetłumaczyć na marsjański. Nie próbujemy ratować dusz, bo duszy nie można stracić. Nie staramy się napełnić ludzi wiarą, gdyż proponujemy im nie wiarę, tylko prawdę, którą każdy z nich może sprawdzić. Prawdę terażniejszą i tutejszą, tak oczywistą jak deska do prasowania i równie pożyteczną jak chleb... Jest tak praktyczna, że może uczynić wojnę, głód, przemoc i nienawiść równie bezużytecznymi jak... jak ubrania w Gnieździe. Ale najpierw wszyscy muszą nauczyć się marsjańskiego. Na tym właśnie polega cały szkopol: trzeba znaleźć ludzi na tyle uczciwych, żeby uwierzyli w to, co widzą i mieli ochotę ciężko pracować - bo to naprawdę jest ciężka praca - a następnie nauczyć ich języka, którego znajomość jest niezbędna dla pełnego zrozumienia. Tej prawdy nie można przekazać po angielsku, tak samo jak nie można opowiedzieć Piątej Symfonii Beethovena. - Uśmiechnęła się. - Ale Mike nigdy się nie śpieszy. Sonduje tysiące chętnych... wychwytuje kilku... bierze nielicznych do Gniazda i zaczyna ich uczyć. Pewnego dnia nauczy nas tyle, że będziemy mogli założyć własne gniazda, a potem to już potoczy się jak śnieżna kula. Ale nie ma pośpiechu. Na razie jeszcze nikt z nas nie potrafi wystarczająco dużo. Prawda, kochanie?

Na dźwięk ostatnich słów Jill Ben podniósł wzrok i ze zdumieniem ujrzał podającą mu tacę kobietę, w której natychmiast rozpoznał drugą kapłankę, Dawn. Jego zaskoczenia wcale nie zmniejszył fakt, że Dawn była ubrana tak samo jak Patrycja, tyle że nie miała tatuaży.

- Oto twoja kolacja, bracie Ben - powiedziała z uśmiechem Dawn. - Tyś jest Bogiem.

- Eee... Tyś jest Bogiem. Dziękuję.

Pocałowała go, podała talerz Jill, wzięła swój, usiadła po prawej stronie Bena i zaczęła jeść. Caxton żałował, że nie zajęła miejsca tam, gdzie mógłby ją lepiej widzieć; dziewczyna

dysponowała wzorcowym zestawem atrybutów przypisywanych zwykle boginiom.

- Rzeczywiście - zgodziła się Dawn. - Jeszcze nie, Jill.

Ale czekanie się wypełni.

- Ja na przykład musiałam zrobić sobie przerwę, żeby coś zjeść - ciągnęła Jill - ale Mike jadł ostatnio przedwczoraj i zje dopiero, kiedy nikt go nie będzie już potrzebował. Napcha się wtedy jak prosię. Poza tym, Dawn i ja szybko się męczymy.

- Oczywiście. Ale na razie nie jestem zmęczona, Gillian. Pozwól mi poprowadzić to nabożeństwo, a ty zostań z Benem. Podaj mi szatę.

- Poprzestawiało ci się w twojej ślicznej główce, kochanie. Ben, ona jest na nogach prawie tak długo jak Mike. Możemy to wytrzymać, ale musimy jeść, kiedy poczujemy głód, a czasem potrzebujemy trochę snu. A skoro mowa o szatach: to była ostatnia w Siódmej Świątyni. Muszę poprosić Patty, żeby zamówiła trochę nowych.

- Już to zrobiła.

- Powinam była się domyśleć. Ta wydaje mi się trochę przyciasna. - Jill poruszyła się w sposób, który mocno zaniepokoił Bena. - Czyżbyśmy przybrały na wadze?

- Troszeczkę.

- To dobrze, bo byliśmy już stanowczo zbyt kościste. Ben, czy zauważyłeś, że Dawn i ja mamy taką samą figurę? Wzrost, biust, talia, biodra, ciężar - wszystko, łącznie z kolorem włosów. Kiedy się spotkałyśmy po raz pierwszy, byliśmy prawie jednakowe, a potem, z pomocą Mike'a, zupełnie się upodobniłyśmy. Nawet rysy twarzy mamy niemal identyczne - to dlatego, że robimy to samo i podobnie myślimy. Wstań, kochanie, niech Ben na nas popatrzy.

Dawn odstawiła talerz, podniosła się i znieruchomiała w identycznej pozie, jaką przybrała Jill, kiedy była Matką Ewą.

- Widzisz? - zapytała Jill z pełnymi ustami. - Jest taka sama.

- Są jednak drobne różnice, Gillian - poprawiła ją Dawn.

- Eeee tam. Czasem żałuję, że nie mamy identycznych twarzy. Muszą być dwie kapłanki, bo jedna nie dałaby sobie rady. Poza tym, kiedy Dawn kupuje sukienkę, wiem, że będzie dobra i na mnie. Dzięki temu nie muszę chodzić na zakupy.

- Nie wiedziałem, że nosicie jakieś ubrania - powiedział ostrożnie Ben. - Oprócz tych szat, ma się rozumieć.

Jill spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- A jak miałybyśmy chodzić na tańce? W t y m ? To nasz ulubiony sposób, żeby nie marnować czasu na sen. Siadaj, kochanie, i dokończ kolację; Ben już się chyba napatrzył do syta. Musisz wiedzieć, Ben, że w tej zaawansowanej grupie jest człowiek potrafiący wręcz obłądnie tańczyć, a w tym mieście aż roi się od nocnych klubów. Dawn i ja przebalowałyśmy z nim tyle nocy, że potem zasypiał na lekcjach języka. Ale nic mu nie będzie; po wejściu do ósmego kręgu nie potrzebuje się już zbyt wiele snu. Dlaczego myślałeś, że nigdy się nie ubieramy?

- Eee... - wymamrotał niepewnie Ben.

Jill spojrzała na niego rozszerzonymi ze zdziwienia oczami, zachichotała, lecz natychmiast spoważniała.

- Rozumiem. Kochanie, mam na sobie tę szatę dlatego, że muszę zaraz uciekać. Gdybym wiedziała, że o to ci chodzi, ściągnęłabym ją przed przyjściem tutaj. Tak się tu już przyzwyczailiśmy do tego, że albo się coś nosi, albo nie, że zupełnie zapomniałam o uprzejmości. Kochanie, możesz zostać w szortach albo je zdjąć - jak ci wygodniej.

- Hmm...

- Tylko się nie przejmuj. - Zachichotała ponownie. - Przypomniałam sobie, jak Mike po raz pierwszy poszedł na plażę. Pamiętasz, Dawn?

- Nigdy tego nie zapomnę!

- Sam wiesz, Ben, jaki on jest. Musiałam uczyć go wszystkiego. Nie widział żadnego sensu w noszeniu ubrań, dopóki nie zgrokował - zresztą z ogromnym zdziwieniem - że nie jesteśmy niewrażliwi na warunki pogodowe. Pojęcie skromności nie istnieje na Marsie, bo nie może istnieć. Mike dopiero wtedy zgrokował, że ubranie stanowi także ozdobę, kiedy zaczęliśmy projektować kostiumy do naszych występów w lunaparku.

Co prawda, zawsze robił, co mu mówiłam, bez względu na to, czy to grokował, czy nie, ale nawet nie masz pojęcia, ile rzeczy składa się na to, żeby zrobić z każdego z nas człowieka. My poznajemy je przez co najmniej dwadzieścia lat, Mike musiał się wszystkiego nauczyć niemal z dnia na dzień. Wciąż jeszcze ma spore luki. Robi czasem coś, czego nie zrobiłby żaden człowiek. Wszyscy wciąż go uczymy - wszyscy z wyjątkiem Patty, która święcie wierzy w jego nieomylną. W dalszym ciągu stara się zgrokować ubranie. Uważa je za coś niewłaściwego, co rozdziela ludzi, przeszkadzając im kochać się i zbliżać bez przeszkód do siebie. Ostatnio zgrokował, że czasem jest potrzebna jakaś bariera, żeby odgrodzić się od obcych, ale

przez dłuższy okres ubierał się tylko wtedy, kiedy mu to wyraźnie poleciłam.

A pewnego dnia zapomniałam to zrobić.

Byliśmy wtedy w Baja California, kiedy spotkaliśmy - czy raczej: ponownie spotkaliśmy - Dawn. Zatrzymaliśmy się w hotelu stojącym nad samą plażą, a Mike tak bardzo chciał zgrokować ocean, że nie obudził mnie rano, tylko wstał po cichutku i sam poszedł na swoje pierwsze spotkanie z morzem.

Biedny Mike! Zszedł na plażę, zrzucił szlafrok i ruszył ku wodzie, wyglądając jak grecki bóg i równie mało robiąc sobie z przyjętych zwyczajów. Kiedy wybuchło zamieszanie, ledwo zdążyłam przybiec z pokoju i uchronić go przed aresztowaniem. - Twarz Jill przybrała nieobecny wyraz. - Wzywa mnie już. Pocałuj mnie na dobranoc, Ben. Zobaczymy się rano.

- Nie będzie cię całą noc?

- Chyba tak. To dosyć liczna grupa.

Wstała, pomogła mu podnieść się na nogi i przytuliła się do niego.

- Kochanie... - wymamrotała po pewnym czasie. - Zdaje się, że brałeś u kogoś lekcje. O, jejku!

- Ja? Dochowałem ci wierności... na mój sposób.

- Czyli tak samo, jak ja tobie. Nie mam do ciebie pretensji, tylko wydaje mi się, że rozpoznaję szkołę Dorcas.

- Być może. Jesteś strasznie ciekawska.

- Pocałuj mnie jeszcze raz, lekcja może poczekać. Spróbuję zamienić się w Dorcas.

- Lepiej bądź sobą.

- I tak bym nią była. Sobą, znaczy się. Mike twierdzi, że Dorcas całuje lepiej niż ktokolwiek. Jak on to mówi: "bardziej grokuje pocałunek".

- Przestań szczebiotać.

Przestała, a po dłuższej chwili ponownie westchnęła.

- Uczniowie czekają... Idę do nich, świecąc jak świętojański robaczek. Zaopiekuj się nim, Dawn.

- Dobrze.

- Pocałuj go, to przekonasz się, co miałam na myśli!

- Mam taki zamiar.

- Ben, bądź grzecznym chłopcem i rób wszystko, co ona ci każe.

Jill wybiegła z pokoju.

Dorcas podeszła do niego z wyciągniętymi ramionami.

Jubał uniósł jedną brew.

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że stchórzyłeś w t a k i m momencie?

- Nie miałem wyboru. Postanowiłem... eee... "poddąć się temu, czego i tak nie dałoby się uniknąć".

Jubał skinął głową.

- Znalazłeś się w pułapce. Jedyne, co można zrobić w takiej sytuacji, to starać się wynegocjować jak najkorzystniejsze warunki pokoju.

## Rozdział XXXII

- Nie powiedziałbym ani słowa o Dawn... ani o tym, co się stało... gdyby nie to, że chcę ci wyjaśnić, dlaczego się o nich niepokoję. O wszystkich: Duke'a, Mike'a, Dawn, Jill i o inne ofiary Mike'a. On ich zafascynował. Jego nowa osobowość jest nieprawdopodobnie silna. Może trochę napuszona i za bardzo na pokaz, ale szalenie kusząca. Dawn też jest pociągająca, ale na swój sposób; do rana udało się jej prawie mnie przekonać, że wszystko jest w porządku. Może trochę dziwaczne, ale w porządku...

\*

Ben Caxton obudził się nie wiedząc, gdzie jest. Dokoła było ciemno, a on leżał na czymś miękkim... Na pewno nie na łóżku.

Nagle powróciły wspomnienia; w ostatnim z nich leżał na miękkiej podłodze środkowej świątyni, szepcząc coś do ucha Dawn. Zaprowadziła go tam, zanurzyli się w wodzie, dzielili się nią, zbliżali...

Rozpaczliwie wyciągnął przed siebie ręce, ale natrafił tylko na powietrze.

Ciemność zamieniła się w półmrok.

- Jestem tutaj, Ben.

- Och! Już myślałem, że sobie poszłaś...

- Nie chciałam cię obudzić. - Stwierdził z rozczarowaniem, że dziewczyna ma na sobie kapłańską szatę. - Muszę rozpocząć ogólnodostępne nabożeństwo dla witających wschodzące Słońce. Gillian jeszcze nie wróciła. Jak wiesz, miała liczną grupę.

Jej słowa przypomniały mu wszystko, co od niej usłyszał, a co bardzo go zaniepokoiło, mimo jej spokojnych wyjaśnień. W końcu jednak udało się jej go przekonać. Co prawda nadal nie grokował tego w całości. Jill jako kapłanka była zajęta ważnymi obrzędami stanowiącymi może ciężki, lecz zarazem radosny obowiązek. Dawn zaproponowała jej, że ją zastąpi... Benowi wydawało się, iż powinien być zawiedziony, że Jill odmówiła.

Ale nie był.

- Dawn... Czy naprawdę m u s i s z już iść?

Wstał i zamknął ją w uścisku.

- Muszę, kochany... najdroższy...

Przywarła do niego całym ciałem.

- Akurat teraz?

- Nigdy nie ma aż takiego pośpiechu - odparła łagodnie.

Szata przestała ich rodziłać, lecz Ben był zbyt otumaniony, żeby się zastanawiać, co się z nią stało.

Obudziwszy się po raz wtóry stwierdził, że wystarczy wstać, aby w "gniazdku" od razu zrobiło się jasno. Przeciągnął się, skonstatował, że czuje się wyśmienicie i rozejrzał w poszukiwaniu szortów. Usiłował sobie przypomnieć, gdzie je położył, choć nie pamiętał, żeby je w ogóle zdejmował. Ale na pewno nie wszedł w nich do wody... więc pewnie leżą gdzieś przy basenie. Ruszył przed siebie i znalazł się w łazience.

Kilka minut później, ogolony, wykąpany i odświeżony, zajrzał do środkowej świątyni, lecz nie dostrzegłszy nigdzie szortów doszedł do wniosku, że pewnie ktoś wyniósł je do przedpokoju, gdzie wszyscy trzymali wyjściowe ubrania. Machnął z rezygnacją ręką i uśmiechnął się z politowaniem na myśl o tym, że jeszcze niedawno za nic nie chciał się z nimi rozstać. Tutaj, w Gnieździe, były mu równie przydatne jak druga głowa.

Nie czuł ani śladu kaca, choć przecież wypił z Dawn znacznie więcej niż kilka drinków. Na dziewczynę alkohol zdawał się nie mieć żadnego wpływu, co tłumaczyło, dlaczego on sam tak znacznie przekroczył swoją normę. Dawn... Cóż to za dziewczyna! Nie obraziła się nawet wtedy, kiedy w chwili największego uniesienia powiedział do niej "Jill"; mało tego, wydawała się wręcz zadowolona.

Ben nie zastał nikogo także w dużym pokoju, co kazało mu się zastanowić, która właściwie może być godzina. Obchodziło go to tylko o tyle, że był bardzo głodny. Poszedł do kuchni, aby przekonać się, czy nie uda mu się czegoś wyszperać.

Zastał tam jakiegoś mężczyznę, który odwrócił się do



niego, słysząc odgłos jego kroków.

- Ben!

- No, proszę! Cześć, Duke!

Duke uściskał go serdecznie.

- Do licha, miło cię znowu widzieć. Tyś jest Bogiem, Ben.

Masz ochotę na jajecznicę?

- Tyś jest Bogiem. Robisz tu za kucharza?

- Tylko wtedy, kiedy muszę. Zwykle zajmuje się tym Tony, choć wszyscy trochę mu pomagamy. Nawet Mike, jeśli uda mu się zmylić czujność Tony'ego. Mike jest najgorszym kucharzem na świecie.

Duke zajął się rozbijaniem jajek.

- Przydałoby się parę tostów i kawa. Masz sos Worcestershire?

- Pat ma wszystko, co tylko zechcesz. Tutaj - wskazał mu miejsce ruchem głowy, po czym dodał: - Zajrzałem do ciebie parę minut temu, ale chrapałeś w najlepsze. Wygląda na to, że obaj byliśmy zajęci, skoro dopiero teraz się spotkaliśmy.

- Czym się zajmujesz, Duke?

- Jestem diakonem, a pewnego dnia zostanę wyświęcony na kapłana. Nauka idzie mi dość opornie, choć to nie ma większego znaczenia. Uczę się marsjańskiego, tak jak wszyscy, a oprócz tego jestem złotą rączką, jak u Jubala.

- Trzeba chyba mnóstwa ludzi, żeby utrzymać wszystko na chodzie?

- Zdziwiłbyś się, jak niewiele. Musisz zobaczyć niepowtarzalny sposób, w jaki Mike radzi sobie z zatkaną toaletą; prawie nie muszę bawić się w hydraulika. Dziewięć dziesiątych wszystkich urządzeń mechanicznych znajduje się tu, w kuchni, a sam widzisz, że jest znacznie mniej zmechanizowana niż u Jubala.

- Myślałem, że macie jakieś skomplikowane maszyny w świątyniach...

- Tylko do sterowania światłami. - Duke uśmiechnął się. - W gruncie rzeczy moje główne zajęcie polega na tym, żeby nic nie robić. Jestem też inspektorem pożarnictwa.

- Proszę?

- Dyplomowanym inspektorem pożarnictwa, a także od bezpieczeństwa i higieny pracy. Nie wpuszczamy tu żadnych obcych. Mogą uczęszczać na ogólnodostępne nabożeństwa, ale tutaj nikt nie wejdzie, chyba że uzyska osobistą zgodę Mike'a.

Przełożyli jedzenie na talerze i usiedli do stołu.

- Zostajesz u nas, Ben?

- Nie mogę, Duke.

- I co z tego? Ja też przyjechałem tylko z krótką wizytą, a potem wróciłem i objąłem się o ściany przez cały miesiąc, zanim wreszcie powiedziałem Jubalowi, że odchodzę. Nie przejmuj się, na pewno wrócisz do nas. W każdym razie nie podejmuj żadnej decyzji przed wieczornym dzieleniem się wodą.

- Dzielenie się wodą?

- Dawn nic ci nie powiedziała?

- Eee... Nie wydaje mi się.

- Właściwie powinien ci to wytłumaczyć Mike. Albo nie, przecież i tak wszyscy będą o tym mówić przez cały dzień. Grokujesz dzielenie się wodą, bo należysz do pierwszych powołanych.

- Do pierwszych powołanych? Dawn też użyła tego określenia.

- To wszyscy, którzy zostali wodnymi braćmi Mike'a nie znając marsjańskiego. Inni dostępują tego zaszczytu dopiero wtedy, kiedy dotrą do ósmego kręgu. Wtedy zaczynają już trochę myśleć po marsjańsku, a niektórzy mówią nawet lepiej ode mnie. Oczywiście nie jest zabronione dzielenie się wodą z kimś, kto nie należy do ósmego kręgu - w ogóle nic nie jest zabronione. Do diabła, mógłbym nawet poderwać w barze jakąś cizję, zaofiarować jej wodę, wziąć ją do łóżka, a potem przyprowadzić do świątyni, ale nie zrobię tego. Na tym właśnie to polega: nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. Ben, usłyszysz teraz ode mnie stuprocentowo pewną przepowiednię: na pewno spałeś z różnymi atrakcyjnymi laseczkami...

- No... owszem.

- Doskonale wiem, że tak było. Ale od tej pory nigdy nie pójdziesz do łóżka z żadną, która nie będzie twoim wodnym bratem.

- Hmm...

- Powiesz mi za rok, czy miałem rację. Naturalnie Mike może dojść do wniosku, że ktoś jest gotów, jeszcze zanim dotrze nawet do siódmego kręgu. Jakiś czas temu zaofiarował wodę małżeństwu, które było dopiero w trzecim kręgu, a teraz on jest już kapłanem, a ona kapłanką. Nazywają się Sam i Ruth.

- Nie znam ich.

- Wkrótce poznasz. Ale tylko Mike może być pewien tak wcześnie. Czasem Dawn albo Pat wyłowią jakiegoś kandydata, ale nigdy już w trzecim kręgu, a i to zawsze pytają Mike'a o zdanie, choć wcale nie muszą tego robić. W każdym razie prawdziwe dzielenie się wodą i zbliżanie zaczyna się dopiero w ósmym.

Potem jest jeszcze dziewiąty krąg i samo Gniazdo - właśnie wtedy odbywa się uroczystość, którą nazywamy dzieleniem się wodą, choć dzielimy się nią prawie bez przerwy. Zjawiają się wszyscy mieszkańcy Gniazda i nowy brat staje się na zawsze jego częścią. Ty już nią jesteś, ale jeszcze nie odbyło się to oficjalnie, więc dzisiaj odwołaliśmy wszystkie inne zajęcia, żeby cię godnie powitać. Ze mną było to samo. Ben, to najwspanialsze uczucie na świecie!

- Ale ja nadal nie wiem, na czym właściwie ma polegać ta uroczystość.

- Hmm... Trudno to opisać w jednym zdaniu. Byłeś kiedyś na prawdziwym hawajskim święcie, takim, na którym zwykle zjawia się policja, a potem zawsze dochodzi do paru rozwodów?

- No... tak.

- Bracie, to byłeś tylko na szkolnej wycieczce dla grzecznych dzieci! To jeden aspekt. Byłeś żonaty?

- Nie.

- Więc dowiedz się, że j e s t e ś żonaty. Po dzisiejszym wieczorze nie będziesz miał co do tego żadnych wątpliwości. - Na twarzy Duke'a pojawił się wyraz łagodnej melancholii. - Ben, ja kiedyś miałem żonę... Na początku było przyjemnie, a potem czułem się tak, jakbym wpadł do piekła. Tym razem bardzo mi się podoba. Do licha, uwielbiam to! Nie tylko dlatego, że to wspaniale móc codziennie figlować z masą uroczych dziewczynek, ale dlatego, że ja ich wszystkich kocham - wszystkich braci, bez względu na płeć. Weź na przykład Patty: ona jest dla nas jak matka. Przypomina trochę Jubalę... Właśnie! Byłoby dobrze, gdyby ten stary łobuz wreszcie się tutaj zjawił. Wracając do Pat: chodzi nie tylko o to, że jest kobietą. Hm, zdaje się, że kręcę się w kółko...

- Za czym, jeśli można wiedzieć? - przerwał mu niski kobiecy głos.

Duke odwrócił się raptownie.

- Na pewno nie za tobą, gibka ladacznico z Lewantu! Chodź tutaj, ślicznotko, i pocałuj swojego brata Bena.

- Nigdy w życiu nie brałam za to pieniędzy - odparła kobieta, sunąc w ich stronę. - Zaczęłam rozdawać całusy, zanim powiedziano mi, że można na tym zarobić. - Złożyła na ustach Bena długi, rzetelny pocałunek. - Tyś jest Bogiem, bracie.

- Tyś jest Bogiem. Ofiarowuję ci wodę.

- Obyś nigdy nie był spragniony. Nie zwracaj uwagi na Duke'a; sądząc po tym, jak się zachowuje, w dzieciństwie był

karmiony wyłącznie z butelki.

Pocałowała Duke'a jeszcze mocniej niż Bena, a on poklepał jej szeroki fundament. Była niedużą, pulchną brunetką o grzywie kruczoczarnych włosów sięgających niemal do pasa.

- Duke, widziałeś dzisiejszy numer "Ladies' Home Journal"?

- Zabrała mu widelec i zaczęła pałaszować jego jajecznicę. - Mmm... Niezłe. Na pewno nie ty to zrobiłaś.

- Zgadza się, to Ben. Na co mi "Ladies' Home Journal"?

- Ben, rozmieszaj jeszcze parę tuzinów jaj, a ja będę je kolejno smażyć. Jest tam artykuł, który chcę pokazać Patty, kochanie.

- Proszę bardzo - zgodził się Ben.

- Nie życzę sobie żadnego przemeblowywania! I zostaw mi coś do jedzenia! Myślisz, że my mężczyźni możemy odżywiać się owsianką?

- Ciii, najdroższy. Woda podzielona to woda pomnożona.

Ben, te jego narzekania nie mają żadnego znaczenia, pod warunkiem, że ma w zasięgu ręki tyle kobiet, ile starczyłoby dla dwóch chłopów i jedzenia dla trzech. - Wepchnęła Duke'owi do ust widelec z jajecznicą. - Przestań się krzywić, bracie. Zaraz zrobię ci drugie śniadanie. A może to będzie już trzecie?

- Nawet nie pierwsze, bo ty je zjadłaś. Ruth, właśnie opowiedziałem Benowi, jak z Samem wskoczyliście o tyczce od razu do dziewiątego kręgu. Trochę go niepokoi dzisiejsze dzielenie się wodą.

Ruth sprzątnęła ostatni kęs z talerza Duke'a, wstała i zaczęła się krzątać po kuchni.

- Nie dostaniesz nawet owsianki. Bierz swoją kawę i zmykaj. Ben, ja też się bałam, ale zupełnie bez powodu. Michael nie popełnia błędów. Albo należysz do nas, albo nie. Masz zamiar zostać?

- Nie mogę. Możesz przyjąć pierwszą porcję?

- Wlej je tutaj. Wrócisz, Ben, a pewnego dnia zostaniesz na zawsze. Duke ma rację - Sam i ja wskoczyliśmy o tyczce. Chyba zbyt szybko jak dla pedantycznej, porządnej pani domu w średnim wieku.

- W średnim wieku?

- Jedno z dobrodziejstw samodyscypliny polega na tym, że nie tylko gimnastykuje ci duszę, ale i ciało. Pod tym względem leczący wiarą mają całkowitą rację. Widziałeś w łazience jakieś fiołki z lekarstwami?

- Nie.

- Bo żadnych tam nie ma. Ile osób cię całowało?

- Kilka.

- Jako kapłanka całuję dziennie znacznie więcej niż kilka osób, a mimo to w Gnieździe nawet kichnięcie należy do rzadkości. Dawniej byłam jedną z wiecznie jęczących kobiet, które nigdy nie czują się zupełnie dobrze i uwielbiają babskie narzekania. - Uśmiechnęła się. - Teraz jestem kobietą bardziej niż kiedykolwiek, ale ważę o dwadzieścia funtów mniej, czuję się o tyle samo lat młodziej i nie mam najmniejszych powodów do narzekań, bo wprost u w i e l b i a m być kobietą. Duke skomplementował mnie nazywając ladacznicą z Lewantu, ale ja jestem jeszcze zgrabniejsza niż one, a podczas zajęć z uczniami siedzę cały czas w pozycji lotosu, podczas gdy jeszcze nie tak dawno z trudem potrafiłam się schylić.

To rzeczywiście stało się bardzo szybko - ciągnęła Ruth. - Sam był profesorem orientalistyki i zaczął tu przychodzić wyłącznie po to, żeby nauczyć się marsjańskiego. W ogóle nie interesował go sam kościół. Towarzyszyłam mu, bo chciałam mieć go ciągle na oku. Byłam wtedy szalenie zazdrosna, znacznie bardziej zaborcza, niż to się zwykle zdarza.

Dobrnęliśmy jakoś do trzeciego kręgu; Sam uczył się bardzo szybko, a ja z potwornym mozołem, żeby nie tracić go ani na chwilę z pola widzenia. A potem łup! - stał się cud. Zaczęliśmy trochę m y ś l e ć po marsjańsku... Michael wyczuł to i któregoś wieczoru kazał nam zostać po nabożeństwie... i wraz z Gillian podzielili się z nami wodą. Zdawałam sobie sprawę, że upodobałam się do tych kobiet, którymi zawsze najbardziej pogardzałam; nienawidziłam mego męża za to, że do tego dopuścił i za to, co sam zrobił. Oczywiście, wszystko myślałam i mówiłam po angielsku, a najgorsze wyzwiska po hebrajsku - jęczałam, płakałam, nie dawałam Samowi spokoju... a jednocześnie nie mogłam się doczekać ponownego dzielenia się wodą i zbliżania.

Potem było już nieco łatwiej, kiedy przechodziliśmy błyskawicznie przez kolejne kręgi, co wcale nie znaczy, że nie mieliśmy żadnych problemów. Michael wiedział o tym, że potrzebujemy pomocy i starał się jak najszybciej zapewnić nam bezpieczeństwo w Gnieździe. Kiedy nadszedł czas dzielenia się wodą, wciąż jeszcze nie potrafiłam samodzielnie narzucić sobie pełnej samodyscypliny. Pragnęłam znaleźć się w Gnieździe, ale nie byłam pewna, czy potrafię połączyć się z siedmiorgiem obcych ludzi. Okropnie się bałam; do ostatniej chwili błagałam Sama, żebyśmy wrócili do domu. - Umilkła na chwilę i spojrzała na nich ze spokojnym uśmiechem, przypominając pulchnego aniołka z dużą łyżką w ręce. - Kiedy weszliśmy do środkowej świątyni,

oświetlił nas blask reflektora, nasze ubrania zniknęły... i zobaczyliśmy ich w basenie, wołających do nas po marsjańsku, żebyśmy przyłączyli się do nich, aby dzielić się wodą życia. Posłuchałam, zanurzyłam się i trwam tak do tej pory!

I nie mam najmniejszego zamiaru się wynurzać. Nie obawiaj się, Ben: nauczysz się języka i samodyscypliny, w każdej chwili mogąc liczyć na przyjazną pomoc. Dziś wieczorem skacz śmiało do basenu - wyciągnę ręce, żeby cię złapać. Wszyscy to zrobimy, żeby powitać cię w domu... Dobra, zanieś to Duke'owi i przekaz mu ode mnie, że jest uroczą świnią. A to dla ciebie; na pewno dasz radę tyle zjeść. Teraz daj mi buziaka i zmykaj, bo Ruthie ma jeszcze dużo pracy.

Ben posłusznie wykonał wszystkie trzy polecenia, dając całusa, a następnie dostarczając Duke'owi talerz i wiadomość. Na jednej z kanap znalazł pogrążoną we śnie Jill; usiadł naprzeciwko niej, rozkoszując się uroczym widokiem. Dopiero teraz zwrócił uwagę, iż Dawn i Jill były do siebie podobne bardziej, niż mu się wydawało. Jill miała skórę równie gładką i w tym samym odcieniu co Ardent, takie same kształty, a nawet zbliżone rysy twarzy.

Zajął się swoim talerzem, a kiedy po pewnym czasie znowu podniósł wzrok, dostrzegł, że dziewczyna otworzyła oczy i uśmiecha się do niego.

- Tyś jest Bogiem, najdroższy. Bardzo ładnie pachnie.

- Ślicznie wyglądasz. Nie chciałem cię obudzić. - Usiadł przy niej i podał jej kęs. - Sam smażyłem, z niewielką pomocą Ruth.

- Całkiem niezłe. Nie obudziłeś mnie, bo tylko leżałam z zamkniętymi oczami. Wcale nie spałam w nocy.

- Ani trochę?

- Ani odrobinę. Ale mimo to czuję się świetnie, tyle tylko, że jestem głodna.

Nakarmił ją, a ona pozwoliła mu na to, nie wykonując najmniejszego ruchu.

- A ty spałeś? - zapytała po jakimś czasie.

- Trochę.

- Nie wiesz, czy Dawn zdrzemnęła się chociaż dwie godziny?

- Chyba nawet więcej.

- To jej w zupełności wystarczy. Dwie godziny snu oznaczają teraz dla nas tyle samo, co kiedyś osiem. Wiedziałam, że was dwoje czeka słodka noc, ale obawiałam się, że Dawn nie zdąży wypocząć.

- Rzeczywiście było wspaniale - przyznał Ben - choć

trochę... eee... zdziwiło mnie, że tak wepchnęłaś mi ją w ramiona.

- Zaszokowany, chciałeś powiedzieć. Znam cię, Ben. Kusiło mnie, żeby zostać z tobą na noc. Marzyłam o tym, mój kochany! Ale zjawileś się tu ociekając zazdrością... Mam nadzieję, że teraz nie zostało z niej już ani śladu?

- Chyba nie.

- Tyś jest Bogiem. Ja także bardzo miło spędziłam tę noc: zupełnie beztrąsko, wiedząc, że jesteś w dobrych rękach. W najlepszych rękach, znacznie lepszych od moich.

- No wiesz, Jill!

- Głęboko, że zostało jeszcze kilka płamek zazdrości, ale zaraz się ich pozbędziemy. - Usiadła, dotknęła jego policzka i dodała poważnie: - Jeszcze przed wieczorem, mój drogi. Zależy mi na tym, żeby twoje dzielenie się wodą było najdoskonalsze ze wszystkich, jakie odbyły się do tej pory.

- Hmm... - mruknął Ben, nie wiedząc, co właściwie powinien odpowiedzieć.

- Po to jest czekanie - odparła, wyciągając przed siebie rękę. Caxton odniósł wrażenie, że paczka papierosów zmaterializowała się w niej z powietrza.

- Widzę, że ty też nauczyłaś się paru sztuczek - powiedział szczęśliwy, że może zmienić temat.

Jill uśmiechnęła się.

- To nic wielkiego. Żeby zacytować mojego nauczyciela: "jestem tylko jajkiem".

- Jak to zrobiłaś?

- Po prostu zagwizdałam po marsjańsku. Najpierw trzeba zgrokować jakąś rzecz, a potem to, co chcesz z nią zrobić... Mike! - Zamachała ręką. - Jesteśmy tutaj, kochanie!

- Już idę. - Człowiek z Marsa podszedł do Bena, wziął go za ramiona i podniósł z kanapy. - Niechże ci się przyjrzę, Ben! Wspaniale znowu cię widzieć!

- Ja też się cieszę, że cię widzę. I że tutaj jestem.

- Co to za bzdura z jakimiś trzema dniami?

- Mam obowiązki, Mike.

- Zobaczymy. Dziewczęta są strasznie podekscytowane twoim dzisiejszym powitaniem. Równie dobrze mogę zamknąć cały interes, bo i tak nie będę miał z nich żadnego pożytku.

- Patty zmieniła rozkład zajęć - poinformowała go Jill. - Dawn, Ruth i Sam zajmą się wszystkim, co trzeba. Patty odwołała wieczorny seans, więc dzisiaj nie masz już nic więcej do roboty.

- Znakomita wiadomość!

Mike usiadł na kanapie, przytulił głowę Jill, pociągnął w dół Bena, objął go ramieniem i westchnął. Był ubrany w strój, w jakim Caxton widział go podczas ogólnodostępnego nabożeństwa, to znaczy w jasny letni garnitur. - Ben, nigdy nie bierz się za kaznodziejstwo. Przez całą dobę biegam z miejsca na miejsce pouczając ludzi, żeby nigdy nigdzie się nie śpieszyli. Nikomu na tej planecie nie zawdzięczam tyle co Jill, Jubalowi i tobie, a mimo to dopiero teraz mam czas, żeby się przywitać. Jak się miewasz? Wyglądasz całkiem nieźle. Dawn powiedziała mi, że j e s t e ś nieźły.

Ben zarumienił się po uszy.

- Dziękuję, wszystko w porządku.

- To dobrze, bo dziś wieczorem mięsożercy wychodzą na łów. Będę grokował cię blisko i służył ci pomocą. Pod koniec poczujesz się lepiej niż na początku - prawda, Mały Braciszku?

Jill skinęła głową.

- Tak. Ben, Mike może użyć ci siły - prawdziwej siły, nie tylko moralnego wsparcia. Ja potrafię to tylko trochę, ale dla niego to żaden problem.

- Jill umie to zrobić prawie tak dobrze jak ja - powiedział Mike, głaszcząc ją po głowie. - Mały Braciszek stanowi dla wszystkich ostoję prawdziwej siły. Udowodniła to ostatniej nocy.

Uśmiechnął się do niej i zanucił:

*Nigdy nie spotkasz drugiej takiej jak Jill.  
Jest tylko jedna na milion.  
Ze wszystkich dziewcząt na świecie tym  
Najbardziej chętna jest nasza Gillian.*

- Czyż nie tak, Mały Braciszku?

- Ba! - odparła z wyraźnym zadowoleniem Jill, przyciskając swoją dłoń do jego ręki. - Dawn jest taka sama jak ja i przynajmniej równie chętna.

- Ale Dawn jest teraz na dole, zajęta wyszukiwaniem osób rokujących nadzieje na przyszłość, a ty tutaj, przy mnie. To chyba zasadnicza różnica, prawda, Ben?

- Chyba tak.

Pomimo swobodnej atmosfery panującej w Gnieździe Caxton czuł się coraz bardziej zażenowany ich zachowaniem. Miał nadzieję, że albo przestaną się pieścić, albo pozwolą mu odejść.



Tymczasem Mike nadal głaskał Jill, obejmując jednocześnie ramieniem Bena... który stwierdził, że dziewczyna poddaje się pieszczotom z coraz większym zapałem.

- Po takiej nocy jak ostatnia, kiedy pomagam dość licznej grupie przejść do ósmego kręgu, jestem w wyjątkowo dobrym nastroju - powiedział poważnie Mike. - Pozwól, że powiem ci coś, o czym zwykle opowiadam podczas zajęć w szóstym kręgu. My, ludzie, posiadamy coś, o czym moi poprzedni pobratymcy nawet nie mogą marzyć. Mówię o błogosławieństwie, jakim jest bycie kobietą i mężczyzną. I stworzył ich mężczyzną i niewiastą... - największym bogactwem, jakie wymyśliliśmy My, Którzy Jesteśmy Bogiem. Jill? Słuchajcie, czy jest ktoś w kuchni? Właśnie przypomniałem sobie, że nic nie jadłem od paru dni, a kto wie, czy nie od paru lat!

- Ostatnio była tam Ruth - odparł Ben, próbując podnieść się z miejsca. Mike ściągnął go z powrotem na kanapę.

- Hej, Duke! Rozejrzyj się za kimś, kto mógłby przygotować mi stertę kruchych ciastek i galon syropu klonowego.

- Sam ci to zrobię.

- Nie jestem aż tak głodny! Lepiej poproś Tony'ego albo Ruth. - Mike przyciągnął Bena bliżej do siebie i powiedział: - Grokuje, że nie jesteś zupełnie szczęśliwy.

- Ja? Ależ skąd! Wszystko w porządku.

Mike spojrzał mu prosto w oczy.

- Szkoda, że nie znasz marsjańskiego. Grokuje twój niepokój, ale nie potrafię dojrzeć twoich myśli.

- Mike... - szepnęła Jill.

Człowiek z Marsa spojrzał na nią, po czym przeniósł wzrok z powrotem na Bena i powiedział powoli:

- Jill właśnie wyjaśniła mi, na czym polega twój kłopot, Ben. Nigdy nie potrafiłem go zgrokować do końca. - Zawahał się niemal tak samo jak wtedy, kiedy dopiero uczył się angielskiego. - Mimo to grokuje, że nie możemy dziś wieczorem urządzić ci dzielenia się wodą. Po to jest czekanie. - Potrząsnął głową. - Przykro mi, ale czekanie musi się wypełnić.

Jill wyprostowała się raptownie.

- Nie! Mike, Ben nie może stąd wyjść bez tego! Każdy, tylko nie on!

- Nie grokuje cię, Mały Braciszku - odparł niepewnie Mike.

Zapadło długie milczenie, naładowane emocjami znacznie bardziej od niejednej rozmowy. Wreszcie Mike zapytał z ociąganiem:

- Czy mówisz prawdziwie?

- Sam się przekonasz! - Jill poderwała się z miejsca, zrobiła dwa kroki, usiadła obok Bena i objęła go mocno. - Ben, pocałuj mnie i przestań się martwić.

Nie czekała, aż on to zrobi, tylko sama go pocałowała. Ben, co prawda, nie przestał się martwić, lecz nagle zanurzył się w zmysłowym blasku nie pozwalającym mu myśleć o żadnych wątpliwościach. Mike wzmocnił uścisk ramienia, którym w dalszym ciągu otaczał Caxtona.

- Grokujemy bliżej. Teraz, Jill?

- Teraz! Tutaj, natychmiast... Och, dzielmy się wodą, moi kochani!

Ben odwrócił głowę... i nagle zdumienie otrząsnęło go z niedawnej euforii. Siedzący obok niego Człowiek z Marsa pozbył się w jakiś sposób całego ubrania.

### Rozdział XXXIII

- I co? - zapytał Jubal. - Przyjąłeś zaproszenie?

- Człowieku, zwiewałem najszybciej, jak się dało! Złapałem ubranie i nawet go nie zakładając wskoczyłem w rurę spadową.

- Naprawdę? Na miejscu Jill poczułbym się trochę urażony. Caxton zarumienił się po uszy.

- M u s i a ł e m stamtąd uciec, Jubal.

- Hmm... A co było potem?

- Potem ubrałem się, zobaczyłem, że zapomniałem torby, ale już po nią nie wróciłem. Szczerze mówiąc wyskoczyłem tak szybko, że o mało się nie zabiłem. Wiesz, jak to jest ze standardową rurą spadową...

- Nie wiem.

- No, jeśli nie zaprogramujesz jej na wznoszenie, opadasz powoli, jak w budyniu, ale ja nie opadałem, tylko s p a d ł e m sześć pięter w dół. Kiedy już miałem się rozpląszczyć jak pomidor, coś mnie złapało - nie sieć zabezpieczająca, tylko jakieś pole. Mówię ci, na dokładkę o mało nie umarłem ze strachu.

- Nigdy nie wierz maszynom.

- To nie wina maszyny. Za te sprawy odpowiada Duke, ale on wierzy jak w Ewangelię we wszystko, co mu powie Mike. On go po prostu zahipnotyzował. Do diabła, on ich w s z y s t k i c h

zahipnotyzował! Kiedy dojdzie do nieszczęścia, skończy się gorzej niż awarią jednej rury spadowej. Jubal, co możemy zrobić? Strasznie się o nich boję.

Harshaw wydał wargi.

- A co konkretnie napawało cię największym niepokojem?

- Co k o n k r e t n i e? Wszystko!

- Naprawdę? Odniosłem wrażenie, że byłeś raczej zadowolony z przebiegu wizyty, w każdym razie do chwili, kiedy uciekłeś jak spłoszony królik.

- He? No... Bo tak było. - Caxton sprawiał wrażenie lekko zdziwionego. - Mnie też zahipnotyzował. Może i nie zdołałbym się wyrwać, gdyby nie ta dziwna sprawa na samym końcu. Mike siedział koło mnie, obejmując mnie ramieniem, więc po prostu n i e m ó g ł się rozebrać!

Jubal wzruszył ramionami.

- Byłeś zajęty. Podejrzewam, że nie zauważyłbyś nawet trzęsienia ziemi.

- Bez przesady! Nie zamykam oczu jak uczennica. Jak on to zrobił?

- Nie rozumiem, jakie mogłoby to mieć znaczenie. Chyba że zaszokowała cię jego nagość.

- Jasne, że byłem zaszokowany. I to jak!

- Mimo że sam siedziałeś z gołym tyłkiem? Nie opowiadaj mi takich rzeczy!

- Nie, nie! Jubal, czy muszę narysować ci to na papierze? Po prostu nie uznaję czegoś takiego jak grupowe orgie. Niewiele brakowało, a zwróciłbym całe śniadanie. - Ben skrzywił się z odrazą. - Ciekaw jestem, co t y byś powiedział, gdyby w twoim mieszkaniu ludzie nagle zaczęli się zachowywać jak małpy w klatce?

Jubal uniósł wskazujący palec.

- Właśnie o to chodzi, Ben: to n i e b y ł o moje mieszkanie. Wchodząc do czyjegoś domu zobowiązujesz się postępować zgodnie z panującymi w nim zwyczajami - to uniwersalne prawo obowiązujące wśród wszystkich cywilizowanych ludzi.

- Ciebie nie szokuje takie zachowanie?

- W tej chwili poruszasz zupełnie odrębny temat. Owszem, publiczne dawanie upustu chuci uważam za coś odrażającego, lecz w ten sposób daję wyraz nabytym wcześniej uprzedzeniom. Znaczna część ludzkości nie podziela mojego zdania, bo orgie wcale nie są rzadko spotykane. Ale czemu używasz od razu słowa szokujące? Mój drogi panie, mnie zaszokować może tylko coś,

co godzi bezpośrednio w podstawy mojej etyki.

- A więc twoim zdaniem to wyłącznie kwestia smaku?

- Nic innego. Mój gust nie jest ani odrobinę lepszy od tego, jaki miał Neron. Obawiam się, że nawet jest gorszy; Neron był bogiem - ja, niestety, nim nie jestem.

- Niech mnie diabli wezmą!

- I to może się zdarzyć - pod warunkiem, że takie rzeczy w ogóle się zdarzają. Poza tym... Ben, to nie było robione w miejscu publicznym.

- He?...

- Z tego, co powiedziałeś, wynika, że mamy do czynienia z grupowym małżeństwem, a ściśle rzecz biorąc z grupową teogamią. Tym samym wszystko, co nastąpiło lub miało nastąpić, nie odbywało się publicznie, lecz prywatnie. "Byliśmy przy tym tylko my, bogowie"... Więc w jaki sposób mogły zostać urażone czyjekolwiek uczucia?

- M o j e zostały urażone!

- Twoja apoteoza była niekompletna. Oszukałeś ich. Sam do tego doprowadziłeś.

- Ja? Jubal, nie wiem, o czym ty mówisz!

- Do licha! Powinieneś być wyjść zaraz po tym, jak tam wszedłeś; przecież od razu zorientowałeś się, że rządzą się zupełnie odmiennymi zwyczajami. Ale ty zostałeś, nasyciłeś się wdziękami jednej z bogiń, postępując z nią tak, jak godzi się postępować jedynie bogu. Wiedziłeś, co jest grane, a oni wiedzieli, że ty wiesz - ich błąd polegał na tym, że wzięli twoją hipokryzję za dobrą monetę. Nie, Ben: Mike i Jill zachowali się z godnością. To t y postąpiłeś nie tak, jak należy.

- Do cholery, Jubal, ty wszystko przekręcasz! Na początku zbyt się zaangażowałem, ale kiedy poczułem, że muszę odejść, zrobiłem to od razu! Mało się nie porzygałem!

- Twierdzisz, że to był po prostu odruch? Każdy, kto pod względem rozwoju emocjonalnego przekroczył wiek dwunastu lat zacisnąłby zęby, poszedł do łazienki, zaczekał, aż atmosfera trochę ostygnie i wrócił z jakimś mniej lub bardziej prawdopodobnym usprawiedliwieniem. To nie był żaden odruch, Ben. Odruch mógł cię zmusić do opróżnienia żołądka, ale nie do wyjścia z pokoju, wzięcia ubrania i wskoczenia w dziurę w podłodze. To była panika. Powiedz mi, dlaczego wpadłeś w panikę?

Caxton długo nie odpowiadał. Wreszcie westchnął.

- Jeśli się nad tym zastanowić... - bąknął. - Myślę, że jestem pruderyjny.

Jubal potrząsnął głową.

- Człowiek pruderyjny uważa, że jego reguły postępowania są prawami natury, a w twoim przypadku o niczym takim nie może być mowy. Dostosowywałeś się do wielu rzeczy, które nie zgadzały się z twoim kodeksem postępowania, podczas kiedy prawdziwy świętoszek odwróciłby się na pięcie i uciekł, gdzie pieprz rośnie już na sam widok tej smakowicie wytatuowanej damy. Szukaj głębiej.

- Wiem tylko tyle, że strasznie mi przykro z powodu tej sprawy.

- Ja również o tym wiem i bardzo ci współczuję. Postawmy sobie hipotetyczne pytanie: wspomniałeś o kobiecie imieniem Ruth. Przypuśćmy, że znalazłeś się w takiej sytuacji z nią i z Mike'em. Czy wtedy również byłbyś zaszokowany?

- No... chyba tak. Moim zdaniem to naprawdę jest szokująca sytuacja, choć ty utrzymujesz, że wszystko jest kwestią gustu.

- Jak bardzo szokująca? Do stadium nudności czy panicznej ucieczki?

Caxton spojrzał na niego z zakłopotaniem.

- Niech cię szlag trafi, Jubal. W porządku: po prostu wymyśliłbym coś, żeby pójść do kuchni albo gdziekolwiek... a potem wyszedłbym jak najszybciej.

- Znakomicie, Ben. Właśnie odkryłeś źródło swoich kłopotów.

- Naprawdę?

- Jaki element się zmienił?

Caxton skrzywił się markotnie.

- Masz rację, Jubal. To przez Jill. Dlatego, że ją kocham.

- Trafiłeś blisko, ale nie w sam cel.

- Jak to?

- Bynajmniej nie uciekłeś stamtąd z powodu miłości.

Powiedz mi: co to jest miłość?

- Daj spokój, człowieku! Na to pytanie próbowali odpowiedzieć wszyscy, od Szekspira poczynając na Freudzie kończąc, i nikomu się nie udało. Wiem tylko tyle, że to boli.

Harshaw pokręcił głową.

- Podam ci precyzyjną definicję. Miłość jest to stan, w którym szczęście drugiej osoby jest niezbędne dla twego własnego.

- Chyba masz rację... - przyznał Ben. - Właśnie coś takiego czuję wobec Jill.

- To dobrze. W takim razie utrzymujesz, że zrobiło ci się

niedobrze i uciekłeś w panice po to, aby uszczęśliwić Jill.

- Zaczekaj chwilę! Wcale nie powiedziałem...

- A może to było jakieś inne uczucie?

- Powiedziałem tylko, że... - Caxton umilkł, by po chwili dokończyć: - W porządku, byłem zazdrosny! Ale mógłbym przysiąc, że nic takiego nie miało miejsca. Już od dawna wiedziałem, że nie mam żadnych szans i całkowicie się z tym pogodziłem. Nie miałem o to do Mike'a żadnych pretensji. Zazdrość nigdzie nie prowadzi.

- A w każdym razie na pewno nie tam, gdzie ktokolwiek chciałby się znaleźć. Zazdrość to choroba, a miłość to zdrowie. Niedojrzały umysł często myli jedno z drugim albo przypuszcza, że im większa miłość, tym większa powinna być także zazdrość. W rzeczywistości tam, gdzie występuje jedna, nie ma miejsca dla drugiej. Jeżeli pojawiają się jednocześnie, mogą wywołać potworne zamieszanie... Głęboko rozumiem, że tak właśnie stało się w twoim przypadku, Ben. Kiedy zazdrość podniosła łeb, nie potrafiłeś zdobyć się na to, by spojrzeć jej prosto w ślepia - więc uciekłeś.

- Chodziło przede wszystkim o o k o l i c z n o ś c i !

Ten cały harem strasznie mnie zdenerwował. Nie zrozum mnie źle: kochałbym Jill nawet wtedy, gdyby była tanią dziwką, którą nie jest. Według s w o i c h standardów jest osobą bardzo moralną.

Jubał skinął głową.

- Wiem o tym. Gillian ma w sobie nieugiętą niewinność, która nie pozwala jej być niemoralną. - Zmarszczył brwi. - Ben, obawiam się, że zarówno tobie jak i mnie brakuje anielskiej niewinności niezbędnej do tego, by stosować zasady doskonałej moralności, według których żyją ci ludzie.

Ben utkwiał w nim zdumione spojrzenie.

- Uważasz, że coś takiego jest m o r a l n e ? Według mnie Jill nie zdaje sobie sprawy z tego, że postępuje niewłaściwie, bo znajduje się pod wpływem Mike'a, który też o tym nie wie. Jest Człowiekiem z Marsa i startował ze znacznie gorszej pozycji.

Harshaw ponownie zmarszczył brwi.

- Tak. Uważam, że to, co robią ci ludzie - wszyscy mieszkańcy Gniazda, nie tylko nasze dzieciaki - jest moralne. Nie zapoznałem się ze szczegółami, ale... Tak, tego jestem pewien. Bachanalia, bezwstydnie obłapianie, życie w komunie i anarchistyczny kodeks moralny - wszystko jest jak najbardziej moralne.

- Zaskakujesz mnie, Jubal. Skoro tak uważasz, to dlaczego się do nich nie przyłączysz? Marzą o tym. Urządząliby wielkie święto. Dawn tylko czeka na to, żeby służyć ci i całować cię po stopach. Wcale nie przesadzam.

Jubal westchnął ciężko.

- Nie. Może pięćdziesiąt lat temu, ale teraz?... Ben, mój bracie: nie jestem już zdolny do takiej niewinności. Zbyt długo byłem poślubiony memu własnemu rodzajowi zła i beznadziejności, aby móc umyć się w wodzie życia i ponownie stać się niewinnym - zakładając, że kiedykolwiek nim byłem.

- Mike twierdzi, że masz tę niewinność - tyle tylko, że on tego tak nie nazywa. Powiedziała mi o tym Dawn, mówiąc ex officio.

- W takim razie nie chciałbym go rozczarować. Mike dostrzega we wszystkich swoje odbicie, a ja, z racji zawodu, najlepiej nadaję się do roli zwierciadła.

- Jubal, jesteś po prostu tchórzem!

- Właśnie! Ale jeśli się o nich niepokoję, to nie ze względu na ich morale, tylko na niebezpieczeństwa, jakie mogą na nich czyhać na zewnątrz.

- Och, pod tym względem nic im nie grozi.

- Naprawdę tak myślisz? Jeżeli pomalujesz małpę na różowo i wsadzisz ją do klatki z brązowymi małpami, rozedrą ją na strzępy. Te niewiniątka aż proszą się o męczeńską śmierć.

- Czy ty przypadkiem zbytnio nie dramatyzujesz?

Jubal wbił w Caxtona spojrzenie błyszczących oczu.

- A jeśli nawet, to czy odbiera to wagę moim słowom? Niejeden święty spłonął już na stosie; czy ich cierpienie również nazwałbyś dramatyzowaniem?

- Chciałem tylko powiedzieć, że moim zdaniem nie grozi im nic takiego. Bądź co bądź nie żyjemy w średniowieczu.

Harshaw zamrugął ze zdziwieniem.

- Doprawdy? Szczerze mówiąc, nie zauważyłem różnicy. Ben, ten paskudny świat już kilka razy miał możliwość skorzystania z podobnej okazji, lecz nigdy tego nie zrobił. Kolonia Indian Oneida przypominała Gniazdo Mike'a, ale przetrwała bardzo krótko, a i to wyłącznie dzięki temu, że założono ją na odludziu, daleko od miast. To samo z pierwszymi chrześcijanami: anarchia, komunizm, grupowe małżeństwa, nawet pocałunek braterstwa

- Mike sporo od nich zapożyczył. Hmm... Skoro już przejął ten pocałunek, to należałoby się spodziewać, że i mężczyźni będą całowali mężczyzn.

Ben z zakłopotaniem opuścił wzrok.

- Nie powiedziałem ci o tym. Ale to nie jest pedalski gest.

- Podobnie jak nie był nim u pierwszych chrześcijan. Masz mnie za idiotę?

- Pozostawię to bez komentarza.

- Wielkie dzięki. Nie radziłbym nikomu ofiarowywać pocałunku braterstwa kapłanowi jakiegokolwiek Kościoła; pierwsi chrześcijanie wymarli co do jednego. Za każdym razem powtarzała się ta sama smutna historia: najpierw powstawał plan doskonałej miłości i pełnego zbratania, potem rodziły się wzniosłe cele i chwalebne nadzieje, a wreszcie przychodziła klęska i zagłada. - Jubal ponownie westchnął. - Do tej pory niepokoiłem się tylko o Mike'a, teraz boję się o nich wszystkich.

- A jak myślisz, co j a czuję? Przykro mi, ale nie mogę przyjąć twojej teorii Dobra i Światła. To, co robią, jest z gruntu niewłaściwe!

- Twierdzisz tak, bo ten ostatni incydent utkwiał ci ością w gardle.

- To na pewno nie jest jedyny powód.

- Ale główny. Ben, etyka seksu stanowi nie lada problem. Każdy z nas jest zmuszony chwycić się rozwiązania, które pozwoli mu przeżyć w konfrontacji z żalonymi, niesłusznymi i fałszywymi zasadami tak zwanej moralności. Większość z nas wie, że te zasady są błędne, prawie wszyscy je łamiemy, lecz płacimy bez szemrania podatek składający się z poczucia winy i czczych frazesów. Czy chcemy czy nie, moralność bierze nas za uzdę i prowadzi tam, dokąd chce.

Ciebie też, Ben. Uważasz się za niezależnego człowieka, który nic sobie nie robi z tych diabelskich zasad, lecz stanąwszy wobec zupełnie nowego problemu związanego z etyką seksualną oceniałeś go stosując te same żydowsko-chrześcijańskie zasady... w związku z czym żołądek podszedł ci natychmiast do gardła... a ty uznałeś to za nieomylny znak, że masz rację, a oni błędzą. Ha! Równie dobrze mógłbyś zdać się na sąd Boży. Zachowanie twojego żołądka może świadczyć jedynie o tym, jak mocno wpojono ci pewne uprzedzenia, zanim zacząłeś filtrować je przez sito rozsądku.

- A co z t w o i m żołądkiem?

- Mój też jest głupi, ale ja nie pozwalam mu rządzić mózgiem. Dostrzegam piękno w podjętej przez Mike'a próbie stworzenia doskonałej etyki i zgadzam się z tym, że należy zacząć od odrzucenia dotychczasowych zasad ustalających reguły



dla naszego życia seksualnego i ustanowienia nowych. Większość filozofów nie ma na to dość odwagi; połykają w całości podstawy starych dogmatów - monogamia, skład rodziny, czystość obyczajów, okrywanie ciała, konwencjonalne nakazy dotyczące stosunku płciowego i tak dalej - po czym bawią się szczegółami, nawet tak bzdurnymi jak to, czy widok nagiej kobiecej piersi stanowi obrazę moralności, czy nie.

Jednak przede wszystkim zajmuje ich problem, w jaki sposób zmusić nas do przestrzegania tych zasad, ignorując oczywiste dowody na to, że większość tragedii, jakich są świadkami, nie bierze się z prób wykraczania poza nakazy, lecz właśnie jest głęboko w nich zakorzeniona.

I nagle zjawia się Człowiek z Marsa, spogląda na te uświęcone zasady z nowego punktu widzenia, a następnie je odrzuca. Nie znam szczegółów etyki, jaką proponuje w ich miejsce, ale jestem pewien, że ona w oczywisty sposób narusza prawa wszystkich większych narodów zamieszkujących Ziemię i wywoła oburzenie "słusznie myślących" wyznawców wszystkich większych religii, a także znacznej części agnostyków i ateistów. Mimo to ten biedny chłopiec...

- Jubal, on nie jest chłopcem, tylko mężczyzną.

- Doprawdy? Ten nieszczęsny pół-Marsjanin twierdzi, że seks stanowi jedną z dróg do osiągnięcia szczęścia, że sam w sobie powinien być szczęściem. Ben, najgorszą cechą seksu jest to, że wykorzystujemy go do zadawania sobie cierpień, podczas gdy to nigdy nie powinno boleć, tylko dawać szczęście albo chociaż przyjemność.

Zasady mówią co następuje: Nie pożądaj żony bliźniego swego. Rezultat? Wymuszona czystość, cudzołóstwo, zazdrość, zgorzknienie, bijatyki, czasem morderstwa, rozbite domy, nieszczęśliwe dzieci i żalosne wzajemne podchody, równie upokarzające dla kobiety i mężczyzny. Czy to przykazanie jest w ogóle przestrzegane? Jeśli ktoś przysięgnie mi na Biblię, że nie pożądał żony bliźniego swego wyłącznie dlatego, iż zakazują mu tego zasady, których zobowiązał się przestrzegać, podejrzewałbym go albo o oszukiwanie samego siebie, albo o jakieś odchylenie seksualne. Każdy mężczyzna zdolny do splodzenia dziecka pożąda wielu kobiet, bez względu na to, czy idzie z nimi do łóżka, czy nie.

Nagle zjawia się Mike i mówi: "Nie musisz pożądać mojej żony. Kochaj ją! Jej miłość nie zna granic. Mamy wszystko do zdobycia, a do stracenia jedynie strach, poczucie winy, nienawiść i zazdrość." Propozycja jest wręcz niewiarygodna. Z

tego, co wiem, tylko prymitywni Eskimosi byli równie naiwni - ale oni żyli w takiej izolacji, że właściwie ich też można uznać za Ludzi z Marsa. My jednak wmusiliśmy w nich nasze cnoty, dzięki czemu mają teraz pruderię i cudzołóstwo, tak jak wszyscy. Uważasz, że są dzięki temu szczęśliwsi?

- Nie chciałbym być Eskimosem.

- Ani ja. Zapach zepsutych ryb działa mi na nerwy.

- Miałem na myśli wodę i mydło. Czasem odnoszę wrażenie, że stałem się zbyt wymagający.

- Ja też. Urodziłem się w domu z instalacjami sanitarnymi jak z igloo - wolę to, co mam teraz. Mimo to o Eskimosach zawsze pisało się jako o najszczęśliwszych ludziach na Ziemi. Żadne z nieszczęść, jakie ich dotykały, nie było spowodowane przez zazdrość; nawet nie znali takiego słowa. Wymieniali się żonami, bo tak było wygodnie i zabawnie, i nikt nie miał do nikogo pretensji. Kto więc jest tutaj nienormalny? Spójrz na ten ponury świat, który cię otacza, a potem powiedz: czy uczniowie Mike'a wydają ci się bardziej czy mniej szczęśliwi od innych ludzi?

- Nie rozmawiałem z nimi wszystkimi, ale... No dobrze, są szczęśliwi. Tak szczęśliwi, że aż to się wydaje podejrzanе. W tym musi być jakiś haczyk.

- Może ty nim byłeś.

- Jak to?

- Szkoda, że w tak młodym wieku masz już dokładnie określone upodobania. Kiedy osiągniesz moje lata, trzy dni tego, co ci proponowano, uważałbyś za najcenniejszy skarb. Tymczasem ty, młody idioto, dałeś się stamtąd wypędzić zazdrości! W twoim wieku zgodziłbym się nawet zostać Eskimosem. Mało tego: jestem w najwyższym stopniu zniesmaczony twoim postępowaniem, moją jedyną pociechą stanowi gorzkie przekonanie, że kiedyś będziesz tego bardzo żałował. Starość nie przynosi ze sobą mądrości, ale pozwala spojrzeć na wiele spraw z odpowiedniej perspektywy. Najsmutniejsze, co można wtedy ujrzeć, to pozostawione daleko z tyłu pokusy, którym się oparłeś. Ja również je widzę, ale to i tak nic w porównaniu z cierpieniami, jakie czekają c i e b i e!

- Daj wreszcie temu spokój!

- Na litość boską, człowieku - bo chyba nie jesteś myszą?

- ja próbuję cię tylko obudzić. Dlaczego wylewasz swoje żale przed starym człowiekiem, kiedy powinieneś czym prędzej skierować się do Gniazda jak wracający do domu gołąb? Do diabła, gdybym miał ze dwadzieścia lat mniej, sam

przyłączyłbym się do Mike'a!

- Odczep się ode mnie, Jubal. Lepiej powiedz, co naprawdę myślisz o jego kościele?

- Powiedziałeś, że to raczej coś w rodzaju samodyscypliny.

- Tak i nie. Jednocześnie ma być Prawdą przez duże "P", ponieważ Mike przejął to od marsjańskich Starych.

- Od Starych, tak? Dla mnie to zwykłe bzdury.

- A jednak on w nich wierzy.

- Ben, znałem kiedyś pewnego przedsiębiorcę, który wierzył, że zasięga porady bezpośrednio u ducha Aleksandra Hamiltona<sup>14</sup>, choć... Do licha, dlaczego akurat ja mam być adwokatem diabła?

- Co cię ugryzło tym razem?

- Ben, najwstrętniejszym grzesznikiem jest hipokryta wykorzystujący religię do nabierania ludzi, ale musimy oddać diabłu, co diabelskie: Mike wierzy w to, co mówi i naucza o takiej prawdzie, jaką widzi. Co do jego Starych... Nie mogę z całą pewnością stwierdzić, że ich nie ma, ale bardzo trudno mi uwierzyć w ich istnienie. Natomiast jeśli chodzi o to credo "Tyś jest Bogiem" - nie jest ani mniej ani bardziej wiarygodne od paru dziesiątków innych. W dniu Sądu Ostatecznego może się okazać, że Głównym Szefem był od samego początku Mongo-Dombo,

Wielki Bóg z Kongo.

- Na litość boską, Jubal!

- Każdy z nich ma równe szanse, Ben. Człowiek został tak skonstruowany, że nie potrafi sobie wyobrazić własnej śmierci, co prowadzi do bezustannego wymyślania nowych religii. Choć w ten sposób nie można zyskać żadnego potwierdzenia swojej nieśmiertelności, pojawiają się nadzwyczaj istotne pytania: o naturę życia, o sposób, w jaki ego jest zakotwiczone w ciele, o samo ego i przyczynę, dla której wydaje się być centralnym punktem wszechświata, o sens istnienia tegoż wszechświata i życia... To wszystko są podstawowe pytania, Ben, bynajmniej nie trywialne. Nauka nie potrafiła na nie odpowiedzieć, więc jakie mam prawo kpić z religii, które usiłują tego dokonać, nawet w sposób zupełnie dla mnie nie przekonujący? Jedyna prawda religijna, której jestem całkowicie pewien, brzmi tak: świadomość n i e j e s t tylko wynikiem połączenia się kilku aminokwasów!

- O, rety! Jubal, powinieneś zostać kaznodzieją.

- Na szczęście, udało mi się tego uniknąć. Jeżeli Mike potrafi odpowiedzieć nam jakiś lepszy sposób rządzenia tą

pokręconą planetą, to jego życie erotyczne nie wymaga żadnych usprawiedliwień. Geniusze mają prawo gardzić opiniami przeciętniaków i zawsze lekceważą seksualne obyczaje gromady, tworząc własne prawa. Mike j e s t geniuszem, więc ma w nosie zdanie wścibskich sąsiadów i robi to, na co ma ochotę.

Jednak z teologicznego punktu widzenia jego zachowanie seksualne jest równie ortodoksyjne jak Świętego Mikołaja. Mike naucza, że żywe istoty tworzą zbiorowego Boga... z czego wynika, iż on i jego uczniowie są jedynymi świadomymi bogami na tej planecie... co z kolei zgodnie z wszelkimi przepisami regulującymi kwestie boskości daje mu pełną swobodę działania. Te przepisy z a w s z e zezwalały bogom na całkowitą swobodę seksualną, ograniczoną jedynie ich własną wolą.

Chcesz dowodów? Proszę bardzo: Leda i łabędź, Europa i byk, Ozyrys, Izis i Horus, niewiarygodne kazirodztwa bóstw nordyckich... Nie wspomnę o religiach Wschodu, bo ich bogowie wyczyniali takie rzeczy, które oburzyłyby nawet rozplodowego samca norki. Przyjrzyj się jednak bliżej stosunkom łączącym Trójkę w jednej z najbardziej poważanych religii zachodniego świata; wyłącznie przekonanie o tym, że prawa rządzące życiem płciowym bogów nie mają nic wspólnego z prawami rządzącymi życiem płciowym śmiertelnych istot, pozwala pogodzić nauki głoszone przez tę religię z tym, co się wyrabiało Tam, Na Górze. Większość ludzi nigdy o tym nie myśli - zamykają drzwi i wieszają na klamce kartkę: "ŚWIĘTOŚĆ, nie przeszkadzać!"

Wobec Mike'a trzeba zastosować wszystkie dyspensy, jakich zwykle udziela się bogom. Jeżeli w jakiejś religii istnieje tylko jeden bóg, to najpierw dzieli się go na dwie części, a potem rozmnaża. To odnosi się nie tylko do Jahwe, ale do wszystkich. Natomiast gromada bogów będzie się rozmnażała jak stado królików, zwracając na ludzi równie mało uwagi jak te miłe zwierzaczki. W chwili, kiedy Mike wszedł w interesy związane z boskością, stało się jasne jak słońce, że dojdzie również do orgii, więc lepiej przestań myśleć o tym tak, jakbyś całe życie spędził w Pcimiu Dolnym, tylko zastosuj standardy godne bogów z Olimpu! Ben, żeby to zrozumieć, przede wszystkim musisz uznać szczerą intencję...

- Och, uznaję, uznaję! Tylko że...

- Na pewno? Zacząłeś od założenia, że na pewno się mylą. Człowiek zwykle ukrywa to, czego się wstydzi, a oni nie tylko się tego nie wstydzą, lecz wręcz są z tego dumni. Kryjąc się za zamkniętymi drzwiami postępowaliby według

nakazów, które odrzucają, a jednocześnie daliby ci w ten sposób do zrozumienia, że jesteś obcym, który w ogóle nie powinien był się tam znaleźć.

- Może to i racja...

- Nie może, tylko na pewno. Mike wyraźnie miał opory, ale usłuchał próśb Gillian.

- To jeszcze gorzej!

- Dlaczego? Chciała, żebyś stał się jednym z nich "w pełnej całości", jak by powiedział Mike. Kocha cię i nie jest o ciebie zazdrosna, lecz ty jesteś zazdrosny o nią i choć twierdzisz, że też ją kochasz, to twoje zachowanie wcale o tym nie świadczy.

- Do diabła! Oczywiście, że ją kocham!

- Czyżby? Nawet jeśli tak jest w istocie, to chyba nie doceniłeś boskiego zaszczytu, jakim postanowili cię uhonorować?

- Chyba nie - przyznał ponuro Ben.

- Podpowiem ci rozwiązanie twojego problemu. Zastanawiałeś się, w jaki sposób Mike'owi udało się pozbyć ubrania. Powiem ci, w jaki.

- No?

- To był cud.

- Daj spokój, na litość boską!

- Otóż to. Stawiam tysiąc dolarów, że mam rację. Idź, zapytaj Mike'a, poproś, żeby ci to pokazał jeszcze raz i przyślij mi pieniądze.

- Nie chcę twoich pieniędzy.

- I tak byś ich nie wygrał. Zakład?

- Idź sam i dowiedz się, jak to było. Ja nie mogę tam wrócić.

- Przyjmą cię z otwartymi ramionami i nikt nawet nie zapyta, dlaczego odszedłeś. Na to też jestem gotów postawić równy tysiąc. Byłeś tam niecałe dwadzieścia cztery godziny; czy przyjrzałeś się wszystkiemu równie dokładnie jak wtedy, kiedy badasz jakąś cuchnącą sprawę, zanim podasz ją do publicznej wiadomości?

- Ale...

- Zrobiłeś to?

- Nie, ale...

- Na litość boską, Ben! Twierdzisz, że kochasz Jill, a jednocześnie traktujesz ją mniej uczciwie niż pierwszego lepszego przekupnego polityka! Nie zadałeś sobie nawet jednej dziesiątej tego trudu, jaki ona poniosła próbując pomóc ci wtedy, kiedy wpadłeś w tarapaty. Jak sądzisz, gdzie byś teraz

był, gdyby starała się równie słabo, jak ty? Najprawdopodobniej w piekle, smażąc się na wolnym ogniu. Krzywisz się na przyjacielskie cudzołóstwo, a wiesz, co m n i e spędza sen z powiek?

- Co?

- To, że Chrystus został ukrzyżowany za wygłaszanie kazań bez zgody policji. Może nad tym połamałbyś sobie trochę głowę?

Caxton przez chwilę ssał w milczeniu kciuk, po czym nagle podniósł się z miejsca.

- Lecę.

Dwadzieścia cztery godziny później przesłał Jubalowi dwa tysiące dolarów. Kiedy przez następny tydzień nie dał żadnego znaku życia, Harshaw wysłał do niego depezę: "Co ty robisz, do cholery?"

Odpowiedź nadeszła z pewnym opóźnieniem:

"Uczę się marsjańskiego - z wodnobraterskimi pozdrowieniami - Ben."

## CZĘŚĆ PIĄTA

### Jego radosne przeznaczenie

#### Rozdział XXXIV

Foster podniósł wzrok znad Dzieła W Trakcie Tworzenia.

- Junior!

- Słucham.

- Ten młodzieniec, którego chciałeś, jest wolny. Marsjanie już go wypuścili.

Digby zmieszał się.

- Przepraszam, ale... Czyżby była jakaś młoda istota, wobec której mam jakieś zobowiązania?

Foster uśmiechnął się anielsko. Cuda nigdy nie były potrzebne; w gruncie rzeczy pseudokoncepcja cudu stanowiła zaprzeczenie samej siebie, ale nowy narybek zawsze musiał się o tym przekonać na własnej skórze.

- Nieważne - odparł łagodnie. - To męczeństwo niewielkiego kalibru. Sam się tym zajmę. Junior...

- Tak?

- Mów mi Fos. Ceremoniał jest potrzebny podczas działań polowych, ale nie w trakcie przygotowań. I przypomnij mi, że bym już nie nazywał cię junior; bardzo dobrze dałeś sobie radę ze swoim przydziałem do tymczasowości. Jakie chciałbyś nosić imię?

Asystent zamrugał ze zdziwieniem.

- A mam jakieś inne?

- Tysiące. Które najbardziej ci się spodobało?

- No... Jakoś nie mogę sobie przypomnieć w tym eonie...

- Co byś powiedział na Digby'ego?

- Tak, to bardzo ładne imię. Dziękuję.

- Nie dziękuj. Zasłużyłeś sobie na to.

Archanioł Foster wrócił do swej poprzedniej pracy, nie zapominając jednak o właśnie podjętym drobnym zobowiązaniu. Przemknęła mu myśl, czy nie dałoby się jakoś zdjąć tego ciężaru z barków małej Patrycji, lecz zaraz zbeształ się za takie nieprofesjonalne, niemal ludzkie podejście. Anioł nie mógł okazywać litości, gdyż nie pozwalało mu na to anielskie współczucie.

Marsjańscy Starzy dopracowali się eleganckiego rozwiązania gnębiącego ich problemu estetycznego i odłożyli je na bok na kilka tysiącleci, aby zdążył narodzić się z niego kolejny problem. Mniej więcej w tym samym czasie, bez pośpiechu i niemal od niechcienia, odebrali od obcego młodego, który wrócił na swoją ojczystą planetę, wszystkie informacje na jej temat, jakie udało mu się zdobyć, po czym porzucili go, wpieryw odpowiednio się nim nacieszywszy, gdyż tym samym przestał ich zupełnie interesować.

Zaczęli zastanawiać się nad parametrami estetycznymi ewentualnej artystycznej konieczności zniszczenia Ziemi. Jednak należało jeszcze długo poczekać, zanim można było zgrokować w całości decyzję.

Miasto Daibutsu na wyspie Kamakura zostało ponownie zalane gigantyczną falą oceaniczną wywołaną przez trzęsienie ziemi, jakie nastąpiło 280 kilometrów od brzegów Honsiu. Fala zabiła 13000 ludzi oraz porwała i zaniósła do położonej na wzgórzu świątyni buddyjskiej niemowlę płci męskiej, gdzie zostało odnalezione i uratowane przez mnichów. Dziecko to przeżyło następnie dziewięćdziesiąt siedem ziemskich lat nie pozostawiając po sobie ani potomstwa, ani w ogóle niczego godnego uwagi, jeśli nie liczyć reputacji osoby dręczonej niemal nieprzerwaną czkawką. Cynthia Duchess wstąpiła do klasztoru, czemu towarzyszyło ogromne zainteresowanie środków masowego przekazu, by w trzy lata później dyskretnie i bez rozgłosu

wrócić do normalnego życia. Były sekretarz generalny Douglas doznał udaru mózgu, w wyniku czego stracił władzę w lewej ręce, ale nie umiejętność zajmowania się powierzonymi mu sprawami. Lunar Enterprises, sp. z o. o., rozpiła subskrybcję na akcje Ares Chandler Corporation. Statek badawczy Mary Jane Smith, wyposażony w napęd Lyle, wylądował na Plutonie.

Biskup Oxtongue ze Świątyni Nowej Wielkiej Alei nauczał wiernych słowami z Ewangelii św. Mateusza (rozd. 24, w. 24): Powstaną bowiem fałszywi mesjasze i fałszywi prorocy, i działać będą wszelkie znaki i cuda, by w błąd wprowadzić, jeśli to możliwe, także wybranych. Jednocześnie dał jasno do zrozumienia, iż diatryba ta nie odnosi się do mormonów, katolików ani fosterytów - szczególnie nie do tych ostatnich - ani do innych współpodróżników, których dobre uczynki mają znacznie większą wagę od nieistotnych różnic dogmatycznych lub rytualnych... lecz wyłącznie do pojawiających się od niedawna heretyków, odciągających wyznawców od wiary ich ojców. W tym samym kraju, w znanej miejscowości wypoczynkowej leżącej w strefie podzwrotnikowej, trzej obywatele wnieśli oskarżenie o obrazę moralności publicznej przeciwko pewnemu pastorowi i jego trzem asystantkom, dodatkowo zarzucając im prowadzenie domu rozpusty i demoralizację nieletnich. Prokurator okręgowy nie miał ochoty wszczynać postępowania, gdyż wiedział z doświadczenia, że osoby wnoszące oskarżenie prawie nigdy nie stawiają się później przed sądem, aby potwierdzić swoje zarzuty. Kiedy oświadczył to tym trzem obywatelom, jeden z nich odparł:

- Tym razem będzie pan miał mnóstwo świadków. Nadbiskup Short jest zdecydowany doprowadzić do ukarania tego antychrysta.

Prokuratora nie interesowali antychryści, ale niebawem czekało go pierwsze z cyklu spotkań przedwyborczych.

- W porządku. Tylko pamiętajcie, że bez świadków niewiele uda mi się osiągnąć.

- Będzie pan ich miał.

Doktor Jubal Harshaw nie wiedział o tym wydarzeniu, lecz doszły go słuchy o zbyt wielu innych, żeby mógł zachować spokój. Zapadł na jedną z najgroźniejszych chorób, to znaczy pochłanianie wiadomości. Do tej pory wystarczyły mu usługi biura wycinków prasowych przysyłającego mu materiały dotyczące czterech haseł: Człowiek z Marsa, V. M. Smith, Kościół Wszystkich Planet i Ben Caxton. Ostatnio jednak już dwa razy



z największym wysiłkiem zwalczył pokusę, żeby kazać Larry'emu wstawić do gabinetu cholerne pudło.

Do licha, czemu te dzieciaki nie mogą od czasu do czasu napisać do niego paru słów zamiast kazać mu odchodzić od zmysłów ze zmartwienia?

- Pierwsza!

Weszła Anne, nie odrywając wzroku od padającego na zewnątrz śniegu i pustego basenu.

- Anne, wynajmij nam jakiś tropikalny atol i wystaw na sprzedaż to mauzoleum.

- Dobrze, szefie.

- Anne, czy zostałeś ze mną dlatego, że tak ci kazał Mike?

- Jestem tutaj dlatego, że mam na to ochotę - odparła po prostu.

- Hmm... To niezbyt jednoznaczna odpowiedź.

- Wiesz co, Jubal? Czasem żałuję, że nie jesteś małym chłopcem, któremu można spuścić lanie. Pozwolisz, że dokończę?

- Proszę bardzo.

Czy k t ó r e k o l w i e k z nich zostałyby tutaj?

Czy Maryam wyszłaby za Śmierdziela i wyjechała do Bejrutu, gdyby Mike nie wyraził na to zgody? Imiona jej dziecka - Fatima Michele - mogły świadczyć o nawróceniu się na nową wiarę, a także stanowić próbę okazania szacunku najbliższemu przyjacielowi męża... lub być szyfrem równie przejrzystym jak podwójne imię córeczki Anne. Jeśli tak, to czy Śmierdziel nic nie wiedział o tym, że jest rogakzem? A może był z tego powodu dumny, tak jak - podobno - święty Józef? Hmm... Należało uznać, że Mahmoud wiedział o wszystkim, choć Jubal jako agnostyk i lekarz szczerze wątpił, czy miało to dla niego jakieś znaczenie. Ale dla n i c h...

- Nie słuchasz mnie.

- Przepraszam. Bujałem w obłokach.

Przestań, obrzydliwy starcze! Patrzcie go: odgaduje przyczyny, dla których matki nadały swoim dzieciom akurat takie, a nie inne imiona! Potem weźmiesz się pewnie za numerologię... później za astrologię... wreszcie za spirytualizm, aż wreszcie, zamiast z godnością odcieleścić się we właściwym czasie, twoje głupie cielsko wyląduje w jakimś zakładzie dla dziecienniałych staruszków. Pójdź lepiej do gabinetu, otwórz zamkniętą na klucz szufladę numer dziewięć i zażyj dwie szczypty, choć jedna na pewno by wystarczyła...

- Nie musisz czytać tych wycinków, bo my zbieramy wszystkie wiadomości o Mike'u, a Ben obiecał, że natychmiast przekaże nam wszystko, czego dowie się prywatnymi kanałami. Ale przede wszystkim, Jubal, M i k e ' o w i n i e m o ż e s i ę s t a ć n i c z ł e g o. Wiedziałbyś o tym, gdybyś odwiedził Gniazdo, tak jak my troje.

- Nigdy nie zostałem zaproszony.

- My też nie mieliśmy zaproszeń. Nikt nie potrzebuje zaproszenia do własnego domu. Po prostu szukasz wymówki. Ben namawiał cię kilka razy, podobnie jak Dawn i Duke.

- Ale nie Mike.

- Szefie, Gniazdo należy do ciebie i do mnie w takim samym stopniu, jak do Mike'a. On po prostu jest pierwszym wśród równych, tak jak ty tutaj. Czy ten dom jest własnością Abby?

- Przypadkiem tak się składa, że zgadłaś - odparł. - Choć zrobiłem zastrzeżenie, że do mojej śmierci nikt nie ma prawa mnie stąd ruszyć.

Jubal sporządził nowy testament, zdając sobie sprawę, że nie musi troszczyć się o przyszłość nikogo, kto został wodnym bratem Mike'a. Jednak nie będąc pewnym wodnego statusu niemowlęcia - poza tym, że najczęściej było tu i ówdzie wilgotne - sporządził zapis na jego korzyść, a także kilkorga innych dzieci.

- Nie chciałem ci o tym mówić, ale chyba nie ma nic złego w tym, że będziesz wiedziała.

- Jubal... Rozczuliłeś mnie. Przez ciebie o mało nie zapomniałam, co miałam powiedzieć, a m u s z ę t o powiedzieć. Wiesz doskonale, że Mike nigdy nie będzie cię poganiał. Grokuje, że czeka na całość... i że ty czekasz na to samo.

- Hmm... Grokuje, że mówisz prawdziwie.

- W porządku. Twój dzisiejszy ponury nastrój jest pewnie związany z ponownym aresztowaniem Mike'a, ale to zdarzało się już tyle razy, że...

- Z a r e s z t o w a n i e m ? Nic o tym nie słyszałem! Do diabła, dziewczyno...

- Uspokój się! Ben nie dzwonił - i to jest dla nas najważniejsze. Wiesz przecież, jak często go aresztowano: w wojsku, kiedy występował w wesołym miasteczku, w paru innych miejscach, i co najmniej dziesięć razy jako kaznodzieję. Nigdy nie robi nikomu krzywdy, a że oni nie mogą mu niczego udowodnić, więc szybko wychodzi na wolność.

- Co to jest tym razem?

- Och, zwykłe bzdury: obrażanie moralności publicznej,

gwałt, założenie zbrodniczej organizacji, prowadzenie domu rozpusty, demoralizowanie nieletnich, próba naruszenia ustawy o powszechnym obowiązku nauki...

- Jak to?

- Cofnięto im zezwolenie na prowadzenie szkoły parafialnej, a dzieciaki nie zaczęły chodzić do szkoły publicznej. To nie ma znaczenia, Jubal; nic z tego nie ma znaczenia. Jedyne przestępstwo, które rzeczywiście popełnili, nigdy nie będzie mogło być udowodnione. Gdybyś zobaczył Gniazdo, wiedziałbyś, że nawet służbom specjalnym nie uda się tam zainstalować urządzenia szpiegującego, więc uspokój się.

- Czego tu chcesz, do diabła?

- Szefie... - wykrztusił Larry.

- Wyjdź stąd, zamknij za sobą drzwi i...

- Szefie, spalono kościół Mike'a!

Rzucili się pędem w kierunku pokoju Larry'ego.

- ...dziś o północy. Widzicie teraz państwo główne wejście do świątyni, tak jak wyglądało kilka minut po wybuchu. Mówi wasz Swojski Depeszowiec z sieci New World, nadając poranny serwis. Zostańcie na tym kanale, bo tylko tu czekają na was najświeższe wiadomości. A teraz kilka chwil dla naszego sponsora...

Obraz ściemniał, by zaraz ponownie się rozjaśnić, pokazując entuzjastycznie uśmiechniętą panią domu.

- Cholera! Larry, odłącz tego grata i przepchnij go do gabinetu. Anne... Nie, Dorcas: dzwoń do Bena.

- W jaki sposób? - zaprotestowała Anne. - Przecież oni nie mieli tam wizjofonu!

- W takim razie wyślij tam kogoś, żeby... Nie, to też bez sensu. Zadzwoń do komendanta policji... albo lepiej do prokuratora okręgowego. Z tego, co ostatnio słyszeliście o Mike'u, wynikało, że siedzi w ciupie, prawda?

- Zgadza się.

- Mam nadzieję, że nadal tam jest... podobnie jak pozostali.

- Ja też. Dorcas, weź ode mnie Abby. Ja się tym zajmę.

Kiedy weszli do gabinetu, na wizjofonie paliło się światelko przywołania, a także jeszcze jedno, informujące o włączeniu systemu przeciwposłuchowego. Jubal zaklął ciężko i włączył aparat, aby jak najszybciej pozbyć się intruza.

Na ekranie pojawił się Ben Caxton.

- Cześć, Jubal.

- Ben! Jak wygląda sytuacja?

- Widzę, że wiesz o wszystkim. Właśnie dlatego dzwonię. Wszystko jest pod kontrolą.

- A co z pożarem? Czy ktoś został ranny?

- Nie ma żadnych strat. Mike prosił, żeby ci przekazać...

- Jak to, żadnych strat? Przed chwilą widziałem zdjęcia! Główne wejście wyglądało jak po jakimś...

- Ach, to... - Ben wzruszył ramionami. - Proszę, posłuchaj mnie. Muszę jeszcze zadzwonić do kilku osób. Nie jesteś jedynym, którego trzeba uspokoić. Ale Mike kazał mi najpierw zawiadomić ciebie.

- Hm... Bardzo mi miło.

- Nikt nie jest ranny ani nawet zdrapany. Zniszczenia szacuję najwyżej na jakieś parę milionów. Wszystko pójdzie z dymem, jeśli użyje się odpowiedniej ilości dynamitu i benzyny.

- A więc jednak to było podpalenie?

- Jubal, proszę! Zaaresztowano nas ośmioro, to znaczy wszystkich z Dziewiątego Kręgu. Nakazy aresztowania były wystawione in blanco. Mike wydobył nas z ciupy w ciągu kilku godzin i został tam sam. Jest w areszcie w...

- Zaraz tam jadę!

- Spokojnie. Powiedział, żebyś wpadł, jeśli masz ochotę, ale to nic pilnego, a ja się z nim zgadzam. Ogień podłożono wczoraj w nocy, kiedy Świątynia była pusta, a wszystkie nabożeństwa odwołane z powodu aresztowań - to znaczy, pusta z wyjątkiem Gniazda. Wszyscy oprócz Mike'a byliśmy w Środkowej Świątyni, dzieląc się wodą na jego cześć, kiedy rozległa się eksplozja i wybuchł pożar. Przenieśliśmy się natychmiast do awaryjnego Gniazda.

- Mieliście cholerne szczęście, że udało się wam uciec!

- Zostaliśmy odcięci, Jubal. Nikt z nas nie przeżył.

- C o t a k i e g o ?

- Uważają nas za martwych lub zaginionych, bo po eksplozji nikt nie wydostał się z budynku... w każdym razie, żadnym ze znanych wyjść.

- Wyśliznęliście się przez "księżą dziurę"?

- Mike ma swoje metody, o których jednak nie mam najmniejszego zamiaru rozmawiać przez wizjofon.

- Powiedziałeś, że siedzi w ciupie?

- Bo siedzi.

- Ale...

- Wystarczy. Jeżeli tu przyjedziesz, nie przychodź do Świątyni. Nic z niej już nie będzie. Nie powiem ci, gdzie

jesteśmy... a dzwonię z zupełnie innego miejsca. Jeśli przyjedziesz - choć nie wiem, po co miałbyś to robić, bo w niczym nie możesz nam pomóc - sami cię znajdziemy.

- Ale...

- To wszystko. Do widzenia, Anne, Dorcas, Larry... Ty też się trzymaj, Jubal. I maleństwo. Dzielę się z wami wodą. Jesteście Bogiem.

Ekran ściemniał.

Jubal wyrzucił z siebie ciężkie przekleństwo.

- Wiedziałem, że to tak się skończy! Oto, do czego prowadzi babranie się w religii. Dorcas, wezwij mi taksówkę. Anne... nie, najpierw dokończ karmienie. Larry, spakuj moją torbę. Anne, potrzebuję całej gotówki, jaką posiadamy. Larry pójdzie jutro do banku i uzupełni zapas.

- Ja też jadę, szefie! - zaprotestował Larry.

- I my! - dodała Anne.

- Uszy po sobie, Anne. Zamknij buzię, Dorcas. To nie jest odpowiednia chwila po temu, żeby dawać kobietom prawo głosu. Znaleźliśmy się na pierwszej linii frontu i diabli wiedzą, co się może zdarzyć. Larry, zostaniesz tutaj, żeby chronić dwie kobiety i dziecko. Nie pójdziesz do żadnego banku, bo nie będzie wam potrzebna gotówka; żadne z was nie wytknie stąd nosa, dopóki nie wrócę. Ktoś zaczął ostrą grę, a między tamtym kościołem i tym domem istnieje wystarczająco dużo związków, żeby spróbował także tutaj. Larry, włącz na noc reflektory, puść prąd przez ogrodzenie i strzelaj bez wahania. W razie najmniejszego niebezpieczeństwa prowadź wszystkich do schronu - kołyskę Abby możesz tam wstawić już teraz. Dalej, zmykajcie! Muszę jeszcze się przebrać.

Trzy minuty później, kiedy Harshaw był już sam w gabinecie, z dołu dobiegł go głos Larry'ego:

- Szefie, przyleciała taksówka!

- Zaraz schodzę! - odkrzyknął Jubal, a następnie odwrócił się, by spojrzeć na małą kariatydę. W jego oczach pojawiły się łzy.

- Bardzo się starałaś, prawda, maleńka? - zapytał łagodnie. - Ale ciężar okazał się za duży...

Delikatnie pogłaskał rękę zdeformowanej postaci, odwrócił się i wyszedł.

Z taksówką stało się to, czego Harshaw zawsze spodziewał się po maszynach: uległa awarii i skierowała się do bazy w celu dokonania naprawy, w wyniku czego Jubal znalazł się w Nowym Jorku, jeszcze dalej od celu niż w momencie, kiedy wyruszał z domu. Okazało się, że szybciej niż czarterem może dotrzeć na miejsce zwykłym lotem rozkładowym, ale i tak dotarł do punktu przeznaczenia z wielogodzinnym opóźnieniem, spędziwszy dodatkowy czas w towarzystwie nieznanym ludzi, oglądając stereowizję.

Zobaczył między innymi nadbiskupa Shorta ogłaszającego początek świętej wojny przeciwko antychrystowi, to znaczy Mike'owi, a także reportaż z całkowicie zniszczonego budynku - nie rozumiał, w jaki sposób komukolwiek udało się ująć z życiem. Augustus Greaves relacjonował z przejściem ustalony przebieg wydarzeń, dając jednak w zawołany sposób do zrozumienia, że często w kłótni o miedzę jeden z sąsiadów prowokuje drugiego i że jego zdaniem tym prowokującym był w tym przypadku Człowiek z Marsa.

Wreszcie Jubal znalazł się na miejskim lądowisku, pocąc się obficie w zimowym ubraniu. Zauważył, że palmy w dalszym ciągu wyglądają jak wyskubane miotełki do kurzu, a niebo przypomina odwróconą miskę wypełnioną łupinami grapefruta i ludzkimi ekskrementami, po czym zaczął się zastanawiać, co dalej.

Podszedł do niego mężczyzna w czapce z daszkiem.

- Taksówkę?

- Hmm... Tak, poproszę.

Może przecież pojechać do hotelu i zwołać konferencję prasową, dzięki której poinformuje o miejscu swego pobytu.

- Tędy. - Kierowca zaprowadził go do obdrapanej taksówki. - Dzielę się z tobą wodą - powiedział cicho, wkładając do bagażnika torbę Jubala.

- Hę?... Obyś nigdy nie był spragniony.

- Tyś jest Bogiem. - Zamknął za nim drzwi i usiadł za sterami.

Wylądowali na prywatnej platformie parkingowej usytuowanej na dachu dużego, stojącego w pobliżu plaży hotelu. Pilot zablokował stacyjkę, wziął bagaż Jubala i poprowadził go do wnętrza budynku.

- Nie mógłbyś tu wejść przez parter, bo w korytarzu roi się od jadowitych węży. Gdybyś chciał wyjść na ulicę, lepiej zapytaj kogoś o drogę. Nazywam się Tim.

- Jubal Harshaw.

- Wiem, bracie Jubalu. Proszę tędy. Ostrożnie. - Weszli do obszernego luksusowego apartamentu, a następnie do sypialni połączonej z łazienką. - To twój pokój - powiedział Tim, postawił na podłodze torbę Jubala i wyszedł. Na stole Harshaw znalazł karafkę z wodą, szklanki, pojemnik z lodem i swoją ulubioną brandy. Przygotowawszy sobie niewielkiego drinka wysączył go, westchnął głęboko i zdjął zimową kurtkę.

Do sypialni weszła kobieta niosąc tacę z kanapkami. Jubal uznał, że jej sukienka stanowi strój pokojówki, gdyż nie przypominała w niczym charakterystycznych dla tego rejonu szortów, kostiumów kąpielowych, sarongów i tym podobnych ubiorów, mających za zadanie przede wszystkim odsłaniać, nie zaś zakrywać. Kobieta jednak uśmiechnęła się i powiedziała:

- Pij do woli i obyś nigdy nie zaznał pragnienia, mój bracie.

Następnie postawiła tacę na stole, odkręciła wodę w kranie nad wanną i rozejrzała się uważnie po pokoju.

- Potrzebujesz jeszcze czegoś, Jubal?

- Ja? Nie, wszystko w porządku. Czy Ben Caxton jest gdzieś w pobliżu?

- Tak, ale powiedział, że najpierw będziesz chciał się wykapać i chwilę odpocząć. Powiedz, gdybyś jeszcze czegoś potrzebował. Możesz poprosić kogokolwiek albo zapytać o mnie. Nazywam się Patty.

- Och! "Życie archanioła Fostera"...

Uśmiechnęła się ponownie i Jubal odniósł wrażenie, że skrzywdził ją, oceniając na trzydzieści kilka lat.

- Tak.

- Bardzo bym chciał to zobaczyć. Interesuję się sztuką religijną.

- Teraz? Nie, grokuję, że najpierw wolisz się wykapać. Chyba że potrzebujesz pomocy?

Jubal pamiętał doskonale, że jego wytatuowana znajoma Japonka wielokrotnie składała mu tę samą propozycję, lecz teraz zależało mu wyłącznie na tym, żeby zmyć z siebie brud i przebrać się w letnie ciuchy.

- Piękne dzięki, Patty. Ale chętnie obejrzę twoje obrazki, jak tylko będziesz miała trochę czasu.

- Kiedy tylko zechcesz.

Wyszła szybko, choć bez zbytniego pośpiechu.

Jubal oparł się pokusie długiego leżenia w wannie i już niebawem przetrząsał spakowaną przez Larry'ego torbę,

pomrukując z irytacją, ponieważ nie mógł znaleźć letnich pantofli. Zdecydował się wreszcie na sandały, szorty i jaskrawą koszulę, co upodobiło go do pochłapanego farbą emu i uwydatniło jego chude, włochate nogi. Nie przejął się tym zbyt, gdyż już wiele lat temu przestał zwracać uwagę na podobne szczegóły; takie ubranie powinno w zupełności wystarczyć, przynajmniej do czasu, kiedy będzie musiał pokazać się na ulicy... lub w sądzie. Czy miejscowa adwokatura utrzymywała jakieś kontakty z Pensylwanią?

Przeszedł do obszernego salonu, charakteryzującego się bezpłciowością typową dla pomieszczeń we wszystkich hotelach na świecie. Zastał w nim kilka osób wpatrzonych w największy odbiornik stereowizji, jaki kiedykolwiek widział poza kinem. Jeden z nich oderwał wzrok od ekranu i podszedł do Harshawa.

- Cześć, Jubal.

- Witaj, Ben. Jak się przedstawia sytuacja? Czy Mike nadal jest w więzieniu?

- Och, nie. Wyszedł wkrótce po naszej rozmowie.

- Ustalono już termin wstępnego przesłuchania?

Ben uśmiechnął się.

- Źle mnie zrozumiałeś, Jubal. Mike nie został zwolniony, tylko uciekł.

- Co za głupota! - odparł z niesmakiem Jubal. - Teraz sprawa będzie osiem razy trudniejsza.

- Powiedziałem ci, żebyś się nie martwił. Wszyscy jesteśmy uznani za martwych, a Mike za zaginionego. To i tak nie ma najmniejszego znaczenia, bo skończyliśmy już z tym miastem. Przenosimy się gdzie indziej.

- Zażądamy ekstradycji.

- Nie obawiaj się, nic nie wskórają.

- Hmm... A gdzie on jest? Muszę z nim porozmawiać.

- Kilka pokoi stąd, pogrążony w medytacji. Prosił, aby ci przekazać, żebyś nie podejmował żadnych kroków. Jeśli bardzo ci zależy, będziesz mógł z nim rozmawiać - Jill wie, jak przywołać go z powrotem - ale ja bym tego nie polecał. Nie ma pośpiechu.

Jubal pragnął czym prędzej porozmawiać z Mike'em - i objechać go za to, że wplątał się w tak paskudną historię - ale wiedział o tym, że naruszenie spokoju Człowieka z Marsa pogrążonego w medytacji mogło skończyć się jeszcze gorzej niż naruszenie spokoju Jubala zajętego dyktowaniem opowiadania; chłopiec sam obudzi się z transu, kiedy zgrokuje wszystko w całości, cokolwiek miało to znaczyć. Dopóki mu się to nie uda,



nikt nie będzie miał z niego żadnego pożytku. Budzenie go było równie mało roztropne, co potrząsanie śpiącym niedźwiedziem.

- W porządku. Ale chcę się z nim widzieć natychmiast, jak tylko się obudzi.

- Dobrze. Teraz odpręż się i odpocznij po trudach podróży.

Ben zaprowadził go do grupy zgromadzonej wokół odbiornika.

- Witaj, szefie - powiedziała Anne i przesunęła się nieco.

- Siadaj koło mnie.

Jubal postąpił zgodnie z jej życzeniem.

- Możesz mi powiedzieć, co tu robisz, do wszystkich diabłów?!

- To samo co ty, to znaczy nic. Proszę, nie bądź nietaktowny. Nasze miejsce jest właśnie tutaj, podobnie jak twoje, ale w domu byłeś zbyt zdenerwowany, żeby z tobą dyskutować. Lepiej odpręż się i posłuchaj, co o nas opowiadają. Szeryf właśnie oświadczył, że przepędzi z miasta wszystkie ladacznice, czyli nas. - Uśmiechnęła się. - Jeszcze nigdy nikt nie wypędzał mnie z miasta. Czy to się robi kolejną? A może będę musiała iść na piechotę?

- Nie wydaje mi się, żeby istniały jakieś konkretne przepisy. Przyjechaliście wszyscy?

- Tak, ale o nic się nie martw. Larry i ja już w zeszłym roku umówiliśmy się na wszelki wypadek z chłopcami McClintocka; wiedzą, jak uruchamia się piec i gdzie są wszystkie wyłączniki, więc możesz się nie niepokoić.

- Hmm... Zaczynam myśleć, że jestem lokatorem w moim własnym domu.

- Przecież sam chciałeś, żebyśmy prowadzili go nie zawracając ci głowy szczegółami. Wielka szkoda, że nie chciałeś, byśmy lecieli wszyscy razem, bo jesteśmy tu już od paru godzin. Wygląda na to, że miałeś jakieś kłopoty...

- Miałem. Anne, kiedy teraz wrócę do domu, już nigdy nie ruszę się z niego nawet na krok. Wyłączę telefon i rozwalę na kawałki to cholerne pudło.

- Tak, Jubal.

- Tym razem mówię serio. - Zerknął na gigantyczny odbiornik. - Czy te reklamy nigdy się nie skończą? A poza tym, gdzie jest moja wnuczka? Chyba nie zostawiliście jej pod opieką niedorozwiniętych synów McClintocka?

- Oczywiście, że nie. Jest z nami. Dzięki Bogu, ma nawet swoją własną piastunkę.

- Chcę ją zobaczyć.

- Patty cię do niej zaprowadzi. Na razie mam jej dosyć; w

czasie drogi ani przez chwilę nie dała mi spokoju. Patty, kochanie... Jubal chce zobaczyć Abby.

Wytatuowana kobieta natychmiast wstała i ruszyła w kierunku drzwi.

- Oczywiście, Jubal. Akurat mam chwilę czasu. Pozwól ze mną. Trzymam dzieci w moim pokoju - dodała, kiedy Jubalowi udało się wreszcie ją dogonić - żeby Pieszczoch mógł mieć na nie oko.

Jubal doznał lekkiego wstrząsu, kiedy zobaczył, o czym mówiła Patrycja. Olbrzymi boa leżał zwinięty na łóżku tworząc gniazdo, a właściwie dwa gniazda, gdyż końcowa część jego ciała dzieliła kolistą przestrzeń we wnętrzu jego splotów na dwie równe części. Każda była wymoszczona kocykiem i w każdej znajdowało się jedno niemowlę.

Kiedy weszli do pokoju, gadzia piastunka uniosła pytająco głowę. Patty pogłaskała węża i powiedziała uspokajająco:

- Wszystko w porządku, kochanie. Tata Jubal chce zobaczyć dzieci. Jubal, dotknij go i pozwól, żeby cię zgrokował i zapamiętał.

Harshaw najpierw zagulgotał pieszczotliwie pod adresem swojej ulubionej dziewczyny, gaworzącej i wierzgającej nóżkami, po czym pogłaskał węża po głowie. Był to najwspanialszy okaz Boidae, jaki widział w życiu - chyba najdłuższy spośród wszystkich dusicieli trzymany w niewoli. Wzór z przecinających się linii był doskonale widoczny, a intensywne barwy w części ogonowej ostre i wyraźne. Jubal zazdrościł Patty jej ulubieńca i szczerze żałował, że nie będzie miał czasu się z nim zaprzyjaźnić.

Wąż potarł łbem o jego rękę jak kot. Patty wyjęła Abby z jej przegródki.

- Pieszczochu, dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Zawsze mi mówi, kiedy któreś z nich zapłacze się w śpiochy albo potrzebuje pomocy, bo sam może co najwyżej wepchnąć je z powrotem, kiedy próbują wylazić. Wciąż jednak nie potrafi zgrokować, że dziecko, które ma mokro, powinno zostać przewinięte - nie widzi w tym nic złego, zresztą podobnie jak Abby.

- Wiem o tym. Kim jest ta druga smakowita brzoskwinka?

- To Fatima Michele. Myślałam, że wiesz.

- Oni też są tutaj? Wydawało mi się, że mieszkają w Bejrucie!

- Właśnie wrócili z zagranicy. Maryam mówiła mi skąd, ale to dla mnie nic nie znaczy, bo ja nigdy nigdzie nie

jeździłam. Głęboko, że wszystkie miejsca są jednakowe - różnią się tylko ludzie. Chcesz potrzymać Abigail, żebym mogła sprawdzić pieluchę Fatimie?

Jubal chciał. Natychmiast zapewnił Abby, że jest najpiękniejszą dziewczyną na świecie, a w chwilę później to samo oświadczył Fatimie. Za każdym razem mówił to z pełnym przekonaniem i dziewczynki całkowicie mu uwierzyły. Powtarzał to niezliczoną ilość razy od wielu lat, zawsze z najwyższą powagą, a jego słowu zawsze dawano pełną wiarę.

Ociągając się wyszedł z pokoju, na odchodnym poklepał Pieszczocha po głowie i obdarzył go podobnym komplementem.

Zaraz za drzwiami wpadli na matkę Fatimy.

- Szefie! - Pocałowała go i poklepała po brzuchu. - Widzę, że dobrze cię karmią.

- Od czasu do czasu. Właśnie bawiłem się z twoją córeczką. Cudowne dziecko, Miriam.

- Udana, prawda? Mamy zamiar sprzedać ją w Rio.

- Wydawało mi się, że lepszą cenę można uzyskać w Jemenie.

- Śmierdziel twierdzi inaczej. Musimy się przespokojej, żeby zrobić miejsce. - Położyła jego dłoń na swoim brzuchu. - Czujesz? Tym razem zrobiliśmy chłopca. Nie mamy już czasu na córki.

- Maryam! - skarciła ją łagodnie Patrycja. - Nie wolno tak mówić.

- Przepraszam, Patty. Już nie będę. Ciotka Patty jest prawdziwą damą, w przeciwieństwie do mnie.

- Ja też odnoszę takie wrażenie, ty diablę wcielone. Jeśli Fatima rzeczywiście jest na sprzedaż, to dam wam za nią dwa razy więcej od najwyższej oferty.

- Porozmawiaj o tym z Patty; ja mogę widywać moją córkę tylko od czasu do czasu.

- Na razie nic po tobie nie widać, więc może jednak będziesz chciała zatrzymać ją. Niech no przyjrę się twoim oczom... Hmm... Możliwe.

- Pewne. Mike zrozumiał to bardzo dokładnie i powiedział Śmierdzielowi, że jest chłopiec.

- W jaki sposób on może zrozumieć takie rzeczy? Ja nawet nie mam pewności, czy w ogóle jesteś w ciąży!

- Na pewno jest, Jubal - wtrącała się Patrycja.

Miriam spojrzała na niego pogodnie.

- Wciąż tak samo sceptyczny jak dawniej, szefie? Mike zrozumiał to jeszcze wtedy, kiedy byliśmy w Bejrucie, zanim któreś z nas dowiedziało się, że zaszłam w ciążę. Zadzwoił do

nas i powiedział nam o tym, więc Śmierdziel natychmiast wziął urlop z uniwersytetu i czym prędzej tu przyjechaliśmy.

- Po co?

- Żeby napisać słownik - wyjaśniła mu Patty.

- Marsjańsko-angielski? To chyba bardzo trudne.

- Och, skądże znowu! - Miriam sprawiała wrażenie niemal wstrząśniętej. - To by było niemożliwe. Chodzi o słownik marsjańsko-marsjański. Nikt nigdy tego nie zrobił, bo Marsjanie nie potrzebują takich rzeczy. Mój udział nie jest zbyt wielki, bo właściwie tylko przepisuję to, co oni wymyślą. Mike i Śmierdziel - głównie Śmierdziel - opracowali alfabet dla zapisywania marsjańskich dźwięków. Ma osiemdziesiąt jeden liter. Przerobiliśmy maszynę do pisania, wykorzystując wszystkie kombinacje klawiszy... Szefie, jestem skończona jako sekretarka - teraz piszę wyłącznie po marsjańsku. Czy mimo to będziesz mnie nadal kochał? Nawet wtedy, kiedy zawołasz Pierwsza! i okaże się, że już do niczego się nie nadaję? Wciąż jeszcze potrafię gotować... i podobno mam talent do kilku innych rzeczy.

- Będę dyktował po marsjańsku.

- Żebyś wiedział, poczekaj tylko jak Mike i Śmierdziel wezmą się za ciebie. Głęboko, że tak będzie. Co ty na to, Patty?

- Mówisz prawdziwie.

Wrócili do salonu. Dołączył do nich Ben, zaproponował Jubalowi, żeby poszukali jakiegoś spokojniejszego miejsca i zaprowadził go do innego pokoju.

- Zdaje się, że wynajęliście całe piętro - zauważył Harshaw.

- Zgadza się - potwierdził Caxton. - Wszystkie cztery apartamenty: sekretarski, prezydencki, królewski i prywatny właściciela. Są ze sobą połączone, a dostać się tu można wyłącznie z prywatnego lądowiska na dachu... no i przez główne foyer, ale to niezbyt bezpieczna droga.

- Ben, w jaki sposób możecie tu przebywać właściwie nie kryjąc się przed nikim? Obsługa hotelu na pewno na was doniesie.

- Obsługa w ogóle tu nie przychodzi. Ten hotel jest własnością Mike'a.

- Tym gorzej.

- Na pewno nie, przynajmniej tak długo, jak długo miejscowy szef policji dostaje czeki z podpisem Douglasa. Mike załatwił akt własności za pośrednictwem czterech podstawionych

ludzi, a Douglas nigdy nie kwestionuje jego poleceń. Odkąd zamiast moich felietonów zaczęły się pojawiać artykuły Osa Kilgallena, Douglas przestał mnie nienawidzić, ale nie ma najmniejszego zamiaru zrezygnować ze sprawowania kontroli nad interesami. Oficjalnie właścicielem jest jeden z tajnych członków Dziewiątego Kręgu, który rezerwuje to piętro na cały sezon, a dyrektor hotelu nigdy nie pyta, po co ani dlaczego - zdaje się, że bardzo lubi swoją pracę. To znakomita kryjówka, dopóki Mike nie zgrokuje, dokąd powinniśmy się przenieść.

- Wygląda na to, że przewidział tę sytuację.

- Jestem tego pewien. Dwa tygodnie temu usunął z Gniazda wszystkie dzieci, z wyjątkiem Maryam i jej małej. Maryam jest tu potrzebna. Wysłał rodziców z dziećmi do innych miast, w których ma zamiar w przyszłości otworzyć świątynie. Kiedy nadszedł czas, zostało nas niewiele ponad dziesięć osób. Obyło się bez żadnych problemów.

- Ale ledwo udało się wam ujść z życiem. Przypuszczam, że utraciliście cały dobytek?

- Och, uratowaliśmy wszystko, co najważniejsze: taśmy z nagraniami, przerobioną maszynę do pisania, której używa Maryam, tę twoją okropną Madame Tussaud. Mike'owi udało się nawet złapać trochę ubrań i pieniędzy.

- Mike'owi? - zapytał ze zdziwieniem Jubal. - Przecież on wtedy siedział w więzieniu!

- W więzieniu zostało jego pogrążone w transie ciało, ale on cały czas był z nami, rozumiesz?

- Nie grokuję.

- Kontakt myślowy. Posługiwał się głównie umysłem Jill, ale ciągle byliśmy wszyscy razem. Nie potrafię ci tego wyjaśnić - musiałbyś sam to zrobić. Kiedy nastąpiła eksplozja, przeniósł nas tutaj, a potem wróciliśmy, żeby uratować najpotrzebniejsze rzeczy. - Jubal zmarszczył brwi, a Caxton dodał ze zniecierpliwieniem: - Dzięki teleportacji, oczywiście. Czy to naprawdę tak trudno zgrokować? Sam mi mówiłeś, że muszę mieć szeroko otwarte oczy, żeby rozpoznać cud, kiedy go zobaczę. Zrobiłem to i zobaczyłem całe mnóstwo cudów. Tyle tylko, że to nie są żadne cuda, podobnie jak radio. Grokujesz radio? Albo stereowizję? Komputery?

- Ja? Oczywiście, że nie.

- Ani ja. Ale gdybym poświęcił trochę czasu, by nauczyć się języka elektroniki, okazałoby się, że to nie żaden cud, tylko po prostu bardzo skomplikowana technika. Teleportacja jest łatwa, pod warunkiem, że pozna się język - jedynie on jest

trudny.

- Ben, czy ty też potrafisz teleportować przedmioty?

- Niestety, tego nie uczą w przedszkolu. Zostałem diakonem niejako z urzędu, jako jeden z Pierwszych Powołanych, ale pod względem rzeczywistego zaawansowania jestem w okolicach Czwartego Kręgu. Pomału zaczynam kontrolować własne ciało. Patty regularnie wykorzystuje teleportację, ale nie jestem pewien, czy choć raz zrobiła to bez pomocy Mike'a. On twierdzi, że doskonale dałaby sobie radę sama, lecz Patty jest tak naiwna i tak wielbi jego geniusz, że czuje się od niego całkowicie zależna, choć wcale nie musi. Jubal, ja to gromię w taki sposób: my właściwie już nie potrzebujemy Mike'a. Człowiekiem z Marsa mógłbyś być nawet ty albo ja. Mike jest jak człowiek, który wynalazł ogień; ogień był zawsze, a kiedy pokazał innym, jak z niego korzystać, potrafił to już każdy... kto miał dość zdrowego rozsądku, żeby się nie poparzyć. Rozumiesz mnie?

- Gromię, przynajmniej częściowo.

- Mike odegrał rolę Prometeusza. Tyś jest Bogiem, ja jestem Bogiem, on jest Bogiem. Mike jest takim samym człowiekiem, jak każdy z nas. Wspaniałym człowiekiem, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Gdyby za nauczanie takich rzeczy wziął się ktoś mniejszego formatu, na pewno nie oparłby się pokusie, żeby odegrać rolę bożka. Mike wznosił się ponad to. Jest Prometeuszem - i to wszystko.

- Prometeusz zapłacił wysoką cenę za to, że przyniósł ludziom ogień - zauważył Jubal.

- Nie wyobrażaj sobie, że z nim jest inaczej! Płaci za to pracując dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu, usiłując nauczyć nas, jak mamy bawić się zapalkami, żeby się przy tym nie poparzyć. Jill i Patty z najwyższym trudem wymogły na nim, by odpoczywał choć przez jedną noc na tydzień. - Caxton uśmiechnął się. - Ale Mike'a nie można powstrzymać. W tym mieście jest mnóstwo kasyn gry, najczęściej zakamuflowanych, bo oficjalnie gry hazardowe są tutaj nielegalne. Mike spędził swoją wolną noc chodząc od jednego do drugiego, grając - i wygrywając. Próbowali go oszukać, próbowali go zabić, próbowali zastraszyć, ale jemu i tak udało się zdobyć sławę człowieka obdarzonego największym szczęściem w mieście, co spowodowało do Świątyni jeszcze więcej ludzi. Próbowali więc trzymać go z daleka, co okazało się karygodnym błędem. Drinki zamarzały w dłoniach, koła ruletek nie chciały się kręcić, kości do gry spadały ze stołów... Wreszcie zrezygnowali, ale pod warunkiem, że nie pozostanie zbyt długo w

jednym miejscu. Mike zawsze bardzo chętnie wychodził, zgarnawszy trochę pieniędzy, pod warunkiem, że go o to grzecznie poproszono. W ten sposób zyskaliśmy kolejnego przeciwnika; tępią nas już nie tylko fosterycy i wszystkie inne wyznania, ale także syndykat i ludzie rządzący miastem. Myślę, że naszą Świątynię załatwili profesjonaliści. Wątpię, czy miały z tym coś wspólnego oddziały szturmowe fosterytów.

Podczas ich rozmowy przez pokój przewijały się mniejsze i większe grupy ludzi. Jubal wyczuwał u nich niezwykle nastawienie - spokojny luz połączony z dynamicznym napięciem. Nikt nie był podekscytowany, nikt się nie śpieszył, a jednocześnie wszystko, co robili, miało jakiś cel. Jubal odniósł wrażenie, jakby każdy ich ruch został wcześniej zaplanowany przez choreografa.

Spokój podszyty narastającym napięciem... Nie, to nie było napięcie, tylko oczekiwanie. Ci ludzie na pewno niczego się nie bali. Coś mu to przypominało... Operację przeprowadzaną przez znakomitego chirurga, w całkowitej ciszy, bez żadnych zbędnych ruchów?

Już wiedział: wiele lat temu, kiedy do pierwszych podbojów kosmosu używano jeszcze rakiet napędzanych paliwem chemicznym, był świadkiem przedstartowego odliczania. Te same przyciszone głosy, te same różnorodne, ale skoordynowane czynności, to samo narastające oczekiwanie. Zarówno tamci, jak i ci ludzie czekali na całość, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Ale co to miało być? Dlaczego są tacy szczęśliwi? Przecież zniszczono ich Świątynię i wszystko, co zbudowali, a mimo to przypominali dzieci czekające na wieczór wigilijny.

Niemal od razu po przybyciu na miejsce Jubal zwrócił uwagę, że nie obowiązuje tutaj nagość, która tak bardzo zbulwersowała Bena podczas jego pierwszej wizyty w Gnieździe, pomimo bardzo sprzyjających warunków do praktykowania tego zwyczaju. Nie zdołał zauważyć, kiedy się pojawiła; tak bardzo czuł się jak w gronie najbliższej rodziny, że kwestia ubrania lub jego braku przestała mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie.

Zwrócił natomiast uwagę na najpiękniejszą kaskadę kruczoczarnych włosów, jaką widział w życiu; należała do młodej kobiety, która weszła do pokoju, powiedziała do kogoś kilka słów, posłała Benowi całusa, obrzuciła Jubala ciężkim spojrzeniem, po czym wyszła. Harshaw odprowadził ją wzrokiem, podziwiając jedwabistą masę nieprzeniknionej czerni. Dopiero kiedy kobieta zniknęła za drzwiami, zdał sobie sprawę z tego, iż

te przepiękne włosy stanowiły jej jedyny strój... a wtedy spostrzegł, że wśród zebranych przebywa kilkoro braci ubranych w identyczny sposób.

Ben zauważył jego spojrzenie.

- To Ruth - wyjaśnił. - Nasza nowa kapłanka. Pojechała z mężem na drugie wybrzeże, zdaje się, żeby przygotować grunt pod założenie nowej świątyni. Cieszę się, że już wrócili. Wygląda na to, że cała rodzina będzie w domu.

- Piękne włosy. Żałuję, że nie została dłużej.

- Więc dlaczego jej nie zawołałeś?

- Proszę?

- Przyszła tu wyłącznie po to, żeby na ciebie zerknąć; zdaje się, że dopiero co przyjechali. Nie zauważyłeś, że wszyscy właściwie zostawili nas samych?

- No... rzeczywiście.

Jubal przygotował się psychicznie na konieczność stawienia czoła niepożądaney poufałości, lecz przekonał się, że chciał wejść na stopień, którego wcale nie było. Przyjęto go uprzejmie, ale była to raczej uprzejmość kota, nie zaś nadmiernie przyjaznego psa.

- Wszyscy są strasznie podnieceni faktem, że jesteś z nami i bardzo chcieliby cię poznać... ale boją się ciebie.

- M n i e ?

- Przecież mówiłem ci o tym już poprzedniego lata. Jesteś mitem rozdmuchanym do rozmiarów znacznie przekraczających naturalne. Mike powiedział im, że jesteś jedynym człowiekiem, jakiego zna, który potrafi grokować w całości nie znając marsjańskiego. Większość z nich podejrzewa, że czytasz w myślach równie biegle jak on.

- Co za bzdury! Mam nadzieję, że wyjaśniłeś im, jak jest naprawdę?

- A kim ja jestem, żeby niszczyć mit? Naprawdę boją się ciebie - na śniadanie jadasz dzieci, a kiedy rykniesz, ziemia trzęsie się w posadach. Każdy byłby zachwycony, gdybyś się do niego zwrócił, ale sami nie będą ci się narzucać. Wiedzą o tym, że nawet Mike staje na baczność, kiedy do niego mówisz.

Jubal skwitował wypowiedź Bena jednym soczystym słowem.

- Oczywiście - zgodził się Caxton. - Mike ma pewne słabe punkty - mówiłem ci, że jest tylko człowiekiem. Ale ty zostałeś nie dość, że świętym, lecz także patronem, i nic nie możesz na to poradzić.

- Hmm... O, wreszcie ktoś, kogo znam! Jill! J i l l !

Chodź tu, kochanie!



Kobieta odwróciła się niepewnie w jego stronę.

- Jestem Dawn. Ale dziękuję, chętnie przyjdę. - Kiedy podeszła, Jubal miał wrażenie, że pocałuje go w usta, lecz ona zamiast tego przyklękła na jedno kolano i złożyła pocałunek na jego ręce. - Witamy cię, Ojczy Jubal, i pijemy cię głęboko.

Harshaw wyrwał rękę.

- Na litość boską, dziecko! Wstań i siadaj tutaj. Dziel się z tobą wodą.

- Tak, Ojczy Jubal.

- He?... Mów mi po imieniu i poinformuj innych, że nie życzę sobie być traktowany jak trędowaty. Mam nadzieję, że znalazłem się na łonie rodziny?

- Tak... Jubal.

- W takim razie chcę, żeby zwracano się do mnie po imieniu i traktowano mnie jak wodnego brata. Ani lepiej, ani gorzej. Ten, kto pierwszy spróbuje okazać mi szacunek, zostanie za karę po lekcjach. Grokujesz?

Dawn skinęła głową.

- Tak, Jubal. Już im powiedziałam.

- Jak to?

- Najprawdopodobniej przekazała to Patty - wyjaśnił Ben. - Patty zaś powtarza to wszystkim, którzy mogą usłyszeć jej myśli, a oni z kolei przekazują to takim jak ja, wciąż jeszcze trochę głuchym.

- Właśnie - potwierdziła jego słowa Dawn. - Tyle tylko, że najpierw powiedziałam Jill, bo Michael wysłał Patty po coś na zewnątrz. Jubal, czy oglądałeś stereowizję? To bardzo podniecające.

- Szczerze mówiąc, nie.

- Masz na myśli ucieczkę z więzienia?

- Tak, Ben.

- Nie dyskutowaliśmy o tym. Jubal, on nie tylko wyszedł stamtąd i wrócił do domu, ale podrzucił im jeszcze parę cudów, żeby mieli nad czym myśleć. Porozwalał wszystkie drzwi i kraty w więzieniu okręgowym, a także w pobliskim stanowym, i rozbroił policjantów - częściowo po to, żeby ich zająć, a częściowo dlatego, że pomyślał, by zamykać człowieka w więzieniu, bez względu na to, co uczynił, budzi w nim obrzydzenie. Grokuje w tym wielką niewłaściwość.

Jubal skinął głową.

- To by się zgadzało. Mike jest bardzo łagodny. Myśl o tym, że ktokolwiek siedzi za kratkami, szalenie by go bolała.

- Mike wcale nie jest łagodny - zaprzeczył Ben. - Zabicie

człowieka to dla niego żaden problem. Jest natomiast anarchistą doskonałym: występuje przeciwko zamykaniu ludzi. Wolność jednostki i jednocześnie pełna odpowiedzialność za swoje czyny. Tyś jest Bogiem.

- W którym miejscu dostrzegasz pan konflikt? Zabicie człowieka może w pewnych okolicznościach być konieczne, ale zapudłowanie go stanowi naruszenie zarówno jego osobistej integralności, jak i twojej.

Ben spojrział na Jubalą.

- Mike ma rację. Ty grokujesz w całości, na jego sposób. Ja jeszcze... Ja wciąż się uczę. - Umilkł, po czym dodał: - Jak oni to przyjęli, Dawn?

Zachichotała cichutko.

- Jak rozjuzzone szerszenie. Burmistrz wręcz szaleje. Zażądał pomocy od stanu i Federacji, i dostał ją. Widzieliśmy, jak przylatują transportowce, ale kiedy żołnierze zaczynają wysiadać, Mike natychmiast pozbawia ich broni i ubrań, a kiedy pojazd jest już pusty, też znika.

- Grokuję, że pozostanie w transie tak długo, dopóki tamci nie zrezygnują - powiedział Ben. - Inaczej nie poradziłby sobie z tyloma szczegółami.

- Nie wydaje mi się, Ben - odparła z zastanowieniem Dawn. - Ja na pewno musiałabym to zrobić, nawet gdybym miała do czynienia z jedną dziesiątą tego, co on, ale grokuję, że Michael dałby sobie radę nawet stojąc na głowie i jednocześnie jeżdżąc na rowerze.

- Hmm... Nie jestem tego pewien. Jeżeli o to chodzi, to wciąż jeszcze stawiam babki z piasku. - Podniósł się z miejsca. - Czasem po rozmowie z wami, cudotwórcami, zaczyna boleć mnie głowa. Idę popatrzeć na stereo. - Nachylił się, by ją pocałować. - Zabawiaj starego Tatusia Jubalą, on lubi takie małe dziewczynki.

Odwrócił się i odszedł, a za nim poleciało pudełko papierosów i wskoczyło mu do kieszeni.

- Kto to zrobił? Ty czy on? - zapytał Jubal.

- On. Ben wiecznie zapomina papierosów i potem ganiają go po całym Gnieździe.

- No, no... Nieźle, jak na stawianie babek z piasku.

- Ben czyni znacznie szybsze postępy niż się do tego przyznaje. Jest bardzo świątobliwą osobą.

- Hmm... Dawn, czy ty jesteś tą Dawn Ardent, którą poznałem w Świątyni Fostera?

- Och, pamiętasz mnie? - Wyglądała tak, jakby wręczył jej

lizaka.

- Oczywiście. Ale zmieniłaś się od tego czasu. Jesteś znacznie piękniejsza.

- To prawda - odparła z prostotą. - Wzięłaś mnie za Gillian, a ona także bardzo wyładniała.

- Właśnie, gdzie ona się podziewa? Myślałem, że zaraz ją zobaczę.

- Pracuje. - Przerwa. - Powiedziałaś jej, że jesteś, i już tu idzie. - Jeszcze jedna przerwa. - Muszę ją zastąpić, jeśli mi pozwolisz.

- Biegnij, dzieciно.

Wstała i wyszła z pokoju, a jej miejsce zajął doktor Mahmoud. Jubal spojrział na niego kwaśno.

- Mógłbyś znaleźć w sobie choć tyle dobrego wychowania, by zawiadomić mnie, że przebywasz w tym kraju, a nie pozostawiać przedstawienie mi mojej wnuczki jakimś nieznanym wężom!

- Och, Jubal! Tobie zawsze okropnie się śpieszy.

- Kiedy ma się tyle lat, co... - Nie dokończył, bo czyjeś dłonie zasłoniły mu oczy.

- Zgadnij, kto to?

- Belzebub?

- Jeszcze raz.

- Lady Makbet?

- Ciepłej.

- Gillian, przestań się wyglupiać, chodź tutaj i siadaj obok mnie.

- Tak, Ojczy - odparła posłusznie.

- I nie nazywaj mnie ojcem nigdzie poza naszym domem. Wracając do naszej rozmowy: mówiłem, że kiedy ma się tyle lat, co ja, pośpiech staje się czymś wręcz nieodzownym. Każdy kolejny wschód słońca jest jak bezcenny klejnot, gdyż nie wiadomo, czy zdąży się jeszcze zobaczyć jego zachód.

Mahmoud uśmiechnął się.

- Jubal, czy ty uważasz, że jeśli choć na chwilę przestaniesz marudzić, to świat przestanie się kręcić?

- Z całą pewnością - przynajmniej z mojego punktu widzenia. - Dołączyła do nich Miriam; w milczeniu usiadła z drugiej strony Jubala, a on objął ją ramieniem. - Choć wcale nie jest prawdą, że marzyłem o tym, by jeszcze raz ujrzeć twoją paskudną twarz... ani tę odrobinę ładniejszą, należącą do mojej byłej sekretarki...

- Szefie, zaraz kopnę cię w żołądek - przerwała mu szeptem Miriam. - Jestem doskonale piękna. Ostatnio zyskałam

niezaprzeczalne potwierdzenie.

- Cicho bądź, wnuczki należą do innej kategorii. Przez to, że zapomnieliście wysłać do mnie choćby jedną kartkę, mógłbym nigdy nie zobaczyć Fatimy Michele. Możecie być pewni, że wracałbym wtedy zza grobu, żeby was straszyć.

- Skoro tak, to jednak byś ją zobaczył - zwróciła mu trzeźwo uwagę Miriam.

- Użyłem tylko metafory.

- Szefie, dlaczego twierdzisz, że to była tylko metafora?

- zapytała spokojnie Jill.

- He?... Duch stanowi koncepcję, bez której mogę się doskonale obejść. Przydaje się wyłącznie w metaforach.

- To coś dużo więcej - odparła Jill.

- Nawet jeśli tak, to wolę materialne spotkania z małymi dziewczynkami.

- Właśnie to chciałem ci powiedzieć, Jubal - wtrącił się Mahmoud. - Na pewno jeszcze nie umrzesz. Mike zgroził cię i twierdzi, że masz przed sobą wiele lat życia.

Jubal pokręcił głową.

- Już dawno temu ustaliłem sobie trzycyfrowy limit.

- Jakie to mają być cyfry, szefie? - zapytała Miriam z niewinną miną. - Te, których użył Matuzalem?

Potrząsnął nią lekko.

- Nie wygaduj takich świństw!

- Śmierdziel twierdzi, że kobiety mogą wygadywać świństwa, ale tak, żeby ich nikt nie słyszał.

- Twój mąż ma rację. W dniu, kiedy na moim zegarze pokażą się trzy cyfry, natychmiast się odcieleśnię, albo po marsjańsku, albo przy użyciu własnych, mniej finezyjnych metod. Nie możecie mi tego zabronić. Koniec wieńczy dzieło.

- Głęboko, że mówisz prawdziwie - odparła z namysłem Jill.

- Ale nie licz na to zbyt wcześnie. Jeszcze nie osiągnąłeś całości. Allie postawiła ci horoskop nie dalej niż w zeszłym tygodniu.

- Horoskop? O, mój Boże! Kto to jest Allie? Jak ona śmiała! Dajcie mi ją tutaj, a przysięgam, że skieruję ją do biura pośrednictwa pracy, żeby przydzielili jej jakąś lepszą robotę!

- Obawiam się, że to niemożliwe, bo Allie pracuje teraz nad naszym słownikiem. - poinformował go Mahmoud. - Co zaś do tego, kim jest... To madame Aleksandra Vesant.

Jubal natychmiast się rozpromienił.

- Becky? Ona też wylądowała w tym domu wariatów?

- Tak. Mówimy na nią Allie, bo mamy tu jeszcze jedną Becky. Nie wybrzydź na jej horoskopy, Jubal; ona dysponuje Przeczuciem.

- Brednie. Astrologia to stek bzdur i ty doskonale o tym wiesz.

- Oczywiście. Nawet Allie zdaje sobie z tego sprawę, że większość astrologów to marni oszuści. Mimo to prowadzi swoją działalność z jeszcze większym zapałem, wykorzystując marsjańską arytmetykę i astronomię, obie znacznie lepiej rozwinięte od naszych. Astrologia stała się dla niej sposobem grokowania. Środki nie mają znaczenia - może to być kałuża, kryształowa woda albo wnętrze kurczaka. Mike poradził jej, żeby w dalszym ciągu korzystała z symboli, do których zdążyła się już przyzwyczaić. Najważniejsze jest to, że ma Przeczucie.

- Co to za Przeczucie, do jasnej cholery?

- Umiejętność grokowania znacznie większej części wszechświata niż ta, która cię bezpośrednio otacza. Mike potrafi to dzięki latom wychowywania w marsjańskiej dyscyplinie; Allie była niewykszoloną póładeptką. To, że użyła nie posiadającego żadnego znaczenia symbolu, jakim jest astrologia, nie ma najmniejszego znaczenia. Różaniec również nie ma żadnego znaczenia - nie krytykuję naszych konkurentów, bo mówię o muzulmańskim różańcu. - Mahmoud sięgnął do kieszeni, wyjął wspomniany przedmiot i zaczął przesuwając go między palcami. - Jeżeli podczas gry w pokera będziesz miał szczęście, bo okręciłeś kapelusz o sto osiemdziesiąt stopni, to znaczy, że naprawdę ci to pomogło, choć kapelusz jako taki nie ma żadnej magicznej mocy.

Jubal spojrział na muzulmański różaniec.

- Czy nadal jesteś jednym z Wiernych? - zapytał. - Myślałem, że przyłączyłeś się do kościoła Mike'a.

Mahmoud odłożył paciorki.

- Przyłączyłem się, ale nie porzuciłem mojej wiary.

- Co takiego? Przecież to są rzeczy nie do pogodzenia!

- Tylko pozornie. Równie dobrze mógłbyś powiedzieć, że Maryam przyjęła moją wiarę, a ja jej. Jubal, mój ukochany bracie... Nadal jestem niewolnikiem Boga, posłusznym jego woli... a mimo to mogę powiedzieć: Tyś jest Bogiem, ja jestem Bogiem, Bogiem jest wszystko, co grokuje. Prorok nigdy nie twierdził, że jest ostatnim, jaki pojawił się na Ziemi, ani nie utrzymywał, że powiedział już wszystko, co było do powiedzenia. Poddanie się woli Boga wcale nie polega na tym, aby stać się robotem niezdolnym do dokonywania wyborów, a tym samym do

popelniania grzechów. Poddanie się jej może oznaczać - o z n a c z a - wzięcie na siebie całkowitej odpowiedzialności za sposób, w jaki ja i każdy z nas kształtujemy wszechświat. Możemy przemienić go w rajski ogród... lub zaniedbać i zniszczyć. - Uśmiechnął się. - Przez Boga wszystko jest możliwe, jeśli wolno mi pożyczyć ten cytat... z wyjątkiem tego, co Niemożliwe: Bóg nie może uciec przed Samym Sobą, nie może zrezygnować ze Swojej odpowiedzialności, musi na zawsze zostać posłusznym Swojej woli. Nie może również zrzec się Islamu, który pozostaje Jego... mój... twój... i Mike'a.

Z piersi Jubala wyrwało się głębokie westchnienie.

- Wiesz, Śmierdzielu... Teologia zawsze wprawiała mnie w zły nastrój. Gdzie jest Becky? Przez ostatnie dwadzieścia parę lat widziałem ją nie więcej niż raz. To stanowczo za mało.

- Przyjdzie tutaj, ale na razie nie może przerwać dyktowania. Pozwól, że ci wyjaśnię. Do tej pory codziennie nawiązywałem z Mike'em kontakt myślowy; trwało to tylko kilka minut, choć potem czułem się tak, jakbym ciężko przepracował osiem godzin. Po zakończeniu kontaktu natychmiast nagrywałem na taśmę wszystko, co mi przekazał, a inni ludzie, znający marsjańską fonetykę, transkrybowali te taśmy na papier. Następnie Maryam przepisywała to na specjalnej maszynie, Mike zaś lub ja - najczęściej on, mimo nawału pracy - przeprowadzaliśmy korektę.

Ale teraz Mike zgrokował, że będzie musiał wysłać Maryam i mnie, byśmy dokończyli jego dzieło - a właściwie zgrokował, że m y zgrokujemy taką konieczność - więc gromadzi wielki zapas taśm, żeby móc wziąć je ze sobą i stranskrybować. Mamy też mnóstwo nagrań jego wykładów - oczywiście po marsjańsku - za które weźmiemy się natychmiast po skończeniu pracy nad słownikiem.

Zdaje się, że wyjedziemy już wkrótce, bo Mike, choć tak bardzo zajęty, zmienił metodę. Jest tu osiem sypialni wyposażonych w magnetofony. Wszyscy, którzy to potrafią, to znaczy Patty, Jill, ja, Maryam, twoja przyjaciółka Allie i kilka innych osób, przychodzą tam na zmianę, a Mike pogrąża nas w transie i przekazuje nam definicje, idiomy i pojęcia. Trwa to kilka chwil, choć nam wydaje się, że mijają długie godziny... a potem dyktujemy to wszystko, czego się dowiedzieliśmy, dopóki jeszcze jest świeże. Tego nie może robić ktokolwiek; zadanie wymaga dobrego akcentu, umiejętności wejścia w trans i przekazania zdobytych wiadomości. Na przykład Sam dysponuje wszystkim oprócz akcentu - jeden Bóg wie, w jaki sposób, ale

mówi po marsjańsku z akcentem z Bronxu. Nie możemy z niego korzystać, bo powstałoby mnóstwo niejasności. Właśnie w tej chwili Allie jest zajęta dyktowaniem. Znajduje się w półtransie wspomagającym pamięć absolutną, ale gdybyś ją teraz obudził, zapomniałaby wszystko, czego nie zdążyła odtworzyć.

Jubal skinął głową.

- Głęboko, choć muszę przyznać, że jestem wstrząśnięty do głębi wizją Becky Vessey w roli uczennicy języka marsjańskiego. Jednak bądź co bądź była jednym z najlepszych telepatów w show biznesie - potrafiła wyczytać z człowieka takie rzeczy, że aż robiło się niedobrze ze strachu. Śmierdziel, skoro zmykacie stąd, żeby popracować w spokoju, czemu nie wpadniecie do domu? W nowym skrzydle jest mnóstwo miejsca.

- Może tak zrobimy. Czekanie pokaże.

- Wiesz, kochanie... - powiedziała poważnie Miriam. - Chciałabym to zrobić, jeśli Mike wypchnie nas z Gniazda.

- Chciałaś chyba powiedzieć: jeżeli zgrokujemy, że trzeba je opuścić.

- To przecież to samo.

- Mówisz prawdziwie, najdroższa. Nie wiesz przypadkiem, kiedy tu się jada? Odczuwam zupełnie niemarsjański głód. W Gnieździe obsługa była dużo lepsza.

- Chyba nie oczekujesz od Patty, że będzie pracować nad twoim zasmarkanym słownikiem, troszczyć się o nasze wygody, wykonywać polecenia Mike'a i jeszcze stawiać jedzenie na stole w chwili, kiedy sobie tego zażyczysz? Jubal, Śmierdziel nigdy nie zostanie kapłanem; jest niewolnikiem swojego żołądka.

- Ja też.

- Mogłybyście trochę jej pomóc - dodał Mahmoud.

- Jesteś okropny. Doskonale wiesz, że to robimy - w każdym razie na tyle, na ile nam pozwala. Poza tym Tony nikogo nie wpuszcza do kuchni. - Miriam podniosła się z miejsca. - Chodź, Jubal. Zobaczmy, co się szykuje na obiad. Tony będzie zachwycony, jeśli go odwiedzisz.

Tony najpierw się skrzywił, ale rozpogodził się natychmiast, kiedy zobaczył, kto towarzyszy Miriam, a następnie z dumą oprowadził Jubala po swoim królestwie, obrzucając wyzwiskami tych, którzy zniszczyli jego kuchnię w Gnieździe. Podczas zwiedzania nie trzymana przez nikogo łyżka w dalszym ciągu mieszała gotujący się sos.

Niedługo potem Harshaw kategorycznie odmówił zajęcia honorowego miejsca przy długim stole i usiadł tam, gdzie mu było najbliżej. Miejsce u boku Patty, która zasiadła przy

krótszej krawędzi, pozostało puste, lecz Jubal miał niejasne wrażenie, że siedzi tam Człowiek z Marsa, którego widzą wszyscy oprócz niego.

Vis a vis siebie dostrzegł doktora Nelsona.

Zastanowiwszy się przez chwilę, doszedł do wniosku, że byłby zdziwiony tylko wtedy, gdyby go tu nie spotkał.

- Cześć, Sven - powiedział, skinąwszy głową.

- Cześć, doktorze. Dzielę się z tobą wodą.

- Obyś nigdy nie był spragniony. Robisz tu za lekarza zakładowego?

Nelson zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie. Za studenta medycyny.

- Aha. I co, nauczyłeś się czegoś?

- Owszem. Że medycyna jest całkowicie zbędna.

- Sam bym ci to powiedział, gdybyś mnie wcześniej zapytał.

Widziałeś kapitana?

- Powinien dotrzeć dziś wieczorem albo jutro rano.

Wylądował parę godzin temu.

- Zawsze tu przyjeżdża?

- Nie ma zbyt wiele czasu, więc studiuje zaocznie.

Jubal podjął konwersację ze swoim sąsiadem z prawej strony, a Nelson zajął się rozmową z siedzącą obok niego Dorcas. Harshaw cały czas wyczuwał to samo napięcie, przedtem powstrzymywane, teraz znacznie łatwiejsze do zauważenia. W pewnej chwili wokół stołu zaczęła krążyć szklanka wody. Kiedy dotarła do Jubala, pociągnął niewielki łyk i podał ją swojej sąsiadce z lewej strony - wpatrującej się w niego wielkimi oczami dziewczynie, zbyt onieśmiałej, żeby nawiązać z nim rozmowę.

- Ofiarowuję ci wodę.

- Dziękuję ci za nią, Oj... Jubal - wykrztusiła.

Kiedy szklanka wróciła do szczytu stołu i stanęła przed pustym krzesłem, było w niej jeszcze około pół cala wody. Naczynie uniosło się, przechyliło, woda zniknęła, a szklanka wylądowała łagodnie z powrotem na obrusie. Jubal doszedł do wniosku, że wziął udział w Dzieleniu się Wodą w Środkowej Świątyni.

- Jesteśmy tutaj tylko chwilowo - zapewnił go sąsiad z prawej strony, Sam. - Jajo i tak miało pęknąć lada chwila. Teraz rozejdziemy się we wszystkie strony. Oczywiście, będziemy mieli sporo kłopotów; żadne społeczeństwo nie pozwoli bezkarnie łamać zasad, które ustanowiło, a my rzucamy wyzwanie dosłownie wszystkiemu, poczynając od



nienaruszalności własności, kończąc na świętości małżeństwa.

- Wzięliście się też za własność?

- Za to, czym jest teraz. Na razie Mike naraził się tylko paru szulerom, ale co się stanie, kiedy pojawią się tysiące, dziesiątki tysięcy, setki tysięcy ludzi, dla których bankowe sejfy nie stanowią żadnej przeszkody, a przed tym, żeby zabrać wszystko, na co mają ochotę, powstrzymuje ich jedynie silna wola? Naturalnie, że ich wola ma większe znaczenie niż jakiegokolwiek prawne zakazy, ale tego nie zrozumie żaden bankier, dopóki sam nie wejdzie na ciernistą drogę wiodącą do samodyscypliny... a wtedy przestanie być bankierem. Co stanie się z rynkiem, kiedy oświeceni będą z góry wiedzieć, co zrobisz ze swoimi akcjami?

- A ty znasz odpowiedzi na te pytania?

Sam potrząsnął głową.

- Nie jestem zainteresowany. Ale Saul, mój kuzyn, grokuje te sprawy razem z Allie. Michael nakazał im ostrożność: żadnych wielkich ruchów i mnóstwo fałszywych kont, ale w gruncie rzeczy każdy z nas mógłby zarobić masę pieniędzy, wszystko jedno - na giełdzie, wyścigach konnych, w grach hazardowych - gdyby przyszła mu ochota wykorzystać swoje umiejętności. Nie, pieniądze i własność nie znikną - Michael twierdzi, że są pożyteczne - ale zostaną odwrócone do góry nogami i ludzie albo będą musieli nauczyć się nowych reguł (i to w bolesny sposób) albo przepadną. Jak sądzisz, co się stanie z Lunar Enterprises, kiedy cały transport między Ziemią a Lunar City będzie odbywał się za pomocą teleportacji?

- W takim razie powinienem sprzedawać czy kupować?

- Zapytaj Saula. Może wykorzysta istniejącą korporację, doprowadzić ją do bankructwa albo zostawić nietkniętą na sto lub dwieście lat. Ale to samo dotyczy k a ż d e g o zawodu. W jaki sposób nauczyciel ma sobie poradzić z dzieckiem, które wie więcej od niego? Co stanie się z lekarzami, kiedy wszyscy ludzie będą zdrowi? Jaki los czeka przemysł odzieżowy, gdy można będzie pokazywać się nago? Jubal, czy wiesz ile pieniędzy wydaje się rocznie w tym kraju na środki służące kontroli urodzeń?

- Mniej więcej, Sam. Prawie miliard na środki doustne i ponad pół miliarda na różne bezużyteczne dziwactwa.

- Prawda, jesteś przecież lekarzem.

- Tylko przypadkiem.

- Wyobraź sobie, co się stanie z tym przemysłem - i z wrzaskliwymi groźbami moralistów - kiedy kobieta będzie mogła

zajść w ciążę wtedy, kiedy zechce i z mężczyzną, na którego będzie miała tak wielką ochotę, o jakiej nigdy się nie śniło nawet Kleopatrze... natomiast ten, kto chciałby ją zgwałcić, umrze tak szybko, że nawet nie zdąży się zorientować, co mu się stało? Kiedy kobiety wyzwolą się z pęt winy i strachu, stając się wreszcie właścicielkami samych siebie? Do licha, przemysł farmaceutyczny stanie się jedną z mniej istotnych ofiar; pomyśl tylko o tych wszystkich prawach, instytucjach, fałszywych nastawieniach i horrendalnych nonsensach, które będą musiały pójść do diabła!

- Nie gromię tego w całości - przyznał Jubal. - Poza tym ta sprawa dotyczy zagadnienia, w które nie jestem zbyt mocno zaangażowany emocjonalnie.

- Tylko jedna instytucja nie ulegnie zniszczeniu: małżeństwo.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Wręcz przeciwnie - ulegnie wzmocnieniu, utrwaleniu i stanie się bardziej znośna. Znośna? Stanie się wspaniała! Widzisz tę czarownicę z długimi czarnymi włosami?

- Tak. Już się nimi zachwycąłem.

- Wie, że są piękne i od chwili, kiedy przyłączyliśmy się do kościoła, pozwoliła im urosnąć jeszcze o półtorej stopy. To moja żona. Nie dalej niż rok temu żyliśmy ze sobą jak dwa wściekłe psy. Ona była zazdrosna, a ja znudzony. Nie poświęcałem jej prawie wcale uwagi. Do licha, oboje byliśmy sobą znudzeni; trzymały nas razem tylko dzieci i jej zaborczość. Zdawałem sobie sprawę, że nie pozwoli mi odejść bez wielkiego skandalu, a poza tym i tak nie miałem odwagi jeszcze raz zaczynać wszystkiego od początku. Skakałem więc na boki, kiedy byłem pewien, że ujdzie mi to na sucho - wykładowca staje w obliczu licznych pokus, ale niewielu okazji - Ruth zaś wściekała się po cichu. A czasem nawet głośno. Pewnego dnia przyłączyliśmy się do Mike'a... - Sam uśmiechnął się szeroko - ...i zakochałem się w mojej żonie! Teraz jest moją dziewczyną numer jeden.

Sprawa polega na tym, że teraz jesteśmy partnerami w takim stopniu, w jakim nigdy nie udało nam się nimi być na zewnątrz - wyjaśnił po cichu Sam. - Przeszliśmy w tym stanie przez wstępny trening, dzieląc się wodą i zbliżając z innymi, którzy mieli podobne problemy. Takie partnerskie układy wewnątrz grupy zawiązują się najczęściej między małżeństwami, a jeśli nie, to nie ma żadnego problemu, bo i tak stosunki między rozwiedzionymi są o niebo lepsze niż

przedtem, i to zarówno w łóżku jak i poza nim. Do licha, do tego wcale nie trzeba kobiety i mężczyzny. Weźmy na przykład Dawn i Jill: są jak duet akrobatów.

- Hmm... Do tej pory myślałem o nich jako o żonach Mike'a.

- Są jego żonami w takim samym stopniu, co każdego z nas.

Czy też raczej: Mike jest ich mężem tak samo jak którejkolwiek innej kobiety. Jest tak bardzo zajęty, że ma czas tylko na to, żeby podzielić się sobą ze wszystkimi. Jeżeli kogoś można uznać za żonę Mike'a, to raczej Patty, choć ich stosunki są bardziej natury duchowej niż fizycznej. Jeżeli chodzi o sprawy łóżkowe, to zarówno on jak i ona są trochę pokrzywdzeni.

Patty siedziała jeszcze dalej niż Ruth, ale odwróciła się do nich i powiedziała:

- Sam, najdroższy, ja wcale nie czuję się pokrzywdzona.

- Proszę?... Cholera! - Sam skrzywił się cierpko. -

Jedyne, co mi się nie podoba w tym kościele to to, że człowiek ani przez chwilę nie jest naprawdę sam!

To oświadczenie spowodowało na niego ulewę pocisków; odpierał wszystkie nie wykonując najmniejszego ruchu aż do chwili, kiedy dostał w twarz pełnym talerzem spaghetti - rzuconym przez Dorcas, co nie umknęło uwadze Jubala.

Przez sekundę lub dwie Sam wyglądał jak ofiara wypadku lotniczego, a potem makaron zniknął, podobnie jak kilka kropelek sosu, które wylądowały na koszuli Jubala.

- Nie dawaj jej dokładki, Tony. Wyrzuciła swoją porcję, więc teraz niech się trochę przegłodzi.

- W kuchni jest tego jeszcze mnóstwo - odparł Tony. - Poza tym bardzo ci do twarzy w spaghetti. Niezły sos, prawda?

Talerz Dorcas pofrunął do kuchni i po chwili wrócił naładowany.

- Bardzo dobry - przyznał Sam. - Połknąłem całą porcję, która wpadła mi do ust. Co to jest? A może nie powinienem pytać?

- Poszatowany policjant - poinformował go Tony.

Nikt się nie roześmiał; Jubalowi przemknęła niepokojąca myśl, czy to aby na pewno miał być żart, ale natychmiast przypomniał sobie, że jego bracia często się uśmiechali, natomiast niezwykle rzadko wybuchali śmiechem... Poza tym policjant powinien znakomicie nadawać się do konsumpcji. Jednak sos nie mógł być z długiej świni, bo miałby smak szynki, a nie wołowiny. Na wszelki wypadek postanowił zmienić temat.

- To, co mi się najbardziej podoba w tej religii...

- Religii? - przerwał mu Sam.

- Możesz nazwać ją kościołem, jeśli masz ochotę.  
- Oczywiście. Pełni wszystkie funkcje kościoła, a jej quasi-teologia dorównuje wielu prawdziwym religiom. Przyłączyłem się, ponieważ byłem zaprzysięgłym ateistą - zostałem kapłanem i teraz po prostu nie wiem, kim jestem.

- Zrozumiałem, że jesteś Żydem...

- I to z rodziny, w której od pokoleń byli sami rabini, więc nic dziwnego, że stałem się ateistą. Spójrz tylko, co teraz ze mnie zostało. Ale Saul i moja żona Ruth są w dalszym ciągu Żydami, jeśli chodzi o religię; porozmawiaj z Saulem, a przekonasz się, że to nie jest żadne upośledzenie. Od chwili, kiedy Ruth udało się przełamać bariery, czyni postępy znacznie szybciej ode mnie - została kapłanką na długo przedtem, zanim mnie to się udało.

- Dyscyplina - dokończył Jubal. - To mi się właśnie podoba. Wiara, w której mnie wychowano, nie wymagała od nikogo żadnej wiedzy. Wystarczyło pójść do spowiedzi, dostać rozgrzeszenie i już lądowało się bezpiecznie w ramionach Chrystusa. Ktoś mógł być zbyt głupi, żeby zliczyć do trzech, a mimo to zaliczał się do wybranych przez Boga i miał zagwarantowane szczęście wieczne tylko dlatego, że został nawrócony. Nie musiał nawet znać Biblii ani mieć o czymkolwiek pojęcia. O ile dobrze grokuję, w tym kościele nie ma czegoś takiego jak nawrócenie...

- Grokujesz prawdziwie.

- Zaczyna się od chęci zdobywania wiedzy, a potem następuje długi i ciężki okres nauki. Grokuję, że to zbawienny zwyczaj.

- Nawet więcej niż zbawienny - zgodził się Sam. - Wręcz niezastąpiony. Bez znajomości języka nie można sobie przyswoić nawet podstawowych pojęć, a dyscyplina, która przynosi niezliczone efekty - na przykład umiejętność życia w zgodzie z własną żoną - jest ściśle związana z tymi pojęciami i wynikającą z nich logiką; chodzi o zrozumienie, kim jesteś, dlaczego jesteś, w jaki sposób działasz, i o odpowiednie zachowanie. Szczęście działa w taki sam sposób, w jaki powinna działać każda istota... ale po angielsku to brzmi jak tautologia, natomiast po marsjańsku jest to kompletny zestaw instrukcji o gwarantowanej skuteczności działania. Czy wspominałem już, że chorowałem na raka, kiedy się tutaj zjawilem?

- Nie.

- Nie wiedziałem o tym, ale Mike zgrokował chorobę i

wysłał mnie na prześwietlenie i inne badania, żebym sam się przekonał. Potem wzięliśmy się za leczenie wiarą i cudami. Lekarze nazwali to spontaniczną remisją, co miało chyba oznaczać "udało ci się, chłopie".

Jubał skinął głową.

- Profesjonalne brednie. Czasem rak cofa się nie wiadomo dlaczego.

- Ja wiem, dlaczego mój się cofnął. Zacząłem zdobywać kontrolę nad swoim ciałem. Z pomocą Mike'a naprawiłem zniszczenia.

Teraz potrafię to robić zupełnie sam. Chcesz zobaczyć, jak wstrzymuję bicie serca?

- Dzięki, miałem już okazję podziwiać to u Mike'a.

Przypuszczam jednak, że gdyby to, o czym mówisz, miało być rzeczywiście leczeniem wiarą, mój znakomity kolega doktor Nelson nie siedziałby teraz wśród nas. Kontrola nad organizmem... Grokuje.

- Przepraszam. Wszyscy o tym wiemy.

- Hmm... Nie mogę nazwać Mike'a łgarzem, bo nim nie jest, ale na pewno jest przewrażliwiony na punkcie mojej osoby.

Sam pokręcił głową.

- Rozmawiałem z tobą przez cały obiad, bo chciałem sam sprawdzić to, co twierdzi Mike. Ty rzeczywiście grokujesz. Zastanawiam się, co mógłbyś osiągnąć, gdybyś zadał sobie trud nauczenia się języka?

- Nic. Jestem starym człowiekiem, który nie ma już zbyt wiele do zaoferowania.

- Pozwolę sobie zachować własne zdanie na ten temat.

Wszyscy inni Pierwsi Powołani musieli przyswoić sobie język, żeby poczynić większe postępy. Nawet ta trójka, którą trzymałeś u siebie, musiała uczyć się w głębokim transie za każdym razem, kiedy do nas przyjeżdżała. Wszyscy oprócz ciebie... bo ty tego nie potrzebujesz. Chyba że masz ochotę wytrzeć ręcznikiem spaghetti z twarzy, ale grokuje, że nie jesteś tym zainteresowany.

Większość uczestników posiłku odeszła od stołu, nie zwracając sobie głowy żadnymi formalnościami. Ruth wstała z miejsca i podeszła do nich.

- Chcecie tu siedzieć całą noc? A może mamy was zebrać z talerzami?

- Jestem pantoflarzem. Chodźmy, Jubał.

Weszli do pokoju, w którym stał odbiornik stereowizji.

- Coś nowego? - zapytał Sam.

- Prokurator okręgowy oznajmił, że to my jesteśmy odpowiedzialni za wypadek, choć przyznał, że nie wie, co się właściwie stało - poinformował go ktoś.

- Biedny facet. Ugryzł drewnianą nogę i przekonał się, że bolą go zęby. - Przenieśli się w spokojniejsze miejsce. - Mówiłem ci już, że należało się spodziewać tych kłopotów. Sprawy pogorszą się jeszcze bardziej, zanim uzyskamy taki wpływ na opinię publiczną, żeby zaczęła nas tolerować. Ale Mike'owi się nie śpieszy. Trzeba będzie zlikwidować Kościół Wszystkich Planet - proszę bardzo, już jest zlikwidowany. W jego miejsce stworzymy Kongregację Jednej Wiary. Kiedy nas znowu wykopią, przeniesiemy się gdzie indziej i otworzymy Świątynię Wielkiej Piramidy - zlecą się do nas grube, głupie babska, z których część zamieni się we wcale nie grube i bynajmniej nie głupie. Potem będzie Towarzystwo Medyczne, a kiedy rzuci się na nas prasa, sędziowie i politycy, jeszcze raz zmienimy miejsce pobytu i utworzymy Braterstwo Ochrzczonych. Za każdym razem zdążymy wykształcić grupę ludzi, których nikt nie będzie w stanie skrzywdzić. Mike zaczynał niecałe dwa lata temu, daleki od pewności siebie, mając do pomocy zaledwie trzy niedoświadczone kapłanki. Teraz mamy solidne Gniazdo i wielu zaawansowanych pielgrzymów. Pewnego dnia staniemy się zbyt silni, żeby można nas było dalej prześladować.

- To prawda - zgodził się Jubal. - Jezus narobił niezłego zamieszania mając zaledwie dwunastu uczniów.

Sam uśmiechnął się z dumą.

- Też był Żydem. Dziękuję, że o Nim wspomniałeś. Stanowi największe osiągnięcie mojego narodu; wszyscy o tym wiemy, choć większość nie chce o Nim mówić. Był żydowskim chłopcem, który czynił dobro i jestem z niego bardzo dumny. Zwróć uwagę, że Jezus wcale nie starał się zrobić wszystkiego z dnia na dzień, tylko założył solidną organizację i pozwolił jej rosnąć. Mike również jest cierpliwy. Cierpliwość do tego stopnia stanowi nieodłączny element naszej dyscypliny, że przestaje być cierpliwością.

Jubal ziewnął rozdzierająco.

- Na razie wybieram długą gorącą kąpiel i osiem godzin snu. Porozmawiamy jutro... i później.

Kiedy Jubal dotarł do swojego pokoju, zjawiła się tam również Patty; napuściła mu wody do wanny, zasłała łóżko nie ruszywszy nawet palcem, ustawiła na stoliku butelki, przyrządziła drinka i postawiła go w łazience przy wannie. Jubal nie wyganiał jej, gdyż przybyła w stroju pozwalającym na

swobodne podziwianie obrazków. Wiedział wystarczająco dużo o syndromie, który zmusza ludzi do pokrycia swego ciała tatuażem, by zdawać sobie sprawę, że gdyby teraz nie zapytał, czy może dokładnie przyjrzeć się narysowanym na ciele Patrycji scenom, kobieta z pewnością poczułaby się urażona.

Nie miał również oporów, które w takiej sytuacji odczuwał Ben; rozebrawszy się stwierdził z czymś w rodzaju dumy, że nie ma to żadnego znaczenia, choć minęło już wiele lat od chwili, kiedy po raz ostatni pokazywał się komuś bez ubrania. Patty nie zwróciła na ten fakt najmniejszej uwagi, ograniczając się do sprawdzenia, czy woda w wannie ma odpowiednią temperaturę, zanim pozwoliła mu do niej wejść.

Następnie opowiedziała mu dokładnie, co przedstawia każdy z obrazków i w jakiej kolejności należy je oglądać.

Jubał okazał należyty podziw, choć starał się podejść do sprawy z obiektywnym nastawieniem krytyka sztuki. Musiał przyznać, że tatuaże Patrycji zostały wykonane ręką największego wirtuoza igły, o jakim kiedykolwiek słyszał; w porównaniu z nią jego japońska przyjaciółka wyglądała jak tani chodnik przy kobiercu z Buchary.

Wyczuł, kiedy była już gotowa odejść i sam jej to zasugerował, prosząc, by pocałowała na dobranoc jego wnuczki, bo on zapomniał to zrobić.

- Jestem bardzo zmęczony, Patty.

Skinęła głową.

- A ja muszę wracać do pracy nad słownikiem. - Nachyliła się nad nim i pocałowała go gorąco, ale szybko. - Zaniosę tego całusa dzieciakom.

- I pogłaszcz ode mnie Pieszczocha.

- Oczywiście. On cię grokuje, Jubał. Wie, że lubisz węże.

- To dobrze. Dzielę się z tobą wodą.

- Tyś jest Bogiem, Jubał.

Wyszła z łazienki. Harshaw usiadł wygodnie w wannie i stwierdził ze zdumieniem, że nie czuje już zmęczenia ani bólu w kościach. Żałował, że nie może pozbyć się wątpliwości, ale w chwilę potem przyznał, że pragnie być właśnie sobą - zgryźliwym i zadufanym starcem.

Po pewnym czasie namydlił się, spłukał prysznicem i postanowił się ogolić, aby nie robić tego przed śniadaniem. Wreszcie zamknął drzwi na klucz, wyłączył górne światło i położył się do łóżka.

Rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś do czytania, ale niczego nie znalazł, co wprowadziło go w gniewny nastrój, w

związku z czym dokończył drinka i zgasił nocną lampkę.

Rozmowa z Pat nie tylko pozwoliła mu wypocząć, ale także zlikwidowała senność. Wciąż jeszcze czuwał, kiedy do pokoju weszła Dawn.

- Kto to? - zawołał.

- Dawn.

- Niemożliwe, żeby już świtało<sup>15</sup>; przed chwilą była dopiero... Och.

- Tak, Jubal. To ja.

- Do licha, zdawało mi się, że zamknąłem drzwi na klucz.

Dziecino, zrób w tył zwrot i pomaszeruj prosto do... Hej! Wyłaź z mojego łóżka! Natychmiast!

- Tak, Jubal, ale najpierw chcę ci coś powiedzieć.

- Hej?...

- Kocham cię od bardzo dawna. Prawie tak długo jak Jill.

- No, to bardzo... Przestań wygadywać bzdury i natychmiast wynieś swoją małą pupkę przez te drzwi!

- Zaraz to zrobię - odparła pokornie. - Ale proszę, wysłuchaj mnie najpierw. Chcę ci powiedzieć coś o kobietach.

- Nie teraz. Możesz to zrobić rano.

- Teraz...

Westchnął ciężko.

- W porządku: mów. Ale zostań tam, gdzie jesteś.

- Jubal... mój ukochany bracie. Mężczyźni zwracają ogromną uwagę na to, jak kobieta wygląda, więc staramy się być jak najpiękniejsze i to jest dobrze. Ale kobiety nie są mężczyznami. My się najczęściej o was martwimy. Może to być coś tak głupiego jak: Czy aby na pewno jest bogaty? Albo: Czy zatroszczy się o moje dzieci i będzie dla nich dobry? A czasem: Czy jest dobrym człowiekiem? Na przykład tak dobrym jak ty, Jubal. Piękno, które w was dostrzegamy, jest całkowicie odmienne od tego, które wy widzicie w nas. Jesteś piękny, Jubal.

- Na litość boską!

- Głokuję, że mówisz prawdziwie. Tyś jest Bogiem, ja jestem Bogiem... i bardzo cię potrzebuję. Ofiarowuję ci wodę. Czy przyjmiesz ją i pozwolisz, bym się do ciebie zbliżyła?

- Eee... Widzisz, dziewczynko, o ile dobrze rozumiem, co mi proponujesz, to...

- Ty głokujesz, Jubal. Chcę się z tobą dzielić wszystkim, co mam. Nami. Sobą.

- Tak myślałem. Moja droga, masz mnóstwo rzeczy, którymi możesz się dzielić, ale... jeżeli o mnie chodzi, zjawiłaś się



kilkanaście lat za późno. Bardzo tego żałuję, możesz mi wierzyć. Dziękuję ci z całego serca. A teraz idź już sobie i pozwól zasnąć staremu człowiekowi.

- Będziesz spał, kiedy dopełni się oczekiwanie. Mogłabym pożyczyć ci siły, ale gromię, że to jest niepotrzebne.

(Do licha, ona ma rację!)

- Nie, Dawn. Dziękuję ci, moja droga.

Uklęła i nachyliła się nad nim.

- Skoro tak, to pozwól, że powiem ci jeszcze jedno. Jill poradziła mi, że bym zaczęła płakać, gdybym miała z tobą jakieś problemy. Chcesz, że bym zamoczyła cię swoimi łzami i w ten sposób podzieliła się z tobą wodą?

- Spuszczę jej łanie!

- Tak, Jubal. Zaczynam płakać.

Dawn nie wydała żadnego odgłosu, ale sekundę lub dwie później duża ciepła łza kapnęła mu na piersi... zaraz potem druga... trzecia... a potem kolejne.

Jubal zaklął, przyciągnął ją do siebie... i podporządkował się temu, czego i tak nie sposób było uniknąć.

## Rozdział XXXVI

Jubal obudził się czujny, wypoczęty i szczęśliwy, i zdał sobie sprawę z tego, że czuje się tak znakomicie, jak już od wielu lat nie zdarzyło mu się czuć przed śniadaniem. Zwykle długo, bardzo długo przebijał się przez czarny okres między obudzeniem i pierwszą kawą, powtarzając sobie, że jutro być może będzie lepiej.

Tym razem zaczął nawet pogwizdywać. Zerknął w lustro, skrzywił się kwaśno, a potem uśmiechnął.

- Ty niepoprawny stary capie! Lada chwila przyjadą, żeby cię aresztować.

Dostrzegł siwy włoszek na piersi, wyrwał go, ignorując sporo innych, również siwych, po czym zaczął szycować się na spotkanie ze światem.

Pod drzwiami natknął się na Jill. Przypadek? Nie wierzył już, żeby w tej menażerii zdarzały się jakieś przypadki; była zorganizowana jak komputer. Dziewczyna podeszła do niego i objęła serdecznie.

- Jubal... Och, jak my cię kochamy! Tyś jest Bogiem.

Oddał pocałunek z takim samym zaangażowaniem, z jakim go otrzymał, grokując, że byłby hipokrytą, gdyby tego nie uczynił... i przekonał się, że całując Jill doznawało się niemal tych samych wrażeń, co całując Dawn, ale jakiś nieuchwytny szczegół sprawiał, że nie sposób było pomylić ich ze sobą.

Wreszcie odsunął ją od siebie na odległość wyciągniętych ramion.

- Ty mała Messalino... Wrobiłaś mnie!

- Jubal, kochany... Byłeś wspaniały.

- Hmm... Do diabła, skąd wiedziałaś, że ja w ogóle będę jeszcze do tego zdolny?

Spojrzała na niego niewinnymi, błękitnymi oczami.

- Byłam tego pewna od chwili, kiedy Mike i ja pojawiliśmy się w twoim domu. Nawet wtedy, kiedy jeszcze spał... to znaczy, był pogrążony w transie... widział wokół siebie na pewną odległość i czasem zaglądał do ciebie, kiedy miał jakieś wątpliwości, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie śpisz...

- Ale ja zawsze spałem sam!

- Oczywiście, kochanie. Nie to miałam na myśli. Po prostu to ja musiałam mu tłumaczyć rzeczy, których nie rozumiał.

- Hmm... - Jubal na wszelki wypadek postanowił nie rozwijać tego tematu. - Mimo to nie powinnaś była mnie wrabiać.

- Grokuję, że nie mówisz tego serio. Chcieliśmy, żebyś był z nami w Gnieździe. Całkowicie. Potrzebujemy cię. Ponieważ w swojej dobroci jesteś nieśmiały i skromny, zrobiliśmy to, co było trzeba, aby powitać cię w należyty sposób nie raniąc twoich uczuć. I udało nam się, jak sam grokujesz.

- Co za my, jeśli można wiedzieć?

- Domyśliłeś się już, że to było Dzielenie się Wodą całego Gniazda. Mike wyszedł na ten czas z transu, zgrokował cię i pozwolił nam się zjednoczyć z tobą.

Jubal pośpiesznie zmienił temat.

- A więc Mike wreszcie się obudził? To dlatego masz takie błyszczące oczy.

- Częściowo. Zawsze cieszymy się, kiedy Mike nie jest w transie, ale przecież w gruncie rzeczy nigdy tak naprawdę nas nie opuszcza. Jubal, grokuję, że nie zgrokowałaś w całości naszego sposobu Dzielenia się Wodą. Ale po to jest czekanie. Mike również z początku tego nie grokował - myślał, że chodzi tylko o ożywianie jaj, tak jak na Marsie.

- Cóż... to chyba podstawowy cel, prawda? Dzieci. W

związku z tym zachowanie takiego starca jak ja musi budzić co najmniej zdziwienie, bo przecież w najmniejszym stopniu nie zależy mi na rozmnażaniu.

Jill pokręciła głową.

- Dzieci stanowią główny rezultat, ale nie są celem samym w sobie. One nadają znaczenie przyszłości, co jest wielkim dobrem, lecz kobieta w swoim życiu może urodzić najwyżej troje, czworo lub dziesięcioro dzieci, podczas gdy jest w stanie dzielić się sobą z innymi tysiące razy - i to jest właśnie główny powód, dla którego to, co robimy, robimy tak często; gdyby chodziło wyłącznie o reprodukcję, moglibyśmy to robić znacznie rzadziej. Chodzi o dzielenie się sobą i zbliżanie, teraz i na zawsze. Mike'owi udało się wreszcie to zgrokować, ponieważ na Marsie te dwie sprawy - ożywianie jaj i zbliżanie się - nie mają ze sobą nic wspólnego. Zgrokował też, że nasz sposób jest lepszy. Cóż to za szczęście nie wykluczyć się Marsjaninem, tylko człowiekiem... i w dodatku kobietą!

Harshaw spojrział na nią uważnie.

- Dziecko, czy ty jesteś w ciąży?

- Tak, Jubal. Zgrokowałam, że oczekiwanie się skończyło i już mogę to zrobić. Większość członków Gniazda nie musiała czekać, ale Dawn i ja byłyśmy ciągle zajęte. Jednak kiedy zgrokowałyśmy zbliżające się przesilenie, wiedziałyśmy, że po nim zacznie się kolejne oczekiwanie - przekonasz się, że tak będzie naprawdę. Mike nie odbuduje Świątyni w ciągu jednej nocy, więc jego kapłanki będą miały czas, żeby budować dzieci. Oczekiwanie zawsze jest czymś wypełnione.

- Gdzie jest Dawn? I Mike? Strasznie tu spokojnie.

Nie widział dokoła nikogo i nie słyszał żadnych głosów... a mimo to niezwykle uczucie przesyconego radością napięcia było jeszcze wyraźniejsze niż wcześniej. Po ceremonii, w której, jak się okazało, nieświadomie sam wziął udział, należało się raczej spodziewać rozluźnienia atmosfery, lecz nastąpiło coś wręcz przeciwnego.

- Dawn kazała mi przekazać ci od niej całusa. Będzie zajęta mniej więcej przez najbliższe trzy godziny. Mike też jest zajęty - zapadł z powrotem w trans.

- Och.

- Nie bądź taki rozczarowany, wkrótce wróci. Bardzo się stara, żeby mieć czas specjalnie dla ciebie, i w ogóle żebyśmy wszyscy znaleźli dla ciebie jak najwięcej czasu. Duke przez całą noc szukał w mieście szybkoobrotowych magnetofonów, których używamy przy pracy nad słownikiem i teraz wszyscy,

którzy to potrafią, siedzą nad nimi z głowami pełnymi marsjańskich symboli fonetycznych. Kiedy skończą, Mike obudzi się i przyjdzie do ciebie. Dawn dopiero zaczęła dyktować; ja skończyłam jedną część, wymknęłam się, żeby powiedzieć ci dzień dobry i zaraz wracam, żeby nadrobić opóźnienie, więc nie będzie mnie trochę dłużej. Na razie znikam, pa!

Jubal odnalazł kilka osób w jadalni. Duke spojrzał na niego, uśmiechnął się, pomachał mu ręką i ponownie zajął się jedzeniem. Nie wyglądał na kogoś, kto przez całą noc nie zmrużył oka - w rzeczywistości nie spał już d w i e noce.

- Jak się masz, stary capie! - wykrzyknęła Becky Vessey, złapała Harshawa za ucho, ściągnęła go na krzesło obok siebie i wyszeptwała: - Wiedziałam o wszystkim od początku... ale dlaczego nie miałam cię pod ręką, kiedy umarł profesor? - A głośno dodała: - Siadaj i wrzuc w siebie trochę kalorii, a przy okazji opowiadaj, jakie to diabelstwa knujesz ostatnimi czasy!

- Za chwileczkę, Becky. - Jubal przeszedł na drugą stronę stołu. - Witam, kapitanie. Jak podróż?

- Bez kłopotów. Zrobiła się z tego rutynowa robota. Zdaje się, że jeszcze nie znasz mojej żony; kochanie, oto bohater tej uroczystości, jedyny i niepowtarzalny Jubal Harshaw.

Żona kapitana okazała się wysoką, nie zwracającą na siebie uwagi kobietą o spokojnym spojrzeniu kogoś, kto wiele razy wyglądał powracającego do domu kapitana statku. Wstała i pocałowała Jubala.

- Tyś jest Bogiem.

- Eee... Tyś jest Bogiem.

Właściwie powinien już się przyzwyczaić do tej formułki. Do licha, jeśli będzie ją powtarzał tak często, jak do tej pory, niewykluczone, że w końcu w nią uwierzy! Brzmiała bardzo przyjemnie, szczególnie gdy towarzyszył jej ciepły uścisk ramion żony kapitana.

- Przypuszczam, że nie powinienem się dziwić widząc cię tutaj - zwrócił się do van Trompa.

- Cóż, człowiek utrzymujący komunikację z Marsem powinien chyba umieć zamienić parę słów z tubylcami, nie uważasz?

- Tylko o to ci chodzi?

- Są jeszcze inne powody. - Van Tromp sięgnął po grzanekę, która sama wskoczyła mu do dłoni. - Na przykład smaczne jedzenie w miłym towarzystwie.

- No, tak.

- Jubal! - zawołała madame Vesant. - Śniadanie na stole!

Wróciwszy na swoje miejsce Jubal ujrzał sadzone jajka, sok

pomarańczowy i jeszcze kilka potraw do wyboru. Becky poklepała go po udzie.

- To się nazywa nabożne skupienie, co, byczku?

- Kobieto, wracaj do swoich horoskopów!

- Skoro już o tym mowa: kochanie, muszę znać dokładną datę i godzinę twoich narodzin.

- Rodziłem się przez trzy dni. Odbierano mnie w kawałkach.

Becky użyła nieprzyzwoitego słowa.

- I tak się dowiem.

- Kiedy miałem trzy lata, spaliło się archiwum miejskie.

Nie uda ci się.

- Mam swoje sposoby. Chcesz się założyć?

- Jak będziesz mnie ciągle drażnić, to przekonasz się, że wcale nie jesteś za duża, by dostać solidne lanie. Jak sobie radzisz, dziewczyno?

- A jak myślisz? Jak wyglądam?

- Zdrowo. Dość obszernie w okolicach zadka. Przefarbowałaś sobie włosy.

- Wcale nie. Przestałam to robić dawno temu. Przyłącz się do nas, a zastąpimy ci tę siwą szczecinę bujnym trawnikiem.

- Becky, nie życzę sobie być odmładzanym. Dużo mnie kosztowało osiągnięcie tej zgrzybiałości i mam zamiar nacieszyć się nią do woli. Lepiej przestań paplać i pozwól mi spokojnie zjeść.

- Tak jest. Ty stary capie...

W chwili, kiedy Jubal wstał od stołu po skończonym śniadaniu, do jadalni wszedł Człowiek z Marsa.

- Ojcze! Och, Jubal!

Mike objął go i ucałował.

Jubal delikatnie oswobodził się z uścisku.

- Zachowuj się jak duży chłopiec, synu. Siadaj i zjedz coś. Będę ci towarzyszył.

- Nie przyszedłem tu na śniadanie, tylko po to, żeby się z tobą zobaczyć. Poszukamy jakiegoś spokojnego miejsca i porozmawiamy.

- W porządku.

Weszli do pustego pokoju; Mike ciągnął Jubala za rękę jak podekscytowany chłopiec uradowany z przyjazdu swego ulubionego dziadka. Podsunął mu obszerny fotel, a sam wyciągnął się na kanapie. Znajdowali się w skrzydle z prywatnym lądowiskiem i okna pokoju wychodziły właśnie na nie. Harshaw wstał, by nieco przestawić fotel, gdyż wpadające przez wysokie okna światło nieco go raziło, lecz ku swemu lekkiemu niezadowoleniu

stwierdził, że fotel sam przesunął się zgodnie z jego życzeniem; zdalne sterowanie przedmiotami z pewnością oszczędzało sporo wysiłku i bez wątpienia było łatwiejsze do zniesienia niż bezmyślna usłużność mechanicznych gadżetów, ale nie będąc przyzwyczajonym do poruszania rzeczami bez pomocy kabli lub fal radiowych, przestraszył się dokładnie w taki sam sposób jak konie płoszące się na widok jadących samodzielnie powozów - mniej więcej w tym samym czasie, kiedy się urodził.

Do pokoju wszedł Duke i nalał im brandy.

- Dzięki, kanibalu - powiedział Mike. - Czy ty jesteś tym nowym lokajem?

- Ktoś musi się tym zajmować, potworze. Posadziłeś przy mikrofonach wszystkich intelektualistów, jakich tu mamy.

- Skończą za kilka godzin i wtedy będziesz mógł wrócić do swojej zwykłej lubieżnej gnuśności. Wykonałeś już swoje zadanie, kanibalu?

- Cały marsjański za jednym posiedzeniem? Potworze, chyba powinienem sprawdzić, czy nie poprzepalały ci się kondensatory!

- Och, nie! To tylko hasłowa wiedza, którą mam, to znaczy miałem, w moim mózgu. Teraz jestem jak pusty worek. Mądrale w rodzaju Śmierdziela będą latać na Marsa jeszcze przez najbliższe sto lat, żeby uzupełnić to, o czym ja nie miałem żadnego pojęcia. Ale i tak całkiem nieźle mi się udało: sześć tygodni harówki, a teraz inni mogą dokończyć dzieło, podczas gdy ja będę próżnował. - Przeciągnął się i ziewnął. -

Wspaniale się czuję. Zawsze dobrze się czuję, kiedy skończę jakąś pracę.

- Jeszcze przed zachodem słońca będziesz ślęczał nad czymś nowym. Szefie, ten marsjański potwór jest pracowity bez umiaru. Pierwszy raz od ponad dwóch miesięcy widzę, żeby wypoczywał.

- Odejdź już, kanibalu, i przestań opowiadać kłamstwa.

- Kłamstwa, dobre sobie! Zmieniłeś mnie w nałogowego prawdomówcę, a to jest wielka wada w kręgach, w których zwykłem się obracać - powiedział Duke i wyszedł z pokoju.

Mike podniósł szklankę.

- Dzielę się z tobą wodą, ojczy.

- Obyś zawsze pił do woli, synu.

- Tyś jest Bogiem.

- Mike, jestem w stanie znieść to od innych, ale ty przestań wyjeżdżać do mnie z tym Bogiem! Znam cię od czasu, kiedy byłeś jeszcze tylko jajkiem.

- W porządku, Jubal.

- To już lepiej. Od kiedy pijesz z samego rana?

Zrzuńniesz sobie żołądek i nigdy nie będziesz takim szczęśliwym starym opojem jak ja.

Mike spojrział na swoją szklankę.

- Piję tylko wtedy, jeśli w ten sposób dzielę się z kimś.

Alkohol nie działa w żaden sposób ani na mnie, ani na nikogo z nas, chyba że tego chcemy. Kiedyś pozwoliłem, żeby działał tak długo, aż wreszcie straciłem przytomność. To bardzo dziwne uczucie. Głokuję, że nie ma w tym żadnego dobra. To tylko sposób na chwilowe odcięśnienie. Mogę osiągnąć taki sam efekt, w o wiele przyjemniejszy sposób i bez żadnej szkody dla organizmu, zapadając w trans.

- W ten sposób sporo zaoszczędzisz.

- Prawie nic nie wydajemy na alkohol. Szczerze mówiąc, koszty utrzymania całej Świątyni są niższe od kosztów prowadzenia twojego domu. Z wyjątkiem początkowych inwestycji i wymiany kilku urządzeń dajemy sobie radę zupełnie sami. Mamy tak niewielkie potrzeby, że nieraz zastanawiałem się, co robić z napływającymi pieniędzmi.

- Więc po co w ogóle je zbierałeś?

- Nie wiesz? Bo gapię cenią tylko to, za co najpierw zapłacą.

- Wiedziałem o tym. Po prostu byłem ciekaw, czy i ty już się o tym przekonałeś.

- O, tak. Głokuję gapiów, Jubal. Początkowo nauczałem za darmo, ale to był błąd. My, ludzie, mamy jeszcze przed sobą długą drogę, zanim nauczymy się przyjmować dary i je doceniać. Teraz aż do Szóstego Kręgu każę im za wszystko płacić. Wtedy potrafią już przyjmować... a przyjmować jest znacznie trudniej niż dawać.

Jubal przyjrzał mu się uważnie.

- Synu, ciebie chyba coś gryzie.

- Tak.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Tak, ojcie. To dla mnie zawsze wielkie szczęście być z tobą, nawet jeśli nie mam żadnych zmartwień, ale jesteś jedynym człowiekiem, z którym mogę rozmawiać wiedząc, że zawsze mnie zgrokujesz nie dając się ponieść emocjom. Jill... Jill też głokuje, ale jeśli coś sprawia mi ból, ją boli to jeszcze bardziej. To samo z Dawn. Patty... Cóż, Patty w każdej chwili potrafi zdjąć ze mnie ciężar, lecz robi to biorąc go na swoje barki. One wszystkie są zbyt delikatne, żebym mógł dzielić się

z nimi tym, czego nie rozumiem. - Mike zamyślił się głęboko. - Czasem potrzebna jest spowiedź. Katolicy dobrze o tym wiedzą i mają wyznaczonych silnych psychicznie ludzi, którzy przejmują ciężar od innych. Fosterycy postępują inaczej: podczas grupowej spowiedzi rozdzielają go między siebie. Muszę wprowadzić spowiedź na początkowych etapach nauki. Grzech rzadko oznacza prawdziwą niewłaściwość, natomiast zwykle jest tym, co sam grzesznik uważa za złe i niedobre.

Samo dobro nie wystarczy, dobra jest zawsze za mało - ciągnął poważnie Mike. - To był jeden z moich pierwszych błędów, ponieważ wśród Marsjan dobro i mądrość oznaczają to samo. Ale nie wśród nas. Weźmy na przykład Jill: kiedy ją spotkałem, była doskonale dobra, choć zarazem strasznie splątana wewnątrz. O mało nie zniszczyłem i jej, i siebie - bo ja też byłem okropnie splątany - zanim udało nam się wszystko rozprostować. Ocaliła nas jej niezwykła cierpliwość, rzecz bardzo rzadko spotykana na tej planecie; w tym czasie ja uczyłem się być człowiekiem, a ona uczyła się tego, co wiedziałem.

Samo dobro n i g d y nie wystarczy. Aby przy jego pomocy osiągnąć cel, potrzebna jest chłodna, rozsądna mądrość. Dobro pozbawione mądrości zawsze prowadzi do zła. Właśnie dlatego kocham cię, ojczy, i bardzo cię potrzebuję. Potrzebuję twojej mądrości i siły... bo muszę się przed tobą wyświadczyć.

Jubal poruszył się niepewnie w fotelu.

- Na litość boską, Mike, nie rób z tego przedstawienia! Po prostu powiedz mi, co cię gryzie, a na pewno uda nam się coś wymyślić.

- Tak, ojczy.

Ale Mike nic więcej nie powiedział. Wreszcie Jubal postanowił przerwać milczenie.

- Załamało cię zniszczenie waszej Świątyni? Wcale ci się nie dziwię, ale przecież nie jesteś bankrutem, możesz zbudować nową.

- Och, nie! To nie ma żadnego znaczenia.

- Jak to?

- Ta świątynia była jak zapisany dziennik - w takiej sytuacji zakłada się nowy, a nie próbuje pisać jeszcze raz od początku. Ogień nie jest w stanie zniszczyć wspomnień, jeśli zaś chodzi o praktyczne korzyści polityczne, to na dłuższą metę takie spektakularne wydarzenie może tylko pomóc, na pewno nie zaszkodzić. Kościoły trwają dzięki męczeństwom i prześladowaniom, bo to dla nich najlepsza



reklama. Szczerze mówiąc, Jubal, ostatnie dni stanowiły bardzo miłą przerwę w rutynie codzienności. Nie stało się nic złego. - Wyraz twarzy Mike'a uległ gwałtownej zmianie. - Ojciec... Niedawno dowiedziałem się, że byłem szpiegiem.

- Co przez to rozumiesz, synu?

- Szpiegowałem na rzecz Starych. Przysłali mnie tutaj, żebym podglądał ludzi.

Jubal zastanowił się przez chwilę, po czym odparł:

- Mike, wiem o tym, że jesteś geniuszem. Dysponujesz umiejętnościami, o jakich do tej pory nie miałem pojęcia i których mnie nigdy nie udałoby się osiągnąć. Jednak nawet geniusz może ulec złudzeniom...

- Dobrze więc. Najpierw mnie wysłuchaj, a potem ocenisz, czy jestem szalony. Wiesz chyba, w jaki sposób działają satelity szpiegowskie sił specjalnych?

- Nie.

- Nie chodzi mi o szczegóły, bo te mogłyby zainteresować tylko Duke'a. Mam na myśli ogólną zasadę. Krążą wokół planety zbierając dane i magazynując je w pamięci. Kiedy dotrą do ustalonego punktu, przekazują wszystkie informacje tym, którzy je zaprogramowali. To samo stało się ze mną. Na pewno zauważyłeś, że w Gnieździe posługujemy się tym, co popularnie nazywa się telepatią?

- Zmuszono mnie, abym w to uwierzył.

- Ale to prawda. Nasza rozmowa jest prywatna, a poza tym nikt nie odważyłby się czytać w twoich myślach, choć jestem pewien, że każdy mógłby to uczynić. Nawet dzisiejszej nocy nawiązaliśmy kontakt poprzez umysł Dawn, nie twój.

- Cóż, dobre i to.

- W tej dziedzinie jestem tylko jajkiem - mistrzami są Starzy. Połączyli się ze mną, ignorując mnie jednak całkowicie, a potem wyssali ze mnie wszystko, co widziałem, słyszałem, czułem i grokowałem, wprowadzając to do swojego banku danych. Nie, nie pozbawili mnie wspomnień; można powiedzieć, że po prostu przegrali taśmę, sporządzając kopię. Czułem to wyraźnie, ale nic nie mogłem poradzić. Zaraz potem zerwali połączenie, tak że nawet nie zdążyłem zaprotestować.

- Cóż... Wygląda na to, że wykorzystali cię w paskudny sposób...

- Nie według ich standardów. Zresztą, nawet bym nie protestował, a kto wie, czy nie zgłosiłbym się na ochotnika, gdyby powiedzieli mi o tym wtedy, kiedy jeszcze byłem na Marsie. Ale oni nie chcieli, bym o czymkolwiek wiedział;

zależało im na tym, żebym grokował wszystko bez ingerencji z zewnątrz.

- Chciałem dodać, że skoro ta okropna inwigilacja wreszcie się skończyła, to jakie to może mieć znaczenie? Wydaje mi się, że nie stałoby się nic złego, nawet gdybyś przez te ostatnie dwa i pół roku chodził wszędzie w towarzystwie dwóch żywych Marsjan - oczywiście nie licząc zainteresowania, jakie byś wzbudzał.

Mike był bardzo poważny.

- Jubal, posłuchaj pewnej historii. Wysłuchaj jej uważnie.

- Opowiedział mu o zniszczeniu Piątej Planety, po której pozostał jedynie pas asteroidów. - I co ty na to?

- Przypomina mi to legendę o Potopie.

- Nie, Jubal. Nie masz żadnej pewności, czy Potop był naprawdę. Czy jednak wątpisz w zniszczenie Herkulanum i Pompei?

- Skądże znowu. To udowodnione fakty.

- Jubal, zniszczenie Piątej Planety przez Starzych jest równie pewne jak wybuch Wezuwiusza, tyle tylko, że znacznie dokładniej udokumentowane. To nie legenda. To fakt.

- Powiedzmy. Obawiasz się, iż Starzy mogą w taki sam sposób potraktować naszą planetę? Chyba wybaczysz mi, jeśli powiem, że cokolwiek trudno mi w to uwierzyć?

- Tego wcale nie musieliby robić Starzy. Wystarczy znajomość fizyki, wiedza o zasadach budowy materii i te same umiejętności, którymi dość często się posługuję. Wystarczy zgrokować, czego się chce i po prostu to zrobić. Mógłbym tego dokonać choćby zaraz. Weźmy na przykład kawałek jądra ziemi o średnicy, powiedzmy, stu mil... Mógłby być znacznie mniejszy, ale przecież chodzi o to, żeby wszystko odbyło się szybko i bezboleśnie, tak jak sobie życzy Jill. Wyczuwam dokładnie jego kształt i wielkość, grokuję, z czego się składa...

Twarcz Mike'a utraciła wszelki wyraz, a jego oczy odwróciły się białkami na zewnątrz.

- Hej! - wrzasnął Harshaw. - Przestań! Nie wiem, czy naprawdę potrafisz to zrobić, ale wolę, żebyś nie próbował!

Twarcz Człowieka z Marsa znowu przybrała normalny wygląd.

- Oczywiście, że nigdy bym tego nie zrobił. Dla mnie to wielkie zło, bo przecież jestem człowiekiem.

- Ale nie dla nich?

- Nie. Starzy mogliby zgrokować fakt zniszczenia jako coś pięknego. Zresztą, nie wiem. Wystarczy mi umiejętności, żeby to zrobić, ale nie mam motywacji.

- Hmm... Synu, zanim upewnimy się do końca, czy masz równo

pod sufitem, wyjaśnij mi jeszcze jedną rzecz: zawsze mówiłeś o tych Starych w taki sam sposób, w jaki ja mówię o psie sąsiada, ale jeżeli o mnie chodzi, to trudno mi uwierzyć w historie o duchach. Jak wygląda taki Stary?

- Tak jak każdy Marsjanin.

- W takim razie, jak można go rozpoznać? Przechodzi przez ściany czy coś w tym rodzaju?

- To potrafi każdy, nawet ja.

- W takim razie może chociaż migocze albo coś w tym guście?

- Nie. Widzisz go, słyszysz, czujesz - wszystko.

Przypomina obraz w odbiorniku stereowizji, tylko że bez najmniejszych zakłóceń i odbierany bezpośrednio przez twój umysł. Ale... Jubal, na Marsie twoje pytanie nie miałyby żadnego sensu, lecz grokuję, że tutaj jest inaczej. Gdybyś był obecny przy odcieleśnieniu - śmierci - przyjaciela, pomógł zjeść jego ciało, a potem zobaczył go, rozmawiał z nim, dotykał go... Czy wtedy uwierzyłbyś w duchy?

- Albo w duchy, albo w to, że zgubiłem piątą klepkę.

- W porządku. Jednak w przypadku Marsa albo mamy do czynienia z planetą ogarniętą plagą masowych przywidzeń, albo musimy uznać najprostsze wytłumaczenie - to, którego mnie nauczono i które potwierdzają wszystkie moje dotychczasowe wyjaśnienia. Na Marsie duchy stanowią najliczniejszą i mającą najwięcej do powiedzenia część populacji. Żyjący pracują na rzecz Starych, są ich sługami.

Jubal skinął głową.

- W porządku. Zawsze miałem i mam nadal wielki szacunek dla brzytwy Ockhama<sup>16</sup>. Choć moje doświadczenia mówią mi coś wręcz przeciwnego, to jestem zmuszony przyznać, że nie wykraczają poza tę jedną planetę, a więc są prowincjonalne. Dobra, synu; a więc boisz się, że mogą nas zniszczyć?

Mike potrząsnął głową.

- Niekoniecznie. Wydaje mi się - to nie jest grokowanie, tylko domysł - że mają do wyboru dwa rozwiązania: zniszczyć nas lub podbić kulturowo, upodabniając do siebie.

- Nie przesadzasz z obiektywizmem sądów?

- Nie. Musisz wiedzieć, że według ich standardów jesteśmy chorzy i upośledzeni - te wszystkie okropności, jakie robimy sobie nawzajem, brak wzajemnego zrozumienia, nieumiejętność grokowania innych ludzi, nasze wojny, choroby, klęski i okrucieństwa... nie będą w stanie tego pojąć. Dlatego nie jest wykluczone, że litościwie postanowią

skrócić nasze cierpienia. Jednak nawet jeśli się na to zdecydują, minie co najmniej... - Mike zamyślił się na dłuższą chwilę - ...pięćset lat, choć bardziej prawdopodobne wydaje mi się pięć tysięcy, zanim podejmą jakieś działanie.

- To najdłuższe posiedzenie sądu, o jakim słyszałem.

- Podstawowa różnica między ludźmi i Marsjanami polega na tym, że Marsjanom nigdy się nie śpieszy, a ludziom zawsze. Na pewno nie będą mieli nic przeciwko temu, żeby pomyśleć sto lub pięćset lat dłużej, żeby tylko uzyskać pewność, że zgrokowali wszystko w całości.

- W takim razie, synu, możesz się nie martwić. Jeżeli za pięćset albo tysiąc lat ludzkość jeszcze nie nauczy się układać odpowiednio stosunków z sąsiadami, to ani ty, ani ja nic jej nie pomożemy. Mimo wszystko podejrzewam, że jednak się nauczy.

- Ja też tak gromię, ale nie w całości. Powiedziałem ci, że wcale się tym nie martwię; znacznie bardziej obawiam się drugiej możliwości - że wkroczą tutaj i spróbują nas sobie podporządkować. A to jest po prostu niemożliwe. Każda próba uczynienia z nas Marsjan doprowadzi do zagłady gatunku, ale wtedy nie odbędzie się to ani szybko, ani bezboleśnie. To będzie ogromna niewłaściwość.

Jubał nie odpowiedział od razu.

- Synu... Czy przypadkiem ty nie starałeś się osiągnąć czegoś w tym rodzaju?

Mike spojrzał na niego żałośnie.

- Owszem, na samym początku, ale nie teraz. Ojciec, wiem, że czułeś się bardzo zawiedziony, kiedy zacząłem to wszystko.

- Twoja sprawa, synu.

- Tak. Moja. Muszę sam gromić każde przesilenie.

Podobnie jak ty... i każdy. Tyś jest Bogiem.

- Nie przyjmuję tej nominacji.

- Nie możesz jej odrzucić. Tyś jest Bogiem, ja jestem Bogiem, wszystko, co gromię jest Bogiem, a ja jestem wszystkim, czym kiedykolwiek byłem, co widziałem, czego dotykałem lub co odczuwałem. Jestem wszystkim, co gromię. Ojciec, ujrzałem w jak okropnym stanie znajduje się ta planeta i zgrokowałem, choć nie w całości, że mogę to zmienić. Tego, czego uczyłem, nie można było nauczać w szkołach, więc zostałem zmuszony przesznułować to jako religię - choć nią nie jest - i zmusić gapiów, by się tym zainteresowali odwołując się do ich ciekawości. Częściowo wszystko odbyło się tak, jak przypuszczałem: nauka okazała się dla innych równie dostępna jak dla mnie, wychowanego w marsjańskim gnieździe. Nasi bracia żyją ze sobą w pokoju i

szczęściu - widziałeś to na własne oczy - nie znając zgorzknienia ani zazdrości.

Już to jedno osiągnięcie można uznać za tryumf. Bycie kobietami i mężczyznami jest najwspanialszym z darów, jakie posiadamy; niewykluczone, że fizyczna, lecz zarazem romantyczna miłość stanowi oryginalne zjawisko, występujące tylko na tej planecie. Jeśli tak jest w istocie, to wszechświat nawet nie przypuszcza, jak wiele stracił... a ja gromię niewyraźnie, że my-którzy-jesteśmy-Bogiem ocalimy ten bezcenny skarb i zaniesiemy go innym. Zespolenie ciał połączone ze stapianiem się dusz we wspólnej ekstazie, dawanie, branie, rozkoszowanie się sobą nawzajem - na Marsie nie ma niczego w tym rodzaju, a dla mnie nie ulega żadnej wątpliwości, że to właśnie stanowi źródło wszystkiego, co czyni tę planetę tak zasobną i piękną. Wierz mi, Jubal: dopóki mężczyzna lub kobieta nie mieli okazji cieszyć się tym skarbem skapani we wzajemnej rozkoszy umysłów złączonych równie silnie jak ciała, są dziewicami w takim samym stopniu jak ci, którzy jeszcze nigdy nie odbyli stosunku płciowego. Jednak gromię, że ty już tego zaznałeś, bo obawiałeś się spróbować jeszcze raz, by nie doznać rozczarowania... zresztą wiem o tym bezpośrednio od ciebie. Ty gromiesz. Zawsze wszystko gromiłeś, obywając się nawet bez znajomości języka. Dawn powiedziała nam, że wdarłeś się w jej umysł równie głęboko jak w ciało.

- Hmm... Ta pannica trochę przesadza.

- Dawn nie potrafiłaby mówić inaczej niż prawdziwie. Poza tym - wybac mi - wszyscy tam byliśmy. Nie w twoim umyśle, lecz w jej... a ty też tam byłeś, dzieląc się sobą z nami.

Jubal powstrzymał się od uwagi, że jedyne chwile, kiedy wydawało mu się, że potrafi czytać w myślach, przeżywał właśnie w takich sytuacjach... a raczej nie tyle w myślach, co w uczuciach.

- Mów dalej.

- Właśnie na tym powinno polegać seksualne zjednoczenie, ale, jak stopniowo zaczynałem gromić, niezmiernie rzadko tak było. W zamian ujrzałem obojętność, mechanicznie wykonywane czynności, gwałty, uwodzenie - traktowane jak gra w rodzaju ruletki, tyle tylko, że mniej uczciwa - prostytutkę, celibat z wyboru i przymusu, strach, poczucie winy, nienawiść, przemoc, dzieci wychowywane w przeświadczeniu, że seks to coś brzydkiego, bezwstydnego i zwierzęcego, czego należy się zawsze wstydić i nigdy temu nie ufać. Urocze, doskonałe zjawisko, kobieta-mężczyzna, zostało odwrócone do góry nogami i

uczynione czymś odrażającym.

A każda z tych wstrętnych rzeczy stanowiła następstwo zazdrości. Mówię ci, Jubal, nie mogłem w to uwierzyć. W dalszym ciągu nie grokuję do końca zazdrości, bo to dla mnie coś zupełnie nienormalnego. Kiedy po raz pierwszy przekonałem się, jak wspaniała jest ta ekstaza, natychmiast zapragnąłem podzielić się nią z moimi wodnymi braćmi - bezpośrednio z jedną kobietą, pośrednio ze wszystkimi innymi. Pomysłu, żeby zachować tylko dla siebie to niewyczerpane źródło, przeraziłby mnie, gdyby w ogóle przyszedł mi do głowy. Nic takiego jednak się nie stało. Jest zupełnie logiczne, że nie chciałem powtarzać tak cudownego doznania z nikim, kogo bym nie znał i komu już bym nie ufał... Jubal, jestem po prostu fizycznie niezdolny do miłości z kobietą, z którą wcześniej nie dzieliłem się wodą. To samo dotyczy wszystkich w Gnieździe. Fizyczna impotencja, dopóki duch nie zespoli się z duchem jak ciało z ciałem.

Harshaw pomyślał ponuro, że to wyśmienity sposób, tyle że dla aniołów, kiedy niemal dokładnie naprzeciw niego na prywatnym parkingu wylądował jakiś pojazd. Obserwował, jak koła dotykają podłoża... a potem maszyna zniknęła.

- Jakież kłopoty? - zapytał.

- Nie - zaprzeczył Mike. - Zaczynają podejrzewać, że tu jesteśmy, a raczej, że ja tu jestem. Uważają, że pozostali nie żyją. To znaczy ci, którzy należeli do Środkowej Świątyni. Na razie nie niepokoją członków niższych kręgów. - Uśmiechnął się. - Moglibyśmy dostać dobrą cenę za te pokoje; w mieście zaczyna się roić od oddziałów szturmowych biskupa Shorta.

- Czy nie powinienes przenieść rodziny w jakieś inne miejsce?

- Nie obawiaj się, Jubal. Załoga tego pojazdu nie zdążyła złożyć żadnego meldunku. Czuwam nad naszym bezpieczeństwem. Teraz to żaden kłopot, odkąd Jill wyzbyła się wątpliwości, czy wolno usuwać ludzi wypełnionych złem. Musiałem używać różnych wymyślnych sposobów, żeby nas chronić, ale teraz Jill wie, że robię to tylko wtedy, jeśli zgrokuję wszystko w całości. - Człowiek z Marsa uśmiechnął się jak mały chłopiec. - Dziś w nocy pomogła mi przy pewnej robocie... zresztą nie pierwszy raz.

- Przy jakiej robocie?

- To następstwo mojej ucieczki z więzienia. Części spośród tych, którzy tam siedzieli, nie mogłem uwolnić, bo to byli źli ludzie, więc usunąłem ich jednocześnie z kratami i drzwiami. Tak się jednak złożyło, że od paru miesięcy grokowałem pomалу

całe miasto... i przekonałem się, że mieszka w nim wielu ludzi jeszcze gorszych od tamtych, których jednak nikt nie zamknął w więzieniu. Czekałem, sporządzając dokładną listę, grokując w całości każdy przypadek, a teraz, kiedy opuszczamy miasto, ci ludzie już w nim nie mieszkają. Zostali odcieleśnieni i zawróceni na początek drogi, żeby spróbować drugi raz. To właśnie zmieniło nastawienie Jill z niechętnego na w pełni aprobujące: wreszcie zgrokowała, że człowieka po prostu n i e m o ż n a zabić i że występujemy jedynie w roli sędziego, usuwającego zawodnika z boiska za nadmierną ostrość w grze.

- Kolego, czy nie boisz się grać roli Boga?

Mike uśmiechnął się z bezwstydną radością.

- Ja j e s t e m Bogiem, Jubal. Tyś jest Bogiem... i każdy z tych śmieci, których usunąłem, też nim jest. Mówi się, że Bóg widzi każdego wróbla, który umiera i to jest prawda. Jedyne, co mogę odpowiedzieć w twoim języku, to że Bóg nie może nie zauważyć tego umierającego wróbla, bo wróbel t e ż j e s t Bogiem. A kiedy wróbla łapie kot, to obaj są Bogiem, postępując zgodnie z Jego wolą.

Nad lądowisko zniżył się kolejny pojazd i również zniknął. Jubal nic nie powiedział na ten temat.

- Ilu ludzi usunęliście tej nocy z boiska?

- Około czterystu pięćdziesięciu - nie liczyłem dokładnie.

To spore miasto, a przez jakiś czas będzie wręcz niesamowicie porządne. Oczywiście, to nie jest żaden cudowny środek; nie ma cudownych środków, z wyjątkiem samodyscypliny. - Mike skrzywił się żałośnie. - I właśnie o to muszę cię zapytać, ojczu. Obawiam się, że oszukałem naszych braci.

- W jaki sposób?

- Są zbyt optymistami. Widzą, jak bardzo są szczęśliwi, zdrowi, silni i samoświadomi. A teraz wydaje im się, iż grokują, że to tylko kwestia czasu, zanim cała ludzka rasa osiągnie tę samą szczęśliwość. Na pewno nie jutro - wobec takiego zadania nawet dwa tysiąclecia są zaledwie chwilką - ale wierzą w to, że taki moment nadejdzie. I to ja kazałem im w to wierzyć. Niestety, nie wziąłem pod uwagę kluczowej sprawy: ludzie nie są Marsjanami.

Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego, kiedy część ludzi cierpi głód, inni nie pozwolą się dobrowolnie zabić, aby dostarczyć tamtym pożywienia. Na Marsie takie postępowanie jest czymś oczywistym i przynosi zaszczyt. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego tak bardzo ceni się dzieci. Na Marsie nasze dwie

dziewczynki zostałyby wyrzucone za drzwi, aby przeżyć lub umrzeć - na dziesięć nimf dziewięć umiera podczas pierwszego sezonu. Logika, jaką się posługiwałem, była bez zarzutu, lecz błędnie zinterpretowałem dane. Tutaj współzawodniczą nie dzieci, tylko dorośli - na Marsie współzawodnictwo kończy się wraz z osiągnięciem dorosłości. Jednak i tam, i tu mamy do czynienia z rywalizacją i odchwaszczaniem; gdyby było inaczej, gatunek zacząłby chylić się ku upadkowi.

Niezależnie od tego, czy miałem rację próbując w ogóle wyeliminować współzawodnictwo, ostatnio zgrokowałem, że ludzie i tak nigdy by mi na to nie pozwolili.

Do pokoju zajrzał Duke.

- Mike, wyglądałeś na zewnątrz? Wokół hotelu gromadzi się tłum.

- Wiem o tym - odparł Mike. - Powiedz wszystkim, że czekanie jeszcze się nie wypełniło. - Zwrócił się ponownie do Jubala. - Tyś jest Bogiem nie stanowi jedynie świadectwa radości i nadziei. To także wyzwanie i odważne przyjęcie osobistej odpowiedzialności. - Nagle wyraźnie posmutniał. - Zdecydowanie zbyt rzadko zwracałem na to uwagę. Jedynie nieliczni, tylko ci, którzy teraz są tutaj, nasi bracia, zrozumieli mnie i zaakceptowali gorycz połączoną ze słodyczą, wypili ją i zgrokowali. Pozostali bez względu na moje słowa wciąż myśleli o Bogu jako o kimś znajdującym się na zewnątrz, kto pragnie przytulić do Swej piersi każdego rozleniwionego kretyna i pocieszyć go. Nie byli w stanie zaakceptować myśli, że przede wszystkim muszą coś dać z siebie i że kłopoty, w jakich się znajdują, mogą zawdzięczać przede wszystkim sobie. - Człowiek z Marsa potrząsnął głową. - Moje porażki są tylekroć liczniejsze od sukcesów, że aż zastanawiam się, czy aby pełne grokowanie nie wykaże, że wstąpiłem na fałszywą ścieżkę i że ta rasa po prostu musi być podzielona, wypełniona nienawiścią, walcząca, wiecznie nieszczęśliwa i nigdy nie pogodzona z samą sobą - żeby przeprowadzić odchwaszczenie, przez które musi przejść każdy gatunek. Powiedz mi, ojcze, czy tak właśnie jest? Musisz mi powiedzieć!

- Do diabła, Mike! Czemu uważasz, że jestem nieomylny?

- Może nie jesteś, ale zawsze, kiedy chciałem coś wiedzieć, ty potrafiłeś mi to wyjaśnić. Później okazywało się, że miałeś rację.

- Stanowczo nie zgadzam się na takie apoteozy! Ale jedno wiem na pewno, synu: nigdy nikomu nie kazałeś się śpieszyć.



Czekanie musi się wypełnić - tak zawsze mówiłeś.

- To prawda.

- A teraz sam postępujesz wbrew tej regule. Odczekałeś krótką chwilę - według marsjańskich standardów wręcz niezauważalną

- i już chcesz rzucić ręcznik na ring. Dowiodłeś, że twój system sprawdza się w małej grupie, a ja mogę to z zadowoleniem potwierdzić. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem równie szczęśliwych, zdrowych i radosnych ludzi. Zgłoś się do mnie ponownie, kiedy będziesz miał tysiąc razy więcej zwolenników, wszystkich szczęśliwych i wyleczonych z zazdrości, i wtedy porozmawiamy. Zgoda?

- Mądrze mówisz, ojcze.

- Jeszcze nie skończyłem. Doszedłeś do wniosku, że skoro nie udało ci się zgarnąć pod swoje skrzydła dziewięćdziesięciu dziewięciu procent ludzi, to znaczy, że ta rasa nie potrafi obejść się bez swoich przywar, a wręcz potrzebuje ich do pozbycia się chwastów. Ale przecież to ty przeprowadzałeś odchwaszczanie, a raczej dokonywali go na sobie wszyscy ci nieudacznicy, którzy nie chcieli cię słuchać. Czy miałaś zamiar zlikwidować pieniądze i własność?

- Och, nie! W Gnieździe nie potrzebujemy tego, ale...

- Podobnie jak nie potrzebuje tych rzeczy żadna zdrowa rodzina. Ale na zewnątrz musicie to mieć, żeby móc utrzymywać kontakty z innymi ludźmi. Sam powiedział mi, że nasi bracia zamiast zacząć bujać w obłokach nabierają małpiego sprytu w obracaniu pieniędzmi. Czy to prawda?

- Tak. To bardzo proste, kiedy już się zgrokuje.

- Błogosławieni bogaci duchem, im bowiem dane będzie robić prawdziwy szmal. A jak lokujecie się w innych dziedzinach? Powyżej czy poniżej przeciętnej?

- Oczywiście, że powyżej. Zrozum, Jubal: to n i e j e s t wiara, tylko metoda efektywnego funkcjonowania w każdych okolicznościach.

- Właśnie sam sobie odpowiedziałeś, synu. Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą - a ja cię nie osądzam; zadaję pytania, ty zaś na nie odpowiadasz - to znaczy, że nie tylko nie wyeliminowałeś konkurencji, lecz uczyniłeś ją jeszcze ostrzejszą, niż była kiedykolwiek. Jeśli nawet tylko jedna dziesiąta procenta całej populacji jest w stanie przyswoić sobie twoją naukę, wystarczy, żebyś im to p o k a z a ł, a za kilka pokoleń wszyscy głupcy wymrą, ustępując miejsca twoim uczniom. Nieważne, czy to stanie się za tysiąc lat, czy za dziesięć

tysięcy - będzie to wystarczająco wcześnie, żeby już teraz zacząć myśleć nad jakimś nowym plotkiem, który zmusiłby ich do skakania jeszcze wyżej. Nie rozpaczaj jednak, że na razie tylko garstka zamieniła się w anioły; ja osobiście wątpię, czy w ogóle komuś to się uda. Uważałem, że udając kaznodzieję robisz z siebie cholernego głupca.

Mike westchnął i uśmiechnął się.

- I ja zacząłem już tak myśleć... Bałem się, że zawiodłem moich braci.

- W dalszym ciągu jestem zdania, że powinieneś nazwać to "Kosmicznym Cuchnącym Oddechem" albo jakoś podobnie... Ale nazwa nie ma znaczenia. Jeśli rzeczywiście masz w ręku prawdę, musisz to udowodnić. Gadaniem niczego nie osiągniesz. Pokaż ją ludziom!

Mike nie odpowiedział. Przymknąwszy powieki siedział bez ruchu z kamienną twarzą. Jubal poruszył się niespokojnie, obawiając się, że powiedział za dużo, wpędzając chłopaka w kolejny trans.

Nagle Mike otworzył oczy i uśmiechnął się radośnie.

- Uspokoileś mnie, ojczy. Jestem gotów pokazać im to, co zgrokowałem w całości. - Człowiek z Marsa wstał z miejsca. - Czekanie dobiegło końca.

## Rozdział XXXVII

Jubal i Człowiek z Marsa weszli do pokoju, w którym stał duży odbiornik stereowizji. Zebrało się wokół niego całe Gniazdo. Ekran wypełniał gęsty, wzburzony tłum, powstrzymywany przez policjantów. Mike obrzucił gawiedź doskonale spokojnym, szczęśliwym spojrzeniem.

- Przyszli. Osiągnęliśmy całość.

Wisząca w powietrzu atmosfera ekstatycznego oczekiwania, której narastanie Jubal odczuwał od chwili przybycia do Gniazda, przybrała jeszcze bardziej na sile, ale nikt się nie poruszył.

- To rzeczywiście wspaniała sprawa, kochanie - zgodziła się Jill.

- I w pełni dojrzała - dodała Patty.

- Chyba powinienem coś na siebie założyć - powiedział Mike. - Patty, czy w tym śmietniku znajdzie się jakieś moje ubranie?

- Za chwilę, Michael.

- Synu, ten tłum wcale mi się nie podoba - odezwał się Jubal. - Jesteś pewien, że to odpowiednia pora na to, żeby się z nimi siłować?

- Naturalnie - odparł Mike. - Przyszli tu, żeby mnie zobaczyć, więc zejść na dół, by się z nimi spotkać. - Umiłkł na chwilę, kiedy przyplęnęło ubranie; zakładał je bardzo szybko, w czym zupełnie niepotrzebnie pomagało mu kilka kobiet. Każda część stroju zdawała się doskonale wiedzieć, gdzie jest jej miejsce i jak powinna się tam ułożyć. - Ten zawód wiąże się nie tylko z przywilejami, ale także obowiązkami. Gwiazda musi stawić się punktualnie na przedstawienie... Grokujesz mnie? Gapię tego pragnę.

- Mike wie co robi, szefie - odezwał się Duke.

- Hmm... Ja nigdy nie ufam tłumom.

- Ten składa się głównie z ciekawskich, jak zresztą prawie każdy. Och, jest tam kilku fosterytów i parę osób żywiących niezbyt przyjazne uczucia, ale Mike potrafi sobie poradzić z każdym tłumem. Sam się przekonasz. Mam rację, Mike?

- Całkowitą, kanibalu. Najpierw trzeba ściągnąć publiczność, a potem dać występ. Gdzie mój kapelusz? Przecież nie mogę wyjść na pełne słońce bez kapelusza. - Elegancki kapelusz w stylu panama z jaskrawą wstążką wylądował na jego głowie; Mike przekrzywił go zawiadaczko. - Dobrze! I jak wyglądam?

Miał na sobie ten sam strój, w którym najczęściej odprawiał ogólnodostępne nabożeństwa - starannie skrojony biały, odprasowany garnitur, dopasowane kolorem buty, śnieżnobiałą koszulę i lśniący krawat.

- Brakuje ci tylko aktówki - poinformował go Ben.

- Tak grokujesz? Patty, mamy jakąś teczkę?

- Ben tylko żartował, kochanie - powiedziała Jill.

Podeszła do niego, poprawiła mu krawat i pocałowała go.

- Pora zacząć spektakl. Anne? Duke?

Anne miała na sobie biały strój Świadka, spowijający ją w dostojność, natomiast niedbale ubrany Duke sprawiał wręcz odwrotne wrażenie; w kąciku ust trzymał niedopałek papierosa, na głowie miał stary kapelusz z wetkniętą karteczką PRASA, a cały był obwieszony aparatami i sprzętem reporterskim.

Skierowali się ku drzwiom wychodzącym na korytarz łączący cztery apartamenty znajdujące się na tym piętrze. Jubal był jedynym, który ruszył za nimi; pozostali, w liczbie ponad trzydziestu osób, zgromadzili się wokół odbiornika stereowizji. Mike zatrzymał się przy drzwiach. Stał tam stolik, a na nim dzbanek z wodą, szklanki, patera z owocami i nóż służący do ich

obierania.

- Lepiej nie idź z nami - poradził Jubalowi - bo Patty będzie musiała pilotować cię z powrotem przez korytarz, w którym zamieszkali jej ulubieńcy. - Nalał sobie szklanek wody i wypił kilka łyków. - Od wygłaszania kazań zawsze zasycha w gardle. - Podał szklanek Anne, sam zaś odkroił nożem kawałek jabłka.

Jubal odniósł wrażenie, że Człowiek z Marsa odciął sobie przy tym palec... lecz Duke odwrócił jego uwagę, podając mu szklanek z wodą. Jednak Mike nie krwawił, a zresztą Jubal zdążył już się przyzwyczaić do tego rodzaju sztuczek. Wziął szklanek i napił się, stwierdzając przy okazji ze zdziwieniem, że zupełnie zaschło mu w gardle.

Mike uściśnął jego ramię i uśmiechnął się.

- Nie obawiaj się - powiedział. - To potrwa tylko kilka minut. Do zobaczenia, ojciec.

Wyszli na korytarz strzeżony przez kobry, a drzwi zamknęły się za nimi. Jubal wrócił do pokoju, ściskając w dłoni szklanek; nawet nie zauważył, że ktoś mu ją zabrał, gdyż uwagę jego przykuł ekran odbiornika.

Tłum zgęstniał, utrzymywany w ryzach przez uzbrojonych tylko w pałki policjantów. Od czasu do czasu rozlegały się jakieś okrzyki, ale dominującym odgłosem był pomruk wydobywający się z niezliczonych gardeł.

- Gdzie oni teraz są, Patty? - zapytał ktoś spośród zgromadzonych w pokoju.

- Zjechali na dół rurą spadową. Michael idzie jako pierwszy, Duke zatrzymał się, żeby złapać Anne. Idą przez główny hol. Ludzie już zauważyli Michaela, robią mu zdjęcia.

Na ekranie pojawiła się ogromna głowa i barki uradowanego reportera.

- Zgłasza się wasz sprawozdawca sieci New World, Happy Holliday. Jak zwykle jesteśmy tam, gdzie się coś dzieje. Przed chwilą dowiedzieliśmy się, że fałszywy mesjasz, zwany czasami Człowiekiem z Marsa, wypełził ze swojej kryjówki w hotelowym pokoju w St. Petersburg - Pięknym Mieście, W Którym Każdemu Chce Się Śpiewać. Wygląda na to, że Smith postanowił oddać się w ręce władz. Wczoraj uciekł z więzienia przy pomocy środków wybuchowych, dostarczonych mu przez jego fanatycznych zwolenników,

ale nie dał rady przebić się przez ciasny kordon, jakim zostało otoczone całe miasto. Jednak na razie nie znamy jeszcze żadnych szczegółów, więc dobrze wam radzę, nie zmieniajcie

kanalu, a na razie wysłuchajcie paru słów od naszego miejscowego sponsora, dzięki któremu możecie trzymać rękę na pulsie najświeższych wydarzeń...

- Dziękujemy, Happy Holliday, i wam wszystkim, którzy oglądacie nas w sieci New World. Ile kosztuje Raj? Zdumiewająco mało! Przekonajcie się sami przybywając na Pola Elizejskie, właśnie udostępnione do sprzedaży dla ograniczonej liczby klientów! Cały teren został wydarty ciepłym wodom Zatoki i gwarantujemy wam, że znajduje się co najmniej o osiemnaście cali powyżej średniego poziomu przyływu, więc czym prędzej łapcie za telefon, przyjaciele, i dzwońcie pod numer 928-28!

- Dziękuję ci, Jick, i wszystkim, którzy zdobyli dla nas Pola Elizejskie. Kochani, zdaje się, że coś mamy! Tak, jestem tego pewien...

(- Wychodzą przed budynek - powiedziała cicho Patty. - Tłum jeszcze nie zauważył Michaela.)

- Nawet jeśli nie teraz, to już wkrótce. Widzicie przed sobą główne wejście wspaniałego hotelu Sans Souci, Perły Zatoki, którego kierownictwo nie ponosi żadnej odpowiedzialności za to, że uciekinier akurat tutaj urządził sobie kryjówkę. Aby skrócić czas oczekiwania, prezentujemy teraz skrót przedziwnej kariery tego pół-ludzkiego potwora wychowanego na Marsie...

Obraz na żywo został zastąpiony przez szybko zmieniające się zdjęcia archiwalne, przedstawiające startującego na słupie ognia Envoy, Championa wzbijającego się lekko i bez wysiłku w niebo, Marsjan, tryumfalny powrót Championa, fragment pierwszego wywiadu z fałszywym Człowiekiem z Marsa - "Co sądzisz o ziemskich dziewczętach?" "Oooo!" - migawkę z konferencji w Pałacu i wycinek bardzo nagłośnionej uroczystości wręczenia doktoratu z filozofii... a wszystko to przy wtórze komentarza wystrzeliwanego z prędkością karabinu maszynowego.

- Widzisz coś, Patty?

- Michael stoi na szczycie schodów. Tłum jest w odległości co najmniej stu jardów, poza terenem hotelu. Duke zrobił kilka zdjęć, a teraz Mike czeka, aż zmieni obiektyw. Nie ma pośpiechu.

Ekran znowu wypełnił tłum, tym razem pokazywany w półzbliżeniu.

- Sami rozumiecie, przyjaciele, że ta wspaniała społeczność znajduje się dzisiaj w zupełnie niezwykłym stanie - ciągnął Happy Holliday. - Zdarzyło się coś dziwnego, a ci ludzie nie są w nastroju do żartów. Naruszono ich prawa i

zlekceważono stróżów porządku, więc są wściekli, i mają do tego pełne prawo. Fanatyczni zwolennicy tego rzekomego antychrysta nie zawahali się przed niczym, żeby wywołać zamieszanie, które miało pozwolić ich przywódcy wysliznąć się z zaciskającej się sieci sprawiedliwości. Dziś może się tu zdarzyć wszystko, powtarzam: wszystko! - Głos sprawozdawcy wznosił się o ton wyżej. - Tak, to on! Widzę, jak wychodzi! - Kamera odwróciła się w przeciwną stronę, pokazując zbliżającego się Mike'a. Anne i Duke zostawali coraz bardziej z tyłu. - Uwaga! To teraz! Oto chwila, na którą wszyscy czekaliśmy!

Mike szedł bez pośpiechu w kierunku tłumu, aż wreszcie zobaczyli go niemal w naturalnej wielkości, jakby był wraz z nimi w pokoju. Zatrzymał się na skraju rosnącego przed hotelem trawnika, kilka stóp od zbiegowiska.

- Wzywaliście mnie?

Odpowiedział mu pomruk.

Po niebie przesuwwały się poszarpane chmury; akurat w tej chwili słońce wyjrzało zza jednej z nich i promień światła padł prosto na Mike'a.

Jego ubranie zniknęło. Stał przed nimi złoty młodzieniec, przyodziany jedynie w piękno. To piękno było tak doskonałe, że Jubala aż zabolowało serce; pomyślał, że Michał Anioł w odległych czasach na pewno zszedłby ze swoich rusztowań, by utrwalić je dla nie narodzonych pokoleń.

- Spójrzcie na mnie - powiedział łagodnie Mike. - Jestem synem człowieczym.

Włączyła się dziesięciosekundowa reklamówka, przedstawiająca szereg kobiet tańczących kankana i śpiewających:

*Pierzmy ciuchy, miłe damy,  
Najlepszymi mydlinami.  
Mydło Lover chroni ręce -  
Kto wie, może kupić więcej?*

Ekran wypełnił się mydlinami i dziewczęcym śmiechem, po czym wznowiono bezpośrednią transmisję.

- Bądź przeklęty! - Połówka cegły trafiła Mike'a w zębra.

- Ty też jesteś Bogiem - zwrócił się Mike do napastnika. - Tylko ty możesz przeklinać innych... ale nigdy nie uda ci się uciec przed samym sobą.

- Błuźnierca!

Kamień uderzył go w czoło nad lewym okiem; z rany

popłynęła krew.

- Walcząc ze mną walczycie z sobą... - powiedział spokojnie Mike - bowiem wy jesteście Bogiem... i ja jestem Bogiem... i wszystko, co grokuje, jest Bogiem.

Poleciały następne kamienie, kalecząc go w wielu miejscach.

- Usłyszcie Prawdę. Nie musicie nienawidzić, nie musicie walczyć, nie musicie się bać. Daję wam wodę życia... - Nagle w jego dłoni pojawiła się szklanica z wodą błyszczącą w promieniach słońca. - ...a wy możecie dzielić się nią, kiedy tylko zechcecie, i żyć razem w pokoju, miłości i szczęściu.

Kamień roztrzaskał szklankę, inny trafił go w usta.

Mike uśmiechnął się krwawiącymi, rozbitymi wargami, patrząc prosto w kamerę z wyrazem łagodnego współczucia na twarzy. Jakieś załamanie światła, a może wada obrazu, utworzyły wokół jego głowy coś na kształt aureoli.

- Kocham was, moi bracia! Pijcie do syta. Dzielcie się wodą i zbliżajcie do siebie bez końca. Jesteście Bogiem!

Jubał powtórzył bezgłośnie szeptem jego słowa. Na ekranie pojawiła się pięciosekundowa reklamówka:

- Jaskinia Cahuenga! Nocny klub z autentycznym smogiem z Los Angeles, codziennie świeża dostawa! Sześć erotycznych tancerek!

- Zlinczować go! Powiesić sukinsyna!

Rozległ się wystrzał z wielkokalibrowej strzelby; pocisk oderwał Mike'owi prawą rękę powyżej łokcia. Odstrzelona kończyna opadła łagodnie na trawę z dłonią otwartą jak do pozdrowienia.

- Walnij jeszcze raz, Shortie! Tylko lepiej przymierz! - rozległy się radosne okrzyki. Fragment cegły zmiażdżył Mike'owi nos, a grad kamieni spadł na jego głowę.

- Prawda jest prosta, lecz Droga Człowiecza ciężka i kręta. Przede wszystkim musicie nauczyć się samokontroli, reszta przyjdzie sama. Błogosławieni ci, którzy znają siebie i panują nad sobą, gdyż do nich należy świat, a miłość, szczęście i pokój nigdy ich nie opuszczą.

Rozległ się kolejny strzał, a zaraz potem dwa następne. Jeden z pocisków kalibru czterdzieści pięć trafił Mike'a nad sercem, roztrzaskał szóste żebro w pobliżu mostka i pozostawił głęboką ranę. Dwa inne przeszły na wylot przez gołe pięć cali poniżej rzepki, łamiąc kość strzałkową i wyszarpując ją częściowo na zewnątrz.

Mike zachwiał się lekko i roześmiał, po czym powiedział

głośno i wyraźnie:

- Jesteście Bogiem. Pamiętajcie o tym, że Droga stoi przed wami otworem.

- Do licha, powstrzymajcie go! Dość tego wzywania imienia Pana nadaremno!

- Dalej, ludzie! Wykończmy go!

Tłum ruszył naprzód, prowadzony przez jakiegoś osiłka z pałką. Zaczęli okładać go pięściami, a kiedy padł na ziemię, także deptać i kopać. Mike mówił bez przerwy, podczas gdy oni łamali mu żebra, miażdżyli jego złote ciało i gruchotali kości. Wreszcie ktoś zawołał:

- Cofnijcie się! Oblejemy go benzyną!

Tłum rozstał się nieco, a kamerzysta natychmiast wykorzystał okazję, robiąc zbliżenie twarzy i ramion Mike'a. Człowiek z Marsa uśmiechnął się do swoich braci, a następnie odezwał się jeszcze raz donośnym głosem:

- Kocham was.

Nieostrożny konik polny wylądował w trawie kilka cali od jego twarzy; Mike odwrócił głowę i spojrzał na niego.

- Tyś jest Bogiem - powiedział radośnie, po czym odcieleśnił się.

## Rozdział XXXVIII

Ekran wypełniły płomienie i buchający w górę dym.

- O, rety! - wykrzyknęła z podziwem Patty. - To najlepszy finał, jaki w życiu widziałam.

- To prawda - zgodziła się Becky. - Nawet Profesor nie wymyśliłby lepszego.

- Bardzo stylowo - powiedział cicho van Tromp, jakby tylko do siebie. - Sprytnie i stylowo. To się nazywa skończyć z klasą.

Jubał spojrzał po otaczających go braciach. Czyżby tylko on odczuwał cokolwiek? Jill i Dawn siedziały przytulone do siebie - ale robiły to zawsze, kiedy były razem; żadna z nich nie wydawała się specjalnie poruszona. Nawet Dorcas miała zupełnie suche oczy i zachowała całkowity spokój.

Ogniste piekło na ekranie ustąpiło miejsca szeroko uśmiechniętemu Happy Hollidayowi, który oznajmił:

- A teraz, przyjaciele, poświęćmy kilka chwil naszym znajomym z Pól Elizejskich, którzy...



Patty wyłączyła odbiornik, przerywając mu w pół zdania.

- Anne i Duke już idą na górę - powiedziała. -

Przeprowadzę ich przez korytarz, a potem zjemy lunch.

Ruszyła do drzwi.

- Patty, czy wiedzieliście, co Mike zamierza zrobić? -  
zatrzymał ją pytaniem Jubal.

Zdziwiła się lekko.

- Oczywiście, że nie. Musieliśmy poczekać na całość. Nikt  
z nas nie wiedział.

Odwróciła się i wyszła.

- Jubal... - odezwała się Jill, patrząc wprost na niego. -

Jubal, nasz ukochany ojciec... proszę cię, powstrzymaj się przez  
chwilę i zgrokuj wszystko w całości. Mike nie umarł. W jaki  
sposób mógł umrzeć, skoro nikt nie może zostać zabity? Nigdy  
nie opuści nas, którzy już go zgrokowaliśmy. Tyś jest Bogiem.

- Tyś jest Bogiem - odparł ponuro.

- Tak już lepiej. Chodź, usiądź między nami.

- Nie. Chcę być sam.

Poszedł do swego pokoju, zamknął za sobą drzwi na klucz i  
zacisnął kurczowo dłonie na wezglowiu łóżka. Mój synu... Och,  
mój synu! Czemuż nie umarłem za ciebie! Tak wiele miałeś  
powodów, żeby żyć... a ja, stary głupiec, którego tak  
szanowałeś, poprowadziłem cię do niepotrzebnego, bezużytecznego  
męczeństwa... Gdybyś jeszcze dał ludziom coś p o t r z e b n e g o  
- jak stereowizję albo bingo - ale ty dałeś im Prawdę, czy  
raczej jej część. A kogo dziś interesuje Prawdą? Jubal  
roześmiał się gorzko przez łzy.

Po jakimś czasie zapanował zarówno nad szlochem, jak  
śmiechem i zaczął szperać w swojej torbie. Znalazł to, czego  
szukał; zawsze woził to ze sobą, odkąd uderzył, jakiego doznał Joe  
Douglas, przypomniał mu, że ciało to tylko marność.

Teraz on sam doznał udaru i nie potrafił sobie z tym  
poradzić. Zażył trzy tabletki, aby mieć pewność, że szybko  
osiągnie zamierzony skutek, popił je wodą i położył się na  
łóżku. Wkrótce ból minął.

Z wielkiego oddalenia dobiegł go jakiś głos:

- Jubal...

- Odpoczywam. Nie przeszkadzajcie mi.

- Jubal! Ojciec, proszę!

- He?... O co chodzi, Mike?

- Obudź się! Dzieło jeszcze nie jest ukończone. Pomogę  
ci.

Jubal westchnął ciężko.

- W porządku, Mike.

Dał się zaprowadzić do łazienki, gdzie zwymiotował zawartość żołądka i wypłukał usta wodą.

- Już lepiej?

- Tak, synu. Dziękuję.

- W takim razie idę, bo teraz muszę się zająć innymi sprawami. Kocham cię, ojciec. Tyś jest Bogiem.

- Kocham cię, Mike. Tyś jest Bogiem.

Harshaw został w łazience trochę dłużej, doprowadzając się do porządku. Następnie zmienił ubranie, wypił odrobinę brandy, aby pozbyć się gorzkiego smaku, jaki nadal czuł w żołądku, po czym wyszedł, by dołączyć do pozostałych.

Patty była sama w pokoju, jeśli nie liczyć wyłączanego odbiornika.

- Masz ochotę na lunch, Jubal?

- Owszem.

Podeszła do niego.

- To dobrze. Obawiam się, że wszyscy zjedli i dali drapaka, ale zostawili dla ciebie po całusie. Oddam ci je za jednym zamachem.

Udało jej się zawrzeć w tym pocałunku całą ich miłość, połączoną z jej własną. Kiedy skończyła, Jubal poczuł się znacznie silniejszy i podniesiony na duchu; resztki goryczy zniknęły bez śladu.

- Chodźmy do kuchni - zaproponowała Patrycja. - Tony wyszedł, więc pewnie będzie tam mnóstwo ludzi; nigdy nie udało mu się nikogo stamtąd wygonić. - Odwróciła głowę, usiłując zerknąć na swoje plecy. - Czy przypadkiem ostatnia scena trochę się nie zmieniła? Jakiś dym, czy coś w tym rodzaju?...

Jubal z całą powagą potwierdził, że istotnie, zaszły wyraźne zmiany, choć w rzeczywistości nie był w stanie żadnych dostrzec. Nie miał jednak najmniejszego zamiaru dyskutować z Patty na ten temat. Kobieta skinęła głową.

- Tak przypuszczałam. Widzę wszystko dokoła, ale nie mogę zobaczyć siebie. Wciąż potrzebuję podwójnego lustra, żeby obejrzeć sobie dokładnie plecy. Mike twierdzi, że niedługo będę mogła obejść się bez tego. Zresztą, to nie ma znaczenia.

W kuchni zastali około dziesięciu osób siedzących przy stole lub kręcących się tu i ówdzie; Duke mieszał coś w rondlu.

- Cześć, szefie. Zamówiłem dwudziestoosobowy autobus. To największy, jaki może tu lądować, a i tak ledwo się zmieścimy ze wszystkimi pieluchami i zwierzakami Patty. W porządku?

- Oczywiście. Czy wszyscy wracają z nami do domu?

Gdyby zabrakło sypialni, dziewczęta mogłyby sklecić jakieś leżanki, które postawiłoby się w salonie... choć nie powinno być tak źle, bo przecież na pewno wszyscy spaliby parami. Możliwe, że on też. Po namyśle Harshaw postanowił nie protestować przeciwko takiemu rozwiązaniu. Przyjemnie było mieć obok siebie w łóżku czyjeś ciepłe ciało, nawet jeśli nie miało się zamiaru tego wykorzystywać. Boże, prawie już zapomniał jak b a r d z o było to przyjemne! Można się zbliżyć i...

- Nie wszyscy. Tim tylko nas zawiezie, a potem odprowadzi autobus i wpadnie na chwilę do Teksasu. Kapitan, Beatrix i Sven wysiadają w New Jersey.

- Ruth i ja musimy odwiedzić dzieci - odezwał się siedzący przy stole Sam. - Saul jedzie z nami.

- Nie możecie najpierw wpaść na dzień lub dwa do domu?

- Kto wie... Muszę porozmawiać z Ruth.

- Szefie, kiedy będzie można napełnić basen? - zapytał Duke.

- Hmm... Nigdy nie robiliśmy tego wcześniej niż w kwietniu, ale teraz, kiedy mamy te nowe grzejniki, możemy napełnić go w każdej chwili. Choć pogoda nie jest najlepsza - jeszcze wczoraj leżał śnieg.

- Pozwól, że ci coś powiem, szefie. Ta banda może chodzić w śniegu sięgającym do pasa wysokiej żyrafie i nawet tego nie zauważy. Poza tym istnieją tańsze sposoby podgrzewania wody niż za pomocą tych wielkich olejowych grzejników.

- Jubal!

- Tak, Ruth?

- Zatrzymamy się na dzień, może nawet dłużej. Dzieci wcale za mną bardzo nie tęsknią, a ja wolałabym podjąć wykonywanie obowiązków rodzicielskich dopiero wtedy, kiedy będę miała pod ręką Patty, żeby nauczyła ich dyscypliny. Jubal, dopóki nie zobaczysz mnie w wodzie z unoszącymi się dokoła włosami, możesz uznać, że w ogóle mnie nie widziałeś.

- Umowa stoi. Słuchajcie, gdzie podziali się Kanciastogłowy i Holender? Beatrix też nigdy nie była w domu - chyba nie śpieszy im się aż tak bardzo?

- Powiem im, szefie.

- Patty, czy twoje węże wytrzymają przez jakiś czas w czystej ciepłej piwnicy, zanim wymyślimy im coś lepszego? Nie mówię o Pieszczochu, bo on jest człowiekiem, ale nie wydaje mi się, żeby kobry musiały pałętać się po całym domu.

- Oczywiście, Jubal.

Harshaw rozejrzał się dookoła.

- Hmm... Dawn, potrafisz stenografować?

- Nie potrzebuje tego - odparła Anne. - Tak samo jak ja.

- Powinienem być się domyślić. Piszesz na maszynie?

- Mogę się nauczyć, jeśli chcesz.

- W takim razie możesz uważać się za przyjętą do pracy - chyba że otrzymasz skądś propozycję objęcia posady kapłanki. Jill, nie zapomnieliśmy o kimś?

- Nie, szefie. Tyle tylko, że wszyscy, którzy wyjechali, otrzymali bezterminowe zaproszenie, z którego nie omieszkają skorzystać.

- Mam nadzieję. Gniazdo numer dwa zaprasza w każdej chwili. - Jubal podszedł do kuchenki i zajrzał Duke'owi przez ramię do rondla. W naczyniu znajdowało się trochę rosółu. - Hmm... Czy to Mike?

- Tak. - Duke zanurzył łyżkę i skosztował nieco zupy. - Przydałoby się więcej soli.

- Rzeczywiście, on zawsze potrzebował przypraw. - Jubal wziął od Duke'a łyżkę i spróbował rosółu. Istotnie, był odrobinę za słodki. - Ale grokujemy go takim, jakim jest. Kto jeszcze został?

- Tylko ty. Tony kazał mi go cały czas mieszać, uważać, żeby się nie przypalił, w razie potrzeby dodać wody i czekać na ciebie.

- W takim razie daj dwa kubki. Będziemy grokować razem.

- Tak jest, szefie. - Kubki spłynęły łagodnie z półki i stanęły przy rondlu. - Chce mi się śmiać z Mike'a - zawsze powtarzał, że na pewno będzie żył dłużej ode mnie i poda mnie na Święto Dziękczynienia. Choć może raczej powinienem śmiać się z samego siebie; założyliśmy się o to, a teraz nie mam jak odebrać wygranej.

- Zwyciężyłeś wyłącznie z powodu niestawienia się przeciwnika. Rozlej równo.

Jubal podniósł swój kubek.

- Dzielimy się!

- I zbliżajmy.

Wypili bez pośpiechu rosół, smakując go, rozkoszując się nim i grokując ich dobroczyńcę. Jubal stwierdził ze zdziwieniem, że choć był nadzwyczaj poruszony, to dominujące uczucie stanowiła spokojna, nie wywołująca łez radość. Cóż za niezdarny szczeniak był z jego syna, kiedy zobaczył go po raz pierwszy... jak bardzo chciał wszystkich zadowolić, jak naiwne popełniał błędy... i jak wielką zdobył potęgę, nie tracąc nic ze swojej anielskiej niewinności. Wreszcie cię grokuję, synu - i nie

zmieniłbym nic z tego, co się stało!

Patty przygotowała mu lunch. Jubal usiadł przy stole i zabrał się za jedzenie z takim zapałem, jakby od poprzedniego posiłku minęło co najmniej kilka dni.

- Właśnie mówiłem Saulowi, że nie gromadzę potrzeby wprowadzania jakichkolwiek zmian do naszych planów - poinformował

go Sam. - Będziemy działać tak jak do tej pory. Jeżeli ma się dobry towar, interes będzie kwitł nadal, nawet kiedy zabraknie założyciela firmy.

- Nie zgadzam się - zaprotestował Saul. - Ty i Ruth założycie swoją świątynię, a my swoje, ale najpierw musimy mieć trochę czasu, żeby zebrać odpowiedni kapitał. To nie jest ani kuglarskie przedstawienie na rogu ulicy, ani interes, z którym można się wprowadzić do opuszczonego sklepu. Potrzebujemy odpowiedniego miejsca i wyposażenia, a to oznacza duże pieniądze, nie wspominając już o tym, że musimy opłacić dwuletni pobyt na Marsie Śmierdziała i Maryam, co jest równie ważne jak wszystko inne.

- Już dobrze, dobrze... Czy ktoś mówi inaczej? Zaczekamy na całość i wtedy podejmiemy decyzje.

- Pieniądze nie stanowią żadnego problemu - odezwał się nagle Jubal.

- Jak to?

- Jako prawnik nie powinienem wam tego mówić... ale jako wodny brat robię to, co gromadzę jako słuszne. Zaczekajcie chwilkę. Anne...

- Tak, szefie?

- Kup miejsce, w którym ukamienowali Mike'a. A najlepiej cały teren w promieniu stu stóp.

- Szefie, koło o promieniu stu stóp obejmie fragment drogi publicznej i część terenu należącego do hotelu.

- Nie sprzeczasz się ze mną.

- Nie sprzeczasz się, tylko informuję o faktach.

- Przepraszam. Na pewno da się kupić. Zrobią objazd albo coś w tym rodzaju. Do licha, jeśli ich dobrze przycisnąć, dadzą nam ten teren w prezencie - najlepiej, żeby zajął się tym Joe Douglas. I niech odbierze z kostnicy to, co zostało z Mike'a; pochowamy go w tym miejscu, powiedzmy, dokładnie za rok. Całe miasto okryje się żałobą, a gliniarze, którzy nie zrobili nic w jego obronie, będą trzymali wartość honorową.

Co nad nim postawić? Kariatydę przygniecioną ciężarem?

Nie, Mike okazał się wystarczająco silny, by dźwigać swój kamień. Lepsza byłaby Mała Syrenka, ale nikt by tego nie zrozumiał. Może więc posąg przedstawiający samego Mike'a, jak stoi i mówi: Spójrzcie na mnie. Jestem synem człowieczym? Nawet jeśli Duke nie zdążył zrobić mu zdjęcia, na pewno mają ich mnóstwo w sieci New World i może znajdzie się jakiś wodny brat o duszy Rodina, który wyrzeźbi go tak, jak należy, bez zbytecznego upiększania.

- Pochowamy go bezpośrednio w ziemi - ciągnął Jubal - i pozwolimy, żeby zgrokowały go robaki i łagodne deszcze. Grokuje, że Mike będzie z tego zadowolony. Anne, natychmiast po powrocie do domu chcę rozmawiać z Joe Douglasem.

- Tak, szefie. Grokujemy z tobą.

- Została jeszcze jedna sprawa. - Powiedział im o ostatniej woli Mike'a. - Jak więc widzicie, każde z was jest co najmniej milionerem, nie wiem ilokrotnym, bo ostatnio nie miałem czasu tego sprawdzić, ale na pewno wielokrotnym, nawet po odliczeniu podatków. Nikt nie nakłada na was żadnych ograniczeń, choć domyślam się, że wydacie większość na świątynie i podobne sprawy, ale możecie nawet kupować sobie jachty, jeśli będziecie mieli na to ochotę. Joe Douglas zajmie się interesami każdego, kto chciałby powiększyć kapitał, za taką samą opłatą jak do tej pory... ale grokuje, że Joe nie pociągnie już długo, w związku z czym te sprawy przechodzą na Bena Caxtona. Ben?

Caxton wzruszył ramionami.

- Mogę to firmować, ale grokuje, że wynajmę prawdziwego biznesmena, niejakiego Saula.

- Czyli wszystko załatwione. Trzeba będzie trochę poczekać, ale nikomu nie uda się obalić testamentu Mike'a - jest nie do podważenia. Sami się przekonacie. Kiedy możemy stąd wyjechać? Rachunek już zapłacony?

- Jubal, ten hotel jest naszą własnością - przypomniał mu łagodnie Ben.

Wkrótce potem, nie niepokojeni przez policję, znaleźli się w powietrzu; miasto uspokoiło się równie szybko, jak niedawno wzburzyło. Jubal, całkowicie odprężony, siedział z przodu obok Mahmouda. Stwierdził, że nie jest zmęczony, nieszczęśliwy, ani nawet niezadowolony z powrotu do swego sanktuarium. Omawiał ze Śmierdzielem jego plany osiedlenia się na Marsie w celu dokładniejszego poznania języka; ku zadowoleniu Harshawa Mahmoud miał zamiar uczynić to dopiero po zakończeniu prac nad słownikiem, co powinno nastąpić mniej więcej za rok od tej

chwili, przynajmniej jeśli chodziło o jego działkę, to znaczy transkrypcję fonetyczną.

- Zdaje się, że ja też będę musiał wbić sobie do głowy ten charkot, choćby po to, żeby zrozumieć, co się przy mnie mówi - mruknął pośepnie Jubal.

- To zależy od twojego grokowania, bracie.

- Ale nie mam najmniejszego zamiaru chodzić na jakieś cholerne lekcje i siedzieć na nich w wyznaczonych godzinach! Będę pracował tak jak zwykle, czyli tylko wtedy, kiedy przyjdzie mi na to ochota.

- W Świątyni musieliśmy stosować szkolny system, bo mieliśmy do czynienia z grupami - wyjaśnił mu Mahmoud. - Ale i tak niektórym uczniom poświęcaliśmy specjalną uwagę.

- Właśnie tego będę potrzebował.

- Na przykład Anne jest znacznie bardziej zaawansowana, niż ci się do tego kiedykolwiek przyzna. Dzięki swojej pamięci absolutnej nauczyła się marsjańskiego niemal w mgnieniu oka, połączona telepatycznie z Mike'em.

- Cóż, ja nie dysponuję taką pamięcią, a poza tym Mike'a akurat nie ma pod ręką.

- Ale jest Anne. Pomimo twego uporu Dawn może pomóc ci nawiązać bezpośredni kontakt myślowy z Anne, jeśli tylko jej pozwolisz. Podczas drugiej lekcji obejdziecie się bez niczyjej pomocy - Anne da sobie ze wszystkim radę. Po kilku dniach będziesz już myślał po marsjańsku; co prawda, według twojego subiektywnego odczucia minie znacznie więcej czasu, ale co to przeszkadza? - Mahmoud zerknął na niego z ukosa. - Na pewno spodobają ci się ćwiczenia rozgrzewające.

Jubal natychmiast się najeżył.

- Jesteś wstrętnym, zepsutym, rozpustnym Arabem, a w dodatku ukradłeś jedną z moich najlepszych sekretarek.

- Za co jestem ci dozgonnie wdzięczny. Ale nie utraciłeś jej całkowicie; ona też będzie ci udzielała lekcji. Na pewno nie przepuści takiej okazji.

- Znajdź sobie inne miejsce. Muszę pomyśleć.

Jakiś czas później Jubal wrzasnął na całe gardło:

- Pierwsza!

Dorcas usiadła obok niego, przygotowana do stenografowania.

- Dziecino, wyglądasz na jeszcze bardziej szczęśliwą niż zwykle. Aż promieniejesz.

- Postanowiłam nazwać go Dennis - powiedziała rozmarzonym tonem.

Jubał skinął głową.

- Bardzo stosownie. - Nawet jeśli nie ma stuprocentowej pewności co do ojcostwa, dodał w myśli. - Możesz pracować?

- Oczywiście!

- W takim razie zaczynamy. Spektakl stereowizyjny, pierwszy szkic. Tytuł roboczy: Marsjanin nazwiskiem Smith. Scena pierwsza: zbliżenie Marsa, następnie bez cięcia przejście na miejsce lądowania Envoya. Statek kosmiczny w pewnym oddaleniu, dokoła poruszający się Marsjanie, żywi albo animowane zdjęcia trikowe. Cięcie: wewnątrz statku kosmicznego. Ambulatorium pokładowe, na stole leży kobieta...

## Rozdział XXXIX

Wyrok w sprawie trzeciej planety krążącej wokół Sol ani przez chwilę nie ulegał wątpliwości. Starzy z czwartej planety nie byli wszechwiedzący, natomiast prowincjonalnością na swój sposób dorównywali nawet ludziom. Grokując na podstawie miejscowych wartości, nawet z pomocą wybitnej logiki, stwierdzili z całą pewnością niewłaściwość kłótliwych, niespokojnych istot zamieszkujących trzecią planetę, która to niewłaściwość będzie musiała zostać wypleniona, oczywiście po wcześniejszym zgrokowaniu, umiłowaniu i zniechęceniu.

Jednak kiedy wreszcie zabraliby się do tego, byłoby niemal pewne, że nie będą w stanie zniszczyć tej zadziwiająco złożonej rasy. Prawdopodobieństwo pomyłki w tej sprawie było tak niewielkie, że ci, którzy zajmowali się trzecią planetą, nawet nie zawracali sobie nim głowy.

A już na pewno nie Foster.

- Digby!

Asystent podniósł na niego wzrok.

- Tak, Foster?

- Będę teraz zajęty przez kilka eonów, więc chciałem przedstawić ci twojego nowego kontrolera. Mike, to jest archanioł Digby, twój asystent. Wie, gdzie co jest w pracowni i powinien dobrze wywiązywać się z roli zastępcy.

- Och, na pewno jakoś się dogadamy - zapewnił go archanioł Michael, po czym zwrócił się do Digby'ego: - Czy my przypadkiem gdzieś się nie spotkaliśmy?

- Nie przypominam sobie - odparł Digby. - Oczywiście, biorąc pod uwagę ilość tymczasowości... - Wzruszył ramionami.



- Zresztą nieważne. Tyś jest Bogiem.  
- Tyś jest Bogiem - odpowiedział Digby.  
- Darujcie sobie te formalności, jeśli łaska - wtrącił się Foster. - Zostawiam wam mnóstwo roboty, a bynajmniej nie macie całej wieczności na to, żeby się z nią guzdrać. Ma się rozumieć, że tyś jest Bogiem - ale kto nim nie jest?  
Wyszedł, a Mike zsunął z czoła aureolę i zabrał się do pracy. Miał zamiar wprowadzić wiele zmian...

KONIEC

- 1 Notre Dame Notre Dame - w tym przypadku chodzi o nazwę szpitala (przyp. tłum.).
- 2 Mickey Finna Mickey Finn - napój zawierający bardzo silny narkotyk, na przykład zmuszający do mówienia (przyp. tłum.).
- 3 Habeas Corpusct - Habeas Corpus Act - ustawa angielska z 1679 r. zabraniająca aresztowania obywatela bez nakazu sądu i zapewniająca właściwe postępowanie sądowe (przyp. tłum.).
- 4 Cukierki Maltuzjańskie Cukierki Maltuzjańskie Cukierki Maltuzjańskie
- 5 Plymouth Rock **Plymouth Rock - miejsce, w którym w roku 1620 wylądowali pielgrzymi na statku "Mayflower".**
- 6 lettres de cachet **lettres de cachet (franc.) - rozkazy uwięzienia (przyp. tłum.)**
- 7 smorgasbordem **smorgasbord (szw.) - rozmaite przystawki i salatk.**
- 8 karmę **karma - w filozofii indyjskiej pojęcie oznaczające los i zarazem przeznaczenie każdego człowieka (przyp. tłum.)**
- 9 Ponce de Leon **Ponce de Leon (1460-1521) - hiszpański podróżnik, który odkrył Florydę poszukując legendarnej Fontanny Młodości (przyp. tłum.)**
- 10 Tybetański swami **swami (hindi) - mędrzec, uczony (przyp. tłum.).**
- 11 frenologii **frenologia - pogląd, według którego z ukształtowania czaszki można wnioskować o zdolnościach i właściwościach psychicznych człowieka.**
- 12 Strip Street **Strip (Street) - tutaj: główna ulica Las Vegas, przy której mieszczą się największe kasyna (przyp. tłum.).**
- 13 Williamem Harveyem **William Harvey (1578-1657) - angielski lekarz, który jako pierwszy poznał i opisał krążenie krwi w organizmie (przyp. tłumacza).**
- 14 Aleksandra Hamiltona **Aleksander Hamilton (1755-1804) - amerykański mąż stanu, w latach 1789-1795 pierwszy Sekretarz Skarbu USA (przyp. tłum.).**
- 15 świtało **dawn - świt (przyp. tłum.).**
- 16 brzytwy Ockhama - brzytwa Ockhama - zasada, w myśl której należy zawsze przyjmować to wyjaśnienie problemu, które wymaga tworzenia jak najmniejszej liczby nowych teorii.